

Powieść o przeklętej wiosce na Roztoczu, autora wielokrotnie nominowanego do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, zdobywcy Nagrody Nautilus

# STEFAN DARDA

## Čzarny Wygon

POWIEŚĆ GROZY



# TOM II

VIDEOGRAF

STEFAN

# DARDA

---

Czarny Wygon

---

TOM II

SŁOWO CZARNEGO

BISY

BISY II

VIDEOGRAF



Redakcja  
*Anna Seweryn-Sakiewicz*  
Projekt okładki  
*Marek J. Piwko {mjp}*  
Ilustracja na okładce oraz na stronach działowych  
*Dariusz Kocurek*  
Redakcja techniczna, skład, łamanie i opracowanie wersji elektronicznej  
*Grzegorz Bociak*  
Korekta  
*Urszula Bańcerk*

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I w tej edycji, Chorzów 2014  
Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA  
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c  
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35  
fax 32-348-31-25

[office@videograf.pl](mailto:office@videograf.pl)

[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.  
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21  
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12 691962519

[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)

[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2014  
© Copyright by Stefan Darda

**ISBN 978-83-7835-366-9**

# Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Opowiadanie "Słowo Czarnego"](#)

[1.](#) / [2.](#) / [3.](#) / [4.](#) / [5.](#) / [6.](#) / [7.](#)

[Część III. Bisy](#)

[Przedmowa](#)

[Podziękowania](#)

[Prolog](#)

[24 marca 2005 \(Wielki Czwartek\)](#)

[25 marca 2005 \(Wielki Piątek\)](#)

[26 marca 2005 \(Wielka Sobota\)](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[1.](#) / [2.](#) / [3.](#) / [4.](#) / [5.](#) / [6.](#)

[9 kwietnia 2007 \(poniedziałek\)](#)

[Rozdział drugi](#)

[1.](#) / [2.](#) / [3.](#) / [4.](#) / [5.](#) / [6.](#)

[10 kwietnia 2007 \(wtorek\)](#)

[Rozdział trzeci](#)

[1.](#) / [2.](#) / [3.](#) / [4.](#) / [5.](#) / [6.](#)

[11 kwietnia 2007 \(środa\)](#)

[Rozdział czwarty](#)

[1.](#) / [2.](#) / [3.](#) / [4.](#) / [5.](#) / [6.](#)

[12 kwietnia 2007 \(czwartek\)](#)

[Epilog](#)

[I](#) / [II](#) / [III](#) / [IV](#) / [V](#) / [VI](#)

[Część IV. Bisy I](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[1.](#) / [2.](#) / [3.](#) / [4.](#) / [5.](#) / [6.](#)

[13 kwietnia 2007 \(piątek\)](#)

Rozdział drugi

1. / 2. / 3. / 4. / 5. / 6.

14 kwietnia 2007 (sobota)

Rozdział trzeci

1. / 2. / 3. / 4. / 5. / 6.

15 kwietnia 2007 (niedziela)

Rozdział czwarty

1. / 2. / 3. / 4. / 5. / 6.

Epilog

I / II / III / IV / V / VI / VII

Posłowie

Pomysł i lokalizacja fabuły

Przed drukiem

Po druku

opowiadanie



SŁOWO CZARNEGO

# 1.

Ten strach był dla niej jak zaciskająca się coraz mocniej na szyi pętla.

Przed chwilą, gdy siedziała przy łóżku Mateusza i patrzyła w rozpalone gorączką jasnoniebieskie oczy, usiłowała nie dać po sobie poznać, że jej oddech również staje się coraz płytszy, a panika lodowatymi palcami uciska tłukące się w piersiach serce. Chłopiec szukał na twarzy matki spokoju, wypatrywał choć śladu nadziei, więc nie mogła go zawieść.

Kiedy wreszcie zasnął, bezszelestnie wymknęła się z pokoju, zostawiając zapaloną nocną lampkę i lekko uchylone drzwi. Zbliżała się już północ, a ona dopiero teraz przypomniała sobie o wypranej pościeli rozwieszanej rano na sznurach obok domu. Zarzuciła więc na plecy wełnianą chustę i wyszła na podwórze. Zmierzając w kierunku odbijających światło księżycy, poruszanych wzmagającym się wiatrem prześcieradeł i poszew, wierzchem dłoni otarła wilgoć z policzków. Obraz stał się ostrzejszy.

Noc była jasna, choć przepływające po atramentowym niebie chmury od czasu do czasu kradły trochę księżycowego blasku. Teresa podniosła głowę i spojrzawszy w niebo, uświadomiła sobie, że jest już po pełni. W ostatnich tygodniach czas miał dla niej tylko jeden wymiar, określony trudną do precyzyjnego oznaczenia, choć przerażająco nieuchronną datą. Jeszcze rok temu, w Wielki Piątek dwa tysiące szóstego roku, przygotowywałyby się na nadejście Wielkanocy, czuwając przy Bożym Grobie w miejscowym kościele. Teraz było jej wszystko jedno. Jeszcze kilka dni temu, przed wizytą w lubelskim szpitalu, błagała na kolanach o cud, ale teraz było jasne, że ten się jednak nie zdarzy.

Przystanąła, gdy do jej uszu od strony drogi prowadzącej z Adamowa dobiegły jakieś odgłosy, przeciskające się przez chłodną ciszę kwietniowej nocy. Otuliła się mocniej chustą i stanęła nieruchomo. Po chwili rozpoznała charakterystyczne skrzypienie nienasmarowanych łożysk znajomej dwukółki.

„Co on, do diabła, robi tu o tej porze, i to w taką noc? — zapytała samą siebie w myślach. — Chyba już mu się całkiem pomieszało w tej starej, siwej głowie”.

Wzruszyła ramionami i zaczęła zdejmować pościel. Odgłosy były coraz wyraźniejsze, a do zgrzytów i popiskiwanego wydawanego przez koła starego wózka dołączyło miarowe szuranie podeszew o nawiewany na asfalt piach.

Pamiętała tego człowieka jeszcze z czasów, gdy był postawnym, wysokim mężczyzną z bujną, czarną brodą. Sprowadził się do Adamowa mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ojciec Teresy wspominał, że Bobowicz początkowo budził wśród miejscowych nieufność, ale ponieważ na koniach znał się jak mało kto, a do pomocy zawsze był pierwszy, prędko zaskarbił sobie uznanie okolicznych gospodarzy. Niektórzy mówili, że to brat

słynnego w swoim czasie na Zamojszczyźnie cygańskiego wójta — Romana Bobowicza z Grabowca. Ile w tym było prawdy, a ile zwykłego ludzkiego gadania, trudno powiedzieć, ale przybycie Czarnego, jak wszyscy nazywali go w okolicy, zgadzałyby się w czasie z przymusowym osiedlaniem Romów w grabowieckim pałacu.

Od kiedy konie ostatecznie zastąpione zostały przez maszyny, Czarny zaczął najmować się do pracy w lesie, a gdy z powodu artretyzmu i podeszłego wieku musiał zrezygnować i z tego zajęcia, zajął się zbieraniem złomu po wioskach w okolicy Adamowa. Lekko przygarbiona sylwetka, ciągnąca za sobą skrzypiącą dwukółkę, stała się nieodłącznym elementem lokalnego krajobrazu.

Był już na wysokości domu Teresy, kiedy skończyła zbierać pranie. Widok na drogę zasłaniał wysoki parkan, ale dochodzące zza ogrodzenia dźwięki nie pozostawiały wątpliwości co do miejsca, w którym znajduje się Bobowicz. Kobieta wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę domu. Co ją obchodzi jakiś stary wariat?

„Jak ma ochotę, to może sobie tak łązić nawet do Niedzieli Wielkanocnej albo i dłużej” — pomyślała.

Kiedy zamykała za sobą drzwi, skrzypienie wózka i kroki starego ustały; miała wrażenie, że dokładnie na wysokości jej furtki. Być może Czarny usłyszał ją i chciał zapytać o jakieś niepotrzebne metalowe sprzęty.

Po chwili jednak uświadomiła sobie, że coś jest nie tak. Przyzwyczała się do wizyt Czarnego w Bliżowie, ale ta dzisiejsza wyglądała jakoś... inaczej. Teresa stała przez chwilę na środku kuchni z naręczem pachnącej świeżością pościeli, po czym położyła ją na krześle i znów wyszła na zewnątrz.

Nic się nie zmieniło. Było całkowicie cicho, nie licząc szumu wiatru, który wciąż się wzmagał.

Wreszcie zrozumiała.

Za każdym razem, gdy Czarny zbliżał się do Bliżowa, dźwiękom wydawanym przez jego wózek towarzyszyło zawzięte ujadanie. Być może skrzypienie kół tak rozwścieczało miejscowe kundły, a może w nieznanym człowieku wyczuwały one jakieś zagrożenie. W każdym razie przybycie Bobowicza do tej pory zawsze było przez nie sygnalizowane, zanim jeszcze mieszkańcy zauważyli go na opadającej ku wsi drodze.

Tym razem nie zaszczekał ani jeden pies.

## 2.

Mateusz w ciągu ostatnich dni przespał najwyżej kilkanaście godzin. Choroba wyniszczała go od środka, a bólu nie były w stanie zagłuszyć nawet silne medykamenty, więc tym bardziej każda kolejna godzina snu była dla chłopca na



wagę złota. Stojąc przed drzwiami, Teresa z niepokojem oczekiwała pierwszego hałaśliwego szczeknięcia, które sprawi, że cała wieś zabrzmi kakofonią psiego ujadania. Już nie było jej wszystko jedno.

Ruszyła w stronę furtki.

Gdy ją uchyliła, zobaczyła Czarnego, który stał nieruchomo i patrzył w stronę kobiety. Czekał.

Kolor włosów i brody, od którego wzięło się jego przydomko, dawno już zastąpiła siwizna. Oczy, płonące niegdyś ciemnym blaskiem, z czasem zostały zasnutte bielmem, ale Bobowicz nie wyglądał na niedołężnego starca. Choć przygarbiony pod jarzmem upływającego czasu, i tak górował nad Teresą prawie o dwie głowy. Po plecach kobiety przebiegł dreszcz, mimo tego podeszła bliżej i odważnie spojrzała Czarnemu prosto w twarz.

— Panie Bobowicz, po co pan się tu kręci po nocy? — zapytała. — Przecież o tej porze i tak nie uda się panu niczego znaleźć, a tylko...

Zgubiła wątek. Jego osadzone w śniadej twarzy oczy niemal fosforyzowały bielą. Poruszone wiatrem siwe, długie włosy, w których tańczyło światło księżycy, sprawiały, że wyglądał wręcz upiornie. Teresa cofnęła się o krok.

— Zaraz pobudzi pan tym swoim wózkiem wszystkie psy we wsi, a mój syn bardzo potrzebuje snu.

Przyszło jej na myśl, że mógłby zostawić dwukólkę i wrócić jutro, ale zanim zdążyła to zaproponować, usłyszała:

— Tak, doskonale zdaję sobie z tego sprawę, moja droga. To zdecydowanie zbyt późno wykryty mięsak Ewinga, nieprawdaż?

Zanim dotarła do niej treść pytania, zwróciła uwagę na to, że Bobowicz inaczej niż zwykle artykułuje słowa. Rozmawiała z nim wielokrotnie, gdy przychodził po stare rupiecie, lecz tym razem jego głos brzmiał zupełnie inaczej. Łagodnie, dźwięcznie, z trudnym do wychwycenia, ale słyszalnym obcym akcentem.

— Skąd pan wie? — zapytała po chwili.

Uśmiechnął się, odsłaniając dwa rzędy równych i zaskakująco białych zębów. Pierwszy raz widziała, jak Czarny się uśmiecha.

— Och, Teresko... Ja wiem więcej, niż mogłoby ci się zdawać.

— Ludzie gadają, prawda? Czasem mam wrażenie, że cieszą się z nieszczęścia, które nas...

— Ludzie przeważnie rozmawiają na serio o rzeczach zupełnie nieistotnych — przerwał jej — a po sprawach naprawdę ważnych prześlizgują się ledwie pobieżnie. Nie od nich wiem o twoim problemie i nie pytaj skąd, bo to akurat nie ma najmniejszego znaczenia.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zasnutymi bielmem oczyma uważnie przypatrywał się kobiecie. Wreszcie znów się odezwał:

— Jestem tu, aby ci pomóc, moja droga. Wiem, czego potrzeba tobie i twojemu synkowi.

Teresa pokręciła głową.

— Lekarze nie dają żadnych szans, więc...

— Są inni lekarze. Są nowe metody leczenia, które mogą znacznie przedłużyć życie Mateuszowi. Oczywiście wymagają one dalekich wyjazdów, nawet za granicę, są kosztowne, ale dają nadzieję.

— Wiem, ale nie mam takich pieniędzy — powiedziała, spuszczać wzrok.  
— Brakuje mi nawet na lekarstwa, a co dopiero...

— Nie wyglądam na krezusa, ale pamiętaj, że pozory mogą mylić. — Podszedł do kobiety i położył dłonie na jej ramionach. — To jak, Teresko? Jeśli miałbym taką kwotę, przyjąłabyś ją ode mnie?

Ponownie na niego spojrzała, a zaraz potem skinęła głową.

— Zrobiłabym wszystko, by dać Mateuszowi szansę.

Mężczyzna znów się szeroko uśmiechnął.

— To właśnie chciałem usłyszeć — rzekł, a zaraz potem dodał: — Oczywiście, nie zrobię tego za darmo. Mam nadzieję, że to rozumiesz, moja droga?

Jeszcze raz skinęła głową.

— Będę cię wkrótce potrzebował. — Przez wełnianą chustę poczuł, jak kobieta zaczyna drżeć i dodał:

— Nie bój się, to nie jest to, o czym myślisz. Zresztą, jestem już na to za stary.  
— Nieprzyjemny śmiech, który przerwał jego słowa, zupełnie nie pasował do wcześniejszego, łagodnego tonu głosu.

Odsunęła się o kilka kroków.

— Więc co mam zrobić? — zapytała. — I jaką mam pewność, że mówi pan prawdę o tych..., o tym, że dostanę te pieniądze?

— Nie masz żadnej pewności — odparł, szczerząc zęby w fałszywym uśmiechu.  
— Masz za to moje słowo i ono na razie musi ci wystarczyć.

Rozpiął płaszcz i z jego wewnętrznej kieszeni wyjął białą, lekko pomiętą kopertę.

— Trzymaj. Na razie jest pusta, ale gdy zrobisz to, czego od ciebie oczekuję, znajdziesz w niej wystarczającą ilość pieniędzy. Wiedz jednak, że nie będzie to łatwe zadanie. Dlatego dam ci do namysłu dobę. Jutro o tej porze znów przyjdę i jeśli tutaj, pomiędzy deskami furtki, nie znajdę koperty, będzie to znaczyło, że nie zmieniłaś zdania.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił za metalową rączkę dwukółki i ruszył w powrotną drogę. Wózek zaskrzypiał przeraźliwie, a Bobowicz odwrócił się i rzucił jeszcze przez ramię:

— Nie bój się, psy nie będą dziś szczekać. Możesz być o to spokojna, moja droga. Możesz być spokojna, bo Czarny zawsze dotrzymuje słowa.

### 3.

Wiatr ustał zupełnie, zanim jeszcze zdążyła dojść do domu.

Od strony drogi jeszcze przez długi czas dochodziły dźwięki hałasującego wózka Bobowicza, ale Teresa nie słyszała nic poza nimi. Gdy wreszcie i one ucichły, zamknęła za sobą drzwi na skobel, a potem zajrzała do Mateusza. Spał spokojnie, lekko się uśmiechając.

Przeszła do swojego pokoju, gdzie przyłgnęła plecami do nagrzanego kaflowego pieca. Była zziębnięta, zmęczona, a do tego wytrącona z równowagi. Próbując zebrać myśli, obracała w dłoniach białą, pustą kopertę.

Nigdy by nie przypuszczała, że Czarny zna imię jej syna, a była niemal na sto procent przekonana, że podczas rozmowy to właśnie Bobowicz przywołał je po raz pierwszy. O ile jednak to akurat można wytłumaczyć jego zażyłością z niektórymi mieszkańcami Bliżowa, o tyle zupełnie nie mogła pojąć, skąd miał takie dokładne informacje o chorobie, na jaką cierpiał Mateusz. Tak naprawdę jej nazwę znała chyba tylko Teresa i lekarze zajmujący się chłopcem. We wsi mówiło się, że „mały Bielak ma raka” i „podobno już są przerzuty, nie wiadomo nawet, czy chłopak doczeka do lata”. Tyle wystarczyło. Nikomu nie były potrzebne fachowe określenia. Nawet Bożena pewnie zdziwiłaby się, gdyby nagle usłyszała o mięsaku Ewinga, mimo że przecież to właśnie ona, jako chrzestna Mateusza i mieszkająca po sąsiedzku rodzona siostra Teresy, o jego chorobie wiedziała naprawdę sporo.

Wątpliwości po nocnej rozmowie było o wiele więcej. Czarny nie tylko brzmiał inaczej niż podczas wcześniejszych spotkań, ale mówił też w zupełnie innym niż kiedyś, kwiecistym stylu. Skąd ta nagła odmiana? Czy rzeczywiście mógł wspomóc Teresę tak dużą kwotą, że mogłaby dać ona jej synowi szansę na leczenie? Czy w ogóle istniały pieniądze dające nadzieję na przedłużenie życia albo przynajmniej ulżenie Mateuszowi w cierpieniu?

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiała, tym większy miała mętlik w głowie, jednak w końcu schowała kopertę do szuflady stołu i zatrzasnęła ją zdecydowanym ruchem.

„Zrobię wszystko, czego zażąda ode mnie Czarny. Każda matka na moim miejscu zachowałaby się dokładnie w ten sam sposób — pomyślała. — Nawet jeśli szansa jest tylko jedna na milion, nie potrafiłabym żyć ze świadomością, że nie spróbowałam”.

Gdy niedługo potem leżała na tapczanie w pokoju Mateusza i wsłuchiwała się w jego nieregularny, płytki oddech, wiedziała, że podjęła dobrą decyzję.

— Zrobię wszystko — szepnęła i natychmiast zapadła w sen.

## 4.

W Wielką Sobotę już od jedenastej wieczorem stała przed domem i niecierpliwie nasłuchiwała znajomego skrzypienia wózka. To, czego dowiedziała się w ciągu dnia od Bożeny, rzuciło na całą sprawę nowe światło, chciała więc jeszcze raz porozmawiać z nocnym przybyszem.

Jej serce zamierało za każdym razem, gdy od strony drogi dobiegał jakiś dźwięk. Wsłuchiwała się w odgłosy wiosennej nocy, przerywane od czasu do czasu leniwym ujadaniem psów. Trzy, może cztery razy w ciągu godziny mrok rozświetliły reflektory przejeżdżającego szosą samochodu, pozostawiając po sobie na jakiś czas jeszcze bardziej nieprzeniknioną ciemność. Księżyc tym razem skrywał się za szczelną kotarą chmur.

Co jakiś czas sięgała ręką do kieszeni kurtki, w której spoczywała biała, coraz bardziej pognieciona koperta. Była ona jedynym dowodem na to, że odbyta poprzedniej nocy rozmowa naprawdę miała miejsce. Ciągłe dotykanie papieru było dla Teresy ważne również z innego powodu. Pomagało jej trwać w przeświadczeniu, że nie postradała zmysłów.

W ostatnim czasie niemal nie wychodziła z domu, a jej kontakt z otoczeniem ograniczał się głównie do rozmów z siostrą. Stojąc w mroku, przypominała sobie ich ostatnie spotkanie, kilka godzin wcześniej. Bożena przyniosła świeconkę i garść mało interesujących plotek. Już wychodząc, zapytała:

— Pamiętasz tego starego Bobowicza? Wiesz, tego Czarnego, co to chodził po wsiach z wózkiem i zbierał złom?

— Pamiętam — odparła Teresa. — Rozmawiałam z nim nawet ostatnio...

— Słuchaj, nie uwierzysz! Na jego pogrzebie były chyba ze dwie setki osób. Z całej okolicy się ludzie zjechali... Niby taki trochę włóczęga, a jednak szanowany był. Czekał, czekał... Mówisz, że z nim niedawno rozmawiałaś?

— Tak... może z tydzień temu — skłamała Teresa, siląc się na obojętność.

— No popatrz. U mnie też jakoś wtedy był. Albo trochę wcześniej... To na pewno było tydzień temu?

— Nie pamiętam dokładnie. A co mu się stało?

— No tak, ty przecież nic nie wiesz! Znaleźli go przedwczoraj powieszzonego w stodole. Chowany był zaraz następnego dnia, żeby przez święta nie leżał. I dobrze, bo by jeszcze kogoś po niedzieli ze sobą zabrał... Mszy nie było, bo w Wielki Piątek liturgia słowa może być tylko odprawiana, ale gmina się postarała i chowali go jak sołtysa jakiego. Mój Władek był i opowiadał... Tereska, a co z tobą? Jakoś tak pobladłaś nagle...

— Nie, nic mi nie jest. Tylko... — Głos ugrzął jej w gardle. Odchrząknęła. — Tylko wiesz, człowiek tak się trochę przyzwyczaił... A wiadomo coś o tym, dlaczego Czar... to znaczy świętej pamięci Bobowicz to zrobił?

— Nic nie wiadomo. Wszyscy się dziwią, bo twardy zawsze był, ciężko miał w życiu, a nie poddawał się łatwo losowi. Może na starość mu się coś w głowie pomieszało?

Po wyjściu siostry Teresa natychmiast poszła do pokoju i zajrzała do szuflady. Sama już nie wiedziała, czy chce znaleźć tam białą kopertę, ta jednak była na swoim miejscu i kobieta od tego momentu nie rozstawała się z nią nawet na moment.

Było w pół do pierwszej, gdy usłyszała chrzęst kroków na drodze. Po ubiegłej nocy nie pomyliłaby ich z innymi. To był ostatni moment na to, aby jeszcze zmienić zdanie. Mogła podbiec do furtki i zostawić w niej otrzymaną od Czarnego kopertę, jednak podjęta wczoraj decyzja wciąż wydawała się jedyną właściwą, więc, drżąc z emocji, stała bez ruchu, rejestrując dźwięki dobiegające zza bramy. Nocny wędrowiec zatrzymał się po drugiej stronie. Tym razem nie ciągnął za sobą hałaśliwej dwukółki.

Teresa w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Nie chciała go już o nic pytać, rozmowa nie była potrzebna, bo przecież wszystko było jasne. Najwyraźniej dla Czarnego również. Postać jeszcze na wysokości bramy może przez minutę, po czym zaczął się oddalać.

Nie pozostało jej nic innego, jak ukryć się w domu i czekać na dyspozycje. Włożyła wciąż jeszcze pustą kopertę do szuflady, po czym niemal odruchowo zajrzała do Mateusza. Był bardzo blady, ale najważniejsze było to, że spał. Poprawiła jego kołdrę i pocałowała chłopca w lekko zroszone chłodnym potem czoło.

„Jeszcze troszkę, synku, a może będę mogła ci pomóc” — pomyślała, po czym przeszła do kuchni i usiadła przy stole.

Wielkanoc wśliznęła się do Bliżowa bezszelestnie jak złodziej i czekała, aż jej przybycie oznajmi poranne, radosne bicie dzwonów.

Siedzącej przy stole kobiecie było to całkowicie obojętne.

## 5.

Obudził ją słaby głos Mateusza. Chłopiec wołał matkę, najwyraźniej zaniepokojony jej nieobecnością. Dopiero wtedy zrozumiała, że spędziła noc w kuchni. Natychmiast się podniosła, nalała do szklanki kompot i zniosła do pokoju syna.

Podczas gdy malec pił łąpczywie, Teresa przyglądała mu się z czułością. Gdy skończył, spojrzała na zegarek i powiedziała:

— Nie będzie mnie przez jakiś czas. Wrócę po południu. Ciocia Bożenka będzie do ciebie zaglądać, dobrze?

Sama była nie mniej zaskoczona tymi słowami niż Mateusz.

— Nie chcę, żebyś gdzieś szła, mamó — powiedział cicho. — Są święta, prawda? Nie chcę być sam w święta.

— Nie będziesz sam — odparła i pogładziła go po jasnych włosach. — Gdy wrócę, cały czas będę z tobą. Jesteś głodny?

Pokręcił przecząco głową.

— Spróbuj jeszcze pospać, to czas szybciej minie — dodała.

Zobaczyła w jego oczach łzy, ale musiała być silna, więc odebrała z jego wątlých dłoni pustą szklankę i wyszła z pokoju.

Miała w sobie mnóstwo energii i czuła się silna, jak nigdy dotąd.

Było wpół do jedenastej. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że musi się pospieszyć.

Założyła wygodne džinsy, flanelową koszulę w kratę i nieprzemakalną wiatrówkę. Chociaż nie wyglądała jeszcze przez okno, wiedziała, że pada drobny deszcz. Zeszła do piwnicy i z dna jednego z pudeł, spod niezliczonej masy rupieci wyjęła solidny, myśliwski nóż należący do jej nieżyjącego męża. Kiedyś był jej już potrzebny i spędziła wtedy kilka dni na bezowocnych poszukiwaniach. Teraz dokładnie wiedziała, gdzie leży. Wysunęła go ze skórzanej pochwy, sprawdziła palcem stalowe ostrze i skrzywiła się z niezadowoleniem.

Na doprowadzenie go do odpowiedniego stanu poświęciła kilkanaście cennych minut. Gdy skończyła, osełka była gorąca od tarcia, a nóż ostry jak brzytwa. Schowała go do pochwy i przytroczyła do pasa. Przed lustrem upewniła się, że wiatrówka dobrze maskuje białą broń.

Raz jeszcze zajrzała do Mateusza i ucieszyła się, bo mały znów zasnął.

Niedługo potem zapukała do drzwi położonego po sąsiedzku domostwa. Bożena była zaskoczona jej widokiem.

— Nie będzie mnie kilka godzin. Zajmiesz się przez ten czas moim synem.

Zabrzmiało to nie jak prośba, tylko nieznoszące sprzeciwu polecenie.

— To ważne — dodała. — Potem ci wyjaśnię. Może.

— Nie wejdiesz? Jemy akurat świąteczne śniadanie...

— Nie mam czasu. — Mówiąc to, wcisnęła Bożenie do ręki klucz. — Teraz śpi, ale jak się obudzi, może być głodny. Daj mu coś do jedzenia.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i zaraz potem była na drodze. Czuła, że jej siostra wciąż patrzy na nią zdziwiona, ale zupełnie jej to nie obchodziło.

W tej chwili najważniejsze było szybkie dotarcie do Guciowa.

\*

Chciała przejść najkrótszą drogą — najpierw obok krzyża z rzeźbionym w drewnie Chrystusem, a potem obok kościoła, jednak ten banalnie prosty plan okazał się niewykonalny. Krzyż musiała obejść, nie podchodząc do niego bliżej niż na jakieś dziesięć metrów, a świątynię ominąć jeszcze szerszym łukiem, więc poszła piaszczystą drogą, biegnącą równoległe do asfaltu.

Na końcu wsi, tuż przed liczącym kilka zabudowań przysiółkiem Bisy,

chroniony ramionami rozłożystej lipy stał jeszcze jeden, tym razem metalowy krzyż przydrożny. Do niego nawet już nie próbowała się zbliżyć.

Z ostatniego podwórza wypadł Ares — średniej wielkości podpalany kundel, którego często podkarmiała. Zdarzało się, że czasem nawet nocował na jej podwórzu. Pies sadził do niej w podskokach, radośnie popiskując. Teresa przykucnęła, by go przez chwilę pogłaskać, jednak Ares stanął jak wryty w bezpiecznej odległości. Najpierw przez jakiś czas uważnie jej się przypatrywał, a potem zaczął się cofać. Na jego grzbiecie zjeżyła się sierść, wyszczerzył kły i głucho warczał.

Teresa podniosła się i sięgnęła do boku, chwytając za rękojeść noża. Precyzyjnym rzutem mogła w jednej chwili przerwać nienawistne warczenie. Wiedziała, że trafiłaby idealnie w szyję psa i naprawdę miała ochotę to zrobić. Ostatecznie jednak postanowiła zostawić sobie tę przyjemność na potem. Na razie miała ważniejsze sprawy na głowie. Piaszczysta droga w tym miejscu zmieniała się w asfaltową i wiodła do bardziej uczęszczanej szosy na trasie Zwierzyniec—Krasnobród. Szybkim krokiem ruszyła nią przez las w kierunku sąsiedniej wioski.

Czuła się jak wadera, która właśnie trafiła na świeży trop rannej zwierzyny.

## 6.

Za kwadrans dwunasta dotarła na parking położony naprzeciw gospodarstwa agroturystycznego w Guciovie. Stał na nim tylko fiat punto. Właśnie jego szukała.

Podeszła bliżej, rozglądając się czujnie. Nie mogła w takiej chwili pozwolić sobie na nieostrożność. Gdy nikogo nie dostrzegła, czterema mocnymi cięciami zniszczyła opony samochodu, a następnie spokojnym krokiem przeszła przez ulicę i ruszyła w stronę widocznego przed nią wzniesienia.

Była już blisko.

Wzgórze było dość strome, ale nawet po kilku minutach forsownego marszu pod górę Teresa nie miała najmniejszej zadyszki. Deszcz padał teraz już mocno, lecz nie przeszkadzało jej to w pokonywaniu kolejnych metrów. Na błotnistej ścieżce widziała ślady ciężkich butów. Ktoś bardzo niedawno musiał tędy iść.

Nagle z oddali usłyszała huk wystrzału. Ruszyła biegiem.

Kiedy dotarła na szczyt wzniesienia, zobaczyła przed sobą Słoneczną Dolinę, a na jej tle sylwetkę mężczyzny, zmierzającego w jej stronę chwiejnym krokiem. Trudno było stwierdzić, czy jest pijany, zmęczony, czy też po prostu ma problem ze sprawnym poruszaniem się. Wydawało się, że zza jego pleców dobiegają milknące dźwięki kościelnych dzwonów, ale to musiało być złudzenie. Znała to miejsce i była pewna, że w dolinie nie ma żadnego kościoła.

To jednak było w tym momencie najmniej ważne.

Interesował ją zbliżający się z trudem na oko pięćdziesięcioletni facet. Miał na sobie brudne, zabłocone ubranie.

„A więc to wszystko przez niego? — pomyślała ze zdziwieniem. — Przecież to bułka z masłem”.

Dzieliło ich może dziesięć metrów, może mniej, a on wciąż jej nie dostrzegł. Szedł, patrząc pod nogi, coś do siebie mamrocząc i raz po raz kręcąc głową. Uznała, że wystarczy jeden szybki ruch, cios w wychudzoną klatkę piersiową i będzie po sprawie. Dotknęła noża. Nie mogła się już doczekać.

Mężczyzna wreszcie ją zauważył, ale wzruszył tylko ramionami i wciąż zmierzał przed siebie, najwyraźniej licząc, że Teresa usunie mu się z drogi. Kiedy to nie nastąpiło, stanął przed nią i zmęczonym, trochę błędnym wzrokiem spojrzał jej w oczy.

To był ten moment. Właśnie teraz powinna uderzyć.

Zrobiłaby to bez najmniejszego wahania, gdyby nie fakt, że w twarzy nieznajomego dostrzegła coś, co poruszyło ją do szpiku kości. Na obliczu sporo starszego od niej mężczyzny malowało się coś, co od momentu zdiagnozowania nowotworu u Mateusza sama codziennie widziała w lustrze. Ból, poczucie straty, beznadzieja istnienia. U Teresy wszystko było świeże, zaś u niego zatarte przez mijający czas, ale dla niej wciąż doskonale widoczne...

— Pszprasz — mruknął i głośno czknął.

Usunęła się ze ścieżki. Patrzyła, jak ją mija i wiedziała, że nie może go puścić wolno. Nadal trzymała dłoń na rękojeści noża i wciąż pamiętała o swoim synu, dla którego się tutaj pojawiła.

Nie potrafiła jednak zadać ciosu.

Obcy przeszedł kilka kroków, a potem się zatrzymał. Mruczał coś do siebie przez chwilę, gestykulował, aż wreszcie zawrócił i znów się zaczął zbliżać.

„Drwi ze mnie — pomyślała. — Muszę to zrobić!”.

Mimo to, kiedy znów był obok Teresy, ona nie potrafiła wywiązać się ze swojego zadania.

— Mam nieźle w czubie — oznajmił, popukał się w głowę, a następnie, zataczając się, ruszył w stronę Słonecznej Doliny. Po kilku krokach potknął się, upadł do przodu, a potem ułożył się wygodniej i znieruchomiał.

Teresa wyjęła nóż z pochwy i podeszła bliżej. Stała przez moment, po czym odrzuciła niedoszłe narzędzie zbrodni jak najdalej od siebie.

## 7.

Dotarcie do Bliżowa zajęło trzykrotnie więcej czasu niż droga, którą przebyła w przeciwną stronę. Wszystko ją bolało, była przemoczona i zmarznięta na kość. Nie mogła się już doczekać, aż dojdzie do domu, weźmie ciepłą kąpiel i położy



do łóżka.

Z ulgą dojrzała pierwsze zabudowania. Po raz drugi tego dnia spotkała Aresa, który najpierw przyjrzał się jej nieufnie, a potem podbiegł, łaszcząc się i prosząc o pieszczotę. Później towarzyszył jej już do samego domu. Tym razem nie musiała też ani razu nadkładać drogi.

Weszła do środka i stanęła w progu pokoju Mateusza. Łóżko było puste.

— Tysiąc razy jej mówiłam, że może zarazić się od jej dzieci — mruknęła, ale nie miała siły, aby teraz iść do Bożeny i robić jej awanturę.

Musiała się położyć, chociaż na chwilę.

\*

Obudził ją hałas dobiegający z kuchni.

— Bożena?

Siostra weszła do pokoju z uśmiechem.

— Jak samopoczucie? — zapytała.

— Gdzie Mateusz? Prosiłam cię przecież, żebyś go nie zabierała do siebie — powiedziała z wyrzutem Teresa.

— Daj spokój. Przecież grzecznie bawi się z dziewczynkami. Przy śniadaniu chyba obie przesadziłyśmy z winem. Mnie też głowa pęka. Chodź, napijemy się kawy, zjemy trochę ciasta. Czekam na ciebie w kuchni.

Teresa natychmiast się ubrała. Nie znalazła nigdzie mokrych ubrań, uznała więc, że siostra tymczasem pozbierała je z podłogi i zabrała do łazienki.

Usiadła naprzeciw Bożeny. Na zewnątrz się wypogodziło, przez okno wpadało do środka ciepłe, słoneczne światło. Nagle usłyszała tupot na schodach, a zaraz potem do pomieszczenia wpadł jej syn. Był zasapany, zgrzany i cały w skowronkach.

— Cześć, mamó! Pić mi się chce.

Jej serce wykonało gwałtownego koziołka. Poderwała się i złapała syna za rękę.

— Czyś ty oszalał? Przecież tak nie można! Jesteś chory, nie wolno ci biegać!

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Przecież wczoraj mówiłaś, że całkiem już wyzdrowiałem. Prawda, ciociu? — zwrócił się do Bożeny.

— No pewnie. Tereska, daj spokój. Przecież po grypie musi nabrać trochę odporności i nałykać się świeżego powietrza. Chodź — powiedziała do chłopca — dam ci kompotu i wracaj do dziewczynek.

Swoim zwyczajem wypił łąpczywie i już go nie było. Po chwili z dworu dobiegły odgłosy beztróskiej zabawy.

— Nic z tego nie rozumiem. — Teresa kręciła głową, szeroko otwartymi oczami patrząc na siostrę. — To na pewno piękny sen, ale nie chcę się z niego obudzić.

Wstała i wyszła na zewnątrz.

Dzieciaki bawiły się w łapanego. Wiosna powoli budziła się wokół do życia.

Gdy kobieta spojrzała na pobliskie wzgórze, na jego szczycie dostrzegła

sylwetki dwóch mężczyzn. Jednym z nich był nieznajomy zakapturzony mężczyzna, odziany w zakonny habit. Drugiego znała aż nazbyt dobrze. Jego długie, tańczące w rytm podmuchów wiatru siwe włosy, brodę i śniadą twarz poznałaby na końcu świata.

Czarny wraz z nieznajomym mnichem, który z tej odległości zdawał się pozbawionym prawego ramienia kaleką, przypatrywali się jej przez dłuższy czas, a potem odwrócili się i niespiesznie zniknęli za wierzchołkiem wzniesienia.

„Czarny nie powiedział, co będzie, jeśli nie spełnię jego żądania — pomyślała Teresa. — I dobrze, bo jeśli byłaby to jakaś groźba, to z pewnością dotrzymałby słowa”.

Nie uspokoiło jej to całkowicie, ale gdy spojrzała na biegnącego co sił i śmiejącego się syna, nic już nie miało znaczenia.

— Boże, byleby to tylko nie był sen — powiedziała cicho i ruszyła w stronę domu. Nie chciała, aby Mateusz zauważył, że płacze.

część III

BISY



*Skoro twój przyjaciel odszedł na zawsze,  
zapłacz nad jego mogiłą i trwaj w żałobie, bracie.  
A potem wstań i żyj tak, żeby był z ciebie dumny,  
filując stamtąd, z góry, na twoje poczynania.*

Jerzy Szewczyk

## Przedmowa

Kiedy piszę te słowa, mijają cztery lata od momentu, gdy na Targach Książki w Krakowie trzymałem po raz pierwszy w życiu książkę swojego autorstwa.

Dokładnie cztery lata, co do dnia.

Przez ten czas w moim życiu wiele się zmieniło.

Gdy zaczynałem pracę nad „Domem na wyrębach”, we wrześniu dwa tysiące szóstego roku, nie miałem pojęcia, jak moja przygoda z pisaniem się zakończy. Tekst, który początkowo szacowałem na około trzydzieści stron, zaczął się dość mocno rozrastać i w pewnym momencie zrozumiałem, że aby historia Marka Leśniewskiego była przedstawiona w satysfakcjonujący mnie sposób, muszę porwać się na przedsięwzięcie o wiele trudniejsze niż stworzenie średniej wielkości opowiadania.

Pamiętam, że zastanawiałem się wtedy, czy jestem na tyle zdeterminowany, by udźwignąć tego typu zadanie. Miałem co do tego wątpliwości, niemniej jednak postanowiłem spróbować.

Praca nad tekstem, z krótszymi lub dłuższymi przerwami, trwała niemal dokładnie rok. Świetnie się przy tym bawiłem, ale kwestia ewentualnego druku pozostawała sprawą otwartą. Powiedzmy sobie szczerze — szanse były niewielkie, zwłaszcza że wcześniej nie publikowałem na papierze, ale rzeczywistość okazała się dla mnie łaskawa i marzenie o własnej książce stało się rzeczywistością.

Jedną z chwil podczas powstawania „Domu na wyrębach” pamiętam wyjątkowo dobrze. Były to Święta Wielkanocne w dwa tysiące siódmym roku, które spędzałem w moim rodzinnym domu w Lubyczy Królewskiej. Opisywałem wtedy podglądany przez Leśniewskiego i Jaszczuka sejmik żurawi, na który po lekturze zwracało uwagę wielu Czytelników. Robiłem to późnym wieczorem, właściwie już nocą, gdy wszyscy w domu już spali i nikt z moich Bliskich nie domyślał się, co wyprawiam. Nikt z nich nie wiedział, że postanowiłem napisać powieść.

Główna oś fabularna książki, którą właśnie, drogi Czytelniku, trzymasz w rękach, rozgrywa się kilkadziesiąt kilometrów od Lubyczy Królewskiej, a akcja pierwszego rozdziału rozpoczyna się właśnie w Wielkanoc dwa tysiące siódmego roku.

Uświadomiłem to sobie całkiem niedawno. Ot, przyjemny, nieplanowany zbieg okoliczności.

Wiele przyjemnych zbiegów okoliczności wydarzyło się po premierze mojej debiutanckiej książki, ale większość z nich by mnie pewnie nie spotkała, gdyby nie to, że postanowiłem nie poprzestać na niej jednej. Uznałem bowiem, że pisanie sprawia mi tak wiele satysfakcji, że postaram się zająć nim na poważnie.

Nie miałem nigdy chwili zwątpienia, że obrałem słuszną drogę, chociaż czasami bywało ciężko. Rozterki na szczęście nie wiązały się z pytaniem, czy wybrałem dobry szlak, ale z kwestią, w jaki sposób mam nim dalej podążać.

Ostatnie dwa tomy „Czarnego Wygonu” postanowiłem zadedykować moim Siostrzeńcom — Tomaszowi i Jędrzejowi, którzy właśnie stoją przed wieloma dylematami dotyczącymi dorosłego życia, i którzy może coś z tych moich doświadczeń zechcą wykorzystać.

Drogi Tomku, Drogi Jędrku!

Wiedźcie, że trzymam za Was mocno kciuki. Życzę samych dobrych wyborów, teraz i w przyszłości, które sprawią, że będziecie po prostu szczęśliwi. To nie jest łatwe — podobnie, jak i trudne bywa czasem samo życie (o czym przecież wszyscy przekonaliśmy się w dwa tysiące czwartym roku), ale przecież możliwe.

Wiedźcie też, że jestem z Was dumny i cieszę się, że jesteście.

## Podziękowania

Dziękuję wszystkim tym, którzy namawiali mnie do kontynuacji „Czarnego Wygonu”. Stawiając ostatnią kropkę drugiego tomu i będąc w pełni świadomym, że wiele furtek zostawiam niedomkniętymi, sądziłem, że to koniec tego właśnie cyklu powieściowego. Chciałem, żeby każdy, kto się z nim zapoznał, sam dopowiedział sobie ciąg dalszy. Później zatęskniłem trochę za roztoczańskimi klimatami, niemniej jednak, gdybym był jedynym tęskniącym, „Bisy” na pewno by nie powstały. Dziś bardzo się cieszę, że są i że Czytelnicy będą mogli przekonać się, czy dobrze domyślali się dalszych losów bohaterów.

Jestem wdzięczny tym osobom, które motywowały mnie do pracy nad „Bisami”, chociaż zdaję sobie sprawę, że trwała ona dość długo. Niemniej jednak uważam, że lepiej, jeśli książka pojawia się o rok za późno niż o dzień za wcześniej. Mam nadzieję, że powieść, którą trzymacie Państwo w rękach, ukazuje się we właściwym czasie.

Dziękuję osobom, które pomogły mi w poznaniu realiów Rostocza — zwłaszcza Aldonie, Monice i Panu Andrzejowi. Dzięki Wam ta książka jest pełniejsza i bardziej wiarygodna, co właśnie w przypadku literatury fantastycznej jest niezmiernie istotne, a także tym wszystkim Czytelnikom, którzy spotykali się ze mną podczas licznych spotkań autorskich, ponieważ to właśnie one są dla mnie nieocenionym dowodem na to, że to, co robię, ma sens.

Nie mogę też zapomnieć o Tobie, Drogi Czytelniku, który po raz kolejny sięgnął po powieść mojego autorstwa. Tak naprawdę to właśnie Ty jesteś najważniejszym jej twórcą i za to Ci bardzo dziękuję. Literatura bez Ciebie jest tylko pustym, nikomu niepotrzebnym zlepkiem tysięcy wyrazów.

To właśnie Ty nadajesz jej wartość.

*Mojemu Siostrzeńcowi — Tomaszowi*



## Prolog

### 24 marca 2005 (Wielki Czwartek)

Adamowicz z niechęcią wpatrywał się w miedziane wahadło przedwojennego zegara, otrzymanego od ojca w prezencie ślubnym.

„Kiedy to było?” — zapytał sam siebie w myślach, zmarszczył krzaczaste brwi i wykrzywił twarz w grymasie niezadowolenia. Miał w głowie zupełną pustkę.

Po kolejnej nieprzespanej nocy powinien się położyć, ale wiedział, że sen nie przyjdzie, jeśli nie zostanie przywołany garścią tabletek uspokajających.

— Dwadzieścia lat chyba już będzie... — oznajmił niepewnie wahadłu, które odpowiedziało głośnym, powolnym „tak... tak... tak...”. — Nie, chyba ze dwadzieścia pięć... — poprawił się po chwili, skubiąc w zamyśleniu mocno posiwiąte, przybrudzone papierosowym dymem wąsy, których głównym zadaniem było maskowanie blizny pozostałej po operacji zajęczej wargi.

— Tak... tak...

— Nie otumanisz mnie — rzekł, wodząc wzrokiem od lewa do prawa i z powrotem. — Czekał, zaraz sobie przypomnę... Piotrka trzymałem do chrztu dokładnie dziesięć lat po ślubie z Janką. On teraz będzie miał... — Twarz Adamowicza stężała. Po chwili odezwał się dużo ciszej:

— W czerwcu kończyłby dziewiętnaście, to razem wychodzi...

— Bom... bom... — odezwał się zegar.

Bogdan podniósł wzrok wyżej i stwierdził, że właśnie mija dziewiąta.

— ...to razem prawie trzydzieści. Prawie trzydzieści lat tu stoisz i żadnego z ciebie pożytku, przeklęty rupieciu. Dawno bym cię porąbał na wióry, gdyby nie Piotrek. Jemu się podobałeś, lubił cię słuchać, patrzeć na ciebie i trzymałem cię tylko dla niego. Byłby z ciebie dobry prezent weselny od chrzestnego, a teraz? — Wzruszył ramionami i westchnął już do siebie:

— Teraz zaczniesz rozum tracić, stary głąbie, bo gadasz z durnym zegarem. Weź się jakoś w garść.

Wstał i pomacał się po lewej kieszeni na piersi. Ostatniego papierosa z paczki wypalił przed chwilą, ruszył więc do kuchni po następną. Zaraz potem przystanął i stwierdził, że jednak lepiej będzie, jeśli zdecyduje się na tabletki. Musiał przecież trochę się zdrzemnąć przed kolejną nieprzespaną nocą.

W tym momencie od strony drogi dobiegł jakiś hałas, więc skierował się w stronę okna i stanął przy nim dokładnie w momencie, gdy rozklekotany

granatowy volkswagen golf wtoczył się na podwórze przez otwartą na oścież bramę. Dopiero teraz Adamowicz przypomniał sobie o Bisach — z którymi umawiał się, że będą zaczynać robotę najpóźniej o ósmej.

— Jasna cholera! A to mendy francowate! — sapnął. — Trzej zafajdani muszkietierowie z Bliżowa...

Z rosnącą irytacją przyglądał się, jak niespiesznie przygotowują narzędzia, zakładają robocze ciuchy i coś tam grzebią przy silniku auta. Gdy wreszcie Mirek, najmłodszy z nich, wyjął z bagażnika trzy butelki piwa i foliowe torebki z drożdżówkami, tego było już za wiele.

— Czy ja wam, do jasnej cholery, płacę za kręcenie się po podwórzu i chłanie, czy za robotę?!

Siedzieli na deskach plecami do domu, a że wyszedł na zewnątrz cicho jak kot, uświadomili sobie jego obecność dopiero, gdy się odezwał.

— Wpół do dziesiątej dochodzi, a jeszcze nawet żeście palcem nie kiwnęli — Bogdan zaczynał wściekać się nie na żarty. — W takim tempie, to kwiecień was zastanie! Myślałem, że skończycie najpóźniej do Niedzieli Palmowej, a tu już Wielki Tydzień się kończy...

— Niech się szef nie denerwuje tak, bo jeszcze jaka żyłka szefowi się uszkodzi — przerwał mu beznamiętnie Maciek, kończąc przeżuwać kęs drożdżówki. — Nasza granatowa strzała nawaliła po drodze i trza było trochę ją podrychtować. Normalnie to żeśmy zawsze byli zgodnie z umową. Słowo harcerza! — mówiąc to, zadowolony z żartu mrugnął do Adamowicza i pociągnął z butelki. — No nie, chłopaki?

Mirek przytaknął leniwie i również przyłożył butelkę do ust.

Gospodarza zatkało. Poczzerwieniał ze złości i warknął przez zęby:

— Zabierać mi się stąd, ale już! Cholerne, bezczelne pętaki... — Groteskowo zmieniony poprzez wadę wymowy głos wywołał u Maćka niezbyt starannie skrywany, drwiący uśmiech. — Wynocha! — Adamowicz zaczynał tracić panowanie nad sobą. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kawałka solidnego drąga.

Jedynym, który wydawał się zmieszany całą sytuacją, był najstarszy z Bisów. Poderwał się, odstawił piwo i zaczął zakładać robocze rękawice. Adamowicz zauważył wcześniej, że nawet odruchowo próbował ukryć butelkę za plecami. Michał Bis miał już około czterdziestki. Od Maćka był starszy o sześć lat, od Mirka — o dziesięć, ale to właśnie on zachowywał się jak uczeń przyłapany na paleniu za rogiem szkoły.

— Przepraszamy, panie Adamowicz. Niech nam pan pozwoli skończyć robotę... To się więcej nie powtórzy. Wie pan, jaką mamy sytuację, każdy grosz dla nas się liczy...

Bogdan zaprzestał poszukiwań podręcznej broni i teraz tylko bez słowa przypatrywał się kolejno każdemu z trzech swoich pomocników od siedmiu

boleści.

— Już się bierzemy do pracy. — Głos Bisa brzmiał niemal płaczliwie.  
— Trochę dziś później, ale nadgonimy. Na pewno. Słowo honoru!

— Z nimi to ci się chyba nie uda, Michał. — Gospodarz spojrzął mu w oczy, wskazując równocześnie głową na pozostałych. — Do niedzieli pewnie nawet nie zdążycie...

— Zdążymy! Obiecuję, może pan być spokojny! — zapewnił tamten żarliwie.  
— Do soboty może nawet...

Adamowicz machnął ręką z rezygnacją i podążył w stronę domu. Tuż przed drzwiami usłyszał głos Michała:

— A jak tam w nocy, proszę pana? Znów nic?

W odpowiedzi pokręcił przecząco głową i odparł, nawet się nie odwracając:

— Nic. Chyba nigdy go nie złapiemy.

— Pojechało cię, Michałku? — zapytał Maciek, gdy gospodarz zamknął za sobą drzwi. — Możemy od zawodnika wydusić jeszcze przynajmniej ze cztery dniówki, a ty...

— Zamknij się i do roboty — usłyszał w odpowiedzi. — Ty też, ale już! — zwrócił się do najmłodszego. — Ale żeśmy się, kurwa, dali podejść. Jak dzieci...

Nie chodziło mu o wstyd przed Adamowiczem. Miał gdzieś starego i jego złość, ale ostatnio coraz rzadziej mogli załapać jakąś fuchę; wiedział, że jak rozejdzie się po okolicy, że Bisom już całkiem nie chce się robić, to będzie kłopot. Od kiedy zostali nakryci na podprowadzeniu kantówek z budowanego przez nich letniskowego domku w Bondyrzu i tak rzadko kiedy ktoś brał ich do ciesielki, na której przecież można było zarobić o wiele lepiej, niż przy pracy w tartaku albo, jak tutaj, przy deskach. Był najstarszy i nie mógł pozwolić na całkowitą utratę dość mocno już nadszarpniętej reputacji. Musieli się przecież jakoś utrzymywać.

Wydawało się, że dwóm pozostałym jest zupełnie wszystko jedno, ale mimo tego z ociąganiem posłuchali brata.

— Musimy skończyć przed sobotą — dodał jeszcze, gdy zaczynali pracę.  
— Następnym razem, jak nas weźmie jeszcze kiedy, to będziemy ostrożniejsi i sobie odbijemy z nawiązką.

Maciek popatrzył na niego zimnym wzrokiem, a potem splunął w kierunku domu i syknął:

— Ale jak jeszcze raz ten stary, sepleniący pokurcz nazwie mnie pętakiem, to mu, kurwa, nie daruję. Jak Boga szczerze kocham.

Mirek uśmiechnął się pod nosem, ale znów nie odezwał się ani słowem. Przeszła mu przez myśl uwaga odnośnie do religijności starszego o cztery lata Maćka, ale zachował ją dla siebie. Od małego nie lubił strzepić jęzora po próznicy, a nazywanie go małomównym i tak byłoby lekką przesadą.

Tabletki powoli się kończyły. Bogdan przeliczył je pobieżnie i uznał, że mogą mu nie wystarczyć do poświętecznego wtorku. Zaraz potem przypomniał sobie,

że w sobotę będzie jechał do zamojskiego szpitala po Jankę, więc uspokojony wziął o jedno relanium więcej niż zwykle.

„Bylebym tylko nie zapomniał wstąpić do apteki i dokupić” — pomyślał i popił lekarstwo świeżym, jeszcze ciepłym mlekiem. Pamiętał, że w szufladzie leży niewykorzystana jeszcze po ostatniej wizycie u lekarza recepta.

„Przynajmniej o to nie muszę się już martwić”.

Rozebrał się, przykrył grubą pierzyną i zamknął oczy, a ostatnia myśl ciągle kołatała mu się w głowie. Chciałby mieć tylko takie zmartwienia, jak brak głupiego świstka od doktora.

Życie nigdy go nie rozpieszczało, do wszystkiego, co zdobył, musiał dojść sam, z niewielką, jak na miejscowe zwyczaje, pomocą żony. Gospodarstwo odziedziczył po ojcu zaraz po ślubie i z podupadającej zwykłej zagrody, jak dziesiątki innych, przez lata ciężkiej, chwilami wymagającej ponadludzkich sił pracy doszedł do majątku, któremu nie było równych w Guciwie; mało tego — ciężko byłoby znaleźć podobny w całej okolicy. Adamowicz nigdy nie nastawiał się nadmiernie na hodowlę, miał tylko tyle żywego inwentarza, aby wspólnie z Janką mogli bez większego wysiłku go oporządzić. Nie wypadało przecież kupować od innych kur na niedzielny rosół, czy wieprzka na święta, a i nabiał świeży zawsze się przydawał. Parę krów, kilka świń, trochę drobiu i to w zupełności wystarczało, a uwagę można było skierować na inne obszary gospodarowania.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym trafiła się okazja, by w okolicach Józefowa kupić niedrogo kilka hektarów ziemi, więc Adamowicz pojechał na miejsce, obejrzał i nie zastanawiał się długo. Choć od Guciowa był to kawałek drogi, uznał, że taka okazja może się więcej nie trafić. Zapożyczył się, gdzie tylko mógł, i kupił wszystko, co tylko było oferowane do sprzedania. W następnym roku obsadził prawie połowę areału tytoniem, a resztę obsiał pszenicą. Rok siedemdziesiąty dziewiąty był tak urodzajny, że inwestycja, pomimo sporych nakładów na wynajętych do pracy ludzi, prawie się zwróciła.

Kolejne lata nie były już wprawdzie tak dobre, ale udawało się nie tylko wyjść na swoje, ale też trochę odkładać. Gdy ogłoszono stan wojenny, Adamowicz uznał, że pieniądze mogą prędko stracić na wartości i trzeba byłoby rozejrzeć się za pewniejszą lokatą kapitału. Los sprawił, że akurat jego brat postanowił odsprzedać swoją część ojcowizny. W ten właśnie sposób w skład majątku Bogdana wszedł ponaddwuhektarowy sosnowy las, położony pomiędzy Guciwem a usytuowaną nieopodal niewielką wioską Bliżów.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wcześniejsze inwestycje w zakup lasów okazały się strzałem w dziesiątkę. Kiedy szalała hiperinflacja, Adamowicz był właścicielem prawie dwudziestu hektarów leśnych ostępów różnej klasy na Roztoczu, w przydomowym tartaku zajmował się przerabianiem drewna na rozchwytywany materiał budowlany, pola w okolicach

Józefowa rodziły całkiem przyzwoicie, a budynki lśniły bogactwem. Zadowolenie gospodarza przyćmiewała jedynie myśl, że nie będzie miał komu tego całego majątku zostawić.

Wieloletnie starania o dziecko nie przyniosły rezultatu, lekarze jednoznacznie orzekli, że nie ma żadnych szans na potomka. Nie pomogły ani msze w intencji szczęśliwego poczęcia, ani wizyty u różnych znachorów. Bezpłodność Janki, spowodowana powikłanym i niewłaściwie leczonym zapaleniem jajowodów we wczesnej młodości, przekreśliła marzenia Adamowiczów o własnych dzieciach. W pewnym momencie rozważali nawet adopcję, ale ostatecznie Bogdan uznał, że nie mogą przeciwstawiać się zrządzeniu niebios. Później wielokrotnie tego żałował. Aż do momentu, gdy w rodzinie jego młodszego brata pojawił się Piotrek.

Znajdujący się już na pograniczu snu i jawy gospodarz nagle usiadł, po czym opuścił nogi poza krawędź łóżka.

Podczas porannego obrządku nie zajrzał przecież do Szatana — ulubionego cielaka swojego bratanka. Wstał, by szybko naprawić to przeoczenie, ale po chwili ukrył twarz w dłoniach, kręcąc z niedowierzaniem głową.

„Jak mogłem znów zapomnieć?” — pomyślał.

Pod przymkniętymi powiekami widział Piotrka, który stoi przy nowo narodzonym, ślaniającym się jeszcze na słabych nogach byczku i, śmiejąc się, mówi:

— Stryju, zobacz! Czarny jak diabeł, co nie? Może nazwiesz go Szatan? Fajne imię, prawda?

Zgodził się bez wahania. Niewiele było takich rzeczy, których odmówiłby bratankowi. Ale może nie powinien był wtedy ulec? Janka przez kilka dni suszyła Bogdanowi głowę, że nie uchodzi tak nazywać zwierząt, bo to może i nieszczęście jakie sprowadzić. Śmiał się z niej wtedy i pukał w czoło.

— Teraz też byś się śmiał, stary durniu? — spytał sam siebie stłumionym szeptem. — Teraz też byś się śmiał, śmieszku...?

Zegar zaczął wybijać dziesiątą. Wyrwany z zamyślenia gospodarz podszedł do niego, poczekał, aż odezwie się ostatnie uderzenie, a potem otworzył przeszkłone drzwi i zatrzymał wahadło.

— Wyspać się chciałem, jasna cholera, dlatego nie będziesz mi tu tykał i bimbał.

Patrzył przez dłuższą chwilę na starą, patynowaną upływającym czasem tarczę, po czym sięgnął do niej dłonią. Położył opuszek palca obok dłuższej wskazówki i pchnął ją w lewą stronę. Tryby zaprotestowały cichym zgrzytem, ale wskazówka przesunęła się o kilka centymetrów.

— Za pięć dziesiątą? Może zrobimy, że stanie się wczoraj, stary druhu? — zapytał, a potem, coraz to szybciej, kolistym ruchem zaczął pchać wskazówkę w stronę, w którą nikt nigdy nie kazał jej podążać. — Najpierw zrobimy wczoraj, a potem pójdziemy do jedenastego. Albo nie! Pójdziemy nawet dalej, do

dziesiątego, to i Szatana w ten sposób uda nam się uratować...

Adamowicz z zapamiętaniem kręcił wskazówką coraz szybciej, bezwiednie przygryzając wysunięty język. Jego oddech był coraz płytszy, oczy lśniły obłędem, a na czoło wystąpiły kropelki zimnego potu.

— Już dwudziesty! — krzyknął z satysfakcją. — Jeszcze trochę, jeszcze tylko dwieście czterdzieści okrążeń i będziemy w domu, bracie! Wreszcie się na coś przydasz! Cieszysz się?!

Z jakiegoś innego, bardzo odległego wymiaru do uszu Bogdana zaczął docierać nieprzyjemny, wysoki dźwięk. Adamowicz ocknął się z letargu i odsunął od zegara. Patrzył na niego jeszcze przez moment, a potem cicho, jakby wstydząc się tego, co przed chwilą miało miejsce, zamknął drzwiczki.

Westchnął ciężko, po czym wierzchem dłoni wytarł pot z czoła i podszedł do okna. Najstarszy z Bisów pracował gorliwie, sprawnymi ruchami tnąc sosnowe opoły piłą spalinową, a dwóch pozostałych braci krzątało się obok niego żwawo, składając prawie białe jeszcze deski w zgrabny sztapel.

„Jak wiele brakuje mi jeszcze do zupełnego obłędu?” — zapytał w myślach gospodarz. Chciał, aby jakiś wewnętrzny głos odpowiedział, że nie jest tak źle, że to wszystko jest wynikiem wielodniowego zmęczenia i niewyspania, jednak nawet gdyby tak się stało, Bogdan i tak by nie uwierzył.

Gdy po raz kolejny kładł się do łóżka, nieruchome wskazówki przedwojennego zegara nadal wskazywały kwadrans po czwartej i nie cofnęły się samoistnie nawet o pół minuty. Adamowicz przez chwilę przypatrywał się im z nadzieją, że może jednak zmienią zdanie, a potem odwrócił się twarzą do ściany i zasnął, tłumiąc w sobie pokusę, by obrócić głowę i spojrzeć na wielki cyferblat przynajmniej jeszcze jeden raz.

## **25 marca 2005 (Wielki Piątek)**

Gdy nazajutrz o świcie wracał z nocnego dyżuru, przypomniał sobie zakończenie rozmowy odbytej poprzedniego dnia z najstarszym z Bisów. Na zadane przez Michała z wyraźną intencją załagodzenia napiętej atmosfery pytanie o rezultaty nocnych poszukiwań, Adamowicz odpowiedział z rezygnacją, która jego rozmówcę z pewnością mogła zmylić. Odpowiedział w tonie, w jakim od kilku dni przebąkiwała większość mężczyzn biorących udział w nocnych czatach.

— Skoro przez ponad dziesięć dni nie stało się nic złego, ba — poszukiwany nie był nawet widziany w okolicy, to może przeniósł się gdzieś w inne rejony? — Mówiąc takie mniej więcej słowa, każdy z nich podświadomie starał się zakłąć

rzeczywistość; w tubalnych męskich głosach brzmiała nadzieja, że im więcej razy coś się powtórzy, tym większa jest szansa, aby słowa stały się ciałem. Prawda była taka, że nikt z nich, pomimo że większość była uzbrojona w myśliwską broń palną, nie miał ochoty na nocne spotkanie z olbrzymem, który przez te ostatnie dni w opowieściach przekazywanych z ust do ust, zdążył już urosnąć do rozmiarów dwuipółmetrowego monstrum.

Mierzący niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu Bogdan, jeden z najstarszych wśród czatujących nocami w ukryciu, też miał nadzieję. Nadzieję, że wszystkie te zaklęcia są niewarte funta kłaków.

Oddałby wszystko za spotkanie z olbrzymem, nawet jeśli miałyby się okazać, że plotki odnośnie do potężnej postury oprawcy nie są przesadzone. Przez całe życie dość twardo stąpał po ziemi i, w przeciwieństwie do innych, niespecjalnie wierzył w istnienie „guciowskiego upiora”, o którym z upodobaniem godnym lepszej sprawy rozpisywały się lokalne gazety. Wierzył natomiast w istnienie ludzi, których należy jak najszybciej unieszkodliwić, by nie wyrządzili już więcej zła. W swoim przekonaniu był tym bardziej zdeterminowany, że bezsensowne, niczym nieusprawiedliwione okrucieństwo, dotknęło w sposób bezpośredni właśnie jego rodzinę.

Kiedy więc Adamowicz głośno wyrażał przekonanie: „nigdy go nie złapiemy”, to miał nadzieję, że los, który ostatnio tak bardzo go doświadczył, właśnie czujnie nadstawia uszu i zaciera swoje oślizgłe macki, z nikczemną satysfakcją na złośliwym pysku, szykując gospodarzowi kolejną przykrą niespodziankę.

Było jeszcze szaro, gdy Adamowicz wjechał na podwórze, ale już wystarczająco jasno, by mógł dostrzec, jak wiele Bisowie zrobili od minionego wieczora.

— Co, do diabła i jasnej cholery? — mruknął, wysiadając z auta.

Kręcąc z niedowierzaniem głową, obszedł podwórze, na którym piętrzyły się stosy okorowanej tarcicy. Większość materiału spoczywała na starannie ułożonych stosach, przeznaczone na drewno opałowe odpadki leżały jako wielka zgrabna pryzma, a sosnowa kora była starannie zgrabiona w jedno miejsce, tworząc cienką, przygotowaną do suszenia w słoneczne dni warstwę.

Adamowicz do tej pory prawie zawsze dyżurował w okolicy zagrody agroturystycznej Stanisławskiego i, ponieważ Bisowie w drodze powrotnej do Bliżowa przejeżdżali obok jego stanowiska, dokładnie wiedział, o której każdego dnia kończyli robotę. Ze względu na zbliżającą się Wielkanoc ostatniej nocy chętnych do patrolowania było nieco mniej i tym razem w udziale przypadła mu warta na przeciwległym końcu wioski, już prawie na granicy z Bondyrzem. Mógł się więc teraz co najwyżej domyślać, o której jego pomocnicy zakończyli pracę, ale założyłby się o spore pieniądze, że nie opuścili podwórza wcześniej niż o drugiej nad ranem.

„Do tej pory ani razu nie musieli jej świecić” — pomyślał i zwrócił wzrok w stronę silnej lampy sodowej zamocowanej na ścianie stodoły.

Podczas wykonywanego machinalnie obrządku Bogdan zastanawiał się, czy przypadkiem poprzedniego dnia nie nacisnął Bisów zbyt mocno. Faktem jest, że do tej pory beczelnie się lenili, ale może nie powinien był na nich wrzeszczeć. Może wystarczyłoby powiedzieć kilka ostrzejszych słów i efekt byłby ten sam. Ze względu na to, że Janka pochodziła z Bliżowa i bywał tam po swoim ślubie dość często, znał przecież każdego z tych chłopaków od małego i — przynajmniej tak mu się wydawało — cieszył się u nich jako takim szacunkiem.

Przeszłości nie da się zmienić — wiedział to teraz aż nadto dobrze, więc postanowił, że jakoś Bisom wynagrodzi zarówno ich pracę, jak i swoje nerwy. Byle tylko skończyli przed niedzielą, bo przecież w Wielkanoc na podwórzu musi być bezwarunkowo porządek.

O ósmej Adamowicz był już gotowy do spania. Zastanawiał się, ile czasu jego pracownicy będą potrzebować na to, aby wypocząć. Nie miał raczej nadziei, że pojawią się punktualnie; tak naprawdę to cieszyłby się, gdyby robota ruszyła koło dziesiątej. Postanowił jednak spróbować swojej sztuczki.

— Na pewno teraz nie przyjadą — powiedział, uważnie wypatrując przez szybę. — Nie dadzą rady, przecież skończyli nad ranem, napracowali się i muszą trochę odpo...

W tym momencie granatowy golf pojawił się w bramie. Gospodarz uśmiechnął się z satysfakcją i położył do łóżka.

Leżąc na plecach, z dłońmi splecionymi pod głową mówił głośno:

— Nie uda mi się go dorwać. Na pewno nie będzie na tyle głupi, żeby się teraz kręcić w okolicy. Na pewno jest bardzo sprytny.

Powtórzył to kilkakrotnie i gdy już był pewien, że wiadomość dotarła do kogo trzeba, odetchnął z ulgą.

Tym razem zasypiał bez tabletek. Wystarczająco uspokajała go myśl, że noc z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę będzie z całą pewnością przełomowa. Był zadowolony ze swojego sprytu, a własne dziwaczne zachowanie zupełnie go nie martwiło.

Postanowił zająć stanowisko jeszcze za dnia, aby nie minęło go to, co niewątpliwie nadchodzi. Minał gospodarstwo Stanisławskiego i jak zwykle wjechał autem w odchodzącą od asfaltu wąską dróżkę. Samochód zawsze stawiał na tyle daleko od swojej czatowni, by przypadkiem nie spłoszyć tego, na kogo polował.

Wyjął z bagażnika foliowy worek wypełniony sianem, a następnie przewiesił przez ramię płócienną torbę z kanapkami i kawą w termosie. Zanim włożył pod pachę myśliwską, dwulufową strzelbę, uważnie sprawdził, czy jest naładowana. Po kilku minutach z ciężkim westchnieniem usiadł na worku wśród gęstych, przydrożnych krzewów.

Ogarnął wzrokiem otoczenie, przez chwilę przypatrując się baczniej parkingowi położonemu naprzeciw zagrody agroturystycznej, na którym stało kilka



samochodów. W gasnącym świetle dnia i z dość znacznej odległości nie mógł dostrzec tablic rejestracyjnych, ale najpewniej pojazdy należały do przyjezdnych, goszczących się w karczmie Stanisławskiego. Nie podobało mu się, że są ludzie, którzy w Wielki Piątek odwiedzają restauracje, ale zdawał sobie sprawę z tego, że czasy się zmieniają i nic się na to nie da poradzić.

Niedługo po tym, jak zapaliły się przydrożne latarnie, przed drewnianą bramą gospodarstwa zatrzymał się biały opel kadett, z którego po kilku sekundach wygramolił się pasażer. Początkowo Adamowicz sądził, że kłopot z wysiadaniem wiąże się z podeszłym wiekiem mężczyzny, jednak gdy ten zrobił kilka kroków, okazało się, że chyba raczej chodzi o jakieś problemy z unieruchomioną w kolanie nogą.

Gdy kuśtykająca postać zniknęła za bramą, z auta wysiadł również kierowca, wyjął z wnętrza opla niewielką torbę i postawił ją na ziemi. Bogdan ze zdziwieniem obserwował, jak mężczyzna czyni znak krzyża, pochyla głowę i składa dłonie do modlitwy. Nie trwała ona dłużej niż kilka minut, niemniej jednak takiego widoku nie spotyka się często i trudno domyślić się, dlaczego ktoś na poboczu drogi, obok samochodu uznaje nagle, że właśnie teraz powinien porozmawiać z Bogiem.

„Pewno zmawia pacierz przed jakąś daleką drogą” — pomyślał Adamowicz. Poniekąd miał sporo racji.

Modlitwę przerwał powrót utykającego pasażera. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i zamienili kilka słów, po czym opel odjechał, pozostawiając kuternogę na poboczu drogi.

Stał tam bez ruchu przez dobrych kilkanaście minut, więc Bogdan miał okazję uważnie mu się przyjrzeć. Choć odległość była dość duża, a światła latarni niezbyt mocne, czający się w ciemności gospodarz miał wrażenie, że gdzieś już widział tego człowieka. Przeświadczenie rosło z każdą minutą, ale olśnienie przyszło dopiero jakiś czas później.

Najstarszy z braci postanowił, że nie będzie zmieniał lepiących się od żywicy i upstrzonych trocinami ubrań na czyste. Był bardzo zmęczony po dwóch dniach wyczerpującej pracy, a w dodatku zrobiło się nadspodziewanie chłodno, więc pomysł, by po prostu przykryć siedzenie kierowcy jakąś w miarę czystą szmatą znaną w bagażniku, wydał się Michałowi o wiele atrakcyjniejszy, niż pospieszna zmiana przepoconych ciuchów.

Od kilkunastu minut siedział za kierownicą volkswagena i przypatrywał się, jak młodszy bracia doprowadzają podwórze Adamowicza do porządku. Przez dwa dni prośbą, groźbą i stekami przekleństw mobilizował ich, by zrealizować obietnicę daną gospodarzowi. Koniec końców dopiął swego, jednak teraz miał już wszystkiego serdecznie dosyć. Miał wrażenie, że jest zlepkiem nadwreżonych mięśni przyczepionych do nienaoliwionego, przeciążonego kręgosłupa. To już nie te lata, gdy mógł przez cały tydzień niemal do nieprzytomności pracować

z ojcem, a po zakończeniu roboty brał tylko szybki prysznic, by zaraz potem ruszyć rowerem na sobotnią potańcówkę do Adamowa, bawić się prawie do rana, a później jeszcze pofiglować na sianie z jakąś kobitką. Dziś nie zaciągnęliby go na zabawę nawet wołami; marzył jedynie o ciepłym łóżku i długim, regenerującym śnie.

Pomimo że młodszy bracia sarkali na jego połajanki, okazało się, że to on miał rację. Adamowicz nie dość, że zapłacił za pracę zgodnie z wcześniejszą umową, to jeszcze dorzucił każdemu stówkę ekstra. Oprócz tego przed wyjazdem na nocny dyżur przyniósł z domu dwie litrowe wódki i pęto świątecznej kiełbasy na zakąskę. Wszystkim uściśnił serdecznie dłonie i podziękował tak, jakby już zapomniał o wcześniejszych — co by nie mówić — słusznych pretensjach.

Michał spojrział na zegarek — dochodziła dwudziesta druga trzydzieści. Właśnie zaczął zastanawiać się, czy przed północą zdąży się położyć, gdy w jasnym świetle lampy zauważył zbliżającego się do auta Maćka.

— Skończyliście? — zapytał, otwierając drzwi.

— Jedną robotę skończyliśmy, ale teraz przydałoby się zacząć jeszcze tę drugą — odparł brat. — Zimno się robi i coś na rozgrzewkę by się zdało...

— W domu się napijecie. Zmęczony jestem i...

— W domu też nie zaszkodzi, ale jakiś symboliczny wianek, to trzeba na miejscu urządzić. Przynajmniej po setce. No, może co najwyżej po dwie.

— A nie pomyślałeś, że ja też może bym się napił i coś zjadł?

— A kto ci broni? — Maciek otworzył klapę bagażnika i wyjął z niej reklamówkę, którą wcześniej wręczył im gospodarz. — Zapierdalaliżeśmy dwa dni jak durnie, to i coś nam się teraz od życia należy.

Mirek w tym czasie siedział przy stodole, na świeżo złożonych kantówkach, paląc papierosa. Wyglądało na to, że młodszy uzgodnili sprawę między sobą i ciężko będzie ich przekonać. Ciepłe łóżko zaczęło się niebezpiecznie oddalać.

— Jak to, kto mi, kurwa, broni? — Michał próbował jeszcze raz zaprotestować. — Kto niby będzie prowadził, jak się z wami napiję, cepie jeden? Siądziemy w domu na spokojnie, w ciepło...

— Nie świruj, bracie. Kto nas zatrzyma w Wielki Piątek? Psiarnia ma inne rzeczy dzisiaj na głowie i nawet jak się tu pojawi, to wiesz, że nie pijanych kierowców będzie szukać, a tego, co Piotrusiowi dodatkowy uśmiech na szyi nożem wydzięrgał.

— Aleś ty durny.

— Po starszym bracie to mam. — Maciek stanął przy uchylonych drzwiach. — Gównu mnie ten młody obchodzi. Trzeba mu było w domu siedzieć, a nie nocami łązić i gzić się z tą jego lafiryndą po krzakach. Idziesz czy siedzisz w samochodzie jak debil?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę jarzącego się w oddali ognika papierosa.

- Jak się tak srasz, to ja pojedę — rzucił jeszcze, nie odwracając się.
- Licz się ze słowami, gówniarzu, bo ktoś ci może wpierdol spuścić!
- Na przykład starszy brejdak?
- Na przykład.
- Chciałbym to zobaczyć — odparł Maciek i roześmiał się drwiąco.

Michał patrzył na oddalającą się barczystą sylwetkę młodszego o sześć lat, wyższego prawie o głowę brata. Wiedział dobrze, że w bójce z nim nie miałyby najmniejszych szans, a czasy, kiedy pięściami mógł wyegzekwować swoje polecenia, już dawno odeszły do przeszłości.

Wysiadł z auta. Ssało go w żołądku i nie zamierzał patrzeć, jak tamci będą w najlepsze wpierdziałać swojską kiełbasę.

„Ale pił nie będę, bo mam już wyżej uszu przygód z sądami i policją” — pomyślał.

Noc była nadzwyczaj spokojna. Od momentu, gdy gospodarstwo Stanisławskiego opuścili ostatni goście, Adamowicz mógłby na palcach jednej ręki zliczyć przejeżdżające drogą samochody, a i przechodniów było jak na lekarstwo. Wielki Piątek w Guciowie rządził się swoimi prawami, zbliżająca się Wielkanoc nie sprzyjała dalszym podróżom, poza tym wciąż obecne w umysłach miejscowych poczucie realnego zagrożenia ze strony tajemniczego napastnika sprawiało, że nikt bez wyraźnej potrzeby nie ruszał się z domu.

Bogdan już przyzwyczał się do nocnego czatowania. Mało tego — zaczął je nawet lubić. Mógł bez przeszkód zatopić się w rozmyśleniach i przynajmniej próbować układać sobie w głowie to, co tak bardzo go dręczyło. Samotnie spędzany czas był dobrym lekarstwem, pozwalał na nabranie dystansu do tragicznych zdarzeń sprzed kilkunastu dni, dzięki czemu momentami jawiły się one koszmarnym snem, z którego być może uda się kiedyś obudzić.

Dziś w ten pozorny spokój klinem wbiły się myśli krążące wokół nieznanego. Mimo że do północy zostały już niecałe trzy kwadranty, Adamowicz wciąż zastanawiał się, kim jest ten człowiek i czy dobrze zrobił, pozwalając mu bez przeszkód przejść obok swojego stanowiska.

Ponad dwie godziny minęły od chwili, gdy mężczyzna zniknął w ciemnościach, kuśtykając niezdarnie asfaltem w stronę Zwierzyńca. Bogdan nie zaczął go tylko przez wzgląd na strzelbę, którą kuternoga niósł na ramieniu; uznał, że obcy jest sprzymierzeńcem miejscowych, z jakichś powodów biorącym udział w obławie. Niemniej jednak twarz, tak dobrze przez moment widoczna w świetle latarni, zdawała się znajoma i nieodparcie kojarzyła się ze śmiercią Piotrka. Po dłuższym zastanowieniu myśli wróciły do białego opla i wreszcie Adamowicz wszystko sobie przypomniał.

Miał od zawsze dobrą pamięć do twarzy, jednak tym razem nie dziwił się, że aż tyle czasu zajęło mu skojarzenie nieznanego. Po raz pierwszy widział go przecież w sobotę dwunastego marca, a cały tamten dzień wciąż tkwił we

wspomnieniach Adamowicza jako zbiór nieokreślonych wrażeń, mieszaniny wściekłości i rozpaczy, białych plam i rozmytych obrazów. Ludzie przychodzili wtedy tłumnie na miejsce zbrodni, niektórzy płakali, składając kwiaty i znicze, niektórzy głośno wyrażali żądę odwetu, a jeszcze inni kręcili się przy drodze, kierowani zwykłą ludzką ciekawością.

Bogdan Adamowicz od momentu, gdy przyjechał na miejsce, po prostu stał bez ruchu. Wpatrywał się w połączone kałuże krwi, które wypłynęły z rozciętych krtani Piotrka i jego dziewczyny, nie mogąc pojąć tego, co stało się w nocy. Jego najdroższy chrześniak, ukochany bratanek, którego traktował jak syna, i z którym wiązał nadzieję na dalsze funkcjonowanie wypracowanego przez tyle lat majątku, został zamordowany? Dlaczego?! Cóż takiego zrobił, że trzeba go było skrzywdzić w tak bestialski sposób? Czy to w ogóle możliwe, że nigdy więcej nie wjedzie na podwórze rowerem, by wywołać uśmiech na twarzy stryja...? Z katatonicznego bezruchu pogrążony w pozostających bez odpowiedzi pytaniach Bogdan został wyrwany wtedy zaledwie kilka razy, między innymi w związku z zamieszczeniem spowodowanym zatrzymaniem przez policję białego opla. Zdołał zarejestrować jedynie, że wysiadł z niego niezajomy mężczyzna. Bogdan zapamiętał to, ponieważ zgromadzeni obok sąsiedzi głośno wyrażali niechęć wobec obcego, ktoś nawet stwierdził, że może to być morderca, bo „morderca przecież zawsze wraca na miejsce zbrodni”, ale tego, co się stało później Adamowicz już nie kojarzył. Zaczął dochodzić do siebie dopiero, gdy tuż przed zapadnięciem zmroku przyszła Janka i łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem pociągnęła go w stronę domu.

Drogą przejechał powoli policyjny radiowóz. Bogdan wstał, ale zaraz potem znów zajął wcześniejszą pozycję. Uznał, że na razie nie powinien robić nic nieprzemyślanego. Przecież nie zastanowił się jeszcze dokładnie, czy w tej sytuacji warto zgłosić mundurowym, że przed chwilą widział mężczyznę, kręcącego się tamtego dnia po okolicy. Skoro go wtedy sprawdzali, to raczej nie miał z tym wszystkim nic wspólnego...

— A jeśli miał, to ja dowiem się o tym jako pierwszy — przerwał rozmyślenia cichym szeptem, a zaraz potem dodał: — Poczekam tu sobie i jak będzie wracał, to się tak łatwo nie wywinie. Już moja w tym głowa.

Radiowóz zatrzymał się jakieś sto metrów dalej. Jeden z policjantów wysiadł i czerwoną latarką zatrzymał nadjeżdżający z naprzeciwka samochód. Adamowicz pokiwał głową.

— Tak, tak, wy robicie swoje, a ja będę robił to, co do mnie należy — mruknął z zadowoleniem i wyszczerzył zęby.

W jego oczach przez ułamek sekundy coś zaśniło, ale nawet baczny obserwator nie zdołałby ocenić, czy było to szaleństwo, czy też może odbity blask księżyca, świecącego tej nocy wyjątkowo jasno.

## 26 marca 2005 (Wielka Sobota)

Michał leżał na świeżo ułożonym sztaplu sosnowych calówek ze splecionymi za głową dłońmi i wpatrywał się w niebo. Czuł, że jest dość chłodno, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało, ponieważ skupiał się na wiszącej nad nim srebrzystej tarczy, spoglądając na nią to jednym, to drugim okiem; gdy patrzył oboma równocześnie, widział nad sobą dwa księżyce. Pamiętał, że opierał się braciom przez pierwsze dwie kolejki, ale zaraz potem odrobił stratę ze sporą nawiązką. W ciągu niecałej godziny pękła pierwsza flaszka. Zaraz potem zabrali się za kolejną, ale jej już nie dali rady.

— Chtórahozina? — spytał.

Ponieważ nie uzyskał odpowiedzi, podniósł rękę, przysunął nadgarstek do nosa i starał się odczytać czas na zegarku. Przez dłuższą chwilę marszczył w groteskowym skupieniu brwi, jednak ostatecznie poddał się, usiadł z wysiłkiem i ponowił pytanie.

— Twoja ostatnia. A co ja, zegarynka? — Siedzący obok Mirek mętnym wzrokiem obserwował poczynania starszego brata. Nie był aż tak pijany jak on, ale też porządnie kręciło mu się w głowie.

— Lisz się ze sowami szszeniaku... — Michał wstał i lekko się zatoczył, a potem rozejrzał wokół. — Dzie drugi szszeniak?

Odpowiedziało mu tylko obojętne wzruszenie ramion.

— Wstawaj młody, do domu jeziemy. — Kiwając się w przód i w tył wskazał samochód, a następnie podążył zygzakiem w jego kierunku.

Najmłodszy z Bisów także ruszył w stronę auta. Był na tyle przytomny, by wyjąć kluczyki ze stacyjki. Zanim to zrobił, sprawdził godzinę na desce rozdzielczej. Cyfrowy wyświetlacz pokazywał kwadrans po północy.

— O, w mordę... — Mirek był wyraźnie zaskoczony. Dałby głowę, że jest nie dalej niż wpół do dwunastej. — Faktycznie, późno się zrobiło. Idę poszukać Maćka i zaraz jedziemy.

Śpiącemu już na tylnym siedzeniu bratu było to najwyraźniej całkowicie obojętne.

O wpół do pierwszej swoim zwyczajem Adamowicz po raz drugi podczas nocnego czuwania nalał do kubka kawę z termosu. Pierwszy raz pił ją około dziesiątej, jeszcze w Wielki Piątek, więc była niesłodzona, przez co teraz, po kilku pierwszych łykach skrzywił się z niesmakiem. Żałował, że nie zabrał ze sobą kilku kostek cukru.

Policjanci wciąż monitorowali teren. Zmieniali wprawdzie co jakiś czas miejsce

postoj, ale właśnie przed momentem radiowóz po raz kolejny pojawił się w pobliżu. Wjechał na położony naprzeciw zagrody Stanisławskiego parking, zawrócił na nim i zatrzymał się na wąskiej, prostopadłej do jezdni drodze.

Ze względów oszczędnościowych latarnie we wsi zwykle wyłączano około dwudziestej trzeciej, jednak od nocy, podczas której zamordowano dwójkę młodych, paliły się one bezustannie od zmierzchu do świtu. Mimo tego, ponieważ wjazd na parking położony był prawie dokładnie pomiędzy dwiema z nich, granatowy policyjny opel astra stał się niemal zupełnie niewidoczny.

„Spryciarze — pomyślał Bogdan i z uznaniem pokiwał głową, uśmiechając się pod nosem. — Bisy mogą się zdziwić, jak będą wracać do Bliżowa”.

Zastanawiało go, dlaczego praca zajmowała im tyle czasu. Był przekonany, że jego pracownicy uporają się z robotą o wiele szybciej. Dokładnie w momencie, gdy doszedł do wniosku, że zapewne tym razem pojechali okreśną drogą przez Adamów, w oddali zobaczył zbliżające się od strony Bondyrza światła samochodu.

Bogdanowi doskwierało niemało związanych z wiekiem dolegliwości, ale wzrok miał jeszcze wyjątkowo dobry, więc już z odległości jakichś dwustu metrów rozpoznał markę. Stary pięciodrzwiowy volkswagen golf pędził przez Guciów ze zdecydowanie zbyt dużą prędkością; niewiele brakowało, a przemknąłby obok skrytego w półmroku radiowozu, jednak policjant w ostatniej chwili zdążył wybiec na skraj drogi i dać sygnał do zatrzymania pojazdu. Zaraz potem przeszywający pisk hamujących opon poniósł się echem po okolicy.

— Co tam chowasz?

Maciek drgnął i rozejrzał się mętnymi od wypitego alkoholu oczyma; jego prawa, ubrana w roboczą rękawicę dłoń wysunęła się zza pazuchy. Wreszcie zauważył najmłodszego z braci, który siedział na małej ławeczce usytuowanej parę metrów dalej pod ścianą budynku.

— Nic — mruknął w odpowiedzi. Był mniej pijany od Michała, ale, podobnie jak tamten przed chwilą, również chwiał się lekko na nogach.

— Widziałem przecież. — Mirek wstał leniwie, zrobił kilka kroków i stanął na szczycie schodków. Pomimo że we trzech wypili mniej więcej po tyle samo, on akurat wyglądał na co najwyżej lekko wstawionego. — Nie strugaj wariata. Mnie nie oszukasz.

Znajdowali się przy wejściu do piwnicy domu Adamowicza. Niewielkie drzwi, prowadzące do wnętrza wciąż były uchylone. Mirek zszedł na dół i stanął obok Maćka.

— Wyłamałeś je czy były otwarte? — spytał.

— Gównu cię to obcho... — Stłumiony stalowym uściskiem głos uwiązł mu w gardle. Nim zdążył się zorientować, Mirek sięgnął mu do wewnętrznej kieszeni bluzy, by po chwili wyciągnąć z niej plik banknotów.

— A, ty... złodziejaszku — uśmiechnął się, odczekał kilkanaście sekund

i dopiero wtedy zwolnił chwyt. — Ładnie to tak gospodarzowi pieniądze podbierać? I to chyba na dodatek przeznaczone na uzdrawianie jego żony... Coś chyba wspominał, że leczenie sporo kosztuje i przed południem jeździł do banku w Adamowie, żeby mu nie zabrakło na konowałów i leki. Też to słyszałeś, co? — Popatrzył na rozmasowywającego szyję, ciężko oddychającego Maćka, którego twarz w księżycowej poświacie wydawała się trupioblada. — Pytam się, otwarte były?

Odpowiedział skinieniem głowy, lecz na wszelki wypadek Mirek podszedł do drzwi i obejrzał je na tyle, na ile było to możliwe w tych warunkach, a następnie znów spojrzął na brata.

— Paluchy zostawiłeś w środku?

Tym razem Maciek pokręcił głową, a na potwierdzenie przeczącego gestu uniósł do góry obie ręce w rękawicach.

— Fachowcy nie zostawiają śladów na miejscu zbrodni — oświadczył poważnie.

— W takim razie spieprzaj do auta, fachowcu.

— Mirek, kurwa, pieniądze dawaj moje...

— Do samochodu, powiedziałem!

Średni z braci spuścił głowę i z rezygnacją zaczął wdrapywać się po schodach.

— Tylko za kółkiem nie siadaj, bo ja będę prowadził. Słyszysz?

— Mhm. — Maciek był już na górze i rozpoczął mozolny marsz w kierunku palącej się w oddali lampy sodowej oraz widocznego w jej świetle volkswagena. Po kilku krokach zatrzymał się.

— A co ty tu jeszcze będziesz...

Gdy odwrócił głowę, okazało się, że w pobliżu zięjącego pustką wejścia do piwnicy nie ma już nikogo.

— Nie ma szans, na pewno nic z tego nie będzie...

Serce Bogdana skoczyło w piersi, gdy usłyszał czyjś głos. Gwałtownie podniósł głowę, równocześnie sięgając po opartą o drzewo strzelbę. Odbezpieczył broń i wstał na równe nogi.

— Kto tu?! — Wyteżając wzrok, starał się wypatrzeć tego, kto niepostrzeżenie podkradł się tak blisko.

Noc była jasna i dość spokojna, ale coś zdawało się wisieć w powietrzu. Kiedy żyje się w zgodzie z przyrodą od kilkudziesięciu lat, zmysłem, którego nie mają miastowi, można wyczuć, że las się boi. Spróchniałe gałęzie bardziej niespokojnie ocierają się o pnie wiekowych drzew, jakby szukając w ich pobliżu schronienia, a ptaki, niezależnie od gatunku, alarmującymi głosami ostrzegają się wzajemnie przed nadchodzącym zagrożeniem. Tak zachowuje się las przed nadejściem wietrznej nawałnicy lub obfitych, mokrych śniegów, które swoim ciężarem są w stanie zrujnować nawet najpotężniejsze korony dębów. Niektórzy mówią nawet, że jeśli ktoś wybierze się nocą w leśne ostępy, w których planowane jest

w najbliższym czasie karczowanie większej ilości drzew, może wyczuć pod stopami lekkie drżenie. Tak samo jak zwierzę stojące przed bramą ubojni czuje, co je czeka i za nic w świecie nie daje się wprowadzić do środka, tak samo las, sobie tylko znanym sposobem, odgaduje swoją przyszłość.

Stojąc z wycelowaną przed siebie strzelbą, Adamowicz miał nadzieję, że tym razem las ostrzega przed innym niebezpieczeństwem. Był nawet skłonny uwierzyć, że usłyszane przed chwilą słowa wypowiedziało coś, czego nie można dotknąć ani zobaczyć, coś, co sprzyja ludziom żyjącym w tym miejscu niemal od urodzenia, coś, co rozumie, że czasem trzeba przecież wyciąć trochę drzew, aby na ich miejscu posadzić nowe.

Duszną od napięcia ciszę znów przerwał ten sam głos:

— Nigdy go nie zła...

Opuścił broń i przez dłuższy czas stał nieruchomo. Gdy zrozumiał, co się właśnie wydarzyło, tak naprawdę powinien się uspokoić, ale jednak miał wrażenie, że dopiero teraz jego serce zaczęło walić jak opętane. Sięgnął do kieszeni po papierosa i drżącymi dłońmi próbował go zapalić. Kiedy wreszcie mu się udało, zaciągnął się głęboko kilka razy.

Zanim usłyszał ten głos, jego myśli błądziły mniej więcej dwadzieścia kilometrów stąd, gdzieś w okolicy oddziału kardiologii zamojskiego szpitala. Jego żona dzień po pogrzebie Piotrka przeszła zawał serca, niemniej jednak lekarze wciąż nie potrafili jeszcze jednoznacznie określić stopnia zaawansowania choroby. Potrzebne były kolejne badania, nie wykluczano nawet konieczności wszczęcia by-passów.

Janka była dość skrytą osobą, niechętnie uzewnętrzniającą swoje emocje. Kilka lat temu zaczęły się u niej problemy z nadciśnieniem i nadwagą, jednak Bogdan nigdy by się nie spodziewał, że jej stan jest aż tak zły. Miała przecież tylko czterdzieści osiem lat, była więc młodsza od niego o czternaście i biorąc ją za żonę, Adamowicz miał nadzieję, że to ona będzie się nim opiekowała na starość, a nie odwrotnie. Kto wie, może teraz potrzebowała go jak nigdy dotąd, ale on uznał, że najlepsze, co może dla niej zrobić, to zająć się znalezieniem zabójcy Piotrka. Przecież ona też kochała go jak jedynego syna.

Zdarzało się jednak w czasie długich nocy, że Bogdan zaczynał mieć wątpliwości, czy przypadkiem to jego całe dyżurowanie nie jest wygodną wymówką. Były momenty, gdy sam sobie tłumaczył, że Piotrkowi już przecież nikt i nic życia nie zwróci, że ważniejsze jest to, co wciąż trwa i wtedy zaczynał się zwyczajnie bać. Nigdy w życiu się nikim tak naprawdę nie opiekował, a jak myślał, że teraz być może będzie się musiał tego nauczyć, to wpadał w panikę. Zdarzały się też chwile, gdy w jego głowie rodziła się obrzydliwa, również dla niego samego, nadzieja. Nadzieja, że może jednak nie będzie musiał...

W takich właśnie momentach postanawiał, że nie będzie się liczył z kosztami, że odda wszystkie pieniądze, by Janka jednak wróciła do zdrowia. Nie czuł się



dzięki temu lepiej, ale te materialne rozważania pozwalały mu być spokojniejszym. Uspokajało go myślenie o tym, komu za co i ile zapłaci, w jaki sposób będzie starał się o sanatorium, zastanawiał się, kto z sąsiadów może pomóc w ewentualnej rehabilitacji żony...

Tak było też przed chwilą.

Tyle tylko, że przed chwilą zrozumiał też coś co innego — naprawdę zaczynał wariować. Przecież tylko szaleńcy mamroczą coś do siebie, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Gdy ponownie siadał na swoim miejscu, znów miał ochotę to powiedzieć. Tym razem jednak ugryzł się w język.

Policyjny radiowóz stał ciągle w tym samym miejscu i wyglądało na to, że pozostanie tam do rana.

„Przynajmniej się wyśpią chłopaki” — pomyślał.

Na drzemkę podczas służby jednak miała przyjść jeszcze pora. Na horyzoncie pojawił się kolejny zmierzający od strony Bondyrza samochód.

Gdy Adamowicz wyteżył wzrok, okazało się, że tym razem powoli nadjeżdżają dwa auta. Błysnęła policyjna latarka i jasne audi zaczęło zwalniać. Kierowca jadącego z tyłu samochodu przekonał się, że policjant zainteresowany jest zatrzymaniem tylko jednego z nich, wrzucił więc lewy kierunkowskaz i łagodnym manewrem wyprzedził.

„Tym razem to na pewno oni” — stwierdził w myślach Bogdan i zgasił niedopałek papierosa, wciskając go głęboko w wilgotną ściółkę.

— Widzisz, ośle, co by było, gdybym cię posłuchał? — Mirek co chwila nerwowo spoglądał w tylne lusterko. — Mógłbym się z prawkiem pożegnać. Może by mnie nawet wsadzili...

— Ale co? — Maciek popatrzył na niego zdziwiony.

— Co? Ty ślepy jesteś, czy jaki? Pały zahaltowały tę audiczkę, co to mi ją kazałeś od kilometra wyprzedzać.

— Jakie, kurwa, pały? — Średni z braci odwrócił się gwałtownie. — O kuuurwa, ja pierdołę. Gazu!

— Zamknij się.

— Ale żeśmy mieli szczęście, Mirosław — wypowiedane słowa potwierdziło głośne westchnienia ulgi. — Nie jadą za nami czasem? Przecież ty ze dwa promile to lekko masz... Albo i ze trzy.

Kiedy Mirek uznał, że odjechali już na bezpieczną odległość, postanowił przyspieszyć. Leciwy golf niemrawo reagował na wciśnięty do oporu pedał, ale wreszcie silnik wszedł na wyższe obroty i licznik wskazał ponad dziewięćdziesiąt na godzinę. Kierowca starał się koncentrować na drodze, lecz pokusa ciągłego spoglądania we wsteczne lusterko była silniejsza. Zrobił to po raz kolejny, gdy z siedzenia obok dobiegł krzyk:

— Uważaj!!!

Natychmiast skierował wzrok na jezdnię i zobaczył ciemny, podłużny kształt, leżący w poprzek niej. Na hamowanie było już za późno, więc tylko odruchowo odbił kierownicą w lewo, omijając przeszkodę o centymetry.

— Co to było, do cholery?!

Maciek oglądał się, ale za tylną szybą widział tylko nieprzeniknioną ciemność.

— Kurwa, nie jestem pewien, ale tam chyba ktoś leżał...

Samochód zjechał na pobocze.

— Co robisz, dlaczego się zatrzymujemy?

— A jak myślisz? — Mirek zgasił silnik. — Trzeba to sprawdzić.

— Zdurniałeś? Chcesz skończyć jak młody Adamowicz? Pierdołę, ja nie wysiadam! To może być jakaś zasadzka...

— Ktoś musiałby być głupi, żeby w ciemnych łąkach kłaść się nocą na drodze. Chodź, we dwóch będzie bezpieczniej.

Maciek pokręcił głową.

— Jak go ktoś zaraz przejedzie, to będzie na nas — dodał Mirek, otwierając drzwi. — Masz ochotę na przepytywanekę prowadzoną przez smutnych panów w granatowych czapkach?

Wydawało się, że ten argument zaczyna powoli docierać do adresata; średni z braci zaczął niespokojnie kręcić się w fotelu.

— Może chociaż zbudzimy Michała? We trzech byłoby... no wiesz, tego... jakoś...

— Jak zarzuciło autem w bok, przeleciał na tylnym siedzeniu jak worek kartofli, przypieprzył w prawe drzwi i nawet jednego oka nie podniósł. Chcesz go budzić? Proszę bardzo, ale wtedy może nas tutaj ranek zastać.

— No dooobra — Maciek zgodził się wreszcie, nie kryjąc jednak braku entuzjazmu. — Ale przynajmniej cofnij trochę, żebyśmy mieli bliżej.

Minutę później stali nad oświetlonym skąpo przez tylne światła golfa i księżycową poświatę mężczyzną, mniej więcej koło czterdziestki, który nie dawał znaku życia. Mirek przykucnął obok niego, nachylił się, zamarł na chwilę i stwierdził:

— Oddycha chyba.

— Czyli żyje, pijaczyna, co nie?

Najmłodszemu z Bisów nie chciało się nawet komentować słów brata, który pomimo swych trzydziestu czterech lat zachowywał się czasem jak dziecko. Zamiast tego zakomenderował:

— Do rowu z nim i spieprzamy.

Sam czuł się niepewnie w tej sytuacji. Zasłyszane ostatnio opowieści miejscowych wywoływały teraz nieprzyjemne przeczucie, że za chwilę z ciemności wyłoni się olbrzymia sylwetka tajemniczego napastnika. Drzewa szeleściły złowrogo, potęgując tylko wrażenie niepokoju.

Zatrzymali się dokładnie naprzeciw drogi prowadzącej do Słonecznej Doliny

i Mirek co chwila spoglądał w stronę piaszczystego traktu, jakby podskórnie przeczuwając, że niebezpieczeństwo może przyjść właśnie stamtąd. Przebiegł go dreszcz, gdy delikatny wiatr przyniósł tuman wilgotnej mgły; w jej oparach czuć było wyraźnie duszny fetor rozkładu zmieszany z ledwo wyczuwalną wonią spalenizny.

— Zaraz, zaraz... Nie tak szybko... — Maćka natomiast strach zdążył już najwyraźniej opuścić. — Zanim „do rowu z nim”, to przydałoby się skroić frajera. Nie wygląda mi na biedaka, popatrz no tylko na te miastowe ubranka...

Przykucnął i zaczął przetrząsać kieszenie mężczyzny, po chwili jednak cmoknął z rozczarowania.

— Goły i wesoły, psiakrew!

Mirek przestał lustrować teren i spojrzał na brata.

— Nic nie ma? Portfel, jakaś kasa, zegarek...?

— Zegarek gówniany, szkoda nawet brać, a poza tym — czyściutki. Do rowu dziada — mówiąc to, starszy z braci złapał nieznajomego za nadgarstki. — Życie żeśmy mu uratowali, a on nie ma nawet czym zapłacić, łajza jedna. Dla biedaka nocleg w trawie pod chmurką będzie odpowiedni. Bierz go, Miruś, z drugiej strony, pakujemy go w krzaki i jedziem, bo zimno.

Mirek pochylił się, ale zaraz potem znów wyprostował.

— Czekał... Coś ty powiedział?

— Ale że niby co?

— Że uratowaliśmy mu życie?

— No bo przecież...

— Maciek, jesteś wielki! Poczekał tu, a ja pójdę do auta i zrobię trochę miejsca na tylnym siedzeniu, koło głowy naszego szlachetnego rodu.

— Ale...

— Żadne ale. Zobaczysz, jeszcze będziesz mi dziękował. — Uśmiechnął się zadowolony z pomysłu, który wpadł mu właśnie do głowy. — Zresztą nie tylko ty...

Przesuwając Michała na tylnym siedzeniu, ciągle szczyrzył zęby. Nie potrafił zachować powagi, wyobrażając sobie minę najstarszego z braci, gdy rano we własnym wyrku zobaczy śpiącego nieznajomego faceta.

# Rozdział pierwszy

## 1.

Św idrujący dźwięk z siłą karabinowego pocisku bezlitośnie przeszywał mózg na wskroś, a świadomość wracała z bardzo dalekiej podróży. Próbowałem podnieść głowę, ale udało mi się to dopiero za którymś z kolei razem i — jak się okazało — nie był to wcale najlepszy pomysł. W zwężone podczas snu źrenice wdarł się strumień światła, który tylko wzmógł pulsujący ból głowy. O wiele lepiej było mi z zamkniętymi oczyma.

„Strzeliłem sobie w łeb i mimo tego ciągle żyję”.

Chciałem to zdanie wypowiedzieć na głos, lecz zdrętwiały język stanowczo odmówił współpracy i z gardła wydobył się jedynie charkot przypominający skrzypienie nienaoliwionych zawiasów. Gdy spróbowałem się podnieść, do repertuaru wydawanych przeze mnie odgłosów dołączyłem jeszcze rozpaczliwe, acz efektowne jęknienie. W tym samym momencie przenikliwy pisk, który mnie obudził, nagle ustał.

Z wysiłkiem przetoczyłem się na wznak i wreszcie, po dłuższej chwili zapasów z własnym tułowiem zwieńczonym ołowianą kulą, udało mi się usiąść. Świat zawirował, ale nie na tyle, by zniweczyć moje dotychczasowe zmagania. Podparłem się na jednej ręce, a drugą natychmiast zacząłem ostrożnie dotykać głowy. Zaskoczyło mnie, że jednak jest cała.

Kiedy oddech wrócił nieco do normy, a źrenice przywykły do otaczającej jasności, nie wykonując przesadnie gwałtownych ruchów, zlustrowałem otoczenie.

Wszystko wskazywało na to, że jestem w miejscu, w którym świeci słońce.

Siedziałem na niewielkim wzniesieniu, obok ledwo widocznej, najpewniej mało uczęszczanej ścieżki. W oddali roztaczał się widok na położone w szerokiej dolinie zabudowania oraz usytuowane na horyzoncie wzgórza, które nieśmiało fosforyzowały świeżą zielenią. Powyżej leniwie przesuwwały się puchate obłoki, kontrastujące z czystym, lazurowym niebem. Od strony wsi dobiegło szczekanie psa, a po chwili dołączył do niego znajomy piskliwy odgłos, który okazał się świergotem ukrytego w pobliskich krzewach ptaka. Te zwyczajne dźwięki brzmiały w moich uszach jak wspomnienie prawie już całkowicie zapomnianego, lepszego świata.

Najpierw ostrożnie, a później najgłębiej jak tylko potrafiłem, zacząłem wdychać podmuchy wiosennego, życiodajnego wiatru, jakże odmiennego od zatrutego,

zgniłego i martwego powietrza, którym otoczony byłem przez ostatnie dwa lata. Najwyraźniej niedawno musiało tutaj padać, ponieważ miałem całkowicie przemoknięte ubranie. Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Ciepłe, złociste promienie ogrzewały moje plecy, a ja chciałem, aby ta chwila trwała jak najdłużej.

— Wróciłem do świata żywych — wyszeptalem wreszcie, starając się zdusić wzruszenie, które ścisnęło mi przełyk. — Wróciłem do świata żywych i wszystko jedno, jakim cudem zdołałem tego dokonać...

Spojrzałem na zegarek. Szkiełko było trochę zaparowane, ale udało mi się odczytać godzinę. Było kilka minut po trzeciej.

Po chwili namysłu wiedziałem już, skąd ten ból głowy i podłe samopoczucie tuż po przebudzeniu — wypity na pusty żołądek alkohol jeszcze w Starzyźnie zrobił swoje. Na samą myśl o tym przeklętym miejscu zrobiło mi się słabo, jednak potrzeba poznania odpowiedzi na jedno, jedyne pytanie brała górę nad obawami. Nie potrafiłbym tak po prostu wstać i pójść w kierunku Guciowa, który miałem przed sobą.

Tylko jeden, ostatni rzut oka, tak dla pewności, a potem — wyjechać stąd i nie powrócić nigdy więcej.

Przytępiona pomrocnością jasną pamięć sięgała tylko do momentu, gdy usłyszałem bicie dzwonów, dochodząc do czereśni, przy której pochowana była kiedyś Paulina Podolak. Wyglądało więc na to, że z życiorysu wypadły mi ponad trzy godziny. Zapewne urwał mi się film, jakiś czas też udało mi się spędzić w objęciach Morfeusza. Godziłem się z faktem, że pewnie nie dowiem się nigdy, w jaki sposób zdołałem się STAMTĄD wydostać, jednak nie było to istotne. Chciałem tylko popatrzeć i na własne oczy przekonać się, że Starzyzna zniknęła na zawsze z mojego świata. Z mojego prawdziwego świata.

Wstałem. Do bólu i zawrotów głowy dołączyło nieprzyjemne pulsowanie uszkodzonego przed laty kolana. Szczyt wzniesienia, który jeszcze przed momentem miałem za plecami, skutecznie zasłaniał Słoneczną Dolinę, więc bym mógł mieć ostateczną pewność, konieczne okazało się przejście kilkudziesięciu metrów. Pierwsze kroki były najtrudniejsze nie tylko ze względu na dolegliwości, ale także z uwagi na obawę, czy rzeczywiście widok za wzgórzem będzie zgodny z moimi nadziejami.

\*

Kiedy później w czasie bezsennych nocy wspominałem te kilkanaście minut po ocknięciu się w nowym-starym świecie i starałem się porównać je do czegokolwiek, najczęściej przychodził mi do głowy skok na bungee. Ta ekstremalna zabawa nigdy nie skusiła mnie na tyle, bym chociażby rozważył jej spróbowanie (parałem się za to z powodzeniem kilkoma porównywalnie ryzykownymi igraszkami, jak chociażby zataczanie się po pijaku pod koła rozpędzonego auta), niemniej jednak chyba każdy przynajmniej po części potrafi

sobie wyobrazić emocje, które towarzyszą skaczącemu.

Nie znalazłem się na zawieszonyj wysoko nad ziemią platformie z własnej woli, nie pamiętałem też początku spadania — czułem się raczej, jakby ktoś mnie popchnął, jednak kiedy szedłem do załomu wzniesienia, miałem przeświadczenie, że za chwilę okaże się, czy lina jest na tyle mocna, by mnie utrzymać. Znajomy kształt czereśni powiększał się, a każdy krok przybliżał mnie do poznania prawdy.

Wreszcie stanąłem na szczycie. To miało być tylko jedno spojrzenie, lecz ja przez dobrych kilka minut wpatrywałem się w tonącą w słonecznym blasku przestrzeń.

Jedyną budowlą, jaką udało mi się dostrzec, była myśliwska ambona usytuowana niedaleko wylotu doliny. Żadnych domów, budynków gospodarczych, cmentarza i — przede wszystkim — żadnego przekłętego kościoła wypełnionego cuchnącymi spalenizną truchłami byłych parafian. Zamiast tego, aż nazbyt dobrze znanego, widoku poniżej rozciągała się budząca się do życia po zimowym śnie Słoneczna Dolina. Wyglądała prawie dokładnie tak jak w piątek, jedenastego marca dwa tysiące piątego roku, kiedy trafiłem do niej po raz pierwszy, z tym że teraz było o wiele bardziej zielono. W tym roku Niedziela Wielkanocna wypadła później o prawie miesiąc. Wszystko wskazywało na to, że niebezpieczeństwo minęło, więc chociaż oddech wciąż był nierówny, to serce łomotało euforycznie, a od środka rozpierała mnie trudna do wysłowienia radość z tego, że wszystko ostatecznie dobrze się skończyło. Lina skoczka bungee spisała się na medal i teraz pozostało już tylko czekać chwili, gdy wrócę szczęśliwie do domu, a poczucie zagrożenia pozostanie co najwyżej przebrzmiałą, pełną zgrzytliwej kakofonii melodią przeszłości.

Może tak właśnie by się to wszystko zakończyło, gdybym wtedy obrócił się na pięcie i pokuśtykał jak najszybciej w stronę Guciowa. Mój wzrok spoczął jednak na białych kartkach rozrzuconych w nieładzie tuż obok pnia czereśni, w miejscu, w którym kilka godzin wcześniej miałem zamiar dokonać żywota, strzelając sobie w podniebienie z karabinu należącego do Józka Kowalika. Domyślałem się, że są to moje zapiski dokumentujące ostatnie chwile w Starzyźnie i postanowiłem zabrać je na pamiątkę. Nie miałem pojęcia, że w tej właśnie chwili nadwerężona lina zaczyna niebezpiecznie trzeszczeć.

Sporządzone w pijackim widzie ostatnie fragmenty notatek były trudne do rozszyfrowania, nie tylko ze względu na chwiejne pismo, ale też przez padający wcześniej deszcz, który rozmył spore fragmenty rękopisu. Najmniej czytelne były dwie ostatnie kartki, rozpoczynające się trójką i pewnie nikomu poza mną nie udałoby się ich odczytać. Usiadłem obok drzewa, by zaraz potem pochylić się nad przemoczonymi kawałkami papieru.

Ze składanych mozolnie liter zaczął wyłaniać się coraz jaśniejszy obraz tego, co się stało. Najważniejszy dla mnie był fragment, który można byłoby nazwać

trzecim i ostatnim podrozdziałem, ponieważ z opisanych w nim faktów pamiętałem wyłącznie bicie dzwonów. W innych okolicznościach zapewne dziwiłbym się, że tak sromotnie przegrałem zmagania z butelką wódki, ale przymusowa, trwająca dwa lata jarska dieta zrobiła swoje. Schudłem przez ten czas dość sporo, ubrania wisały na mnie, jakbym pożyczył je od starszego brata, więc alkohol zadziałał o wiele mocniej, niż stałoby się to przed przymusowym turnusem wczasowym w Starzyźnie-Zdroju.

Z ciekawością małego dziecka przeczytałem, że to właśnie drzewo czereśni stało na granicy dwóch przestrzeni i o tym, jak głos jakiegoś krukowatego ptaka odwlekał moment pociągnięcia za spust. Ukrywające się zapewne gdzieś w pobliskich zaroślach ptaszysko z pewnością nie miało pojęcia, że przez przypadek uratowało jedno, może nie najbardziej efektowne i udane, ale — było nie było — życie.

Uśmiechnąłem się, kończąc lekturę.

— Pora się zbierać... — ostatnie słowa postanowiłem odczytać na głos. — Święta racja, panie Witku, pora się zbierać — dodałem z myślą o tym, że na szczęście obecnie planuję wycieczkę w zupełnie inne rejony. — A to się Janek Stanisławski zdziwi na mój widok.

Dobry nastrój przez chwilę zmąciła troska o to, co stało się z Rafałem, lecz zaraz potem założyłem optymistycznie, że pobyt w Starzyźnie zahartował go na tyle, że jedno uderzenie, nawet kogoś o posturze Marcina Kowalika, nie powinno było wyrządzić mu jakiejś większej krzywdy.

Najbardziej jednak nie mogłem się doczekać spotkania z Adamem.

„Ten to dopiero zrobi oczy” — pomyślałem, a następnie, znów się uśmiechając, złożyłem kartki we czworo i wsunąłem je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

\*

Pierwsze, jeszcze niezbyt mocne pęknięcie liny odczułem w momencie, gdy przygotowywałem się do podźwignięcia na nogi.

Spojrzałem na niewidzialną już teraz granicę, by upewnić się, czy tam, gdzie razem z Jaśkiem i pozostałymi szukaliśmy zwłok Pauliny, po naszym kopaniu faktycznie nie został żaden ślad. Nie było widać żadnej różnicy — trawa po tej i po tamtej stronie wyglądała dokładnie tak samo. W pewnej chwili zaczęło kiełkować we mnie pytanie, co stałoby się, gdybym trzy godziny temu z hakiem usiadł o kilka kroków wcześniej, albo gdybym wrócił TAM ze względu na mżący nieprzyjemnie deszcz. Wolałem sobie nie odpowiadać. W końcu — jakie to teraz miało znaczenie?

Mniej więcej trzy metry na lewo od pnia drzewa zobaczyłem niewielki kamień i kiedy próbowałem zabić niespokojne myśli wątpliwościami, czy widziałem go także podczas pracy ze szpadlem w ręce, przed oczyma stanął mi zdecydowanie zbyt wyraźny obraz — coś pomiędzy *déjà vu* a sennym wspomnieniem tuż po przebudzeniu. Przymknąłem oczy i najpierw się uśmiechnąłem, rozpoznając

niewielką sylwetkę, lecz gdy udało mi się wniknąć nieco głębiej w pokłady mojej świadomości, wstałem na tyle gwałtownie, na ile pozwoliło moje kalectwo.

— Karabin! — prawie krzyknąłem. — Gdzie jest karabin?! Przecież musi tu gdzieś być... — Tak naprawdę, mówiłem głośno tylko po to, by skierować myśli na inne tory.

Kilkuminutowe poszukiwania nie dały rezultatu, więc wypadało uznać, że po prostu odrzuciłem broń przed siebie i w tym świecie nigdy już nie uda mi się jej znaleźć. To najprostsze wytłumaczenie nie uspokoiło mnie jednak na tyle, bym mógł tak po prostu odejść. Wciąż majaczący pod powiekami obraz sugerował, że wydarzyło się tutaj coś, o czym tak naprawdę wolałbym nie wiedzieć, jednak ponieważ w ostatnim czasie nauczyłem się już, że niepewność czasem bywa gorsza od najokrutniejszej nawet prawdy, nie potrafiłem tak tego zostawić.

Podczas dwóch lat mojego pobytu w Starzyźnie Krzyś śnił mi się często i za każdym razem podnosiło mnie to na duchu, pomagało przetrwać nawet najtrudniejsze chwile. Wielokrotnie powtarzał, że jest ze mnie dumny, często ostrzegał przed niebezpieczeństwami.

Ostatni sen był całkowicie inny.

Mój synek siedział na położonym nieopodal kamieniu i, obejmując rączkami złożone kolana, wpatrywał się we mnie rozszerzonymi z przerażenia oczyma. Drżące z emocji usta miał wykrzywione w podkówkę, a po policzkach spływały mu łzy wielkie jak grochy. Tym razem nie odezwał się ani słowem. W pewnej chwili wstał, odwrócił się do mnie plecami i powoli ruszył w kierunku majaczącej w oddali kościelnej wieży. Gdy zawołałem jego imię, wyciągając do niego ramiona, przystanął i znów na mnie popatrzył. Malujący się dotąd w jego spojrzeniu strach został zastąpiony mieszaniną pogardy, wyrzutu i żalu. Chciałem podążyć za nim, jednak byłem zbyt pijany, by się podnieść, on zaś, pozostając całkowicie obojętnym na moje wołania, powoli zaczął niknąć w gęstniejącej mgle.

Tylko czy to na pewno był sen?

Przekonywałem samego siebie, że z całą pewnością tak, że to niemożliwe, aby tym razem Krzyś w sobie tylko znany sposób wniknął w realny świat, argumentowałem, że przecież do tej pory nic takiego się nie zdarzyło, jednak... obraz był teraz tak wyraźny, jak nigdy dotąd.

Cudowny powrót do świata żywych przestawał mnie cieszyć. Jakby coś jeszcze nie do końca pozwalającego się ogarnąć zaległo cieniem na całej sytuacji, a ja, wciąż uparcie krążąc w poszukiwaniu karabinu, co rusz uświadamiałem sobie, że prawdopodobnie nigdy nie poznam ostatecznego wyjaśnienia. Zacząłem nawet zastanawiać się, czy nie ma przypadkiem jakiejś możliwości powrotu.

— Oszalałeś — stwierdziłem wreszcie, przystając w miejscu. — Naprawdę chciałbyś tam wrócić z powodu jednego niepokojącego sennego majaka?

Był ósmy kwietnia, słońce znajdowało się wciąż wysoko, więc do zapadnięcia



zmroku miałem jeszcze dobrych parę godzin. Nie chciałem spędzić reszty dnia na poszukiwaniu bezużytecznej już dla mnie broni, ale miejsce przy czereśni oddziaływało jak magnes. Kręciłem się w pobliżu drzewa w oczekiwaniu, że wreszcie wydarzy się coś, co pozwoli na zrozumienie czarnych przeczuć, coś, co pomoże zrozumieć kiełkujące gdzieś wewnątrz wyrzuty sumienia związane z czynem, którego wtedy absolutnie nie byłem w stanie sobie przypomnieć.

I tak się właśnie stało, tyle że nieco później.

Wtedy byłem jeszcze cieszącym się z powrotu, trochę zaniepokojonym nagłym wspomnieniem zbyt realnego snu i szukającym nie wiadomo czego mężczyzną po pięćdziesiątce i po przejściach.

Taki właśnie byłem, dopóki lina nie strzeliła z hukiem, dając sygnał do rozpoczęcia przeze mnie niekontrolowanego lotu głową w dół.

\*

Kilka minut po siedemnastej udało mi się wreszcie przekonać samego siebie, że poszukiwania kompletnie mijają się z celem. Wszystko było oczywiste — karabin został po TAMTEJ stronie, nie uda mi się już niczego nowego przypomnieć, a świat żywych czeka. Świat żywych, w którym z pewnością można znaleźć coś chłodnego do picia... Raz jeszcze spojrzałem w stronę Słonecznej Doliny, dotknąłem na pożegnanie pnia czereśni, będąc przekonanym, że nie zobaczę go już nigdy więcej i, nie tracąc więcej czasu, podążyłem w stronę wijącej się nieopodal ścieżki.

Mój wygląd pozostawiał wiele do życzenia i nie chodziło tylko o skacowaną, zapewne bladą jak papier twarz oraz podkrążone, czerwone od przepicia oczy. Mocno sfatygowane przez dwa lata noszenia ubranie, nie dość, że było poprzecierane w wielu miejscach, to jeszcze oblepione na kolanach, łokciach i siedzeniu błotem. Podejrzywałem, że będę dość mocno kontrastował z wystrojonymi odświętnie na Wielką Niedzielę mieszkańcami Guciowa, jednak w moim położeniu trudno było o mniej istotny powód do zmartwień. Poza tym, mój wygląd kloszarda miał lada moment zniknąć — pamiętałem o pozostawionych w zagrodzie agroturystycznej u Stanisławskiego ubraniach na zmianę, mając nadzieję, że przez ten czas nie wymienił zamków; klucz do drzwi zewnętrznych i pokoju wciąż tkwił w zapinanej na suwak małej kieszonce kurtki. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że moja torba podróżna na pewno została przeniesiona w międzyczasie w inne miejsce. Nie zastanawiałem się też nad ewentualną reakcją Janka, gdy mnie znów zobaczy w Guciowie. Nawet dziecko mogłoby domyślić się, że Stanisławski nie przywita mnie z otwartymi ramionami, zwłaszcza ze względu na pożyczoną mi strzelbę, którą miałem zwrócić ponad dwa lata wcześniej. Cóż, jeśli ktoś by pokusił się o stwierdzenie, że mój umysł tamtego popołudnia pracował na najwyższych obrotach, to minąłby się z rzeczywistością przynajmniej o dobrych kilka lat świetlnych.

Niestety, pomimo poważnych problemów z logicznym myśleniem, przytrafił mi

się jeden przebłysk świadomości. Stałem już na ścieżce prowadzącej do Guciowa, gdy pojawiła się wątpliwość, która znów powiodła mnie w pobliże dotychczasowych poszukiwań. Prowadziłem je do tej pory tylko po tej stronie drzewa, zapominając, że przecież karabin może znajdować się po przeciwnej, o ile odrzuciłbym go już po zniknięciu TAMTEJ, starzyźnianej przestrzeni.

Znalazłem go niemal natychmiast. Leżał jakieś trzy metry od miejsca, gdzie czytałem swoje notatki. Był niewidoczny na pierwszy rzut oka, ponieważ idealnie wpasował się w obniżenie za przecinającą poprzecznie wzgórze miedzą. Pochyliłem się i chwyciłem broń, uważając, by przez przypadek nie trącić cyngla; zakładałem, że w moim stanie sprzed kilku godzin nie byłbym na tyle rozsądny, by przed odrzuceniem karabinu zabezpieczyć go przed niekontrolowanym wystrzałem.

Należało gdzieś schować broń. Ruszyłem ścieżką w stronę Guciowa, bacząc, czy ktoś nie idzie z naprzeciwka, a jednocześnie rozglądając się za bezpieczną kryjówką. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów, mniej więcej w miejscu, w którym się ocknąłem, na lewo od ścieżki zauważyłem kępę gęstych krzaków. Wydała się idealna do realizacji planu, więc zagłębiłem się w zarośla i zaraz potem zdołałem wypatrzyć niewielki kopczyk opadłych w zeszłym roku liści.

Miałem właśnie wsunąć w niego karabin, gdy coś błysnęło tuż obok. Pochyliłem się i ujrzałem odbijające słoneczne światło ostrze. Zaraz potem obracałem w dłoni masywny myśliwski nóż.

— Masz, chłopie, dzisiaj szczęście jak cholera — mruknąłem, wsuwając go ostrożnie za pas. Był tak ostry, że nieostrożny ruch mógłby nie tylko z łatwością rozciąć spodnie, ale też głęboko i niebezpiecznie mnie skaleczyć. Ostrze połyskiwało srebrzyście, a na jego powierzchni nie było nawet najmniejszego śladu rdzy. Zdawało się, że nóż nie przeleżał tu całej zimy, a został przez kogoś pozostawiony całkiem niedawno.

— Dziwna sprawa — orzekłem, po czym zabrałem się za wykonanie swojego zadania.

Przyszło mi jeszcze na myśl, że wcześniej dla bezpieczeństwa warto wyjąć nabój z Józkowego karabinu.

\*

Czasami jeden na pozór błahy szczegół, jeden moment, przebłysk świadomości przywołuje w umyśle cały ciąg zdarzeń; coś, co do tej pory skrywało się za szczelną kotarą niepamięci, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powraca, jawiąc się z niezwykłą wyrazistością, ukazując minione zdarzenia z mocą, której jeszcze przed sekundą w żadnej mierze nie można się było spodziewać. Być może właśnie w ten sposób działa gwałtowna retrospekcja zapomnianych dawno sytuacji i miejsc u osób na chwilę przed śmiercią, być może właśnie zagrożenie życia, świadomość tego, co nieuchronne, wyzwala w umyśle ponadprzeciętne, niepoznane dotąd zdolności...

W momencie, gdy okazało się, że komora naboju karabinu jest pusta, nie czułem obaw o własne życie, poczułem natomiast gwałtowne szarpnięcie w trzewiach, a później coś w rodzaju potężnego ciosu w splot słoneczny, który na długą chwilę pozbawił mnie oddechu. Wtedy to właśnie nastąpiło ostateczne zerwanie się liny. Skoczek bungee, Witold Uchmann uświadomił sobie, że euforyczna radość po przebudzeniu w wymarzonym świecie była niczym innym, jak okrutną igraszką bezwzględного losu.

## 2.

Powoli i metodycznie zasypałem broń na wpół zgniłymi liśćmi, po czym zabrałem się za łamanie zieleniejących pędów jakichś otaczających mnie kolczastych krzewów. Rzucałem je na kopczyk, rejestrując obojętnie, że coraz bardziej poranione dłonie zaczynają intensywnie krwawić. Zupełnie nie czułem wtedy bólu; najwyraźniej jakaś zapadka w układzie nerwowym odcięła dopływ bodźców zewnętrznych.

Kiedy prowizoryczna kryjówka sięgała mi już powyżej kolan, uznałem, że wystarczy. Wtedy też przyszło mi na myśl, że łatwiej byłoby, gdybym użył znalezionej noża. Dotarło też do mnie jak przez mgłę, że taka sterta szybciej zwróciłaby czyjąś uwagę niż niewielka, ledwie widoczna brunatna kupka liści, ale w tamtej chwili jakoś skrytki nie była już dla mnie ważna.

Bardziej zajmowało mnie wspomnienie przybliżającej się od strony starzyńnianych zabudowań postaci mężczyzny.

Przeczuwając, że i tak nikogo nie znajdę, wróciłem raz jeszcze do czereśni i uważnie zlustrowałem miejsce, w którym — jak mi się zdawało — upadł. Absolutnie nic. Żadnych śladów krwi, żadnej wygniecionej trawy. Teraz było już jasne, że wystrzelony przeze mnie pocisk przed osiągnięciem celu przeszył niewidzialną barierę oddzielającą dwa równoległe światy.

Trudno mi było określić, czy kiedy naciskałem cyngiel, mój umysł dziwnym trafem pracował zadziwiająco logicznie, czy też był kompletnie zamroczony alkoholem. Chciałem wierzyć, że to pierwsze, lecz niewyraźne, tłące się z tyłu głowy, nieznośne jak uporczywy ból zęba przecucie podpowiadało zupełnie coś innego.

Patrząc w miarę trzeźwo na całą sytuację, mógłbym próbować się usprawiedliwić, bo kogóż jak nie Dobrowolskiego mógłbym się wtedy spodziewać? Kto, jeśli nie przeklęty jednoręki ksiądz, od którego zaczęły się wszystkie nieszczęścia zesłane na żyjących wcześniej spokojnie ludzi, mógł wtedy zmierzać do mnie od strony Starzyzny? Cóż z tego, że przybrał inną postać? To mogła być jedna z tych jego dobrze znanych, mocno zgranych

sztuczek. W inny sposób przecież nie zdołałby się do mnie zbliżyć...

— Miałeś pecha, że byłem zalany — szepnąłem do niewidzialnego Dobrowolskiego. — Na trzeźwo na pewno nie strzeliłbym do przyjaciela, nawet gdybym był przekonany, że to właśnie ty ukryłeś się w jego sylwetce. Ryzyko przecież zawsze istnieje...

A co, jeśli Adam rzeczywiście trafił do Starzyzny? Może w nocy z piątku na sobotę zdecydował się ruszyć w stronę bijących o północy dzwonów, w jakiś niewytłumaczalny sposób rozminął się z pięcioma podążającymi w przeciwnym kierunku osobami i wniknął w przeklęty wymiar objętej klątwą wioski?

— Spotkałbym go — przekonywałem samego siebie. — Długo szukałem Dobrowolskiego, a do Starzyzny nie jest przecież trudno trafić...

Ale jeśli mój przyjaciel, mieszcuch z krwi i kości, znalazł się nocą w przepastnym lesie, to w takiej sytuacji mógł zgubić się w jednej chwili i błądzić przez kilkadziesiąt godzin. Może właśnie tuż przed południem odnalazł zabudowania, zobaczył mnie, jak zmierzam w stronę czereśni i podążył za mną?

— Wołałby...

Mógłbym go przecież nie usłyszeć. Najpierw był daleko, a później jego głos zagłuszyły bijące dzwony...

Huśtawka emocjonalna nie pozwalała mi złapać głębszego oddechu. Optymistyczne scenariusze to brały górę nad czarnymi myślami, to znowu zatapiały się w odmętach paralizującego strachu; strachu, że ten niewyobrażalny i trudny do ogarnięcia dramat wydarzył się naprawdę.

Jednak niepewność była w tym wypadku i tak lepsza, niż pierwsze obrazy, które przywołała powracająca nagle pamięć. Poza tym, chwila rozterek pomogła mi w jednym — przypomniałem sobie, co wtedy krzyknąłem, a z pewnością moje słowa byłyby zupełnie inne, gdybym choć w małym stopniu dopuścił do swej pijanej mózgownicy myśl, że naprawdę mam do czynienia z przyjacielem, a nie ze zniechęconym potworem w ludzkiej skórze.

Zobaczyłem go wtedy, gdy szybkim krokiem zmierzał w moim kierunku. Właściwie prawie biegł. Mój zmętniały wzrok był na tyle jeszcze sprawny, bym poznał go w jednej chwili i — pomimo że dzieliło nas jakieś dziesięć metrów — bym mógł dość wyraźnie widzieć wyraz jego twarzy. Najpierw się uśmiechał, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć lub krzyknąć, ale wszystko się zmieniło, gdy wycelowałem w niego lufę karabinu. Uśmiech zamarł w ułamku sekundy, a w oczach zagościło bezbrzeżne zdziwienie, które niemal natychmiast zastąpione zostało strachem.

Wciąż chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, a jeśli nawet, to nic nie dotarło do moich uszu.

— Gnij w piekle, skurwysynu! — krzyknąłem, naciskając cyngiel.

Strzał był niedbały, oddany jakby od niechcenia. Pamiętam, że gdy broń szarpnęła nadgarstkiem na wysokości biodra, poczułem się jak John Wayne.

Dobrowolski skryty pod postacią Adama Nawrota zachwiał się nieznacznie, ale nie upadł, co, biorąc pod uwagę moje umiejętności, wcale mnie nie zdziwiło. Postąpił za to dwa kroki do przodu z wyrazem bezgranicznego zdumienia na wykrzywionej bólem twarzy. Dopiero wtedy zobaczyłem, jak jego jasne dżinsy na lewym udzie gwałtownie zabarwiają się krwią wypływającą spod dolnej krawędzi sportowej, przeciwdeszczowej kurtki.

Byłem przekonany, że tylko go drasnąłem, próbowałem się podnieść, by stanąć do walki, a ponieważ nic z tego nie wyszło, chwyciłem karabin oburącz, by bronić się za jego pomocą. Przeklinałem się właśnie w duchu za to, że wziąłem ze sobą tylko jeden nabój, gdy Dobrowolski osunął się na kolana, a potem legł na boku, wciąż wpatrując się we mnie nic nierozumiejącym wzrokiem. Postanowiłem poczekać aż znieruchomieje po serii przedśmiertnych konwulsji, które zaczęły wstrząsać jego ciałem.

W tym momencie zobaczyłem małą sylwetkę, siedzącą na kamieniu nieopodal...  
— A więc naprawdę tu byłeś, synku...? — szepnąłem.

Na wspomnienie wyrazu twarzy Krzysia, a także tego, w jaki sposób zaraz potem odszedł, dreszcz przebiegł po moich plecach i znów zaczęło mi brakować tchu.

Wtedy właśnie ostatecznie przyznałem przed samym sobą, że są jednak momenty, w których niepewność, choćby tylko lekko skropiona nadzieją, bywa lepsza od świadomości dokonanego, niedającego się już odwrócić zła.

Po raz ostatni tamtego dnia opuściłem okolice czereśni i z podchodzącym ze strachu do gardła sercem podążyłem w stronę wciąż rozświetlonego słonecznym blaskiem Guciowa.

Tylko w świecie żywych mogłem znaleźć odpowiedź na pytanie, co tak naprawdę stało się kilka godzin temu.

### 3.

Przez całą drogę usiłowałem przypomnieć sobie jeszcze jakieś szczegóły, łudząc się, że będzie to coś, co zdoła mnie przynajmniej trochę uspokoić, jednak, od momentu, gdy Krzyś zniknął w gęstniejącej mgle, do przebudzenia około trzeciej nie pamiętałem już kompletnie nic. Sposób, w jaki znalazłem się obok prowadzącej do Guciowa ścieżki, miał najprawdopodobniej już na zawsze pozostać dla mnie kolejną nierozwiązaną zagadką.

Kuśtykanie po wąskiej i błotnistej ścieżce przysparzało mi sporo problemów, jednak rosnące sylwetki zabudowań dodawały sił. Desperacko parłem do przodu, by jak najszybciej znaleźć się w normalnym świecie, gdzie nikt nie będzie podszywał się pod mojego przyjaciela, gdzie otaczać mnie będą wyłącznie żywi

ludzie, gdzie nie będzie miejsca na dziwne sny, które będą trudne do odróżnienia od rzeczywistości...

Jak chociażby ten świeży, jeszcze majak z twarzą nieznaną kobiecie w roli głównej.

Musiała mi się przyśnić niedługo przed powrotem świadomości, gdyż bez trudu przywoływałem w pamięci wpatrujące się we mnie ciemnozielone oczy osadzone w bladym, napiętym od emocji obliczu. Było w nich coś niezwykle bliskiego, coś dobrze znanego, jednak nie potrafiłem dokładnie określić, skąd wzięło się takie właśnie wrażenie. Twarz kobiety nie przypominała nikogo z dalszych, a tym bardziej bliższych znajomych, ale też tkwiło we mnie przekonanie, że to nie o zwyczajne fizyczne podobieństwo chodzi...

„Przyśniła ci się siostra, której nigdy nie miałeś”.

Stałem jak wryty.

Zupełnie nie wiem, skąd taka pozornie nedorzeczna myśl przyszła mi do głowy, jednak właśnie takie określenie było najbliższe odczuciom, które we mnie utkwiły, a których jeszcze przed sekundą nie potrafiłem w żaden sposób sprecyzować.

Od przecinającej Guciów asfaltowej drogi dzieliło mnie co najwyżej dwieście metrów. Na zdrowy rozum wydawałoby się, że powinienem biec do niej jak na skrzydłach, ja jednak wolałem stać nieruchomo i roztrząsać sprawę mało istotnej wizji sennej. To, za czym tak bardzo tęskniłem przez minione dwa lata, było na wyciągnięcie ręki, lecz paraliżujący strach pętał moje ruchy.

„Wkrótce się wszystko okaże” — pomyślałem, ciężko wzdychając.

Nim ruszyłem dalej, zmówiłem cichą modlitwę. Nie podniosła mnie ona zbyt na duchu, ale przynajmniej skierowała myśli na inne tory. Na jej zakończenie poprosiłem Boga o to, bym chociaż nie musiał długo czekać na poznanie prawdy.

Szosa przejechał biały opel, bardzo podobny do tego, który wciąż stał gdzieś tam w innym wymiarze z rozbitą maską. Nie miałem pojęcia, czy to dobry znak, ale nie zwlekając już dłużej, ruszyłem w drogę.

\*

Stając na asfalcie, spojrzałem w obie strony. Na długiej prostej nie dostrzegłem nikogo, co sprzyjało planowi, by niepostrzeżenie dotrzeć do zagrody Stanisławskiego i tam nieco doprowadzić się do ładu. Przy odrobinie szczęścia mogło się udać.

Zbliżałem się do celu tak szybko, jak tylko było to możliwe, oglądając się co chwila za siebie, a odległość do znajomej drewnianej bramy malała w zadowalającym tempie. W pewnej chwili byłem już na tyle blisko, że nawet jeśli na horyzoncie, obojętnie czy z przodu, czy z tyłu, pojawiłby się samochód, to i tak zdążyłbym ukryć się na podwórzu zagrody, zanim dotarłby on dostatecznie blisko, by kierowca miał szansę w moim wyglądzie wypatrzyć coś dziwnego lub podejrzanego.

Przy dębowych wrotach postanowiłem poczekać jeszcze chwilę, na wypadek, gdyby ktoś z mieszkańców Guciowa przed momentem dostrzegł mnie przez okno wychodzące na drogę. Wolałbym być przygotowany na taką ewentualność, zanim zacznę sprawdzać, czy Janek przez ostatnie dwa lata nie wpadł na pomysł wymiany zamków.

Okolice widocznego dość dobrze wjazdu na posesję Stanisławskiego zabarwiły się kolorowym tłumkiem. Wiosenna aura sprzyjała świątecznym, poobiednim spacerom, więc kilka osób postanowiło to wykorzystać. Wśród nich rozpoznałem korpulentną sylwetkę Janka, a moje początkowe obawy, że zostałem przez niego dostrzeżony, okazały się niesłuszne, gdyż grupka ruszyła w przeciwną stronę.

Miałem właśnie zamiar przekroczyć wrota bramy, kiedy mój wzrok padł na czerwony kształt umiejscowiony na parkingu po drugiej stronie jezdnii. Trudno mi było pojąć, jak mogłem go nie zauważyć wcześniej.

— Spokojnie — szepnąłem. — Przecież takich czerwonych fiatów są w Polsce tysiące...

Nie zważając na to, że staję się widoczny jak na dłoni, przeszedłem przez ulicę. Miałem wrażenie, że przebycie tych kilkunastu metrów to zadanie ponad moje siły, ale wreszcie przystanąłem wystarczająco blisko, by odczytać numer rejestracyjny auta.

Swojego fiata punto Adam kupił pod koniec maja dwutysięcznego roku, czyli zaraz po tym, jak w Polsce pojawiły się nowe, białe tablice rejestracyjne. Gdy widziałem to auto po raz pierwszy, zdziwił mnie fakt, że warszawskie Bielany, na których mieszkał Nawrot, otrzymały niezbyt adekwatne dla nich oznaczenie literowe (dopiero później wyczytałem gdzieś, że „WB” zostało zarezerwowane dla Bemowa). Dodatkowo mojemu przyjacielowi trafił się bardzo charakterystyczny numer, przywołujący skojarzenia zarówno z mocami nieczystymi, jak też ze zdecydowanie bardziej przyziemnymi, ludzkimi sprawami.

WD 69666. Te blachy rozpoznałbym na końcu świata.

Przez kilka ostatnich minut moje myśli zaprzątnięte były głównie zastanawianiem się, czy uda mi się wreszcie wziąć ciepły prysznic, teraz znów na pierwszy plan wróciło nieznośnie niepokojące pytanie o to, co tak naprawdę stało się w południe.

Kiedy podszedłem bliżej do samochodu, okazało się, że w jego oponach nie ma powietrza. Pochyliłem się przy pierwszej z nich. Poprzeczne cięcie nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że ktoś celowo ją zniszczył. Nie zdążyłem już zastanowić się nad tym faktem, ponieważ dokładnie w tym momencie usłyszałem dobiegający zza pleców krzyk.

— Nie ruszaj się, mendo francowata!

Z kępy przydrożnych krzewów wynurzyła się niewielka postać i biegiem zmierzała w moim kierunku. Prawie całkiem łysy mężczyzna z długą, siwą brodą

pędził przed siebie, nie zważając na jadące auto, który wyminęło go z największym trudem. Ciszę spokojnego świątecznego popołudnia rozdarł przeciągły dźwięk klaksonu.

— Stój, bandyto! Czekałem tu na ciebie tyle czasu i nie pozwolę... — przerwał na moment, jednym susem pokonując przydrożny rów po mojej stronie drogi — ...nie pozwolę, żebyś znów mi się wymknął!

W prawej ręce trzymał wielki, gruby kij, który, gdy mu się dokładniej przyjrzałem, okazał się myśliwską strzelbą. Dziwny osobnik wymachiwał nią z zapamiętaniem i zaskakującą łatwością. Miałem wrażenie, że broń ma mniej więcej tyle centymetrów długości, co dobiegający do mnie, chudy jak szczapa mikrus. Byłem tak zaskoczony tym dziwnym zjawiskiem, że nawet nie drgnąłem. Kiedy zbliżył się na odległość kilku kroków, mogłem mniej więcej oszacować jego wiek. Z niejaką ulgą oceniłem, że może mieć koło siedemdziesiątki, więc zakładałem, że nie zdoła zrobić mi większej krzywdy, a ja za chwilę spróbuję wyjaśnić całe nieporozumienie.

Nie zdążyłem.

Drewniana kolba uderzyła mnie w lewą skroń tak błyskawicznie, że nie udało mi się nawet osłonić głowy ramieniem. Zatoczyłem się na maskę fiata, a potem głucho grzmotnąłem plecami o ziemię.

Dziwoląg stanął nade mną w rozkroku, chwycił strzelbę oburącz i unióś ją nad sobą.

— Gadaj! — rozkazał.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Próbowałem odczołgać się do tyłu, ale on stanął butem na mojej klatce piersiowej i przygniół mnie do ziemi tak mocno, że z trudem łapałem oddech.

— Gadaj, pókim dobry! Dlaczego to zrobiłeś?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Nie pierdol mi tu, do jasnej cholery!!! — wrzasnął. — Przecież wiem, że to ty! Widzę nawet, że ciągle masz na rękach jego krew!

Odruchowo przysunąłem dłoń do twarzy i zobaczyłem zakrzepłe brunatnoczerwone ślady, pozostałe po łamaniu kolczastych gałązek na wzgórzu.

— To moja krew, poraniłem sobie ręce, jak...

— Masz mnie za głupca?! — pochylił się lekko, a na mojej twarzy wylądowały kropelki śliny. — Jak śmiesz twierdzić, że nie rozpoznałbym swojej własnej krwi?! — wydzierał się na całe gardło, a ja pomyślałem, że wróciłem ze Starzyzny tylko po to, by zginąć z ręki szaleńca.

Przymknąłem powieki i przestałem go słuchać. Nieustające wrzaski dobiegały z bardzo daleka, lecz mnie było już wszystko jedno.

„Jeśli mam umrzeć z nadzieją, że Adam wciąż żyje, to nie będzie to najgorsze, co mnie może spotkać. — pomyślałem. — Poza tym, zawsze to lepsze, niż pozostanie w tamtym przeklętym miejscu w towarzystwie Dobrowolskiego...”



Chyba się podświadomie uśmiechnąłem, bo poczułem kopnięcie w bok i usłyszałem osiagający już najwyższe natężenie wrzask wściekłości przemieszanej z histerią:

— Śmiesz cię to, przeklęty draniu?! No to zaraz ci przestanie być wesoło!

Miałem wrażenie, że z oddali dobiega jeszcze czyjś głos. Otworzyłem oczy, ale tylko po to, by zobaczyć, jak w stronę mojej głowy zbliża się drewniana kolba.

W tej sekundzie wszystkie znane mi dotąd światy skryła nieprzenikniona ciemność.

## 4.

— Wcale mi nie jest wesoło... — oznajmiłem.

Dźwięki docierające, nie wiadomo skąd, do mojej głowy nagle ucichły. Zamierzałem jeszcze coś dodać, ale zmieniłem zdanie ze względu na ból, który wywołało poruszenie szczęką.

— Trzeba zadzwonić po karetkę — powiedział ktoś.

— Żadnych karettek. Chcę do domu. — Znowu zabolalo, ale chłodny, wilgotny okład na czole podziałał kojąco.

Postanowiłem otworzyć oczy, ale udało mi się to zaledwie w połowie ze względu na rozległą opuchliznę w okolicach lewego łuku brwiowego.

Znajdowałem się w słabo oświetlonym pomieszczeniu, które okazało się salą jadalną karczmy Stanisławskiego. Pochylało się nade mną dwóch mężczyzn, z których rozpoznałem jednego — właściciela gospodarstwa.

— Janek, przepraszam za wtedy. Nie mogłem ci oddać...

— Daj spokój, nie ma problemu — przerwał mi. — Najważniejsze, że wróciłeś.

Patrząc w szczerą, zatroskaną twarz od razu poczułem się znacznie lepiej. Przeniosłem wzrok na nieznanego i wtedy udało mi się dostrzec jeszcze jedną osobę. Mój oprawca siedział na krześle pod ścianą, a słabe światło sączące się z okna odbijało się w jego łysinie. Miałem wrażenie, że szykuje się do skoku.

— Co to za brodaty bałwan? — zapytałem, nie spuszczając go z oka. — Czemu mnie zaatakował?

— Ożeż ty, w mordę...! — krzyknął tamten i zerwał się gwałtownie z miejsca. Na moje szczęście niezajomy natychmiast zagroził mu drogę.

— Uspokój się, Bogdan! — rzucił ostro Stanisławski. — Ten pan nie ma nic wspólnego ze śmiercią twojego bratanka. Ile razy mam ci to jeszcze tłumaczyć?

— A skąd możesz wiedzieć?! No, chyba że to ty, jasna cholera, maczałeś w tym palce!

— Chcesz iść pierdzieć do paki za pobicie? — odezwał się Janek zmęczonym głosem. — Jeśli tak, to proszę bardzo. Zaraz dzwonimy po niebieskich aniołów

i pojedziesz na dołek, może tam wreszcie się trochę ogarniesz.

Zapadła cisza, którą dopiero po jakimś czasie przerwał głos brodatego mikrusa.

— No ale... kto by... kto wtedy by was pilnował przed...

— No właśnie, kto by nas pilnował? Dlatego siadaj na dupie i siedź cicho.

Niejaki Bogdan wykonał polecenie bez szemrania, a Stanisławski spojrział na mnie znacząco i dyskretnie, tak by tamten nie zauważył, zakręcił palcem koło ucha.

— Na pewno nie potrzebujesz lekarza? — zapytał. — Oko wprawdzie wygląda paskudnie, ale łuk brwiowy na szczęście masz cały.

— Nie, żadnych lekarzy. Ale tabletką przeciwbólową i czymś do picia to na pewno bym nie pogardził.

\*

Gdy kilkanaście minut później siedziałem w dobrze mi znanym pokoju gościnnym, rozświetlonym nocną lampką, trudno mi było uwierzyć, że od ostatniego pobytu w tym pomieszczeniu minęło aż tyle czasu. Wydarzenia sprzed dwóch lat jawiły mi się w pamięci wyjątkowo wyraziście.

Zadawałem sobie pytanie, co by było, gdybym wtedy, w Wielki Piątek dwa tysiące piątego roku postąpił dokładnie tak, jak zapowiedziałem Rafałowi. Kto wie, może Marcin Kowalik tylko ogłuszyłby Gielmudę, by później spokojnie wrócić do Starzyzny? Niewykluczone jednak, że na tym by nie poprzestał; zresztą — przecież i tak nie miałem pewności, czy olbrzym nie wyrzucił Rafałowi przy samochodzie jakiejś poważniejszej krzywdy. Coś podpowiadało mi, że jeśli zdecyduję się zostać w Guciowie jeszcze przez jakiś czas, to z tego typu wątpliwościami, które być może nigdy nie zostaną rozwiane, będę musiał w najbliższym czasie mierzyć się na każdym kroku... Ten sam wewnętrzny głos podszeptował, że jeśli zostanę tu jeszcze choćby przez jeden dzień, to mogę stać się kolejnym, obok faceta z brodą, dziwolągiem, o którym ludzie będą opowiadać, rysując jednocześnie kółko na czole.

Nie miałem pewności, że tak będzie, ale prawdopodobieństwo było duże, dlatego trzeba było podjąć jedyną słuszną decyzję i pożegnać się z Guciozem na zawsze. Rozpaczliwie potrzebowałem powrotu do normalności, nie chciałem dłużej tkwić w tym przeklętym bagnie. Warszawa, telewizor, poranna gazeta i spokojne życie — tego pragnąłem o wiele bardziej od wiecznego poszukiwania prawdy, która może okazać się trudna do zniesienia. Wyjechać i zapomnieć — taki był mój jedyny cel i z takim postanowieniem sięgnąłem po leżącą obok mnie torbę podróżną, którą Janek przechował przez cały ten przeklęty czas.

Przeglądając się w łazienkowym lustrze, stwierdziłem, że Stanisławski, mówiąc o moim oku, wyraził się w sposób dość oględny. Opuchlizna oczodołu, olbrzymi guz w okolicy łuku brwiowego, a także efektowna, sinoczerwona kolorystyka przywoływały na myśl cherlawego boksera, który w wyniku pomyłki sędziego trafił na ring z rywalem cięższym o kilka kategorii wagowych, a potem, dla

uciechy zgromadzonej gawiedzi, był niemiłosiernie masakrowany przez bitych (nomen omen) dwanaście rund.

— Tak naprawdę, to coś takiego cię właśnie spotkało — mruknąłem, mając raczej na myśli całą sytuację, która rozpoczęła się od pewnego tajemniczego mejla, wysłanego niegdyś na mój redakcyjny adres. Było jasne, że po prostu wziąłem się za coś, co przekracza moje, nad wyraz skromne siły, musiałem więc ponieść konsekwencje swojej pychy. Goliat pokazał Dawidowi, gdzie jego miejsce i nie było w tym niczego nadzwyczajnego.

Zanim wszedłem pod prysznic, przykryłem jeszcze dłonią lewą część twarzy. Pomimo że widoczna teraz połowa nie była uszkodzona przez narwanego napastnika, to i tak miałem spore problemy z jej rozpoznaniem. Zdawało mi się, że gdy jeszcze w domu Grelów widziałem swoje odbicie, nie wyglądałem aż tak staro, a siwych włosów miałem zdecydowanie mniej. Utrata wagi także zrobiła swoje. Być może to przez nią zmarszczki wryły się w skórę głębokimi bruzdami, a może... Zacząłem zastanawiać się, czy przypadkiem powrót ze Starzyzny dla mnie także nie spowodował szybszego starzenia, ale uciąłem te myśli stanowczo, przypominając wcześniejszą decyzję wypowiedzianymi na głos słowami:

— Żadnych pytań. Zaraz wracasz do normalności i niech się dzieje, co chce.

A po chwili dodałem:

— Jeśli czas przyspieszył, to decyzja o spędzeniu ostatnich dni w wygodnym warszawskim mieszkaniu jest tym bardziej słuszna. Zobacz, jak ty wyglądasz — mówiąc to, odjąłem dłoń od policzka. — Zbawca świata i mąż opatrnościowy od siedmiu boleści się znalazł...

Patrzyłem jeszcze przez moment. Włosy wyglądały wyjątkowo odrażająco. Rozczochrane, pozlepiane w długie, tłuste strąki przywodziły na myśl widzianych przeze mnie wieki temu niedomytych żuli, materializujących się znienacka w okolicach dworców większych miast ze swoją nieodłączną żebraczą mantrą. W Starzyźnie Katarzyna od czasu do czasu strzygła mnie, pamiętającymi chyba jeszcze Piłsudskiego, nożycami krawieckimi, ale ostatnie zdarzenia w przeklętej dolinie nie pozwalały myśleć o tak przyziemnych czynnościach, jak dbanie o wygląd, więc mój opłakany image nikomu nie przeszkadzał.

Zanim wszedłem pod prysznic, obiecałem sobie wizytę u fryzjera i z uznaniem pomyślałem o pamięci wzrokowej szurniętego Bogdana, który zdołał mnie skutecznie zidentyfikować pomimo zajścia tak znaczących zmian w mojej powierzchowności.

Gorąca kąpiel sprawiła mi trudną do opisu rozkosz. Już zapomniałem, jakie to uczucie znaleźć się pod bieżącą, ciepłą wodą w przytulnym, ogrzewanym pomieszczeniu. Nie mogłem nacieszyć się pachnącym mydłem w płynie i dokładne rozprowadzanie go po całym ciele traktowałem z takim namaszczeniem, jakbym robił to po raz ostatni w życiu. Włosy musiałem umyć szamponem trzy razy, by osiągnąć zadowalający efekt, a później po prostu stałem

pod silnym strumieniem, który z lekkim szmerem uwalniał mnie od wszystkich starzyźnianych brudów.

Miałem też nadzieję, że splucze ze mnie złe wspomnienia i niepokojące myśli, ale to już się nie udało.

„Nie wszystko naraz — pomyślałem. — To przecież przyjdzie z czasem...”.

Chciałem, aby tak było, ale wspomnieniem Katarzyny przywołałem obraz całej piątki uciekinierów ze Starzyzny, z którymi widziałem się nie dalej niż dwa dni wcześniej. Czy mogłem tak po prostu odjechać, nie próbując się nawet dowiedzieć o ich dalszych losach?

Mogłem i zamierzałem tak właśnie postąpić bez względu na cokolwiek.

W tym momencie znów pomyślałem o porannych zdarzeniach i nawet szemrząca uspokajająco woda zaczęła mnie irytować. Zakręciłem kurki, wyszedłem z kabiny, a następnie sięgnąłem po świeży ręcznik.

Byłem bardzo dokładnie umyty, wyszorowany wręcz i wyparzony niemal wrzącą wodą, ale mimo to nie czułem się wystarczająco czysto.

\*

Wróciłem do pokoju, by się spakować.

Wcześniej Janek znalazł dla mnie jakąś reklamówkę, bym miał do czego włożyć brudne i mocno zalatujące starzyźną ciuchy. Gdy to zrobiłem, przejrzałem swoje rzeczy w poszukiwaniu portfela. Tkwił tak, jak go zostawiłem, w tylnej kieszeni zapasowych spodni. W środku znalazłem niecałe pięćset złotych. Miałem nadzieję, że Stanisławski nie policzy mi za trwające ponad dwa lata przechowanie torby.

Kiedy opuszczałem salę jadalną, nie było jeszcze całkiem ciemno, natomiast teraz wieczór za oknem zapadł na dobre. W łazience straciłem poczucie czasu, więc nie zdziwiło mnie zbyt, że zegarek wskazuje już za kwadrans dwudziestą pierwszą.

„Jak teraz stąd wyjechać? — zamyśliłem się. — Nawet w powszedni dzień o dziewiątej wieczorem coś takiego graniczyłoby z cudem, a w Niedzielę Wielkanocną? Wolne żarty!”.

Wątpliwości nie skłoniły mnie do tego, bym zaprzestał pakowania, przeciwnie — starałem się uwinąć jak najszybciej. To nie było w porządku, że zniknę, nie starając się dociec, jaki los spotkał moich znajomych i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, niemniej jednak tym razem postanowiłem być bezdusznym egoistą. Dotarło do mnie, że Adama tu nie znajdę. Nie ma na to szans. Czerwony fiat punto stojący na parkingu przekonał mnie ostatecznie, że to nie do Dobrowolskiego rano strzeliłem, a do najlepszego przyjaciela. Było mi z tym cholernie źle, ale cóż mogłem zrobić? Stać przy tej przekłętej czereśni całymi dniami z nadzieją, że dzwony się znów odezwą? A nawet jeśli tak by się stało, to wtedy podejść do jego ciała, sprawdzić puls, który od dawna nie jest już wyczuwalny, i spróbować wrócić, póki dzwony nie przestaną bić? A jeśli mi

się nie udało?

Nie! Gdybym został w Guciowie, to pewnie tak właśnie by się to skończyło — szurnięty Bogdan czatowałby u podnóża wzniesienia przy drodze, a postrzelony Witek — kilkaset metrów wyżej.

— Dość tego — mruknąłem, chowając kosmetyczkę do torby. — Wystarczy tego szaleństwa.

Wtedy dopiero od strony drzwi usłyszałem kroki. Zajęty własnymi myślami, nie zorientowałem się, że ktoś oprócz mnie jest w budynku, a teraz, o ile mnie słuch nie mylił, był już u szczytu skrzypiących schodów.

To było jak powrót do sennego koszmaru. Moment, gdy widziałem sylwetkę Kowalika na korytarzu, wrócił z niezwykłą wyrazistością. Wiedziałem, co się teraz stanie. Kroki zbliżające się do drzwi, później on naciśnie klamkę... Tyle że tym razem wreszcie mnie dopadnie.

Odgłos ciężkich butów się przybliżał, aż do momentu, kiedy ktoś zatrzymał się po drugiej stronie drzwi. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się sprawnym okiem w klamkę, czekając na jej naciśnięcie. Nie potrafiłem się poruszyć, ale wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, sprawiając, że drzwi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stały się przezroczyste. Tym razem nie widziałem zmasakrowanej głowy Kowalika; jego potężna sylwetka u góry kończyła się na ramionach, pomiędzy którymi czerwieniła się przecięta saperką szyja. Początkowo chciał nacisnąć klamkę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Podniósł do góry ogromną pięść i wziął zamach.

Hałas sprawił, że mimowolnie krzyknąłem.

Zaraz potem drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich przestraszona twarz Janka.

— Stało się coś? — zapytał.

Musiałem wyglądać nietęgo, bo natychmiast podszedł bliżej, uważnie mi się przypatrując.

— Witek, to ja. Dobrze się czujesz?

Sił wystarczyło mi tylko na tyle, by bezgłośnie skinąć głową. Po upływie dłuższej chwili wyszeptałem:

— Nic mi nie jest, coś mi się tylko przywidziało, przepraszam...

— Za co przepraszasz? To ja przepraszam, że mnie tyle nie było.

— A miałeś przyjść? Przecież się pożegnaliśmy... na razie do jutra...

— Nie mogliśmy cię z Krzysiem zostawić tu samego, przynajmniej jeszcze...

— Z Krzysiem? — Wpatrywałem się w niego okrągłym jak spodek okiem.

— Aha, czyli to mi się śni?

— ...przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Jak to się śni? Nie... — Zastanowił się. — Chyba nie. Poza tym moja żona pomyślała, że pewnie jesteś głodny i nie dałaby mi spokoju, gdybym cię czymś nie poczęstował... Zejdiesz do sali jadalnej?

— Zejdę — odparłem. — Zaraz będę. Już idę. Skończę tylko pakowanie i już

jestem. Nie zniknijcie mi!

— A musisz się pakować właśnie teraz?

— Muszę, muszę. Nie zniknijcie mi. Idź, powiedz mu, że już idę. Muszę mieć torbę. Nigdzie już nie będę się bez niej ruszał... — wyrzucałem z siebie kolejne zdania, kończąc pakowanie.

Janek już się nie odezwał, ale przez moment dostrzegłem kątem oka, że przygląda mi się z niepokojem. W ogóle mnie to nie obchodziło.

Gdy zniknął za drzwiami, marzyłem, aby ten sen się nie skończył zbyt szybko. Jeśli tylko Krzyś miał mi znów coś do przekazania, to nie mogłem przecież zaprzepaścić takiej okazji.

## 5.

Jakieś pięć minut później siedziałem na drewnianym krześle, które odsunąłem od stołu na tyle, by na moich kolanach mogła spocząć spakowana torba. Lekko się garbiąc, opierałem na niej łokcie i, patrząc na wprost, poruszałem tułowiem w przód i w tył jak małe dziecko dotknięte chorobą sierocą.

Tuż po przekroczeniu progu pomieszczenia zlustrowałem je całe, mając nadzieję, że zobaczę syna, lecz zaraz potem Janek przedstawił mi mężczyznę, którego widziałem już wcześniej.

— To jest Krzysztof, mój przyjaciel z Zamościa — powiedział. — Przyjechał do nas ze świąteczną wizytą. Bywa tu bardzo często, bo Guciów sprzyja artystycznym duszom.

W milczeniu uściśniłem dłoń nowego znajomego i zająłem miejsce.

Zaczynało mi odbijać i nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Najpierw to graniczące z pewnością przekonanie, że za chwilę spotkam Kowalika, a zaraz potem niecierpliwe oczekiwanie na spotkanie z nieżyjącym od lat synem. Co teraz? Może wstanę i zacznę mordować? Jedną bliską mi osobę już dzisiaj załatwiłem, więc dlaczego by nie poprawić trochę tego rezultatu? Dobrowolskiemu nie dałem rady, to może przynajmniej odbiję sobie na Bogu ducha winnych, niepodejrzewających mnie o złe zamiary ludziach, którzy się mną zaopiekowali?

Obaj przyglądali mi się z niepokojem, wreszcie Stanisławski zaczął wiercić się niecierpliwie.

— Witek, może coś zjesz? — zaproponował. — Wszystko jest jeszcze gorące, szkoda, żeby wystygło...

Pokręciłem zdecydowanie głową. Od piątku niczego poza wódką nie miałem w ustach, ale myśl o jedzeniu sprawiła, że mój żołądek fiknął kozła.

Znów zapadła cisza, przerywana jedynie miarowym poskrzypywaniem krzesła,

na którym siedziałem.

— To może się chociaż napijesz? — Janek sięgnął po stojącą na stole butelkę. — Pamiętasz Świeżość Poranka? Zdaje się, że dwa lata temu ci całkiem podeszła.

— Pamiętam — odparłem. — Od tamtej pory wiele się zmieniło, a od dziś zmieniło się to, że nigdy więcej nie wezmę alkoholu do ust. Ale jeśli wy macie ochotę, to się nie krępujcie. Ja muszę trochę dojść do siebie. Sporo ostatnio przeszedłem.

Gospodarz wstał i ruszył do baru, najprawdopodobniej po jakieś miarki na alkohol, a ja pozostałem przy stole tylko z Krzysztofem.

Był mniej więcej w moim wieku, szczupły, lekko szpakowaty i... nie wiem, jak to określić, ale chyba najbardziej adekwatnym sformułowaniem byłoby „charyzmatyczny”.

Czułem na sobie jego przenikliwy wzrok, więc nie wytrzymałem i spojrzałem na jego twarz. Była skupiona, powiedziałbym, że lekko zatroskana, a szare oczy przenikały mnie na wskroś.

— Widać, że dużo pan przeszedł — rzekł cicho. Jego dźwięczny, głęboki i nienachalny głos bardzo pasował do aparycji.

— Mam na imię Witek.

— Janek mi o tobie opowiadał — gładko przeszedł na „ty”. — Czasem bywa szorstki, ale to złoty człowiek i bardzo się martwił twoim nagłym zniknięciem.

— Ja też się martwiłem swoim nagłym zniknięciem. Przez dwa lata. — Nie było to z mojej strony zbyt grzeczne, ale nie potrafiłem się opanować.

W oczach Krzysztofa zatańczyły wesołe ogniki.

— Domyślam się.

— Uważaj, Witek, co przy nim mówisz — wtrącił się wracający do stołu Stanisławski. — Krzysiu jest znanym poetą, więc później możesz swoje słowa znaleźć na łamach prasy.

Spojrzałem na Janka. Lekko się uśmiechał pod nosem, więc nie miałem pojęcia, czy mówi serio.

— Wiesz, gdyby nie on — ciągnął — to kto wie, jak by się ta historia z Bogdanem skończyła. Jeśli mam być szczerzy, to chyba uratował ci dzisiaj życie. Jako pierwszy zorientował się, że dzieje się coś złego i dobiegł do was zanim Adamowicz na dobre wprawił w ruch swoją wirującą dwururkę.

— Daj spokój. Jak patrzę na Witka, to mam wrażenie, że i tak spóźniłem się o całe wieki.

Trudno mi było w to uwierzyć, ale się lekko uśmiechnąłem, a potem delikatnie dotknąłem palcami wielkiej opuchlizny okalającej lewe oko.

— Ale czy wy w ogóle wiecie, o co mu chodziło? Coś mu zrobiłem, czy jak?

Jak na komendę poruszyli głowami, z tym że Krzysztof pokręcił nią przecząco, a Stanisławski przytaknął.

— Nic mu nie zrobiłeś — rzekł pierwszy z nich. — Ale zanim się ocknąłeś,

powiedział nam, dlaczego się tak zachował przy samochodzie.

— Właśnie. Pamiętasz dwa lata temu, jak spotkaliśmy się na drodze? — zapytał Janek. — Wróciłem wtedy z przesłuchania w Zamościu. Chodziło o morderstwo dwójki dzieciaków...

— Tak, pamiętam. Mam wrażenie, że to wydarzyło się w moim dzieciństwie.

— Zginął wtedy bratanek Adamowicza, Piotrek. Okolicę ogarnęła psychoza strachu, mieszkańcy skrzyknęli samozwańcze nocne patrole, ale to chyba wiesz, prawda? Bogdan oddał się poszukiwaniom zabójcy bez reszty. Pytałem go dzisiaj, mówił, że widział cię wtedy na miejscu morderstwa, a później drugi raz, jak pożyczyłeś ode mnie broń i, ponieważ byłeś obcym, stałeś się jego głównym podejrzanym. Tym bardziej że nie spotkał cię już nigdy więcej.

— Aż do dzisiaj — uzupełnił trzeźwo Krzysztof.

— No właśnie, aż do dzisiaj. Zresztą chłop przez tamte wydarzenia po prostu do reszty sfiksował. Wcześniej był gospodarzem na schwał, a po stracie swojego ukochanego chrześniaka, któremu planował zapisać cały majątek, zaniedbał wszystko do reszty. Więcej czasu spędza w swoim szałasie w krzakach z nadzieją, że dopadnie wreszcie zabójcę, niż w domu przy poważnie chorej na serce żonie.

Janek polał do dwóch kieliszków, trzeci pozostawiając pusty. Przyglądałem się jego ruchom, ale myślami krążyłem zupełnie gdzie indziej.

Wypili za moje zdrowie, a później Stanisławski znów się odezwał, wyrywając mnie z zadumy.

— Podejrzewam, że rozumiesz, dlaczego nie wezwaliśmy policji. Postanowiliśmy poczekać na twoją decyzję. W każdej chwili możesz oskarżyć Adamowicza o pobicie, a my zeznamy na twoją korzyść. No ale... — zawiesił głos, spojrzał na mnie, rozłożył dłonie w geście bezradności i wzruszył niepewnie ramionami.

— W każdym razie podejrzany na pewno nie oddalił się z miejsca zdarzenia i znamy miejsce jego pobytu, jakby co — mówiąc to, Krzysztof baczenie mi się przyglądał.

— Szalas w pobliskich krzakach? — zapytałem retorycznie, nie oczekując nawet odpowiedzi. — Nie, no pewnie, że to nie ma sensu. Z różnych względów, a chyba głównie dlatego, że to po prostu biedny i skrzywdzony przez los człowiek, prawda?

Nie zaobserwowałem żadnej reakcji, ale obaj w głębi ducha odetchnęli z ulgą.

Byłem tego pewien.

\*

Rozmowa sprawiła, że poczułem się lepiej na tyle, by zdecydować się na skosztowanie przyniesionych specjalnie dla mnie smakołyków.

Po kilku pierwszych ruchach widelcem mój żołądek zaczął pracować normalnie i wreszcie potężny głód dał znać o sobie. Pochłaniałem pożywienie zdecydowanie



zbyt łąpczywie, ale za bardzo cieszyłem się smakiem przepysznych, po mistrzowsku doprawionych gołąbków nadziewanych mięsem i ryżem, polanych aromatycznym grzybowym sosem, by się w jakikolwiek sposób hamować. O ile akurat z sosu mógłbym bez większego problemu zrezygnować (grzybów miałem w ostatnim czasie pod dostatkiem), o tyle smak pozostałych składników potrawy przeniósł mnie do siódmego nieba.

Później prawie bez gryzienia połknąłem jeszcze niemal cały półmisek wędlin i kilka kawałków niesamowitego, polanego czekoladą sernika z bakaliami domowej roboty. W pewnym momencie, gdy talerze zaczęły się już robić pustawe, Janek zapytał, czy nie przynieść jeszcze czegoś z domu. Uspokoilem go stwierdzeniem, że nie trzeba, bo przez dwa lata zdążył mi się skurczyć żołądek. Krzysztof w tym momencie parsknął śmiechem.

Wydawało mi się, że smak lavazzy z ekspresu, którą na zakończenie posiłku przyrządził gospodarz, pamiętałem dość dobrze, ale nic z tych rzeczy. To była najlepsza kawa, jaką piłem w życiu.

Gdy delektowałem się ostatnimi łykami drugiej, słodkiej jak syrop filizanki, Krzysztof powiedział do mnie:

— Wiesz, Janek kiedyś mi opowiedział całą historię Starzyzny, którą mu przekazałeś, kiedy pożyczałeś od niego broń. Uwierzyłem w nią chyba bardziej niż on, ale jeśli miałbym w tej chwili jakiegokolwiek wątpliwości, czy mówiłeś wtedy prawdę, to patrząc, jak jesz, właśnie bym się ich wyzbył. — Kiedy to mówił, delikatny uśmiech rozświetlał jego pogodną twarz.

Nagle jego oczy spoważniały i zapytał:

— Byłeś tam, prawda? Przez ten cały czas byłeś w Starzyźnie?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadałem, ale opuściłem głowę i w końcu odparłem:

— Tak, ale nie chcę o tym mówić. Na pewno nie teraz... — zawahałem się — ...a może nawet już nigdy...

Znów nieświadomie zacząłem się kiwać w przód i w tył. Pogodny nastrój wyparował w mgnieniu oka, zostawiając po sobie pełną napięcia ciszę.

— Wiesz, kto ich zabił, prawda? — znów usłyszałem jego głos.

Przytaknąłem bez słowa.

— Czy on może tu wrócić?

Powiew chłodnego powietrza liznął mój kark akurat w chwili, gdy przypominałem sobie potężny korpus z odciętą głową.

— Nie — odpowiedziałem szeptem, by po chwili dodać, już odrobinę głośniej: — To znaczy... przynajmniej tak mi się wydaje. Zabiłem go. To znaczy, odciąłem mu głowę saperką, więc chyba go zabiłem, ale... tak naprawdę, to tam nigdy nic nie wiadomo na pewno.

— Powiesz Bogdanowi, że ten, kto zamordował jego bratanka, nie żyje? — Janek również mówił prawie szeptem, jakby to piskliwe dźwięki wydawane przez

krzesło były w tym momencie najważniejsze, a on nie chciałby ich zagłuszać.

— Powinienem? Myślisz, że to coś zmieni albo przyniesie mu ulgę?

— Nie wiem. Może tak. Chyba nie zaszkodziłoby spróbować.

Stanisławski napełnił po raz kolejny dwa kieliszki.

— Zastanów się — powiedział. — A my w tym czasie wypijemy. Tym razem za zdrowie Bogdana.

Myślałem nad jego słowami. Ile miałbym powiedzieć ukrywającemu się gdzieś tam w ciemnościach, zniszczonemu obsesją nieszczęśnikowi? Czy w ogóle uwierzyłby chociaż w jedno moje słowo?

— Janek? — Podniosłem nagle głowę. Wspomnienie dwa tysiące piątego roku nasunęło mi oczywiste pytanie i — który to już raz tego dnia zdziwiłem się, że z takim opóźnieniem na coś wpadam. — Pamiętasz wieczór, gdy widzieliśmy się ostatnio, prawda? Czy tamtej nocy, albo następnego dnia, spotkałeś może tego mojego kolegę, który jeździł białym oplem?

Znieruchomiał z kieliszkiem w ręku, zadumał się, a po chwili upewnił się:

— Chodzi ci o Rafała, z którym byliśmy nocą w lesie?

— Tak, właśnie o niego.

— Nie, nie widziałem. A co z nim?

— No właśnie nie mam pojęcia. Ostatni raz widziałem go w tamten Wielki Piątek. Przywiózł mnie tu z Krasnobrodu, a później... Zresztą nieważne. A może coś słyszałeś na temat tego, że znaleziono wtedy kogoś rannego, albo... — z trudem przełknąłem ślinę — ...albo może zwłoki mężczyzny? Na pewno coś byś o tym...

— Nie. Na pewno nie.

— To dobrze. Tak mi się przynajmniej wydaje. Został zraniony przez... nieważne przez kogo, ale mam nadzieję, że nie na tyle, by stało mu się coś poważnego. Twoje słowa tylko to potwierdzają.

Gdy przechylali kieliszki, wstałem z krzesła, by zaraz potem oznajmić:

— Czas już na mnie. I tak wystarczająco długo zabawiłem w tej okolicy.

## 6.

Fotel pasażera w niewielkim fordzie fiesta był całkiem wygodny, zwłaszcza w porównaniu z drewnianym, nietapicerowanym krzesłem, na którym jeszcze niedawno spędziłem trochę czasu.

Kołysanie amortyzatorów w połączeniu z tym, co mnie tego dnia spotkało, narastającym z każdą chwilą zmęczeniem oraz głową ciężącą po zażytych przed wyjazdem środkach przeciwbólowych — to wszystko sprawiało, że powinienem zasnąć w ciągu minuty. Tym razem jednak było to niemożliwe. W pakiecie

„Podwiezienie do Zamościa” otrzymałem jeszcze irytujące „jak jasna cholera” poświstywanie siedzącego obok mężczyzny, jego nerwowe bębnienie palcami o kierownicę, a dodatkowo — niepokój, czy przypadkiem znów nie grozi mi jakieś niebezpieczeństwo.

\*

Po tym, jak w sali jadalnej poinformowałem o zamiarze opuszczenia Guciowa jeszcze tego samego wieczoru, moje słowa początkowo nie zostały wzięte serio. Gdy jednak przez dłuższy czas upierałem się, zapewniając bezustannie, że ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę, są żarty, Janek stwierdził:

— Chyba oszalałeś. Mówię ci, zostaniesz do jutra i któryś z nas podrzuci cię do Zamościa. Dziś żaden z nas ci nie pomoże, bo jesteśmy lekko wstawieni, wypiliśmy trochę do obiadu, doprawiliśmy się przed chwilą. Zresztą, nawet jakbyś się tam dostał, to i tak przecież już nic nie jeździ o tej porze, w taki dzień...

— Prześpię w hotelu, a jutro z samego rana wracam do domu. Nie chcę tu już być. Za nic w świecie, rozumiesz? Jeśli nie ma innej możliwości, to pójdę na piechotę. Ile kilometrów jest stąd do Zamościa?

Skierowałem pytanie do Krzysztofa i odczekałem parę sekund, lecz nie uzyskałem odpowiedzi. Nowy znajomy przypatrywał się tylko z uwagą mojej twarzy. Znów miałem wrażenie, że jego ciemnoszare oczy prześwietlają mnie na wylot.

— Dwadzieścia kilometrów? — ciągnąłem dalej. — Trzydzieści? Do rana dojdę, a może mi się poszczęści i złapię po drodze jakąś okazję...

— Jasne — przerwał moje wywody Stanisławski. — Być może pekaes do Warszawy akurat będzie przejeżdżał przez Bondyż.

— Ile ci jestem winien? — zapytałem i wyjąłem z torby portfel.

— Niby za co?

— Nie wiem, za wszystko. Za przechowanie moich rzeczy, za pokój, za jedzenie...

— Weź mnie, człowieku, nie wkurwiał. Nic mi nie jesteś winien. Jak gardzisz gościna, to idź swoją drogą i nie zawracaj głowy!

— Janek, przestań. — Krzysztof podniósł się i stanął obok mnie. — Nie wiesz, co Witek przeszedł, więc się nie unoś. Zastanów się lepiej, jak możemy mu pomóc.

Po krótkiej naradzie uznali, że jest chyba jednak jakieś wyjście.

Chwilę potem szliśmy we trzech szosą, a do naszych uszu od strony kępy krzewów zaczęło dobiegać coraz głośniejsze mamrotanie.

Adamowicz zaczął się wahać dopiero wtedy, gdy Janek postraszył go policją, zaznaczając jednocześnie, że jeśli mi pomoże, mogę ostatecznie odstąpić od zgłoszenia pobicia. Argumentem, który wreszcie przekonał Bogdana, okazała się jednak dopiero obietnica, że dopóki nie obróci do Zamościa i z powrotem,

Stanisławski z Krzysztofem zajmą jego miejsce na czatach.

Nie za bardzo uśmiechała mi się nocna podróż z narwanym świrem, ale wolałem to od nocy spędzonej w Guciwie.

\*

Początkowo planowałem nie spuszczać z niego wzroku, ale ponieważ sprawne miałem jedynie prawe oko, szyja zaczęła mi cierpnąć, jeszcze zanim Bogdan zdążył wrzucić czwórkę. Ostatecznie postanowiłem więc zdać się na łaskę opatrności i postarać się nie zasnąć, co — jak się okazało — nie było wcale aż tak trudne.

Droga była pusta, więc Adamowicz mógł jechać dość szybko. Minęliśmy Bondyrz, a potem skręciliśmy w lewo i wjechaliśmy na lepszą drogę, prowadzącą w stronę Zamościa. Światła mijania wyłuskiwały z ciemności zielone tablice, sygnalizujące kolejne miejscowości. Najpierw Jacnia, później położony na wzgórzu Adamów. Jechałem wtedy pierwszy raz w życiu.

— Daleko jeszcze?

— Daleko — odparł nosowym głosem, sugerującym problemy z rozszczepioną wargą.

Tyle było naszej rozmowy, bo w aucie znów rozległy się jakieś świszczące oberki.

Moje myśli znów zaczęły krążyć wokół Adama. Wspomnienie tego, co stało się na wzgórzu, próbowałem zagłuszyć kwestiami bardziej przyziemnymi, takimi, na które mogłem mieć jakikolwiek wpływ, i wtedy właśnie pożałowałem, że w Guciwie umknęła mi kwestia jego fiata punto. Mogłem przecież poprosić Janka, żeby go przynajmniej ściągnął jakoś na własne podwórze, bo takie auto z rozciętą oponą mogło niepotrzebnie przyciągać uwagę ewentualnych amatorów cudzej własności. A jeśli uszkodzona była nie tylko jedna?

— Panie Adamowicz...?

Dającą się zauważyć (a właściwie usłyszeć) reakcją na moje słowa było nagłe przerwanie jakiegoś folklorystycznego hitu. Palce nadal bębniły o kierownicę.

— Pamięta pan może przypadkiem ten samochód na parkingu w Guciwie? Taki fiat punto. Czerwony.

— Może i nie pamiętam, a bo co?

— A bo to auto mojego dobrego znajomego. Jakby pan jednak pamiętał, to może by pan wiedział, co się stało z jego oponą?

— Z którą?

— Z lewą przednią.

— Nie wiedziałbym — odparł natychmiast i znów zaczął poświstywać.

Wykręciłem szyję, żeby łąpnąć na niego sprawnym okiem.

— A z tylną?

— Ale z lewą czy z prawą? — Jego palce zacisnęły się kurczowo na obręczy kierownicy. Obfite wąsy i broda zakrywały pół jego twarzy, mimo to miałem

wrażenie, że znów próbuje gwizdać, ale mu nie wychodzi.

— Z prawą. — Mój wybór nie miał żadnego znaczenia, bo i tak spodziewałem się odpowiedzi, która padła zanim jeszcze moje „ą” zdążyło do końca wybrzmieć.

— Też bym nie wiedział.

Ułożyłem plecy na oparciu, chwytając dłońmi pas bezpieczeństwa, spojrzałem przed siebie (kolejna tablica, tym razem z napisem „Lipsko”) i powiedziałem, niby pod nosem, ale wystarczająco głośno, by Adamowicz zdołał zrozumieć moje słowa:

— To co z ciebie za strażnik Teksasu, jak głupiego auta nie umiesz upilnować?

Spodziewałem się pisku opon i gwałtownego szarpnięcia do przodu, lecz pomimo że Bogdan nacisnął natychmiast pedał do oporu, podnosząc się na wyprostowanych nogach, fiesta z cichym szmerem sunęła w najlepsze jeszcze przez jakieś trzydzieści metrów.

— Gumki kiepskie — orzekłem, gdy się zatrzymaliśmy. — Chyba dawno niezmięte i się starły odrobinę?

— Wsiadaj pan, do jasnej cholery! — Adamowicz sapał ze wściekłości. — Nie będziesz mnie pan obrażał! Nikt lepiej nie pilnuje Guciowa! Nikt!!! Rozumiesz pan, panie?!

Przed wyjazdem dopilnowałem, by strzelba, która parę godzin wcześniej została użyta do dość poważnego przemodelowania mojej twarzy, została pozostawiona pod opieką Stanisławskiego, więc teraz mogłem trochę pozgrywać bohatera.

— Słuchaj, człowieku — powiedziałem spokojnie. — Ślepy by zobaczył, co się stało z samochodem, który stoi po drugiej stronie drogi. Jakbyś był czujny, to wiedziałbyś, kto go uszkodził.

— Ja nie jestem jakiś parkingowy! Co mnie to obchodzi? Wsiadaj pan, powiedziałem!

— Kogoś, kto szuka zabójcy swojego bratanka, wszystko powinno obchodzić, bo każdy, nawet z pozoru nieważny fakt może mieć znaczenie w tej sprawie. Gdyby pan mógł mi powiedzieć, co się stało z fiatem, to może ja mógłbym pomóc w sprawie mordercy. No ale skoro tak... — otworzyłem drzwi. — To niech pan sobie dalej szuka wiatru w polu.

Szamotałem się ze swoją sztywną nogą, usiłując wyekspediować ją na zewnątrz, gdy poczułem dłoń na lewym przedramieniu.

— Czekaj pan. Coś pan powiedział?

— To, coś pan słyszał. Żegnam, dalej pójdę pieszo.

\*

Nie poszedłem dalej pieszo.

Przez dłuższy czas się przekomarzaliśmy, próbując przechytryć jeden drugiego i uzyskać potrzebne każdemu z nas informacje. W końcu sprawa stanęła w martwym punkcie — ja oświadczyłem, że nic nie powiem, jeśli Adamowicz nie poinformuje mnie, kto i dlaczego poprzecinał opony w samochodzie Nawrota,

a on z kolei uparł się, że najpierw on musi usłyszeć to, co go interesuje.

Nie mogłem mieć pewności, czy w ogóle coś widział, czy tylko blefuje, ale musiałem przynajmniej spróbować.

W końcu, zmęczony do granic możliwości i zniecierpliwiony całą sytuacją, zaproponowałem, abyśmy odłożyli tę sprawę do następnego dnia, żeby zawiózł mnie wreszcie do Zamościa, do jakiegoś hotelu, a następnego dnia przyjechał, byśmy mogli zakończyć targi, jednak on za nic w świecie nie chciał na takie rozwiązanie przystać. Czuł, że rodzi się dla niego jakaś szansa i nie zamierzał jej wypuścić z rąk.

Ostatecznie stanęło na tym, że jeśli pokażę mu jakiś dowód związany z tym, co stało się w Wielki Piątek dwa tysiące piątego roku, Bogdan opowie mi historię wydarzeń na parkingu, a wtedy z kolei ja zdradzę, kim był morderca. Myślałem o broni pożyczonej od Stanisławskiego, która została przy drodze prowadzącej do Słonecznej Doliny. Nie miałem bladego pojęcia, czy to wystarczy, no ale przecież do ciała Kowalika z odrąbaną saperką głową nikt z tego świata nie miał już dostępu. A szkoda, bo akurat ten widok mógłby być całkiem przekonujący...

Guciów znów otwierał przede mną ramiona, ponieważ ustaliliśmy na koniec, że spędzę tę noc w domu Adamowicza, bo „on ma ważniejsze sprawy na głowie, niż wożenie się w kółko do Zamościa i z powrotem”.

Dwadzieścia minut przed północą telepałem się zatem ponownie w okolicę Słonecznej Doliny, wierząc, że to już ostatni raz. Jedynym plusem całej sytuacji — poza nadzieją na dowiedzenie się czegoś więcej o tym, co zdarzyło się Adamowi — był fakt, że mój szofer zatopił się w głębokich rozmyślaniach i już nie pogwizdywał, ani nie próbował zepsuć kierownicy.

Początkowo sądziłem, że przez roztargnienie pomylił drogę, bo w Lipsku nie zawróciliśmy, tylko auto podążyło w lewo, ale mój niepokój został rozwiany stwierdzeniem, że wrócimy inną trasą, bo — jak to określił Bogdan — „musi mieć więcej czasu na poważną analizę sytuacji”.

Długa prosta kołysała mnie do snu i wydawało się, że wreszcie nie ma przeszkód, bym zamknął oboje oczu. Działające, może nawet zbyt efektywnie, ogrzewanie rozleniwiło i chyba nawet lekko przysnąłem, ale nie na długo. Obok siebie, tuż przed kolejnym skretem w lewo o dziewięćdziesiąt stopni, usłyszałem ciche mormorando:

— Teraz, to już na pewno go nigdy nie złapię. Przez tyle czasu go nie dorwałem, więc wszystko już przepadło i nic tego nie zmieni.

Domyślałem się, kogo dotyczą te słowa, choć nie bardzo rozumiałem ich genezę i sens, niemniej jednak akurat z tymi tezami Adamowicza zgadzałem się w stu procentach.

Droga wbiła się w gęsty las. Mały ford z trudem wspinał się pod zakola niewielkiego wzniesienia, ja znów zamknąłem oczy, kiedy nagle poczułem gwałtowne szarpnięcie w prawo. Popatrzyłem przed siebie, z trudem tłumiąc

krzyk strachu.

— Co to było? — wykrztusiłem, czując, że serce podchodzi mi do gardła.  
— Kto to szedł? Jezus Maria!

Adamowicz spokojnie prowadził i nawet nie wiem, czy usłyszał w moim głosie choć odrobinę strachu.

— Gdzie szedł? — Jednak nie puścił moich wrzasków mimo uszu. — Nikogo nie widziałem. Trochę szarpnęło, bo trzeba było ominąć dziurę w drodze. Dobrze, że w ostatniej chwili ją zobaczyłem, bo moglibyśmy tu utknąć na stałe. A co, śniło się coś panu, panie?

— Tak, śniło się.

Miałem dosyć tych moich chorych omamów spowodowanych zmęczeniem. Wcześniej Kowalik, marzenie o spotkaniu Krzysia, a teraz to... Zbyt dużo czasu spędziłem w Starzyźnie, zbyt wielką część mojego umysłu zaanektował obłąkany szaleństwem i nienawiścią wcielony diabeł w sutannie, jakim niewątpliwie był Dobrowolski. Teraz nie miał już do mnie dostępu, mogłem czuć się bezpiecznie i nie zamierzałem wierzyć nawet w najbardziej realistyczne przywidzenia.

Na przykład takie, że kątem oka na prawym skraju szosy widziałem zmierzającą w przeciwnym kierunku, zakapturzoną postać w habicie...

\*

Wjechaliśmy do kolejnej miejscowości. Tym razem tablica głosiła, że znajdujemy się w Szewni Dolnej.

Starąłem się za wszelką cenę skupić uwagę na mijanych zabudowaniach, ale wyobraźnia wciąż podsuwała obraz zjawy, której ktoś raczej mało delikatnie amputował prawą rękę nieco poniżej barku.

Adamowicz coś tam mrucał do siebie, ale wolałem już rozmowę z wariatem od roztrząsania genezy własnych zwidów. Żeby tylko wynaleźć jakiś w miarę neutralny temat...

— A co tam w polityce nowego, panie Bogdanie? — zapytałem, brutalnie urywając mantrę. — Ostatnio przez dłuższy czas nie czytałem gazet.

Po chwili zastanowienia odparł:

— Ja tam się tym, panie, za bardzo nie interesuję, bo mam ważniejsze sprawy na głowie niż polityka. Ale chyba ostatnio nic się nie zmieniło. Ciągłe prezydentem jest Kaczyński, premierem drugi Kaczyński, znaczy Kaczyński Jarosław, wicepremierami są Lepper i Giertych, i co tam jeszcze...

Nie było sensu słuchać tego dalej. Też sobie wybrałem temat do rozmowy z człowiekiem, który mieszka w przydrożnym szałasie i od dwóch lat poluje, sam nie wiedząc na kogo... Zaraz z pewnością oznajmiłby mi, że w Rosji wybory wygrała cudownie ożywiona mumia Włodzimierza Iljicza, a w amerykańskim Białym Domu urzęduje Miś Jogi.

Spojrzałem na zegarek. Sekundnik za chwilę miał zrównać się z pozostałymi wskazówkami, obwieszczając nadejście Poniedziałku Wielkanocnego.

## 9 kwietnia 2007 (poniedziałek)

Nie ma go.

Pozostawanie na Czarnym Wygonie to szaleństwo. Nie ma grobu starego Greli.  
Nie ma powietrza, nie ma nadziei.

Przyjdźcie tutaj to obłąd.

Nie ma go. Jeszcze.

Cisza.

*Odchodząc, zabierz mnie*

*Proszę, weź mnie też*

*Raz na miesiąc kurz ze mnie zetrzesz*

Co to za słowa? Skąd je znam? Dlaczego właśnie one?

Ciechowski, Republika, „Odchodząc”.

*I tak jestem martwy*

*Odchodząc, zabierz mnie*

Myślałem, że jest większy. I brzydszy. Obok niego trochę przesłanek, z których już wyciągnięto wnioski (to Iwaszkiewicz?).

*Krzyże upadłe lub pochyłe*

*I krzyż pośrodku niby żuraw*

*Czerpiący z ziemi zgniłą siłę*

(tak, Iwaszkiewicz, na pewno)

*Przeraża mnie dziś to pustkowie*

*Konieczne, ale niepotrzebne.*

Co było dalej, wcześniej, na początku? Nie wiem.

Podchodzę bliżej. Krzyże upadłe lub pochyłe. Jeden jeszcze dość świeży.  
Brzozowy.

Tu spoczywają

Paulina Podolak, lat ok. 20, zm. 11.IV.1952 r.

i jej nienarodzone Dziecko

Pokój Waszym Duszom

Czy naprawdę słyszę kroki w kościele?

Czy to On tam jest?

Nie wiem.

Nic już nie wiem.



# Rozdział drugi

## 1.

Nie przeszedłem do porządku dziennego nad tym, co z mojej winy spotkało Adama i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, zasypiając w obcym domu. To oczywiste, że nie zamierzałem bagatelizować śmierci mojego przyjaciela, ale leżąc na niewygodnej wersalce w pomieszczeniu, które zapewne było pokojem gościnnym Adamowiczów, starałem się po raz kolejny wytłumaczyć sobie, że nawet jeśli zrobiłem coś bardzo złego, to przecież ciągle rozpamiętywanie nie ma sensu. Na skraju jawy i snu spłynęła na mnie uspokajająca myśl, że z każdym dniem powinno być lepiej, że jakoś w końcu pogodzę się z samym sobą — tak, jak czasem trzeba dochodzić do porozumienia nawet z najbardziej znienawidzonymi wrogami.

Kiedy się przebudziłem po raz pierwszy, kilka minut po dziewiątej, wydawało się, że to faktycznie zaczyna działać. Pokój wypełniony był ciepłym blaskiem, sączącym się zza śnieżnobiałych firanek; najwidoczniej słońce na dobre zagościło w okolicach Guciowa, stając się moim mimowolnym sojusznikiem w krucjacie przeciw wyrzutom sumienia. Nie mieliśmy we dwójkę szans pokonać tak mocnego nieprzyjaciela, ale mogliśmy wspólnie spróbować przynajmniej trochę go osłabić.

Wtedy zobaczyłem ten zeszyt.

Był oprawiony szarym kartonem i wzmocniony materiałem na grzbiecie. Na pierwszej stronie jego okładki widniała wielka czerwona kropla wpisana w szeroki krzyż. Nad tym, niewidzianym przeze mnie już chyba od kilkunastu lat symbolem, znajdował się napis: „krew to życie”, a pod spodem ktoś wykaligrafował starannym pismem: „Przepisy Świąteczne”. Od razu dało się zauważyć, że jest nienaturalnie spuchnięty od powklejanych do środka dodatkowych kartek. Mniej więcej w trzech czwartych jego grubości wetknięty był plastikowy, biały długopis, którego końcówka wystawała na zewnątrz.

Nie miałem pojęcia, skąd się wziął na siedzisku stojącego obok wersalki krzesła, ale jedno było pewne — znalazł się w tym miejscu już po tym, gdy rozbierałem się do spania. Skoro leżał na moich niedbale rzuconych spodniach, to nie mogło być przecież inaczej.

Sięgnąłem po brulion (jak się okazało — wykonany w Oddziale Produkcyjnym w Brzegu), zważyłem go w dłoni, a potem zacząłem przeglądać. Był częściowo zapisany ładnym kobiecym pismem, ale większość jego zawartości stanowiły

wycięte z gazet i starannie powklejane przepisy na świąteczne wypieki. Było ich tak wiele, że nie od rzeczy byłoby zadać pytanie, czy jedna osoba przez całe życie dałaby radę je wszystkie choć raz wykorzystać.

Powoli, z udawanym przed samym sobą zainteresowaniem, przeglądałem receptury różnych rodzajów bab drożdżowych, serników, mazurków i makowców, ale zaznaczone długopisem miejsce i tak było coraz bliżej. Nauczony własnym doświadczeniem z zapiskami w brulionach, obawiałem się tego, co mogę w nim znaleźć, a przede wszystkim zastanawiałem się, kto i jakiej treści wiadomość pozostawił mi, gdy spałem; co do tego, że zeszyt nie znalazł się przy wersalce przypadkiem, raczej nie miałem wątpliwości.

I rzeczywiście. Na dwóch pierwszych wolnych kartkach brulionu znalazłem fragmenty utworów wymieszane z jakimiś chaotycznymi myślami, a nawet tekst spisany z tabliczki przytwierdzonej do nagrobnego krzyża. Wszystko to wyglądało na zapiski osoby nie zrównoważonej i komuś, kto nigdy nie był w Starzyźnie, nie powiedziałyby zupełnie nic.

Przez długi czas wielokrotnie przebiegałem wzrokiem po zapisanych kartkach w kratkę, przerażony tym (która to już taka rzecz?), o czym nie pomyślałem wcześniej. Teoretycznie powinno mi to wpaść do głowy właściwie odruchowo, tyle że ja w Wielki Piątek dwa lata temu zakładałem, że znajdę się w Starzyźnie, więc drogę stamtąd do krainy wiecznych łowów miałem bardzo prostą. Pętla na szyję albo pomoc bardziej lub mniej zaprzyjaźnionych znajomych i gotowe. Jeśli w przekłętej wiosce się uderzyłem, to na drugi dzień w dalszym ciągu mnie bolało, jeśli się zmęczyłem, to nazajutrz miałem zakwaszone mięśnie, a jeśli ktoś by mi strzelił w brzuch w niedzielę, to w poniedziałek nadal byłbym nieżywy.

A Adam? Co się z nim stało, jeśli znalazł się tam dokładnie w taki sposób jak Gielmuda, czyli zupełnie dla siebie niespodziewanie? Czyżby od czasu, kiedy widzieliśmy się w dwa tysiące piątym roku, zasłużył sobie na tak okrutną karę jak Rafał?

Jeszcze przed kilkoma godzinami zdawało mi się, że najgorszym, co może mnie spotkać, będzie konieczność mierzenia się z myślą, że przyjaciel poniósł śmierć z mojej ręki. Trzymając w ręku zeszyt z napisem „krew to życie”, zrozumiałem, że są inne światy (a przynajmniej jeden), w których to hasło nabiera zupełnie innego, przewrotnego wymiaru.

Dla osób, które znalazły się TAM nie z własnej woli, ich przelana krew nie oznaczała wcale śmierci. Oznaczała co najwyżej nieprzyjemne przebudzenie na Czarnym Wygonie o poranku i dalsze funkcjonowanie jak gdyby nic się nie stało.

— I tak przez całą wieczność — szepnąłem, odkładając zeszyt na krzesło, a zaraz potem odwróciłem się twarzą do ściany i zwinąłem w pozycję embrionalną. — Chyba że pętla na szyję, ale przecież tak na dobrą sprawę i tak niewiele by to zmieniło...

Usłyszałem, że ktoś cicho przechodzi korytarzem, przystając na chwilę przy

drzwiach prowadzących do mojego pokoju i zapewne sprawdzając, czy przypadkiem już się nie obudziłem. Było dość późno, wypadało wstawać, ale konwenanse nie były mi wtedy w głowie. Zaprzętały ją natomiast jeszcze dwa, całkiem rzeczowe zresztą pytania:

Skąd tu, do cholery, znalazł się ten pieprzony zeszyt?

I:

Jakim cudem mogę tego nie wiedzieć, skoro notatki w miejscu zaznaczonym długopisem sporządzone są moim charakterem pisma?

## 2.

Kiedy obudziłem się tego dnia po raz drugi, zbliżała się jedenasta. Najchętniej nie ruszałbym się z wersalki do wieczora, ale delikatne — choć dość stanowcze — pukanie do drzwi nie pozostawiło mi wyboru.

— Już wstaję, panie Adamowicz — oznajmiłem, starając się, aby w moim głosie dało się wyczuć lekką nutę urazy, a po chwili dodałem tym samym tonem:

— Dziękuję, że mnie pan budzi. I tak za długo już spałem.

— Bogdana nie ma — odpowiedział mi kobiecy głos, w którym nie było słyhać nawet zmieszania. — Był rano, ale pan spał, więc wrócił do swojego szalasu. Śniadanie i gorąca kawa na stole. Niech pan wstaje, bo południe pan prześni. — Ostatnie słowa wypowiedziała już się oddalając, czemu towarzyszył odgłos ciężko stawianych kroków.

— No i co z tego? — mruknąłem pod nosem ześlony, ale posłusznie zacząłem zbierać się z posłania.

Nie miałem jeszcze okazji poznać żony Adamowicza. Gdy przyjechaliśmy około wpół do pierwszej, stanowczo upierałem się, aby jej nie budził; nie tylko przez grzeczność, ale także ze względu na wygląd mojej twarzy. Ostatecznie Bogdan sam musiał przygotować mi pościel i robił to tak, jakby się gdzieś paliło. Kiedy skończył, nie zdążyłem nawet zapytać o rozkład pomieszczeń w domu, bo usłyszałem tylko gasnący w oddali warkot silnika.

Zostawił żonę nocą we własnym domu w towarzystwie nieznanego, ale — biorąc pod uwagę to, czego już zdążyłem się o Bogdanie dowiedzieć — jakoś mnie ten fakt szczególnie nie zaskoczył.

W nocy wszystko działo się zbyt szybko, bym mógł przyjrzeć się domowi Adamowiczów, pamiętałem jedynie kuchnię, gdzie gospodarz zostawił mnie na chwilę, gdy sam wyruszył na poszukiwania świeżych poszew i prześcieradła, oraz łazienkę z ubikacją, z której korzystałem przed snem. Wyszedłem z pokoju gościnnego i znaną już drogą podążyłem w stronę otwartych szeroko drzwi, prowadzących do kuchni.

Wyłożony boazerią korytarz przywodził mi na myśl dom w Krasnobrodzie, który Gielmuda odziedziczył po dziadkach, ale była jedna zasadnicza różnica, widoczna na pierwszy rzut oka, nawet dla osoby tak nieprzywiązującej uwagi do drobiazgów jak ja. O ile u Rafała panował kawalerski nieporządek, tak tutaj wszystko było wypucowane do granic przyzwoitości. Zrozumiałem już, dlaczego zostałem obudzony — kobieta, która potrafi utrzymać taki ład, nie zniesie wylegiwania się do południa, nawet za cenę zostania uznaną za osobę niezbyt gościnną.

— Charakterek — mruknąłem.

Przystanąłem dwa kroki przed kuchennymi drzwiami, by przyjrzeć się wiszącym na ścianach trofeom myśliwskim w postaci kilku okazałych jelenich poroży i zadziwiająco wielkiego łba dzika, gdy usłyszałem:

— No idzie pan, czy nie idzie? Kawa to zaraz całkiem zimna się zrobi, a ja nie będę jej przecież podgrzewać, prawda?

Cóż było robić? Musiałem wreszcie stawić czoło istocie, która cenila porządek ponad wszystko. Obraz, który zobaczyłem, stając w progu, doskonale harmonizował z moimi wyobrażeniami, ponieważ żona Adamowicza zajęta była właśnie starannym wycieraniem naczyń przy zlewie i ustawianiem ich na suszarce. Nie zauważyła mnie, więc miałem okazję przez chwilę poobserwować od tyłu tę korpulentną (ale nie otyłą) kobietę średniego wzrostu, z zafarbowanymi na jasny blond, związanymi w staromodny kok włosami. Ubrana była dość elegancko jak na czynności, którymi się akurat zajmowała. Dopiero później uświadomiłem sobie, że tego typu osobie w Poniedziałek Wielkanocny nawet naczyń nie wypadałoby zmywać w niedbałym stroju. Święto, to święto.

— Dzień dobry — odezwałem się.

Odpowiedziała mi, ale nawet się nie odwróciła.

— Przepraszam za kłopot... — dodałem nieco zmieszany. — I w ogóle, że tak bez zapowiedzi...

— Niechże pan wreszcie usiądzie do stołu. Ile razy mam prosić?

Wykonałem polecenie bez szemrania i raz jeszcze spojrzałem w kierunku Adamowiczowej, bo coś było nie tak z tym jej ubraniem. Miała na sobie beżowy dwuczęściowy kostium, niby wszystko było jak należy, ale... Właśnie! — Był zdecydowanie zbyt obszerny... Kiedy swego czasu wyjeżdżałem w teren i rozmawiałem z kobietami ubranymi elegancko, raczej starały się one maskować nadwagę przyciasnymi ubraniami, a tu proszę, jakaś ciekawa odmiana.

Pani domu zakręciła kran, więc natychmiast zająłem się swoimi sprawami, by nie wyjść na natręta. Gdy stanęła twarzą do mnie, przenosiłem akurat od cukiernicy do filiżanki kopiastrą łyżeczkę cukru. Niepotrzebnie odwzajemniłem spojrzenie. Jeślibym tego nie zrobił, zapewne cały cukier trafiłby do kawy, ale stało się inaczej i drobne kryształki rozsypały się na śnieżnobiałym obrusie.

— O Boże, a co się panu przytrafiło?! Ktoś na pana napadł? — W jej głosie

brzmiało nieudawane współczucie. Najwyraźniej szanowny małżonek nie zdążył się jeszcze pochwalić swoimi wczorajszymi wyczynami.

Zapadła niezręczna cisza. Nie wiedziałem, czy mam zacząć opowiadać, dlaczego mam rozkwaszoną gębę, przepraszać za rozsypany cukier, czy też może wstać i się przedstawić. Wybrałem rozwiązanie najprostsze, choć chyba najmniej efektowne — po prostu na nią patrzyłem, wybałuszając ze zdziwienia sprawne oko.

Wiek Adamowicza oceniałem na jakieś siedemdziesiąt lat, tymczasem kobieta, która stała przede mną, była z pewnością o wiele młodsza; prawdopodobnie nie przekroczyła nawet jeszcze pięćdziesiątki. Miała ładną, delikatną, można byłoby rzec nawet, że młodzieńczą urodę. Moją uwagę przykuwały wielkie, głęboko osadzone, niemal czarne oczy, harmonizujące ze śniadą cerą.

— Pani jest... żoną Adamowicza? — wykrztusiłem wreszcie.

— Tak, żoną — wydawało się, że odpowiedziała dość niechętnie. — Proszę poczekać chwilę, przyniosę z piwnicy serwatkę, może przynajmniej trochę ta opuchlizna zejdzie. Bardzo boli? — pytanie zadała już z korytarza.

— Nie bardzo — odparłem, ale pewnie zbyt cicho, bym mógł być usłyszany.

Pod jej nieobecność znalazłem przy zlewie czystą ściereczkę i starłem z obrusu rozsypany cukier. Kobieta wróciła akurat w chwili, gdy znów miałem zamiar usiąść na swoim miejscu.

— Nazywam się Witold Uchmann — powiedziałem, wyciągając rękę. — Przepraszam za tę niespodziewaną wizytę, ale...

— Bogdan wyjaśnił mi, dlaczego pan u nas nocował, nie musi pan przepraszać — weszła mi w słowo i ucisnęła moją dłoń. — Jestem Janina Adamowicz. A teraz proszę usiąść, zjeść śniadanie, a potem spróbujemy coś zaradzić na te pańskie obrażenia.

Nie bardzo miałem pojęcie odnośnie do zabiegów, jakie mnie czekają, więc nie spieszyłem się zbyt przy spożywaniu posiłku. Na szczęście gospodyni nie miała zamiaru mi towarzyszyć, więc była to też okazja na zebranie myśli.

Działo się zdecydowanie zbyt wiele rzeczy, których nie potrafiłem wyjaśnić, a teraz jeszcze ona. Gdy przed kilkoma minutami zamierzałem posłodzić kawę, ręka nie zdrząła mi dlatego, że Adamowiczowa okazała się młodsza i ładniejsza, niż się tego spodziewałem (aby być precyzyjnym — nie przede wszystkim z tego powodu). Drgnąłem głównie dlatego, że kobieta wydała mi się znajoma. To było odczucie podobne do tego z poprzedniego dnia, gdy zdążając do Guciowa, wspominałem dziwny sen i wizerunek mojej nieistniejącej siostry. W pierwszej chwili nawet naszyły mnie wątpliwości, czy to przypadkiem nie ta sama twarz, ale natychmiast przypomniałem sobie, że tamta kobieta miała zielone oczy, jasną karnację i ciemne włosy. Poza tym prawie na pewno osoba, która mi się przyśniła, była jeszcze młodsza od Janiny Adamowicz.

Dopijałem właśnie kawę, gdy po przeciwległej stronie pomieszczenia

zobaczyłem na wiszącej kuchennej szafce ustawiony starannie rząd książek. Zadrukowane grzbiety świadczyły o tym, że są to pozycje zawierające przepisy kulinarne. Tuż obok stało kilka zeszytów, a przerwa między nimi wskazywała, że jednego brakuje. Przed położeniem się spać siedziałem dokładnie w tym samym miejscu, więc prawdopodobnie podświadomie zarejestrowałem obraz, a gdy potrzebne mi były kartki do zapisania, w jakimś lunatycznym transie po prostu dotarłem tu jak po sznurku.

„Dobrze, że przynajmniej trafiłem później do swojego łóżka — pomyślałem. — Gdybym pobłądził, miałbym spore szanse na drugie podbite oko”.

### 3.

Dzięki nasączonemu chłodnym płynem kawałkowi gazy faktycznie odczułem ulgę. O szybkim zniknięciu opuchlizny nie było mowy, ale po godzinie mogłem już minimalnie podnieść lewą powiekę, a dodatkowo, co cieszyło mnie jeszcze bardziej, tępy, pulsujący ból nieco odpuścił. Wywołujący lekkie mdłości zapach serwatki nie stanowił w tej sytuacji wielkiej uciążliwości.

Z żoną Adamowicza nie rozmawiałem prawie w ogóle, ponieważ ograniczyła się do zaopatrzenia mnie w materiały niezbędne do przygotowywania okładów i wydała dyspozycję, bym dokonywał tych zabiegów, leżąc na wznak na gościnnej wersalce. Miałem więc trochę czasu na dalsze przemyślenia, ale z tego akurat powodu nie byłem zbyt szczęśliwy. Całkowita bezradność w obliczu minionych zdarzeń, wyrzuty sumienia i świadomość, że być może gdzieś tam, w innym wymiarze mój przyjaciel przez moją głupotę musi zmagać się z zagrożeniem ze strony Dobrowolskiego — to wszystko zmusiło mnie do kategorycznego postanowienia, że od tej chwili kończę z zamartwianiem się rzeczami, na które nie mam wpływu, i będę robił wszystko, aby zająć umysł czymś innym.

Najlepszą metodą na zrealizowanie tego zamierzenia wydawała się rozmowa z kimkolwiek, najlepiej o rzeczach błałych, więc podniosłem się, zabrałem resztę serwatki i materiał opatrunkowy, po czym wyszedłem z pokoju z zamiarem odszukania gospodyni. Zaraz jednak wróciłem, by ukryć „Przepisy Świąteczne” na samym dnie podróżnej torby.

Kręcenie się przez kilka minut po korytarzu i dyskretne pochrząkiwanie niewiele dały, więc wreszcie rzuciłem w bliżej niesprecyzowaną przestrzeń:

— Pani Adamowicz...? Mogę o coś zapytać?

Postałem w bezruchu jakiś czas, ale odpowiedzi nie było. Zastukałem więc do najbliższych drzwi, a zaraz potem nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Pokój wyglądał na niewielką sypialnię, ale na znajdującym się na wprost drzwi

wąskim łóżku ciężko byłoby się wyspać dwóm osobom. Kiedy znalazłem się przy oknie i wyjrzałem na zewnątrz, okazało się, że wychodzi ono na podwórze, za którym widać asfaltową drogę przecinającą Guciów.

W nocy ciężko było dostrzec cokolwiek, ale teraz w pełnej krasie roztaczał się przede mną charakteryzujący całe obejście obraz nędzy i rozpacz, który wręcz krzyczał o dobrego gospodarza. Na podwórzu poskładane były chaotycznie jakieś deski, ale folię, która miała je chronić przed deszczem, już dawno poszarpał wiatr, a potem porozrzucał jej strzępy po podwórzu. Między stosami walały się jakieś narzędzia, na ziemi gniły pnie pościananych drzew poprzerastane zeszłoroczną, zeschniętą trawą, której co najmniej od zeszłej wiosny nikt zapewne nie kosił. Otwarte na oścież wrota stodoły kołysały się leniwie w takt podmuchów powietrza, a dach na murowanej oborze zawalił się do środka. Kiedy patrzyłem na tę całą ruinę, przypomniały mi się zniszczone domy i zabudowania gospodarcze w Starzyźnie, tyle że tam widok nie robił aż tak przygnębiającego wrażenia, z prostej przyczyny — właściciele przeklętych obejść nie żyli i nie było komu o nie zadbać. Ta zagroda wyglądała tak, jakby i jej gospodarz był martwy, a ja wiedziałem przecież, że — przynajmniej fizycznie — ma się nie najgorzej.

Pokój, podobnie jak korytarz, kuchnia, łazienka i gościnny, wręcz lśnił czystością. Osoba, która dbała o utrzymanie w nim porządku, wciąż najwyraźniej dzielnie toczyła walkę o ład, nie pozwalając chaosowi z zewnątrz przeniknąć przez cienkie szyby.

Gdy wychodziłem, moją uwagę zwrócił stary, drewniany, prawdopodobnie jeszcze przedwojenny zegar, zdaje się, że zepsuty, ponieważ wielkie miedziane wahadło zwisało nieruchomo, a wskazówki pokazywały kwadrans po czwartej. Odruchowo spojrzałem na nadgarstek, by stwierdzić, że wiekowa maszyna właściwy czas wskaże mniej więcej za trzy i pół godziny.

Obszedłem metodycznie wszystkie pomieszczenia, w żadnym z nich nie znajdując ani śladu nieporządku.

„Jeśli jest choć trochę prawdy w obiegowej opinii, że wysprzątane mieszkanie jest oznaką zmarnowanego życia, to Janinie Adamowicz wypada tylko współczuć” — pomyślałem, a zaraz potem mruknąłem sam do siebie:

— Tak, za to jej mąż i „porządek” na podwórzu, to dobitne przykłady tego, że takie twierdzenia mają jakąkolwiek wartość.

Tocząc te rozważania, znajdowałem się w ostatnim pokoju na parterze — gustownie urządzonej sypialni pani domu. Sięgnąłem po pilota i po raz pierwszy od ponad dwóch lat włączyłem telewizor. Nadawano właśnie pierwsze popołudniowe *Wiadomości*, a prezentowany materiał pokazywał jak banda wyrostków goni z pełnymi wiadrami umykające po rynku jakiegoś miasta dziewczęta. Widać było, że panny uciekają tak sprytnie, aby przypadkiem nie zostawić napastników za bardzo z tyłu. Żeby świątecznej tradycji stało się zadość, zaraz potem na ekranie pojawił się policjant, który ze srogą miną pod lśniącym

daszkiem czapki zagroził mandatami karnymi ewentualnym chuliganom, przekraczającym granice dobrej zabawy.

Następna była krótka migawka z uroczystej mszy i fragment kazania biskupa Dziwisza, który — jak się okazało — pod moją nieobecność zdążył zostać metropolitą krakowskim i kardynałem. Stało się oczywiste, że ktoś inny jest już papieżem, niż wtedy, gdy zapakowałem się do opla Gielmudy i ruszyłem w pościg za Kowalikiem.

— Jak Murzyn, to zaraz koniec świata — oznajmiłem nieznannej mi prezenkerce, przytaczając zasłyszaną niegdyś przepowiednię, po czym wyłączyłem hałaśliwe pudło. To była dobra decyzja, bo dzięki niej udało mi się wreszcie zlokalizować żonę Adamowicza.

Usłyszałem z zewnątrz pokastywanie, podszedłem do okna wychodzącego na położony za domem sad i okazało się, że kobieta siedzi z książką w ręku przy plastikowym, ogrodowym stoliku.

\*

— Ciekawa powieść? — zapytałem, zbliżając się do zatopionej w lekturze gospodyni.

Drgnęła i podniosła wzrok, by zaraz potem zatrzymać go niżej, mniej więcej na wysokości mojego chromego kolana.

— Trudno powiedzieć, dopiero zaczęłam czytać — odparła i odłożyła książkę w taki sposób, że pierwsza strona okładki znalazła się na dole. — Nie przepadam za horrorami, więc mam dość mieszane odczucia. No ale skoro autor pisze o naszym Guciowie, to się skusiłam na zakup i przeczytanie. Jak tam oko?

— Dziękuję, świetnie.

Jej wyraz twarzy nie potwierdzał mojego entuzjazmu, jednak taktownie zbyła moją odpowiedź milczeniem i sięgnęła po stojący na stoliku kubek.

— Widzę, że pan utyka. Może także na kolano przydałby się jakiś okład? Zdaje się, że ktoś pana mocno poturbował.

— Na szczęście noga to zdecydowanie starsza sprawa. — Położyłem rękę na oparciu wolnego krzesła. — Można?

— Tak, proszę. — Spodobał mi się jej uśmiech.

— Dziękuję. — Zająłem miejsce naprzeciw niej. — Wie pani może, kiedy można się spodziewać męża? Nie chciałbym nadużywać państwa gościnności...

— Powinien pojawić się około siedemnastej. Zwykle przyjeżdża o tej porze, żeby przekąsić coś ciepłego.

Popatrzyłem na zegarek.

— Wygląda więc na to, że jeszcze przez prawie cztery godziny będzie pani musiała znosić obecność intruza w domu.

Miałem nadzieję, że znów się uśmiechnie, ale tym razem pozostała poważna.

— Goście w naszym domu zawsze są mile widziani — powiedziała, odwracając wzrok. — Szkoda, że od dłuższego czasu tak rzadko mam okazję, by ktoś...



ktokolwiek... mógł się o tym przekonać.

Natychmiast zrozumiałem, że żarty się skończyły, bo czegoś takiego zwykle nie mówi się nieznanemu. W jednej sekundzie wkroczyliśmy na grząski grunt, a ja nie miałem pojęcia, co mogę odpowiedzieć, więc milczałem, rozglądając się wokół z udawanym zainteresowaniem. Na szczęście cisza nie trwała zbyt długo.

— Może napije się pan herbaty? Mnie właśnie się kończy i pójde sobie zrobić kolejną, więc...?

— Z przyjemnością. — Odetchnąłem.

Wstała. Gdy na nią popatrzyłem, miałem wrażenie, że ma wilgotne oczy, ale nie byłem tego do końca pewien.

— Mogę rzucić okiem? — zapytałem, wskazując palcem na książkę.

— Oczywiście.

Gdy oddaliła się o kilka kroków, dyskretnie pociągnęła nosem.

„A więc jednak...” — pomyślałem, ale do poczucia satysfakcji, wynikającego z faktu, że wydumane teorie czasem się sprawdzają, było mi bardzo daleko.

Nie minęła chwila, a zdążyłem już całkowicie zapomnieć o poznanej tego dnia kobiecie i jej problemach rodzinnych.

\*

Gapilem się jak sroka w gnat na pierwszą stronę okładki powieści, którą właśnie trzymałem w dłoniach. Grafika przedstawiała małą, najwyżej dziesięcioletnią dziewczynkę, zmierzającą w kierunku czytelnika od strony widocznych w oddali zabudowań i patrzącą na wprost lekko fosforyzującymi, pozbawionymi źrenic oczyma. Sukienka w białe grochy była nieco inna od tej, którą widziałem dwa dni wcześniej, kładąc Anielkę w przedsionku starzyźnianego kościoła, pomiędzy martwymi Komisarczukami, ale podobieństwo rysów twarzy było wręcz uderzające i przyprawiało mnie o trudne do opanowania dreszcze. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, mógłbym dać sobie rękę uciąć, że grafik wykonał ilustrację, wzorując się na zdjęciu małej. Kiedy odrobinę ochłonąłem, zacząłem zastanawiać się, jakie jest prawdopodobieństwo, by na podstawie dość pobieżnego opisu, który spodziewałem się znaleźć w książce, odwzorować czyjeś rysy z taką dokładnością. Odpowiedź była oczywista — szanse na tego typu zbieg okoliczności są na tyle niewielkie, że mając takie szczęście, należałoby wysłać kupon totka i zaraz po wyjściu z kolektury zacząć szastać pieniędzmi na poczet przyszłej wygranej.

Tyle że cała historia, przez którą znalazłem się na Roztoczu, nauczyła mnie już wystarczająco skutecznie, że akurat w związku z tą sprawą nie ma co zbyt wiele wierzyć w mędrca szkiełko i oko. Wystarczy wspomnieć przyczynę i sposób, w jaki Gielmuda znalazł się w Starzyźnie. Przypadek i zbieg okoliczności? Tak, oczywiście. Z całą pewnością.

Powieść nosiła tytuł „Czarny Wygon”. Dane autora zupełnie nic mi nie mówiły i nie było w tym niczego dziwnego — ostatnią rzeczą, jakiej bym się spodziewał,

byłoby wydanie jej przez Adama pod własnym nazwiskiem.

„A więc jednak notatki dotarły do adresata” — pomyślałem jeszcze przed zajrzeniem do środka. Była to jedna z niewielu pozytywnych refleksji w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, ale dobre i to. Przynajmniej mała Paulinka nie straciła ojca po tym, jak Kowalik zaatakował go przy samochodzie. Mając nadzieję, że dowiem się więcej o losach Rafała, otworzyłem książkę i pobieżnie ją przekartkowałem.

Okazało się, że prawie całą jej treść stanowi to, co napisałem w domu Gielmudy. Wyjątkiem były prolog i epilog, spinające tekst swego rodzaju kłamrą. Dodatkowego, obcego mi i pisanego w trzeciej osobie tekstu było dosłownie kilka stron, więc kiedy upewniłem się, że gospodyni nie wraca jeszcze z herbatą, wziąłem się za lekturę.

Właśnie dochodziłem do końca części wstępnej, kiedy zobaczyłem przed sobą filiżankę z parującym, ciemnobrazowym płynem i talerz pełen świątecznych wypieków.

— Jeśli pana zainteresowała, to mogę pożyczyć — powiedziała żona Adamowicza, zajmując swoje miejsce.

— To miłe z pani strony, ale nie ma takiej potrzeby — odparłem, odwzajemniając uśmiech, który ponownie zagościł na jej śniadej twarzy. — Nie wiem, kiedy bym oddał, a poza tym... no cóż, wydaje mi się, że już ją czytałem. Chciałem tylko rzucić okiem, czy dobrze pamiętam zakończenie. Zajmie mi to tylko minutkę. Nie pogniewa się pani, że czytam w jej towarzystwie?

— Proszę sobie nie przeszkadzać. Kiedy na pana spojrzałam, to przypomniałam sobie o jeszcze jednej rzeczy, którą powinnam była przynieść z domu.

Zanim zacząłem epilog, zastanowiłem się nad tym, jaką część książki kobieta już zdążyła przeczytać i czy udało się jej zapamiętać, jak się nazywam po tym, jak się rano przedstawiłem. Istniało zagrożenie, że może skojarzyć fakty, a ja nie miałem ochoty na tłumaczenia. W końcu postanowiłem, że w razie czego będę szedł w zaparte i przekonywał o przypadkowej zbieżności nazwisk. Pożałowałem też, że odruchowo odmówiłem pożyczania książki. Gdybym ją wziął, miałbym o jeden kłopot mniej.

Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

\*

Przedmiotem, którego zapomniała żona Adamowicza okazały się, pamiętające chyba jeszcze lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku, okulary przeciwsłoneczne, podobne do tych używanych przez Toma Cruise'a w filmie „Top Gun” — nieodzowny atrybut każdego umundurowanego krawężnika z amerykańskiego kryminału. Miały wielkie, ciemne, lustrzane szkła, mogące skutecznie zamaskować większość moich niezbyt efektownie wyglądających obrażeń w okolicy oka.

— Pomyślałam, że może się panu na coś przydadzą — powiedziała.

Popatrzyłem uważnie, czy przypadkiem nie stroi sobie żartów, ale nie dostrzegłem ani cienia ironii. Wiedziałem, że z moim kształtem twarzy będę w tych okularach wyglądał jak Bzyk z „Pszczółki Mai”, ale to było i tak lepsze od wizerunku pięściarza, który w czasie walki zapomniał podnieść gardę. Podziękowałem więc grzecznie i schowałem się za nieprzeniknionymi od zewnątrz szklami.

Wciąż kurczowo trzymałem książkę w dłoniach, bojąc się, że zostanę zdemaskowany, lecz na szczęście kobieta zdawała się w ogóle o niej nie myśleć. Usiadła wygodnie, przymknęła oczy i skierowała twarz ku słońcu, ja zaś zacząłem przetwarzać w głowie świeżo pozyskane informacje.

Zwłaszcza te o wizycie Adama w domu rodziców Gielmudy.

Rozglądałem się po otaczającym nas sadzie, jakbym właśnie od zaczynających się już nieśmiało pokrywać białymi kwiatami drzew chciał uzyskać odpowiedź na nurtujące mnie pytanie:

Czy nieznana siła, pociągająca za sznurki ludzkich losów, mogłaby uznać, że za grzech nieodpuszczenia bliźniemu win można kogoś ukarać w okrutny sposób?

Wciąż przypominałem sobie słowa zapisane kursywą na przedostatniej stronie „Czarnego Wygonu”, a zwłaszcza zdanie: „Jeśli zaś chodzi o Magdę, to nigdy Ci nie wybaczę tego, co się stało przez Twoją głupotę. Myślę, że to zrozumiesz, bo sam straciłeś niedawno bliską Ci osobę”. Późniejsze słowa w jakiś sposób łagodziły ten przekaz, ale jednak nie dawały szans na jakąkolwiek zmianę stanowiska w kwestii przebaczenia. A przecież Rafał w Warszawie, w biurze naszej redakcji przeprosił i wręcz o nie błagał.

— Po jakiego grzyba pojechałeś do tego Krasnobrodu? Trzeba było wziąć klucze i spieprzać...

— Pan coś do mnie mówił?

Zdaje się, że w zamyśleniu, zupełnie nieświadomie wyszeptałem swoje myśli pod nosem. A może nawet powiedziałem głośno? Cholera wie...

— Nie, proszę pani. Zdaje się, że ostatnio zbyt długo przebywałem w samotności — te słowa przeszły mi gładko przez gardło. Być może dlatego, że nie były one do końca kłamstwem. Kilkadziesiąt godzin w Starzyźnie od północy z piątku na sobotę i wczorajszy powrót zdawały się trwać w mojej świadomości przynajmniej przez kilka tygodni. — Zdarza mi się teraz mówić do samego siebie, proszę wybaczyć i nie zwracać na to uwagi.

Znów lekko, prawie niezauważalnie, się uśmiechnęła, ale nic nie odpowiedziała. Postanowiłem, że zamiast obojętnych drzew, lepiej będzie jak będę obserwował moją towarzyszkę. Nieprzeniknione szkła dawały ku temu świetną sposobność.

„A może nie powinienem się obwiniać?” — ta nagła myśl sprawiła, że aż drgnąłem. Skoro Gielmuda znalazł się w Starzyźnie za karę, to może i z Adamem było podobnie? Kto wie, może byłem tylko narzędziem w ręku mocniejszej ode mnie siły, która sprawiła, że znalazłem się w odpowiednim miejscu i czasie

z nabitym karabinem w rękę? Przecież z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że nie powinienem był trafić!

— Rachunki prawdopodobieństwa, póki co, schowaj sobie między bajki.

„Znów mówiłem na głos? Psiakrew!” — pomyślałem.

Kobieta lekko się poruszyła, ale tym razem nie zareagowała niczym ponadto.

„Nie, chyba nie. Ale uważaj...”. — Musiałem być czujny. Po wszystkich przeżyciach ostatnich dni moje zachowanie i spowolnione procesy myślowe pozostawiały wiele do życzenia, przez co mogłem sobie tylko napisać dodatkowych kłopotów, a przecież tylko tych, z którymi już musiałem się zmagać, było aż nadto.

Z obecnej perspektywy wiem, że powinienem był wtedy wrócić do domu i w samotności czekać na powrót szurniętego Bogdana, ale wtedy... cóż, nikt, kto nie przeżył dwóch lat pod kopułą nieprzeniknionych chmur, w otoczeniu dusznego, śmierdzącego zgnilizną powietrza i w towarzystwie pojawiających się od czasu do czasu upiornych wisielców, nie będzie w stanie mnie zrozumieć. Siedząc w towarzystwie żywej, z krwi i kości osoby, w otoczeniu zieleni i kwitnących drzew owocowych, a także — może przede wszystkim — ciesząc bladą skórę promieniami ciepłego, życiodajnego słońca, ryzykowałem wiele, zapewne więcej, niż wtedy mogłem przypuszczać. Gdyby jednak ktoś w tamtej chwili przyszedł, przyłożył mi lufę do głowy i kazał dokądś iść (na co zresztą, jak się później okazało, nie musiałem zbyt długo czekać), to tylko bym się uśmiechnął szeroko i rzekł:

— Wal, bracie, śmiało ze swojej dwururki! Przecież to wymarzona chwila na umieranie...

## 4.

— Joseph Ratzinger. Z Niemiec.

Gdyby mogła przeniknąć wzrokiem przez szkła moich superlustrzanek, zobaczyłaby bezbrzeżne zdumienie, choć i tak prawdopodobnie jego część odmalowała się na nieosłoniętej okularami części twarzy.

— Słu... słucham? — wydukałem niepewnie.

— Papieżem jest. Teraz. Zastanawiał się pan głośno, więc pomyślałam, że pomogę. — W jej oczach tliły się ogniki rozbawienia. — Benedykt XVI. Nie Murzyn.

— Aha, no tak. — Odchrząknąłem. — Dziękuję bardzo.

No i stało się. Krążyłem myślami wokół mojego przyjaciela, analizując pierwszą część książki (wciąż zaciskałem palce na jej okładce) i musiało mi się znów coś wyrwać. Zmieszany utkwiałem spojrzenie gdzieś obok Adamowiczowej, łypiąc

tylko na nią z ukosa od czasu do czasu, tak jakby okulary nagle straciły swoje właściwości.

Nie odpuściła nawet na moment. Pochyliła się w moją stronę i świdrowała mnie tymi ciemnymi oczyskami. Trwało to dość długo, aż wreszcie uśmiech całkowicie wyparował z jej ładnej twarzy. Poczułem się jak mały Kazio, który zaraz dostanie reprimendę.

— Pójdę do domu — powiedziałem i zacząłem się podnosić z miejsca. — Zmęczony chyba jestem trochę i...

— Za chwilę pan pójdzie. — To nie była prośba, a stwierdzenie faktu. — Zanim to nastąpi, najpierw mi pan powie, gdzie pan się podziewał przez tyle czasu.

Opadłem posłusznie na krzesło, a ona ułożyła plecy wygodnie na oparciu, umościła się, jakby przygotowując się na dłuższą historię, i założyła ręce na piersiach. W międzyczasie nie spuszczała ze mnie oczu nawet na ułamek sekundy.

— Jak rozumiem, mniej więcej przez dwa lata, bo tyle minęło od wyboru nowego papieża... Zgadza się?

— Tak, rzeczywiście, ma pani rację. — Nie było wyjścia. Musiałem podjąć grę. — Byłem za granicą, więc miałem utrudniony dostęp do wiadomości, rozumie pani, jak to jest...

Roześmiała się cicho i położyła łokcie na stole, a zaraz potem podparła prawą dłońią brodę. Gdyby nie okoliczności, jej śmiech bardzo by mi się spodobał. Niewymuszony, miły i... niezłośliwy. Patrzyła na mnie z przychylnym zainteresowaniem — tak jakbym właśnie przed momentem opowiedział jej dowcip roku. Przypominała widza na kabaretowym występie, który oczekuje na kolejne, równie zabawne historyjki. W odpowiedzi uprzejmie wyszczerzyłem zęby i zacząłem spoglądać w kierunku prowadzącej do domu ścieżki. Miałem nadzieję dać jej tym wyraźnie do zrozumienia, że bisów nie będzie.

— Był pan na bezludnej wyspie? — zapytała, gdy udało jej się nieco opanować rozbawienie.

— Nie, no nie na bezludnej... To znaczy nie byłem na wyspie, tylko...

— Tylko gdzie?

Ogarnęła mnie lekka irytacja. To, że gościła mnie u siebie w domu, nie upoważniało jej przecież jeszcze do tak bezkompromisowego wypytywania.

— W dzisiejszym świecie mało jest miejsc, do których przez dwa lata nie docierają tego typu informacje — cisnęła bez litości, a ja się coraz bardziej złościłem. — Więc...? Słucham!

Tego było już za wiele.

— A niby dlaczego ja się mam przed panią spowiadać? — podniosłem lekko głos. — Czy ja się wpytyuję o pani życie i o to, gdzie pani była i co robiła przez ostatnie dwa lata? Dlaczego pani, atrakcyjna przecież kobieta, wyszła za mąż za jakiegoś nierozgarniętego, sepleniącego kurdupla, starszego od siebie o dobre

ćwierć wieku? Są sprawy, o których po prostu nie mamy ochoty opowiadać. Czy tak trudno to zrozumieć?!

Przez moment słyhać było tylko śpiew ptaków dobiegający z koron otaczających nas drzew.

— Po pierwsze, panie Uchmann, proszę nie obrażać mojego męża. — Jej głos był opanowany o wiele bardziej od mojego, ale zabrzmiała w nim wyraźnie lodowata nuta. — Nic pan o nim nie wie i nie panu go oceniać, zwłaszcza biorąc pod uwagę wygląd zewnętrzny — to po pierwsze. Po drugie — fakt, że mieszkam na wsi, nie oznacza jeszcze, że pan, wielki dziennikarz z Warszawy, musi mnie traktować jak jakąś głupią...

— Nie traktuję pani w ten sposób, pani Adamowicz — przerwałem jej o wiele spokojniejszym tonem.

Próbowałem załagodzić sytuację, bo zdecydowanie się zagalopowałem, ale użycie jej nazwiska zabrzmiało w tym momencie bardzo niemiło.

— Chciałem być uprzejmy... — ciągnąłem — ...i wyjść z tej sytuacji bez niepotrzebnego spięcia, jakim byłaby odmowa odpowiedzi. Nie sądziłem, że aż tak bardzo będzie pani ciekawa...

— Trzeba było tak od razu powiedzieć. Zrozumiałabym.

— Nie znamy się. Skąd mogłem wiedzieć?

Przerwałem nagle, patrzyłem przez jakiś czas w jej oczy, a potem powolnym ruchem zdjąłem okulary.

— Zaraz, chwila moment... A skąd pani wie, że jestem dziennikarzem z Warszawy? Kto pani o tym powiedział? Mąż?

Jej wzrok powędrował na trzymaną przeze mnie książkę.

— Mogę na chwilę? — zapytała i wyciągnęła po nią rękę.

Nie podałem jej. Zamiast tego dodałem dwa do dwóch, a po chwili milczenia zapytałem:

— Pani ją czytała, prawda? Całą...

Cofnęła dłoń, przytaknęła skinieniem głowy, a potem jeszcze potwierdziła, mówiąc:

— Tak, czytałam ją już jakiś czas temu, a dziś chciałam sobie przypomnieć parę faktów, po tym, jak przedstawił mi się pan przy śniadaniu...

— Zapewniam, że to zbieg okoliczności — rozpocząłem bez przekonania, wcielając w życie swój wcześniejszy plan. — Sam się dziwiłem, że...

— Jest pan pewien?

Sam już nie wiedziałem, co powiedzieć. Wybawiła mnie, punktując po kolei:

— Imię i nazwisko się zgadza, przed chwilą sam pan przyznał, że jest dziennikarzem z Warszawy. Utyka pan na prawą nogę, dokładnie tak, jak bohater „Czarnego Wygonu”, wypytywał pan męża (wiem, bo powiedział mi o tym, zanim zdążył rano wyjechać) o tego mężczyznę z czerwonego fiata, który poszedł w stronę Słonecznej Doliny wczoraj rano i nie wrócił. To Adam Nawrot, pański

przyjaciel, prawda?

Nie odpowiedziałem, więc kontynuowała:

— Przepraszam, że nie przyznałam się od razu, że znam jej treść... — pokazała palcem książkę — ...ale przyjął, że dzięki temu będę miała szansę więcej się dowiedzieć. I tak się właśnie stało. Proszę mnie zrozumieć...

Nabrałem głęboko powietrza i wypuściłem je powoli, kiwając przy tym lekko głową.

— Rozumiem.

— Zachowywał się pan dziwnie, mówił pan przy mnie sam do siebie, no a kiedy usłyszałam, że nie wie pan, kto jest teraz papieżem, wreszcie mogłam mieć pewność. Stąd moje pytania. Proszę wybaczyć, ale sam się pan zdradził. Teraz pozostaje jeszcze kwestia, na ile można wierzyć temu, co zostało napisane, a na ile jest to literacka fikcja... — Przerwała, by przyjrzeć mi się z uwagą.

Skryłem twarz w dłoniach. Kręciło mi się w głowie i poczułem silne mdłości.

— Panie Uchmann... — teraz mówiła bardzo cicho, prawie szeptem. — Jeśli nie chce pan niczego zdradzić, zrozumieć. Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Ludzie, którzy czytali, gadają różne rzeczy, ale ja sądzę, że to wszystko może być prawdą... Być może się mylę, trudno. W każdym razie — jeśli zechce pan coś powiedzieć, to niech to będzie prawda, dobrze?

Położyłem poranione poprzedniego dnia ręce przed sobą, a ona — całkowicie niespodziewanie, ujęła je w swoje drobne dłonie i patrzyła na mnie tak, że zupełnie nie potrafiłem zebrać myśli.

— Czy pani mąż... — zacząłem, starając się nie odwzajemnić uścisku — ...czy pani mąż czytał i wie tyle samo, co pani?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— To dobrze — powiedziałem. — Czyli Adam poszedł wczoraj rano w stronę Słonecznej Doliny?

— Tak. Spędził noc w samochodzie, a potem, niedługo przed południem podążył w górę.

Patrzyłem na nią bardzo długo, czując, jak łzy wzbierają w moich oczach.

— Ja go zabiłem — szepnąłem. — Zastrzeliłem najlepszego przyjaciela. Nie chciałem, to się stało zupełnie przypadkiem, byłem pijany, nie wiedziałem, co robię...

Nie cofnęła rąk. Przeciwnie — jeszcze bardziej je zacisnęła.

— Boże, co ja najlepszego zrobiłem...

Chciałem coś jeszcze dodać, jeszcze jakoś się usprawiedliwić, ale zabrakło mi tchu i zacząłem płakać.

W każdej porządnej telenoweli w momencie, gdy Janka trzymała mnie za rękę, wróciłby Adamowicz i rozpętałoby się piekło, a w najlepszym razie — zraniony mąż obserwowałby całą scenę zza węgła, planując krwawą zemstę. Ale życie to nie jest ciągnący się w nieskończoność, rozwodniony milionem odcinków serial, więc nic podobnego się nie wydarzyło.

Kiedy się uspokoiłem i wyrzuciłem z siebie nagromadzone przez kilka dni emocje, bez pośpiechu dokończyliśmy herbatę, a ja zdołałem nawet spróbować przyniesionych wcześniej przez Jankę ciast, stwierdzając jednoznacznie, że zeszyt opatrzony napisem „krew to życie” i zawierający „Przepisy Świąteczne” na pewno nie stoi na kuchennej szafce w charakterze łapacza kurzu (a przynajmniej nie jest to jego jedyne zastosowanie).

Mało wtedy mówiliśmy. Sytuacja, w której facet płacze w towarzystwie kobiety, jest na tyle intymna, by wytworzyć swego rodzaju więź, jakiej nie dałyby dziesiątki płytko przegadanych godzin. Bez zbędnych ceregieli przeszliśmy na „ty”; stało się to niejako w sposób oczywisty — zdaje się, że nawet żadne z nas tego nie zaproponowało. Niektóre rzeczy w podobnych momentach dzieją się ot tak, po prostu i nikt sobie nie wyobraża, by mogło być inaczej. Potrzebowaliśmy nawzajem swojej obecności i cieszyliśmy się chwilą. Gdy milczeliśmy, nie była to nerwowa cisza, a gdy któreś z nas się odzywało, nie były to słowa wypowiedane na siłę.

Od czasu do czasu spoglądałem na zegarek w obawie, że wróci Adamowicz i wszystko zepsuje, lecz na szczęście wskazówki mojego timexa łaskawie spowolniły bieg i do siedemnastej wciąż było daleko.

Zbierałem się właśnie do opowiedzenia przynajmniej części mojej historii, gdy odezwała się Janka:

— To nie jest tak, że Bogdan jest ode mnie aż tyle starszy.

Chciałem zaprotestować, powiedzieć, że wcale nie musi mi niczego tłumaczyć, ale powstrzymała mnie ruchem ręki.

— Wiem, że nie chciałeś mi sprawić przykrości — mówiła dalej. — Jest między nami czternaście lat różnicy. Mnie za kilka dni stuknie pięćdziesiątka, on w lutym skończył sześćdziesiąt cztery lata. Wiem, że bardzo źle wygląda, ale nic nie mogę na to poradzić. Próbowałam ze wszystkich sił odwieść go od tej jego obsesji, ale wszystko na nic. Śmierć Piotrusia wstrząsnęła nami, ale o ile mnie udało się z tego po jakimś czasie wyjść, wytłumaczyć sobie, że nie można cofnąć tego, co miało miejsce, o tyle Bogdana cała ta sytuacja po prostu zrujnowała psychicznie. Widziałeś, jak wygląda podwórce, prawda? Nie potrafię już nic zmienić. Nasze życie obróciło się w niebyt. Kiedyś wszystko wyglądało inaczej, przed dwoma laty nie poznałbyś tego obejścia, było zadbane aż do przesady... Ja sama nie mam siły, by zajmować się gospodarstwem. Przy moim stanie zdrowia, jedyne, co mogę zrobić, to dopilnować, by przynajmniej dom był jako tako zadbany.



Przypomniałem sobie, że Stanisławski wspominał coś o chorobie żony Bogdana, zdaje się, że chodziło o sprawy związane z sercem. Teraz zaczynałem rozumieć, skąd te zbyt luźne ubrania Janki. Miałem nadzieję, że to świadoma dieta, a nie wyniszczająca kobietę od środka przypadłość. Czułem się podle, wspominając swoje wcześniejsze słowa, a ona kontynuowała:

— Gdy się ze mną ożenił w siedemdziesiątym szóstym, to nie była miłość. On miał wtedy trzydzieści trzy lata i potrzebował kogoś u swego boku, kogoś, kto wspólnie z nim udźwignie gospodarkę i da mu potomstwo...

Przerwała na moment, a zaraz potem, spuszczać wzrok, powiedziała prawie szeptem:

— Nie potrafiłam sprostać żadnemu z tych wymagań. Jestem bezpłodna, w dodatku jakiś czas temu zaczęły się u mnie problemy związane z nadciśnieniem... Przed dwoma laty miałam poważny zawał, ledwo mnie odratowali. — Spojrzała na mnie. — Zupełnie niepotrzebnie...

— Nie mów tak — zaprotestowałem. — Kto wie, może masz tu jeszcze coś do zrobienia, zresztą, jesteś jeszcze młodą kobietą i jakoś wróciłaś do siebie.

Uśmiechnęła się smutno.

— Tak, obeszło się nawet bez by-passów. Akurat gdy decyzja o ich wszczępieniu była niemal pewna, ktoś nas okradł, a niedługo potem kolejne badania wykazały, że nie są jednak aż tak konieczne. — Wzruszyła ramionami. — I tak to jest...

Tym razem cisza zdawała się nieznośna. Dłuższą chwilę wahałem się, czy zadać to pytanie, ale w końcu się zdecydowałem:

— Dlaczego za niego wyszłaś? Miałaś dziewiętnaście lat, całe życie przed sobą, a związałaś się z — mimo wszystko — o wiele starszym mężczyzną i w dodatku... jak by tu powiedzieć...

— Niezbyt atrakcyjnym?

— Właśnie, lepiej bym tego nie ujął.

Teraz roześmiały się jej oczy i bardzo mnie to ucieszyło, bo obawiałem się, że popełniam kolejny nietakt. Nie zastanawiała się nad odpowiedzią; w zasadzie wyglądało na to, że ma ją na podorędziu, przetrawioną latami długich przemyśleń.

— Moi rodzice nie mieli nikogo, zostali sami po wojnie, właściwie to nie wiadomo, skąd znaleźli się w tych okolicach, niedaleko, w Bliżowie — prawdopodobnie uciekali przed pożogą wojenną, ktoś ich przygarnął, nikt tego nie wie, nawet chyba oni sami, bo nigdy żadne z nich o tym nie mówiło. W pięćdziesiątym drugim... — na chwilę zawiesiła głos.

Prawdopodobnie zastanawiała się, czy podaje prawidłową datę, a ja w tym samym momencie drgnąłem jak dźgnięty niewidzialnym szpikulcem.

— Tak, dobrze mówię, w pięćdziesiątym drugim przygarnął ich gospodarz do pomocy w gospodarstwie. To były jeszcze dzieci — tata miał wtedy dwanaście,

a mama jedenaście lat. A potem tak już zostali w tych okolicach, ledwie wiążąc koniec z końcem. Pięć lat później urodziłam się ja (pewnie o antykoncepcji nie było im komu poopowiadać), a za kolejne dwa — na świat przyszedł mój brat, który cierpiał na poważną chorobę genetyczną. To znaczy, teraz to wiemy, wtedy mówiło się, że urodził się niedorozwinięty. Od kiedy pamiętam, było nam okropnie ciężko, mieszkaliśmy w walącej się chałupie, która miała jeszcze klepisko... Dlatego zdecydowałam się na to małżeństwo. Bogdan był zaradny i chętny do wszelkiej — również finansowej, pomocy rodzicom i bratu. — Zamyśliła się. — To dobry człowiek... Gdyby nie był dobry, to ta śmierć Piotrusia aż tak by go nie poruszyła.

Po raz kolejny było mi wstyd, ale teraz moją głowę zaprzętała jeszcze jedna kwestia.

— Wspominałaś, że tak właściwie nie wiadomo, skąd twoi rodzice znaleźli się w tych okolicach... Byli tylko we dwójkę?

— Nie — odpowiedziała z roztargnieniem, wciąż mając umysł zaprzętnięty swoimi wspomnieniami. — Było tych dzieciaków więcej, może z ośmioro. Jeszcze dwójka albo trójka została w Adamowie, a reszta trafiła do sierocińca, chyba w Lublinie. Nie wiem, co się z nimi później stało.

Spodziewałem się, że teraz Janka zapyta o to moje nagłe zainteresowanie, ale na szczęście wciąż tkwiła gdzieś w swoim świecie.

I bardzo dobrze, bo pewnie znów musiałbym próbować ją oszukać, ponieważ wtedy właśnie zaczęło mi powoli świtać, że chyba wiem już, do kogo jest tak bardzo podobna...

\*

Było kilka minut po czwartej, gdy postanowiliśmy schować się w domu. Od strony wzgórza, za którym leżała Słoneczna Dolina, zaczęły nadciągać ciemne, zapowiadające deszcz chmury. Towarzyszył im przenikliwy wiatr, który sprawiał, że dalsze pozostawanie na zewnątrz byłoby mało przyjemne.

Po słodkiej uczcie zupełnie nie byłem głodny. Janka także nie miała apetytu, więc zaproponowała jedynie kawę po turecku, na co z ochotą przystałem. Mój organizm gwałtownie domagał się dużych ilości kofeiny i cukru.

W czasie potrzebnym na zagotowanie wody podszedłem do kuchennego okna, by sprawdzić, czy na podwórzu nie wjeżdża fiesta Adamowicza. Wciąż nie miałem ochoty na jego towarzystwo i dokładnie w tej chwili nasunęły mi się wątpliwości, czy w ogóle go potrzebuję.

— Czy twój mąż mówił coś więcej o tym, co wydarzyło się wczoraj przed południem? — zapytałem i usiadłem na swoim stałym miejscu.

— Nie wiem, czy można mu do końca wierzyć. Jemu się już teraz często mieszają osoby, dużo rzeczy przeinacza, myli ludzi.

„Szkoda, że mnie przy samochodzie Adama nie pomylił z kimś innym” — pomyślałem, ale tę uwagę zachowałem dla siebie.

Zajęła miejsce obok mnie.

— Coś jeszcze wspominał, że przy aucie twojego przyjaciela zauważył naszą znajomą z Bliżowa. Taką Tereskę Bielakową. To bardzo spokojna dziewczyna, to znaczy — kobieta, przed czterdziestką. — Wstała i podała mi łyżeczkę do pomieszania kawy. — Nawet nie wiem, czy jest sens to powtarzać, bo to wydaje mi się okropnie głupie.

— Co takiego?

— Bogdan powiedział, że zniszczyła to auto...

— W jaki sposób? Poza przeciętą oponą nie zauważyłem żadnych poważniejszych zniszczeń.

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

— On właśnie wspomniał, że poprzecinała nożem wszystkie opony... Myślisz, że mogła się za coś mścić na twoim przyjacielu?

— Nie mam pojęcia, ale raczej mi się nie wydaje. Znam, to znaczy — znałem Adama od lat i trudno mi sobie wyobrazić, że mógłby komuś aż do tego stopnia zaleźć za skórę. Twój mąż coś jeszcze o niej mówił?

— Że poszła w ślad za tym mężczyzną od fiata, ale nie minęła godzina, jak wróciła i poszła tam, skąd wcześniej się pojawiła, to znaczy w stronę domu, do Bliżowa.

— Myślę, że tym razem twój mąż miał niestety rację.

Wstałem i udałem się do pokoju, by po chwili przynieść nóż myśliwski, który schowałem do torby jeszcze w gospodarstwie Stanisławskiego.

— Znalazłem go wczoraj na wzgórzu — rzekłem i podałem nóż Jance. — Jest czyściutki, ostry jak żyletka i nie wydaje mi się, aby mógł w takim stanie przetrwać zimę na zewnątrz, więc kto wie? Być może faktycznie zostawiła go tam wasza znajoma.

Janka bez słowa obracała przedmiot w dłoniach.

— Nic z tego nie rozumiem — odezwała się wreszcie i oddała mi nóż. — Tereska jest samotną wdową, ma małego syna, nie przelewa się u nich, więc nie mam pojęcia, po co miałyby szukać sobie tego typu problemów.

Odłożyłem finkę na stół, czego później bardzo żałowałem, ale w tamtej chwili wiedziałem już, od czego zacząć swoją historię, i to było wtedy dla mnie najważniejsze.

— Też miałem kiedyś synka. Zmarł na raka w wieku siedmiu lat.

— Tak, wiem — powiedziała. — Bardzo mi przykro...

— Jak to — wiesz? Skąd?

Wskazała na leżącą przed nami książkę i wtedy zrozumiałem, że moja opowieść nie będzie aż tak długa, jak by się mogło wydawać. Bez problemu mogłem pominąć to, co już opisałem, i co zostało wydrukowane w „Czarnym Wygonie”. Nabrałem powietrza i zacząłem:

— W Starzyźnie widywałem go w snach dość często. Za pierwszym razem tuż

po tym, gdy o północy w Wielki Piątek dwa lata temu, zaraz po potrąceniu Marcina Kowalika białym oplem, skosiłem najpierw drewniany krzyż, a potem uderzyłem w drzewo. Ale wszystko zaczęło się od dziwnej wizji, podczas której wcześniejszej nocy objawił mi się pradziadek Rafała Gielmudy...

## 6.

Wbrew temu, co zapowiadała Janka, jej mąż nie pojawił się po południu w domu. Ponieważ uzyskałem już od niej wszystkie informacje, na których mi zależało, moje dalsze przebywanie u Adamowiczów było właściwie pozbawione sensu, ale postanowiłem zostać jeszcze do następnego poranka.

Po części dlatego, że nie miałbym się jak wydostać z Guciowa, choć nie był to argument przesądający; prawdopodobnie Stanisławski nie odmówiłby mi w tej kwestii pomocy, w ostateczności przynajmniej pozwoliłby mi przenocować w pokoju gościnnym jego gospodarstwa. Zostałem przede wszystkim dlatego, że dobrze się czułem w towarzystwie tej kobiety. Zdecydowałem się opowiedzieć jej o tym, co się wydarzyło (opuszczając jedynie informację o dzieciach ze Starzyzny, które w pięćdziesiątym drugim roku w ostatniej chwili uniknęły działania klątwy) i było to dla mnie bardzo ważne, chociażby ze względu na fakt, że prawie dwugodzinny monolog był czymś w rodzaju wyznania win, przynoszącej ulgę, oczyszczającej spowiedzi, sprawiającej, że człowiekowi robi się znacznie lżej na sercu.

Moja nowa znajoma prawie się wtedy nie odzywała, co najwyżej raz na jakiś czas dopytywała o jakiś szczegół. Trudno było jej wytrzymać opis sposobu, w jaki zginęła Paulina Podolak, ale zniosła to jeszcze dość dzielnie, natomiast kiedy doszedłem do momentu odnalezienia zwłok gosposi Dobrowolskiego i jej nienarodzonego dziecka, nie potrafiła już pohamować łez. Wtedy dopiero przypomniałem sobie o jej bezpłodności i żałowałem, że tego faktu także nie zachowałem dla siebie, lecz było już za późno. Musiałem przerwać na chwilę, a Janka w tym czasie, już chyba po raz trzeci, podgrzała obiad, by posiłek był ciepły, gdyby jednak Adamowicz się pojawił.

Kiedy skończyłem, długo milczała, siedząc nieruchomo i wpatrując się w przeciwległą ścianę. Nie wiedziałem, co sobie myśli o całej relacji, czy w ogóle w nią wierzy, ale najbardziej głowiłem się nad tym, jak postrzega teraz moją osobę. Przypuszczałem, że nie najlepiej, zwłaszcza po zakończeniu, zamykającym historię krótką balladą o celnym strzale.

Milczenie przedłużało się w nieskończoność i było już dla mnie prawie jasne, że nie usłyszę od Janki ani słowa na ten temat, gdy nagle zapytała:

— Naprawdę miałeś zamiar tak po prostu stąd wczoraj odjechać?

Teraz ja nie odzywałem się przez jakiś czas, bo jej słowa mnie bardzo zaskoczyły i nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

— A co innego mi pozostało? — odparłem wreszcie. — Nie wydaje ci się, że i tak wystarczająco długo tu zabawiłem i zbyt wiele zła udało mi się wyrządzić?

— Każde zło można jakoś naprawić...

— Niby jak mógłbym to zrobić? Proszę bardzo, chętnie posłucham dobrych rad. — Nie potrafiłem uniknąć ironicznego tonu. — Najpierw poproszę o instrukcję odnośnie do przeniesienia się do Starzyzny. A co, jeśli Adam nie żyje? To jest przecież bardzo prawdopodobne — dosięgła go kula wystrzelona z tego świata. Kowalik też zginął z mojej ręki i jakoś w cudowny sposób nie zmartwychwstał.

Nie powiedziałem jej jeszcze o moich nocnych zapiskach w jej zeszytach z przepisami. Miałem zamiar to zrobić za chwilę, lecz w obliczu jej słów zrezygnowałem. Byłem tchórzem, bo tylko tchórz nie mówi czegoś, co może pogorszyć jego sytuację.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi, ale nie ze złości, tylko jakby zbierając myśli, a potem odrzekła:

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, ale mnie się zdaje, że on to akurat zginął z ręki Józka... Tak ma na imię, prawda? — Drgnąłem, gdy wobec młodszego z Kowalików użyła czasu teraźniejszego, ale chyba tego nie zauważyła. Ja w swoich myślach zdążyłem go już podświadomie pogrzebać. — Po tym, jak bez połowy twarzy pojawił się w okolicy... — Na chwilę zamilkła, jakby dopiero teraz dotarło do niej to, co było następstwem tej wizyty, ale zaraz podjęła wątek. — ...to być może i tak by nie ożył na Czarnym Wygonie następnego ranka. Nie pomyślałaś o tym? Przekroczenie granicy światów mogłoby skutkować tym, że w Guciowie stał się śmiertelny, ale umrzeć mógł dopiero po powrocie do Starzyzny, prawda? Możliwe też, że śmiertelne dla niego było potrącenie przez samochód i obrażenia nim spowodowane, a nie odcięcie głowy. — Popatrzyła na mnie. — Jeśli się mylę, to mnie popraw.

Spuściłem głowę.

— Nie, nie mylisz się, choć wolałbym, aby tak właśnie było — odpowiedziałem cicho. — Ale ja naprawdę nie wiem, co mogę zrobić? Mam sterczeć przy tej cholernej czereśni bez końca i czekać, aż dzwony się znów odezwą? Przecież to bez sensu, skończę jak twój mąż... Gdybym chociaż miał jakąś gwarancję, że w ogóle jeszcze kiedykolwiek będą żyły, to wtedy mógłbym spróbować...

— Z Warszawy na pewno ich nie usłyszysz. Czy mógłbyś żyć ze świadomością, że nie zrobiłaś wszystkiego, by ratować Adama?

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego po chwili zastanowienia przyniosłem z pokoju zeszyt, w którym znajdowały się między innymi receptury na świąteczne wypieki.

\*

W łóżku byłem tuż po dwudziestej drugiej.

Kiedy się rozbierałem, zdawało mi się, że zasnę natychmiast, jednak senność opuściła mnie, jak tylko przyłożyłem głowę do poduszki.

Długo myślałem o Jance i jej mężu. Analiza sytuacji związanej z tragiczną śmiercią Piotrka i tego, co się po niej z nimi stało, doprowadziła mnie do wniosku, że ludzkie życie zależy w ogromnej mierze od tego, co nas spotyka, i od tego, w jaki sposób potrafimy sobie radzić z przeciwnościami losu. Janka potrafiła się jakoś podźwignąć, znajdując sobie bezpieczne schronienie w postaci zadbanego domu, a następnie zabarykadowała się w nim przed rozpaczą i beznadzieją, natomiast Adamowicz wciąż trwał w wyniszczającej walce. Postawił przed sobą cel niemożliwy do zrealizowania, chciał zemsty i prawdopodobnie wydawało mu się, że jeśli uda mu się jej dopełnić, dopiero wtedy zazna względnego spokoju, co z całą pewnością było nieprawdą. W rzeczywistości spokój mogło mu zapewnić tylko wskrzeszenie zamordowanego bratanka, a na to nie było szans, więc Bogdan znajdował się na równi pochyłej, prowadzącej jedynie do coraz większego obłędu.

W pewnej chwili przypomniałem sobie Krzysia i to, co stało się ze mną po jego odejściu. Zachowywałem się wtedy w sposób zbliżony do Adamowicza. Zamiast podjąć walkę o to, by śmierć syna nie unicestwiła także mojego życia, poddałem się już na samym początku, czego następstwem był nałóg alkoholowy i problemy, w jakie mnie on wpędził. Byłem słaby, a moje postępowanie tylko tę słabość pogłębiało. Poprzedniego dnia znów spotkało mnie podobne nieszczęście — przyczyniłem się do odejścia przyjaciela i stałem teraz na rozstaju, mając przed sobą wybór drogi, którą będę podążał. Rozmowa z Janką bardzo mi pomogła i gdzieś w mojej podświadomości tliła się nadzieja, że tym razem będę silniejszy, mądrzejszy i zwyczajnie — lepszy. Nie wiedziałem, w jaki sposób mogę to osiągnąć, lecz ufałem, że kolejne dni przyniosą dobre rozwiązania.

Leżąc w ciemnym pokoju i wsłuchując się w swoje myśli, zrozumiałem jeszcze jedno. Przez dwa lata błąkałem się w dusznej, na wpół martwej przestrzeni pozbawionej słonecznego światła i nie poddałem się tylko dlatego, że wciąż wierzyłem w możliwość powrotu. Teraz czułem się tak jak w Starzyźnie. Mój oddech tłumiła wszechogarniająca duszność, serce było ściśnięte przerażeniem i poczuciem własnej kruchości wobec tego, co mnie spotkało. Jak widać, niekoniecznie trzeba trafić do przeklętej wioski, by stać na krawędzi świata. Swojego własnego świata. Niemniej jednak nie wolno się w takiej sytuacji poddawać, bo wtedy upiory umysłu wkradają się do świadomości jak przekłete, powieszzone postaci, kuszące sznurem i perspektywą tego, co złe, ale za to łatwiejsze.

Mogłem iść tą drogą, ale mój wybór był inny i desperacko wierzyłem, że jednak mi się powiedzie. Nie chciałem za kilka lat obudzić się ze świadomością niepodjęcia trudnego zadania. Janka miała rację — nie mogłem tak po prostu odjechać z podkulonym ogonem.

Tylko co powinienem zrobić?

Tego nie wiedziałem, ale uznałem, że dobrym krokiem będzie próba dowiedzenia się czegoś więcej o losach Adama.

Wstałem i poszedłem do kuchni. Wziąłem ze stołu zeszyt z napisem „krew to życie” i zabrałem go do swojego pokoju. Zrzuciłem na ziemię wszystkie rzeczy leżące na krześle, po czym położyłem na nim brulion. Wetknąłem też długopis w miejsce, w którym przerwałem swoje notatki, mając nadzieję, że następnego dnia rano będzie ich więcej. Jeszcze rano te zapiski i możliwość pewnego rodzaju komunikacji z przyjacielem jawiły mi się jako przekleństwo i kara za to, co zrobiłem. Teraz dodawały otuchy i pozwalały przynajmniej łudzić się, że ma to jakiś sens i daje szansę, by mu pomóc.

Gdy tylko zeszyt spoczął obok mnie, przykryłem się kołdrą, a sen przyszedł natychmiast, by zabrać mnie jak kat skazańca — z więziennej celi prosto na przygotowany wcześniej szafot.

## 10 kwietnia 2007 (wtorek)

Boże, pomóż mi zrozumieć.

Błagam Cię, wytłumacz, daj znak, cóż takiego zrobiłem, że musiałeś mnie doświadczyć w ten sposób? Wszelkie Twoje wyroki przez całe życie przyjmowałem z pokorą. Rozpaczałem po śmierci Magdy, ale z moich ust nie popłynęło w Twoją stronę nawet jedno słowo wyrzutu. Wiesz dobrze, że nawet nie zrodziło się ono w moich myślach. Musiało minąć trochę czasu, ale wreszcie zrozumiałem, że taka jest Twoja Wola. Było mi trudno, sam najlepiej wiesz, jak bardzo, lecz przecież nie pozostało mi nic innego, jak ufać w Twą nieomyślność, zaszczerpieć we własnym sercu przekonanie, że śmierć osoby, którą kochałem nade wszystko, widocznie ma jakiś głębszy sens.

Wierzę całą mocą mojej niedoskonałej wiary w to, że sens ma także uratowanie w cudowny sposób mojego życia. Dziękuję za ten dar i — proszę Cię, Ojczy — pomóż mi wykorzystać go jak najlepiej. Proszę też, abyś wybaczył Witkowi jego czyn. Nie wiem, dlaczego do mnie strzelił, bo zapewne nie wiem o wszystkim, czego doświadczył przez ostatnie dwa lata, ale skoro do tego doszło, to także i ten Twój wyrok przyjmuję bez słowa skargi.

Jeśli to możliwe, proszę jednak, byś pozwolił mi znaleźć drogę do mojego świata.

Od wczoraj wprawdzie udało mi się przynajmniej po części wrócić do psychicznej równowagi, lecz zachowuję ją chyba jedynie dlatego, że trwam w nadziei jak najszybszego wydostania się z tego przeklętego, przez Ciebie na wieki, miejsca. Obawiam się, że jestem zbyt słaby, by pozostawać tu w niepewności przez dłuższy czas, boję się złych myśli, które mnie nawiedzają, i proszę, abyś pomógł mi je zwalczyć. Wiesz, że odebranie sobie życia jest czymś, o czym nigdy nie myślałem, i pragnę, by to się nigdy nie zmieniło. Pamiętam jednak to, co czytałem w zapiskach, i zdaję sobie sprawę, że siły zła nie cofną się przed niczym, by mnie zwieść. Błagam cię, Boże, o łaskę niezłomności i umiejętność odróżniania Dobrego od złego.

Wiem, że nie jestem tutaj sam. Tuż po zapadnięciu zmroku ktoś był przed drzwiami domu, w którym się ukryłem. Mam wrażenie, że przyszedł tu tylko po to, by mi uświadomić swoją obecność. Najpierw usłyszałem ciche stukanie do drzwi, a później — za oknem — dostrzegłem jarzące się w ciemności ślepe oczy bez źrenic, dokładnie takie, o jakich czytałem w zapiskach Witka. Domyślałem się, że to ten nieszczęsny ksiądz, który przed laty podążył zgubną drogą szatana, ale nie mam co do tego pewności. Siedziałem wprawdzie skryty w ciemnym



pomieszczeniu, ale od zapadnięcia zmierzchu minęło już zbyt wiele czasu, bym mógł dostrzec coś więcej poza parą bacznie przypatrujących mi się białych żrenic.

Wciąż jest noc, a ja boję się, że on tu wróci.

Dlatego próbuję z Tobą rozmawiać, bo zawsze dodawało mi to otuchy i pozwalało na zebranie sił nawet w najtrudniejszych momentach życia. Trochę żałuję, że w krasnobrodzkim kościele zostawiłem różaniec, który należał do Pauliny Podolak. Teraz byłoby mi łatwiej się modlić, a i miałbym nadzieję, że jego moc uchroni mnie przed siłami złego, tak jak chroniła Witka i jego towarzyszy. Postanowiłem, że rano (jeśli w ogóle uda mi się dotrzeć do rana) zabiorę się za zrobienie nowego.

Z drugiej jednak strony, tamten różaniec pozostawiłem przed cudownym obrazem w intencji powrotu mojego przyjaciela, więc jeśli to przynajmniej trochę mu pomogło, to znaczy, że uczyniłem dobrze i dziś postąpiłbym dokładnie tak samo.

Jestem głodny. Zapewne znalazłbym coś w kościele, tam gdzie mieszkali ostatni żywi mieszkańcy wioski, ale przez cały poniedziałek nie potrafiłem przemóc się, by wejść do środka. Przerażała mnie perspektywa zetknięcia z tyłoma ciałami zmarłych. Nie potrafiłem nawet zbliżyć się na niewielką odległość do budynku, bo miałem wrażenie, że unosi się tam fetor zwęglonych zwłok. Jeśli jednak nic się nie zmieni, będę musiał znaleźć w sobie więcej odwagi.

Zdawało mi się też, że przez moment słyszę z wnętrza kościoła jakieś kroki, ale te odgłosy na szczęście po jakimś czasie ucichły i sam już nie wiem, czy nie był to przypadkiem jakiś omam spowodowany emocjami, których wczoraj doznawałem...

Boję się, Boże, brak mi tchu! Proszę Cię, wspomóż swojego sługę w chwili próby...

Ty jesteś Dobry i Miłosierny, wierzę gorąco, że nie zostawisz mnie tu samego.

W tym Czasie Wielkanocnym proszę Cię o to, byś tak jak Swojego Umiłowanego Syna przyjąłeś do domu po ziemskim pielgrzymowaniu, przyjął moją najdroższą żonę, mamę, która odeszła do Ciebie przed ponad dwoma laty, a także innych moich bliskich i znajomych, wybacząc im wszystkie grzechy i zaniedbania. A jeśli wkrótce stanę przed Twym Obliczem, proszę, i mnie przygarnij do Siebie, nawet jeśli ta śmierć będzie wynikiem mojej ludzkiej słabości. Ufam jednak, że skoro raz mnie ocaliłeś, to...

Znów tu jest.

Znów stuka do drzwi wejściowych.

Boże, dopomóż... Co mam robić?

Nie, błagam! Nie chcę słyszeć tych słów, tego głosu!

Zatykam uszy, ale jego siła jest nie do powstrzymania. Głos już nie dobiega z zewnątrz, a rodzi się samoistnie w mojej głowie, rozsadza czaszkę od środka.

— Tak, wiem, że go wtedy nie powstrzymałem. Nie potrafiłem! Przecież to był tylko sen, w którym mi się przyśniłaś!

Odpowiedziałem jej. Boże Świąty! To przecież nie może być ona! Nie pozwól mi otworzyć drzwi!

— Mówiłam ci wtedy, że to nie jest sen. Mówiłam ci, że go stracisz — mówi.  
— Chodź, teraz powiem ci, w jaki sposób możesz go odzyskać. Tylko otwórz drzwi i chodź do mnie... Bardzo się za tobą stęskniłam...

— Odejdź! Nie jesteś nią! Ona przecież nie żyje od lat! — krzyczę, ale mimo to wstaję i po omacku ruszam w stronę drzwi. Tak bardzo bym chciał ją zobaczyć. Chociaż na chwilę wziąć ją w ramiona. To już za moment... Nie mogę się już doczekać...

Kładę dłoń na klamce, a drugą ręką odryglowuję drzwi.

— Magda... Moja najdroższa...

Panie, bądź miłościw mnie, grzesznemu...

# Rozdział trzeci

## 1.

Nie otwieraj! Adam, to nie ona, uważaj!

Dopiero po dłuższej chwili pojąłem, że obudził mnie mój własny krzyk. Nie rozumiałem tych słów, nie miałem pojęcia, czego dotyczą, lecz mogłem je dokładnie powtórzyć.

— Nie otwieraj. Adam, to nie ona, uważaj — wyszeptałem.

Otaczała mnie ciemność, a ja tkwiłem w niej w pozycji siedzącej. Na plecach i twarzy czułem spływające powoli strużki potu, dłonie miałem zaciśnięte w pięści, a całym moim ciałem raz po raz wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Rozprostowałem palce i usłyszałem, jak jakiś przedmiot ze stukotem spada na podłogę. Odruchowo po niego sięgnąłem, by po chwili po omacku odnaleźć podłużny kształt plastikowego długopisu.

Jak ślepiec namacałem przed sobą krzesło i chłodne kartki otwartego zeszytu. Położyłem na nim długopis, wstałem i ostrożnie, by o nic się nie potknąć, podszedłem do drzwi, przy których, jak pamiętałem, znajdował się włącznik światła. Zaraz potem pokój zalał ostry, oślepiający blask, który zmusił mnie do zmrużenia oczu.

Niedługo potem znów siedziałem w miejscu, w którym ocknąłem się ze snu, z niedowierzaniem wpatrując się w zapisane kartki. Moje pismo było tak staranne i równe, jakbym robił te notatki w biały dzień. Dłuższe wyrazy, które zbliżały się do krawędzi stron, przed przeniesieniem dalszego ciągu o wers niżej były rozdzielone myślnikiem, każdy nowy akapit zaczynał się od identycznego wcięcia, a poszczególne linijki były idealnie wpasowane w nadrukowaną na papierze, dość słabo widoczną sieć kratek.

Najpierw zapoznałem się z tekstem pobieżnie, nie potrafiąc oprzeć się pokusie, by jak najszybciej dotrzeć do ostatniej zapisanej linijki. Gdy skończyłem, nie miałem już ochoty czytać ponownie, ale zrobiłem to. Zupełnie jakbym spełniał jakiś ciężący na mnie obowiązek. Za drugim razem już wiedziałem, co będzie dalej, ale i tak podczas lektury ostatnich wersów nie potrafiłem opanować emocji.

— To już koniec — powiedziałem.

Przy słowie „koniec” głos mi się lekko załamał. Być może dlatego, że rozumiałem doskonale fałsz zawarty w tym zdaniu, a być może z jakiegoś innego powodu. Tak czy inaczej, dla Adama koszmar tak naprawdę dopiero się zaczynał. Jeśli teraz mógłbym dla niego coś zrobić, to ratunek polegałby na złożeniu jego

zwłok w starzyńnianym kościele pośród leżących już tam ciał, by również i mój przyjaciel mógł zaznać pośmiertnego spokoju.

Mógłbym się może jeszcze łudzić, że te zapisane kartki nie mają z tym, co dzieje się gdzieś w innym wymiarze, nic wspólnego, ale gdy przeczytałem wszystko po raz trzeci, jednoznacznie wykluczyłem taką możliwość. Nigdy — obojętnie czy na jawie, czy we śnie, ani na trzeźwo, ani w alkoholowym widzie — nie potrafiłbym zbudować tego typu konstrukcji myślowych, charakterystycznych dla ludzi bezbrzeżnie wierzących, znających na wrywkę frazy modlitewników, natomiast dla Adama, przykładowego katolika, sumiennie uczestniczącego w kościelnych obrządkach, nie stanowiłoby to żadnego problemu.

Położyłem się na plecach, nie gasząc światła. W takiej pozycji, trzymając otwarty brulion nad sobą, przejrzałem zapisane przez siebie (a tak naprawdę przez Adama) kartki raz jeszcze. Z każdym zdaniem zeszyt stawał się coraz cięższy, aż wreszcie spoczął na moich piersiach, sprawiając wrażenie ważącego przynajmniej tonę. Nie miałem sił, nie potrafiłem i chyba nawet nie chciałem się z nim rozstać.

W okno cicho zastukał deszcz. Zaraz potem odgłosy ataku pierwszych nieśmiałych kropel-zwiadowców zostały wsparte liczniejszymi siłami wiosennej ulewy. Ciszę zastąpiło miarowe bębnienie o parapet, współgrające z głośniejszymi dźwiękami wody spływającej z dachu, obijającej się o boki okrągłych, blaszanych rynien, a następnie z pluskiem spływającej do powstałych przed chwilą kałuż.

„Ciekawe, czy w Starzyźnie też pada?” — pomyślałem.

Nie chciałem tego, ale i tak wyobraziłem sobie natychmiast Adama, gdy namawiany przez swoją ukochaną Magdę (w którą — niczym szatan kusiciel — wciela się zupełnie kto inny) bierze do ręki sznur i zakłada go sobie na szyję. Ona z uśmiechem patrzy na niego i obiecuje, że jeszcze tylko chwila i będą na zawsze razem, że gdy tylko dokona się to, co konieczne, opuszczą zapomnianą przez Boga Starzyznę, by nie wrócić tam nigdy więcej.

Ułamek sekundy, szarpnięcie liny, trwająca jakiś czas utrata świadomości i po chwili mój przyjaciel znów otwiera oczy, tyle że nie mają one już źrenic, a stojąca przed nim postać jest już teraz kimś zupełnie innym. Adam uświadamia sobie, że nigdy już nie spotka Magdy... Tuż potem dociera do niego także fakt, że Bóg, któremu tak bardzo ufał przez całe życie, pozostawił go jednak samemu sobie.

— Widzisz? — mówi Dobrowolski, wyciągając do niego lewą dłoń. — To nie było przecież takie straszne, a teraz ja jestem twoim bogiem... Razem podbijemy świat, a ja cię nigdy nie opuszczę...

Czy tak to się właśnie odbywało w Starzyźnie za każdym razem, w przypadku każdego z mieszkańców?

Być może, ale przecież oni wszyscy mieli na sumieniu potworny grzech. Niektórzy swój wybór przypieczętowali przyjęciem komunii z rąk oprawcy, więc można to zrozumieć. Ale Adam...? Jeśli nie popełnił jakiejś okropnej zbrodni

w ostatnim czasie, to oznaczałoby, że został ukarany tylko za moją głupotę, a to nie byłoby przecież sprawiedliwe.

— „Ty jesteś Dobry i Miłosierny, wierzę gorąco, że nie zostawisz mnie tu samego” — zacytowałem na głos słowa z brulionu. — Obyś się nie mylił, Adam, obyś się nie mylił, przyjacielu...

## 2.

— Wstawaj pan!

Nie miałem czasu zastanowić się, czy ten głos słyszę we śnie, bo towarzyszyło mu jak najbardziej realne, bolesne dźgnięcie w żebra. Odruchowo przysunąłem się do ściany, ale mimo to coś twardego wciąż uciskało mnie w lewy bok.

Adamowicz był ubrany w ociekający wodą płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, przez co przypominał trochę Dobrowolskiego. Stał obok wersalki, patrząc uważnie na brulion swojej żony, który przyciskałem do piersi, a w rękach trzymał swoją, znaną mi już niestety dość dobrze, dwururkę. Bez trudu zrozumiałem, co spowodowało ból. Bogdan przeniósł wzrok na moją twarz.

— Panie, skąd masz pan ten zeszyt? Przystawiasz się pan do mojej żony? Krążą słuchy, żeście się za ręce dzisiaj trzymali za domem, w sadzie. Prawda to czy nieprawda to?

Niepokoił mnie wyraz jego twarzy. Gdy na niego patrzyłem w Niedzielę Wielkanocną, za każdym razem wydawał się rozkojarzony, ciągle zaabsorbowany czymś innym, nieobecny, natomiast teraz jego oczy były skupione, marszczył groźnie brwi i naprawdę wyglądał na całkowicie skoncentrowanego na tym, co mówi i robi.

— No?! — warknął, a żebra znów zaboląły mnie bardziej. — Prawda to czy nieprawda to, do jasnej cholery?

— Weź pan tę flintę, to wszystko wytłumaczę. Teraz to nawet ciężko mi oddychać, a co dopiero rozmawiać.

Zastanowił się i wreszcie cofnął o krok. Dwa czarne otwory luf przyglądały mi się równie uważnie, co on.

— Kto panu takich bzdur naopowiadał? — zapytałem, licząc, że święte oburzenie w głosie zabrzmie wystarczająco wiarygodnie i jednocześnie przeklinając samego siebie za popołudniową nieuwagę; widocznie znalazł się jakiś życzliwy podglądacz.

Stałem naprzeciw Adamowicza i pokazałem mu wewnętrzne strony obu dłoni. Wprawdzie rany powoli zaczynały się już goić, ale strupy wciąż wyglądały paskudnie.

— Niech pan patrzy, mam poranione ręce, a pańska żona chciała się im tylko

bliżej przyjrzeć i sprawdzić, czy nie ma jakiejś infekcji. Dlatego trzymała je w swoich dłoniach — mówiłem z takim przekonaniem, że sam prawie uwierzyłem we własne słowa

Opuścił strzelbę, pochylił się i spojrzał nieufnie na zakrzepłe ślady po ostrych kolcach krzewów. Pomyślałem, że ta scena dla kogoś niezorientowanego wyglądałaby dość niezwykle — mógłby na przykład pomyśleć, że jakiś niedowiarek sprawdza stygmaty na dłoniach świętego. Z najwyższym trudem udało mi się pohamować rodzący się w kącikach ust uśmiech.

— Pański informator lub pańska informatorka ma bardzo bujną wyobraźnię, panie Adamowicz.

— Mojemu informatorowi lub mojej informatorce wierzę bardziej niż tobie. — Kiedy skończył mówić, stało się coś bardzo niepokojącego. Podniósł strzelbę i wycelował w moją pierś, a zaraz potem, kiedy jego palec znalazł się na cynglu, zmrużył lekko oczy. Nie miałem innego skojarzenia oprócz tego, że przygotowuje się właśnie do oddania strzału. Wszystko działo się tak szybko, że poza napięciem mięśni o jakiegokolwiek innej reakcji z mojej strony nie mogło być mowy. Na szczęście Adamowicz zmienił zdanie i znów opuścił broń, mówiąc przy tym bardziej do siebie niż do mnie:

— Nie w domu.

Znów wyglądał jak kiedyś — te same rozbiegane oczy i rozkojarzony wyraz twarzy — lecz wcale mnie to nie uspokoiło. Tak naprawdę dopiero teraz zacząłem się go obawiać. Nie miałem nawet krztyny wątpliwości, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy tylko Bogdan przestanie dbać o krwawe ślady we własnym domu, to wszelkie zahamowania znikną i jego dwuoka przyjaciółka będzie mogła wreszcie przemówić mi do rozsądku.

— Ma pan jeszcze jakieś kwestie do rozstrzygnięcia, czy mogę się znów położyć? — zapytałem, siłąc się na spokój. Gdyby teraz wyszedł choć na chwilę, przysięgam, że uciekłbym stamtąd przez okno. — Zdaje się, że do rana zostało jeszcze...

— Ubieraj się pan! — przerwał mi bezceremonialnie, ponownie kierując lufę w moją stronę. — Ubieraj się pan, bo pojedziemy.

\*

Jakieś dziesięć minut później, gdy sunęliśmy powoli przez opustoszały, skąpany w strugach ulewnego deszczu Guciów, w stronę drogi prowadzącej do Słonecznej Doliny, modliłem się w duchu o jakieś nieoczekiwane zdarzenie, o awarię samochodu lub pojawienie się patrolu policji, który zatrzymałby nas do kontroli, ale wszystko wskazywało na to, że nikt i nic nie ma zamiaru pokrzyżować planów Adamowicza.

Przed wyjazdem usiłowałem odwieść go od szalonego planu, prosiłem, żeby nie działał pochopnie, ale Bogdan pozostawał całkowicie niewzruszony. Stał tylko bez ruchu, mierząc do mnie, i co jakiś czas upominał, bym się pospieszył i nie

zachowywał zbyt głośno, bo mogę obudzić Jankę. Oczywiście w ten sposób podsunął mi niezły pomysł, ale kiedy natychmiast celowo podniosłem głos, on przerwał mi, mówiąc:

— Jeśli ją zbudzisz, będzie mi wszystko jedno. Najpierw ona, później ty. Oboje skończycie tak samo. Tego chcesz?

Wpatrywałem się w niego z otwartymi ustami, aż wreszcie zapytałem:

— A ona co złego zrobiła? Nie chce jej pan chyba...

— Jeszcze nie wiem. Doniesiono mi, że na to zasługuje, ale chcę z nią najpierw porozmawiać. Jak się teraz obudzi i tu przyjdzie, to zrezygnuję z tych wszystkich ceregieli.

Od tej pory ubierałem się już bez słowa.

Gdy wyszliśmy przed dom, Bogdan kazał mi usiąść za kierownicą forda. Zaprotestowałem, twierdząc, że nie mam prawa jazdy (co zresztą było prawdą), ale on znów posłużył się tym samym szantażem co wcześniej, więc nie miałem wyjścia. Nie chciałem, aby przeze mnie po raz kolejny ucierpiała niewinna osoba.

Kiedy usiadł na fotelu pasażera, ponownie wycelował we mnie broń. Aby to zrobić, musiał opuścić szybę po swojej stronie i wystawić połowę kolby przez okno. Potem powiedział:

— No dobrze. To teraz wróćmy do naszej rozmowy z niedzieli. Mówiłeś pan coś o jakimś dowodzie związanym z tym, co zdarzyło się dwa lata temu w Wielki Piątek, i o tym, że wiesz pan, kto zabił mojego bratanka. Tak więc to jest twoje pięć minut, panie dzieju. Proszę bardzo, czekam.

Uruchomiłem silnik.

— Dwa lata temu zabiłem jego mordercę — zacząłem i włączyłem jedynkę, a potem zwolniłem sprzęgło. — Stało się to na drodze niedaleko Słonecznej Doliny. Ciało zabójcy, który nazywał się Marcin Kowalik, pewnie teraz nie znajdziemy, ale miałem wtedy ze sobą strzelbę pożyczoną od Stanisławskiego. Jak ją znajdziemy, opowiem panu resztę. Będzie w to wszystko trudno uwierzyć, ale przysięgam, że te wydarzenia naprawdę miały miejsce.

— Dobrze — odparł i cicho zachichotał. — Tego się właśnie spodziewałem, ale obawiam się, człowieku, że pogrążasz się w kłamstwie jak w beczce śmierdzącego gnoju. Ktoś mi powiedział, że to od ciebie usłyszę. No ale niech ci będzie, żeby nie było, że niedobry jestem.

Od tego momentu nie odezwał się ani słowem, aż do teraz.

— Z tego, co mi wiadomo, strzelba, o której mówisz, wcale nie leży tam, gdzie powiedziałeś, tylko w bagażniku tego tam czerwonego samochodu.

Po lewej mijaliśmy właśnie zagrodę Stanisławskiego. Naprzeciw niej, po drugiej stronie drogi, na parkingu stało czerwone punto Adama i na nie właśnie wskazywał palcem Adamowicz.

— A kto panu tak powiedział? — spytałem, czując, że zaczyna brakować mi tchu.

— A co to za różnica? — Znów się cicho roześmiał. — Ważne jest to, że on mówił prawdę, a nie ty.

— To się jeszcze okaże.

— Otóż to — potwierdził wesoło i jak gdyby nigdy nic zaczął pogwizdywać pod nosem.

\*

Nie wiedziałem, czy strzelba Janka faktycznie została ukryta w aucie Nawrota, ale z całą pewnością nie było jej tam, gdzie ją porzuciłem.

Szukałem jej z takim zapałem, jakby — trudno o lepsze porównanie — od tego zależało moje życie, ale bez skutku. Deszcz zalewał mi oczy i chłodnymi strugami wdzierał się w każdy zakamarek mojego ubrania, ale nie dawałem za wygraną. Początkowo tylko chodziłem pomiędzy drzewami, badając podłoże butami, później ukląknę na sprawnym kolanie i przeczesywałem ściólkę gołymi rękami, nie zważając na piekący ból poranionych dłoni. W końcu musiałem przyznać przed samym sobą, że nie uda mi się znaleźć broni, lecz mimo tego pozorowałem poszukiwania, kradnąc w ten sposób dodatkowe minuty życia. Nie musiałem się domyślać zamiarów Bogdana. Zaraz po tym, jak wysiedliśmy z samochodu, powiedział:

— Szukaj pan, panie, tej strzelby. Adamowicz powiedział, że jak jej nie będzie, to jesteś pan kłamca i to ty zabiłeś Piotrka. Dla ciebie lepiej, żebyś ją znalazł, a ja bym wolał, żeby nic tu nie było. Wreszcie bym go pomścił. A wiesz co mi jeszcze powiedział? — Namyslał się przez chwilę, świecąc mi latarką prosto w oczy. — Chyba mogę ci powiedzieć, bo i tak nikomu nie powtórzysz... — Zarechotał, a mnie wcale nie było do śmiechu. — Powiedział, że jak się dobrze spiszę, to może i Piotrek do nas wróci.

Gdy patrzyłem w biały, oślepiający blask latarki, wsłuchując się w te szalone słowa, czułem, że być może nie jest to jedyne światełko, z którym spotkam się tej nocy. O tym drugim opowiadają czasem osoby, które dostrzegły je w czasie przerwanej wędrówki przez ciemny tunel.

„Moja wycieczka nie skończy się w pół drogi” — przemknęło mi przez myśl.

Ponieważ wystarczająco napatrzyłem się na myśliwskie trofea, które wisały w korytarzu domu Adamowicza, nie wydawało mi się, aby Bogdan mógł spartolić tak prostą robotę. O tej porze nie miałem też co liczyć na niespodziewany ratunek, jak wtedy, przy samochodzie Adama.

„Dokończy to, co wtedy zaczął” — pomyślałem jeszcze, a potem zabrałem się za poszukiwania.

Przez cały czas próbowałem wymyślić coś, co mogłoby dać mi jakiś cień szansy na ucieczkę, ale byłem wciąż pilnie obserwowany. Adamowicz wykazywał się sporą cierpliwością. Miał na sobie płaszcz i deszcz mu nie przeszkadzał, więc spokojnie umilał mi czas swoimi świszczącymi oberkami. Za samą konieczność słuchania tego mógłbym go udusić gołymi rękami.



Kiedy zrozumiałem, że bronie nie znajdę, zacząłem rozglądać się za jakimś solidnym, ułamanym przez wiatr konarem, którego mógłbym spróbować użyć. Sądziłem, że gdy Bogdanowi znudzi się czekanie, mimo wszystko podejdzie parę kroków bliżej, by nie narażać się na ryzyko chybienia. Pech chciał, że nie mogłem znaleźć niczego poza kilkoma zbutwiałymi gałęziami. Wtedy też żałowałem, że nóż myśliwski został w kuchni, ale był to już tylko płacz nad rozlanym mlekiem.

— No już, wystarczy tego dobrego — usłyszałem słowa, które prędzej czy później musiały paść. — Więc jednak mnie pan oszukałeś. Powinieneś zdychać w męczarniach...

— Chwileczkę, panie Adamowicz... — Pomysł przyszedł nagle i chwyciłem się go jak tonący brzytwy. — Mam jeszcze jeden dowód, i to taki, w który nawet pan mi uwierzy. Błagam, niech pan da mi tę szansę! — ciągnąłem, nie podnosząc się z ziemi. Byłem żaloszny, ale gdy jedyną rzeczą, jaką się widzi poza światłem latarki jest wycelowana we własną głowę strzelba, trzymana przez szaleńca, to trudno zgrywać bohatera.

Drżałem w oczekiwaniu na strzał. Niewiele pamiętam z tamtej chwili, ale zdziwienie, że nagle zaczęło mi zależeć na życiu, dość głęboko wryło się w moją podświadomość. Co ciekawe — trudno byłoby mi określić, czy na swoim, czy też kobiety, którą poznałem poprzedniego dnia. Bardzo chciałem kogoś uratować, by choć w pewnym stopniu naprawić zło, którego się dopuściłem wobec Adama. Przynajmniej tak to sobie wtedy tłumaczyłem.

Czekanie się przeciągało i wciąż nie było żadnej reakcji na moje słowa. Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić, więc wreszcie powoli podniosłem się i stanąłem na wyprostowanych nogach. Połyskujące w świetle latarki dwie lufy również podążyły do góry.

— Jeśli masz to zrobić, to przynajmniej chcę widzieć wtedy twoje oczy, zasrane tchórzem. — Samemu trudno mi było uwierzyć, że to powiedziałem. — Zabijanie z ukrycia to twoja specjalność, prawda? A czy masz do czynienia ze zwierzętami, czy z ludźmi, to chyba dla ciebie bez różnicy?

— Zabiłeś mojego bratanka...

— Gównu wiesz o tym, co się wtedy wydarzyło i jak mnie teraz zastrzelisz, to nigdy nie dowiesz się więcej.

— Przestań wreszcie kłamać! — Podniósł głos. — Przyznaj się!

— Pierdol się — przerwałem mu i ruszyłem w stronę Słonecznej Doliny. — Jak chcesz, chodź ze mną, to wtedy może wreszcie przejrzysz na oczy, a jeśli nie, to strzelaj w plecy. Mnie jest już wszystko jedno.

Uszedłem kilka kroków śledzony przez światło latarki. Czułem się jak aktor na scenie, odgrywający właśnie rolę życia.

— Powinieneś się leczyć, człowieku — ciągnąłem, wciąż idąc. — Czy ty nie słyszysz, co mówisz?

Cień, który rzucałem przed sobą, zaczął się poruszać na boki, co niechybnie oznaczało, że Bogdan podąża moim śladem.

— Adamowicz ci powiedział, że zabiłem Piotrka? To ty jesteś Adamowicz! Sam ze sobą gadasz, a potem zdaje ci się, że wiadomości usłyszałeś od kogoś innego...

— Bobowicz — dobiegło zza moich pleców. — Powiedziałem „Bobowicz”. To on mi wszystko opowiedział. O tym, że zalecasz się do Janki, też.

— To nieprawda.

Szliśmy w pewnej odległości od siebie. Zastanawiałem się, czy mógłbym spróbować ucieczki, uskakując w bok, między drzewa, a potem uciekając ile sił w nogach... Tyle że natychmiast przypomniałem sobie, jak sprawny jest idący z tyłu mikrus. Wciąż miałem przed oczyma jego skok przez rów, gdy biegł w moją stronę. Nawet z dwiema sprawnymi nogami nie miałbym żadnych szans.

— Ale trzymaliście się za ręce? — zapytał po chwili milczenia. — Sam to przyznałeś.

— Mówiłem już, jak było i nie będę się powtarzał. A kto to jest ten, jak mu tam, Bobowicz? Dobrze mówię?

— Dobrze. To mój stary dobry znajomy, któremu wierzę jak nikomu innemu. Zwłaszcza od chwili, gdy przyszedł do mnie parę dni po swoim własnym pogrzebie.

— Powinieneś się skontaktować z lekarzem lub farmaceutą — powiedziałem natychmiast, mimo że czułem, jak niewidoczne palce gwałtownie zaciskają się na moim gardle. — Umarli ludzie nie wstają z grobów — dodałem, ale nie zabrzmiało to tak przekonująco, jak bym sobie życzył.

I trudno się dziwić.

Sam doskonale wiedziałem, że czasami bywa inaczej.

\*

Sytuacja, gdy ma się za plecami wariata z odbezpieczoną, wycelowaną we własne plecy strzelbą, nie jest komfortowa, ale jedno dla mnie było oczywiste — zdołałem odroczyć wykonanie wyroku. Skoro Adamowicz od razu nie zdecydował się na oddanie strzału i podążył moim śladem, trudno było się spodziewać, że nagle zmieni zdanie.

Po kilku minutach wyszliśmy z lasu i znaleźliśmy się na skraju Słonecznej Doliny. Deszcz padał trochę słabiej, a nad ograniczającymi teren od wschodu wzgórzami niebo zaczęło się lekko rozjaśniać. Dokoła dały się słyszeć pierwsze głosy budzących się z nocnego snu ptaków, niosące się echem po niezmiernych leśnych ostępach. Mimo to nie potrafiłem w sobie zwalczyć wrażenia, że znów wracam do Starzyzny. Podświadomie wypatrywałem przed sobą pierwszych, tak dobrze poznanych przez dwa lata, w większości zrujnowanych zabudowań wioski, lecz w nieśmiałym blasku świtu nie zdołałem dostrzec niczego, poza podnoszącymi się leniwie z ziemi, mlecznymi tumanami mglistych oparów.

Przestrzeń gęstniała od śpiewnych nawoływań skrzydlatych mieszkańców, wilgotne powietrze pachniało już rześkim, wiosennym porankiem. Gdyby nie okoliczności, bardzo by mi się to wszystko podobało.

„Przysięgam, że jeśli jakimś cudem przeżyję...”.

Moją myśl przerwał zniecierpliwiony głos zza pleców.

— Długo jeszcze tak będziemy spacerować?

Podniosłem głowę i na zboczu wzgórza po lewej dostrzegłem niewyraźnie majaczącą sylwetkę samotnego drzewa. Skręciłem w jego kierunku, rozpoczynając podejście na przełaj.

— Już niedługo. To zaraz za tamtą czereśnią.

Wspinałem się z trudem. Wilgoć i chłód najwyraźniej nie służyły mojej prawej nodze. Ból był nieznośny, więc musiałem odpocząć i uspokoić oddech. Pochyliłem się, by rozmasować kolano.

— Tylko bez sztuczek! — ostrzegł Adamowicz. — Jeden zły ruch i nie będę się długo zastanawiał...

— Niech mi pan powie — powiedziałem, nie zważając na jego słowa. Wróciłem do grzecznościowej formy, by niepotrzebnie go nie rozdrażniać. — Nie wiem, jaki interes ma pański znajomy w oczernianiu mnie, ale proszę mi wierzyć, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią pańskiego bratanka.

Odwróciłem się i spojrzałem w jego stronę. Snop światła wciąż mnie oślebiał, ale robiło się coraz jaśniej, dzięki czemu mogłem dostrzec bladą plamę twarzy.

— Jeżeli rzeczywiście tak było, że odwiedził pana zmarły, a nie mam powodu, by w to nie wierzyć... — ciągnąłem — ...to być może on właśnie maczał w tym palce.

— Dopiero co słyszałem, że zmarli nie wstają z grobów — odparł.

— Bo nie wstają, chyba że mają tu coś ważnego do załatwienia, prawda?

— Sami nie mogą wstać. Do tego potrzebny jest cud, musi być ktoś, kto potrafi przywrócić im życie. Tak stoi napisane w Piśmie Świętym.

— I myśli pan, że taki cud właśnie miał miejsce?

— Nie myślę, tylko wiem. Bobowicz nie był sam, jak do mnie przyszedł. Przyprowadził zakonnik, który potrafi działać takie rzeczy.

— Czy ten zakonnik nie miał może prawej ręki?

Adamowicz nic nie odpowiedział, ale drgnął tak mocno, że snop światła rzucony przez latarkę na chwilę powędrował w niebo.

— Jeśli mam rację, to będzie pan miał prawdziwe kłopoty — powiedziałem.

— Proszę mi wierzyć. Ten zakonnik to bardzo zły człowiek. Raz pan mu ulegnie i na zawsze...

— Nie mam zamiaru słuchać kazań, do jasnej cholery! — wrzasnął.

— Rozumiesz, pan?! Chcę tylko jednej rzeczy — tego, żeby Piotrek odzyskał życie. Jeśli ktoś potrafi go wskrzesić, zrobię wszystko, co zechce, choćby i nawet był to sam diabeł, rozumiesz?! A teraz już dosyć tego. Masz pan jeszcze pięć

minut, żeby uratować swoją skórę. Dawno by cię już nie było, gdybym cię nie polubił, ale moja cierpliwość się kończy. Czas start! — By potwierdzić, że nie żartuje, poświęcił sobie na zegarek. — Teraz już cztery pięćdziesiąt...

Żarty się skończyły. Wiedziałem, że nic go nie przekona, więc najszybciej, jak potrafiłem, ruszyłem pod górę.

Wcześniej mój plan był taki, że pokażę mu karabin Józka Kowalika i postaram się w skrócie opowiedzieć swoją historię. Dowodem potwierdzającym moje słowa miała być nie tyle sama broń, co idealny stan, w jakim się zachowała. Po każdym drewnie, nawet dobrze zakonserwowanym, widać upływ czasu, a kolba karabinu, który przyniosłem ze Starzyzny, wyglądała tak jakby drzewo, z którego została zrobiona, jeszcze kilka miesięcy temu rosło w lesie. Skoro taki laik jak ja potrafił to dostrzec, to sądziłem, że znawcy broni, jakim z pewnością był Adamowicz, przyjdzie to z jeszcze większą łatwością.

Teraz rozumiałem, że to wszystko nie ma już znaczenia. Mauser Kowalika był dla mnie niczym innym, jak połączonymi kawałkami metalu i twardego drewna, których mogę użyć w swojej obronie; argument siły stanowił jedyny ratunek przed człowiekiem niezważającym na cokolwiek, dbającym tylko o to, by jego zmarły bratanek został przywrócony do życia. Choćby i nawet przez samego diabła.

— Trzy i pół minuty — usłyszałem.

Przypomniałem sobie, jak stwierdził, że mnie polubił. Gówno prawda! Nigdy nikogo nie zabił, a to wcale nie jest takie proste (chyba, że jest się pijanym i mierzy się do przyjaciela — chciałoby się dodać). Adamowicz potrzebował jakiegoś impulsu, czegoś, co pomoże mu pociągnąć za spust. Był zbyt miękki, by to zrobić, nawet kiedy go zwymyślałem przed kilkunastoma minutami, więc znalazł sprytny sposób na swoją słabość. Odliczanie wsteczne.

— Trzy minuty.

Znajdowaliśmy się właśnie na wysokości czereśni. Tu, niedaleko kulminacji wzniesienia było jaśniej niż w dolinie, nie na tyle jednak, by Adamowicz mógł pozwolić sobie na wyłączenie latarki. Oddychałem ciężko, kolano rwało mnie żywym ogniem, jednak nie mogłem już odpoczywać. Do kopczyka, pod którym ukryty był karabin, mieliśmy jeszcze kawałek, a ja wcale nie byłem pewien, czy dotrę tam w trzy minuty...

— Dwie czterdzieści. Masz pan już naprawdę bardzo, ale to bardzo mało czasu. — Jego głos był monotonny, beznamiętny, nie było słychać przyspieszonego oddechu. Bogdan odlatywał, był jakby w innym świecie. Miałem wrażenie, że wlecze za sobą całą groźbę Starzyzny. Maszyna do zabijania z ustawionym dokładnie zegarem.

— Dwie dwadzieścia.

Nie wiem, co musiałbym mu pokazać, żeby przerwał odliczanie. Może by się udało, gdyby pod stertą kłujących badyli leżał jego żywy bratanek i tylko czekał,

by spod nich wyskoczyć. Chociaż i tego nie byłem pewien. Nie wydawało mi się, żeby idący za moimi plecami mężczyzna rejestrował jakiegokolwiek bodźce zewnętrzne. Liczyły się dla niego tylko zegarek i spust, który ma zostać naciśnięty w ściśle określonym momencie.

I idący z przodu kuternoga, którego za wszelką cenę należy do syta nakarmić ołowiem.

— Oj, marnie to widzę — odezwał się. Przysięgłbym, że w jego głosie pobrzmiwała żartobliwa nuta. — Półtorej minuty, a cudownego dowodu na niewinność ani widu, ani słyhu.

Nie odpowiedziałem. Zamiast wdawać się w wesołe przekomarzanki wytyczałem wzrok, by orientacyjnie namierzyć miejsce ukrycia karabinu. Zaczynała się poranna szarówka, ale nie było jeszcze na tyle jasno, bym mógł być czegokolwiek pewien. Poza tym sprawę komplikował fakt, że wtedy, w niedzielę mój umysł nie pracował na najwyższych obrotach.

— Minuta dziesięć. Co się dzieje?

Zdziwił się, bo nagle przystanąłem. Kępa zarośli po lewej wydawała się podobna do tamtej, ale... Czy to na pewno tam? Miałem do podjęcia decyzję, od której wszystko mogło zależeć. Nie, to chyba jeszcze nie tu...

Postąpiłem kilka kroków, potem kilkanaście i wpadłem w panikę.

„To było tam! Nie zdążę już wrócić...” — myślałem gorączkowo i już miałem obrócić się na pięcie, gdy dostrzegłem przed sobą ledwie widoczną ścieżkę w lewo. Teraz już zupełnie się pogubiłem.

— Czterdzieści sekund.

Na powrót było już za późno, choć byłem pewien, że to właśnie tamto miejsce było właściwe...

Skręciłem w lewo. Chyba po prostu licząc na cud.

I ten się wydarzył.

W momencie, gdy Adamowicz powiedział: „trzydzieści sekund”, rozpoznałem, że to jednak tu. Ogołoczone z gałęzi krzewy nie pozostawiały wątpliwości, wydawało mi się też, że widzę stertę, pod którą ukryta była broń.

Rzuciłem się do biegu.

— Stój! — Adamowicz natychmiast podążył za mną.

Zaraz potem padłem na ziemię i włożyłem ręce pod gałęzie najgłębiej, jak to było możliwe.

— Co pan wyrabiasz, do jasnej cholery? — Stał nade mną okrakiem. — Co to za sztuczki?

Poczułem na plecach ucisk. Metalowa dwururka docisnęła mnie do ziemi. Wydawało mi się, że czuję każdą z jej zimnych luf na wysokości serca.

— Zostało dziesięć sekund... — powiedział sucho.

Szamotałem się rozpaczliwie, gorączkowo przeszukując swoją skrytkę. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby udało mi się namacać karabin. Ciężko byłoby

cokolwiek zrobić, bo byłem prawie całkowicie unieruchomiony, ale przynajmniej mógłbym spróbować przekreślić się na bok i uderzyć w tył na oślep. Ręce jednak wciąż miałem wolne, więc młóciłem nimi przed sobą z całych sił.

— Pięć sekund — powiedział Adamowicz i zgasił światło.

Wokół zrobiło się szaro, a ja miałem pustkę w głowie, bo...

Nie było go tam.

Ktoś przyszedł i zabrał karabin Kowalika. KTOŚ GO ZABRAŁ!!! Byłem tego pewien, bo gdyby było inaczej, przynajmniej bym go dotknął... Skąd ktoś mógł wiedzieć, że tu jest, do kurwy nędzy?! Przypadek?

— Dwa... jeden...

Poczułem mocniejszy ucisk na plecach pomiędzy łopatkami, a po chwili ciszę przerwał ogłuszający huk wystrzału.

### 3.

Kobieta gwałtownie siada na łóżku.

Przez dłuższą chwilę nie wie, gdzie jest, jednak po jakimś czasie uświadamia sobie, że ocknęła się we własnym pokoju. Półprzytomnym wzrokiem rejestruje otaczające ją, znajome kształty mebli, materializujące się w półmroku rozpraszonym przez słabe światło budzące się do życia dnia.

W jej uszach wciąż brzmi nieprzyjemny dźwięk, który ją obudził. Usiłuje przypomnieć sobie sen, z którego została nagle wyrwana i nareszcie jej się to udaje. Dwóch mężczyzn. Jeden stoi i z najbliższej odległości mierzy w plecy drugiego, leżącego na ziemi. Gasi latarkę, odwraca głowę, naciska spust, w powietrzu rozlega się huk. Ale wystrzał nie jest już częścią sennego koszmaru. Wydaje się jej, że jego echo dobiega zza okna, powtarzane przez zatopione w martwej ciszy poranka okoliczne wzgórza.

— Boże święty — szepce, po czym, wciąż jeszcze drżąc, wychodzi na korytarz. Najpierw sprawdza jeden pokój, później drugi. Oba są puste.

Idzie do kuchni, nalewa sobie szklankę wody i wypija jednym haustem. Wraca do pokoju. Próbuje znów zasnąć, ale niepokój jej na to nie pozwala.

W głowie wciąż ma wyraźny obraz swojego męża i drugiego mężczyzny, leżącego na ziemi. Jego też rozpoznała, ale nic już nie może zrobić.

Chciałaby po prostu znów zasnąć...

\*

Po upływie kilku minut wstała raz jeszcze i wzięła podwójną porcję proszków nasennych, a te zadziałały niemal natychmiast. Kiedy zasypiała, marzyła tylko o tym, by koszmar się nie powtórzył.

I tak się właśnie stało.

Wiem, że tak było, bo jakieś dwie godziny później sama mi o tym opowiedziała.

#### 4.

Jeśli odczułem wtedy coś podobnego do opisywanego przez Gielmudę przebudzenia na Czarnym Wygonie, to zupełnie tego nie pamiętam. Oprócz doskonale znanego rwania w kolanie i pieczenia poranionych dłoni nie czułem innego bólu. Oddychałem spokojnie, więc o nieprzyjemnych niedoborach tlenu także nie było mowy. Jedynym podobieństwem, jakie udało mi się znaleźć, był padający na moją twarz, jednostajny, ulewny deszcz, który kojąco szemrał, spadając na świeże, niedawno rozwinięte liście otaczających mnie krzewów.

— To jakieś przekleństwo — powiedziałem głośno. — Znów się budzę prawie w tym samym miejscu...

Gdy otwierałem usta, dostały się do nich chłodne krople. Było mi zimno, ale z przyjemnością przełknąłem kilka orzeźwiających łyków wody. Tym razem nie miałem kaca, ale spragniony byłem nie mniej niż w ostatnie niedzielne popołudnie.

Nagle usiadłem, przypominając sobie minione wydarzenia, po czym zrobiłem dokładnie to samo, co kilka dni wcześniej — zacząłem szukać na swoim ciele śladów po pocisku. Z tym że teraz nie dotykałem głowy, a kurtki na plecach. To była dziwna chwila, ponieważ dramatyzm całej sytuacji przeplatał się ze swego rodzaju groteską. Gdyby ktoś mnie nagrał kilka dni wcześniej i teraz, miałby spore szanse przynajmniej na nagrodę tygodnia fundowaną przez sponsora programu „Śmiechu warte”.

Wyobraźnia podsunęła wizję, która wydała mi się naprawdę zabawna, więc wydałem z siebie kilka nerwowych dźwięków, będących bardzo dalekimi krewnymi normalnego śmiechu. Nie zapomniałem także o sprawdzeniu kurtki na piersiach, w razie gdyby otwór wlotowy był zbyt mały, by go wymacać w niewygodnej pozycji, zdrętwiałymi z zimna palcami. Okazało się, że pocisk na pewno nie wydostał się przodem, więc uspokojony spojrzałem na zegarek. Naprawdę. Dokładnie tak samo jak w niedzielę.

I wtedy zacząłem się śmiać na całego.

Trwało to może trzy, może pięć minut. Kiedy później przypinałem sobie ten moment, cała scena nie była w stanie wywołać na mojej twarzy nawet cienia uśmiechu, ale w tamtej chwili po prostu nie mogłem się opanować i zaśmiewałem się do rozpuku. Podejrzewam, że mój organizm w ten właśnie sposób musiał odreagować cały stres ostatnich godzin, a może i dni. Wreszcie nie miałem już sił, więc upadłem na bok i śmiałem się dalej. Głośno, radośnie, niewymuszenie. Wizja niezamierzonej kariery aktorskiej w programie prowadzonym przez

Tadeusza Drodę wciąż podsuwała nowe obrazy, a ja poddawałem się im z największą rozkoszą. W pewnym momencie zabrakło mi już powietrza, mięśnie brzucha piekły z bólu, a po policzkach spływały mi kaskady łez, śmiech jednak wciąż wstrząsał mną bezlitośnie, stając się trudną do zniesienia torturą.

Te męczarnie były mi jednak potrzebne, ponieważ, kiedy wreszcie ustały, czułem się o wiele lepiej. Zmęczony i szczęśliwy.

— Nie udało ci się mnie zabić, wariacie — powiedziałem z uśmiechem i wstałem, rozglądając się wokół. — Ktoś był szybszy, co?

Najbardziej prawdopodobnym wydawało mi się wtedy, że po prostu ktoś ubiegł Adamowicza w oddaniu strzału, więc zacząłem rozglądać się wokół w poszukiwaniu dowodów na potwierdzenie takiej tezy. Zaraz potem przyszła wątpliwość, każąca zadać sobie pytanie, kto mógł się tutaj znaleźć o takiej porze.

„Może to ktoś, kto znalazł karabin Kowalika? — myślałem. — Akurat nadeszliśmy, więc wystrzelił... Ale skąd miałyby do niego pociski? Zwłaszcza że chyba w dzisiejszych czasach są one już rzadko spotykane”.

Na takie argumenty nie miałem odpowiedzi. Cóż się więc tutaj stało? Dlaczego Bogdan nie trafił, strzelając z przyłożenia?

Być może w ostatniej chwili odstawił broń i strzelił w powietrze? Pamiętałem, że było inaczej, ale kto ufałby w takiej sytuacji własnej pamięci?

Na pewno nie ja, ale było coś, czego byłem pewien, ponieważ wydarzyło się nieco wcześniej, jeszcze przed wyjazdem z domu Adamowiczów. Pamiętałem o tym, że chciałem przeżyć, żeby kogoś uratować.

„Ten ktoś może być teraz w wielkim niebezpieczeństwie” — pomyślałem i natychmiast ruszyłem w drogę, mając nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

\*

Kuśtykając co sił w zmęczonych nogach, starałem się w jakiś sposób dociec, ile czasu minęło od chwili, gdy straciłem przytomność. Wtedy zaczynało dzień, natomiast w momencie, kiedy rozpoczynałem koślawy marsz w stronę Guciowa, było już jasno. Szkopuł w tym, że na temat tego, o której robi się jasno na początku kwietnia nie miałem nawet mglistego pojęcia.

Gdy po raz pierwszy spojrzałam na zegarek, wskazywał on godzinę szóstą czterdzieści.

— Szkoda, że nie popatrzyłeś wtedy na zegarek — powiedziałem do siebie. — Albo że Adamowicz nie poinformował, o której ma nastąpić godzina zero.

Ostatecznie uznałem, że nie ma już teraz znaczenia, ile czasu minęło. Najważniejsze było jedno — jak najszybciej ostrzec Jankę przed niebezpieczeństwem grożącym jej ze strony męża.

Chociaż obraz wioski, który znów miałem przez sobą, przyprawiał mnie o lekkie mdłości, chociaż zdawałem sobie sprawę, że znów prawdopodobnie pakuję się w tarapaty, to podczas całego marszu ani razu nie przeszło mi przez myśl, że mógłbym zostawić tę kobietę samą sobie, nieświadomą zagrożenia. Mogłem



zadbać o swoją skórę i ominąć Guciów szerokim łukiem. Nie miałem wprawdzie przy sobie ani grosza, bo wszystkie moje rzeczy zostały w domu Adamowiczów, niemniej jednak to nie przeszkodziłoby mi w wybrnięciu z całej sytuacji. Wystarczyłby jeden telefon do Stanisławskiego, wykonany z domu jakiegoś nieznajomego, acz niebrzydzącego się pomocą bliźnim gospodarza, i zapewne dla mnie wszystko skończyłoby się happy endem.

Tyle że dla niej wtedy mogło być już za późno.

„Być może już jest” — pomyślałem, ale zaraz zrobiłem wszystko, by odpędzić od siebie tę pesymistyczną wersję.

Tym razem postanowiłem w ogóle nie dochodzić do drogi. Bezpieczniej było dotrzeć do zabudowań Adamowiczów od strony wzgórza, więc skierowałem się w prawo, by przetraversować jakieś dwieście metrów równolegle do jego grzbietu. Kiedy poprzedniego dnia siedzieliśmy z Janką w sadzie na tyłach domu, udało mi się mniej więcej zorientować w jego położeniu względem Słonecznej Doliny i teraz, gdy tylko wioska wychynęła zza kępy drzew, bez trudu rozpoznałem znajome gospodarstwo.

Po świętach życie w Guciovie najwyraźniej wracało do normy. Widoczną w oddali drogą co raz przejeżdżał jakiś samochód, na jednym z podwórek głośno pyrkotał traktor. Od strony lasu rozległ się wysoki dźwięk piły motorowej, a niedługo potem wszystkie te dźwięki na chwilę zagłuszył odgłos padającego z łoskotem drzewa. Pomyślałem, że gdybyśmy taką pilę mieli w Starzyźnie, to życie byłoby o wiele prostsze, a zaraz potem stanął mi przed oczyma obraz zbliżającego się do mnie Adama.

Przystanąłem na moment.

A jeśli w jakiś sposób przywlokłem ze sobą nieśmiertelność? Może dlatego wciąż byłem żywy, pomimo że Bogdan wypalił wprost w moje plecy? Zbudziłem się przecież o świcie, tak jak inni budzili się na Czarnym Wygonie... TAM byłem zwykłym śmiertelnikiem, więc może w moim świecie sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni? Przecież, dokładnie jak Gielmuda, nieświadomie przekroczyłem granicę dwóch światów...

Spojrzałem na pokiereszowane dłonie i dotknąłem czoła, które, jak się okazało, wciąż było opuchnięte. Gdybym rzeczywiście miał rację, to wszystkie rany powinny zniknąć już poprzedniego dnia rano.

— Nie szukaj w tym logiki — szepnąłem i znów poczułem się zupełnie bezsilny wobec ostatnich zdarzeń, okraszonych dodatkowo informacjami Adamowicza o rzekomych odwiedzinach z zaświatów i o jego spotkaniu z tajemniczym zakonikiem-cudotwórcą. Nie zamierzałem się jednak poddawać. Poprzedniego dnia Janka doradziła mi właściwy sposób postępowania, ale wtedy pomyślałem też, że bez niej nie dam rady. Być może właśnie dlatego tak bardzo chciałem ją ochronić przed Adamowiczem.

Ich dom był coraz bliżej, a ja ruszyłem niezbornym truchtem w nadziei, że zdążę

ją jeszcze uratować.

## 5.

Zbliżając się do ogrodzenia znajomej zagrody, w żadnym z sąsiedzkich gospodarstw nie zauważyłem żywej duszy, niemniej jednak, kiedy zabudowania były już na odległość rzutu kamieniem, zwolniłem do normalnego marszu, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Całkiem niedawno Bogdan dał mi przecież jasno do zrozumienia, że miejscowi „informatorzy” są nadzwyczaj czujni, a wynikami swych spostrzeżeń dzielą się chętnie i bez zbędnej zwłoki.

Rozsądek nakazywał wejście na podwórze od strony asfaltowej drogi, lecz czas naglił, więc postanowiłem zaryzykować i dostać się bezpośrednio do sadu, odchylając nieco jedno z przesł zrujnowanego płotu. Chwilę potem skradałem się do domu Adamowiczów z nadzieją, że zieleniejące drzewa stanowią wystarczającą zaporę przed ciekawskimi spojrzeniami sąsiadów.

Mało brakowało, a uległbym pokusie, by od razu zajrzeć do pokoju Janki. Mógłbym tego bez trudu dokonać, przystawiając do ściany jedno ze stojących nieopodal plastikowych krzeseł i wspinając się na nie, ostatecznie jednak uznałem, że nie byłoby to zbyt rozsądne; przecież Adamowicz mógł być w środku, a ja chciałem zostać niezauważony najdłużej, jak to tylko możliwe. Przemknąłem więc obok domu w nadziei, że drzwi wejściowe, usytuowane po przeciwnej jego stronie, nie będą zamknięte od środka.

Za rogiem budynku czekało na mnie pierwsze rozczarowanie. Podświadomie łudziłem się, że Bogdan nie wróci od razu do domu, lecz znajoma fiesta, porzucona byle jak na środku podwórza, nie pozostawiała wątpliwości, że jeśli postanowił wdrożyć w życie swój morderczy plan, to nie czekał z jego realizacją.

Drugie rozczarowanie spotkało mnie w momencie, gdy ostrożnie nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte i tym faktem byłem naprawdę mocno zaskoczony; do głowy by mi nie przyszło, że Adamowicz po powrocie zamknie je za sobą na klucz.

„Może nie jest aż tak szalony, jak mi się wydawało?” — pomyślałem i natychmiast zacząłem zastanawiać się, co robić dalej. Ostatecznie uznałem, że skoro nic innego nie przychodzi mi do głowy, to plan z krzesłem wcale nie jest taki zły.

W drodze na tyły domu przystanąłem obok schodków prowadzących do piwnicy. Moje serce ogarnęła nadzieja, bo gdyby tutaj drzwi były otwarte, to przecież lepszy sposób na niepostrzeżone wejście do budynku trudno byłoby sobie wymarzyć... Schodząc po betonowych stopniach, modliłem się, by tym razem się udało.

Ująłem w dłoń mosiężną gałkę i przekręciłem. Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem i zaraz potem byłem w środku.

\*

Dwa niewielkie zasłonięte okienka nie dawałyby zbyt wiele światła nawet w słoneczny dzień, więc w pochmurny poranek tym bardziej miałem problem z dostrzeżeniem czegokolwiek. Odruchowo sięgnąłem do ściany, próbując znaleźć włącznik światła. Był tam, gdzie można się było go spodziewać, jednak charakterystyczne pstryknięcie nie dało oczekiwanego efektu. Najwyraźniej takie drobiazgi jak wymiana przepalanej żarówki nie zaprzętały głowy gospodarza.

Gdy wzrok przyzwyczaił się nieco do panującego w piwnicy półmroku, dostrzegłem na przeciwległej ścianie pionowy, biały prostokąt i domyślając się, że są to drzwi prowadzące do kolejnego piwnicznego pomieszczenia, powoli ruszyłem w ich kierunku. Zaraz potem moja noga natrafiła na leżącą na podłodze skrzynkę z narzędziami. W myślach pochwaliłem sam siebie za zapobiegliwość; jeśli nie zachowałem ostrożności, prawdopodobnie wyłożyłbym się jak długi. Na wszelki wypadek postanowiłem jeszcze chwilę poczekać, aż wreszcie z otaczającej mnie szarości zaczęły się wyłaniać ostrzejsze kształty.

Na prawo od drzwi zobaczyłem sięgający niemal sufitu prostokąt metalowej szafy, obok którego, w samym kącie piwnicy, stało coś, co przypominało... Pomyślałem o sklepowym manekinie, ponieważ do głowy by mi nie przyszło, że w tym miejscu mógłby ktoś stać, ale... dwa lekko fosforyzujące punkciki na wysokości głowy nieruchomej postaci na moment zgasty, by zaraz znów się rozjarzyć. Zamarłem w bezruchu. Jego twarz była coraz wyraźniej widoczna.

Wreszcie, gdy mogłem już rozróżnić rysy twarzy nieznanego mężczyzny, jego usta rozciągnęły się w szerokim nieprzyjemnym uśmiechu. Białe zęby zaśniły niemal tak jasno, jak osadzone w śniadym obliczu białka oczu.

— Pan Uchmann... — powiedział głębokim, dźwięcznym głosem. — Jakże miło mi pana wreszcie poznać...

Postąpił kilka kroków w moją stronę. Gdy stanął tak blisko, że mógłbym go dotknąć, okazało się, że jest ode mnie wyższy prawie o głowę. Siwe, długie włosy okalały pooraną zmarszczkami twarz, gęsta i również siwa broda maskowała nieco jego uśmiech, ale ślepe oczy wpatrywały się we mnie bez cienia wesołości. Dopiero teraz zrozumiałem, że nieznamy starzec nie uśmiecha się, lecz szczerzy zęby w grymasie przywołującym na myśl szykującego się do ataku drapieżnika.

Próbowałem się cofnąć, ale zaraz wyczułem, że za mną jest jakaś ciężka, niepozwalająca się odsunąć przeszkoda. Dłonie natrafiły na chłodny blat metalowego stołu. Gorączkowo zacząłem go dotykać w poszukiwaniu czegoś do obrony. Bezskutecznie. Pozostała mi ucieczka, mężczyzna jednak natychmiast zagroził mi drogę odwrotu i pokręcił głową, cmokając przy tym z niezadowoleniem.

— Jeszcze się dobrze nie poznaliśmy, a pan już by chciał mnie tu zostawić?

Nieładnie, nieprawdaż?

Z kocią zręcznością przesunął się kilka kroków w swoją lewą stronę, mijając bez trudu skrzynkę z narzędziami i duże pudło, którego wcześniej nie dostrzegłem. Cały czas patrzył mi w oczy, a ja miałem wrażenie, że rozkład przedmiotów w piwnicy zna na pamięć. Wreszcie sięgnął do zamka w drzwiach, przekręcił klucz i schował go do kieszeni.

— Teraz nie będą już nam przeszkadzać jakieś niepotrzebne pokusy — powiedział.

Był kilka kroków ode mnie. Ocenilem, że jestem w stanie dopaść do drugich drzwi, ale zanim wykonałem jakikolwiek ruch, nieznamy znów się odezwał:

— Tamte drzwi zamknąłem już wcześniej. Zechce pan może łaskawie to sprawdzić?

Nie miałem nic do stracenia, więc rzuciłem się w ich stronę najszybciej, jak potrafiłem. Kiedy szamotałem się z klamką, zza moich pleców dobiegł cichy, nieprzyjemny śmiech.

— Och, panie Witoldzie, niechże pan przestanie. — Śmiech ustał jak ucięty nożem. — Proszę mi wierzyć, że to nic nie da. Długo się przygotowywałem na spotkanie z panem i zapewniam solennie, że nic nie umknęło mojej uwagi.

\*

Nie wiem, jak dużo czasu minęło, zanim się uspokoiłem na tyle, by przynajmniej spróbować zebrać myśli. Pewnie nie dłużej niż dwie lub trzy minuty, mnie jednak wydawały się one całą wiecznością.

Stałem bez ruchu, przyklejony plecami do zamkniętych drzwi i wsłuchiwałem się w krew, która z hukiem pulsowała mi w skroniach. Czułem dokuczliwe klucie w klatce piersiowej, płytki oddech nie pozwalał na uspokojenie rozszalałego tętna, a siwy mężczyzna, który ponownie przybliżył się najwyżej na metr, wciąż wpatrywał się we mnie, szczerząc zęby w upiornym uśmiechu. Wydawało mi się, że cuchnie zbutwiałymi liśćmi i wilgotną ziemią. Gdy się odezwał, z jego ust buchnął smród zgnilizny.

— Trzeba panu wiedzieć, że zawdzięcza mi pan życie, więc strach jest w tej sytuacji absolutnie nie na miejscu.

Wstrzymałem oddech, by nie czuć tego potwornego zapachu. Wolałbym się chyba udusić, ale mężczyzna cofnął się o dwa kroki.

— Wiem, że mój oddech jest przykry. Teraz lepiej?

Wszystko, co do tej pory nastąpiło, wskazywało na to, że czyta w moich myślach. Uprzedzał każdą z nich, nie pozwalając na...

— Owszem, znam każdą myśl. Wygląda na to, że będzie pan musiał do tego przywyknąć. Wiem, to niezbyt komfortowe, ale nieuniknione. Zastanawia się pan, w jaki sposób ocalałem mu życie?

Nie pozostało mi nic innego, jak skinać głowę. Przyspieszony oddech wciąż nie pozwalał na wykrztuszenie choćby jednego słowa.

— Och, to była dla mnie czysta przyjemność. — W tym momencie po raz pierwszy w jego ślepych, nieprzeniknionych dotąd oczach odmalowało się rozbawienie. — Pański dobry znajomy, pan Adamowicz, miał strzelbę naładowaną ślepakami. Gdy wyjechaliście z Guciowa, pan Stanisławski zadbał o to i podmienił pociski. Tak na wszelki wypadek, żeby Bogdan nie zrobił nikomu krzywdy, bo jego stan jest coraz gorszy. — Westchnął z udawanym smutkiem. — Nieprawdaż?

— Prawdaż. — Wreszcie udało mi się coś powiedzieć. — Kim pan jest?

— Oczywiście mógłbym go poinformować o tej niecnej podmianie, ale stwierdziłem, że to z pewnych względów nie byłoby najrozsądniejsze rozwiązanie. Dlaczego? Otóż mam wobec pana pewne plany, a nieżywy nie przydałby mi się pan do niczego.

— Był pan wtedy ze Stanisławskim i z Krzysztofem?

Roześmiał się.

— Ależ skąd! Miałem wtedy pilniejsze sprawy na głowie.

— Skąd zatem...

— Powiedzmy, że nie jest pan, panie Witku, jedyną osobą, której myśli potrafię odczytać. Nieskromnie mówiąc, niewiele osób potrafi je przede mną ukryć.

— Popatrzył na mnie z uwagą, nagle poważniejąc. — Tak naprawdę, to nikt.

Ale ja dobrze zapamiętałem jego przedostatnie zdanie, ponieważ z jego reakcji wynikało, że może się ono okazać nadzwyczaj ważne.

— Wytrawny gracz i niegłupi — powiedział bardziej do siebie niż do mnie. — Ale i tak nie sądzę, żebym miał z panem jakieś kłopoty. Dlaczego? Już spieszę z wyjaśnieniem. Zdaje się, że jest ktoś, na kim panu bardzo zależy? Tak, wiem, pani Adamowiczowa to bardzo miła kobieta, ale w tym wypadku akurat nie ją miałem na myśli. Jakież inne koncepcje?

Nie było sensu zaprzeczać. Wcześniej sam przed sobą nie chciałem otwarcie przyznać tego, że na Jance zależało mi o wiele bardziej niż po prostu na sympatycznej, nowo poznanej kobiecie. Było w niej coś więcej, coś, co sprawiało, że niemal od pierwszej chwili nie była mi obojętna. Oczywiście nie potrafiłbym jasno sprecyzować mojego stosunku do niej, gdyby nie zaskakująca „pomoc” stojącego przede mną indywiduum, które było bardziej odrażające od wszystkich upiorów, które miałem okazję spotkać w Starzyźnie. Mimo to poczułem się zmieszany.

— A idź pan do diabła. Co pan może wiedzieć o...

Nie dokończyłem. I tak nie miałyby to sensu, gdyż głośny, tym razem naprawdę szczerzy śmiech gruchnął o ściany niewielkiego piwnicznego pomieszczenia.

\*

Patrząc na mojego rozbawionego rozmówcę, zastanawiałem się, co sprawiło, że tak bardzo się go w pierwszej chwili przeraziłem. Z jednej strony na pewno była to kwestia zaskakującego odkrycia jego obecności w ciemnym pomieszczeniu,

w którym nie spodziewałem się spotkać kogokolwiek, z drugiej jednak — podświadomie rozumiałem, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Kilka dni po opuszczeniu Starzyzny znów miałem przed sobą postać, która patrzy na mnie pozbawionymi źrenic oczyma, a przecież miałem prawo przypuszczać, że więcej już mnie coś takiego nie spotka. Tak, to było dobre wytłumaczenie mojego stanu, byłem bliżej zrozumienia swojej reakcji, ale... było jeszcze coś ponad to...

Podobne, trudne do jednoznacznego zdefiniowania wrażenie odniosłem już wcześniej wielokrotnie, chociaż nigdy aż w tak intensywny i dojmujący sposób jak teraz. Natychmiast przyszło mi na myśl spotkanie z idącym z naprzeciwka, trzymanym na smyczy niebezpiecznym psem. Zbliżyliśmy się do siebie, on, dla zmylenia swego właściciela, jest na pozór zupełnie mną niezainteresowany, ale widzę wyraźnie, że zezuje z lekka, jakby oceniając szanse dopadnięcia mnie w momencie, gdy znajdziemy się na jednej wysokości. Kiedy się mijamy, dają o sobie znać ukryte na co dzień atawizmy — podświadomie szykuję się do uskoczenia, gdyby zwierzę nagle zechciało zniechęca zaatakować; prawie czuję na sobie jego wpijające się głęboko w mięśnie kły. Wiem, że nie miałbym szans, on to również czuje, zdaje sobie sprawę ze swej przewagi i litościwie odpuszcza lub robi to ze względu na obawę przed reakcją właściciela. W duchu dziękuję Bogu, że był na smyczy, że nie spotkaliśmy się sam na sam w sytuacji, w której metalowa kolczatka nie przypominałaby o zakazie niesubordynacji. Nawet gdy jest już kilka metrów za moimi plecami, wciąż myślę, że nie jestem jeszcze do końca bezpieczny. „Na szczęście był na uwięzi” — myślę i z ulgą przyspieszam kroku.

W tej piwnicy nie było smyczy. Stałem w obliczu nienawistnego zła w czystej postaci i byłem o tym święcie przekonany, choć nie miałem na poparcie tej tezy nawet najmniejszego logicznego argumentu. Włosy jeżyły mi się ze strachu, drżałem, oczekując ataku, który, jeśli by nastąpił, nie pozostawiłby mi żadnej szansy. Wszystko to rozgrywało się na poziomie pierwotnych, wykształconych przez wieki instynktów, jednak było tak wyraźne, jak powiew lodowatego wiatru w grudniowy mroźny poranek boleśnie kłujący odkryte ciało.

— To o panu wspominał Adamowicz w nocy, prawda? — odezwałem się cicho i to pytanie mnie samemu uświadomiło, że mu wierzę. Wierzę, że zna moje myśli, wie też, o czym rozmawiałem, nawet wtedy, gdy nie było go w pobliżu. — Nazywa się pan Bobowicz, dobrze zapamiętałem nazwisko? Obiecał mu pan wskreszenie jego bratanka...

Patrzył na mnie, znów upiornie szczerząc białe zęby. Śmiech ustał już wcześniej, ale wciąż zdawało mi się, że słyszę jego odbijające się od niskich ścian echo.

— Możemy się umówić, że tak się właśnie nazywam. Bogdan wspominał też, że ktoś ma mi w tym pomóc... Zdaje się, że to twój dobry znajomy, mój miły Witku.

— Nie jestem twój. W jaki sposób Dobrowolskiemu udało się wydostać ze

Starzyzny?

— Może jeszcze nie jesteś mój, ale będziesz, zaufaj mi. — Nie przestawał szczerzyć tych swoich cholernych kłów. — W jaki sposób? Dokładnie w taki sam, jak twoim przyjaciołom.

Zastanowiłem się nad jego słowami, bo coś mi tu nie pasowało. Skoro wierzyłem święcie, że rzeczywistym autorem zapisków w brulionie z napisem „krew to życie” jest Adam, to Dobrowolski nie mógł przecież w wielkopiątkową noc przejść granicy pomiędzy dwoma wymiarami. Wyraźnie przecież było napisane, że ktoś tam jeszcze w Starzyźnie jest prócz mojego przyjaciela. Czyżby więc ten upiorny klecha znalazł sposób na swobodne przemieszczanie się pomiędzy Guciozem a przekłętą wioską? Skoro tak, to...

— Nie łudź się, mój drogi. Twój koleżka nie widział w Starzyźnie zakapturzonego księdza bez odstrzelonej przez ciebie ręki.

Ciągle zapominałem, że Bobowicz czyta w moich myślach jak w otwartej księdze.

— Dobrowolski jest zbyt mały, by tego dokonać, chyba że to JA — wyraźnie zaakcentował to słowo — bym mu na to pozwolił. Jak na razie bynajmniej nie było takiej potrzeby ani konieczności.

— Kogo więc widział Adam?

— Sam się domyśl, jak jesteś taki cwany. — Zarechotał z zadowoleniem.

— Co mu zrobiłeś? Przysięgam, że jeśli Nawrotowi stała się jakaś krzywda, to... — Bezwiednie zacisnąłem dłonie w pięści, co nie uszło uwagi Bobowicza, ponieważ spojrzał na nie z kpiącym uśmiechem.

— To co mi zrobisz? Zbijesz mnie?

— Jeśli będzie trzeba...

— Nie rozśmieszaj mnie już, bo mnie brzuch ze śmiechu boli. Sam wiesz, że nie jesteś w stanie mi zrobić żadnej krzywdy. Wiesz, prawda?

Wiedziałem jak cholera.

— Poza tym nie bądź taki porywczy, Witku — ciągnął — bo jak dotąd to właśnie ty jesteś osobą, która najbardziej skrzywdziła twojego koleżkę. Żebyś ty wiedział, jak bardzo było mu przykro, zanim wydał — jak mu się wtedy zdawało — ostatnie tchnienie. I żebyś wiedział, jak bardzo wtedy cierpiał... Trafiłeś go prosto w bebechy, więc — jak sobie zapewne zdajesz sprawę — skazałeś go na bardzo bolesną agonię.

— Co mu zrobiłeś? — Tym razem w moim głosie zabrzmiała wyraźnie nuta rezygnacji.

Milczał przez kilka sekund, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie odparł:

— Nic, mój drogi. Jeszcze nic...

— Możesz mu pomóc wrócić?

— Brawo, Witku! — Lekko zaklaskał w dłonie. — Widzę, że powoli

zaczynamy się dogadywać. Pamiętasz, jak przed chwilą zarzekałeś się, że nie będziesz mój? O właśnie, wyraźnie widzę, że zaczynasz już rozumieć, dlaczego nie doradziłem Bogdanowi sprawdzenia nabojów w jego dubeltówce. Wprawdzie bardzo pokrzyżowałeś mi szyki w Starzyźnie i mam do ciebie o to duży żal, ale pomyślałem sobie, że gdybym cię po prostu zabił, to nie byłaby wystarczająca kara. Dużo bardziej dotkliwa będzie dla ciebie bezwarunkowa uległość wobec mnie. Mało tego, doprowadzi ona do tego, że wspólnie naprawimy to, co mi popsuleś, mój drogi.

— Czego ode mnie chcesz?

— Och, jaki niecierpliwy... — Znów ten ironiczny uśmiezek, który zaczynał mnie już doprowadzać do szału. — Zaczniemy od tego, że od teraz będziesz się do mnie zwracał „panie Bobowicz”.

Przez chwilę ze sobą walczyłem, ale wreszcie udało mi się wydusić przez zaciśnięte zęby:

— Czego więc pan ode mnie oczekuje, panie Bobowicz?

— No widzisz, to nie jest takie trudne, a od razu się zrobiło milej — zadrwił. — Trzeba ci wiedzieć, że dzięki takiej postawie szanse twojego przyjaciela właśnie znacząco wzrosły. Jak będziesz tak się zachowywał cały czas, to nie dość, że ocalisz Adama, to jeszcze sam możesz sporo zyskać.

— Możemy już przejść do rzeczy?

— Czy możemy? Ależ oczywiście, mój drogi! Rzekłbym nawet, że musimy, bo nie ma zbyt wiele czasu. Już ci mówię, co masz zrobić. To nie będzie łatwe, ale na pewno ci się uda. W przeciwnym wypadku zbyt wiele możesz stracić, nieprawdaż?

\*

Spędziłem w tej piwnicy jeszcze jakiś czas, wysłuchując, co ma mi do powiedzenia Bobowicz. Od momentu, gdy okazało się, że chce wejść ze mną w jakiś układ, a na podjęcie decyzji daje mi całą dobę, paraliżujący strach zelżał, a myśli zaczęły uporczywie krążyć wokół Janki i Adamowicza. Pragnąłem jak najszybciej sprawdzić, czy nie doszło do najgorszego, a to nie sprzyjało skupieniu się na wypowiedzianych do mnie słowach.

— Mam nadzieję, że się rozumiemy? — zakończył.

— Tak, panie Bobowicz, mam do namysłu dobę, dam panu odpowiedź, ale teraz chcę jak najszybciej pójść na górę.

Przyjrzał mi się i stwierdził:

— Mam nadzieję, że przypominisz sobie, co mówiłem, bo teraz nie masz o niczym bladego pojęcia. No, ale to już twój problem. Adamowiczowej nic nie jest, ale przez twoją niesubordynację ona właśnie stała się elementem naszej umowy. Jeśli mi odmówisz, stracisz nie tylko przyjaciela.

„Stracisz go, stracisz go...” — te słowa, przywołane z głębokich pokładów pamięci, przemknęły mi przez myśl. Zrozumiałem, jak bardzo okrutnie los



odwrócił sytuację. Wtedy, na samym początku całej historii ze Starzyzną, to Adam był ostrzegany przez swoją zmarłą żonę, a przestroga ta dotyczyła mnie. Teraz to ja usłyszałem podobne słowa i — jak przypuszczałem — również od zmarłego (Bogdan nie miał powodów, by zmyślać historię o odwiedzinach zmarłego, a teraz otrzymałem jeszcze bardzo konkretny dowód na jej potwierdzenie). Tyle że tym razem wydawało mi się, że w słowach ostrzeżenia słyszałem pełną samozadowolenia, radosną satysfakcję.

— Jeśli się nie zgodzę, to kto go panu przyprowadzi? — zapytałem.

— Och, mój drogi, o to już się nie musisz kłopotać. Na pewno kogoś sobie znajdę, chociaż przyznaję, że spełnienie mojego życzenia właśnie przez ciebie, przyniosłoby mi niemałą radość. Jednak z drugiej strony, jeśli się nie zgodzisz, to też czekają mnie miłe chwile. Ja zawsze spadam na cztery łapy, pamiętaj o tym.

W tym momencie rzucił w moją stronę klucz. Było zbyt ciemno, bym mógł go złapać, więc wsłuchiwałem się w brzęknięcie, które wydał, uderzając o podłogę. Po chwili trzymałem go w dłoni.

Gdy przekręcałem zamek, usłyszałem jeszcze:

— Niepotrzebny ten twój pośpiech. Przecież gdybyś rozumował logicznie, to wywnioskowałbyś ze słów, które wypowiedziałem przed chwilą, że nic jej nie jest...

Miał rację. Przecież dopiero co dorzucił Jankę do puli naszej ewentualnej umowy, więc najprawdopodobniej wciąż jest cała.

— Wiesz, co zrobię, jeśli się nie zgodzisz? — zapytał, otwierając drzwi na zewnątrz i wpuszczając do pomieszczenia snop dziennego światła. — Zabiorę ciebie i ją do Starzyzny. Tam zobaczysz, jak bardzo ludzie mogą cierpieć przed śmiercią, a później, gdy nie będzie już ani Adama, ani twojej nowej koleżanki, zostaniesz tam sam, bez żadnej możliwości powrotu. Pomyśl o tym, mój drogi, i lepiej mi go przyprowadź. Obiecałem ci przecież, że włos mu z głowy nie spadnie. — Po raz ostatni tego dnia usłyszałem śmiech Bobowicza i zaraz potem drzwi się za nim zamknęły, a ja zostałem w piwnicy z totalnym mętlikiem w głowie.

Już mi się nie spieszyło.

Usiadłem na ułożonych pod ścianą oponach i zacząłem się zastanawiać, o czym on, do cholery, gadał.

Miałem wrażenie, że od podzielności mojej uwagi zależy bardzo, ale to naprawdę bardzo wiele.

## 6.

W pierwszym momencie myślałem, że mnie jednak oszukał.

Janka leżała na boku, odwrócona twarzą do ściany, i w ogóle nie zareagowała na moje słowa. Podszedłem więc do jej łóżka i lekko potrząsnąłem jej ramieniem.

Nic.

Wtedy właśnie pomyślałem, że jednak Bogdan zdążył i zemścił się na swojej żonie. Zaskoczyło mnie to, że w pierwszym odruchu przez głowę przemknęła mi myśl, że to dla niej może lepiej, że dzięki temu uniknie cierpienia w sytuacji, gdy nie zgodzę się na ultimatum Bobowicza.

Zaraz potem wpadłem w panikę. Nie chciałem zostać sam. Nie teraz.

— Boże, tylko nie to — szepnąłem i pociągnąłem jej tułów na tyle mocno, że bezwładnie przetoczyła się na plecy. — Janka, proszę, obudź się! Janka!

Jej powieki drgnęły, a potem otworzyła oczy i spojrzała na mnie zupełnie nieprzytomnym wzrokiem. Zmarszczyła brwi. Wydawało mi się, że nie ma pojęcia, kto ją obudził.

— To ja, Witek! Poznajesz mnie? Nic ci nie jest?

Jeszcze przez moment jej oczy pozostawały zamglone, ale zaraz potem pojawiła się w nich iskierka zrozumienia.

— Tak, poznaję... — szepnęła. — Myślałam, że nie żyjesz. Śniło mi się, że Bogdan strzelił do ciebie. Prosto w plecy... — Żrenice Janki mimowolnie uciekły do góry, odsłaniając białka, więc znów potrząsnąłem jej ręką. — Wzięłam proszki nasenne, chyba jeszcze działają...

— Musimy stąd uciekać — przerwałem jej. — Nie mamy czasu do stracenia, bo grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

— Jak to? Dlaczego?

— Bogdan jest w domu?

Zastanowiła się i pokręciła przecząco głową.

— Chyba nie. Jak się kładłam, to go nie było...

— Samochód stoi na podwórzu.

— Więc może wrócił, jak spałam. Zwykle słyszę, kiedy wraca, ale po tabletkach mogłam... Proszę, daj mi jeszcze chwilę pospać.

— Musisz wstać, rozumiesz? Poczekał na ciebie w kuchni. Ale nie wyjdę stąd, dopóki nie usiądziesz. To naprawdę bardzo ważne.

Podniosła się z ociąganiem i popatrzyła na mnie, teraz już znacznie przytomniej.

— O czym ty mówisz? Coś nam grozi? Dobrze usłyszałam?

— Tak, wszystko ci zaraz opowiem, ale teraz szybko się ubierz. Tylko postaraj się zrobić to jak najciszej.

Teraz w jej oczach pojawił się strach. Wiedziałem, że mogę być spokojny o to, że znów się nie położy.

Po wyjściu z pokoju skierowałem kroki do kuchni. Znaleziony w niedzielę nóż nadal leżał na blacie stołu. Chwyciłem go i ruszyłem w stronę sypialni Bogdana. Miałem nadzieję, że będzie spał i bez problemów odzyskam to, co mnie interesuje.

Zapukałem delikatnie. Cisza. Otwierane drzwi lekko zaskrzypiały, więc zamarłem w bezruchu. Kiedy nie usłyszałem niczego niepokojącego, pchnąłem je znów. Tym razem bardziej zdecydowanie.

Bogdan leżał w swoim łóżku. Wciąż był ubrany w nieprzemakalny płaszcz, miejscami błyszczący jeszcze małymi śladami wilgoci. Zabłocone buty zdążyły porządnie ubrudzić białą pościel. Ręce miał złożone na piersiach, a ślepe białka oczu beznamiętnie wlepił w sufit. Strzelba spoczywała wzdłuż jego lewego boku, przy ścianie. Zostawił tyle miejsca, że na pewno było jej wygodnie.

Zacisnąłem palce na rękojeści noża, ale to był jedynie odruch. Nic nie wskazywało na to, że moja obecność w pokoju została zauważona.

Kiedy bezszelestnie podszedłem bliżej, pokusa, by wbić ostrze w jego serce aż po nasadę, była wręcz nieznośna. Wciąż jeszcze pamiętałem ucisk strzelby pomiędzy łopatkami i to, że Adamowicz strzelił z zamiarem pozbawienia mnie życia. Miałem teraz okazję odwdzińczyć się za to. Co z tego, że jest niespełna rozumu? Wariat czy nie — zabiłby mnie przecież jednakowo skutecznie.

Pozbawione źrenic oczy nie robiły już na mnie wrażenia — podobne obrazki opatrzyły mi się wystarczająco zarówno w Starzyźnie, jak i chociażby całkiem niedawno w piwnicy piętro niżej. Zastanawiałem się natomiast, o czym ów brak źrenic może świadczyć w przypadku Bogdana i raczej nie miałem większych wątpliwości.

— Chyba już po tobie, bracie — szepnąłem. — Tylko ciekawe, czy spotkało cię to za karę, czy w nagrodę?

Przebiegło mi przez głowę, że w takiej sytuacji nie jestem w stanie zrobić mu krzywdy nawet największym i najbardziej zabójczym nożem, a na transportowanie go do najbliższego kościoła nie ma czasu.

— Mam nadzieję, że się więcej nie spotkamy — powiedziałem, po czym odwróciłem się do niego plecami i zacząłem rozglądać się za kluczykami do samochodu, po które tu przyszedłem. Zobaczyłem je leżące na taborecie, obok wielkiego zegara, który wciąż wskazywał kwadrans po czwartej.

W tym momencie zza pleców dobiegł cichy szelest.

Odwróciłem się i dźgnąłem odruchowo na wprost, trafiając jedynie powietrze. Adamowicz leżał na swoim miejscu, jednak niezupełnie w takiej samej pozycji, jak przed chwilą. Jego głowa przechyliła się i teraz jego oczy nie patrzyły już w sufit.

Patrzyły na moją twarz.

Zza okna sączyła się jasność poranka, więc dlaczego się, u diabła, poruszyłem? W Starzyźnie Oni przecież... Powoli uspokajałem oddech i doprowadzałem myśli do ładu. Oczywiście! Przez to, co zdarzyło się tam niedawno, zaczęło mi się zdawać, że w dzień nie są aktywni, a przecież to nie była prawda. Wystarczy wspomnieć moment, gdy Andrzej Książ pomógł mi odszukać karabin w ruinach domu Trześniowskich, albo to, jak obserwowali nas z oddali, nawet gdy było

jasno. Przed kościołem leżeli wprawdzie za dnia jak porzrzućane kukły, ale może tylko dlatego, że właśnie taki był ich wybór? No i Anielkę spotkałem w nocy, kiedy wracałem po pożegnaniu z wybierającymi się na drugą stronę mieszkańcami Starzyzny, ale to przecież nie musiało o niczym świadczyć... Później, gdy było już jasno i poszedłem, by zabrać ją w ostatnią drogę, spała tak niewinnie, podobnie jak przed chwilą Adamowicz, wpatrując się nic niewidzącymi oczyma w sufit. Tyle że on teraz może wcale nie chciał spać, czekał, aż zrobię jakiś nieostrożny ruch.

Nie spuszczałem go z oczu.

„Jeśli chciałby cię zaskoczyć, to zrobiłby to bez trudu — tłumaczyłem sobie w myślach. — Po prostu ten jego durny łeb przesunął się lekko na poduszce...”

Kiedy wydawało mi się, że wszystko jest dla mnie niemal jasne, Bogdan poderwał się w moją stronę tak gwałtownie, że nawet nie zdążyłem skierować w jego stronę ostrza noża, który upadł z cichym brzękiem na leżący na podłodze chodnik. Stałem jak sparaliżowany, a Bogdan wpatrywał się we mnie, tym razem już z bardzo bliska. Twarz miał wykrzywioną w nienawistnym grymasie, ale... nie zrobił nic więcej. Zaraz potem jego rysy złagodniały i szepnęły:

— Piotrek, podaj mi ją...

Cały czas moja zaciśnięta w pięść dłoń tkwiła pomiędzy wyciągniętymi rękoma Bogdana. Nagle opadły bezwładnie, a jego głowa spoczęła na piersiach w taki sposób, jakby ktoś gwałtownie przeciął mięśnie na jego szyi. Siedział jak porzucona marionetka, ale wcale nie wyglądał na nieszkodliwego. Wyobraźnia podsuwała mi obrazy jego wciąż otwartych oczu, które za chwilę, w ciągu ułamka sekundy, znów mogą znaleźć się niebezpiecznie blisko.

Bacznie go obserwując, przykucnąłem i wymacałem nóż, a później, najciszej jak to możliwe, zacząłem się wycofywać.

— Witku? — dobiegło z głębi domu. — Gdzie jesteś?

Drgnąłem na dźwięk głosu Janki, ale Adamowicz w ogóle się nie poruszył. Spuściłem go na chwilę z oczu, by sprawdzić jak daleko są kluczyki, sięgnąłem po nie i znów spojrzałem w kierunku łóżka. Siedział tak jak poprzednio.

— Witku! — teraz prawie krzyknęła. — Jestem już gotowa, wytłumaczysz mi wreszcie, o co chodzi?! — Obawiałem się, że obudzi Bogdana.

Ruszyłem do drzwi i dopadłem ich dwoma niezdarnymi susami.

Gdy wychodziłem na korytarz, miałem wrażenie, że Adamowicz znów podniósł głowę i zlustrował dokładnie moje plecy.

Nie wiem, czy tak było w istocie.

Byłem zbyt przerażony tym, co przed chwilą zrobił, aby się przekonać o trafności swojego przeczucia.

\*

— Wszystko wyjaśnię ci w samochodzie — powiedziałem. — Teraz musimy stąd jak najszybciej wyjechać.

— Jak to wyjechać? Dokąd? — Jej wzrok powędrował niżej, do noża, który tkwił w mojej dłoni. — Po co tam byłeś? Co z Bogdanem?

— Nic mu nie jest — odparłem spokojnie, ale te jej ciągłe pytania zaczynały mnie już irytować. Traciliśmy czas, a jej mąż mógł się znów ocknąć. Wcześniej obawiałem się, że jest zdolny wyrządzić jej krzywdę, ale teraz, gdy stał się jednym z Nich, był przecież nieporównywalnie bardziej niebezpieczny.

Odetchnąłem kilka razy głęboko i podszedłem do niej, rozchylając lewą dłoń.

— Byłem tam po kluczyki. Znalazłem je i teraz musimy wyjechać.

— Ale...

— Janka, proszę. Nie dalej jak wczoraj opowiedziałem ci moją historię i mam wrażenie, że uwierzyłaś moim słowom. Jeśli tak rzeczywiście było, proszę, zaufaj mi. Teraz nie czas na wyjaśnienia, ale dowiesz się wszystkiego, obiecuję — powiedziałem to bez zajknięcia i chyba dość przekonująco, choć wiedziałem, że to nie do końca jest prawda.

Długo patrzyła mi w oczy, a mnie udało się nie uciec wzrokiem. Wreszcie sięgnęła po wiszący na wieszaku płaszcz i powiedziała, zarzucając go na plecy:

— Być może oszalałam, ale przez tę książkę czuję się tak, jakbym znała cię od bardzo dawna. Podczas lektury „Czarnego Wygonu” bardzo ci kibicowałam i teraz nadal to robię i chyba nie mam innego wyjścia. Poza tym raz w życiu przecież można zrobić coś szalonego, nieprawdaż?

To ostatnie wypowiedziane słowo wywołało u mnie gęsią skórkę. Skojarzyło mi się z kimś, kogo niedawno spotkałem w piwnicy, a kogo nie chciałbym oglądać już nigdy więcej.

\*

Zanim opuściliśmy dom, poszedłem jeszcze do pokoju, w którym wcześniej spałem, i zabrałem torbę ze swoimi rzeczami. Nie zapomniałem też o brulionie ze świątecznymi przepisami. Sporo czasu zmitrężyłem na poszukiwaniu białego długopisu. Być może każdy inny mógłby służyć mi podczas następnych nocy równie dobrze, ale wolałem dmuchać na zimne, zakładając, że w tej całej sytuacji każdy, nawet najdrobniejszy szczegół może mieć kluczowe znaczenie. Wreszcie okazało się, że leży za łóżkiem. Widocznie musiał wpaść tam, gdy ja wstawałem lustrowany czujnym spojrzeniem Adamowicza i jego dwuokiej przyjaciółki.

Poprosiłem Jankę, żeby zamknęła na klucz drzwi wejściowe, a sam poszedłem do tych bocznych, prowadzących do piwnicy. Stając przed nimi zwalczyłem pokusę, by zajrzeć do środka i przekonać się, czy przypadkiem nie wrócił. Ostatecznie nie zrobiłem tego. Jedynie uchyliłem szybko drzwi na chwilę i wyjąłem tkwiący w zamku z tamtej strony klucz. Wydawało mi się, że jest ciepły, jakby ktoś jeszcze przed chwilą trzymał go w dłoni. Pomimo że wcale nie miałem na to ochoty, po zamknięciu drzwi włożyłem go do kieszeni.

„Nigdy nie wiadomo, czy mi się jeszcze kiedyś nie przyda...” — pomyślałem.

— A jak teraz Bogdan się wydostanie? — spytała, gdy stanąłem przy

samochodzie.

Korciło mnie, by odrzec, że z całą pewnością nie będzie miał z tym żadnych kłopotów, ale zamiast tego spytałem, czy nie mają w środku jakiegoś zapasowego kompletu.

— Faktycznie — odparła. — Przecież chyba nawet w płaszczu powinien mieć swoje.

— W takim razie, w drogę.

Wsiadliśmy do forda. Musiałem odsunąć siedzenie maksymalnie do tyłu, by w miarę komfortowo usadowić się za kierownicą. Obawiałem się, że prowadzenie tak niewielkiego samochodu sprawi mi (a szczególnie mojej usztywnionej w kolanie prawej nodze) spory problem, ale po kilku próbach treningowego wciskania gazu i hamulca była nadzieja, że może nie będzie aż tak źle.

Odpaliłem silnik i wyjechałem z podwórza.

— Teraz mi już powiesz, dokąd jedziemy? — spytała.

— Tak naprawdę, to sam jeszcze nie wiem. — Poczulem na prawym policzku jej pytające spojrzenie. — Ale to musi być jakieś bezpieczne miejsce. Masz tu w pobliżu jakichś krewnych? Wszystko jedno gdzie, byle nie w Guciovie i nie w Bondyrzu.

Jechaliśmy w kierunku Krasnobrodu. Skręciłem w tę stronę zupełnie nieświadomie, ale pewnie zrobiłem tak dlatego, by znaleźć się jak najdalej od miejsc, gdzie spotkały mnie przygody, o których jak najszybciej chciałbym zapomnieć.

— A mógłby to być Bliżów? Myślę, że Tereska Bielakowa nie miałyby nic przeciw temu...

Gdy usłyszałem to nazwisko, prawie podskoczyłem. Wciąż miałem je w pamięci po rozmowie z Bobowiczem. To właśnie z tą kobietą (a raczej z jej synem) wiązało się zadanie, które postawił przede mną podczas naszego spotkania w piwnicy.

— Może i tak, ale nie masz jeszcze kogoś? — zapytałem, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to dość podejrzanie.

— Znasz ją?

Gdy przez chwilę zastanawiałem się, jak z tego wybrnąć, dodała:

— Mam tylko ją. Sądzę, że tylko jej mogłabym tak naprawdę zaufać...

— Nie, nie znam, tylko... — W tej chwili pomyślałem, że może to jest jednak dobry pomysł. Często się przecież mówi, że to właśnie pod latarnią jest najciemniej. — Tylko pomyślałem, że to może zbyt blisko stąd, ale w zasadzie to chyba może być. Jak się tam jedzie?

— Wiesz, że to blisko, a nie wiesz, jak tam dojechać? — Wciąż nie doceniałem dostatecznie jej przenikliwości.

Wiedziałem mniej więcej, gdzie jest Bliżów, ponieważ Bobowicz nie omieszkał o tym wspomnieć, ale tego przecież nie mogłem zdradzić Jance. Na szczęście

przypomniałem sobie fragment jej opowieści o rodzicach.

— Zdaje się, że wspominałaś, że stamtąd pochodzisz. Tam odnaleźli się twoi rodzice, prawda? Mówiłaś też chyba, że to niedaleko...

— Ach tak, faktycznie, masz rację. No ale jeśli mamy tam jechać, to musimy zawrócić. Przez Guciów jest o wiele krócej.

— A jakoś inaczej się nie da dojechać?

— Przez Adamów, ale wtedy nadłożylibyśmy sporo kilometrów.

Początkowo miałem zamiar jechać naokoło, jednak po chwili wcisnąłem hamulec i zatrzymałem się na poboczu.

— Coś się stało? — zapytała.

— Nie, tylko zastanawiam się nad jedną sprawą.

Zaraz potem nawróciłem. Manewry wychodziły mi nadspodziewanie sprawnie. Byłem już spokojny, że w razie potrzeby bez problemu poradzę sobie nawet z szybką jazdą.

Pomyślałem, że jest dobra okazja, żeby przekonać się, czy w bagażniku czerwonego fiata punto Adama faktycznie znajduje się pożyczona od Stanisławskiego strzelba. Nie miałem pojęcia, czy nadaje się jeszcze do użytku, ale uznałem, że przecież nie zawadzi sprawdzić.

Gdy przejeżdżaliśmy obok domu Adamowiczów, Janka spojrzała w jego stronę.

— O Boże przenajświętszy! — krzyknęła. — Zatrzymaj samochód!

Nie miałem wcale na to ochoty, ale przystanąłem, a później cofnąłem kilkanaście metrów, zatrzymując auto naprzeciw bramy.

— Co się stało?

Przez dłuższą chwilę milczała, a ja doskonale słyszałem jej przyspieszony oddech. Wreszcie odparła:

— Nie, nic. Coś mi się przywidziało. To chyba przez te tabletki...

Wrzuciłem jedynkę i dodałem gazu.

— Możesz mi powiedzieć, co zobaczyłaś?

— Takie rzeczy mi się nie zdarzają, naprawdę... Ale to było tak... tak realne, Matko Święta, przysięgłabym, że na ławeczce przy wejściu do piwnicy siedział ktoś, kto już nie żyje... Pomagał Bogdanowi często przy drewnie, ostatnio już tylko zbierał złom po okolicy... ale... zmarł niedawno, byłam nawet na jego pogrzebie w Adamowie. W Wielki Piątek, parę dni temu. A teraz widziałam go tak, jak teraz ciebie. Siedział i patrzył w naszą stronę... Boże, jak to idiotycznie brzmi...

— Nazywał się Bobowicz, prawda?

Po momencie namysłu odpowiedziała:

— Wszyscy go nazywali „Czarny”, ale masz rację, chyba tak właśnie miał na nazwisko. A skąd ty...

— Dobrze, że ty też go zobaczyłaś. Teraz już nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości, że grozi nam niebezpieczeństwo. Wszystko opowiem ci w Bliżowie,

bo teraz jeszcze chcę coś sprawdzić, a to dłuższa historia.

— Ale skąd wiesz o Bobowiczu?

— Rozmawiałem z nim w waszej piwnicy nie dalej jak kilkadziesiąt minut temu. Odpowiedziała mi tylko cisza.

\*

Kiedy zatrzymaliśmy się przy samochodzie Adama, właśnie zaczęło lać jak z cebra. Nie bardzo miałem ochotę wysiadać, ale i tak ubranie miałem jeszcze trochę mokre, więc w zasadzie kolejna dawka wody nie powinna była mi robić większej różnicy. Ponadto deszcz zwiększał szanse, że pozostanę niezauważony, ponieważ w taką pogodę ludzie zazwyczaj siedzą w domach. Rozejrzałem się, a gdy nie zobaczyłem nikogo, wysiadłem. Janka wciąż nie mogła dojechać do siebie, więc nie musiałem odpowiadać na kolejne pytania.

Było zimno i nieprzyjemnie, a uczucie chłodu potęgował wiejący mocnymi porywami wiatr. Nad Guciovem wisały brunatnoszare chmury, bardzo przypominające mi świeże jeszcze w mojej pamięci obrazy, których nigdy już nie chciałem oglądać. Spojrzałem na wzgórze odgradzające dolinę Wieprza od tej drugiej, Słonecznej. Przez moje plecy przebiegł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z przenikliwym chłodem.

Podszedłem do Adamowego punktu. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, by sprawdzić, czy jest pozamykane, ponieważ mój przyjaciel był w takich sprawach bardzo skrupulatny i trudno sobie wyobrazić, żeby zostawił auto, nie zabezpieczając go dokładnie. I miałem rację, ale — jak się okazało — tylko po części, ponieważ do otwarcia klapy bagażnika kluczyki były zbędne. Podniosłem ją i ujrzałem podrdzewiałą już nieco i brudną strzelbę. Wszystko wskazywało na to, że Bobowicz powiedział Bogdanowi prawdę.

— Pewnie sam ją tu schował — szepnąłem, a później sprawdziłem, czy nikt nie pojawił się w okolicy i szybko przenieśli broń do forda.

Potem wróciłem do auta Adama, by zamknąć bagażnik, ale nagle w mojej głowie zaświtała pewna myśl.

Kilka następnych minut wymagało ode mnie nieco wysiłku i pewnych umiejętności gimnastycznych, jednak wreszcie jakoś udało mi się dostać do wnętrza samochodu i otworzyć drzwi od środka. Nadwozie typu hatchback na szczęście dawało taką możliwość, choć przy mojej sprawności zadanie nie należało do najłatwiejszych.

— Co ty robisz? — Janka stała obok samochodu, przypatrując się moim poczynaniom. — Zdaje się, że jeszcze przed chwilą bardzo ci się spieszyło?

— Muszę zobaczyć, czy Adam nie zostawił czegoś, co byłoby pomocne przy... — Wciąż jeszcze ciężko dyszałem, ale przerwę w wypowiedzi zrobiłem przede wszystkim po to, by zastanowić się, co takiego mogłoby to być i do czego mogłoby mi się przydać. — No wiesz, nigdy nic nie wiadomo, trzeba szukać jakiegoś śladu... — Wykonałem nieokreślony ruch ręką i spojrzałem na Janke.



Jej mina wskazywała na to, że nie byłem zbyt przekonujący.

— Grzebiez w cudzym samochodzie — sapnęła ze złością.

— W tej sytuacji...

— Nawet w tej sytuacji nie uważam, że broń w bagażniku mojego samochodu to jest najlepszy pomysł.

A więc jednak ciekawość wzięła górę i sprawdziła w międzyczasie, co tam schowałem.

W tym momencie otworzyłem schowek umiejscowiony przed siedzeniem pasażera. Sięgnąłem do niego i po chwili wyjąłem zapisany i zszyty przeze mnie w Starzyźnie brulion. Spojrzałam na Jankę i od razu byłem pewien, że zdaje sobie sprawę z tego, co trzymam w dłoniach.

— A jak tu jest coś, czego nie pamiętam, a co okaże się kluczem do sukcesu? Coś, co pomoże mi wrócić?

Milczała.

— Proszę, pozwól mi decydować o takich sprawach. Również o strzelbie w bagażniku. Przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by...

Skinęła głową, jakby uznając sprawę za zamkniętą.

— Mogę zobaczyć? — Pokazała na brulion.

— Proszę. — Podałem go jej. — Tylko schowaj się do samochodu, bo cała przemokniesz.

— Nie bój się, nie zamoczę go.

Zaczynała mnie irytować. Miałem zamiar jej to powiedzieć, ale nie zdążyłem. Szybko schowała zeszyt pod połę płaszcza i zaraz potem zostałem sam ze swoją złością.

— Cholera jasna, z babami... — mruknąłem.

W schowku znalazłem jeszcze portfel z dokumentami i niecałym tysiącem złotych oraz telefon, a także... klucze od mojego warszawskiego mieszkania. Były w tym samym foliowym woreczku, w którym wieki temu je zakopałem obok tablicy z napisem: „Roztoczański Park Narodowy”. Długo obracałem woreczek w palcach. Wreszcie, gdy poczułem, że wilgotnieją mi oczy, szybkim ruchem włożyłem go do kieszeni.

Bateria komórki była naładowana jeszcze mniej więcej w połowie. Zrobiło mi się niewyraźnie, gdy wyobraziłem sobie Adama przygotowującego się do wyjazdu. Na pewno dzień wcześniej na całą noc podłączył aparat do ładowarki...

Wzmagający się wicher boleśnie wyrwał mnie z zamyślenia. Skrzydło drzwi uderzyło w moją prawą, wystawioną na zewnątrz, sztywną nogę i przygniotło ją do progu auta.

Syknąłem z bólu, ale zaraz potem spojrzałem w stronę Bondyrza, czy na szosie nie widać wysokiej, choć przygarbionej sylwetki. Nie dostrzegłem nikogo, ale nie miałem wątpliwości co do tego, że umiejętność obserwacji nie działała w tym wypadku jednakowo w obie strony.

Bobowicz na pewno dokładnie wiedział, co teraz robię.

I nie miałem przekonania, że moje czyny mu się jakoś nadzwyczajnie podobają.

\*

Wiatr ciągle się wzmaczał. Drzewa rosnące w pasie oddzielającym parking od drogi wyginały się pod bezwzględными podmuchami lodowatych mas powietrza. Każde uderzenie wichury odłamywało suche gałęzie i ciskało je w stronę dwóch zaparkowanych nieopodal samochodów. Wyglądało to tak, jakby nagła nawałnica postanowiła je unicestwić.

— Jak mam jechać dalej? — zapytałem po uruchomieniu silnika.

Pogrążona w zapiskach Janka w ogóle nie zwracała uwagi na to, co dzieje się wokół. Podniosła rozkojarzony wzrok znad brulionu i powiedziała:

— Boże Świąty... Dopiero teraz tak naprawdę to wszystko do mnie dociera...

— Jak mam jechać do tego Bliżowa, kobieto!? Zaraz się jakieś drzewo na nas...

— W prawo i w pierwszą drogę znowu w prawo — odparła beznamiętnie, by zaraz potem znów zagłębić się w lekturze.

Miałem ochotę zabrać jej ten cholerny zeszyt, ale się powstrzymałem i wyjechałem na asfalt, skręcając zgodnie z jej wskazówkami. Niedługo później zobaczyłem drogę w prawo, ale wtedy lekko zwolniłem. Zacząłem zastanawiać się, czy aby naprawdę powinniśmy się pakować dalej w to całe bagno. Pomyślałem, jak wspaniale byłoby po prostu pojechać na wprost, do Zwierzyńca, a potem dalej — bez zatrzymywania się nawet na chwilę, aż do samej Warszawy, do własnego domu. Podróż zajęłaby nie więcej niż kilka godzin i jak za sprawą czarodziejskiej różdżki wszystkie problemy by zniknęły, rozwiąłyby się jak chmura dusznego starzyźnianego powietrza pod wpływem silnego, wczesnowiosennego wiatru. Takiego chociażby jak ten, szalejący za oknami samochodu...

Jedno z drzew stojących za skrzyżowaniem niebezpiecznie się przechyliło. Patrzyłem jak niby na zwolnionym filmie zatrzymuje się już nad jezdnią, rozpaczliwie próbując zachować równowagę, a potem wrócić do swojej dawnej, ustalonej przez wiele lat wzrostu pozycji. W tej samej chwili samochodem wstrząsnęło z lewej strony uderzenie wiatru, sprawiając, że auto zakołysało się jak licha łajba na środku wzburzonego morza. Zaraz potem dał się słyszeć trzask przypominający uderzenie pioruna i wielka lipa, obracając się wokół własnej osi, padła w poprzek jezdni. Powietrze zagaęściło się żółtawymi drobinami drewna, niektóre z nich zadudniły o karoserię.

Janka krzyknęła, a ja skręciłem w prawo i przyspieszyłem.

— Matko, jeśli byśmy jechali prosto, to mogłoby spaść na nas — powiedziała po chwili z trudem.

— Może powinniśmy byli — odparłem. — Mogłabyś na jakiś czas odłożyć ten zeszyt? Poczytasz sobie na miejscu.

Spełniła moją prośbę bez słowa, chowając brulion do torebki.

Staralem się zachować pozory spokoju, ale wewnątrz aż się we mnie gotowało. Nie ze strachu, bo być może dla mnie akurat byłoby lepiej, gdyby drzewo zgmiotło samochód jak puszkę sardynek i zakończyło wszelkie moje rozterki. Byłem rozdygotany przede wszystkim dlatego, że coś podpowiadało mi, że to nie stało się przypadkiem. Wszystko wskazywało na to, że jakaś potężna siła nie chce pozwolić na to, byśmy opuścili te okolice, ale mnie to niewiele obchodziło. Wściekłość sprawiała, że byłem gotów podjąć wyzwanie. Ryzykowałem nie tylko swoim życiem, ale przecież pozostanie tam wcale nie gwarantowało ani mnie, ani Jance bezpieczeństwa. Pamiętałem o groźbie Bobowicza, wciąż w głowie dudniły mi jego złowieszcze słowa. Podejrzewam, że nawet towarzysząca mi kobieta wolałaby zginąć w jednej chwili, bez świadomości tego, co się dzieje, niż konać w męczarniach w jednym z zabudowań przeklętej na wieki wioski.

„Nie możesz tego zrobić, to czyste szaleństwo” — myślałem, a jednocześnie samochód cały czas przyspieszał.

Po kilku minutach las zaczął się przerzedzać, a ja po lewej stronie drogi dostrzegłem zabudowania.

— To już Bliżów? — zapytałem.

— Tak, to przysiółek Bisy. Jeszcze kilkaset metrów i będziemy na miejscu.

„To się jeszcze okaże” — przeszło mi przez myśl, ale świadomie starałem się nie brać tego wewnętrznego głosu zbyt serio. Bobowicz nie mógł wiedzieć, jakie naprawdę mam zamiary.

Z bramy gospodarstwa wyskoczył pies i, nie rozglądając się na boki, wbiegł na drogę. Zacząłem hamować, ale nędzne opony na mokrej powierzchni zupełnie nie zdawały egzaminu. Kundel w ostatniej chwili zauważył światła i zatrzymał się w miejscu. Odbiłem kierownicą, ale i tak trąciłem go zderzakiem.

— Kurwa mać! — wrzasnąłem. — Jeszcze tylko tego brakowało!

Janka obejrzała się, a ja w lusterku zobaczyłem, że lekko oszołomiony zwierzak, nic sobie z całego zajścia nie robiąc, wrócił na własne podwórze.

— To Ares, pies naszych znajomych, którzy czasem pracowali u Bogdana. — Jej głos był nadspodziewanie spokojny. — Chyba nic mu nie będzie, ale... Musisz tak pędzić? Mogłeś go przecież zabić.

Nie odpowiedziałem. Dobrze się jednak stało, że zwoleń, ponieważ w tym miejscu asfaltowa jezdnia nieoczekiwanie zmieniała się w lichego, piaszczysty trakt, którym zaraz dotarliśmy do skrzyżowania z szosą. Na niej znów przyspieszyłem. Zostawiliśmy po lewej drewniany kościół, potem krzyż z rzeźbionym Chrystusem. Kiedy Janka powiedziała, że powinienem hamować, bo to już niedaleko, wcisnąłem pedał gazu do spodu.

Minęliśmy dom Teresy Bielakowej, później krętą drogą wspięliśmy się na wzgórze.

— Oszalałeś?

— Być może — odparłem.

Później jechaliśmy już w ciszy prawie do samego Zamościa.

\*

Najpierw kierowałem się drogowskazami, ale gdy tuż przed wjazdem do miasta drogę zagrodziła nam przewrócona cysterna z paliwem, poprosiłem Jankę o pomoc, błagając równocześnie, żeby mi zaufała i zapewniając, że wiem, co robię (choć sam tak naprawdę nie byłem tego pewien).

— Wszystko ci wytłumaczę, przyrzekam — zapewniłem. — Jeśli uznasz, że popełniłem błąd, wrócimy. Teraz jednak musisz mi pomóc. Musimy się stąd wydostać jak najszybciej.

Zgodziła się. Zawróciliśmy i ominęliśmy miasto bocznymi drogami, by wreszcie wyjechać na główną trasę prowadzącą do Lublina. W przeciągu kilku minut minęliśmy dwa patrole drogówki. Za każdym razem cierpła mi skóra. Nie miałem prawa jazdy ani dokumentów samochodu. W bagażniku leżała strzelba Stanisławskiego. Pomyślałem, że za trzecim razem już na pewno się nie uda i wreszcie nas zatrzymają.

Wjechaliśmy właśnie na kilkukilometrowe wzniesienie za Starym Zamościem, gdy zorientowałem się, że świeci słońce. Zatrzymałem forda na poboczu i wysiadłem.

Patrzyłem w stronę leżącego w oddali miasta. Cały obszar na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych zalany był słońcem.

Janka stanęła obok mnie.

— Nawet nie zauważyłem, kiedy przestało padać — powiedziałem.

W oddali widoczne było tylko jedno skupisko ciężkich, deszczowych chmur. Zdawało się, że nawet z tej odległości widać, jak kłębią się w szaleńczym tańcu nad pofałdowanym, zalesionym terenem. Wskazałem ten kierunek ręką.

— To stamtąd jedziemy, prawda?

Odpowiedziała mi skinieniem głowy, ale nawet jeśli tego nie zrobiła, i tak byłbym pewien, że to właśnie nad Roztoczem nie widać nawet skrawka czystego, błękitnego nieba.

## 11 kwietnia 2007 (środa)

A jednak nie otworzyłem wtedy drzwi.

Otrzeźwienie przyszło w ostatniej chwili. Głos, który usłyszałem, okazał się silniejszy.

„Nie otwieraj! Adam, to nie ona, uważaj!”.

On mnie uratował.

Zrozumiałem to, zrozumiałem, że głos Magdy był jedynie ułudą tego miejsca, a ktoś stojący po drugiej stronie drzwi tylko się pod nią podszywał. Kiedyś Rafał Gielmuda został oszukany, że za oknem stoi jego matka, a teraz ja byłem o krok od popełnienia podobnego błędu.

Dziękuję Ci, Boże, za ten głos, za ocalenie. To, co się stało, utwierdza mnie w przekonaniu, że jeszcze jest dla mnie jakaś szansa.

Tak jak zamierzałem, udało mi się dziś zrobić prowizoryczny różaniec.

Niby to tylko związane znalezionej w kredensie dratwą kawałeczki drewna, niepoświęcone, liche, nieforemne, na pozór byle jakie, ale łatwiej mi się modlić. Teraz też trzymam go w dłoni i czuję się silniejszy — zupełnie tak, jakbym nie był tu sam, w środku nocy, zdany tylko na siebie i na łaskę tego kogoś z zewnątrz. Sam ze swoimi słabościami i lękami, niepewny tego, co zdarzy się jutro, za kilka godzin, za chwilę...

Witek.

Ciągle o nim myślę. Dziś za dnia zrozumiałem, że tam wtedy na wzgórzu to nie mógł być on i jestem o tym coraz bardziej przekonany. On by do mnie nigdy nie strzelił. Tak samo jak ubiegłej nocy słyszałem głos Magdy (gdybym otworzył, na pewno bym ją zobaczył), tak samo ktoś lub coś przybrało jego postać, wymierzyło we mnie, pociągnęło za spust. Zło? Przeklęty ksiądz, szatan? Być może, ale nie Witek. Przecież on by tego nigdy nie zrobił. Po co miałby skazywać mnie na cierpienie, dlaczego miałby chcieć mojej śmierci? To jakiś nonsens.

Nie byłem jeszcze w kościele. Wciąż się boję tego, kogo (lub co) mogę tam zastać, boję się tych kroków, boję się zwęglonych trupów. Głód jest coraz silniejszy, ale jeszcze do zniesienia. Wiem, że będę musiał się z tym zmierzyć, wiem, ale odciągam to w czasie jak najdłużej się da. Bez wody bym nie dał rady, ale na szczęście w jednym z garnków znalazłem kilka litrów i dozuję ją sobie małymi porcjami. Gdy się skończy, będę musiał zaczerpnąć z trupiej, przycementarnej studni, którą widziałem przy zrujnowanej plebanii, ale to jeszcze nie teraz.

Oby jak najpóźniej...

Zaciskam mocniej dłonie na różańcu, dlatego że znów słyszę na zewnątrz kroki. Ostrożne, delikatne, ale nie na tyle ciche, by mój wyczulony słuch ich nie wychwytał.

W przeciwnym oknie błyszczy para oczu, ale nie boję się już tak jak poprzedniej nocy. Mam przecież różaniec i nie dam się już tak łatwo oszukać. Jeśli on tu nie wejdzie, pozostanę bezpieczny. Tak, jutro już nie będę się bał pójść do kościoła.

— A choćbym zeszedł w ciemną dolinę śmierci, nie będę lękać się złego, bo Ty jesteś ze mną — słyszę swój szept. — W ciemną Słoneczną Dolinę śmierci — dodaję po chwili. — Złego się lękać nie będę.

Dwa fosforyzujące punkty znikają.

Odchodzi?

Nie, jeszcze nie. Zatrzymał się przy drzwiach wejściowych.

Słyszę stukanie. Dwa razy po trzy lekkie uderzenia.

Cisza.

Znów to samo.

W identycznym rytmie, z tą samą siłą.

Różaniec jest już mokry od mojego potu, drewnienka boleśnie gniotą skórę, ale ten dotyk dodaje mi siły i odwagi.

Na blacie położyłem świecę i zapaliki. Teraz już nie boję się jasności, która za chwilę oświetli pomieszczenie.

Wstaję, biorę ze sobą świecę i idę do sieni, ciągle powtarzając słowa psalmu w przekładzie Miłosza, bo jego interpretacja pasuje tutaj najbardziej. Nawet się lekko uśmiecham, że w takiej chwili jestem w stanie myśleć o takich rzeczach.

W sieni uśmiech znika. W napięciu wpatruję się w drzwi, oczekując kolejnych uderzeń.

Słyszę szmer, dobiegający od podłogi. Szparą pod drzwiami do środka wsuwa się biały, prostokątny kształt.

Koperta?

Ostatnie uderzenie. Cichsze, jakby na pożegnanie.

Kroki nikiące w oddali...

Pochylam się, a potem ją podnoszę i wracam na swoje miejsce. Czuję, że tej nocy nie będę już niepokojony.

Koperta nie jest zaklejona. Wyjmuję z niej niewielką, złożoną na pół kartkę.

Pierwsze, co rzuca mi się w oczy po rozprostowaniu listu, to staranny, trochę staroświecki charakter pisma.

Zaczynam czytać.

*Mój Drogi Adamie,*

*na wstępie tej krótkiej wiadomości pragnę zaznaczyć, iż nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Ksiądz Dobrowolski opuścił Starzyznę i, przynajmniej na razie, nic nie wskazuje na to, by miał tu się ponownie pojawić. Czy to dla Ciebie lepiej?*

Zapewne tak, bo ja w przeciwieństwie do niego mogę Ci pomóc.

Trzeba Ci wiedzieć, że dla mnie droga do współczesnego Ci świata stoi otworem. Moglibyśmy tam wrócić w przeciągu kilkunastu minut, tylko... na razie nie jest to możliwe. Wszystko (chciałoby się powiedzieć — niestety) zależy od Twojego przyjaciela (?) — Witolda Uchmanna. Poprosiłem go o mały drobiazg, o naprawdę niewielką przysługę, oferując w zamian Twój powrót, ale on, jak najgorszy tchórz, nie przystał na moją propozycję, mimo że wiedział o jaką stawkę idzie gra. Moje zdumienie jest tym większe, że to on właśnie (wiedz, że Twoje domysły są nietrafione) z własnej woli pociągnął wtedy za spust. Przez niego cierpiełaś, przez niego jesteś w tej trudnej do pozazdroszczenia sytuacji i od niego tylko zależy, jak długo się ona nie zmieni.

Jest mi niezwykle przykro, że muszę Ci przekazać w takiej formie niemiłe wiadomości, wiem jednak, że dzięki temu W.U. może jeszcze zrewidować swoje postępowanie.

Ufam, że tak właśnie uczyni.

Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i że może jeszcze kiedyś zostaniemy przyjaciółmi. Myślę, że to możliwe, pomimo że pewne kwestie światopoglądowe niezwykle nas różnią. Niemniej jednak, jak to mówią, niezbadane są wyroki... wiadomo przecież jakie wyroki, nieprawdaż?

Pozostając z szacunkiem

Czarny

(tak mnie niektórzy nazywają, więc nic nie stoi na przeszkodzie, byś i Ty znał mnie pod tym przedziwnym imieniem)

PS

Byś nie posądził mnie o gołosłowność, postanowiłem w pewien sposób uwiarygodnić moje słowa. O ile wszystko poszło zgodnie z moimi planami, na progu domu znajdziesz najnowszy, wtorkowy numer „Echa Zamościa”. Być może z jednej strony będzie Ci przykro, że opisywane zdarzenia i miejsca są obecnie dla Ciebie niedostępne, z drugiej jednak — przynajmniej w taki sposób zabijesz nudę i niecierpliwość związaną z oczekiwaniem na decyzję Twojego „przyjaciela”.

# Rozdział czwarty

## 1.

Obudziłem się tuż przed trzecią nad ranem.

Początkowo trudno było mi rozpoznać pokój, w którym się znajdowałem. Z ciemności stopniowo udało mi się wyłowić jaśniejszy zarys okna, a później kontury mebli i stojącą obok łóżka szafkę z nocną lampką. Obce, nieznanne miejsce.

Wreszcie zrozumiałem. Sięgnąłem do włącznika lampki i przymrużyłem oczy. Gruby zeszyt z kroplą krwi na okładce leżał tak, jak go zostawiłem przed zaśnięciem. Czy dokładnie w tym samym położeniu? Tego nie byłem do końca pewien.

Obawa, czy znajdę w nim kolejne zapisane zdania niezdolnie dławiała gardło, ale nie potrafiłem się zmusić do tego, by od razu to sprawdzić. Zdawałem sobie sprawę, że dopóki brulion pozostaje zamknięty, dopóty wciąż jeszcze jest nadzieja. Nadzieja dla Adama i poniekąd też dla mnie.

Z drugiej strony, jeśli tak się okazało...

Od momentu, gdy poprzedniego dnia zatrzymaliśmy się w Starym Zamościu, aż do chwili, gdy zasnąłem w obcym łóżku, wiele razy myślałem o tym, co dzieje się z moim przyjacielem. Wcześniejsze zapiski brzmiały jak wyrok, niemniej jednak słowa Bobowicza świadczyły o czymś zupełnie innym. Według nich Adam wciąż miał jeszcze szanse. Tylko czy komuś takiemu jak Czarny można zaufać?

Miałem do wyboru — ratować siebie i kobietę, która złożyła swój los w moje dłonie, lub zawierzyć obcemu, bez jakiegokolwiek przekonania o jego dobrych intencjach. Zdać się na niego nie tylko w kwestii naszego bezpieczeństwa, ale też w sprawie Mateusza — małego chłopca, którego miałbym włączyć do całej rozgrywki, prawdopodobnie wbrew jego woli i najpewniej także wbrew woli jego matki.

„A co, jeśli w notesie pojawił się nowy wpis?”

Nie znałem odpowiedzi, sądziłem natomiast, że jeśli tak by się stało, z pewnością wiele zależałoby od tej świeżo zanotowanej treści.

Poprzedni dzień był dla mnie niezwykle wyczerpujący. Jasność myślenia zakłócało niewyspanie, zmęczenie, strach i niepewność o to, co będzie dalej. Chciałem wszystko na spokojnie przeanalizować, ale mój umysł odmawiał posłuszeństwa, gwałtownie i stanowczo domagając się wypoczynku.

Kiedy tylko dotarliśmy na miejsce, miałem ochotę od razu położyć się na kilka



godzin, ale ponieważ mogło to skutkować nocną bezsennością, zrezygnowałem. Musiałem mieć przecież pewność, że będę gotów, gdyby powtórzyło się to, co ostatniej i przedostatniej nocy, dlatego w łóżku znalazłem się dopiero o dwudziestej drugiej.

Z lekkiego pólśnu wybudziła mnie wtedy na chwilę obawa, czy aby nie oddaliłem się za bardzo, czy przypadkiem moja umiejętność zapisywania w brulionie myśli Adama nie działa tylko, gdy jestem w pobliżu Słonecznej Doliny, ale tylko na moment przeszkodziła mi ona w zasypianiu. Byłem zbyt zmęczony.

„A może celowo tak się od niego oddaliłeś?”

Teraz odpowiedź miałem dosłownie i w przenośni na wyciągnięcie ręki.

Wziąłem brulion, odruchowo ważąc go w dłoni. Tak, jakbym po samej ciężkości chciał dowiedzieć się, czy znalazło się w nim coś nowego.

Jeszcze przed położeniem się do łóżka wpisałem datę (11 kwietnia 2007) i dzień tygodnia (środa), niejako próbując wpłynąć na połączenie myśli z przyjacielem, starając się chociażby w ten sposób wysłać sygnał, mówiący: „Jestem gotów, czekam”. Potem ogarnęły mnie wątpliwości, czy to był dobry ruch, czy aby przypadkiem nie złamałem w ten sposób wcześniejszego rytuału, no ale stało się i nie było sensu już tego rozpamiętywać. Wszystko miało się rozstrzygnąć kilka godzin później.

Czyli dzisiaj, teraz.

Dokładnie w moje pięćdziesiąte piąte urodziny. Ciekaw byłem, co przyniesie ten dzień.

„Czy okaże się przełomowym momentem? Czy dostanę od losu prezent, który spowoduje, że raz na zawsze oderwę się od ponurej starzyźnianej rzeczywistości? Czy kładąc się za nieco ponad dwadzieścia godzin do łóżka, uda mi się wreszcie rozpocząć nowe-stare życie?” — pytałem sam siebie.

Nie miałem innego wyjścia, trzeba było śmiało stawić czoło realiom, i to właśnie zamierzałem zrobić.

Pomimo późnej (lub wczesnej — zależy jak na to patrzeć) pory, mój umysł spisywał się nieźle. Dlatego postanowiłem raz jeszcze, na spokojnie, przeanalizować to, co zdarzyło się od momentu, gdy w Starym Zamościu z Janką patrzyliśmy w stronę przykrytego brudną kołdrą burzowych chmur Roztocza.

Zanim to zrobiłem, niemal ukradkiem zajrzałem do brulionu i zobaczyłem, że jednak jest tam nowy wpis. Przez chwilę brakowało mi tchu, serce zabiło żywiej, a włoski na moim karku lekko się zjeżyły.

Nie chciałem czytać, jeszcze nie teraz, ale sprawdziłem, czy tekstu jest dużo. Kilka stron, ale było coś, co mnie zdziwiło — końcowy fragment wyglądał nieco inaczej, jakby był zapisany inną ręką.

Wreszcie odetchnąłem i przymknąłem oczy.

„A więc jednak mu się udało” — pomyślałem.

Z trudem oparłem się pokusie przeczytania notatek, ale zdawałem sobie sprawę, że jeśli teraz się nimi zajmę, miniony dzień na zawsze zginie w odmętach niepamięci.

„Zostawiłeś go. Wszystko, co wczoraj robiłeś, podporządkowałeś tezie, że Adamowi się nie udało, że Bobowicz cię okłamał.

Bo tak było ci wygodniej...”.

Zeszyt spoczął na swoim miejscu, a ja usiadłem w poprzek łóżka, oparłem się plecami o ścianę i zgasłem światło.

Analizowanie minionych zdarzeń było świetną wymówką.

Po prostu bałem się nowego „świętecznego przepisu”, który właśnie niedawno uzupełnił brulion, i chciałem zyskać trochę na czasie, choć zdawałem sobie sprawę, że to i tak nic nie da.

Ale przecież byłem tylko zwyczajnym tchórzem.

## 2.

— Nie wsiądę do samochodu, jeśli mi nie powiesz, dokąd i po co jedziemy.  
— Jej głos nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że mówi zupełnie serio.  
— Mówiłeś, że mamy dotrzeć do Bliżowa, a później nagle zmieniłeś zdanie? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?! — Nagle oparła się obiema dłońmi o krawędź dachu forda, by kilka razy zaczerpnąć głębiej powietrza.

— Janka, nic ci nie jest? — Podszedłem bliżej. Wtedy dopiero przypomniałem sobie o jej problemach z sercem. — Dobrze się czujesz?

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Nie, nie czuję się dobrze, ale nic mi nie będzie. — Zmęczone, podkrążone oczy zdawały się nie potwierdzać tych słów, podobnie jak drobniutkie kropelki potu, które nagle pojawiły się na jej czole. — To normalne, gdy się trochę bardziej zdenerwuję. Chciałabym tylko jak najszybciej wrócić do domu... albo przynajmniej jakichś wyjaśnień...

— Proszę cię, wsiądź do auta. Jest chłodno, jeszcze się przeziębisz...

— Nie, dopóki mi wszystkiego nie wytłumaczysz.

— Obiecuję, ale nie na zewnątrz. — Otworzyłem drzwi po stronie pasażera.

— Przysięgam, że nie ruszę, dopóki nie odpowiem na każde twoje pytanie.

\*

Zdałem szczegółową relację z nocnych i porannych wydarzeń, pokazałem jej brulion ze świeżo zapisanym fragmentem, którego jeszcze nie czytała. Później faktycznie zadała mi kilka pytań, a ja, zgodnie z przysięgą, odpowiedziałem na nie, tylko że... była jedna rzecz, o której nie wspomniałem.

Nie miałem pojęcia, jak to wszystko się skończy i żądanie Bobowicza, jakie

wobec mnie wysunął, zachowałem dla siebie. Na razie Jance musiała wystarczyć informacja, że czegoś chciał, ale jeszcze nie powiedział, czego dokładnie. O małym Mateuszu mogłem jej powiedzieć dopiero w Warszawie, o ile udałoby nam się tam dotrzeć.

Potem wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak właśnie postąpiłem. Zatajenie tej informacji było jak podszept złego, jak podła rada szatana i moja decyzja w przyszłości miała okazać się brzemienną w skutkach. Gdybym mógł cofnąć czas, od tego bym zaczął moją opowieść w tym cholernym samochodzie. Albo wspomniałbym o tym później, po obiedzie w restauracji.

Tak jednak się nie stało.

Nie wiem, być może dlatego, że brzmiałoby to zbyt okrutnie, może sama wizja, że porywam małego chłopca na żądanie Bobowicza nawet we mnie budziła odrazę. A może bałem się, że gdy Janka zapyta, czy w ogóle rozważałem uprowadzenie malca, to nie będę potrafił wiarygodnie skłamać, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił...

— Musisz wiedzieć o jednej rzeczy — powiedziała po dłuższej chwili zastanowienia.

— Co takiego?

— Myślę, że mylisz się co do Bogdana.

— Co masz na myśli? — Spojrzałem na nią zdumiony. — Przecież widziałem, jak...

— Od zawsze spał z lekko otwartymi oczyma. Nie pamiętam, by kiedykolwiek było inaczej. Po prostu niektórzy ludzie tak mają. To rzadkie, ale się zdarza.

— Janka, te białka...

— Źrenice zawsze mu uciekały do góry. Wyglądał upiornie, ale się do tego przyzwyczaiłam. Gdybyś się pochylał i spojrzał na jego twarz od dołu, pewnie byś je dojrzał. Może nawet byłyby widoczne, gdyby w pokoju było jaśniej.

— Przecież usiadł. Patrzył na mnie w ten potworny sposób, mówił coś do mnie...

— Nie do ciebie, tylko do Piotrka.

— No, niby tak, ale...

— Od śmierci bratanka do momentu, gdy częściej zaczął przebywać w swojej kryjówce, nie było nocy, żeby nie zachowywał się w podobny sposób. Czasem nawet wstawał, chodził po pokoju, mamrotał coś, często wołając imię Piotrka. Później zdarzało się to także w dzień, po powrocie z tych jego szaleńczych wart. Taki jego wygląd i zachowanie to nic nadzwyczajnego, uwierz mi.

Oparłem głowę na zagłówek. Gdy przymknąłem oczy, świat zaczął wirować tak mocno, że chwyciły mnie mdłości. Cała sytuacja dawno już mnie przerosła, a kolejne tego typu okoliczności uzmysławiały mi, jak bardzo jestem bezradny.

— Dlatego, proszę, odwieź mnie do domu — usłyszałem. — Muszę wracać. Muszę wracać do mojego męża.

Spojrzałem na nią, a później ująłem w ręce jej dłoń.

— Wszystko jedno, czy jest martwy, czy nie... on cię zabije, Janka — powiedziałem cicho. — Oszalał i zrobi to. Czarny go powstrzymał, ale może tylko na chwilę. A jeśli nie on cię skrzywdzi, to dokona tego ktoś inny. Jeśli nie spełnię żądania Bobowicza, to możesz zginąć w niewyobrażalnych męczarniach. Ja przecież na pewno nie dam mu rady. Jestem zbyt słaby, dlatego jedyne, co możemy zrobić, to uciec stamtąd jak najdalej. Zgubić się w tłumie, zapomnieć o tym wszystkim i spróbować w miarę normalnie żyć.

Zamilkłem na chwilę, a później dodałem jeszcze:

— Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. Naprawdę, bardzo mi przykro. Mogłabyś teraz spokojnie...

— Przestań — przerwała mi. — Przecież nie chciałeś. — Poczułem, jak jej palce mocniej się zaciskają. — Boże, ja nie wiem, co mam robić. — Popatrzyła w moją stronę, a bezradność w jej oczach była tak dojmująca, że aż musiałem odwrócić wzrok.

— Dajmy sobie jedną noc na zastanowienie — poprosiłem. — Nie podejmujemy tej decyzji teraz, na gorąco, bo później nie będziemy jej już mogli cofnąć. Jeśli dotąd Bogdanowi nic złego się nie stało, to nie sądzę, by teraz nagle groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Jeśli zechcesz, jak dojedziemy na miejsce, możesz przecież spróbować się do niego dodzwonić. Macie w domu telefon, prawda? Możesz też zadzwonić do któregoś z sąsiadów i poprosić go o to, by zorientował się w sytuacji. Rozwiązań jest wiele, ale akurat natychmiastowy powrót jest chyba najgorszym z nich. Te kilkanaście godzin nas nie zbawi, Janka...

Usłyszałem jej cichy szloch. Miałem ochotę ją przytulić, ale nie zrobiłem tego. Bałem się, że wtedy i ja się rozkleję, a przecież nie mogliśmy tak tkwić tam bez końca.

— To jak będzie? — zapytałem. — Mam jechać dalej?

Bezgłośnie przytaknęła, ale zaraz potem szepnęła:

— Tak, ale nie aż do Warszawy. To za daleko.

— Dobrze, spróbujemy znaleźć coś zdecydowanie bliżej. Ale nie teraz. Odjedźmy jeszcze kawałek.

Delikatnie puściłem jej dłoń i uruchomiłem samochód.

Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, spojrzałem jeszcze we wsteczne lusterko. Chmury, które widzieliśmy wcześniej, jeszcze bardziej pociemniały.

Wydawało mi się, że przywołują nas, że, wyginając się konwulsyjnie w rytm szaleńczych podmuchów zimnego wiatru, przekazują nam telepatycznie wiadomość:

„To wszystko na nic. I tak nam nie uciekniecie”.

Odwróciłem wzrok i popatrzyłem na wprost.

Miałem nadzieję, że jednak są w błędzie.

Jeśli Janka miała rację i jej mężowi faktycznie nic złego się nie przydarzyło, należało zakładać, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po przebudzeniu, będzie zawiadomienie policji o kradzieży samochodu. Jego żona nie miała prawa jazdy, Bogdanowi raczej nie przyszłoby więc do głowy, że mogłaby sama zabrać auto. Na pewno zdziwiłaby go też jej nieobecność i kto wie, czy o tym też nie wspomnieliby funkcjonariuszom, a to z kolei stawiałoby całą sprawę w zdecydowanie bardziej niepokojącym świetle.

Mniej uczęszczane drogi były bezpieczniejsze, dlatego tuż przed Krasnymstawem zatrzymaliśmy się na stacji paliw nie tylko po to, by zatankować, ale też w celu zakupienia atlasu samochodowego. Zaraz potem opuściliśmy krajową „siedemnastkę” i skierowaliśmy się w prawo, w stronę Chełma.

Wtedy też zaczął mi w głowie kiełkować pewien pomysł.

— Jaki jest numer rejestracyjny tego samochodu? — spytałem, po raz pierwszy od dłuższego czasu przerywając milczenie.

— Nie mam pojęcia, nigdy nie zwracałam na to uwagi.

Poprosiłem więc, aby odczytała je z naklejki w prawym dolnym rogu przedniej szyby.

— LZA 234A. Do czego ci to potrzebne?

— Zaraz się przekonasz. Musimy tylko znaleźć jakąś większą miejscowość.

Niedługo potem wjechaliśmy do Rejowca, a ja zatrzymałem auto w centrum. Przed opuszczeniem samochodu na wszelki wypadek założyłem otrzymane w prezencie od Janki okulary, ponieważ moje oko wciąż wyglądało tragicznie.

Znalazłem sklep i zaraz potem miałem wszystko, czego mi było trzeba. Swoją plan chciałem wdrożyć jak najszybciej, jednak przede wszystkim najpierw trzeba było znaleźć jakieś ustronne miejsce.

Ruszyliśmy dalej, w kierunku Rejowca Fabrycznego, by potem dojechać do drogi prowadzącej z Lublina do Chełma, zanim jednak się to stało, skręciłem w jeden z wąskich, piaszczystych traktów, prowadzących w głąb niewielkiego lasu.

Wziąłem zakupione wcześniej rzeczy — pastę do zębów (uprzednio sprawdziłem, czy na pewno jest całkiem biała), czarną pastę do butów i dwa małe pędzelki, a potem wysiadłem. Zanim przystąpiłem do działania, rozejrzałem się dokładnie, czy nikt nas nie obserwuje. Nie zobaczyłem niczego niepokojącego, więc zabrałem się do działania.

Efekt moich zabiegów nie był może oszołamiający, ale po oddaleniu się od samochodu na jakieś dwa metry, wszystko wyglądało jak należy. Białe tablice zmieniły się i dalszą podróż mieliśmy już kontynuować pojazdem o numerach LZA 281A. W międzyczasie Janka również wysiadła i poszła na krótki spacer po lesie. Kiedy wróciła, roześmiała się i pochwaliła moje zdolności artystyczne.

— Zdaje się, że teraz jesteśmy przestępcami. Myślisz, że będą nas ścigać tak jak

Bonnie i Clyde'a?

— Jestem tego pewien, ale my się nie damy tak łatwo — odpowiedziałem z udawaną powagą.

Roześmiała się.

Choćby tylko dla jej trwającego kilka sekund, beztroskiego i zaraźliwego śmiechu, dzięki któremu na chwilę oboje zapomnieliśmy o naszej sytuacji, warto było zejść z praworządnej drogi.

\*

Od tego momentu dzień wyglądał zupełnie inaczej.

Co prawda myśli, zarówno Janki, jak i moje, od czasu do czasu wracały w okolice Guciowa, ale przypominały one co najwyżej śnieżnobiałe, zupełnie nieszkodliwe cumulusy, które w pogodny dzień rzucają na ziemię trochę cienia. Zwykle trwa to niedługą chwilę i zaraz potem zza takiej chmury znów wygląda słońce.

Z każdą kolejną minutą wszystko, co wydarzyło się ostatnio, wydawało się coraz mniej realne. Wystarczyło oddalić się od Słonecznej Doliny na większą odległość, a wrażenie duszności i osaczenia, które tak naprawdę uzmysławiałem sobie dopiero teraz, malało z każdym przejechanym kilometrem, stawało się czymś w rodzaju złego snu odpływającego w niebyt. Mijaliśmy kolejne miejscowości, ludzi zajmujących się swoimi sprawami jak gdyby nigdy nic. Przestrzeń samochodu wypełniało rześkie, wiosenne powietrze i nagle ogarniała mnie ulga, że świat nie zamknął się w przeklętej na wieki Starzyźnie, nie zatopił się w beznadziei wyborze pomiędzy mniejszym a większym złem.

Włączyłem radio i muzyka, której w większości nigdy dotąd nie miałem okazji posłuchać, była kolejnym dowodem na to, że są miejsca i rzeczy niemające nic wspólnego z tym, co za sprawą opętanego Dobrowolskiego wydarzyło się na Roztoczu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku; że czas wcale się nie zatrzymał, a życie własnym rytmem prze do przodu. Wystarczyło odważnie ruszyć z miejsca, szarpnąć krępujące więzy i trwać w postanowieniu ucieczki, by wreszcie poczuć, jak niewidzialne liny pękają jedna po drugiej, a im mniej ich jest, tym łatwiej rozrywać kolejne.

Chciałoby się jechać jak najszybciej, do samej Warszawy albo i dalej, by ostatecznie się oswobodzić, ale obietnica złożona Jance wciąż obowiązywała. Pozostawało mi jedynie mieć nadzieję, że zatrzymamy się na tyle daleko, by tych kilka, nadwerężonych już mocno, więzów dzisiaj nie przeszkodziło nam w ostatecznym zerwaniu z tym, co było do tej pory, a jutro będzie szansa, by ostatecznie się od nich uwolnić.

Nigdy się nie dowiem, co by było, gdybyśmy siłą rozpędu parli nieprzerwanie do przodu. Czy udałoby się nam ostatecznie zniszczyć krępującą nas sieć? Jeśli miałbym obstawiać więcej niż dziesięć złotych, raczej nie odważyłbym się zaryzykować stwierdzenia, że Czarny nie dopadłby nas nawet na końcu świata.

Bardziej prawdopodobne jest raczej, że jeśli ktoś raz wplątał się w obszar jego oddziaływania, to odwrócenie sytuacji i szczęśliwe wyjście z niej obronną ręką należałoby raczej rozpatrywać w kategoriach cudu.

Kiedy jednak niezatrzymywani przez nikogo zmierzaliśmy drogą Chełm—Lublin, a później, zgodnie z wcześniejszymi założeniami, dla bezpieczeństwa znów wybraliśmy mniej uczęszczane tereny, skręcając na wysokości Biskupic w prawo i kierując się na Łęczną, wszystko wyglądało naprawdę bardzo optymistycznie.

Wtedy nie przyszłoby mi jeszcze do głowy, że coś może pójść nie tak, a gdy od czasu do czasu zerkałem na spokojną twarz siedzącej obok mnie kobiety, utwierdzałem się tylko w tym pozytywnym przekonaniu.

„Chwilo, trwaj!” — chciałoby się wtedy powiedzieć.

I chwila trwała. Ta jedna, wywołująca wrażenie, że wszystko układa się pomyślnie.

Ta sama, która w momencie, gdy okazuje się, że rozbudzone nadzieje są tylko nic niewartą ułudą, a wtedy jej wspomnienie uderza i rani ze zdwojoną mocą.

Ani w momencie, gdy mijaliśmy rogatki Łęcznej, ani wtedy, gdy siedząc w ciemnościach i czując na plecach chłodną powierzchnię ściany, odwlekałem moment przeczytania najnowszych zapisków w brulionie, nie miałem o tym bladego pojęcia.

Jednak kiedy przed czwartą nad ranem usłyszałem ciche pukanie do drzwi sąsiedniego pokoju, strach, który natychmiast wywołał gęsią skórę na przedramionach i lodowate mrowienie na karku, zasugerował z nieukrywaną satysfakcją, że być może trwanie naszej dobrej chwili właśnie dobiega końca.

\*

Do momentu poznania pana Jerzego i wejścia w posiadanie znacznej ilości informacji dotyczących miasta Łęczna miało jeszcze upłynąć kilka godzin, więc gdy minęliśmy witacz, przedstawiający niezwykle herb miasta — czarnego dzika na czerwonym tle, miejsce to ani mnie, ani Jance nie kojarzyło się kompletnie z niczym. Nazwa brzmiała wprawdzie znajomo, gdyż kojarzyłem ją z pierwszolicową na początku dwudziestego pierwszego wieku drużyną Górnik Łęczna, ale byłem przekonany, że zachodzi tu jedynie zbieżność nazw miejscowości. O ile pamiętałem, nazwa tego klubu piłkarskiego wiązała się z kopalnią węgla kamiennego, więc odruchowo lokalizowałem go na Górnym Śląsku.

Jak później ze wstydem przyznałem panu Jerzemu, wyszły w tej sytuacji na jaw kompromitujące wręcz braki wiedzy, jakich wstydzić się powinien każdy dziennikarz — nawet ten, którego obszarem zainteresowań są głównie wydarzenia związane (przynajmniej na pierwszy rzut oka) ze zjawiskami paranormalnymi.

— Myślisz, że moglibyśmy się tu zatrzymać? — odezwała się Janka, a jej

pytanie zabrzmiało jak dość znacząca sugestia.

Wolałbym ją namawiać do dalszej podróży, ale rozumiałem, że nie powinienem przeciągać struny.

— Spróbujemy coś znaleźć — odparłem. — Miasto wygląda na spore, więc chyba powinni mieć jakiś hotel.

Faktycznie, Łęczna wyglądała na duże, nowoczesne miasto. Dopiero później okazało się, że liczy zaledwie około dwudziestu tysięcy mieszkańców, niemniej jednak mnogość bloków, prowadzone z rozmachem remonty zatłoczonych ulic, a także mijany po lewej, zadaszony stadion z górującymi nad otoczeniem masztami jupiterów zrobiły na mnie duże wrażenie.

Niewykluczone, że mój odbiór tego miejsca był zafałszowany, gdyż w końcu była to tak naprawdę moja pierwsza wizyta w większym mieście od ponad dwóch lat (Zamość wcześniej ominęliśmy, a o Krasnystaw ledwie się otarliśmy, skręcając w kierunku Chełma i nie wjeżdżając nawet do centrum). Z zachwytem małego dziecka wpatrywałem się w spieszących gdzieś za swoimi sprawami ludzi, chłonałem widok autobusów, samochodów, chodników, szerokich ulic i kolorowych witryn sklepowych. To wszystko zrobiło na mnie tak piorunujące wrażenie, że aż musiałem zatrzymać forda na niewielkim parkingu.

Odkręciłem szybę, nabrałem powietrza i przymknąłem z rozkoszą oczy. Zmieszane ze sobą zapachy spalin, miasta, betonu i rozgrzanego już lekko asfaltu wydały mi się cudowną, boską wręcz wonią, przywodzącą na myśl czasy sprzed przyjazdu na Roztocze po otrzymaniu mejla od Rafała Gielmudy. Chłonałem ją z całych sił i odbierałem jako dobry omen, jako kolejną, namacalną wręcz zapowiedź lepszego, spokojnego jutra.

Byle jak najdalej od koszmarów Słonecznej Doliny, od Bobowicza, Guciowa, Dobrowolskiego i Starzyzny.

Byle jak najdalej.

— Coś się stało? — Usłyszałem zaniepokojony głos Janki. — Źle się poczułeś?

— Przeciwnie, moja droga — powiedziałem, patrząc na nią i uśmiechając się od ucha do ucha. — Żebyś wiedziała, że wręcz przeciwnie...

\*

Zatrzymaliśmy się w centrum miasta, obok hotelu Renesans, niedaleko nowo wyremontowanego i zadbanego deptaka, którym — ku mojej uciechu — nieustannie płynął barwny, hałaśliwy tłumek. Staliśmy się jego częścią, ponieważ Janka stwierdziła, że w moim stanie nie mogę pojawić się na recepcji. Brudne łachmany i podbite oko mogłyby niepotrzebnie zwrócić czyjąś uwagę.

— A przecież takich sytuacji powinniśmy unikać jak ognia — zakończyła swoją argumentację.

— Masz w stu procentach rację, Janeczko — zgodziłem się z entuzjazmem. — Dla ciebie wszystko!

Byłem zadowolony nie tylko z celności jej spostrzeżenia, ale też ze sposobu,



w jaki mówiła. Czułem, że zwiększają się nasze szanse. Coś — nie tylko w sensie, ale też w tonie jej słów — wskazywało na to, że zaczynamy stanowić drużynę, harmonijnie współpracujący zespół, który komukolwiek trudno będzie rozpracować i ograć.

Czy myślałem wtedy o czymś więcej, na przykład o tym, że moglibyśmy stworzyć bardziej ze sobą związany tandem? Trudno powiedzieć. Na pewno w pierwszej chwili Janka zrobiła na mnie niezwykle pozytywne wrażenie. Imponowała mi swoim spokojem, inteligencją i błyskotliwością. Było mi miło, że się o mnie troszczy, że martwi się o moje obrażenia i w miarę swoich możliwości stara się pomóc.

Stan ten z pewnością trwał do momentu mojego spotkania z Bobowiczem w piwnicy i wtedy ten siwy drań świetnie mnie rozszyfrował (czemu trudno się dziwić, skoro czytał w moich myślach jak z otwartej książki).

Co się stało później, co się zmieniło?

Nie mam pojęcia.

Być może trochę się tego wszystkiego przestraszyłem, podświadomie zacząłem obawiać się swoich reakcji; przecież samotny byłem już od długiego czasu, nie wiem, jak bym się zachowywał, gdyby znów ktoś pojawił się w moim życiu. Pomiedzy mną a Janką pojawiły się też drobne zgrzyty. Sytuacja była trudna, a dodatkowo po moich przejściach wiele błahych okoliczności mogłoby okazać się niełatwymi do okiełznania.

Wciąż pamiętałem też o Adamowiczu.

To prawda, że w pierwszej chwili, gdy zobaczyłem go leżącego na łóżku (i zgodnie z moją wiedzą na tamtą chwilę jednoznacznie oceniłem jego losy), przeszło mi przez myśl, że Janka wreszcie uwolniła się od swojego podstarzałego wybranka i — nie powiem — było to stwierdzenie, które pozytywnie wzburzyło krew w moich żyłach. Trwałem z tą świadomością do momentu, gdy pojawiły się między nami pierwsze zgrzyty i czułem wręcz, jak pozytywne nastawienie maleje z każdą minutą.

Efekt był taki, że kiedy tam, na wzgórzu za Starym Zamościem chwyciłem jej rękę, był to już całkowicie przyjacielski gest i w odróżnieniu od tego, który nastąpił w sadyzie za jej domem, absolutnie nie niósł za sobą żadnego podtekstu. Czułem się tak, jakbym dotykał dłoni przyjaciela.

A jak do tego podchodziła Janka?

Do tej pory w żaden sposób nie dała mi do zrozumienia, że w ogóle przez myśl mogło jej przejść coś zdroźnego, co mogłoby mnie dotyczyć. Najpewniej jechała ze mną dlatego, że chciała się chronić przed złem i niepotrzebnym cierpieniem, które nikomu i niczemu by przecież nie służyło.

Poza tym wcale nie było pewne, czy następnego dnia rano nie zechce wracać. Fakt — jej słowa nie zabrzmiały tak, jakby prawdopodobieństwo tego scenariusza było znaczące, ale pewności mieć przecież nie mogłem.

Szliśmy więc niespiesznie łączyńskim deptakiem, rozglądając się za sklepem, który zmieni mój wygląd na zadowolający zarówno moją towarzyszkę, jak i nieznanego nam jeszcze hotelowego portiera.

\*

Hotelowy portier okazał się prześliczną szatynką z wielkimi, brązowymi oczyma i miłym uśmiechem.

Dziewczyna miała może dwadzieścia, a najwyżej dwadzieścia pięć lat. Przywitała nas serdecznie, jakbyśmy byli od dawna niewidzianymi, dobrymi znajomymi.

W holu panował lekki półmrok, więc pozostawanie w przeciwsłonecznych okularach byłoby jeszcze bardziej podejrzane niż zagranie w otwarte karty i pochwalenie się okazałą opuchlizną oraz wszystkimi kolorami tęczy w okolicach lewego oka. Dziewczyna (Weronika, co jasno wynikało z tabliczki, którą umiejętnie eksponowała na kształtnej piersi) zupełnie nie dała po sobie poznać, że mój wygląd w jakikolwiek sposób odbiega od normy. Hotel był dość elegancki, więc nie chciało mi się wierzyć, że faceci z porozbijanymi gębami są dla niej codziennym widokiem, ale zachowała minę pokerzysty, niezmiennie uprzejmie się uśmiechając, gdy prosiłem o dwa jednoosobowe pokoje.

— Będziecie państwo płacić kartą czy gotówką? — spytała.

— Gotówką — odparłem i wyjąłem z torby portfel Adama.

Kładąc pieniądze na blacie, czułem się jak wyjątkowa kanalia, jak cmentarny rabuś, który najpierw zamordował własnego przyjaciela, a potem go jeszcze bez ceregieli okrada. Nie było jednak wyjścia — Janka zabrała ze sobą tylko kilkadziesiąt złotych, które zostały na stacji paliw koło Krasnegostawu, natomiast ja prawie wszystkie swoje pieniądze wydałem na nowe ubrania, bieliznę i buty.

Weronika poprosiła mnie jeszcze o dowód osobisty. Dopiero wtedy spojrzała na mnie pytająco, a jej brew uniosła się lekko ze zdziwienia. Fakt, że ktoś nosi ze sobą dwa portfele, był jednak bardziej spektakularny niż rozkwaszona facjata.

Po chwili, gdy dziewczyna dyskretnie zlustrowała moje ubranie, jej lewa brew wróciła na swoje miejsce, a dalszy ciąg rejestracji przebiegł bez zakłóceń.

Nowe, gustowne ubranie, które wybrała dla mnie Janka, leżało wręcz idealnie.

\*

Dostaliśmy dobrze wyposażone, położone obok siebie pokoje (oczywiście z łazienkami) na pierwszym piętrze — ja zamieszkałem w 105, a Janka w 106.

Zbliżała się czternasta. Daliśmy sobie około godziny na toaletę i krótki odpoczynek, a później wybraliśmy się na miasto, aby coś zjeść. Niedaleko hotelu znaleźliśmy przyjemną knajpkę. Z głośników sączyła się cicho nienachalna muzyka, głównie popowe przeboje z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Dzięki nim znów bardzo intensywnie odczuwałem poruszające wrażenie powrotu do przeszłości.

Usiedliśmy w jednym z zakamarków sali. Kelner przyniósł karty i zapalił stojącą

pomiędzy nami świecę. Jej blask przywołał niechciane wspomnienia. Zamiast w otwarte menu patrzyłem w jasny, poruszany lekkim ruchem powietrza płomyk, który natychmiast przeniósł mnie do drewnianego domu Grelów.

— Witku, czy wszystko w porządku?

Drgnąłem. Na twarzy Janki malował się niepokój.

— Nie bardzo — odparłem. — Takie światło będzie chyba już do końca życia kojarzyło mi się ze Starzyzną. Zbyt wiele czasu spędziłem w towarzystwie płonących świec, a że nie są to zbyt przyjemne reminiscencje... Sama rozumiesz.

Bez słowa zgasiła płomień palcami i zaraz potem odstawiła świecznik na sąsiedni stolik.

— Teraz lepiej?

— Tak, dziękuję.

— Może więc zamówimy coś do zjedzenia? — Uśmiechnęła się. — Trzeba żyć dalej, a rozpamiętywanie tego, co było, tylko niepotrzebnie ciągnie nas w dół. Jak już oboje wiemy, są miejsca, w których czas się zatrzymuje, ale jestem przekonana, że nigdzie się on nie cofa. Przepraszam, wiem, że to są banały, ale...

— Nie, Janka, to nie banały. A nawet jeśli tak, to czasem bardzo chce się je usłyszeć. Dziękuję.

Przez chwilę pomyślałem jeszcze o Adamie i znów coś ścisnęło mnie za gardło, ale zaraz potem zająłem się wertowaniem jadłospisu.

„Rozpamiętywanie tego, co było, tylko niepotrzebnie ciągnie nas w dół” — te słowa postanowiłem sobie dobrze zapamiętać i przywoływać, gdy tylko dopadną mnie czarne myśli albo spotka coś złego.

Szkoda tylko, że w późniejszych dniach musiałem je sobie powtarzać aż tak wiele razy.

\*

Oboje wzięliśmy to samo — barszcz ukraiński, po wielkim jak naleśnik schabowym z surówkami i ziemniakami z wody, do tego herbata. Znów okazało się, że w moim przypadku najlepszym lekarstwem na brak apetytu jest wmuszenie w siebie kilku pierwszych kęsów (w tym konkretnym przypadku — łyżek) posiłku, a później idzie już jak z płatka. W krótkim czasie wymiotłem talerze do czysta, nie zważając już zupełnie na to, że kolejny raz będę musiał zapłacić nieswoimi pieniędzmi.

Janka poradziła sobie z barszczem prawie tak szybko jak ja, ale drugie danie stanowiło w jej przypadku zaporę nie do przejścia. W międzyczasie poprosiła o kieliszek wytrawnego wina, ale mimo to na talerzu została ponad połowa kotleta. Surówki zniknęły, ale ziemniaki pozostały prawie nietknięte.

— Zawsze tak mało jesz? — zapytałem. — Czy może myślisz o...

— Trochę tak, trudno, żeby było inaczej. — Wypiła ostatni łyk wina. Zobaczyłem, że jej policzki nabierają lekkich rumieńców. — Zaraz pójde zadzwonić do domu. Powinnam to była zrobić zaraz po przyjeździe.

— Nie sądzę, aby to coś zmieniło.

— Gdyby się okazało, że z Bogdanem jednak wszystko w porządku, byłabym o wiele spokojniejsza.

— No tak, masz oczywiście rację. — Pełny żołądek nie sprzyjał bystrości mojego umysłu. — Tylko to cię gryzie?

— Tylko...? — Wbiła we mnie wzrok. — Czy niepokój o losy mojego męża to mało?

Pomyślałem, że chyba w ogóle powinienem przestać się odzywać.

— Nie, nie to miałem na myśli... Chodziło mi o to, czy jest jeszcze coś oprócz tego. No wiesz, czy martwi cię coś jeszcze.

— Tak, ale najpierw chciałabym jeszcze się napić wina. Zamówisz mi lampkę? Może być takie samo. Wiem, że powinnam teraz szukać najbliższej budki telefonicznej, ale... ale jest coś, o co chciałam cię zapytać. — Mówiąc to, nerwowo skubała rożek bordowej serwetki. — Zaczęłam się zastanawiać w pokoju i od tego momentu nie mogę przestać o tym myśleć.

Skinąłem na kelnera, a po chwili przed Janką pojawił się kolejny, zapełniony do połowy pękaty kieliszek.

Podniosła go do ust i upiła kilka małych łyków.

— Możesz przecież zadzwonić z hotelu. Mamy w pokoju aparaty telefoniczne, jutro uregulujemy należność.

— Ach, tak, rzeczywiście, nie pomyślałam o tym, ale to zaraz... — powiedziała, lecz niedbały ruch ręki świadczył o tym, że to nie troska o losy męża zaprzęta ją teraz najbardziej. — Poczekaj, proszę, najpierw zbiorę myśli. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał — wyjaśniła. — A ty się nie napijesz ze mną?

Pokręciłem przecząco głową.

— Po tym, co się stało na wzgórzu w niedzielę, obiecałem sobie, że nie będę pił i zamierzam wytrwać w swoim postanowieniu.

— Rozumiem — odparła, skierowała wzrok w stronę okna i tak zastygła.

Przyglądałem się jej ładnej twarzy, błyszczącym oczom, w których kącikach było zdecydowanie zbyt mało kurzych łapek, powstających w wyniku uśmiechu, i wsłuchiwałem się w płynące z głośników dźwięki. Phil Collins śpiewał akurat o kolejnym dniu w raju, a kiedy w tej właśnie chwili dotarło do mnie znaczenie tekstu utworu i zrozumiałem zdanie o czytaniu z kobiecej twarzy...

*You can tell from the lines on her face.*

...nagle zrobiło mi się bardzo nieswojo.

Zbieg okoliczności? Być może.

*Think twice, it's just another day for you and me in paradise.*

Czy to był dla mnie kolejny dzień w raju? W porównaniu z pobytem w Starzyźnie — z całą pewnością tak, kolejny, nawet pomimo tego, że otarłem się o śmierć z ręki Bogdana i mimo spotkania z Bobowiczem.

*Think twice.*

I wcale nie musiałem się nad tym zastanawiać dwa razy.

Ta piosenka, nadana właśnie dokładnie w tym momencie, wzbudziła we mnie niepokój.

Poczułem narastającą suchość w gardle i sięgnąłem po filiżankę, by przepłukać usta.

Janka siedziała nieruchomo, a jej twarz nie zdradzała absolutnie niczego. Nagle zaczęło mi się zdawać, że jej zmarszczki — zdecydowanie zbyt liczne, jak na jej wiek — łącząc się z wpadającym zza okna złotawym blaskiem, zaczynają układać się w nieprzypadkowy kształt. Najpierw widziałem to niewyraźnie, jak niepozorny cień na tafli lekko falującej wody, lecz kiedy na policzek Janki padł silniejszy promień światła, cienie się wyostrzyły i znacznie pociemniały. Kilka razy zamrugąłem oczyma, ale dzięki temu wrażenie stało się tylko bardziej wyraziste.

## *WrACAJ TErAZ*

Dwa krótkie wyrazy, złożone z pociągłych, nieregularnych, niteczkowatych liter, wpisane w siatkę zmarszczek na skórze krzyżowały się ze sobą pod ostrym kątem. Wyrazy połączone były ze sobą dużą (w niegramatycznym znaczeniu) literą „r”. Była najbardziej czytelna — prawie tak, jakby ktoś napisał ją na policzku Janki czarnym flamastrem. Inne jawiły się mniej wyraźnie, ale widziałem je dokładnie i nie miałem wątpliwości co do ich znaczenia.

Gapiałem się przed siebie tak intensywnie, że aż w pewnym momencie zabrakło mi powietrza. Wtedy, łapiąc gwałtownie oddech, zakrztusiłem się herbatą, którą z wrażenia zapomniałem przełknąć.

Janka drgnęła i popatrzyła na mnie lekko przestraszona.

Przeprosiłem ją gestem, po czym, bezustannie kaszląc, szybkim krokiem poszedłem do łazienki.

Zabawiłem w niej dość długo, ponieważ dojście do siebie po tym, co zobaczyłem nie było łatwe. Kilkakrotnie obmywałem twarz lodowatą wodą i czekałem aż chłód poprzez skórę wsiąknie możliwie jak najgłębiej, dotrze do rozedrganych nerwów, obniży temperaturę krwi, pozwoli ochłonać.

Aby tak się stało, musiałbym chyba wtedy cały wejść pod prysznic, ale to mogło przecież nastąpić dopiero za jakiś czas. Wreszcie, gdy uznałem, że już mi lepiej, ostatni raz opłukałem twarz i dokładnie wytarłem ją papierowym ręcznikiem.

Zanim wyszedłem z łazienki, zapytałem jeszcze sam siebie, czy jest szansa, abym uznał, że to wszystko mi się jedynie przywidziało. Byłoby to najlepsze rozwiązanie, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, niemniej jednak równie dobrze mógłbym próbować przekonywać sam siebie o tym, że cała moja przygoda, która rozpoczęła się od enigmatycznego mejla ponad dwa lata wcześniej, także jest tylko chorym rojeniem człowieka stojącego na skraju nerwowego rozstroju.

## WrACAJ TErAZ

— Po co miałbym tam wracać? — szepnąłem, wzruszając ramionami, a później wrzuciłem mokry ręcznik do kosza z taką siłą, jakby razem z nim w śmieciach miał wylądować mój cały, wciąż niebezpiecznie uciskający mnie na wysokości klatki piersiowej, niepokój.

\*

Do zmierzchu było jeszcze dość daleko, ale słońce było na tyle nisko, że jego odbite światło nie wpadało już do restauracji przez okno, przy którym siedziała Janka. Dostrzegłem to w drodze do stolika, dlatego usiadłem na swoim miejscu nieco spokojniejszy, sądząc, że z jej twarzy nie wyczytam (dosłownie) już niczego więcej. Mimo to i tak przez pierwszych kilka chwil, patrząc na policzek Janki, czułem się nieswojo. Małe „r” wciąż tam było, ale teraz pozostawało jedynie niewielką zmarszczką, której normalnie pewnie w ogóle bym nie zauważył.

— Już jestem — oznajmiłem bez sensu.

— Pamiętasz, dziś rano, w samochodzie, na wzgórzu, zdaje się, że za Starym Zamościem... — zaczęła od razu. — Dobrze mówię?

— Tak, za Starym Zamościem.

— Opowiadałeś mi o spotkaniu z Czarnym. To znaczy z Bobowiczem...

— Pewnie, że pamiętam, i...? — Patrzyłem na nią, ale chyba nieco zbijając ją z tropu, ponieważ mój wzrok był skierowany na policzek, na którym wciąż widniała mała literka „r”.

— Wspomniałeś, że mówił coś o żalu do ciebie, o tym, że pokrzyżowałaś mu szyki w Starzyźnie.

— Faktycznie, tak powiedział — odparłem, teraz już przenosząc spojrzenie na jej oczy. — Ale dlaczego cię to zastanowiło?

— A ciebie nie? — Oparła łokcie na stoliku, a brodę położyła na splecionych palcach dłoni.

— Wiesz, wtedy jakoś nie miałem do tego głowy, a później... później też wiele się działo, ale...

— Mówił też, że zamierza cię za to ukarać.

Nie miałem ochoty na łamigłównki, więc zapytałem wprost:

— Do czego zmierzasz?

Odpowiedziała po krótkiej chwili, starannie ważąc każde kolejne słowo:

— Zastanawiam się, czy wtedy, w pięćdziesiątym drugim, ten ksiądz, Dobrowolski, również nie miał z nim do czynienia. Oczywiście, nie mam na myśli Bobowicza jako takiego, a raczej kogoś, kto... kto używa do swoich celów jedynie jego powierzchowności. No bo chyba ostatnio w okolicach Guciowa to się chyba wszystko mniej więcej w taki sposób odbyło, nie uważasz?

— Janka, szczerze mówiąc, to ja tak naprawdę nie mam już ochoty o tym

myśleć. To wszystko już za mną, za nami. Najważniejsze jest teraz nasze bezpieczeństwo i wydaje mi się, że właśnie mamy szansę, aby je sobie zapewnić...

— W zasadzie masz rację, ale pamiętasz, że ja jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji?

— Tak, pamiętam. — Z rezygnacją spuściłem głowę.

— Nie oznacza to, że chcę wrócić, ale jeszcze nie wiem na pewno. Po prostu... W ten sposób się umówiliśmy.

Przytaknąłem bez słowa i sięgnąłem po herbatę.

— Zastanawiam się, czy wtedy, w pięćdziesiątym drugim, podobna sytuacja nie miała miejsca, czy Bobowicz, Czarny, czy jak by go tam nie nazwać, również nie zażądał czegoś od tego księdza. Czegoś takiego, na co Dobrowolski nie mógł się nie zgodzić.

Zamarłem w bezruchu, trzymając filiżankę tuż przy ustach.

— Sądysz, że wtedy, w kościele...

— Nie, Witku, ja nic nie sędzę, a tym bardziej niczego nie jestem pewna. Po prostu zastanawiałam się nad tym dziś w pokoju i chciałam się podzielić z tobą swoimi przemyśleniami. Jeszcze zanim zadzwonię do domu.

Znów miałem sucho w gardle, więc dopiłem herbatę do końca i odstawiłem filiżankę.

Janka podniosła się z miejsca, ale zaraz znów usiadła.

— Rozważałam też, czego mógł chcieć od ciebie — kontynuowała — i czy przypadkiem nie byłoby to coś naprawdę okropnego. Aż boję się, co to takiego mogłoby być.

Pomyślałem wtedy o nieznanym małym chłopcu, którego miałem przyprowadzić Bobowiczowi, wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz.

— Ty się nie domyślasz? Niczego ci nie zdradził? — zapytała.

Pokręciłem głową, ponieważ wstyd mi było, że w ogóle choć przez moment brałem pod uwagę uprowadzenie Mateusza — syna jej bliskiej znajomej. Nie potrafiłbym się do tego przyznać.

Później dopiero okazało się, że był to mój ogromny błąd. Może wtedy nie byłoby jeszcze za późno na posłuchanie słów, jakie pojawiły się na jej policzku i gdybyśmy wsiedli natychmiast do samochodu...

Tego już nigdy się nie dowiem.

Janka wstała i tym razem założyła płaszcz.

— Teraz muszę zadzwonić — powiedziała.

Zaraz potem zapłaciłem (właściwie Adam zapłacił moimi rękoma) i wyszliśmy na zewnątrz.

— Muszę się przejść — oznajmiłem. — Nie chcę teraz wracać do hotelu. Sędzę, że dobrze będzie, jak sobie to wszystko trochę poukładam i spacer na pewno mi w tym pomoże.

Ruszyliśmy w przeciwnie strony, ale po chwili zatrzymał mnie głos Janki. Podszedłem do niej.

— Chcę, żebyś wiedział jeszcze jedno.

Popatrzyłem na nią pytająco.

— Urodziłam się dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku.

— Czyli niedługo będziesz miała urodziny? — stwierdziłem z głupia frant, choć całkiem trafnie.

Nie potrafiła zachować powagi i uśmiechnęła się lekko.

— Tak, ale nie chodzi mi o prezent.

Zaraz potem po wesołości na jej twarzy nie było już nawet śladu.

— Pamiętasz? Wspomniałeś mi, że urodziłeś się w dniu, kiedy tam, w Starzyźnie, no wiesz, kiedy tam się wydarzyło to wszystko, kiedy Paulina Podolak...

— Tak, i nie uważam, że to był tylko zwykły zbieg okoliczności.

— No właśnie. Dziewiętnastego kwietnia pięćdziesiątego siódmego też wypadł Wielki Piątek. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie i czy to zbieg okoliczności, ale chciałam, żebyś wiedział.

Jeśli w całej Łęcznej był wtedy ktoś bardziej zaskoczony ode mnie, to nic mi na ten temat nie wiadomo, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne.

— Może tak miało być, że mieliśmy się spotkać — dodała, a zaraz potem odwróciła się i po prostu odeszła.

Zanim znów mogłem się ruszyć, upłynęło dobrych kilka minut.

\*

— Halo, przyjacielu! Spieszno ci na tamten świat?

Dokładnie w momencie, gdy usłyszałem te słowa, czyjaś dłoń szarpnęła mocno moją nową kurtkę, a mknący ulicą samochód minął mnie dosłownie o parę centymetrów.

Wyrwany z głębokiego zamyślenia wracałem do rzeczywistości.

Rozejrzałem się i obok dostrzegłem jegomościa, który najprawdopodobniej właśnie przed chwilą ocalił mi życie.

Był krępej budowy ciała, mniej więcej mojego wzrostu i zapewne miał nie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat. Jego rumiana twarz zabawnie kontrastowała z kępkami białych jak śnieg włosów, wystającymi spod kraciastej kaszkietówki, a w oczach wciąż czaił się niepokój.

— No, bracie! — sapnął, puszcżając moje ramię. — Gdybym w porę nie zauważył, żeś jakiś taki rozmemłany psychofizycznie, to byś miał się z pyszna, kurka wodna. A co by na to żona powiedziała, a co dzieci, jakbyś w dębowym garniaku w domu się pojawił?

— Nie mam żony i dzieci. — Wciąż nie rozumiałem, jak mogłem nie zauważyć tego auta. Wydawało mi się, że rozglądałem się przed wejściem na jezdnię.



— Już nie mam — uściśliłem bezwiednie.

— Aha, to pardon, tego... — Wyraźnie się zmieszał. — Przepraszam, znaczy.

— Nic nie szkodzi, po prostu się rozwiódłem. — Teraz mnie zrobiło się niezręcznie, tym bardziej więc nie zamierzałem kontynuować mojej rodzinnej historii. — Czy pan się może urodził w Wielki Piątek?

Zanim zastanowiłem się nad tymi słowami, już popłynęły one w eter.

Mój wybawca wybałuszył oczy.

— Że jak? — To było wszystko, co zdołał z siebie wydobyć, a że nie wyglądał na kogoś, kto często zapomina języka w gębie, jego mina była zaiste przekomiczna.

— Słyszałem gdzieś, że każdy anioł stróż rodzi się w Wielki Piątek — wymyśliłem na poczekaniu.

— Aaaa, nie, gdzie tam. Ja w niedzielę rodzony. Przynajmniej tak matula opowiadała. — Wyraźnie się uspokoił. — Gdzież to zatem tak pędzisz, bracie?

— Dziękuję panu bardzo, gdyby nie pan...

— Oj tam — machnął ręką. — Dobrze się złożyło i tyle wszystkiego. Nie ma o czym gadać. Nie znam cię. Ty chyba nie łączyniak?

— Nie, jestem tylko przejazdem. Idę pooglądać z bliska stadion, bo wygląda na porządny. — Tak naprawdę, nie miałem pojęcia, dokąd i po co zmierzam, ale skoro staliśmy niedaleko stadionu właśnie, to uznałem taki cel spaceru za całkiem wiarygodny.

— No masz! Pewno, że porządny! Najlepszy klub, Górnik Łęczna, to i stadion musi być pierwsza klasa! — Charakterystycznym gestem cmoknął w koniuszki prawej dłoni. — Chodź no, bracie, to ci go z bliska pokażę.

Jeśli chodzi o konwenanse, to — mimo że wcale nie byłem od niego dużo młodszy — zupełnie o nie nie dbał.

— Trafiłeś mnie jak śliwkę w kompocie — dodał jeszcze radośnie. — Bo lepiej byś nie dał rady, choćbyś i skisł.

Tak właśnie zaczęła się moja znajomość z panem Jerzym Szewczykiem — jak sam się skromnie określał — najlepszym kibicem po tej stronie rzeki Wisły.

\*

Nawijał prawie bez przerwy, używając przy tym niezwykle barwnego języka. Początkowo trudno było mi się skupić na jego słowach, ponieważ myśli uparcie wracały w okolice Słonecznej Doliny i Guciowa, ale z czasem zaabsorbował mnie bez reszty.

Obeszliśmy stadion dookoła. Wtedy właśnie okazało się, że moja wiedza geograficzna związana z polskimi zasobami energetycznymi i piłką nożną jest zdecydowanie ograniczona. Wprawdzie dobrze kojarzyłem, że nazwa Górnik Łęczna wiąże się z kopalnią węgla kamiennego, niemniej jednak nigdy bym nie przypuszczał, że pokłady tego surowca są na Lubelszczyźnie na tyle obfite, by rozwinąć nieźle (w porównaniu chociażby do niektórych zakładów na Górnym

Śląsku) funkcjonujący przemysł wydobywczy.

Dowiedziałem się też, że za dwa dni, czyli dwunastego kwietnia, ma się odbyć posiedzenie Wydziału Dyscypliny Polskiego Związku Piłki Nożnej, który ma zadecydować o dalszych losach tego klubu, co było związane z podejrzeniami o rzekome ustawianie meczów. Pan Jerzy (wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak ma na imię) jednoznacznie twierdził, że wszystko to „grubymi nićmi jest szyte, a prawda najczystsza i tak będzie na wierzchu jak oliwa, zobaczysz, przyjacielu, jeszcze wspomnisz moje słowa!”.

Kiedy wracaliśmy w stronę miasta, zaproponował, byśmy usiedli gdzieś na chwilę przy piwku. Widocznie jak złapał słuchacza, to nie lubił go zbyt prędko wypuszczać. Z chęcią przystałem na jego propozycję, ponieważ nie miałem jeszcze ochoty wracać do hotelu i do zestawu czarnych myśli, który bez wątpienia tam na mnie czekał. Od razu jednak zastrzegłem, że potowarzyszę mu co najwyżej ze szklanką soku w dłoni, bo być może będę musiał jeszcze tego dnia prowadzić. Trochę się zmartwił, ale nie na tyle, by zrezygnować z podzielenia się ze mną kolejną porcją, z całą pewnością niezbędnych mi informacji.

Pożeglowaliśmy zatem w kierunku jednej z miejscowych knajpek, mijając kolorowe witryny sklepów. Na jednej z nich, księgarnianej, moją uwagę przykuła znajoma okładka opatrzona tytułem „Czarny Wygon”.

Przystanąłem.

Anielka Komisarczuk łypała z niej na mnie swoimi ślepymi oczyma, wywołując w jednej sekundzie uczucie przenikliwego chłodu. Zaraz potem dogoniłem swojego nowego znajomego i jego wesoły monolog, po raz kolejny umiejętnie umykając przed mrocznymi, nieprzyjemnymi wspomnieniami.

\*

Wreszcie usadowiliśmy się wygodnie przy jednym ze stolików baru, którego nazwa boleśnie mnie zakłuła.

Bar Przystań w Łęcznej był bardzo podobny do tego warszawskiego, w którym niezawodna pani Basia nalewała mnie i Adamowi piwo zawsze do tych samych kufli z grubego szkła.

„Ciekawe, czy te kufle jeszcze tam są i na nas czekają” — pomyślałem, a potem uznałem, że nawet jeśli tak, to z pewnością zmieniły już swoich właścicieli. W końcu rany po ludziach, którzy odeszli, najszybciej goją się w osiedlowych barach.

— Na pewno się nie skusisz, przyjacielu? — zapytał mój towarzysz, trącając pełnym kuflem moją szklankę z sokiem jabłkowym. — Może jednak zostaniesz do jutra. Co, nie podoba ci się u nas?

Przyglądałem się uważnie jego zmarszczkom, ale nic nie wskazywało na to, by sytuacja z popołudnia miała się powtórzyć. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, znów się odezwał:

— Pogięło ich chyba z tym rozkopywaniem dróg. Nogi można połamać na

każdym kroku, w sklepach z amortyzatorami — kolejki aż do Lublina, a oni tylko na tych łopatach ciągle wiszą i kanapki wtranzalają...

Zaraz potem usłyszałem narzekanie na fatalny stan dróg w mieście. Później zeszło na tematy polityczne i okazało się, że Adamowicz miał jednak rację, mówiąc o obecnych władzach kraju, natomiast w cytowane słowa Oleksego, które padały podczas rozmowy z Gudzowatym, trudno już mi było uwierzyć.

— Naprawdę tak powiedział? „Odświeżam umysł i będę, kurwa, jak brzytwa”? — roześmiałem się z niedowierzaniem. — I Kwaśniewskiego wyzwał od...

— Bodajbym skonał, jeśli tak nie było! — Zapewnieniu, które mi przerwało, towarzyszyło sążniste uderzenie prawą dłonią w okolice piersi. — Toż to jakoś nie dalej niż trzy tygodnie temu było! Gdzieżeś ty się chował, bracie, że do ciebie nie dotarły takie przednie delicje?

Na szczęście nie musiałem odpowiadać, bo pan Jerzy już na nowo dał się ponieść własnej opowieści.

Kilka minut wcześniej przedstawił mi się i poprosił, żeby mówić mu po imieniu (i tak później cały czas pozostawał już dla mnie „panem Jerzym Szewczykiem”). Ja również podałem imię i nazwisko, ale nie swoje. Książka na wystawie przypomniła mi skutecznie, że lepiej zachować ostrożność, bo nigdy nie wiadomo, gdzie można spotkać miłośników powieści grozy.

Powiedziałem, że nazywam się Bogdan Adamowicz.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie obawa, czy przypadkiem i to nazwisko nie pada w książce, ale później stwierdziłem, że nawet jeśli tak, to co najwyżej tylko epizodycznie, podczas opisywania zdarzeń, które miały miejsce następnego dnia po moim przyjeździe do Guciowa, gdy po raz drugi widziałem się ze Stanisławskim. Zdaje się, że wspominał wtedy o cielaku, należącym właśnie do kogoś o tym nazwisku, któremu ktoś poprzedniej nocy skręcił kark...

Całe to moje zastanawianie się było chyba zupełnie niepotrzebne. Kiedy kilka sekund po podaniu panu Jerzemu fałszywego nazwiska spojrzałem, jak żywo rozprawia o jakiejś kolejnej kwestii, uznałem, że pewnie zapomniał już nawet „moje” imię.

\*

Przy trzecim piwie język mu się już zaczął lekko plątać i właśnie wtedy zapragnął zainteresować mnie tematyką duchów, zmór, strzyg, topielic i upiorów, których „bracie, na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim jest tyle, że można nimi za psami rzucać, przyjacielu!”.

Zdaje się, że oprócz sportu był to jego drugi (obok piłki nożnej) konik, bo jak z rękawa zaczął sypać nazwami miejscowości, w których znaleźć można nawiedzone domy, cmentarze, a nawet jeziora czy torfowiska. Trudno było mi sobie wyobrazić kwestię, której mógłbym w tamtym momencie słuchać bardziej niechętnie, więc postanowiłem, że jak tylko skończy opisywanie aktualnej

rewelacji, to nadejdzie pora pożegnania.

— ...no i podobno, bracie, tam gdzieś niedaleko Kostrzewa, taka jedna — nie wiadomo dokładnie co, ale chyba zmora jakaś — faceta normalnie na śmierć zadusiła. Chyba w dziewięćdziesiątym piątym albo szóstym. Albo siódmym. Cicho o tym było jak makiem zasiał, ale ja swoich informatorów mam, nie bój się, no i... i... Ejże, kurka wodna..., a coś ty mi tak nagle posmutniał, Bogdanek?

A więc jednak zapamiętał, jakim imieniem się przedstawiłem.

Ocknąłem się z zamyślenia i spojrzałem na pana Jerzego. Przyglądał mi się bacznie, oczy, jeszcze przed chwilą lekko zamglone alkoholem, zdawały się teraz zupełnie trzeźwe.

— Stało się coś? Palnąłem jakąś gafę? — Wyglądał na lekko zaniepokojonego.

Zapewniłem, że nic z tych rzeczy, a później dodałem jeszcze dla usprawiedliwienia coś, co było zupełnie szczere:

— Wie pan, niedawno straciłem przyjaciela i wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Od czasu do czasu sobie o tym przypominam i wtedy jest mi bardzo ciężko. Nie ma się więc co dziwić, że daje się to zauważyć.

Pokiwał głową i wtedy zobaczyłem go nagle zupełnie innym — nie był już tym wesołym, starszym, nieco zakręconym facetem, którego trudno byłoby traktować poważnie. W ciągu ułamka sekundy przeobraził się w skupionego słuchacza.

— To pewnie świeża sprawa?

— Nawet bardzo — potwierdziłem.

Milczał przez chwilę.

— On nie żyje, prawda?

Skinąłem głową.

— Wiesz, przyjacielu, jestem już w takim wieku, że wiele razy przeżywałem podobne historie. Zawsze jest trudno, jak odchodzi ktoś bliski, ale życie toczy się dalej i musiałem to wszystko jakoś tam udźwignąć... I wiesz, co sobie zawsze w takich sytuacjach mówiłem? Mówiłem sobie: skoro twój przyjaciel odszedł na zawsze, zapłacz nad jego mogiłą i trwaj w żałobie, bracie. A potem wstań i żyj tak, żeby był z ciebie dumny, filując stamtąd, z góry, na twoje poczynania. I to pomagało. Pomagała też świadomość, że wszystkich nas to czeka, a że ktoś odmaszerował wcześniej...? Cóż, widocznie tak musiało być. Za pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, sto lat i tak wszyscy będziemy w jednym i tym samym szeregu.

Obiektywnie rzecz biorąc, były to jak najbardziej słuszne słowa, niemniej jednak w moim przypadku taka recepta na załagodzenie żalu po stracie Adama w żaden sposób nie mogła się sprawdzić. Po pierwsze dlatego, że to ja byłem winien temu, co go spotkało (czego Szewczykowi — rzecz jasna — nie zamierzałem zdradzać), po drugie — nie miałem, nie mam i pewnie nigdy nie będę miał możliwości stanąć przy jego grobie.

Była też trzecia rzecz — nagle zarysowana perspektywa znalezienia się z Adamem za ileś tam lat w tym samym szeregu, która bynajmniej wcale mnie nie

pocieszała i chyba trudno się było temu dziwić. No, chyba że zdołałbym w jakiś sposób próbować naprawić to, co zepsułem, ale na to byłem zbyt miękki i tchórzliwy. Nie wydawało mi się, że kiedykolwiek mój przyjaciel może być ze mnie dumny, „filując na moje poczynania”, jak określił to Szewczyk.

— Ma pan w stu procentach rację, panie Jerzy — powiedziałem. — Wezmę sobie to do serca, no ale teraz muszę już się zbierać. Miło mi było pana poznać. Może jeszcze kiedyś się spotkamy...

— Jakbyś był tu też jutro albo kiedykolwiek indziej, to wieczorem raczej mnie znajdziesz w Przystani, bracie. No, chyba że zdarzyłoby się coś trudnego do przewidzenia, na przykład gdybym kopnął w kalendarz. — Roześmiał się już trochę po pijacku. — Trzymaj się, przyjacielu!

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem na zewnątrz.

Jak się okazało, w międzyczasie zdążyło się zrobić całkiem ciemno, zaczęło też lekko kropić.

Mój timex wskazywał już kwadrans po dwudziestej pierwszej. Jak widać, czas w towarzystwie pana Jerzego mijał wręcz niepostrzeżenie — chyba nawet za bardzo, bo z tego wszystkiego przestałem myśleć między innymi o Jance i jej kłopotach, zostawiając ją na ponad trzy godziny samą sobie.

Ruszyłem szybkim krokiem w stronę hotelu.

Kiedy byłem przy jego drzwiach i w świetle latarni zamajaczył kształt stojącej nieopodal fiesty, zaniepokoiłem się, czy deszcz nie postanowi wprowadzić swoich zmian na jej tablicach rejestracyjnych. Padało jednak niezbyt mocno, więc uznałem, że raczej nie ma takiej możliwości.

Poza tym, przecież nagle zaczęło mi się niebywale wręcz spieszyć.

Wszedłem do środka. Siedząca przy komputerze Weronika wstała na mój widok i zaprezentowała olśniewający uśmiech, który natychmiast odwzajemniłem.

— Przepraszam bardzo, wcześniej nie zapytałam, na którą godzinę życzą sobie państwo śniadanie? — spytała.

— Na dziewiątą, ale zapytam jeszcze znajomą i gdybyśmy zmienili zdanie, zadzwonię, dobrze?

— Oczywiście. Zgłoszę się, jeśli wciśnie pan dziewiątkę w telefonie.

— Do której powinniśmy się zdecydować?

— Kończę zmianę o ósmej rano i wtedy też normalnie zaczynamy wydawać śniadania, chociaż... — Sprawdziła coś w komputerze. — Tak, są państwo dziś naszymi jedynymi gośćmi, więc jeśli zostałyaby ta dziewiąta, to kucharz mógłby przyjść do pracy o półtorej godziny później... — Popatrzyła wyczekująco.

— Oczywiście, w takim razie zostaje dziewiąta i nie będziemy już pani niepokoiili.

— Dziękuję bardzo. — Jej uśmiech był zdecydowanie zniewalający. — W takim razie zadzwonię zaraz do kolegi. Na pewno się ucieszy.

— Spokojnej nocy, pani Weroniko.

— Dziękuję i wzajemnie. Mam nadzieję, że będziecie państwo zadowoleni z naszych usług.

Wchodząc po schodach, wyliczyłem, że (mając na uwadze nasze przybycie przed czternastą) dziewczyna będzie pracowała bez przerwy co najmniej osiemnaście godzin z górką.

„Takie są realia, bracie, w tych okolicach ciężko o robotę. Każdy się chwyta, czego tylko może” — wspomniałem usłyszane niedawno słowa i wszystko już było dla mnie jasne.

\*

Stałem przed drzwiami pokoju numer 106 i lekko zapukałem.

Po chwili, gdy nie usłyszałem żadnej reakcji, zrobiłem to ponownie, tym razem nieco głośniej.

Znow nic.

Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, bardzo mnie zaniepokoiła.

„Zostawiłem Jankę samą na tak długo i może nie wytrzymała tego całego napięcia? Może załamała się i...

Nacisnąłem klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

Za trzecim razem załomotałem mocno pięścią. Odgłos uderzeń poniósł się echem po tonącym w półmroku, rozświetlonym jedynie dyskretnymi kinkietami korytarzu hotelowym. Zacząłem już bać się nie na żarty, gdy wreszcie po drugiej stronie usłyszałem odgłosy kroków, a później szcęk otwieranego zamka.

— Przestraszyłaś mnie — powiedziałem, gdy drzwi się uchyliły. — Wszystko w porządku?

— Wejdz, proszę — oparła Janka, dopinając guziki żakietu. — Długo cię nie było i chyba się trochę zdrzemnęłam.

Usiedliśmy przy niewielkim stoliku. Stojąca na nim lampka dawała niewiele więcej światła niż korytarzowe kinkiety.

— I co? Dowiedziałaś się czegoś?

— Najpierw kilka razy dzwoniłam do domu, ale Bogdan się nie zgłaszał. Później spróbowałam do szwagra, odebrała Krystyna — jego żona...

— To rodzice Piotrka?

— Tak. — Jej twarz posmutniała w ułamku sekundy.

— I...? — Nie chciałem, żeby wspomnienia wróciły. To nie był dobry moment na rozpamiętywanie tragicznych zdarzeń z przeszłości.

— Mieszkają po sąsiedzku. Poprosiłam ją, żeby sprawdziła, czy Bogdan jest w domu. Mają u siebie komplet kluczy od naszego domu. Tak na wszelki wypadek.

— Nie wiem, czy to był najlepszy pomysł, biorąc pod uwagę, że mogła spotkać tam Czarnego. No i nie wiadomo przecież co z Bogdanem...

— Masz rację, też o tym pomyślałam, ale dopiero jakiś czas po odłożeniu słuchawki. Kiedy zadzwoniłam ponownie, Krystyny już nie było. Potem

próbowałam chyba co pięć minut, ale odpowiadał mi tylko sygnał. Dopiero chyba po godzinie się zgłosiła. Okazało się, że była też w szałasie, gdzie Bogdan ostatnio przesiadywał najczęściej. Nie było go ani w domu, ani na tym jego „posterunku”.

— A strzelba?

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

— O strzelbie Krystyna nie wspominała. W każdym razie wygląda na to, że jednak miałam rację co do Bogdana. Zdaje się, że nic mu nie jest.

— Być może tak i być może faktycznie to dobra wiadomość. Z drugiej jednak strony skoro nie było go w miejscach, w których ostatnio był niemal zawsze, to gdzie się podział? Nie poinformował chyba też nikogo o zniknięciu samochodu, prawda? W przeciwnym razie twoja szwagierka chyba by coś o tym wiedziała.

— Tak, raczej tak... Dziwne to wszystko.

— Próbowaaś dzwonić jeszcze później do domu?

— Próbowaałam kilka razy i za każdym razem to samo. Właśnie, może znów zadzwonię.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer na stojącym między nami aparacie. Długo trzymała ją przy uchu, aż w końcu odłożyła, kręcąc przecząco głową.

— Nic. Normalnie i tak by go o tej porze nie było, ale będę jeszcze próbowała od czasu do czasu.

— Ja natomiast pójdę się już położyć. — Wstałem. — Mam nadzieję, że uda mi się szybko zasnąć, bo oczy mi się już same zamykają i, chociaż nie mam na to zbyt dużej nadziei, może akurat jutro rano znajdę w twoim brulionie z przepisami nowy wpis.

Ruszyłem do drzwi, chwyciłem za klamkę, ale po chwili odwróciłem się jeszcze.

— Janka, gdyby ktoś odebrał, to...

Zrobiła kilka kroków, jakby chcąc mnie odprowadzić.

— Tak, wiem, od razu dam ci znać.

— No właśnie o to chodzi, że wolałbym, żebyś poczekała z tym do rana.

Była absolutnie zaskoczona moją odpowiedzią, więc wyjaśniłem:

— Gdybyś obudziła mnie akurat w chwili, gdy będę...

— Ach tak, oczywiście, teraz rozumiem — przerwała mi. — Nie wiem, dlaczego na to nie wpadłam wcześniej.

Wyglądała na zmieszaną, ale ja też czułem się niezbyt zręcznie. Każde z nas przed chwilą myślało przede wszystkim o swoich sprawach, nie bacząc na to, co może być ważne dla drugiej osoby.

— Zastanawiałaś się może nad jutrem? — zapytałem, by przerwać zalegającą w pokoju ciężką ciszę. Mimo to, trwała ona potem jeszcze przez jakiś czas.

Janka wyglądała teraz na zupełnie zagubioną. Stała lekko przygarbiona, z opuszczonymi bezradnie ramionami. Jej oczy wpatrzone były w jakiś punkt na ścianie, znajdujący się metr od mojego lewego ramienia.

— Myślałam, Witku — odezwała się wreszcie. — Nie mam ochoty tam wracać, ale... ale z drugiej strony to przecież jest mój dom. Nic prócz niego nie mam, nie mam gdzie się podziać...

— W tym twoim domu prawdopodobnie czeka na ciebie wielkie, być może nawet śmiertelne niebezpieczeństwo...

— I co z tego? — Spojrzała na mnie hardo. — A tam, w świecie, którego prawie zupełnie nie znam, będzie mi lepiej? Nigdy nie byłam w Warszawie, boję się dużych miast. Boję się ciągłego huk, nowych ludzi, braku zajęcia... Przecież ja nie potrafię niczego poza zajmowaniem się domem. — Wydawało mi się, że w jej oczach błysnęły łzy. — Na niczym się nie znam, a jestem już za stara na naukę czegokolwiek nowego. Będę się tam czuła jak ryba wyrzucona na brzeg i wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. — Pociągnęła nosem i sięgnęła do kieszeni, z której po chwili wyjęła chusteczkę. Użyła jej i dodała:

— Chyba lepiej byłoby mi zostać u siebie, ale jednocześnie bardzo się boję tego, że mogłoby mnie spotkać to, co tych nieszczęśników w Starzyźnie. Czarny wydaje się bardzo niebezpieczny, po Bogdanie można spodziewać się teraz wszystkiego... Nie wiem, co mam ci więcej powiedzieć prócz tego, że jestem zupełnie zagubiona.

Miałem ochotę podejść do niej i wziąć ją w ramiona, ale to na pewno nie był dobry pomysł, więc powiedziałem tylko:

— Cokolwiek zdecydujesz, możesz na mnie liczyć. Zarówno w Bondyrzu, jak i w Warszawie. Mam spore oszczędności...

— Ale ja niczego od ciebie nie chcę!

— Wiem, ale różnie w życiu bywa i pamiętaj, bo ja pamiętam o tym bardzo dobrze, że to przeze mnie wpakowałaś się w cały ten galimatias. Teraz jedziemy na jednym wózku, jesteśmy jak dwuosobowa drużyna, która musi się wzajemnie wspierać. — Mówiąc to, przypomniałem sobie myśl o harmonijnie współpracującym tandemie, która przyszła mi do głowy tuż przed wyprawą po nowe ubrania. Nie sądziłem wtedy, że kiedykolwiek będę mógł jej coś takiego powiedzieć. — W przeciwnym wypadku niewykluczone, że przegramy oboje. Mogę ci natomiast obiecać jedno — jeśli zdecydujesz się na wyjazd do Warszawy i będziesz się tam czuła źle, to na jedno twoje skinienie zawiozę cię z powrotem do Bondyrza. Jeśli jutro ruszymy w stronę Warszawy, miej na uwadze, że nie będzie to przekroczenie Rubikonu, droga w jedną stronę. Nie zniósłbym myśli, że przeze mnie nie możesz oddychać — spróbowałem zażartować.

Udało się. Janka zrozumiała, do czego nawiązałem i lekko się uśmiechnęła. Miałem też wrażenie, że odetchnęła z ulgą. I nie było to wrażenie jedyne...

Wydawało mi się, że ma ochotę podejść bliżej, a może nawet się do mnie przytulić.

Dlatego jak najszybciej pożyczyłem jej spokojnej nocy i poszedłem do swojego pokoju.



\*

Przed snem wziąłem drugi w ciągu kilku godzin prysznic. Być może nie było to konieczne, bo przecież niby gdzie przez ten czas miałbym się pobrudzić, niemniej jednak perspektywa kolejnych kilkunastu minut spędzonych pod silnym strumieniem gorącej wody okazała się pokusą nie do pokonania. Zbyt długo mi tego brakowało.

Kwadrans przed dwudziestą drugą sięgnąłem do torby w poszukiwaniu brulionu i długopisu, a moja dłoń natrafiła na chłodny kształt komórki należącej do Adama.

Wciąż się jeszcze nie wyładowała — wskaźnik baterii był zapełniony w jednej czwartej, więc licząc na to, że może dowiem się czegoś o ostatnich chwilach mojego przyjaciela w Guciovie, zajrzałem najpierw do SMS-ów (tych wychodzących również), a gdy stwierdziłem, że skrzynki są wyczyszczone, sprawdziłem jeszcze listę połączeń.

Wynikało z niej, że dwa ostatnie telefony z tego aparatu wykonano w sobotę, siódmego kwietnia po południu. Przez jakiś czas zastanawiałem się, po co Adam kontaktował się z Heniem Kawęckim i czy robił to, będąc już na Roztoczu. Jeśli tak, to musiała to być jakaś pilna sprawa. Henio pracował z nami, ale nie był w zbyt zażyłych stosunkach z Nawrotem i jakoś nie chciało mi się wierzyć, że w Wielką Sobotę Adam zadzwonił do niego, żeby na przykład złożyć mu świąteczne życzenia.

Wcisnąłem przycisk z zieloną słuchawką.

Telefon został odebrany w trakcie trwania drugiego sygnału, dokładnie w sekundzie, w której uświadomiłem sobie, że ta rozmowa może przynieść więcej szkody niż pożytku. Przecież od ponad dwóch lat w redakcji nie mieli ode mnie żadnego znaku życia, a ja nie miałem ochoty teraz czegokolwiek wyjaśniać.

— No cześć, Adaś — usłyszałem wesoły głos Kawęckiego. — Co tam, znów potrzebujesz jakiejś informacji? A tak w ogóle, to dlaczego nie było cię w robocie? Nie dałeś żadnego znaku, że...

— Cześć, Heniu — powiedziałem cicho. — Z tej strony Uchmann. Witek Uchmann.

Cisza, która zapadła po drugiej stronie, była bardzo wymowna. Po chwili dołączył do niej przyspieszony, chrapliwy oddech.

— Dzwonię z telefonu Adama...

Żadnej reakcji.

— Halo, Heniu? Jesteś tam? — Wiedziałem, że jest, słyszałem go doskonale, ale chciałem, żeby się odezwał, żeby powiedział cokolwiek.

— O kuuurwa... — jęknął wreszcie. — Witek? To naprawdę ty?! Co się z tobą działo przez ten cały czas? Ty żyjesz? Ja pierdolę, ale numer. W redakcji niektórzy postawili już na tobie krzyżyk. Jak jutro powiem w robocie, że z tobą rozmawiałem, to nikt mi nie uwierzy, jak Boga Kocham!

— Heniu, no właśnie miałbym prośbę, żebyś na razie nikomu o tym nie mówił. Niech to, póki co, zostanie między nami, dobrze?

Mógłbym się założyć o każde pieniądze, że kto jak kto, ale właśnie Heniek nie będzie potrafił utrzymać języka za zębami.

— Nie, no jasne — zapewnił. — Nie ma problemu.

W ogóle mu nie wierzyłem.

— Ty, ale gdzie się podziewałeś? Ta książka, „Czarny Wygon”, zdaje się taki jest jej tytuł... w której jest o tobie, to ty pisałeś?

— Nie, Heniu. To wszystko ściema, po prostu fantastyka w najczystszej postaci. Powiedzmy, że... że w pewien sposób jestem współautorem. Kiedyś ci to wszystko wyjaśnię, ale nie teraz, bo mam prawie rozładowaną baterię w telefonie.

— Tu akurat nie mijałem się z prawdą. — Słuchaj, powiedz mi, po co w sobotę dzwonił do ciebie Adam?

— A nie ma go z tobą? — Był zaskoczony, czemu trudno się było dziwić. — To skąd w takim razie masz jego komórkę?

— Heniek, to cholernie długa historia, a teraz mi zależy na czasie. Powiesz mi, po co dzwonił?

— Pytał o zaćmienie słońca, zdaje się, że w latach pięćdziesiątych...

Zamilkł, a ja czekałem na coś więcej.

— Tylko tyle? — odezwałem się wreszcie, nie kryjąc rozczarowania. — Tylko po to dzwonił?

— Poczekaj, jeszcze chyba pytał o jakiegoś księdza... ale nie pamiętam, jak on miał na nazwisko.

— Może Dobrowolski? — Natychmiast przypomniałem sobie zapis spotkania Rafała w Zamościu z redaktorem Piotrem Dobrowolskim, który wspomniał o stryju, prowadzącym tego typu przybytek.

— Tak, dokładnie! Witek, zdradź chociaż trochę...

— Co dokładnie chciał wiedzieć?

— Chciał, żeby znaleźć adres jakiegoś domu pomocy społecznej, prowadzony przez tego Dobrowolskiego. Chyba koło Zamościa. Tak, na pewno.

— Podasz mi ten adres? — Poprosiłem o to odruchowo, ponieważ nie zakładałem, że informacja przyda mi się w najbliższym czasie.

— Poczekaj, mam akurat włączony komputer, poszukam w historii wyszukiwania.

W międzyczasie sięgnąłem po brulion i otworzyłem go na samym końcu.

— Okej, mam — usłyszałem. — Masz coś do pisania?

— Tak.

Zapisałem mało skomplikowany adres, który składał się tylko z nazwy miejscowości i numeru budynku.

— Witek, ale wisisz mi flaszkę. Adam też mi jedną obiecał, więc będzie przy czym usiąść i pogadać. Mam nadzieję, że wtedy wreszcie wszystko mi opowiecie,

dranie.

— Jasne, Heniu. Masz jak w banku.

Przeszło mi przez myśl, że bank gwarantujący spotkanie przy wódce w takim składzie wcale nie byłby zbyt wiarygodny. I to niekoniecznie dlatego, że właśnie niedawno zostałem abstynentem.

— To co, kiedy się spotkamy?

— Odezwę się, jak będę w Warszawie. Raz jeszcze bardzo ci dziękuję, Heniu. Trzymaj się!

— Ty też! Pozdrowić od ciebie ekipę w robocie?

Cały Kawęcki.

— A jak to zrobisz, nie zdradzając, że ze mną rozmawiałeś? — zapytałem.

— O masz, no, faktycznie — roześmiał się nerwowo. — Muszę sobie wbić do głowy, że to tajemnica.

— Nie zaszkodziłoby, ale gdyby jednak na nic to się zdało, to żebyś przynajmniej przypadkiem nie pozdrowił w moim imieniu Sadonia.

Znów przez chwilę śmiał się do słuchawki, a potem powiedział:

— Jakby usłyszał, że nic ci się nie stało, to chyba by się nie ucieszył, więc może jednak warto?

— Postaraj się jednak powstrzymać, dobra? Jak kiedyś wpadnę znienacka do redakcji, to dopiero będą mieli miny. Szkoda byłoby zepsuć taki efekt.

— Uznałem, że jest to jedyny argument, który może do niego przemówić.

— Tylko daj mi wcześniej znać, żeby mnie to nie ominęło.

— Dobra, cześć, Heniu. — Rozłączyłem się, nie czekając na jego odpowiedź.

Nie było to grzeczne, ale już mnie trochę znużyła ta nasza pogawędka, a zwłaszcza jej przydługa końcówka o niczym.

Chociaż, z drugiej strony, Henio, który kojarzył mi się z przedstarzyźnianym życiem, wprowadził mnie w lepszy nastrój.

Niestety, tylko na chwilę.

Znów pomyślałem o Adamie, a potem, po odłożeniu brulionu na stolik i wyłączeniu lampki, jeszcze o Jaśku i reszcie. Postanowiłem, że kiedyś, może za kilka miesięcy, wybiorę się, żeby zobaczyć, co u nich słychać.

Tuż przed tym, jak zapadłem w półsen, przyszło mi do głowy, że moje nagłe pojawienie się chyba zrobiłoby na nich jeszcze większe wrażenie niż na znajomych z pracy.

### 3.

Wspomnienie minionego dnia spowodowało uspokojenie i przekonanie, że robię wszystko tak, jak należy, że nie przeoczyłem niczego, co mogłoby wpłynąć na

moją decyzję. Byłem też pewien, co do słuszności własnego postępowania wobec Janki.

Kiedy siedziałem w ciemnościach, przestałem nawet wierzyć, że w restauracji naprawdę widziałem zmarszczki, układające się w dwa wyrazy na jej policzku. Ciągłe się bałem tego, co mogę przeczytać w brulionie, niemniej jednak nawet pozostawienie Adama samemu sobie wydawało się nie aż tak okrutne. Docierało do mnie w jasny sposób — musiałbym wybrać pomiędzy życiem jego a małego chłopca i nie podejrzewałem, że mój przyjaciel postąpiłby w analogicznej sytuacji inaczej.

Potem znów zapaliłem lampkę i sięgnąłem po zeszyt.

\*

Pomimo że nowo wpisany tekst nie był zbyt długi, nie potrafiłem go przeczytać jednorazowo od początku do końca.

Właściwie każde kolejne zdanie było jak bolesny cios, jak precyzyjnie i z nadludzką siłą zadawane uderzenie w sam splot słoneczny, które powoduje problemy z oddychaniem. Do tej chwili, przez dokładnie pięćdziesiąt pięć lat, nie przeżyłem czegoś podobnego, nie przeczytałem tekstu, który raniłby mnie w taki właśnie sposób, docierając do najgłębszych pokładów świadomości. Właśnie tam, w hotelu Renesans w Łęcznej, niemal fizycznie odczuwałem każde słowo, które paliło mnie żywym ogniem, przyprawiało o trudne do zniesienia katusze.

Najgorsze było bezgraniczne przekonanie Adama, że ja nie mógłbym zrobić czegoś, co w rzeczywistości zrobiłem, a później jeszcze ten list od Czarnego... Trudno mi było sobie wyobrazić, co mój przyjaciel musiał przeżywać po jego przeczytaniu, co o mnie myślał i jak bardzo, jak nieskończenie bardzo, musiał się wtedy czuć samotny.

Wtedy pomyślałem, że powinienem jednak wrócić.

Wrócić, spróbować odszukać Bobowicza, paść przed nim na kolana i z całych sił błagać o łaskę dla Adama, dla Janki, nieznanego małego Mateusza i dla siebie... Nikt nie jest przecież aż tak okrutny, aby nie dać się przekonać; zawsze można przecież zmienić zdanie, okazać miłosierdzie. To się zdarza nawet najgorszym.

Jeśli Czarny w istocie miał coś wspólnego z zamordowaniem Pauliny Podolak, to trudno się spodziewać, że zmiana decyzji przyszłaby mu łatwo, niemniej jednak powinienem choćby spróbować. Wiązałoby się to z zagrożeniem — nie tylko mój los stanąłby wtedy pod znakiem zapytania. Jednak takie ryzyko jest przecież warte podjęcia w sytuacji, kiedy na drugim biegunie miałoby pozostać dławiące do ostatnich dni poczucie niewykorzystanej szansy, przekonanie, że nie zrobiło się wszystkiego, co tylko było możliwe.

Musiałem zebrać myśli, musiałem podjąć decyzję, wierzyłem, że jeszcze nie jest za późno. Przecież Bobowicz dał mi dwadzieścia cztery godziny.

Lepiej mi się myślało przy zgaszonym świetle. Zanim po raz kolejny

wyłączyłem lampkę, spojrzałem na zegarek.

Za dwadzieścia czwarta.

— Jest jeszcze czas — szepnąłem.

Mijały kolejne minuty, a ja coraz bardziej przekonywałem się do powrotu. Wiedziałem, że wytłumaczenie wszystkiego Jance będzie trudne, ale byłem pewien, że zrozumie.

„Cóż z tego, że wyjdę na idiotę? Są ważniejsze rzeczy...”.

Wtedy właśnie usłyszałem ciche kroki na korytarzu.

Ich odgłos stawał się coraz wyraźniejszy. Ktoś zbliżał się od strony schodów.

Po kilkunastu sekundach ustały na wysokości drzwi mojego pokoju, a potem odezwały się znów. Niedługo potem rozbrzmiało pukanie do pokoju obok.

W hotelu, prócz recepcjonistki i nas, nie powinno było być przecież nikogo. Zacząłem gorączkowo się ubierać, ale przerwałem, gdy dobiegło do mnie ciche skrzypnięcie. Najwyraźniej Janka nie spała.

Byłem przerażony. To wszystko nie zapowiadało niczego dobrego.

Krótką rozmowa przeprowadzona półgłosem i znów skrzypnięcie drzwi, znowu kroki.

Ktoś zapukał też do moich drzwi, ale nie czekał, aż otworzę, ponieważ stukot obcasów na posadzce świadczył o tym, że osoba powoli się oddala.

Zaraz potem w samych tylko spodniach znalazłem się na korytarzu.

Rozpoznałem ją natychmiast i odetchnąłem. Weronika zdążyła odejść może na dziesięć metrów, ale najwyraźniej mnie usłyszała, ponieważ zatrzymała się w pół kroku.

Miałem zamiar się do niej odezwać, zapytać, co się stało, ale nie zdążyłem.

Odwróciła głowę i wtedy je zobaczyłem.

Ślepe, fosforyzujące w półmroku korytarza oczy bez źrenic.

Rozciągnęła usta w szyderczym uśmiechu, pokazując zęby. Nie przypominała już tej ślicznej dziewczyny, z którą rozmawiałem kilka godzin wcześniej.

Jej twarz była podobna do twarzy Czarnego. Poszarzała, zastygła w bezlitosnym grymasie, okrutna.

Nie potrafiłem się ruszyć, krzyk zastygł mi w gardle.

Po kilku sekundach dziewczyna przestała na mnie patrzeć i znów podążyła w kierunku schodów. Zostałem na korytarzu sam.

Towarzyszył mi jedynie cichnący w oddali stukot szpilek.

— Janka — wykrztusiłem i rzuciłem się do drzwi pokoju numer 106.

\*

Otworzyła mi niemal natychmiast.

— Boże, jak ty wyglądasz! — powiedziała. — Jakbyś trupa zobaczył...

— Co ci zrobiła? — zapytałem, wchodząc do środka. — Nic ci nie jest?

— Nie, wszystko w porządku. Dlaczego miałyby mi coś zrobić?

— Widziałaś przecież, jak wyglądała. Ona jest jedną z Nich! Janka, na litość

boską, przecież te jej oczy...

Zamknęła za mną drzwi.

— Witek, musiało ci się coś przyśnić. Rozmawiałam z nią tak, jak teraz z tobą. Nie zauważyłam, żeby cokolwiek było nie tak, wyglądała dokładnie jak wczoraj.

— Przyglądała mi się z niepokojem. — Dobrze się czujesz?

— Nie, nie czuję się dobrze! — wrzasnąłem. — Czego chciała?

Dopiero w tej chwili zauważyłem, że Janka trzyma w ręku kawałek papieru. Podała mi go.

— Prosiła, żeby ci to oddać — odparła. — Możesz się przynajmniej trochę uspokoić?

— Przecież jestem spokojny — warknąłem, biorąc od niej kartkę.

Była to kartka formatu A4, złożona na pół. Zanim ją rozłożyłem, zobaczyłem, że na jej zewnętrznej stronie czerwonym długopisem napisano moje imię i nazwisko.

Przypomniałem sobie, że Weronika takim właśnie kolorem zapisała moje dane w książce meldunkowej hotelu. Jednak jeśli miała taki charakter pisma, jakim napisano „*Witold Uchmann*”, to był to cholernie dziwny zbieg okoliczności.

A ja ostatnio jakoś przestałem wierzyć w cholernie dziwne zbiegi okoliczności.

Cały się trząsałem — nie tylko z emocji, ale też z zimna, dlatego miałem problem z odczytaniem zapisanej wewnątrz treści. Położyłem więc kartkę na stoliku i pochyliłem się nad nią.

*Drogi Witku,*

*jeśli mam być szczery, to nie spodziewałem się tego po Tobie.*

*Liczyłem, że nie zostawisz przyjaciela w potrzebie, jednak wybrałeś inaczej. Przeczytałeś już to, co mu przekazałem. Nawet nie wiesz, jak bardzo go zraniłeś.*

*Na razie cierpi tylko psychicznie, lecz sam zdecydowałeś, że wkrótce spotka go także inny ból. Oczywiście, nim umrze, dowie się, komu go zawdzięcza... Ach, zapomniałbym dodać, że nie będzie umierał tylko jeden raz — w końcu nie znalazł się w Starzyźnie z własnej woli, a chyba nie muszę Ci tłumaczyć, co to oznacza?*

*Jak sam widzisz, nie jesteś w stanie przede mną uciec i pragnę, żebyś wiedział, że jeszcze z Tobą nie skończyłem. Na razie mam w okolicy Guciowa do załatwienia kilka spraw, ale przyjdzie czas także i na Ciebie. Nie zapomnę też o Twojej uroczej towarzysze, ale na razie cieszcie się chwilą. Zapewne świadomość, że wkrótce dobiegnie ona końca, nie będzie dla Was zbyt komfortowa, niemniej jednak... carpe diem, Witku.*

*Carpe diem...*

*„Jeszcze jeden dzień w raju...” — zdaje się, że tak to sobie wymyśliłeś? I rzeczywiście, coś w tym jest. Który będzie ostatnim? Tego dowiedzie się we właściwym czasie.*

*Martwisz się zapewne, czy dostane, to, o co Cię prosiłem. Och, zupełnie niepotrzebnie. Jak już Ci wspominałem, skoro nie Ty, to tę drobną uprzejmość wyświadczy mi ktoś inny.*

Szkoda, to wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej, nieprawdaż? Ale to już teraz nie jest moje zmartwienie. Ty natomiast masz na sumieniu następne (i zapewniam Cię, że nie ostatnie) niewinne istnienie ludzkie.

W zasadzie powinienem napisać „istnienia”. Ta młoda, urocza dziewczyna planowała właśnie ślub. Miał się odbyć w sobotę, drugiego czerwca, czyli całkiem niedługo. A chyba rozumiesz, co to oznacza, jeśli młodzi ludzie chcą możliwie najbardziej przyspieszyć ślub? Jej narzeczony, który niedawno rozpoczął remont mieszkania i właśnie wczoraj okazji kupił kołyskę, będzie doprawdy niepokieszony...

Z pewnością kiedyś chętnie Ci podziękuje.

Ciekaw jestem, czy przyjdą Ci do głowy jeszcze jakieś głupstwa. Ze swej strony mogę solennie zapewnić, że będę Cię obserwował z niesłabnącym, życzliwym zainteresowaniem.

Przesyłam ukłony,

Cz.

PS

Jeśli zastanawiasz się, dlaczego postanowiłem przekazać tę krótką wiadomość nie Tobie, a Pani Janinie, to wiedz, że zrobiłem tak dlatego, byś nie mógł jej dłużej oszukiwać. Gdybym postąpił inaczej, z pewnością zachowałbyś treść tego listu tylko dla siebie, nieprawdaż?

— Co tam jest napisane? — usłyszałem, kiedy składałem kartkę. — Od kogo jest ta wiadomość?

„Miałeś rację, sukinsynu” — pomyślałem i bez słowa podałem list Jance.

— Tylko, proszę, nie osądzaj mnie zbyt pochopnie — poprosiłem, wstając. — Zaraz wracam. Pójdę tylko coś na siebie założyć i przyniosę twój brulion.

— Znów się dziś pojawiło coś nowego?

Skinąłem głową i wyszedłem na korytarz.

Dopiero wtedy rozplakałem się jak dziecko.

\*

Zanim podjąłem decyzję o powrocie do sąsiedniego pokoju, minęło trochę czasu.

Chciałem się opanować, a przychodziło mi to z ogromnym trudem. Emocje były zbyt silne, a w dodatku czułem się całkowicie bezradny.

Obawiałem się też reakcji Janki.

Siedziałem więc naprzeciw otwartych drzwi, patrząc na korytarz.

Mimo wszystko, bałem się, że ona wróci.

W pewnym momencie gwałtownie poderwałem się z miejsca, bo przyszło mi na myśl, że może nie jest za późno, że — kto wie? — może jeszcze uda się uratować tę dziewczynę... Jednak po chwili znów opadłem na krzesło. Było jasne, że Czarny nie zostawiał niczego przypadkowi. Gdyby była jeszcze dla niej szansa, to nie zobaczyłbym Weroniki w takim stanie, a ona nie napisałaby wcześniej tego,

czego od niej zażądał.

Nie było jednak sensu trwać w tym beznadziejnym odrętwieniu, więc ruszyłem do drzwi. Zaraz potem usłyszałem kroki na korytarzu.

Tym razem była to Janka, która stanęła przede mną.

— Powiesz mi teraz prawdę? — zapytała.

— Tak, tylko najpierw może przeczytaj to... — Wyciągnąłem w jej stronę brulion.

Wzięła go do ręki, ale równocześnie pokręciła głową.

— Nie, najpierw powiedz.

— Chodzi o syna twojej znajomej, Mateusza. Bobowicz zażądał, bym w zamian za ocalenie Adama uprowadził chłopca...

Patrzyła na mnie uważnie.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej?

— Wstydzilem się, że w ogóle to rozważałem. Nie chciałem, żebyś wiedziała, jak jestem słaby.

— Każdy przecież ma jakieś myśli, z których nie jest dumny. To nic nadzwyczajnego i doskonale cię rozumiem. Ale w takim razie chyba teraz musimy się stąd szybko zbierać, prawda?

Nie miałem pojęcia, co ma na myśli i najprawdopodobniej było to doskonale widać, bo chwilę później uściśliła:

— Musimy jak najszybciej dotrzeć do Bliżowa — mówiła to tak, jakby dziwiła się, że sam na to przed chwilą nie wpadłem. — On naprawdę nie odpuści, więc Mateusz jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— W momencie, w którym to wypowiedziałaś, ba! — w chwili, w której o tym pomyślałaś, Czarny już się wszystkiego dowiedział.

— Gdyby dla niego to było takie proste, to nie musiałby prosić o przysługę ciebie ani kogokolwiek innego. Z jakichś przyczyn on nie ma dostępu do Mateusza i prawdopodobnie też do Teresy, to przecież oczywiste.

W tej właśnie chwili oczywistym dla mnie stał się też fakt, że nasze spotkanie nie było jednak przypadkowe.

\*

Zebraliśmy się w mgnieniu oka.

Na zewnątrz zaczynało dzień. Szare światło poranka wciskało się leniwie do hotelowych pokoi i na korytarz, jednak nie było ono jeszcze na tyle mocne, by choć w małym stopniu zmniejszyć uczucie obawy, towarzyszącej nam, gdy schodziliśmy po schodach.

Weronika siedziała na swoim krześle. Jej przechylona głowa opierała się na zagłówku, ręce zwisały swobodnie po bokach. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się gdzieś daleko przed siebie, a z ust sączyła się cienka strużka śliny.

Czekałem, aż się poruszy, aż spojrzy na nas i wykrzywi twarz w znanym mi już grymasie, jednak nic takiego nie nastąpiło.



Na biurku przed dziewczyną leżały dwa plastikowe opakowania po lekach i opróżniona w dwóch trzecich półlitrowa butelka mocnego alkoholu. Zobaczyłem coś jeszcze i podszedłem bliżej.

Kartka papieru krzyczała czerwonymi literami, niedbale, jakby w pośpiechu skreślonymi kobiecą ręką:

*Przepraszam.*

*Nie potrafiłam sobie z tym wszystkim poradzić. To przyszło zbyt nagle.*

*Nie tak to wszystko miało wyglądać.*

*Mamo, Tato, kocham Was.*

*Maciek, nie byłbyś ze mną szczęśliwy. Wybacz mi.*

W.

Długopis leżał na książce meldunkowej, w której wpisane były moje dane.

Sięgnąłem po słuchawkę telefonu i wystukałem trzy dziewiątki. Gdy zgłosiła się dyspozytorka pogotowia, wezwałem pomoc, a następnie wyrwałem kartkę z książki. Wpis z moim nazwiskiem i adresem był pierwszym na prawej stronie, więc nie podejrzewałem, by ktokolwiek zorientował się, że czegoś brakuje.

Oczywiście, istniało prawdopodobieństwo, że dane zostały wprowadzone do komputera, ale na to już nic nie mogłem poradzić. Nie znałem systemu, a komputer, na którego monitorze mienił się wielobarwny wygaszacz, najpewniej zabezpieczony był hasłem.

Przez cały ten czas Janka stała nieruchomo, przypatrując się twarzy dziewczyny.

— Boże, a może jeśli od razu byśmy wezwali pomoc, to by ją jeszcze odratowali? — Spojrzała na mnie oczyma pełnymi łez.

— Nie sądzę, Janka, ale i tak się teraz tego już nie dowiemy. Musimy natomiast spróbować pomóc innym, prawda?

Skinęła głową.

Wyszliśmy na zewnątrz.

Niebo było bezchmurne, a jedynym śladem po wieczornym deszczu były efektowne zacieki na tablicach rejestracyjnych forda Adamowiczów.

Akurat wsiadaliśmy do samochodu, gdy z oddali dał się słyszeć sygnał karetki.

— Zdążyliśmy w samą porę — powiedziałem i odpaliłem silnik.

\*

Jeszcze nie wyjechaliśmy z Łącznej, gdy znów się odezwałem:

— Może powinniśmy zadzwonić? Zanim dojedziemy, wiele złego się może wydarzyć.

Odpowiedziała, nie odwracając do mnie głowy:

— Już o tym myślałam, ale Teresa nie ma telefonu. Od śmierci jej męża nie przelewa im się, więc zdecydowała się na odłączenie numeru.

— Komórki też pewnie nie ma?

— Nie ma.

— A sąsiedzi?

— Nie znam do nich numerów. Moglibyśmy spróbować zadzwonić do kogoś, żeby sprawdził w książce telefonicznej... Ale... poczta w Łęcznej teraz jeszcze będzie chyba zamknięta?

— Raczej tak. Ale mam komórkę Adama. Jest w torbie na tylnym siedzeniu, w bocznej kieszeni. Mogłabyś spróbować w międzyczasie zadzwonić... Może do szwagierki?

Sięgnęła za siebie i wydobyła telefon, a później spojrzała na wyświetlacz.

— Wyładowany — oznajmiła z rezygnacją.

Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko porządnie dodać gazu.

\*

To była bardzo dziwna podróż.

Praktycznie przez cały czas mieliśmy przed sobą pustą drogę. Jak tylko dojeżdżaliśmy do wolniej jadącego pojazdu, to albo zatrzymywał się on na poboczu, albo akurat skręcał w boczną drogę, nie stanowiąc dla nas przeszkody, więc ani przez chwilę nie musiałem choćby odrobinę zwolnić. Kilka aut musieliśmy wyprzedzić, ale dojeżdżaliśmy do nich zawsze na długiej prostej, kiedy z naprzeciwka nic się nie zbliżało.

Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Krasnymstawem a Izbicą, w miejscowości Wólka Orłowska, zaraz za miejscem, w którym krzyżują się rzeka, droga i tory kolejowe (Janka nieco już ochłonęła i próbując zmienić panujący w fordzie minorowy nastrój, zwróciła moją uwagę na tę ciekawostkę), natrafiliśmy na patrol drogówki. Stali za zakrętem, po prawej stronie, na skraju asfaltowej drogi, odbijającej w prawą stronę. Zobaczyłem policjanta w białej czapce, który mierzy we mnie radarem, a potem, jednocześnie gwałtownie hamując, spojrzałem na prędkościomierz. Jeszcze wtedy mieliśmy ponad sto na liczniku.

Kiedy przypominałem sobie o zamalowanych nieudolnie tablicach, byłem pewien, że w tym właśnie miejscu nasza podróż się kończy.

Stało się jednak coś zupełnie niezwykłego — policjant popatrzył na radar, z niedowierzaniem pokręcił głową, a potem gwałtownie wstrząsnął urządzeniem kilka razy. Kiedy przemknęliśmy obok, widziałam niezdecydowanie w oczach funkcjonariusza. Potem, już w lusterku, spostrzegłem jadący za mną sportowy samochód, który poruszał się jeszcze szybciej, a potem policjant wszedł na jezdnię i dał mu tarczą znak, żeby się zatrzymał.

Gdy przejeżdżaliśmy przez Zamość, zbliżała się właśnie siódma, a więc można było się spodziewać wzmożonego ruchu, jednak pomimo że przejechaliśmy przez całe miasto, ani razu nie paliło się przed nami czerwone światło, nie zdarzyło się nam też choćby na chwilę utknąć w korku.

Tak, to była bardzo dziwna podróż.

Wszystkie powyższe fakty były jednak niezbyt spektakularne w porównaniu z widokiem, który zobaczyliśmy z miejsca, w którym zatrzymaliśmy się

poprzedniego dnia.

Rozległa przestrzeń zalana była purpurowym światłem wschodzącego, nienaturalnie wielkiego słońca. Na niebie znów nie było chmur.

Z jednym wyjątkiem.

Odnieśliśmy wrażenie, że burzowa zawiesina, gwałtownie rozlewająca się nad Roztoczem, jest jeszcze gęściejsza i bardziej ponura niż wczoraj. Nie byłem tego pewien, ale zdaje się, że pośród chmur błysnęło kilka błyskawic. Purpurowe światło odbijało się w pękatach, ruchomych, wyglądających na ożywione brzuchach ołowianych obłoków.

Janka nie odezwała się ani słowem.

Ja również, jednak przez myśl przeszło mi zdanie, które zapamiętałem jeszcze z dawnych czasów.

„Wschodzi czerwone słońce, tej nocy przelano krew”.

— To przecież idiotyczne — szepnąłem do siebie i nerwowo, zupełnie bez przekonania się roześmiałem.

#### 4.

Skręcaliśmy właśnie w Adamowie w stronę Bliżowa, gdy zastanowiła mnie jedna rzecz.

Z listu Czarnego, otrzymanego w hotelu Renesans z rąk martwej już wtedy Weroniki, wynikało, że nasza obecność na Roztoczu nie jest już Bobowiczowi do niczego potrzebna. Postanowił poradzić sobie sam, bez naszej (a właściwie — głównie mojej) pomocy. Skąd więc dziś taka łatwość podróży, jakże bardzo kontrastująca z wydarzeniami, mającymi miejsce poprzedniego dnia, kiedy opuszczaliśmy te okolice? Wcześniej intuicyjnie wiązałem je z zabiegami jakiejś złej siły, która za wszelką cenę postanowiła zatrzymać tam Jankę i mnie. A może wcale tak nie było? Może Czarny nie miał aż takiej mocy, by pokrzyżować nasze plany, a były to właśnie znaki, sugerujące, że nie powinniśmy odjeżdżać? Podobnie sytuacja mogła przedstawiać się ze zmarszczkami, które pod wpływem odpowiednio padającego słonecznego światła układały się w krótki, dwuwyrazowy nakaz na policzku Janki.

Przypomniałem sobie Starzyznę.

Tam przecież zjawiska atmosferyczne miały związek z klątwą zatajenia, były częścią kary za to, co stało się w Wielki Piątek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

Podzieliłem się z Janką swoimi spostrzeżeniami.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się, a potem stwierdziła krótko:

— Obyś miał rację, Witku.

Ja też zamilkłem. Bardziej niż na kwestiach związanych z ostatnimi zdarzeniami, musiałem skupić się na prowadzeniu samochodu. O słonecznej pogodzie, która towarzyszyła nam jeszcze przez jakiś czas po wyjeździe z Zamościa, zdążyłem już na dobre zapomnieć.

Przewalające się teraz nad nami chmury były gęste i ciemne. W wiszącej wciąż nad Roztoczem szarówce trudno było wypatrzyć wąską nitkę drogi, a całą sytuację pogarszał intensywny deszcz, z którym wycieraczki forda ledwie sobie radziły.

Jak po raz kolejny wywoływani przez nieznaną siłę na scenę aktorzy, postanowiliśmy odegrać swoje role. Role, których nie mieliśmy okazji wcześniej się nauczyć.

\*

Jak tylko zatrzymałem samochód przy drewnianym parkanie, za którym znajdował się dom Teresy, Janka natychmiast wyskoczyła na zewnątrz i biegiem zniknęła za furtką.

Niedługo potem zastałem ją przed drzwiami wejściowymi, łomocącą w nie z całych sił.

— Tereska! To ja, Janka Adamowicz! — krzyczała, a w jej głosie wyraźnie słyszałem nuty niekontrolowanej paniki. — Otwórz, jeśli jesteś w środku, proszę cię!

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo musiała przeżywać to wszystko od momentu, gdy dowiedziała się o Mateuszu. Podziwiałem ją za opanowanie w hotelu i przez całą podróż. Najwyraźniej swoim zachowaniem starała się zarówno sobie, jak i mnie dodać otuchy, a jednocześnie niepotrzebnie mnie nie denerwować.

Dopiero teraz wszystkie skrywane gdzieś głęboko emocje mogły znaleźć ujście. Jednak z każdą kolejną sekundą, podczas której drzwi pozostawały zamknięte, a z wnętrza domu nie dobiegały żadne odgłosy, Janka coraz bardziej traciła panowanie nad sobą.

Stałem obok niej.

— Może gdzieś wyszła? — odezwałem się niepewnie, lecz mój głos zagubił się w hałasie równomiernego, niosącego się w promieniu kilkudziesięciu metrów dudnienia, które z kolei tłumione było przez odgłosy ulewy i szum poruszanych porywistym wiatrem drzew.

— Teresa! Proszę cię...

Drzwi lekko się uchyliły.

Nie widziałem osoby, która je otworzyła, natomiast stojąca bliżej Janka uśmiechnęła się z ulgą i weszła do środka.

— Chwała Bogu. Mateusz w domu? — zapytała.

— Tak, w domu — odpowiedział jej cichy kobiecy głos.

— Wszystko w porządku? Nic mu nie jest?

Drzwi zamknęły się, szczęknął przekręcany zamek. Nie minęła jednak minuta, kiedy Janka znów wyszła na dwór. Jej twarz jaśniała uśmiechem i trudną do opisaną ulgą.

— Wszystko dobrze. Mały jest w domu. Chodź...

Posłusznie zagłębiłem się w nieoświetlonej, ciepłej sieni drewnianego domu.

\*

Kiedy wszedłem do kuchni, matka Mateusza podkładała właśnie drwa do kaflowego pieca z płytą do gotowania. Była do nas odwrócona plecami.

— Zaraz ci zrobię gorącej herbaty — powiedziała. — Czy może masz ochotę na kawę? A nie, zapomniałam, że przy twoim schorzeniu kawa nie jest wskazana.

— Zamknęła metalowe drzwiczki. — No to mów, co cię do nas sprowadza o tak wczesnej porze.

Odwróciła się.

— O, widzę, że nie jesteś sa... — Gwałtownie przerwała, a jej oczy rozszerzyły się w panicznym strachu.

— Nie bój się, Tereska. To jest pan Witold Uchmann. Witku, to jest właśnie Tereska Bielak, o której ci mówiłam.

Kobieta wpatrywała się we mnie tak, jakby zobaczyła samego diabła we własnej osobie i wcale nie byłam przekonany, że aż tak bardzo złąkła się mojego podbitego oka.

— No, daj spokój, co ci jest? — Janka również zdążyła się już lekko zaniepokoić.

— Nie, nic... — odparła tamta. Zdałem sobie sprawę, że jej rysy wydają mi się dziwnie znajome. — Wszystko w porządku. — Odetchnęła parę razy głęboko. — Dla pana też herbata?

Poprosiłem o kawę i usiadłem przy stole, ponieważ nic nie wskazywało na to, że Teresa ma zamiar podać mi rękę na powitanie.

Janka zajęła miejsce obok mnie i zapytała:

— Mateusz dzisiaj nie idzie do szkoły? Jest może chory?

Szklanka z brzękiem rozbiła się na podłodze, a Teresa odwróciła się w mgnieniu oka.

— Chory? Dlaczego chory? Skąd ci to przyszło do głowy? — W jej głosie niespodziewanie zabrzmiała złość. — Nic... mu... nie jest... — syknęła. — Jest całkiem zdrowy. Już wyleczył grypę i... jest zdrowy...

— Spokojnie, Tereska, nie denerwuj się. — Janka była zaskoczona jej reakcją, ale starała się nie dać po sobie tego poznać. — On chyba bardzo rzadko choruje, prawda?

— Rzadko choruje — powtórzyła tamta jak echo. — BARDZO rzadko — podkreśliła.

— No właśnie dlatego się zdziwiłam, że nie jest w szkole. Ale to dobrze, że nie poszedł. Musimy z tobą właśnie na ten temat porozmawiać. W najbliższym czasie

będziesz musiała na niego bardzo uważać.

— Nigdy na niego nie uważałam tak bardzo, jak teraz — stwierdziła Teresa z determinacją, a jej twarz nagle zmieniła się nie do poznania. Rysy stały się ostre i drapieżne. — Nigdy...

Wtedy sobie przypomniałem.

To właśnie Teresa Bielak przyśniła mi się w niedzielę tuż przed przebudzeniem na wzgórzu pomiędzy Słoneczną Doliną a Guciwem i to właśnie ją — nie wiadomo dlaczego — w myślach określiłem mianem „siostry, której nigdy nie miałem”.

Bardzo byłem ciekaw dlaczego i postanowiłem, że w najbliższym czasie spróbuję się od niej czegoś na ten temat dowiedzieć.

\*

Po kilkunastu minutach spędzonych przy wspólnym stole, zrozumiałem, że nie będzie to łatwe.

Teresa traktowała mnie z chłodną rezerwą, którą niemal wyczuwało się w powietrzu. Co jakiś czas rzucała w moją stronę badawcze spojrzenie i za każdym razem jej twarz natychmiast tężała.

W pewnym momencie z głębi domu dobiegł głos, który — jak się zaraz okazało słusznie — wziąłem za wołanie Mateusza.

Zostaliśmy z Janką sami, więc wykorzystałem moment i powiedziałem do niej:

— Musisz z nią porozmawiać sam na sam. Przy mnie się nie otworzy, widzisz, w jaki sposób mnie traktuje.

— Nie wiem, co się z nią dzieje. Faktycznie, jest jakaś dziwna. I chyba masz rację — lepiej będzie, jeśli zostaniemy same.

— Niech nie spuszcza małego z oka. Nawet na chwilę. Sądzę, że w domu nic nikomu nie grozi, ale na wszelki wypadek dobrze, gdyby pod ręką było coś... No wiesz...

Janka skinęła głową.

— Chyba wiem, co masz na myśli. Chronimy się przed złym, a w takich wypadkach dobrze się sprawdzają jakieś poświęcone rzeczy, prawda? Jak chociażby ten różaniec Pauliny w Starzyźnie?

— Dokładnie. Jak z nią będziesz rozmawiać, postaraj się jej nie wystraszyć. Może się zaniepokoić, że przychodzisz nagle i prawie sugerujesz jakieś egzorcyzmy.

Zamyśliła się na moment.

— Witku, a może ona miała już z nim do czynienia? Może właśnie dlatego w ten sposób się zachowuje? Niewykluczone, że straszył ją kimś obcym, kimś, kto zabierze jej syna. — Janka mnożyła kolejne pytania, bardzo podobne do tych, które sam sobie zadawałem.

— Nikt lepiej od ciebie tego nie wybada. Ja w każdym razie będę tu teraz tylko przeszkadzał, dlatego zaraz znikam.

— Ale nie będziesz odchodził gdzieś daleko? — zaniepokoiła się.

— Wrócę za kilka godzin. Kolega, z którym rozmawiałem wczoraj przez telefon, podał mi adres domu, w którym być może znajdę Jaśka i resztę uciekinierów ze Starzyzny. Bardzo chcę się dowiedzieć, co się teraz z nimi dzieje. Mogę pożyczyć wasz samochód?

— Oczywiście. Ale obiecasz mi, że będziesz na siebie uważał?

— Obiecuję. Nic się nie martw. Wrócę po południu... — Popatrzyłem na nią. — Janka...?

— Tak?

— Może pojedę też do ciebie, żeby zobaczyć, co z Bogdanem? Może się pojawił?

Pokręciła głową.

— Podejdę do kogoś z sąsiadów i zadzwonię do Krystyny. Powiem, gdzie jestem i poproszę, żeby dała mi znać, gdyby dowiedziała się, że jest w okolicy. A ty lepiej, żebyś tam teraz nie jeździł. To może być bardzo niebezpieczne, a myślę, że będziemy cię jeszcze potrzebować.

— Zgoda. — Dopiliśmy ostatni łyk kawy i wstałem od stołu. — Teraz już chyba pora na mnie.

Od drzwi dobiegło głośne „dzień dobry”. Odwróciłem się i natychmiast zamarłem.

Mateusz był mniej więcej w wieku Krzysia. Mało tego — w jego rysach czaiło się coś, co ich do siebie niezwykle wręcz upodabniało. Coś w oczach, może w lekkim, nieco drwiącym i łobuzerskim, ale rozbajającym uśmiechu. Chłopiec, który stanął przed chwilą w drzwiach, był nawet podobnie zbudowany — kruchy, bardzo blady, sprawiał wrażenie, jakby niedawno przeszedł ciężką chorobę.

Na tym, jak wyglądają chore dzieci, znałem się bardzo dobrze.

Jednak on nie był chory. Błysk w jego wesołych oczach nie miał nic wspólnego z gorączką, to była radość z tego, że upiekło mu się i może spędzić dzień w domu, z mamą, zamiast iść do szkoły. Jak ja to dobrze znałem... Myślałem, że z upływem czasu zapomnę, ale nic z tych rzeczy.

— Dzień dobry, kochanie. — Usłyszałem głos Janki. — Dobrze spałeś?

— Tak, ciociu.

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem, ale ja nie potrafiłem wydobyć z zaciśniętego gardła nawet jednego słowa.

Wyszedłem na dwór.

— Witku, poczekaj chwilę... — Usłyszałem za plecami głos Janki. — Stało się coś?

— Boże, jaki on jest podobny do... Jak ja w ogóle mogłem pomyśleć, że mogę go zabrać tej kobiecie?!

— Tak się przecież nie stało. Zresztą, pewnie nawet gdybyś się zgodził, to ostatecznie i tak w ostatniej chwili byś się wycofał.

— Dziękuję, że tak myślisz — powiedziałem cicho. — Ale teraz muszę już jechać, bo nie wytrzymam tu dłużej. To za bardzo boli...

— Podejdę z tobą do auta. Chcę cię jeszcze zapytać o jedną rzecz.

\*

Janka zastanawiała się, czy istnieje możliwość, że to nie Adam, a ktoś inny (nie wypowiedziała imienia, ale oboje dobrze wiedzieliśmy, o kim mowa) przekazuje mi nocą to, co nieświadomie zapisuję w brulionie.

— Zauważ, że gdyby tak było, miałyby wręcz nieograniczone możliwości manipulowania twoim postępowaniem — mówiła, gdy staliśmy w strugach deszczu obok samochodu. — Jeśli potrafi coś podobnego zrobić ze zmarłym, to być może sterowanie żywą osobą przychodziłoby mu jeszcze łatwiej.

Początkowo ta niezwykła myśl wywołała w mojej głowie istny mętlik, ale zaraz potem przypomniałem sobie list Czarnego skierowany do Adama. I wcale nie chodziło o to, że napisany był innym charakterem pisma.

— Nie wiem, Janka, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Druga notka to w zdecydowanej większości żarliwa modlitwa. Adam wielokrotnie zwraca się w niej do Boga w sposób, w jaki mógłby wypowiedzieć się tylko ktoś bardzo wierzący, oddający cześć w sposób bezgraniczny. Pamiętasz te wszystkie sformułowania, których ja na przykład nigdy bym nie potrafił użyć?

Skinęła głową, a ja kontynuowałem:

— Czarny wydaje się wcielonym złem, a z tego, co mi wiadomo, złe duchy, czy jak ich tam nie nazywać, nie oddają czci Bogu, nie używają też jego imienia. Chyba że są do tego zmuszane, na przykład podczas egzorcyzmów. — Wreszcie moja wiedza zawodowa była do czegoś przydatna. — Tutaj tego typu sytuacja absolutnie nie miała miejsca. Mało tego — jeśli dobrze pamiętam, mój punkt widzenia potwierdzałoby zdanie z listu, który otrzymał Adam. Poczekaj, zaraz ci je pokażę.

Wyjąłem brulion z torby, ale żeby nie zamókł, otworzyłem go pod dachem samochodu. Po chwili znalazłem właściwe miejsce i wskazałem je palcem.

Niemniej jednak, jak to mówią, niezbadane są wyroki... wiadomo przecież jakie wyroki nieprawdaż?

— No cóż, chyba rzeczywiście masz rację — stwierdziła. — Nie wiem tylko, czy to dobrze, czy źle.

— Na pewno dobrze, bo to oznacza, że wciąż jest dla Adama jakaś szansa — odparłem. — Albo przynajmniej była jeszcze ostatniej nocy... — dodałem dużo ciszej i o wiele mniej entuzjastycznie. — A teraz już wracaj do domu i nie moknij.

— Uważaj na siebie i wracaj szybko.

To były ostatnie słowa, jakie od niej tego dnia usłyszałem.



## 5.

Nie kłamałem.

Naprawdę zamierzałem pojechać do ośrodka prowadzonego przez księdza Dobrowolskiego i zobaczyć, co dzieje się z Jaśkiem, jego ojcem, Katarzyną, Albinem i Józkiem. Miałem atlas samochodowy, z trafieniem nie miałbym zapewne problemu, jednak pod wpływem impulsu na skrzyżowaniu w Adamowie zamiast skręcić w lewo na Zamość, pojechałem w przeciwnym kierunku.

A może to nie był impuls? Może zrobiłem to pod wpływem ostatniej rozmowy z Janką?

W każdym razie, w momencie, kiedy po raz pierwszy nie tylko uświadomiłem sobie, z jaką siłą prawdopodobnie mam do czynienia, ale też odważyłem się to wypowiedzieć, nagle zapragnąłem znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Było coś, czego potrzebowałem o wiele bardziej niż spotkania ze znajomymi ze Starzyny.

Coś, co kiedyś mi pomogło niedługo przed tym, jak trafiłem do przeklętej wioski.

Zbliżając się do celu, z każdym przejechanym kilometrem byłem bardziej przekonany o słuszności podjętej decyzji. Wspomnienie spotkania z Mateuszem i to, jak bardzo był podobny do Krzysia, przyprawiało mnie o mdłości. Czułem się zły, zbrukany nawet tym krótkim spotkaniem z Czarnym w piwnicy Adamowiczów, wchodzeniem z nim w jakiegokolwiek układy, a nawet myślami, że mógłbym przystać na jego propozycję.

Jeśli Krzys „filował na mnie z góry”, to na pewno nie był dumny — jak zawsze zwykł powtarzać i — co uświadomiłem sobie dopiero teraz — jak wyraził się w Łącznej Jerzy Szewczyk. Mój syn był z pewnością bardzo niezadowolony i mógłbym się założyć, że obserwował większość moich poczynań dokładnie z taką miną, jaką miał wtedy, gdy na granicy dwóch światów widziałem go po raz ostatni.

## 6.

Zatrzymałem samochód w jednej z bocznych uliczek, niedaleko znanego mi już klasztoru dominikanów w Krasnobrodzie. Zanim poszedłem w jego stronę, rozejrzałem się wokół i znalazłem w bagażniku szmatką starłem resztki tego, co zostało z moich manipulacji przy tablicach rejestracyjnych.

W kościelnych wnętrzach najczęściej przez całe lata nic się nie zmienia przez dziesięciolecia i podobnie było w tym przypadku. Kiedy ukląknąłem przed

cudownym wizerunkiem Matki Bożej dokładnie w ten sam sposób, jak ponad dwa lata temu, poczułem się tak, jakbym cofnął się w czasie, jakby znów był Wielki Piątek dwa tysiące piątego roku.

Tutaj nic się nie zmieniło.

Pomyślałem, że wiele bym dał, aby móc powiedzieć to samo o swoim życiu, aby wrócić do tamtej chwili i uniknąć wszystkich popełnionych błędów. Było jednak jasne, że to niemożliwe. Jak to powiedziała w Łęcznej Janka? Są miejsca, w których czas się zatrzymuje, ale nigdzie się on nie cofa... Szkoda, że miała rację.

Spojrzałem w stronę dziękczynnych lub błagalnych wotów, widocznych obok obrazu Matki Boskiej Krasnobrodzkiej i przypomniałem sobie swoje zobowiązanie. Postanowiłem, że w przypadku szczęśliwego powrotu Rafała ze Starzyzny, wśród nich zawiśnie ryngraf, który otrzymałem od ojca.

Rafał w Starzyźnie nawet się nie znalazł, ba! — nie wiedziałem nawet, co się z nim dzieje, natomiast ja, owszem, wróciłem, ale — kto wie? — może lepiej byłoby, gdyby się tak nie stało?

Błądziłem wzrokiem po barokowym wnętrzu, próbując w myślach sklecić jakąś sensowną modlitwę, ale, pomimo że w kościele byłem sam i nikt mi nie przeszkadzał, ciągle nie potrafiłem się skupić. Zbyt wiele ostatnich zdarzeń rozpraszało moją uwagę.

Wreszcie dałem za wygraną i usiadłem na jednej z ławek, wsłuchując się w dziękczynne wołanie mojej uszkodzonej nogi. Stwierdziłem, że może właśnie już sama obecność w tym niezwykłym miejscu będzie najlepszą modlitwą kogoś takiego jak ja.

Znowu popatrzyłem na wota i oniemiałem. Nie byłem jeszcze do końca pewien, ale... Tak, to chyba nie było złudzenie.

Na miękkich nogach podszedłem bliżej i już nie miałem wątpliwości.

Drewniany różaniec, który należał niegdyś do Pauliny Podolak, który oplatał swego czasu nadgarstki dziewczyny, a później już tylko to, co z nich pozostało, wisiał wśród innych darów. Poznałbym go na końcu świata. Zbyt wiele razy miałem go w dłoniach, zbyt często się nim posługiwałem w Starzyźnie, bym mógł go pomylić z jakimkolwiek innym.

Drżącą ręką sięgnąłem ku niemu i po chwili poczułem pod palcami dobrze znane kształty.

— Jak ty się tu znalazłeś? — spytałem szeptem. — Boże, w jaki sposób...?

— Zna pan takie powiedzenie, że kto daje i zabiera... — donośny głos odbił się echem od ścian świątyni.

Drgnąłem i natychmiast się odwróciłem.

— Wie pan, jakie jest zakończenie tego powiedzonka, prawda?

Młody ksiądz stał pośrodku kościoła i mierzył mnie rozbawionym wzrokiem.

— Tak, wiem, ale... — Było mi wstyd i zupełnie nie wiedziałem, w jaki sposób

mogę się przed nim usprawiedliwić. — Przepraszam, ale ten różaniec jest mi bardzo bliski. Nie wiedziałem, że tu jest, zaraz powieszę go na miejsce. Chciałem go po prostu przez chwilę potrzymać.

Duchowny wciąż się uśmiechał.

— Proszę się nie tłumaczyć. Byłem tu, gdy pana przyjaciel go tu umieścił i wiem, jak bardzo cenny to dla pana przedmiot.

— Kiedy to było? Może mi ksiądz powiedzieć coś więcej?

— Kilka dni temu, w Wielką Sobotę wieczorem.

— Rozmawiał ksiądz z Adamem? — Pytanie nie należało do najbardziej sensownych, bo przecież w inny sposób nie mógłby o mnie wiedzieć na tyle dużo, by od razu rozpoznać, z kim ma do czynienia.

— Tak, przez chwilę rozmawiałem. — Nagle spoważniał. — I wie pan co? Wydaje mi się, że Pan Bóg raczej się nie pogniewa, jeśli zatrzyma pan ten różaniec. Może nadejdzie jeszcze dobry czas, by go tu zawiesić z powrotem, niemniej jednak teraz chyba lepiej, żeby miał go pan przy sobie.

Przyglądałem się uważnie jego nieprzeniknionej twarzy i byстрыm ciemnobrązowym oczom; wydawało się, że nic nie może się przed nimi ukryć.

Schowałem różaniec do kieszeni.

— Dziękuję — powiedziałem. — Czy Adam... czy on coś jeszcze mówił?

Ksiądz znów się lekko uśmiechnął.

— Nie musiał — odparł. — Panie Witku, gdyby zechciał pan porozmawiać ze mną, jeśli potrzebowałby pan pomocy, to proszę się nie krępować. Wie pan już, gdzie mnie szukać.

Podziękowałem uprzejmie i zapewniłem, że w razie potrzeby na pewno się pojawię. Na razie jednak nie zamierzałem przystępować do spowiedzi, więc zaraz potem pożegnałem się i ruszyłem do drzwi.

— Proszę na siebie uważać — dobiegło jeszcze zza moich pleców, ale gdy się odwróciłem, w kościele nie dostrzegłem już nikogo.

\*

Uznałem, że skoro wypadki potoczyły się tak a nie inaczej, to z Jaśkiem i pozostałymi wszystko prawdopodobnie jest w porządku. Zabrali przecież różaniec ze sobą ze Starzyzny, a skoro Adam wszedł później w jego posiadanie, to musieli się spotkać.

W tej sytuacji zdusiłem w sobie pokusę wyjazdu do domu pomocy księdza Dobrowolskiego. Przewidywałem, że przyjdzie jeszcze na to odpowiedni moment, dlatego postanowiłem poznać jeszcze jedną tajemnicę i udałem się do centrum Krasnobrodu.

U rodziców Rafała nie było nikogo, więc pojechałem do domu, w którym swego czasu nocowałem.

Drzwi otworzyła mi jakaś obca, może trzydziestoletnia kobieta. Początkowo pomyślałem, że to pewnie dziewczyna Gielmudy, ale zaraz okazało się, że jakiś

czas wcześniej kupiła tę nieruchomość, a poprzedni właściciel — jak stwierdziła — „ponoć wyprowadził się na drugi koniec Polski”.

A więc z Rafałem wszystko było w jako takim porządku i tyle informacji musiało mi wystarczyć.

Przynajmniej na razie.

Na koniec zadałem jeszcze jedno pytanie i odpowiedź bardzo mnie zaniepokoiła.

Kobieta, z którą rozmawiałem, nie wiedziała nic o losach małej córeczki Rafała. Co więcej, nie miała nawet pojęcia o jej istnieniu.

\*

Dochodziło południe, a ja poza poranną kawą nie miałem tego dnia jeszcze niczego w ustach, więc stwierdziłem, że powinienem coś zjeść. Mógłbym właściwie już wracać, ale nie chciałem przeszkadzać Jance w odpowiednim naświetleniu całej sytuacji mamie Mateusza, więc w powrotną drogę do Bliżowa zamierzałem się udać około piętnastej — tak, aby być na miejscu już jakiś czas przed zmierzchem.

W miejscowej restauracji, gdy analizowałem wydarzenia poranka, co chwila sprawdzając, czy różaniec Pauliny nie wysunął mi się z kieszeni, przyszedł mi do głowy zupełnie inny scenariusz.

Być może Krzysiowi nie spodobałoby się to, co wtedy wymyśliłem, ponieważ realizacja moich zamierzeń wymagała ponownego spotkania z Czarnym, ale intencje uznałem za dobre i sądziłem, że tak właśnie powinienem postąpić.

Po posiłku wsiadłem do samochodu i ruszyłem w kierunku Guciowa.

\*

Pół godziny później wjechałem na drogę prowadzącą do Słonecznej Doliny.

Po złamaniu zakazu wjazdu przejechałem jeszcze kilkaset metrów i wjechałem w boczną, leśną dróżkę. Wprawdzie forda było łatwo zauważyć z głównego duktu, niemniej jednak zakładałem, że w taką podłą pogodę nikt nie będzie się kręcił po okolicy.

A nawet jeśli, to właściwie nie miało to już żadnego znaczenia.

Nie mogłem po prostu wjechać na podwórze Adamowiczów, bo szwagierka Janki z pewnością natychmiast by jej doniosła, że prawdopodobnie Bogdan wrócił. Fałszywy alarm był ostatnią rzeczą, jaka mi była wtedy potrzebna.

Torbę zostawiłem w bagażniku, a jedynymi trzema rzeczami, które z niej zabrałem, były: znaleziony na wzgórzu nóż, brulion z napisem „krew to życie” oraz sprawdzony już kilkakrotnie biały, plastikowy długopis. Długopis schowałem do kieszeni, brulion wetknąłem za pazuchę, żeby nie zamókł, a nóż ukryłem w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Po raz kolejny sprawdziłem, czy mam ze sobą różaniec i — po raz pierwszy tego dnia — czy klucz od piwnicy domu Adamowiczów jest na swoim miejscu.

Kiedy z Janką wyjeżdżaliśmy, zamykałem boczne drzwi i teraz cieszyłem się, że jej go nie oddałem. Myślałem wtedy, że może mi się jeszcze przydać i teraz

właśnie nadarzała się taka właśnie okazja.

\*

Przez Słoneczną Dolinę dotarłem do dobrze znanego mi wzgórza, po czym wspiąłem się na nie, minąłem starą czereśnię i tą samą drogą co ostatnio, gdy Adamowicz chciał mnie uśmiercić, podążyłem w stronę Bondyrza.

Lało jak z cebra, więc nikt nie kręcił się na zewnątrz. Nie wiedziałem, czy ktoś przypadkiem nie obserwuje moich poczynąń, gdy przechodzę przez uszkodzony płot i zmierzam do drzwi prowadzących do znanej mi już piwnicy.

Musiałem po prostu zaryzykować.

Przejsie przez ciemne pomieszczenie nie należało do najprzyjemniejszych, ale pocieszałem się, że mam ze sobą różaniec, który w razie czego być może mnie ochroni.

W domu posprawdzałem wszystkie pomieszczenia i gdy okazało się, że jestem sam, usiadłem za stołem kuchni i tam właśnie, dygocąc z zimna i ze strachu, spędziłem następne, ciągnące się w nieskończoność godziny.

Miałem naprawdę sporo czasu na zastanowienie się, czy dobrze robię.

Wstałem z miejsca tylko raz, żeby zanieść różaniec i nóż do pokoju Janki. To miał być znak dla Czarnego, że nie zamierzam się przed nim w żaden sposób chronić. Czytał w moich myślach, więc wiedział, co postanowiłem.

Liczyłem na to, że wkrótce się pojawi i wtedy spróbuję przekonać go do zmiany zdania.

\*

Otaczała mnie zupełna ciemność.

Kilka razy wydawało mi się, że słyszę kroki na korytarzu, raz byłem wręcz pewien, że drzwi od piwnicy cicho zaskrzypiały, ale do dwudziestej trzeciej nie wydarzyło się absolutnie nic.

Wymacałem więc po omacku zapalniczki, znajdujące się przy kuchence gazowej i posiłkując się ich słabym światłem, poszedłem do pokoju, w którym jeszcze niedawno spałem.

Rozebrałem się z suchego już wtedy ubrania i położyłem do łóżka.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru w hotelu Renesans, wpisałem w brulionie datę i dzień tygodnia, a potem zeszyt spoczął na siedzisku stojącego obok krzesła.

Zanim zasnąłem, po raz kolejny tego wieczoru wróciła do mnie uporczywa myśl, że coś bardzo ważnego przeoczyłem, że jest coś, na co powinienem być zwrócić uwagę, a potraktowałem to jak rzecz zupełnie marginalną. To było coś związanego z pobytem w Łęcznej, ale tak jak za każdym z poprzednich razów, tak i teraz musiałem skapitulować.

Miałem jedynie nadzieję, że nie jest to nic, co może zagrozić Jance, małemu Mateuszowi albo jego matce.

**12 kwietnia 2007 (czwartek)**

## **Epilog**

### **I**

Kilka minut po północy w brulionie nie było nowego wpisu.

Obudziłem się, z krzykiem siadając na łóżku, ale pomimo wstrząsającego wspomnienia koszmarnego snu, natychmiast zapaliłem zapałkę i sprawdziłem zeszyt.

Później przez jakiś czas leżałem jeszcze na plecach i szeroko otwartymi oczyma wpatrywałem się w niewidoczny w ciemnościach sufit.

Bąłem się je zamknąć, żeby nie zobaczyć tego wszystkiego po raz kolejny, ale senne wizje wciąż wracały...

\*

To był drewniany kościół w Bliżowie.

Nie miałem co do tego najmniejszych nawet wątpliwości, pomimo że nigdy nie byłem w jego wnętrzu.

Wypełniony po brzegi, gęsty od kadzidlanego dymu i zaduchu spoconych, podekscytowanych zbliżającą się ceremonią ciał. Stałem między nimi, w jednym z pierwszych rzędów, zupełnie spokojny, cierpliwie oczekując na pojawienie się kapłana i rozpoczęcie nabożeństwa.

W pewnym momencie usłyszałem za plecami nasilający się szmer. Tłum rozstępował się przed wysokim mężczyzną o kruczoczarnych, sięgających do ramion włosach. Niósł na rękach młodą dziewczynę. Ja również usunąłem się na bok, a Paulina Podolak (byłem pewien, że to ona) uśmiechnęła się tylko do mnie i lekko skinęła głową, jakby w ten sposób dając mi do zrozumienia, że cieszy się z mojej obecności.

Czarny górował nad wszystkimi o głowę. Nie miał brody, był też o wiele młodszy niż podczas spotkania w piwnicy.

Kiedy znów przeniosłem wzrok na osobę, którą niósł, okazało się, że Paulina zniknęła, a na jej miejscu pojawił się Mateusz Bielak... Chociaż...? Zaczynałem

mieć coraz większe wątpliwości, czy to na pewno on.

— Oni przecież są tacy do siebie podobni... — szepnąłem.

Szpaler, który utworzył się, aby umożliwić przejście Czarnemu, zniknął, a wszyscy z uwagą wpatrywali się w każdy ruch mężczyzny, który ułożył chłopca na ołtarzu.

Wyrazistość obrazu przesłaniał teraz gęstniejący z każdą chwilą dym. Ale byłem prawie pewien, że to nie Mateusz, a Krzyś. Czarny wznosił do góry nóż, w którym rozpoznałem znaną na wzgórzu w Wielką Niedzielę myśliwską finkę. Chciałem krzyknąć, poprosić o pomoc, ale nie potrafiłem wydobyć ze zduszonej krtani nawet najcichszego dźwięku.

Tłum zaczął na mnie coraz bardziej napierać, poczułem, że się duszę. Wtedy właśnie zobaczyłem, że oni wszyscy nie mają źrenic, że patrzą na mnie w taki sposób, jakbym to właśnie ja był osobą, dla której zgromadzili się tego dnia w budynku kościoła.

Po raz ostatni spojrzałem w stronę Czarnego i rozpoznałem ten jego charakterystyczny, okrutny uśmiech.

Wciąż patrzył mi w oczy, szczerząc zęby, gdy jego ręka z prędkością błyskawicy, opadła w dół. Ostrze błysnęło srebrzyście, a zaraz potem odcięta głowa chłopca ze stukotem spadła na drewnianą posadzkę i potoczyła się w moją stronę.

Dopiero wtedy udało mi się wydobyć z piersi długi, rozpaczliwy, wypełniony bólem krzyk, który pozwolił mi się wreszcie obudzić.

\*

Drugi sen przypominałem sobie dopiero po południu.

## II

Gdy było już zupełnie jasno, przez długi czas wpatrywałem się w kartkę brulionu, na której wciąż zapisana była jedynie data i dzień tygodnia.

W głowie kłębiły mi się tysiące myśli, ale jedna z nich zdecydowanie górowała nad innymi.

„A więc jednak Czarny to zrobił”.

Nie tylko ostatecznie pozbawił mnie nadziei na uratowanie Adama, ale też pokazał, jak wielką ma nade mną władzę i z jakim lekceważeniem odnosi się do tego, co robię.

Mógł przecież przyjść, udawać nawet, że zgadza się na moją propozycję, a potem zabrać mnie do Starzyzny. Chciałem, aby w zamian za to pozwolił wrócić Adamowi, ale przecież mógł mnie oszukać. Byłbym całkowicie zależny tylko od niego, ale wolał pokazać, jak bardzo mną gardzi. Wolał pozostawić mnie

z poczuciem klęski.

To, co się wydarzyło, niosło za sobą jasny przekaz:

„Nie interesują mnie twoje propozycje, mój drogi. Przecież i tak mogę cię dopaść, kiedy tylko zechcę, więc nawet nie myślę o tym, by rozważyć jakiegokolwiek twoje propozycje. Nie jesteś dla mnie żadnym przeciwnikiem, a swoją szansę na zostanie moim sprzymierzeńcem już dostałeś, nieprawdaż?”.

\*

Ubrałem się, a potem zabrałem z pokoju Janki nóż i różaniec i wyszedłem z domu.

W drodze do samochodu zrozumiałem, że nic już tu po mnie i postanowiłem wracać do domu, do Warszawy, bo jedyne, co mi już teraz pozostało, to czekanie na moment, kiedy Czarny będzie miał kaprys, aby mi odpłacić pięknym za nadobne.

### III

Na przystanku w Bliżowie sprawdziłem połączenia do Zamościa. Były tego dnia jeszcze dwa autobusy przewoźnika o przedziwnej nazwie „Autonaprawa”.

Niedługo później zatrzymałem samochód przed domem Teresy.

Kiedy wysiadłem, zauważyłem biegnącego w moją stronę młodego mężczyznę.

— Jechał pan może od strony Guciowa? — zawołał z daleka.

— Tak! — odkrzyknąłem. — A co się stało?

Podbiegł do mnie i zatrzymał się, ciężko dysząc.

— Nie widział pan może małego chłopca? Takiego szczupłego blondynka... — Patrzył na mnie z nadzieją w oczach.

Zrobiło mi się słabo, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać.

— Chodzi o Mateusza? — Wciąż miałem nadzieję, że nie, ale została ona zabita jednym krótkim „tak”.

— Niech pan pomoże nam go szukać — krzyknął jeszcze, oddalając się w przeciwną stronę. — Jego matka zaraz chyba oszaleje.

Jakby na potwierdzenie tych słów dało się z oddali słyszeć kobiece, histeryczne wołanie, w którym rozpoznałem głos Teresy.

### IV

Spodziewałem się, że go nie znajdziemy, ale przez następnych kilka godzin brałem udział w poszukiwaniach — najpierw kilkakrotnie objechałem samochodem cały Bliżów, a później, gdy zabrakło paliwa, kręciłem się po okolicy



na piechotę.

Gdy wróciłem do domu Teresy, Janka właśnie po raz kolejny próbowała ją pocieszyć.

— Może z Tadkiem gdzieś pojechali? Przecież wiesz, że przy nim Mateusz na pewno jest bezpieczny. Zobaczysz, że się znajdzie.

— Właśnie! A co z Bożeną?! Przecież już powinna wrócić z pracy... — Zaniepokojona Teresa podniosła głowę. — Dziewczynki też już powinny być, szkoła przecież już się dawno skończyła.

— Ma pani klucz od domu siostry? — zapytałem. — Pójdę zobaczyć... Wiem, że pukałyście wcześniej wiele razy i nikt nie otwierał, ale sprawdzić przecież nie zaszkodzi. Ale przedtem może mi pani powiedzieć, jak to się w ogóle stało?

## V

Z relacji Teresy wynikało, że mąż Bożeny przyszedł rano pożyczyć trochę soli i mimochodem wspomniał Mateuszowi, że poprzedniego dnia kupił sześć małych królików.

Mały oszalał.

Błagał matkę, żeby mu pozwoliła je zobaczyć, żeby mógł chociaż przez parę minut z nimi pobycć.

— Zawsze uwielbiał te zwierzaki — opowiadała mi Bielakowa. — Jeszcze przed chorobą, jak był całkiem mały, mógł spędzać całe dni, bawiąc się z nimi. Później, kiedy już nie miał siły, prosił, żeby od czasu do czasu przynieść mu jednego i w klatce postawić obok łóżka. Żeby mógł chociaż popatrzeć.

Nie umknęła mi reakcja Janki, na której twarzy odmalowało się zdumienie, ale nie odezwała się wtedy ani słowem.

— Jak mogłam się nie zgodzić? Przecież miał być z Tadkiem, który był dla niego jak drugi ojciec... — Po jej twarzy popłynęły łzy. — Obiecał, że go zaraz przyprowadzi, że będzie go pilnował jak oka w głowie. — Zaszlochała. — Boże, przecież chyba by mi serce pękło, gdybym zabroniła Mateuszowi tam pójść... Tak bardzo prosił...

Wziąłem klucze od sąsiedniego domu i wyszedłem na zewnątrz, a potem skierowałem się w jego stronę.

Zamek był pusty, więc albo ktoś zamknął drzwi od zewnątrz, albo zrobił to od środka, a później wyjął klucz.

Słabo naoliwione zawiasy cicho skrzypnęły.

## VI

Pięć minut później oddałem klucze Teresie.

— I co? — zapytała, patrząc z nadzieją w moje oczy.

Wytrzymałem to spojrzenie i odparłem:

— Nie ma go tam. Ani jego, ani jego wujka, przykro mi...

Dobrze, że nie zapytała o swoją siostrę i dziewczynki, bo chyba nie potrafiłbym jej wtedy okłamać.

Zresztą, i tak przecież niedługo się dowie, ale nie teraz... Na Boga, nie teraz i nie w taki sposób.

Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. Deszcz znów się wzmaczał, ale teraz akurat jego otrzeźwiający wpływ było mi bardzo potrzebne.

Ruszyłem drogą w kierunku pobliskiego, zieleniejącego już nieco wzgórza. Chociaż jeszcze przez chwilę chciałem być trochę dalej od tego miejsca.

\*

Prawie nieprzytomny ze zmęczenia dotarłem niemal na szczyt i spojrzałem na leżącą poniżej wioskę.

Wtedy właśnie przypomniałem sobie ten drugi sen. Patrzyłem w nim dokładnie z tego samego miejsca...

\*

Był wiosenny, słoneczny i bardzo ciepły dzień. Zalana słońcem dolina budziła się do życia po zimowym śnie. Okalające Bliżów wzgórza mieniły się jaskrawą zielenią. Nagle po lewej stronie zobaczyłem sylwetkę mężczyzny w habicie, który, nie zwracając na mnie uwagi, zmierzał w kierunku wioski.

Rozpoznałem go bez trudu, ponieważ brakowało mu prawej ręki.

Wraz z nim nadciągało ciemne, brunatnoszare, burzowe niebo.

Pomimo że mężczyzna przystanął, ciemne obłoki podążały dalej w stronę wioski. Z każdą chwilą czystego nieba było coraz mniej, zniknęło za nimi słońce, a leżąca w dole wioska pogrążała się w ciemności coraz bardziej.

\*

Potem się obudziłem, ale w tym momencie, stojąc na zboczu wzniesienia, mógłbym przysiąc, że ten zły sen trwa nadal.

Zaczęła się we mnie rodzić złość.

Przypomniałem sobie trzy ciasno skrępowane sznurem i powieszzone ciała. Kobieta i dwie dziewczynki, niewiele starsze od Mateusza. Ich wciąż przerażone, wciąż otwarte oczy i myśl, jak bardzo musiały cierpieć, zdając sobie przecież sprawę z tego, co je czeka z ręki ukochanego ojca i męża, który do tej pory był dla nich wszystkim.

Wiedziałem już, co przeoczyłem w Łęcznej.

Tylko ja widziałem ślepe białka w oczach Weroniki, a Janka nie zauważyła w jej wyglądzie żadnej zmiany.

Dziewczynki i Bożena też na pewno niczego nie zauważyły.

Czy to możliwe, że musiałem przejść przez Starzyznę, aby uzyskać tę umiejętność...?

Wciąż byłem roztrzęsiony, ale spokój już powoli wracał. Oddychałem głęboko.

Moje zęby były zaciśnięte z całych sił, tak bardzo, że w tamtym momencie nie potrafiłbym ich rozewrzeć. Miałem sucho w ustach i przez to też trudno byłoby mi wtedy coś powiedzieć, ale przecież nie musiałem. Nie musiałem mówić, żeby on mnie usłyszał.

„Ty przekłety sukinsynu! Napisałeś mi w liście, że jeszcze ze mną nie skończyłeś. Dobrze. Może to i prawda. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałeś, że ja nawet z tobą jeszcze nie zacząłem. Szykuj się więc, bo — gdziekolwiek jesteś — już do ciebie idę” — pomyślałem.

A potem ruszyłem naprzód.

Podejrzewam, że moja twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Gdyby jednak ktoś wtedy mógł mi spojrzeć w oczy, to zobaczyłby w nich nienawiść całego świata.

I podświadomie miałem nadzieję, że Czarny ją właśnie widzi.

*Przemyśl, 25 października 2012 r.*



część IV

BISY II



*Są granice, przez które nie można wrócić.*  
Walenty Dobrowolski

*Mojemu Siostrzeńcowi — Jędrzejowi*

# Rozdział pierwszy

## 1.

Zbliżając się do tonących w strugach deszczu zabudowań Bliżowa, zacząłem się zastanawiać, czy podła pogoda nie jest przypadkiem zwiastunem powtórki z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego. Niewiele było mi wiadomo o mieszkańcach wioski, nie miałem pojęcia, co się w niej ostatnio wydarzyło, ale przecież nie mogłem wykluczyć, że potrójne morderstwo nie było jedyną dokonaną tutaj w ostatnim czasie zbrodnią.

„Skoro Czarny z Dobrowolskim kręcą się w pobliżu, to wszystko jest możliwe i historia Starzyzny może się powtórzyć w każdej chwili” — pomyślałem, a potem przyspieszyłem kroku, mając nadzieję, że to, co spotkało mnie i Jankę, gdy próbowaliśmy uciec z Roztocza — burza, padające i blokujące nam drogę drzewo, przewrócona cysterna pod Zamościem — to wszystko nie były zdarzenia przypadkowe. Jakaś siła chciała nas za wszelką cenę zatrzymać i nie miałem powodów, aby przypuszczać, że Czarny maczał w tym swoje brudne paluchy.

— Jesteś na to za cienki, stary pierdzielu — syknąłem. — Nie masz władzy nad pogodą, prawda? Pogodą zawiaduje ktoś mocniejszy od ciebie, ktoś, kto zesłał klątwę i sprawił, że przez całe dziesięciolecia nad Starzyzną ani razu nie zaświeciło słońce...

Dolinę, w której położony był Bliżów, na ułamek sekundy rozjaśnił ostry blask, a niedługo później przez okolicę przetoczył się mrukliwy, basowy odgłos grzmotu.

Przystanąłem i popatrzyłem do góry. Deszcz wciąż się wzmagajął, a gęste czarne chmury sprawiały, że było ciemno jak tuż przed zapadnięciem zmroku. Spojrzałem na zegarek — było kilka minut po siedemnastej, więc do zmierzchu pozostawały jeszcze jakieś trzy godziny.

Miałem za sobą prawie nieprzespaną noc i dzień w większości spędzony na wyczerpujących poszukiwaniach Mateusza, ale wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek. Podejrzewałem, że w tej grze może się liczyć każda minuta. Jednocześnie byłem przekonany, że bardzo ważne będzie podejmowanie właściwych decyzji i już dosłownie kilka minut później przekonałem się, że zwłaszcza w tej drugiej kwestii miałem rację.

Miałem rację jak jasna cholera.

\*

Jeden rzut oka na przecinającą wieś ulicę wystarczył, by zorientować się, że

poszukiwania — przynajmniej na razie — zostały przerwane albo znacznie ograniczone. Prawdopodobnie mieszkańcy, którzy brali w nich udział, nieco ochłonęli po zderzeniu z pierwszą, historyczną reakcją Teresy. Zapewne uważali, że skoro mały ostatni raz był widziany w towarzystwie wujka, to nic złego nie mogło mu się stać i byli przekonani, że pewnie niedługo Mateusz odnajdzie się cały i zdrów.

Gdyby w mijanym właśnie przeze mnie budynku ujrzeli skrupowane, powieszzone na belce stropowej zwłoki żony wujka i jego córek, to ich punkt widzenia niewątpliwie uległby diametralnej odmianie.

Zatrzymałem się przy parkanie okalającym dom należący do Bielakowej. Obok mnie, głośno perkocząc, przejechał traktor ciągnący za sobą rozklekotaną metalową przyczepę. Zaraz potem minęły mnie dwie roześmiane nastolatki, a ja wciąż zastanawiałem się nad swoim następnym krokiem. Trzeba zawiadomić policję — to jasne. Teresa chciała to zrobić od razu, ale z wiadomych względów nikt przy zdrowych zmysłach nie potraktowałby jej zgłoszenia poważnie. Teraz sytuacja wyglądała inaczej, ale... jak miałbym wytłumaczyć mundurowym, że nie zgłosiłem od razu potrójnego morderstwa?

Krótko mówiąc — miałem szansę stać się głównym podejrzanym.

Wprawdzie patolog sądowy stwierdziłby najpewniej, że śmierć zamordowanych nastąpiła sporo czasu przed moją wizytą w sąsiednim domu (od porannego zaginięcia Mateusza minęło już dobrych kilka godzin, więc postępujące *rigor mortis* robiło już swoje), ale procedury trwałyby zapewne dość długo. No i przy okazji zaraz zaczęłyby się pytania o to, co robiłem wcześniej, a na potwierdzenie swojego całonocnego pobytu w domu Adamowiczów nie miałem przecież żadnych świadków ani dowodów. Pewnie musiałbym też spróbować określić cel, sposób i termin mojego pojawienia się na Roztoczu. Pokiwałem więc głową, pomagając w ten sposób w przekonaniu samego siebie, że muszę znaleźć jakieś inne wyjście, niż zagranie z policją w otwarte karty. Przekonałem też sam siebie, że równie dobrze mogę o tym wszystkim pomyśleć, siedząc pod dachem, a nie stercząc w strugach ulewnego deszczu.

Zanim pchnąłem furtkę prowadzącą na podwórze, pomyślałem jeszcze o samochodzie, który zostawiłem jakieś pięćset metrów dalej. W tej akurat chwili nie był mi potrzebny, ale na pewno lepiej byłoby, gdyby stał pod domem, i to najlepiej zatankowany pod korek. Póki co jednak bak zionął pustką, a ja byłem przemoknięty i zmarznięty na kość, więc uznałem, że ta sprawa może poczekać. Pamiętam też, że pomyślałem tęsknie o suchym ubraniu, spoczywającym w torbie na tylnym siedzeniu, ale nie zdecydowałem się na próbę jego przyniesienia.

„Trudno, najwyżej jeszcze będę musiał wyschnąć drugi raz w ciągu tej doby” — pomyślałem, a potem zwawo pokuśtykałem w kierunku domu.

To, że w fordzie Adamowicza został też różaniec Pauliny, zupełnie mi nie przeszkadzało. Zdaje się, że wtedy kompletnie wyleciało mi to z głowy. Cóż, nie



można wprawdzie cały czas mieć wszystkiego na uwadze, ale później i tak sam się dziwiłem własnej głupocie.

\*

W kuchni zastałem siedzącą samotnie przy stole Jankę, która, gdy tylko mnie zobaczyła, natychmiast położyła palec na ustach, dając mi do zrozumienia, żebym zachowywał się cicho. Potem powiedziała prawie szeptem:

— Wzięła coś na uspokojenie, położyła się i natychmiast zasnęła jak kamień.

Bezszelestnie zamknąłem drzwi i usiadłem naprzeciw niej.

— Trochę snu dobrze jej zrobi. Bardzo to przeżywa... — odezwała się znów, ale nagle przerwała. Zdaje się, że dopiero wtedy się zorientowała, jak bardzo jestem przemoczony. — Boże święty, cały jesteś siny z zimna! Musisz zdjąć te mokre ciuchy. Może Teresa będzie coś miała odpowiedniego po mężu...

— Możesz mi najpierw zrobić coś gorącego do picia? — zapytałem. — Najlepiej herbatę z dużą ilością cukru...

Natychmiast wstała i chwyciła za czajnik, by napełnić go wodą.

— Zresztą, chyba nie ma sensu szukać ubrań na zmianę, bo pewnie i tak zaraz będę wychodził — dodałem.

— Zjesz coś?

— Nie, niczego bym nie przełknął po tym, co... — W ostatniej chwili ugryzłem się w język, ale Janka i tak popatrzyła na mnie uważnie. — Nie, dziękuję — skończyłem i uciekłem wzrokiem w stronę okna.

To jeszcze nie była odpowiednia chwila, by powiedzieć jej o siostrze Teresy i dziewczynkach, ale wciąż o nich myślałem i ze względu na dokuczliwy, niemal fizycznie wyczuwalny w gardle węzeł nie dałbym rady przełknąć niczego poza herbatą.

— Czy jest jakaś rzecz, o której powinnam wiedzieć? — Postawiła czajnik na piecu, odwróciła się, oparła biodrami o zlew i skrzyżowała ręce na piersiach. — Przecież widzę, że coś jest nie tak.

Znów spojrzałem jej prosto w oczy.

— Chyba lepiej, żebyś nie wiedziała. Sam nie mogę sobie z tym...

— Poczekaj chwilę — bezceremonialnie weszła mi w słowo. — Zdaje się, że już chciałeś mnie ochronić przed pewnymi informacjami i wiemy, jak się to skończyło. — Lekko podniosła głos. — Poza tym zdaje się, że jeszcze w Łęcznej oboje zrozumieliśmy, że nasze spotkanie nie było przypadkowe, że oboje siedzimy w tym gównie po uszy... A teraz znów zaczynasz przede mną mieć jakieś swoje tajemnice?! — Oparła dłonie o blat, pochylając się i przybliżając twarz do mojej. Jej policzki płonęły. — Myślisz sobie, że taki mądry jesteś? Że sam sobie dasz ze wszystkim radę?!

— Zaraz zbudzisz Teresę — powiedziałem cicho. — Chyba lepiej byłoby, gdybyśmy mogli porozmawiać bez niej?

Starałem się, aby moje słowa zabrzmiały pojednawczo, ale Janka wciąż

oddychała ciężko i wpatrywała się we mnie z nieukrywaną złością. Z opresji wybawił mnie narastający dźwięk czajnikowego gwizdka.

Nalała herbatę i gdy stawiała ją przede mną, wyglądała już na nieco bardziej opanowaną.

— Dobrze, zatem porozmawiajmy spokojnie. — Usiadła naprzeciw mnie. — Ale życzylabym sobie, żebyś już niczego przede mną nie ukrywał. Nie jestem małą dziewczynką, a zawsze co dwie głowy, to nie jedna.

Wziąłem do ręki łyżeczkę, ale ręka drżała mi tak mocno, że poprosiłem Jankę o pomoc w posłodzeniu herbaty, aby nie rozsypywać cukru po całym stole.

— W porządku. — Skończyłem mieszać i położyłem łyżeczkę na stole, tuż obok znanych mi już kluczy i stojącego na środku metalowego krucyfiks. — Skoro chcesz, to dobrze, ale przygotuj się na bardzo złe wieści.

Zobaczyłem w jej źrenicach lęk, ale wtedy już chyba nie cofnąłbym się przed szczegółową relacją z ostatniej nocy i — co ważniejsze — przed opowiedzeniem jej tego, co zobaczyłem w sąsiednim domu.

„W końcu sama tego chciała. Zresztą — pomyślałem, przełykając pierwszy łyk herbaty — skoro od wydarzeń w Łęcznej mamy stanowić zgrany tandem...”

— Mateusz został porwany przez Czarnego, prawda? — zapytała, nerwowo przełykając ślinę.

— Tak sędzę. Właściwie, to jestem tego pewien.

Przez chwilę przyglądała mi się uważnie, szukając wsparcia w postaci chociażby odrobiny nadziei.

Bezskutecznie.

— Boże! — Ukryła twarz w dłoniach. — Ale jak to się stało? Dlaczego?! Przecież poszedł z Tadeuszem, skąd mogłam wiedzieć...?! Mogłam go bardziej pilnować.

Wskazałem metalowy krzyż.

— Nic więcej nie mogłaś zrobić. Gdybym tu był, też pewnie niewiele bym pomógł.

Wpatrując się w krucyfiks, zastanawiała się przez moment.

— Gdyby Mateusz nie wyszedł z kuchni, to by nie został porwany, prawda?

— Tego nie możemy być pewni. Poza tym... jeśli nie w ten sposób, to mąż Bożeny spróbowałby w inny i w końcu by mu się udało.

Nic nie wskazywało na to, że moje słowa przyniosły jej jakąkolwiek ulgę. A przecież najgorsze było jeszcze przed nią.

— Janka... wiesz, wydaje mi się, że nikt nie mógł temu zapobiec, ale... — Dotknąłem jej przedramienia, a ona kurczowo chwyciła moją rękę, zauważając łzy w moich oczach. — ...ale obawiam się, że mam dla ciebie... dla ciebie i dla Teresy, jeszcze więcej złych wiadomości.

\*

Gdy skończyłem relację, która — zwłaszcza pod koniec — z trudem

przechodziła mi przez gardło, Janka przez dłuższą chwilę siedziała tak, jakby nie rozumiała ani słowa z tego, co powiedziałem. Jediną zewnętrzną reakcją, jaką zauważyłem, była zmiana koloru jej policzków. Jakiś czas temu były prawie purpurowe, by w ciągu ledwie kilku minut zmienić barwę na trupioblada. Wciąż ścisnęła moją rękę. Teraz już tak mocno, że ciężko było to wytrzymać.

Nagle uścisk zelżał. Poczułem drżenie dłoni Janki; tuż potem bezgłośny szloch wstrząsnął jej ciałem. W tym momencie patrzyła już na mnie tak, jakby właśnie wszystko stało się jasne.

— To... — Odchrząknęła, puściła moją rękę i złożyła dłonie na podołku. — To ja je zabiłam. Gdybym lepiej pilnowała Mateusza, gdybym...

— Janka...

— ...nie zgodziła się na to, żeby Tadeusz...

— Janka! — prawie krzyknąłem.

Przerwała i przez moment wyglądała na zdziwioną tym, że siedzę naprzeciw niej.

— One prawdopodobnie nie żyły już w chwili, gdy tutaj przyszedł. Rozumiesz? Nie mogłaś ich uratować.

Skinęła głową.

— Rozumiem. To moja wina, że zginęły.

Wyglądało na to, że wpadła w jakiś rodzaj stuporu. W dodatku zaczęła ciężko oddychać przez szeroko otwarte usta, wyprostowała się i położyła dłoń na lewej piersi. Natychmiast przypomniałem sobie o jej problemach z sercem i kiedy sam zaczynałem wpadać w panikę, po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Trwało to może minutę, może półtorej, ale gdy otarła policzki, spojrzała na mnie już prawie zupełnie trzeźwo. Upiła kilka łyków mojej herbaty, a potem odetchnęła głęboko.

— Wszystko w porządku? — zapytałem.

— Nie, nic nie jest w porządku — odparła natychmiast. — Ale musimy spróbować jakoś uratować Mateusza, prawda? Bo coś chyba można zrobić, jakoś mu pomóc...?

— Chciałaś, żebym był z tobą szczery, to będę. Nie mam pojęcia.

— Musimy przynajmniej spróbować. — Powiedziała to tak spokojnym, a jednocześnie zdeterminowanym tonem, że aż trudno było uwierzyć w tę jej natychmiastową przemianę. — Teresą też musimy się zająć.

— No dobrze. Ale właśnie nie bardzo wiem, co można teraz zrobić. Zastanawiałem się już nad tym, zanim tu przyszedłem, no i... — Wzruszyłem ramionami. — No i pojęcia nie mam.

— Na pewno musimy jakoś zabrać stąd Tereskę. Nie może jej tu być, gdy... no wiesz...

— Wiem. Gdy okaże się, co miało miejsce w domu jej siostry.

— No właśnie. Dobrze byłoby też, żebyś miał jakieś alibi. Byłbyś głównym podejrzanym, dopóki...

— Tak, już o tym myślałem. Ale może na razie wstrzymać się z zawiadaniem policji?

— Musimy to zrobić, i to jak najszybciej. Im później, tym w gorszym świetle cię to postawi. A przecież nie możesz teraz dać się zamknąć nawet na czterdzieści osiem godzin, prawda?

— Tak, nie mogę teraz pojechać na dołek.

— Na dołek?

— Tak. Tak właśnie Stanisławski powiedział do... Zresztą, teraz to nieważne. — Przypominanie mojego pierwszego spotkania z mężem Janki nie było chyba w tym momencie najlepszym pomysłem. — Posłuchaj! — Nagle mnie olśniło. — Muszę do niego zadzwonić!

Klucze od sąsiedniego domu wciąż leżały tak, jak je położyłem przed spacerem na pobliskie wzgórze. Sięgnąłem po nie i zapytałem:

— Komórka Adama jest wyładowana, Teresa — mówiłaś mi o tym w Łącznej — nie ma tutaj telefonu. Ale u jej siostry jest, prawda? Wydaje mi się, że widziałem aparat w przedpokoju...

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

— Chyba nie chcesz znów tam pójść?

— No pewnie, że nie chcę, ale nie mam wyjścia. Nie pójde teraz przecież prosić nieznajomych o przysługę, zresztą, nie mógłbym wtedy spokojnie porozmawiać z Jankiem.

— To może ja...?

— Ty zostań z Teresą. A gdyby się obudziła, to spróbuj delikatnie podpytać o to, dlaczego się tak dziwnie zachowywała, jak rano przyjechaliśmy.

Wystarczyło tylko jedno spojrzenie w jej oczy, bym zorientował się, że doskonale wie, co mam na myśli.

## 2.

Chciałem to mieć jak najszybciej za sobą, a jednak drogę do sąsiedniego domu pokonałem dość powoli, uważnie rozglądając się wokół. Równie istotne jak telefon do Stanisławskiego było to, aby — przynajmniej na razie — nie wzbudzić niepotrzebnego zainteresowania mieszkańców Bliżowa. Po raz ostatni omiotłem wzrokiem otoczenie w momencie przekręcania klucza i kiedy nie dostrzegłem w pobliżu żywego ducha, nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły bezszelestnie.

Wewnątrz panował półmrok, więc odruchowo zacząłem szukać włącznika światła. Po chwili zastanowienia uznałem jednak, że lepiej będzie, gdy przyzwyczaję oczy do ciemności i nie zaryzykuję ewentualnego zainteresowania kogoś z zewnątrz.

Może po minucie zacząłem widzieć lepiej, więc ruszyłem w stronę telefonu, który był przymocowany do ściany po prawej stronie, obok wieszaków na wierzchnie ubrania. Minąłem drzwi prowadzące do pokoju, w którym wcześniej znalazłem wiszące zwłoki. Z całych sił starałem się nie patrzeć w tamtą stronę. Zdjąłem słuchawkę z aparatu, sięgnąłem do tarczy i... dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie znam numeru do Janka. Zanim zdążyłem sam siebie zrugać w myślach, zobaczyłem stojącą poniżej telefonu drewnianą szafkę na buty. Książka telefoniczna leżała obok sterty kolorowych magazynów dla kobiet, których pewnie już nikt nie będzie czytał. Wyglądała na dość sfatygowaną, skoro jednak dotąd była używana, to istniała szansa, że dane w niej zawarte będą w miarę aktualne.

— Tym razem chyba ci się udało, kretynie — szepnąłem, po czym rozpocząłem gorączkowe poszukiwania numeru. Nerwowo przerzucałem kartki, aż wreszcie znalazłem nazwisko Janka. Sprawdziłem jeszcze kierunkowy i zacząłem wykręcać numer. W momencie, gdy mój palec utkwiał w dziurce oznaczonej czwórką, zamarłem. Uświadomiłem sobie, że od mojego ostatniego pobytu w domu coś się tutaj zmieniło. Poczułem, jak coraz mocniej krew pulsuje mi w skroniach, a słuchawka zaczyna niebezpiecznie ciążyć. Dwiema rękami jakoś udało mi się ją odwiesić.

Jednocześnie przyszło mi do głowy coś, o czym wcześniej zupełnie nie pomyślałem. Wcześniej, kiedy pojawiłem się tu po raz pierwszy, automatycznie założyłem, że skoro drzwi były zamknięte na klucz, a klucz nie tkwił w zamku, to ktoś po prostu zamknął dom od zewnątrz. Zbyt wiele emocji towarzyszyło mi w tamtym momencie, bym mógł całą sytuację rozkładać na czynniki pierwsze, zwłaszcza gdy w pokoju odkryłem...

— Drzwi — szepnąłem, rozumiejąc już. — Przecież drzwi na pewno zostawiłem otwarte... Tak, jak je zastałem.

Korytarz był dość długi, jego drugą część, położoną teraz na prawo ode mnie, skrywała ciemność. Wrażenie, że nie jestem sam, że ktoś stoi w mroku i obserwuje moje poczynania, z każdą wlokącą się w nieskończoność sekundą było coraz bardziej dojmujące. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni, w której zwykłem nosić różaniec Pauliny.

„Zostawiłeś go w aucie — pomyślałem. — Podobnie jak nóż... Jak mogłeś tego nie przewidzieć?!”

Ale zaraz potem wspomniałem uczucie niepohamowanej złości, które zawrzało we mnie na wzgórzu, i odwróciłem gwałtownie głowę, oczekując ujrzenia świecącej w głębi korytarza pary oczu.

Nikogo.

Tym razem się pomyliłem.

Pozostawał jednak zamknięty pokój, z którego — nagle słuch mi się wyostrzył na tyle, że aż trudno było uwierzyć, że nie słyszałem tego wcześniej — dobiegał

cichy dźwięk, przypominający odgłos wprawionego w ruch, lekko skrzypiącego bujanego fotela.

Zrobiłem kilka kroków, stanąłem przed drzwiami, kładąc dłoń na chłodnej klamce. Chwila zawahania. Powróciły doskonale wryte w pamięć zdarzenia związane z trupami rodziców Anielki, które pod wpływem zapadającego zmierzchu przemieniały się w ożywione nieznaną siłą upiorne postaci. W mgnieniu oka przez głowę przemknęło mi też opisane w brulionie przez Rafała ocknięcie się na Czarnym Wygonie małej dziewczynki, która otworzyła ślepe oczy tuż po samobójstwie. Jedna z siostrzenic Teresy była mniej więcej w wieku tej dziewczynki...

Pchnąłem drzwi, spodziewając się najgorszego, jednak pomimo obrazów, które nagle przemknęły jak klatki filmowej taśmy, wciąż było we mnie więcej złości niż strachu.

Ustały lekko, uderzając z hukiem o ścianę.

Padające przez okno światło nie było zbyt mocne, ale wystarczające, bym zobaczył trzy wiszące ciała, które kołysały się z boku na bok, okręcając się równocześnie wokół własnej osi. Wyraz ich twarzy nie zmienił się — wciąż wykrzywiało je bezbrzeżne przerażenie, ale na twarzy młodszej z córek Bożeny dostrzegłem coś jeszcze — coś jakby zdziwienie, a może lekki uśmiech. Kto wie — może tuż przed szarpnięciem liny przeszło jej przez myśl, że tatuś wymyślił jakąś nową, dziwaczną zabawę...? Słyszalne z korytarza skrzypienie było spowodowane tarcie sznura, na którym została powieszona siostra Teresy, o stropową belkę.

Oparłem się o framugę i odetchnąłem ciężko. Po chwili zastanowienia stłumiłem w sobie chęć zdjęcia ciał. Ważniejsze było, aby nie pozostawić po sobie śladów, które mogłyby niepotrzebnie wzbudzić podejrzenia policji, gdy już śledczy zaczną dochodzenie. A najważniejszy teraz był telefon do Janka i prośba, aby zechciał mi po raz kolejny pomóc.

Ruszyłem z powrotem w stronę aparatu.

„Może powinieneś przeszukać dom? — zapytałem sam siebie w myślach. — Przecież ktoś przed chwilą był w tym pokoju...”

— Telefon do Janka przede wszystkim — powiedziałem głośno i w tej samej chwili usłyszałem za plecami rumor.

Odwróciłem się, odruchowo osłaniając twarz ramieniem, ale korytarz wciąż był pusty. Potem stwierdziłem, że hałas dobiegł z pokoju, i faktycznie — miałem rację.

Wróciłem.

Sznur najwidoczniej się przetarł, a kobieta leżała teraz na dywanie, patrząc zmętniałymi oczyma dokładnie w kierunku mojej twarzy. Głowa nie opierała się o podłogę. Wiedziałem, że najpewniej jest to wynik stężenia pośmiertnego, ale i tak dreszcze przebiegały po moich plecach we wszystkie możliwe strony.

— Nic się nie bój, Bożenka. Damy im jakoś radę... — powiedziałem.  
— Obiecuję to tobie i dziewczynkom.

A potem zamknąłem drzwi.

\*

Nie przeszukałem domu. Gdyby ukrywał się w nim Czarny i tak byłbym wobec niego bezbronny jak dziecko. Na wyprawę do samochodu po różaniec potrzebowalibyśmy na pewno około pół godziny, a czułem, że dla Mateusza ważna może być każda minuta. Poza tym zakładałem, że jeśli Czarny chciałby mnie dorwać, to przecież tego dnia miał już co najmniej dwie okazje.

Janek odebrał po trzecim sygnale. Po tym, gdy się przedstawiłem, milczał przez moment, a kiedy się wreszcie odezwał, trudno było się doszukać w jego tonie chociażby cienia radości.

— Skąd ty dzwonicz? I czego znowu chcesz? Mam nadzieję, że chcesz mi poopowiadać, jaka pogoda jest w Warszawie.

Biorąc pod uwagę fakt, że jak do tej pory moje pojawienie się na jego horyzoncie zwiastowało problemy, jakoś nie potrafiłem mieć mu za złe, że nie skakał z radości przy telefonie.

— Janek, nie jestem w Warszawie.

— To gdzie? W Zamościu? Bo do Zamościa miał cię odwiedzić Bogdan, gdy widzieliśmy się ostatnim razem, prawda? — Był niespokojny i wcale nie zamierzał tego ukrywać. — Zostałeś jeszcze na parę dni? Ładne miasto, prawda?

— Długa historia. Później ci opowiem, jak zechcesz, ale teraz potrzebuję twojej pomocy.

Sapanie w słuchawce.

— Jestem w Bliżowie. Mógłbyś tu przyjechać?

— Witek, kurwa, co ty znowu...?

Przerwałem mu:

— Znasz Bożenę...? — Przez moment zastanawiałem się, czy znam jej nazwisko, ale nawet jeśli tak było, to nie potrafiłem sobie go przypomnieć.

— Zresztą nie ma znaczenia, jak się nazywała. Nie żyje ona, nie żyją jej dwie małe córeczki. Zostały zamordowane.

Nie odezwał się nawet słowem, więc ciągnąłem:

— Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Starzyźnie, uwierzyłeś mi, prawda? Ty mi uwierzyłeś i Krzysztof też. Nie czas teraz na to, bym wyjaśniał szczegóły. W każdym razie... — Przełknąłem ślinę, bo nagle zrobiło mi się sucho w gardle.

— W każdym razie wygląda na to, że to się zaczęło też tutaj.

— Czekaj, Witek, ale że niby... że co się zaczęło? Co ty w ogóle pieprzysz? Przecież... przecież ostatnio mówiłeś, że on nie wróci...

— Mówiłem, że tak mi się wydaje. I jeśli chodzi o niego, nie zmieniłem zdania.

— No więc...?

— Tyle że teraz nie chodzi o dużego faceta, który zamordował tę parę młodych

ludzi i któremu odciąłem głowę saperką niedaleko Starzyzny. Obawiam się, że jest gorzej. O wiele gorzej...

— To znaczy? — Już się nie złościł, a jego głos w słuchawce był ledwo słyszalny.

— To znaczy, że być może wszystko może się powtórzyć tu i teraz. W Bliżowie, w Bondyrzu, w Guciwie... Oni zaczynają przechodzić do naszego wymiaru, Janek. Przysięgam, nie wiem jeszcze jak i dlaczego, ale tak się dzieje... I zdaje się, że są jeszcze gorsi, bardziej niebezpieczni, niż ten, którego udało mi się unieszkodliwić.

— Czekaj, czekaj! — Jego głos nagle zabrzmiał o wiele żywiej. — Może coś piłeś i... no wiesz...?

— Mówiłem ci ostatnio, że już nie będę pił. Słuchaj, nie ma zbyt dużo czasu. Nie dość, że mam tu trzy ciała, do tego jeszcze został porwany mały chłopiec i obawiam się, że jeśli nie weźmiemy się do roboty, to może się stać kolejne nieszczęście.

— Mamy wziąć się do roboty? A macz chociaż jakiś plan działania?

— No pewnie! — Wcale nie byłem co do tego przekonany. — Ale potrzebuję twojej pomocy, więc przyjeźdź. Najlepiej zaraz.

— Dobrze, Witek. Mam nadzieję, że to jakieś nieporozumienie i...

— Na twoim miejscu bym się nie trzymał tej nadziei zbyt kurczowo, no ale, daj Boże, obyś miał rację.

— Okej. Gdzie jesteś?

— Będę na ciebie czekał przy głównej drodze, koło domu Teresy Bielak w Bliżowie. Wiesz gdzie?

— Tak, wiem, gdzie mieszka. Czegoś będziesz potrzebował?

— Będę. Jeśli masz, to weź ze sobą kanister z paliwem...

— Co?!

— Masz kanister z paliwem? Pięć litrów chociaż.

— Ale z jakim paliwem?

— Jak to z jakim? Z takim do samochodu.

— Ropa czy benzyna? Na pewno nie jesteś pijany?

Usiłowałem zebrać myśli i przypomnieć sobie tankowanie przed Krasnymstawem.

— Benzyna. Masz?

— Mam.

— To weź i przyjeżdżaj jak najszybciej.

O tym, że będę potrzebował też jego fałszywych zeznań, postanowiłem powiedzieć mu dopiero nieco później.

\*

Odetchnąłem z ulgą, wychodząc na zewnątrz i zamykając za sobą drzwi na klucz. Już nie rozglądałem się w poszukiwaniu ciekawskich oczu sąsiadów —



najważniejsze było opuszczenie tego miejsca, bez względu na to, czy prócz trzech ciał znajdował się w nim ktoś jeszcze.

Początkowo planowałem zajrzeć na chwilę do Janki, by sprawdzić, co z Teresą, lecz ostatecznie postanowiłem zrobić to dopiero po przyjeździe Stanisławskiego. Jeśli Bielakowa wciąż spała, lepiej było jej nie budzić.

Miałem więc jakieś dwadzieścia minut. Skierowałem się w stronę drewnianej, pokrytej falistym eternitem stodoły. Deszcz wciąż padał, a mnie nie było w smak moknąć znów w jego lodowatych strugach. Okazało się, że przysadzisty, dwudrzwiowy budynek służył też jako garaż dla stojącego tuż za szerokimi wrotami malucha oraz dla wyglądającego na wysłużony żółtego ciągnika ursus C-330.

Domyślałem się, że w tego typu budynkach można znaleźć zapas jakiegoś paliwa (świadczył o tym także charakterystyczny zapach), niemniej jednak ostatecznie z tego zrezygnowałem. Janek wkrótce miał je przywieźć, więc wolałem do tego czasu trochę odpocząć. Znalazłem przewrócony pień do rąbania drewna i usiadłem na nim ciężko, opierając plecy o belkę biegnącą w poprzek stodoły. W trakcie tej dość prostej operacji udało mi się zaplątać w długi na kilka metrów zwój grubego sznura, sięgnąłem więc po niego, by natychmiast odrzucić go z obrzydzeniem. Zaraz potem wstałem, pochyliłem się i znów wziąłem go do ręki. Nie było wątpliwości — miałem w dłoni fachowo wykonaną, zwieńczoną solidnym węzłem pętlę wisielczą.

Spojrzałem do góry, a potem na ścianę stodoły. Z przylegającej do niej belki zwisał drugi, o wiele krótszy kawałek powrozu niż ten, który trzymałem. Wyglądało więc na to, że znacznie zbliżyłem się do rozwiązania zagadki. Najpewniej w tym miejscu samobójstwo popełnił mąż Bożeny, po czym obudził się już jako postać, u której nie zobaczyłbym źrenic, odciął sznur przy ścianie i poszedł mordować najbliższych. Potem udał się do sąsiedniego domu i okłamał Teresę, po czym porwał jej syna.

Niby wszystko było jasne, ale jednak coś nie grało. Nie to, że Teresa nie zauważyła zmiany, której uległ jej szwagier, bo przecież w hotelu w Łęcznej Janka też nie zobaczyła nic dziwnego w wyglądzie Weroniki.

Stałem w miejscu, gdzie znalazłem pętlę i przewrócony pień, a potem odliczyłem krokami odległość od ściany. Cztery, a więc około trzech metrów. Krótszy kawałek sznura mierzył co najwyżej metr. Nie było szans, aby sięgnąć ręką z jednego miejsca do drugiego. Jeśli założyć, że mąż Bożeny po targnięciu się na własne życie miał ważniejsze rzeczy na głowie, niż turlanie pieńka i przenoszenie powrozu...

— Nie był sam — szepnąłem, a potem poczułem potężne uderzenie w okolice nerek, które zwałyby mnie z nóg, gdyby nie to, że stałem tuż przy ścianie stodoły i mogłem się o nią oprzeć wolną ręką.

— Cóż za przenikliwość — dobiegło zza moich pleców. W tym samym

momencie poczułem dwa bolesne ukłucia na szyi, które nieco przygłuszyły rwanie dobiegające z okolicy lędźwi.

Głos wydał mi się znajomy, ale — co trochę mnie zdziwiło — nie należał on do Czarnego. Jego rozpoznanie utrudniał ulewny deszcz, który wciąż bębnił o dach. Gdyby nie to, być może usłyszałbym zbliżające się kroki, niewykluczone jednak, że byłem zbyt zaabsorbowany swoim odkryciem, by zwrócić na nie uwagę. Teraz, kiedy ostre szpikulce prawie przebiły skórę na moim karku, nie miało to już specjalnego znaczenia.

— Jakie to szczęście, że takiś dociekliwy — powiedział. — Już myślałem, że się nie doczekam. Milicję zawiadomiłeś?

Rozmawiałem z nim ledwie kilka chwil przed kościołem w Starzyźnie, a później zdarzyła się nam tylko krótka wymiana zdań na Czarnym Wygonie, ale wtedy jego głos brzmiał zupełnie inaczej. Wtedy to ja byłem katem, teraz był nim on, a przecież głos kata zawsze się będzie różnił od głosu ofiary. Poznałem go więc bardziej po treści pytania. Milicji w Polsce nie było już od ładnych kilkunastu lat, ale w pięćdziesiątym drugim, gdy Dobrowolski wbijał nóż w serce Pauliny Podolak, formacja ta miała się nadzwyczaj dobrze.

— Oczywiście. Jada już z psami tropiącymi. Będzie ci się trudno odganiać od nich jedną ręką.

Ból na szyi stał się jeszcze silniejszy.

— To już mój kłopot, dowcipnisiu. Do tego czasu zdążę się z tobą porządnie zabawić.

— Myślałem, że wolisz młode dziewczyny, które możesz bezkarnie wykorzystać, a potem...

— Milcz!

Jeden ze szpikulców przebił skórę. Poczułem strużkę krwi spływającą po plecach, a zaraz potem nacisk zelżał.

— Odwróć się — odezwał się Dobrowolski. — Chcę zobaczyć, jak umierasz.

Zrobiłem, co mi kazał.

Środkowe szpikulce czterozębnych wideł, które trzymał w lewej ręce, dotknęły tym razem mojej grdyki. W półmroku widziałem jego fosforyzujące bielą oczy, ale ponieważ kaptur był lekko odchylony, a przez jedną ze szpar w ścianie, o którą się teraz opierałem, wpadało do stodoły pionowe pasmo światła, po raz pierwszy zobaczyłem też jego twarz. Szczyrzył zęby jak wściekły pies, czym przypomniał mi spotkanie z Czarnym w piwnicy Adamowiczów. Jednak wtedy miałem do czynienia z cynicznym wyrachowaniem i okrucieństwem przykrytym cienką warstwą okrągłych, starannie dobieranych słów, a tym razem naprzeciw siebie widziałem szaleńca dyszącego żądzą zemsty.

Po raz kolejny żałowałem, że nie mam ze sobą różańca. Gdybym miał więcej oleju w głowie, zapewne moja sytuacja nie byłaby tak beznadziejna. Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem na myśl o swojej lekkomyślności, co

Dobrowolski natychmiast zauważył.

— Wesoło ci? — spytał.

— Zastanawiam się, czy w pakiecie z widłami dostałeś też kopytka i czarny ogon...

— Ty sukinsynu. Zaraz pożałujesz dnia, w którym się urodziłeś — wyrecytował swoje znane mi już dobrze z brulionu Gielmudy powiedzonko. — Będziesz zdychał w męczarniach.

— Urodziłem się w dniu, w którym zamordowałeś Paulinę. Wiedziałaś o tym?

Przez chwilę na jego twarzy zagościło zdziwienie, ale zaraz potem odparł.

— Nie ma to znaczenia. Szykuj się... — Poczuję mocniejszy nacisk na grdykę.

— Poczekaj chwilę. Ostatnie życzenie skazanego... — wycharczałem.

— Tylko szybko. Chętnie zabawiłbym się z tobą dłużej, ale milicja jest już pewnie w drodze. — W jego głosie zabrzmiała nuta żalu.

— To ty zabiłeś dziewczynki i siostrę Teresy?

Zawahał się, ale potem, uznawszy zapewne, że jego odpowiedź i tak już nic nie zmieni, odparł:

— Nie, to było zadanie dla głowy rodziny.

— Wiedzieliście, że Bielakowa pilnuje syna i musieliście się uciec do podstępu?

— To swoją drogą, ale Tadzik przecież sam z siebie i za darmo nie wywinął takiego numeru. Coś za coś.

— Co dostał w zamian?

— Wykonał zadanie, udowodnił, że można mu zaufać, a w nagrodę dostał coś, na czym bardzo mu zależało. Zdziwiłbyś się, za jakie drobiazgi ludzie są w stanie robić innym krzywdę. — Popatrzył na mnie uważnie, a na jego gębie pojawił się krzywy, lubieżny uśmiech. — W sumie to mogę ci powiedzieć, bo niby czemu nie. Od dawna spotykał się z taką jedną w Zamościu, teraz będą już mogli wic sobie gniazdko bez przeszkód. Przeszkody nie są groźne, gdy dyndają na stryczku. — Roześmiał się, zadowolony ze swojego żartu. — Poza tym pieniądze też będą mieli pod dostatkiem...

Nie chciałem już dłużej słuchać.

— To ty byłeś przed chwilą w domu, prawda? — przerwałem mu. — Czekales na mnie i miałeś nadzieję, że zaskoczysz mnie, gdy przyjdę i zobaczę, że się ruszają? Nie byłeś pewien, czy będę miał ze sobą różaniec, bo Czarny cię ostrzegł, że mogę mieć i kazał ci uważać.

— Jak dla ciebie, to pan Czarny. Bardzoś domyślny. Szkoda, że to nie ty dołączyłeś do naszej drużyny, byłoby nam wtedy łatwiej, no ale cóż... Jak widzisz, ze znalezieniem innych sojuszników nie będzie kłopotu...

— Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem lekko cofnął rękę, by zadać ostateczny cios.

Niektórzy twierdzą, że warto zachować sznur, na którym ktoś się powiesił, bo to

przynosi szczęście. Ten, który przed chwilą znalazłem, wciąż spoczywał w mojej dłoni, więc postanowiłem sprawdzić, ile w tym prawdy. Gdy ucisk zelżał, zamachnąłem się i starałem się uderzyć Dobrowolskiego. Początkowo wyglądało na to, że grubo przestrzeliłem, ponieważ pętla nie trafiła w głowę, zaraz potem okazało się co innego — sznur gwałtownie wprawiony w ruch zawinął się za szyją, nabrał rozpędu, okrążając czaszkę na wysokości prawego ucha i okalając czoło tuż nad oczyma, a ciężki, twardy jak kamień węzeł stryczkowy z ogromną siłą uderzył przeklętego klechę w lewą skroń. Jednocześnie uchyliłem się, unikając wideł, które, minimalnie spóźnione, wbiły się w ścianę dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było moje gardło.

Dobrowolski zachwiał się, ale jakimś cudem zdołał utrzymać równowagę, jednak chwilę potem, gdy wolną ręką z całej siły walnąłem go w szczękę, bezwładnie runął do tyłu, uderzając potylicą w pień, na którym wcześniej przysiadłem. Pomimo chromej nogi i palącego plecy bólu, skoczyłem do przodu jak nastolatek, zerwałem kaptur habitu i zarzuciłem pętlę na szyję mojego niedoszłego oprawcy. Gdy była już mocno zaciśnięta, drugi koniec sznura przerzuciłem przez biegnącą w poprzek stodoły belkę, a następnie pociągnąłem go z całych sił w dół. Stało się to dokładnie w chwili, gdy Dobrowolski zaczął odzyskiwać świadomość.

Pamiętając o nadludzkiej sile, którą dysponowały upiorne postaci w Starzyźnie, zacząłem zastanawiać się, czy nie jest w stanie podciągnąć się na jednej ręce, ale nawet gdyby mu się to udało, nie zdołałby oswobodzić szyi z ciasno zaciśniętej pętli. Pozostawało więc tylko wyteńczyć wszystkie siły i czekać, aż szejnie, bo przecież drugą rękę miał odstrzeloną nieco poniżej barku. Na pytanie, czy na zawsze, czy też może następnego dnia znów się obudzi w jakimś przypominającym Czarny Wygon miejscu, odpowiedź poznałem już po upływie kilku minut.

\*

Okazało się, że uduszenie Dobrowolskiego będzie trudniejsze, niż mi się na początku wydawało. Zdołałem wprawdzie spionizować ciało, ale podniesienie rośłego mężczyzny w taki sposób, by przestał dotykać ziemi palcami stóp, przekraczało moje możliwości. Mało tego — gdy ramiona zaczęły mi mdleć z wysiłku, a on zaczął się gwałtownie szarpać, byłem przekonany, że sznur zaraz zostanie wyrwany z moich dłoni.

W ostatniej chwili dostrzegłem metalowy hak wkręcony w pionową belkę konstrukcyjną. Udało mi się przeciągnąć pod nim powróż i dzięki uzyskanej w ten sposób dźwigni utrzymanie liny stało się o wiele łatwiejsze. Z satysfakcją patrzyłem, jak Dobrowolski rzuca się na wszystkie strony. Nie potrafiłem wzbudzić w sobie nawet krztyny litości. Zresztą wcale tego nie chciałem, pamiętając dobrze, z kim mam do czynienia.

Nagle przyszedł mi do głowy iście szatański pomysł. Wyczekałem chwili, gdy

ciało po drugiej stronie sznura zamarło na chwilę i wtedy udało mi się zawiązać na haku prowizoryczny węzeł. Nie był on zbyt skomplikowany, jednak w zupełności wystarczył do utrzymania Dobrowolskiego. Wtedy przeszedłem kilka kroków i stanąłem naprzeciw niego. Zauważył mnie dopiero po chwili, a wtedy jego twarz znów nienawistnie się wykrzywiła. Chyba chciał coś do mnie zagadać, ale sznur skutecznie mu to uniemożliwił.

— Jak się bawisz, gnoju? — zapytałem. — Podobają ci się takie igraszki?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem stłumiony charkot.

— Mogę skrócić tę twoją szamotaninę.

Zrobił to, czego się spodziewałem wcześniej. Sięgnął lewą ręką za głowę, złapał za węzeł i podciągnął się lekko.

— Sssspie... eee... — Na więcej nie było go stać, nie mógł tak wytrzymać zbyt długo, puścił więc sznur, a gardłowy głos przeszedł w bezgłośne syczenie. I tak domyśliłem się, co miał mi do zakomunikowania.

— Wystarczy, że odpowiesz na dwa proste pytania. Po pierwsze: gdzie jest Mateusz Bielak?

Pokręcił głową, ale to chyba nie był dobry pomysł, bo zaraz potem wykrzywił twarz z bólu.

Wzruszyłem ramionami.

— Jak wolisz — powiedziałem, a potem przeturlałem pieniek i usiadłem naprzeciw. — Ja mam czas. Masz może papierosa?

Tym razem nawet nie próbował odpowiedzieć. Z najwyższym trudem łapał powietrze i przypatrywał mi się bez słowa.

— Proste pytanie, krótka odpowiedź.

Gdyby miał źrenice, pewnie co chwila uciekałyby mu one pod powieki. Zacząłem się zastanawiać, jak długo tak wytrzyma, zanim się udusi na amen. Zamknął oczy.

— Może potrzebujesz ostatniego namaszczenia? Ach, zapomniałem, jesteś przecież księdzem, więc sam go sobie możesz udzielić. Wyspowiadać się też możesz sam przed sobą.

Tym razem chwycił za węzeł z tak dużym wysiłkiem, że aż zacząłem wątpić, czy uda mu się po raz kolejny podciągnąć.

— U... u Bi... eee... sów.

— U biesów? Coś chyba zaczynasz bredzić albo nie wiesz...? No ale może z drugim pytaniem pójdzie ci lepiej. W jaki sposób Czarny dostaje się do Starzyzny?

Zauważyłem, że ciało Dobrowolskiego zaczęło zwisać bezwładnie, a po chwili wstrząsnęły nim konwulsje. Poderwałem się z miejsca.

— Czekaj, jeszcze nie, muszę poznać odpowiedź przynajmniej na to drugie pytanie! — krzyknąłem i poturlałem pieniek w jego stronę, pamiętając jednak, by pozostać poza zasięgiem jego ręki. Wtedy usłyszałem stanowcze:

— Zostaw go! Popuść linę i go natychmiast zostaw. — Odruchowo rozejrzałem się wokół, ale dźwięczny, tym razem dobrze mi znany głos dobiegał z góry.

Podniosłem głowę.

Twarz Dobrowolskiego, która — nie miałem co do tego wątpliwości — nie należała już w tej chwili do niego, patrzyła na mnie z lekkim zniecierpliwieniem, a w kąciku jej ust czaił się lekki uśmiech.

— Och, mój drogi Witku, ależ ty jesteś niezdolny. Słyszałeś chyba, co powiedziałem? Masz w tej chwili odwiązać tego kretyna. — Mówił bez najmniejszego wysiłku, a pętla w rytm posłusznie poruszała się na jego grdyce.

— Co ty nie powiesz — odparłem, cofając się o dwa kroki.

Pokręcił głową Dobrowolskiego, wykrzywiając jego rysy w wyrazie niezadowolenia.

— Coś ci się pomyliło, przyjacielu. — Tym razem zaprezentował wilczy, pobłażliwy i pełen wyższości uśmiech, który dobrze pamiętałem z piwnicy domu Adamowiczów. — Po pierwsze, nic się nie zmieniło i wciąż nie możesz się do mnie zwracać po imieniu...

— A pieprz się, stary dziadu!

— Po drugie, jest tu w pobliżu mnie pewien bardzo młody człowiek. Jeśli nie spełnisz mojego żądania w ciągu minuty, to skręcę mu kark.

— Nie zrobisz tego! — krzyknąłem.

— Doprawdy? — Tym razem odchylił głowę do tyłu i roześmiał się szczekliwie. — Może się założymy?

— Jaką mam pewność, że...?

— Och, wy z tą swoją zasraną pewnością! Najpierw Teresa, potem Tadeusz, a teraz ty... Nie masz żadnej pewności, rozumiesz? Ale masz moje słowo i ono ci będzie musiało wystarczyć.

Zacząłem się wahać.

— Masz ochotę podjąć takie ryzyko? — zapytał, znów czytając w moich myślach.

— Dotrzyma pan słowa?

— Ja zawsze dotrzymuję słowa — odparł.

Ruszyłem w stronę haka, by rozwiązać węzeł.

— Poczekaj jeszcze chwilę — rozkazał. — Z wezwaniem policji masz zaczekać do zmroku, żeby księżulo zdążył się bez przeszkód oddalić, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem.

Chwilę potem ciało Dobrowolskiego głucho uderzyło o podłogę. Podeszedłem bliżej. Leżał na boku, więc z łatwością wymierzyłem mu solidnego kopniaka w klatkę piersiową.

— Masaż serca — powiedziałem.

Drgnął i łapczywie nabrał powietrza, a ja powoli, nie odwracając się ani razu, wyszedłem na zewnątrz.

### 3.

Przestało padać. Podczas szamotaniny z Dobrowolskim, co oczywiste, nie zwracałem uwagi na odgłosy deszczu, ale tuż przed nią przecież jeszcze porządnie lało. Niebo nad Bliżowem zaczęło się przejaśniać, a nad odgradzającymi dolinę od zachodu wzgórzami spomiędzy chmur wystrzeliwały słoneczne promienie, tnące wilgotne i mgliste powietrze niczym złocistoczerwone lancety. W położonych nieopodal krzewach hałaśliwie rajcowało stado wróbli, nie zwracając uwagi na czarnego kocura, który skradał się, by na nie zapolować. Od położonego po drugiej stronie drogi gospodarstwa dobiegał miarowy dźwięk rąbania, a z oddali słyhać było zniecierpliwiony kobiecy głos, najpewniej przywołujący niesforne dzieci na obiad lub podwieczorek.

Przybycia Stanisławskiego można było się spodziewać lada chwila, więc przysiadłem na ławeczce ustawionej przy domu od podwórza, starając się spośród otaczających mnie dźwięków wyłowić odgłos silnika zbliżającego się od Guciowa samochodu. Opierając się ciężko o chłodną fasadę budynku, czując jednocześnie ból w plecach i ramionach (skaleczenie na karku na szczęście nie było zbyt głębokie, a krew zaczęła już zasychać), uświadomiłem sobie kilka faktów.

Życie w Bliżowie toczyło się swoim rytmem, podczas gdy w stojącej naprzeciw stodole dochodził do siebie bezwzględny zabójca, któremu miałem obowiązek zapewnić bezpieczną ewakuację pod osłoną nocy. Nie był to fakt, który mnie cieszył, niemniej jednak pozytywne w całej sytuacji było to, że z pewnością mogłem go zabić. Gdyby było inaczej, Czarny nie włączyłby się przecież do gry, ratując w ostatniej chwili jego skórę.

Zatem życie w Bliżowie toczyło się swoim rytmem, odmiennym od tego, z jakim miałem do czynienia w Starzyźnie. Wyglądające nieśmiało spośród chmur słońce i rozświergotane stadko ptaków były na to kolejnym dowodem. Cokolwiek miało się stać w przyszłości, jakkolwiek losy wioski i jej mieszkańców miały się dalej potoczyć, byłem przekonany, że warto podjąć walkę. Nie wiedziałem na razie, jak miałyby ona wyglądać, nie wiedziałem, co można zyskać, a co stracić, ale na pewno nie było jeszcze za późno.

Dotarła do mnie jeszcze jedna kwestia i ona skutecznie zatarła wszelkie pozytywne aspekty, których próbowałem się doszukać — znajdujących się w domu za moimi plecami dziewczyny mama nigdy już nie zawołała późnym popołudniem na obiad. Ani na obiad, ani na kolację, ani na rozpoczynającą się w telewizji wieczorynkę. Żadna z nich nie zobaczy, jak podczas zbliżającej się wiosny zakwitną sady, nie usłyszy w maju śpiewu słowika, nie skosztuje

czerwcowych czereśni...

A ten skurwiel, który odebrał im życie, będzie teraz bujał się gdzieś w Zamościu ze swoją nową panienką, szastając na lewo i prawo zakrwawionymi, śmierzącymi parszywymi łapami Czarnego pieniądza. Ona nie zauważy niczego, nie spostrzeże pustych ślepi i będzie sądziła, że wszystko jest jak dawniej, z tą różnicą, że „Tadzik jej kochany” porzucił dla niej swoje dotychczasowe życie. Pewnie jeszcze potem jej nakłamię o tym, że ktoś zamordował jego rodzinę, a ona będzie mu współczuć...

Miałem właśnie wstać i po raz kolejny udać się do stodoły, by z gardła Dobrowolskiego wyszarpać więcej informacji na temat tego, gdzie można znaleźć tego sukinsyna, gdy usłyszałem samochód.

„Jeszcze cię dopadnę, przysięgam” — pomyślałem, po czym wstałem, stękając z bólu, i pokuśtykałem w stronę furtki.

\*

Nie wiedziałem, jaki samochód ma Janek, ale ponieważ srebrny ford mondeo przemknął obok domu Teresy, nawet nie zwalniając, uznałem, że będę musiał jeszcze chwilę poczekać na Stanisławskiego. Podobne auto pamiętałem wprawdzie z innego, odległego o lata świetlne życia, ale nie miałem zamiaru zastanawiać się, gdzie mogłem je widzieć. W tamtej chwili najważniejsze było, by wrócić do stodoły, w której dochodził do siebie Dobrowolski. Ten plan musiałem jednak odłożyć na później, ponieważ samochód kilkadziesiąt metrów dalej zahamował z piskiem opon.

Zobaczyłem, że drzwi po stronie kierowcy się otwierają. Zaraz potem ktoś wysiadł i najpierw niepewnie, a potem niemal biegiem ruszył w moją stronę. Lekko przygarbiona sylwetka i posrebrzone siwizną włosy przywołały dawne wspomnienia. Gdy go rozpoznałem, zakręciło mi się w głowie tak bardzo, że aż musiałem oprzeć się o drewniany parkan.

Przystanął jakieś trzy metry przede mną.

— Witek, Boże Świąty, to naprawdę ty?!

Od Guciowa nadjeżdżało kolejne auto. Kierowca bordowego passata kombi mrugnął długimi światłami, wrzucił lewy migacz i przeciął linię jezdni, zatrzymując się naprzeciw furtki prowadzącej do domu Teresy, oddalonej ode mnie o kilkanaście metrów.

Uścisnąłem jego wyciągniętą dłoń. W przeciwieństwie do mojej była miękka i delikatna; nie taka, jak pamiętałem ją sprzed dwóch lat. Nie wiem, czy to przez to, że moje ręce przez ten czas stały się o wiele bardziej szorstkie, czy też może jego wydelikatniały. Może i jedno, i drugie.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Tak dobrze mi znany nerwowy tik na milisekundę wykrzywił prawą część pooranej zmarszczkami twarzy. Kosmyk przydługich, prawie całkiem siwych włosów obsunął mu się na czoło. Poprawił go niezgrabnym ruchem.



— Skąd się tu wzięłeś? — Nie potrafiłem wydusić z siebie niczego bardziej sensownego.

Milczał przez moment, jakby zastanawiając się, czy to wszystko przypadkiem mu się nie śni. Wreszcie odparł, wyrzucając z siebie słowa szybko, trochę nieskładnie:

— Przyjeżdżamy czasem z Gorzowa do Krasnobrodu, między innymi na święta, a ja mam tu, w Bliżowie znajomych, którym zawdzięczam życie. Bieda u nich aż piszczy, więc im pomagam jak mogę... Przepraszam cię, ale teraz muszę pędzić do Zamościa. Ich sąsiad potrzebuje natychmiast dostać się do szpitala, więc poprosili, żebym go jak najszybciej tam zawiózł. — Odwrócił głowę w kierunku swojego samochodu, a potem obdarzył mnie ciężkim, pełnym niepewności spojrzeniem. — Poczekasz tu na mnie?

Skinąłem głową. Gdy się oddalał, krzyknąłem jeszcze:

— Co z Paulinką?!

Odwrócił się w moją stronę.

— Później opowiem! Teraz naprawdę nie mogę... — odparł, biegnąc do auta.

— O, niedawno o niego u mnie pytałeś, a widzę, że już się znaleźliście.

— Usłyszałem za plecami. Janek trzymał w ręku pięciolitrowy plastikowy kanister i z wyrazem niechęci na twarzy patrzył w ślad za odjeżdżającym foldem.

— Ale jak chcesz, żebym się znowu z wami włóczył nocą po lasach, to ja odpadam.

— Nie wiem jeszcze. Być może będzie to konieczne. A spotkaliśmy się przed chwilą z Rafałem po raz pierwszy od dwóch lat i na dodatek zupełnie przypadkowo...

Zainteresowała go tylko pierwsza część mojej wypowiedzi.

— Jak to nie wiesz? Mówiłeś przecież, że masz plan.

— Bo mam, ale na razie tylko krótkoterminowy. Chodź, podrzucisz mnie do samochodu. Paliwo mi się skończyło.

— Do jakiego samochodu? A co z potrójnym morderstwem, co z porwanym chłopcem...? — Z każdym zadawanym pytaniem podnosił głos coraz bardziej.

— Jeśli to wszystko prawda, to trzeba policję zawiadomić!

— Zawiadomimy, ale dopiero za jakiś czas — odpowiedziałem cicho, biorąc go za łokieć. — Musimy poczekać do zmroku, bo inaczej chłopak zginie. Zaraz ci to mogę wyjaśnić, ale jeśli postoiemy tu jeszcze trochę na widoku, to ktoś z sąsiadów może się zainteresować i wszystko weźmie w łeb.

Jakby na potwierdzenie moich słów ucichł odgłos rąbania drewna, a zaraz potem skrzypnęły drzwi od komórki w położonym po drugiej stronie drogi gospodarstwie.

— Widzisz? — dodałem, wskazując głową w tamtą stronę. — Już się ktoś zainteresował twoimi krzykami. Miałeś mi pomóc, a nie przeszkadzać, prawda?

Dłużej nie protestował. Posłał mi tylko spojrzenie z gatunku „ciesz się, że

w ogóle mam ochotę z tobą gadać” i dał się poprowadzić w stronę swojego volkswagena.

— Dobry z ciebie człowiek, Janku.

Powiedziałem to zupełnie szczerze, nie dając po sobie poznać wzruszenia, które spadło na mnie zupełnie niespodziewanie. Miał rację, doradzając wezwanie policji, miał też rację, myśląc to, co wyczytałem w jego oczach, a mimo tego posłusznie mnie posłuchał. Dobry, poczciwy i — nie po raz pierwszy zresztą — chętny do pomocy człowiek. Kiedy myślę o tamtej chwili, o momencie, gdy we dwóch zmierzaliśmy do jego auta, to niewielu rzeczy jestem pewien bardziej od tego, że jeśli pomyślałbym, że mogę go narazić na jakieś niebezpieczeństwo, to — przysięgam — wziąłbym wtedy ten kanister, zaniósł go do fiesty sam, a Stanisławskiemu kazałbym czym prędzej wracać do domu, do żony i dzieciaków. Przypomniałem sobie, jak kiedyś, jeszcze przed moją wyprawą do Starzyzny, wracaliśmy we trzech (był jeszcze z nami Gielmuda) z Czarnego Wygonu. Mówił wtedy, jak bardzo rodzina jest dla niego ważna, jak bardzo zależy mu na jej bezpieczeństwie. Powiedział wtedy też, że może ryzykować życiem w Guciowie, by ich chronić. I wtedy, gdy szedł obok mnie, lekko posapując, naprawdę miałem wrażenie, że nic mu nie grozi.

W momencie gdy dochodziliśmy do jego passata, zrezygnowałem z pomysłu, który chwilę wcześniej wpadł mi do głowy. Stwierdziłem, że Dobrowolski może być niebezpieczny nawet dla nas dwóch i nie ma sensu ryzykować, by pokazać go Jankowi jak małą w cyrku. Zresztą o przeklętym klesze akurat chyba nawet nie wspominałem Stanisławskiemu i Krzysztofowi, kiedy wróciłem w Wielką Niedzielę ze Starzyzny i zostałem poczęstowany świątecznymi specjami. Istniała jeszcze możliwość, że Janek przeczytał książkę „Czarny Wygon” — wtedy postać zakapturzonego księdza nie byłaby mu całkiem obca, ale i tak przede wszystkim musiałem znów mieć przy sobie różaniec Pauliny. Tak czy inaczej, wizytację w kryjówce Dobrowolskiego można było odłożyć na później; miał przecież czekać w stodole aż do zapadnięcia zmroku.

\*

Fiesta stała tak, jak ją zostawiłem poprzedniego dnia, co było miłym zaskoczeniem. Nie miała poprzecinanych opon ani powybijanych szyb. Coś mi mówiło, że gdybym nie zapomniał zabrać z niej różańca, to byłaby teraz w dużo gorszej kondycji.

W zestawie z kanistrem był nakręcany na gwint plastikowy lejek zakończony harmonijkową, elastyczną rurką, więc wlanie paliwa do baku zajęło nam dosłownie chwilę.

— Co teraz? — zapytał Stanisławski.

— Pojedź tam, gdzie się przed chwilą spotkaliśmy. W środku są dwie kobiety. Jedną z nich jest żona Adamowicza, Janka, a drugą — matka porwanego chłopca. Chciałbym, żebyś przez jakiś czas postął przed domem, tak na wszelki wypadek.

— Żona Adamowicza?

— Tak. Ona i Teresa Bielak.

— A skąd się tu wzięła Adamowi...?

— Janek, nie teraz, później.

— Dobrze, a ty? Co ty w tym czasie będziesz robił?

— Gdzie tu jest najbliższa stacja paliw?

Przez chwilę się zastanawiał.

— Chyba w Adamowie. Tak, na pewno. Jak się dojeżdża do skrzyżowania z drogą na Zamość, to widać ją po drugiej stronie.

Przypomniałem sobie, że zauważyłem ją, gdy jechaliśmy tamtędy z Janką dwa dni wcześniej.

— Zatankuję i wracam — powiedziałem. — Potem będę miał do ciebie ogromną prośbę.

Pokiwał ze zrezygnowaniem głową, ale bez słowa wrzucił pusty kanister do bagażnika, wsiadł do samochodu, odpalił silnik i ruszył. Podążyłem za nim.

Gdy zatrzymywał się na wysokości domu Teresy, początkowo zamierzałem przejechać obok niego, ale zmieniłem zdanie, uznając, że różaniec może mu się tutaj bardziej przydać niż mnie. Akurat wciskałem go Stanisławskiemu do ręki i zamierzałem wytłumaczyć dlaczego, gdy on spojrzał ponad moim ramieniem. Przez uchyloną furtkę widać było, jak Janka zbiega ze schodów i gna w naszą stronę.

— Z Teresą jest coraz gorzej! — powiedziała, stając obok nas. — Dzień dobry, panie Janku — dodała, jakby dopiero w tej chwili zauważając Stanisławskiego, ale zaraz potem znów mówiła tylko do mnie. — Z Teresą gorzej, Witku. Ma jakieś napady paniki, nie ma już żadnych tabletek na uspokojenie i nie utrzymam jej dłużej w środku. Co gorsza, chce iść do domu Bożeny, żeby sprawdzić, czy na pewno nie ma tam Mateusza! Właśnie szuka klucza...

Odruchowo sprawdziłem, czy mam go w kieszeni, a Janek zapytał:

— One tam są, prawda? Zamordowane. A Bielakowa jeszcze nic o tym nie wie...?

— Tak — odparłem z roztargnieniem. — Szkoda, że już się przebudziła, no ale trudno, musimy szybko coś wymyślić. Na pewno trzeba ją stąd zabrać. Janka, chciałem was zawieźć do twojego domu, co ty na to? Wydaje mi się, że lepiej będzie, gdy znikniecie przed przyjazdem policji. Może u siebie masz jakieś środki... nie wiem, nasenne czy inne... nie znam się na tym.

— Mam ich całe mnóstwo. Bogdan nie zaśnie nawet po dwóch nieprzespanych nocach, jeśli nie weźmie garści, więc mamy ich pełne szuflady. Tylko powiedz, jak ją przekonać. Jak zmusić ją do tego, żeby stąd gdzieś pojechała, skoro tutaj zaginął Mateusz?

Na moment zapadła cisza, którą przerwał Janek.

— Powiem jej, że jadąc tu, widziałem podobnego chłopca w Guciowie.

— Popatrzył po nas niepewnie. — Że być może był to jej syn. Widziałem go parę razy, więc... Co się tak gapicie? To chyba dla jej dobra?

— Jesteś genialny, chłopie — powiedziałem.

Drzwi od domu skrzypnęły i pojawiła się w nich Teresa. Rozczochrana, ubrana tylko w dżinsy i wiatrówkę, którą pamiętałem ze snu, jaki przyśnił mi się w Wielką Niedzielę. Stopy miała bose.

— Ty, Janka, na pewno nie widziałaś tego klucza? — krzyknęła.

— To co, poradzicie sobie beze mnie? — zapytałem. — Muszę pojechać zatankować, bo samochód będzie mi jeszcze na pewno potrzebny.

Skinęli równocześnie głowami.

— Tylko wróć zaraz, dobrze? — Tym razem zwróciłem się tylko do Stanisławskiego. — Spotkamy się w tym miejscu.

— Będę jak najszybciej, ale może to chwilę potrwać. Wszystko zależy od... no wiesz... — Ruchem głowy wskazał Teresę — Nie wiadomo, czy nie będzie z nią większych problemów.

A potem podążył śladem Janki.

Przez moment zastanawiałem się jeszcze, czy ma ze sobą różaniec, ale ostatecznie uznałem, że w całym tym zamieszaniu wsunął go nieświadomie do kieszeni kurtki.

## 4.

Podróż do Adamowa zajęła mi niecałe dziesięć minut. Starłem się jechać wolno, aby nie zwracać na siebie uwagi ani miejscowych mieszkańców, ani ewentualnego patrolu drogówki. Pierwszy cel osiągnąłem prawdopodobnie, a drugi na pewno. Przez całą drogę minąłem może ze trzy samochody, nie widziałem też ani jednego radiowozu. I całe szczęście, bo próby tłumaczenia się z braku dokumentów samochodu (przy jednoczesnej obecności starej strzelby w bagażniku) z pewnością wypadłyby w moim wykonaniu rozpaczliwie.

Prawdziwe chwile grozy przeżyłem natomiast po zatrzymaniu się obok dystrybutora na stacji paliw.

Poprzedniego dnia, zostawiając auto niedaleko Słonecznej Doliny, włożyłem swoją torbę do bagażnika. Zabrałem wtedy ze sobą tylko różaniec, nóż i zeszyt „Przepisy Świąteczne”. Ten ostatni został dziś rano w domu Adamowiczów. Różaniec i nóż znalazłem niedawno w bocznej kieszeni forda, czyli tam, gdzie umieściłem je rano, po powrocie z domu Adamowiczów. Torby nie widziałem od wczoraj, a przecież to w niej był portfel z pieniędzmi Adama (ostatnie swoje wydałem na zakupy w Łęcznej). Mało tego — nie byłem nawet pewien, czy klapę bagażnika zamknąłem na klucz.

Wysiadłem i po chwili okazało się, że moje obawy były słuszne, niemniej jednak z bagażnika na szczęście nie zginęła ani torba, ani zardzewiała strzelba Stanisławskiego, która leżała dokładnie tak, jak ją poprzedniego dnia zostawiłem.

W momencie gdy kończyłem nalewać paliwo, do głowy przysłała mi kolejna wątpliwość — nie mogłem sobie przypomnieć, ile pieniędzy było w portfelu, gdy go znalazłem we fiacie Adama. Pamiętałem natomiast doskonale, że tą właśnie gotówką zapłaciłem za jednoosobowe pokoje w łęczyńskim hotelu Renesans, porządny obiad dla dwóch osób i trochę jeszcze mi się rozeszło podczas posiedzenia w barze Przystań.

Pistolet odbił, sygnalizując pełny bak, więc odwiesiłem go na dystrybutor, a potem natychmiast zająłem się poszukiwaniem portfela.

„Na początku był tam chyba niecały tysiąc — myślałem, gorączkowo przetrząsając torbę. — Tak więc coś powinno jeszcze zostać...”.

Wydawało mi się, że sprawdziłem dokładnie, ale znalazłem tylko swój, w którym tkwiło ledwie kilka klepeków. Adamowego ani śladu.

„Może ktoś zabrał go z torby, a resztę zostawił? A może nie wziąłem go z hotelu, gdy w pośpiechu się pakowałem?”.

Obie opcje były prawdopodobne. Oczyma wyobraźni widziałem tłumaczenie się przed pracownikiem stacji paliw, ale jeszcze gorsze było to, że jeśli zaraz nie wrócę do Bliżowa, Janek pomyśli, że wystawiłem go do wiatru i pewnie nie będzie zbyt długo czekał.

Gdy za moimi plecami w kolejce ustawiło się auto, zakląłem szpetnie i zacząłem wyrzucać wszystko z wnętrza torby. Ktoś wysiadł i usłyszałem, że idzie w moją stronę. Akurat zdążyłem przykryć strzelbę zapasowymi spodniami, kiedy zatrzymał się tuż za mną.

— Przepraszam, już odjeżdżam... — odezwał się, zamykając klapę.

— Mnie się nie spieszy, mogę poczekać, ale nie o to chodzi. Zdaje się, że coś panu wypadło.

Odwróciłem się. Młody, ubrany na sportowo mężczyzna uśmiechał się łagodnie, wyciągając w moją stronę dłoń, w której spoczywał portfel Adama.

— O Boże, bardzo dziękuję! — Miałem ochotę wyściskać nieznajomego. — Jak to możliwe, że nie usłyszałem, gdy upadał, przecież tyle w nim monet? — dodałem, ważąc przedmiot w rękę.

— Proszę nie wzywać imienia Boga nadaremno. — Mężczyzna uśmiechnął się szerzej, a w jego brązowych oczach zatańczyły figlarne ogniki.

Sprawdziłem stan gotówki. Okazało się, że mam jeszcze ponad dwieście złotych, więc odetchnąłem z ulgą, podziękowałem raz jeszcze i ruszyłem w stronę budynku stacji. Nieznajomy wrócił w tym czasie do swojego auta.

— Panie Witku!

Przystanąłem i spojrzałem na niego raz jeszcze. Nie wiem, dlaczego nie zdziwiło mnie wtedy, że zna moje imię. Może dlatego, iż — co uświadomiłem sobie

dopiero w drodze powrotnej — nie po raz pierwszy tak się do mnie zwrócił?

— Proszę uważać w przyszłości, bo nie zawsze będę mógł pomóc.

— Dobrze, postaram się. — Tym razem odpowiedziałem uśmiechem.

Machnął do mnie przyjaźnie ręką i usiadł za kierownicą.

Płacąc przy kasie, pomyślałem, że może powinienem mu się jakoś odwdziżyć za pomoc, ale jak wyszedłem na zewnątrz, za fordem Adamowiczów nikt już nie czekał w kolejce.

\*

Droga pomiędzy Adamowem a Bliżowem wije się niczym wstęga pośród zadbanych, kolorowych gospodarstw i pofałdowanych pól; na przemian to wznosi się dość ostro w górę, to opada bardziej lub mniej łagodnymi zakosami. Z jej odsłoniętych i położonych wyżej partii widać odległe pasma roztoczańskich wzniesień, ciągnące się hen, po horyzont. Największe wrażenie robi jednak spektakularna panorama rozciągająca się z miejsca tuż przed wjazdem do Bliżowa. Asfaltowa szosa zaczyna tam gwałtownie opadać, a całą wieś widać w dole jak na dłoni.

Sytuacja, w której się wtedy znajdowałem, nie sprzyjała zachwytom nad estetycznymi walorami otoczenia, niemniej jednak widok spokojnej, cichej miejscowości, utulonej wygodnie, niby odpoczywającej w ramionach pooranych miedzami wzgórz, a dodatkowo jeszcze skąpanej w ciepłym świetle chylącego się ku zachodowi i widocznego prawie dokładnie na wprost słońca nie mogła pozostawić mnie obojętnym. Nie pozwoliłem sobie wprawdzie na luksus przystanku i nacieszenia oczu do woli, ale zwolniłem do trzydziestu na godzinę.

Zaraz potem przypomniałem sobie wydarzenia ostatnich godzin i błogi nastrój prysnął jak mydlana bańka. Gdzieś tam, pośród tego wszechogarniającego spokoju czaiło się zło, które miało jedno zadanie: sprawić, by to miejsce stało się bliźniaczo podobne do przygnębiającej, dusznej i wiecznie przykrytej grubą warstwą chmur wsi, w której spędziłem poprzednie dwa lata.

Jedną z emanacji tego zła był ksiądz, który dawno temu albo zdecydowanie rozminął się z własnym powołaniem, albo zbłądził gdzieś po drodze tak bardzo, że ze zgubnego traktu nie było już odwrotu. Wjeżdżając do Bliżowa, zacząłem się zastanawiać, jak wielu jest jemu podobnych we współczesnych czasach i natychmiast pomyślałem, że na przestrzeni wieków takich „Starzyzn” mogło być zatrwająco dużo i niewykluczone, że gdzieś tam sobie one równolegle, w innych wymiarach, do których nikt nie dotarł, funkcjonują. Nie potrafiłem objąć umysłem przygnębiających wniosków, które mogły się z tym wiązać, ba! — przyszło mi nawet do głowy, że dotychczasowe wyobrażenie ludzkości o piekle, jako o miejscu, w którym grzesznicy przez wieki gotowani są w wielkich kadziach wypełnionych wrzącą smołą i dżgani widłami przez rogotych diabłów, może mieć niewiele wspólnego z rzeczywistością. Pozostawało więc mieć nadzieję, że jednak księża, którzy prawidłowo wypełniają posługę, są

w zdecydowanej większości. Wydawało się, że takim właśnie kapłanem jest prowadzący dom pomocy społecznej ksiądz Dobrowolski albo chociażby ten młody człowiek, którego nie dalej jak poprzedniego dnia spotkałem w Krasnobrodzie, gdy podprowadzałem różaniec Pauliny. Robił bardzo pozytywne wrażenie i...

Odruchowo wcisnąłem hamulec do oporu. Samochód jeszcze przez kilkanaście metrów sunął na kiepskich oponach po mokrym asfalcie, ale moje myśli były już zupełnie gdzie indziej; a mianowicie na stacji paliw w Adamowie.

— Jak mogłem go nie poznać? — spytałem sam siebie, patrząc w lusterko wsteczne. — Przecież rozmawiałem z nim ledwie dobę temu!

I wtedy zrozumiałem, dlaczego nazwanie mnie po imieniu nie wzbudziło mojego większego zainteresowania — po prostu podświadomie potraktowałem go jak starego znajomego. Nierozpoznanie księdza złożyłem na karb stresu, w jakim się wtedy znajdowałem, i faktu, że sutanna, w której był poprzedniego dnia, bardzo zmienia ludzi. Takie pokrętne wytłumaczenie było o wiele bardziej wygodne i łatwe do przyjęcia, niż noszące znamiona dużego prawdopodobieństwa przypuszczenie, że po prostu zaczynam się zdecydowanie zbyt szybko starzeć.

\*

Samochodu Janka nie było jeszcze w umówionym miejscu.

Normalnie na pewno obróciłby w tę i z powrotem kilka razy, ale sytuacja nie była normalna. Należało się spodziewać, że trudno będzie uspokoić Teresę, a ktoś taki jak Stanisławski nie odwróciłby się ot tak, po prostu na pięcie, zostawiając kobiety same sobie.

„Możliwe, że przyjedzie dopiero po zmroku” — pomyślałem, a potem przed oczyma stanął mi Dobrowolski, który głosem Czarnego żądał ode mnie zabezpieczenia odwrotu pod osłoną ciemności. Nasza umowa nie obejmowała jednak niczego ponad to, więc było nieco czasu na małe przesłuchanie.

Nie miałem ze sobą różańca, ale trudno było się spodziewać, że osłabiony i jednoręki Dobrowolski da mi radę, tym bardziej że w bocznej kieszeni drzwi forda wciąż spoczywał solidny myśliwski nóż. Zbyt wiele było pytań, na które nie znałem odpowiedzi, bym mógł oprzeć się takiej pokusie.

\*

Niedługo potem, uzbrojony w nóż i znaną przy wejściu do domu motykę, stałem przed wrotami stodoły, wpatrując się w nie jak ciele. Zachowywałem się dokładnie jak blondynka z kiepskiego horroru, która w obliczu zagrożenia ze strony nieznannej siły, zamiast spieprzać gdzie pieprz rośnie, struga bohaterkę i pakuje się w jeszcze większą kabałę. To było oczywiste, podobnie jak fakt, że wcześniej z pomocą wisielczej pętli wykorzystałem już chyba limit szczęścia na co najmniej miesiąc.

— Klecho! — zaskrzeczałem mimo tego. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę,

bym mógł nie zaryzykować. — Jesteś tam?

Stuknąłem motyką w wielkie drewniane drzwi.

— Mówię do ciebie! Ogłuchłeś?

Znowu cisza.

Drżąc z emocji, wsunąłem metalowe ostrze motyki w drewniany uchwyt służący do otwierania wrót i pociągnąłem ich lewe skrzydło do siebie. Uchyliło się bezszelestnie, pozwalając światłu nieco rozjaśnić wnętrze. Na pierwszy rzut oka było widać, że Dobrowolskiego nie ma tam, gdzie go zostawiłem. Z kilku możliwych opcji wybrałem otworzenie wrót na oścież, mając po raz kolejny tego dnia nadzieję, że nie zwrócę na siebie uwagi sąsiadów. W środku zrobiło się jeszcze jaśniej, prawie tak jasno, jak na zewnątrz, ale kilka zakamarków wciąż pozostawało w cieniu. Spojrzałem też na złożone prawie pod dach siano, na które można było się dostać po sięgającej do wierzchołka ściany drabinie.

— Mam z tobą do pogadania, nie zrobię ci nic złego — powiedziałem, choć nie miałem przekonania, że się mnie jakoś szczególnie obawia.

Stałem na krawędzi klepiska, uważnie rozglądając się na boki, czy nie czai się za załamaniem którejś ze ścian, a potem ruszyłem naprzód. Jakże inaczej wyglądałaby moja sytuacja, gdybym dowiedział się, gdzie jest Mateusz, gdzie jest jego wujek i — przede wszystkim — w jaki sposób Czarny dostaje się do Starzyzny...

Obszedłem powoli całą stodołę, ale nie znalazłem w niej jednorękiego księdza. Odważyłem się nawet wdrapać po drabinie (choć gdyby był na górze i popchnął ją w chwili, gdy znajdowałem się parę metrów nad ziemią, to byłoby raczej niewesoło), ale i na sianie, które wyglądało na ostatnio nienaruszone, Dobrowolskiego nie było.

— Szkoda — mruknąłem. — Chciałem sobie z tobą troszkę pobaraszkować...

Z trudem zlazłem na dół. Raz jeszcze omiotłem wzrokiem wnętrze stodoły, wyszedłem na zewnątrz i po zamknięciu za sobą wrót oparłem o nie motykę; wszystko wskazywało na to, że nie będzie mi już potrzebna.

Od strony drogi słychać było kilka głosów. To grupka młodzieży, najprawdopodobniej zachęcona poprawiającą się pogodą, postanowiła wyjść na spacer, a w położonym nieopodal gospodarstwie znów ktoś rąbał drewno. Po intensywnych opadach Bliżów wracał do życia.

Ponieważ moje ubranie wciąż było wilgotne, miałem ochotę wrócić do samochodu, ale uznałem, że bezpieczniej będzie tego nie robić, by niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Wróciłem więc na ławkę, na której siedziałem wcześniej. Byłem pewien, że Janek mnie tutaj znajdzie.

Dobrowolski najpewniej opuścił już swoją kryjówkę, co w obliczu wcześniejszych żądań Czarnego wydawało się nieco dziwne. Z drugiej jednak strony pamiętałem, że Czarny w skórze Bobowicza swobodnie poruszał się po okolicy. Znał ludzkie myśli, więc mógł sobie pozwolić na przemieszczanie się po



ścieżkach znanych sobie wiosek. Po prostu wybierał te chwile, w których nikt nie patrzył i był całkowicie bezpieczny. Prawdopodobnie dał sygnał jednorękiemu księdzu, gdy w pobliżu było pusto, a tamten natychmiast ruszył w drogę. Nie niosło to za sobą ryzyka, tym bardziej że Dobrowolskiego tutaj nikt nie znał (przynajmniej w obecnej, aktualnej od ponad pięćdziesięciu lat postaci). Prawdopodobieństwo, że rozpozna go ktoś, z kim spotkał się na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, graniczyło z cudem. Wyglądał wprawdzie dość dziwnie — kikut oderwanej ręki i staromodny habit mogły wzbudzić podejrzenia — ale kto by podejrzewał o coś duchownego? Nawet w dzisiejszych czasach... Prawdopodobnie przekłety klecha usłyszałaby co najwyżej: „Niech będzie pochwalony” (chybaby go szlag trafił) i ewentualnie ofertę pomocy.

Tak czy inaczej, z zawiadomieniem policji i tak zamierzałem się wstrzymać do zapadnięcia zmroku. Umowa to umowa, a obowiązywała mnie, tym bardziej że jej złamaniem mógłbym narazić Mateusza Bielaka na utratę życia. Słońce chowało się powoli za wzgórzem, więc pośpiech niewiele by zmienił.

Oparłem głowę o fasadę domu, obserwując, jak krwistoczerwona tarcza zaczyna znikać za krawędzią horyzontu, i nagle poczułem się bardzo zmęczony. Prawie nieprzespana (nie licząc koszmarnych snów) noc i całodzienny wysiłek w połączeniu z nadmierną dawką emocji robiły swoje. Przymknąłem oczy, próbując złapać trochę oddechu przed tym wszystkim, co mnie jeszcze w najbliższym czasie czekało.

*W pewnej chwili zobaczyłem, że jedno skrzydło wrót stodoły uchyla się lekko. Chciałem się podnieść, chwycić za nóż, ale ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Byłem kompletnie bezsilny, sparalizowany strachem i owładnięty śmiertelnym zmęczeniem. Mogłem co najwyżej czekać, aż Dobrowolski przyjdzie i skończy to, co wcześniej zaczął. Widoczna jeszcze w połowie tarcza słoneczna oślepiła mnie na tyle, bym nie mógł go zobaczyć. Drzwi zamknęły się, a na ich tle zarysowała się sylwetka.*

*Sylwetka małego chłopca.*

*Zaczął się zbliżać. Przez ułamek sekundy wierzyłem, że to koniec koszmaru, że to Mateusz został uwolniony przez Czarnego. Pamiętałem, jak bardzo syn Bielakowej był podobny do mojego Krzysia...*

*Gdy znalazł się na środku podwórza, zrozumiałem.*

*— Boże, Krzyś... — Gorące łzy spłynęły po moich policzkach. — Syneczku...*

*A potem opuściłem wzrok. To jego ostatnie, pełne wyrzutu i żalu*

przemieszanego z pogardą spojrzenie. Nie chciałem, aby znów tak na mnie popatrzył.

Stanął jakieś dwa metry ode mnie. Widziałem jego buciki — te same, w których został pochowany, a potem przykucnął i ujął rączkami moje dłonie.

Odważyłem się spojrzeć na jego lekko uśmiechniętą buzię.

— Dobrze, że wróciłeś, tato — szepnął. — Mogę usiąść obok ciebie?

Nie potrafiłem wydusić z siebie ani słowa, więc tylko skinąłem głową, a zaraz potem, gdy ławka cichutko zaskrzypiała pod jego wątłym ciężarem, objąłem go z całych sił.

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę.

— Tato...? — odezwał się. — Pomożesz uratować Mateusza?

„Ciebie nie potrafiłem uratować” — pomyślałem, ale odpowiedziałem co innego:

— Zrobię wszystko, co tylko będę mógł...

— Wiem. On tu jest, niedaleko. Ale musisz bardzo uważać. Nie chcę, żeby jego mama płakała tak jak moja...

— Ona i tak płacze, synku. Prawie ciągle płacze, jestem tego pewien.

— Wiem — powiedział raz jeszcze. — Ale gdyby przestał żyć, to płakałaby jeszcze bardziej.

Powinienem był wtedy zapytać o miejsce, w którym przetrzymywany jest mały Bielak, ale wydawało mi się, że mamy bardzo dużo czasu.

— Wiesz, w jaki sposób Czarnemu udaje się przedostać do Starzyzny? Tam jest mój przyjaciel, któremu też chciałbym pomóc... Potrafisz mnie tam zaprowadzić?

— Nie, tato. Mogłem przeprowadzić tylko tę dziewczynkę, która już nie żyła. Anielkę... Ciebie nie mogę. Musiałbyś wcześniej umrzeć.

— W takim razie jak on przechodzi? Wiem, że to potrafi...

— Może to zrobić o trzeciej rano. On jest zły, a o trzeciej nad ranem jego siła jest tak duża, że może to zrobić. Może też pomóc przejść komu tylko zechce...

Przypomniało mi się — pamiętałem to jeszcze z czasów, gdy pisywałem o zdarzeniach nadprzyrodzonych — co niektórzy twierdzą o godzinie trzeciej. Nazywają ją czasem szatana, ponieważ jest ona czymś w rodzaju przeciwnego bieguna godziny, w której został ukrzyżowany Chrystus. Zło jest wtedy najsilniejsze.

— Ale ciebie chyba nie zabierze — ciągnął Krzyś. — Możliwość przejścia trwa bardzo krótko i tylko on wie, w którym miejscu może ona się zdarzyć.

— W takim razie powiedz mi, gdzie jest Mateusz. Wiesz to, prawda?

— Tak, tato, wiem. — Krzyś wydostał się z moich objęć i znów stanął naprzeciwko. — Ale, tato... Ty płaczesz? — Położył rączki na moich ramionach...

— Ty płaczesz?

Ktoś potrząsnął mną o wiele mocniej, niż mógłby to zrobić mój syn. Otworzyłem oczy. Przede mną stał Janek, na którego twarzy widać było niemal przerażenie.

— Co się dzieje? — zapytał, wciąż mną potrząsając.

Wracałem przez moment do rzeczywistości, wiedząc, że pojawił się za wcześniej.

— Już dobrze, Janek. To tylko sen.

— Koszmar?

— Nie. Był tak piękny, że wolałbym się nie obudzić...

\*

Wyjąłem z kieszeni klucz i zaraz potem weszliśmy do domu. Stanęliśmy w przedpokoju. Zobaczyłem, że drży.

— One... — zaczął. — Czy one, ich ciała... tu... są?

— Tak, za tymi drzwiami. — Wskazałem dłonią. — Jeśli chcesz je zobaczyć, to zobacz. Ja idę do kuchni. Nie chcę jeszcze raz... — Nie chciało mi się nawet kończyć zdania. Poszedłem w głąb korytarza i usiadłem przy stole.

Chwilę później dołączył do mnie Janek. Usiadł po drugiej stronie, a gdy popatrzyłem na niego, był blady jak ściana i trząśł się jeszcze bardziej.

— Boże... — Tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

Potem siedzieliśmy tak przez bardzo długi czas. Żaden z nas nie miał ochoty odezwać się nawet słowem. Wreszcie wrażenia sensne zaczęły powoli przegrywać z rzeczywistością, więc rozejrzałem się wokół i na ścianie dostrzegłem mały, ale dość gruby jeszcze kalendarz, którego kartki powinny być zrywane każdego dnia. Pomimo że w kuchni było już prawie całkiem ciemno, udało mi się zobaczyć, że widnieje na nim wczorajsza data. Podniosłem się, zrobiłem kilka kroków i podniosłem nieaktualną już kartkę.

— Dziś dwunasty kwietnia dwa tysiące siódmego roku — powiedziałem bardziej do siebie, niż do Janka. — Słońce zachodzi o dziewiętnastej trzydzieści cztery.

Spojrzałem na mojego timexa, przybliżając go do okna, przez które przedostawało się jeszcze trochę światła.

— To znaczy zaszło jakieś dwadzieścia minut temu — poprawiłem się.

— Wydaje mi się, że można już zadzwonić na policję.

Ostatnie słowo jakby wybudziło Stanisławskiego z odrętwienia.

— Właśnie! — odezwał się wzburzonym głosem. — Muszą złapać tego sukinsyna!

— Też tak uważam — powiedziałem, a potem ruszyłem w stronę aparatu telefonicznego. Po chwili jednak przystanąłem i odwróciłem się. — Janek, teraz właśnie będę miał do ciebie tę ogromną prośbę, o której wspominałem wcześniej...

Nie widziałem jego twarzy, ale mógłbym przysiąc, że patrzy na mnie pytająco.

— Chciałbym, żebyś dał mi alibi na ostatnią noc. Czy byłoby to możliwe...? Wiem, że proszę o wiele, ale...

— Witek?

— Tak?

— Ty nie masz z tym nic wspólnego, prawda?

— One zostały powieszzone najprawdopodobniej rano, sekcja z pewnością to potwierdzi, a ja zjawiłem się tutaj o wiele później. Ustalenie faktów potrwa, ale jak mnie zamkną do wyjaśnienia sprawy, to...

— Wierzę ci. Nie wiem dlaczego, ale ci wierzę.

— Dziękuję.

— A gdzie ty się wybierasz?

— Idę zadzwonić po policję...

— Poczekaj. — Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. — To trzeba będzie załatwić inaczej.

Wybrał numer, przyłożył aparat do ucha, odczekał kilka sygnałów, a potem powiedział:

— Cześć, Sławek. Tu Janek Stanisławski. Mam zgłoszenie o potrójnym morderstwie i porwaniu, ale najpierw chciałbym porozmawiać mniej oficjalnie. Możesz teraz przyjechać do Bliżowa?

— ...

— Nie, niekoniecznie sam. Jak możesz, weź ze sobą jakiegoś zaufanego funkcjonariusza.

— ...

— Dobrze, będę ci bardzo zobowiązany.

— ...

— Nie, to zdarzyło się już jakiś czas temu, prawdopodobnie rano, i karetka na razie nie będzie potrzebna. — Stanisławski wytłumaczył, jak dojechać, rozłączył się, schował komórkę i ukrył twarz w dłoniach. — Mój Boże. — Westchnął ciężko. — Mój dobry Boże...

## 5.

Jeszcze przez jakieś pół godziny siedzieliśmy w ciemnościach. Pokrótce zdałem Jankowi relację z tego, co wydarzyło się wcześniej, opowiadając co nieco o Dobrowolskim i przyczynie, dla której Starzyzna i jej mieszkańcy zostali objęci klątwą zatajenia. Co jakiś czas milkłem, bo zdawało mi się, że z głębi domu słychać jakieś dźwięki. Jakieś ciche skrzypienie, jakby ktoś starał się cicho przemieszczać po starej podłodze albo jakby wisielczy sznur ocierał się o belkę, do której został przymocowany. Za każdym razem przekonywałem sam siebie, że to tylko omam słuchowy i podejmowałem wątek.

Wreszcie skończyłem, a potem siedzieliśmy jeszcze chwilę, nie odzywając się do siebie.

— Może wyjdziemy na drogę? — Wstałem i próbowałem się przeciągnąć, ale ból mi na to nie pozwolił, więc tylko stęknąłem cicho, a potem dodałem: — Powinni chyba zaraz być.

Janek podniósł się i podążył za mną.

Zapowiadała się chłodna noc, lekko zaczynał chwytać mróz. Latarnie świeciły pomarańczowożółtym blaskiem.

— Zapaliłbym papierosa, choć nie paliłem od wieków — powiedziałem.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

— Żona nie pozwala, ale spodziewałem się, że mogą się dzisiaj przydać...

Wyciągnął w moją stronę paczkę czerwonych marlboro, a potem przypalił najpierw mi, a potem sobie. Zaciągaliśmy się mocnym dymem w ciszy chłodnej nocy. Skończyliśmy niemal równocześnie, a zaraz potem dostrześliśmy światła zbliżającego się od strony Adamowa samochodu, który jakieś sto metrów od nas zmienił światła na krótkie. Przypomniałem sobie o Rafale i zastanowiłem się, dlaczego tak długo nie wraca. Z uwagą patrzyłem na auto, ale z całą pewnością to nie srebrny ford mondeo błysnął prawym kierunkowskazem i zatrzymał się tuż przed nami.

Z zielonego daewoo lanosa wysiadło dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn. Starszy z nich miał czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Podszedł do nas, podczas gdy młodszy pozostał przy samochodzie, opierając się o maskę i zapalając papierosa. Tego pierwszego poznałem natychmiast.

— My chyba mieliśmy już okazję się poznać? — zapytał mnie, ściskając w tym czasie dłoń Stanisławskiego.

— Tak, w przykrych okolicznościach — odparł za mnie Janek. — Wtedy, gdy zginęli młody Adamowicz i jego dziewczyna, spotkaliście się na drodze. To było już ponad dwa lata temu. Przywiozłeś mnie wtedy z komendy, zdaje się nawet, że tym samym autem.

— Pamiętam. Pan ma na imię Wiktor, Witold...?

Byłem pełen podziwu dla jego pamięci. Zdaje się, że wtedy Janek przedstawił mnie jako „pana Witka”.

— Nazywam się Witold Uchmann i to ja znalazłem dziś zwłoki dziewczynek i ich matki.

Wyciągnąłem rękę. Przyjął ją, ale z widocznym wahaniem, najwidoczniej nie zamierzając mi się przedstawić. Przynajmniej na razie.

— To jest komisarz Sławomir Maciejewski. — Tym razem Janek wyręczył policjanta, kładąc rękę na jego ramieniu. — Najlepszy śledczy kryminalny z Zamościa.

— To całe szczęście — ucieszyłem się. — Mam nadzieję, że szybko złapie pan tego sukinsyna, który to zrobił.

— Drugi raz się spotykamy i drugi raz mamy do czynienia z morderstwem... — Gliniarz nie zwrócił uwagi na moje słowa, a wyraz nieufności nie opuszczał jego twarzy. — A od tamtej pory był spokój...

Wyglądało na to, że nie należy do ludzi, którzy łatwo dają się wywieść w pole.

— Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie miałem z tym nic wspólnego — powiedział dobitnie, patrząc mu prosto w oczy. Nie była to do końca prawda, ale też nie ja byłem przecież zabójcą i nie zamierzałem się dać traktować jak byle gówniarz.

— To się okaże.

— Sławek — wtrącił się do tej wymiany zdań Stanisławski. — Tego nie zrobił Witek — ani teraz, ani wtedy, rękę za niego. Zresztą całą ostatnią noc i rano spędził u mnie w domu, a wszystko wskazuje na to, że morderstwa dokonano o świcie. Patolog sądowy pewnie to potwierdzi.

Policjant rozluźnił się w jednej chwili. Nie przypominałem sobie, by dwa lata temu byli w dobrej komitywie, ale wyglądało na to, że od tamtego czasu wiele się zmieniło. Gdyby Maciejewski zechciał przepytac żonę Janka w kwestii mojej obecności u nich ostatniej nocy, to mogłoby się zrobić nieciekawie, ale najwidoczniej Stanisławski wiedział, co robi, i przeczuwał, że komisarz nie uzna tego za konieczne.

— Pewnie popijaliście Świeżość Poranka? — Klepnął Stanisławskiego w plecy, a do mnie uśmiechnął się porozumiewawczo.

— No jasne — odparł Janek. — To jeszcze z tej samej butli, co to ją na ostatniego sylwestra ostro napoczęliśmy.

Lody puściły. Wszystko wskazywało na to, że powinno się udać, ale policjant nagle spoważniał.

— Poczekaj, Janek, bo muszę jedną rzecz wiedzieć, zanim zajmiemy się sprawą — odezwał się już nieco innym, bardziej służbowym tonem. — Dlaczego chciałeś... — Rzucił mi spojrzenie. — ...chcieliście to najpierw omówić ze mną mniej oficjalnie? To poważna sprawa i trochę ryzykuję, bo — rozumiesz — gdyby moi przełożeni się dowiedzieli, że...

— Panie komisarzu... — Wszedłem mu w słowo. — ...tego dokonał najprawdopodobniej mąż kobiety i ojciec dziewczynek. Mało tego, uprowadził jeszcze synka swojej szwagierki. Obawiamy się, że nadmierny rozgłos nadany tej sprawie może zagrozić bezpieczeństwu chłopca, więc uznaliśmy, że może lepiej najpierw spróbować działać nieco bardziej dyskretnie.

— To prawda — zawtórował mi Janek. — Mówi się też, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni, dlatego może lepiej na razie go nie płoszyć. Nikt we wsi, oprócz Witka, mnie, no i teraz ciebie, nie dowiedział się jeszcze o tej tragedii. Matka chłopca i sąsiedzi zdają sobie sprawę z tego, że mały zaginął, ale na razie też nic nie wiedzą o zbrodni. Pamiętaj, że teraz zależy nam przede wszystkim na dobru chłopaka, bo tamtym... — Skinął głową w kierunku domu Bożeny. — ...i tak już nic nie może zaszkodzić.

Maciejewski zastanawiał się, trąc nieogolony policzek.

— O zabójstwie wie jeszcze Janina Adamowicz. Jest w Guciowie, w swoim domu razem z matką chłopca. To od niej wiem, że jej szwagier zabrał ze sobą małego i od tamtej pory słuch po nich zaginął.

— Słuchajcie — odezwał się wreszcie komisarz. — Przykro mi, ale są procedury, które muszę natychmiast wdrożyć. To za poważna sprawa. Wiecie, co by się działo, gdyby mój szef dowiedział się, że o tym nieoficjalnie rozmawiamy? Zrozum, Janek, potrójne morderstwo, porwanie, a ty chcesz, żebym się w szeryfa bawił? Wiem, że chcesz dobrze, ale...

— No dobra, Sławek, wdrożysz procedury, zaraz tu się zjawi parę radiowozów, prokurator, karetka, media i Bóg wie kto jeszcze. Zleci się cała wioska i kilka sąsiednich. Jak porywacz się zdenerwuje i przez to powiesi też chłopaka, to co jutro rano powiesz matce? Że przepraszasz, ale to wszystko przez procedury?

Miałem wrażenie, że policzek Maciejewskiego zaraz zacznie dymić od nieustannego i coraz bardziej intensywnego tarcia.

— Panowie, wejdźmy może lepiej do środka — powiedziałem. — Skoro nie chcemy budzić zainteresowania, to tam chyba będziemy mniej na to narażeni.

Pomysł spotkał się z przychylnym przyjęciem komisarza. Najprawdopodobniej dlatego, że dzięki niemu udało się uzyskać kilka minut zwłoki i nie trzeba było podejmować decyzji już w tej chwili.

Gdy zmierzaliśmy we wskazanym przeze mnie kierunku, uświadomiłem sobie, że przez cały ten czas — od kiedy z Jankiem wyszliśmy na zewnątrz aż do teraz — nie minął nas ani jeden pojazd, nie przeszedł obok żaden człowiek. Pomyślałem, że przypomina to do złudzenia cały arsenał korzystnych zbiegów okoliczności podczas naszej powrotnej podróży z Łęcznej do Bliżowa. Zaczynałem mieć przeczucie, że jeśli Maciejewski uzna nasz tok rozumowania za prawidłowy, to i tak wszystko dla niego skończy się dobrze.

Ciekaw byłem też, czy jeśli różaniec nie jest w moim posiadaniu, ale tuż obok, w kieszeni kurtki Janka, to czy Czarny też zna moje myśli, a jeśli nie zna (taką

opcję uznawałem za bardziej prawdopodobną), to na jaką odległość mogę się bezpiecznie oddalić od różańca, by jednocześnie mój umysł nie zaczął być śledzony.

\*

Wszedłem do domu jako pierwszy, za mną Janek, później Maciejewski, a na końcu młodszy policjant, który okazał się również moim starym znajomym. Ponad dwa lata temu przedstawiał się na drodze jako starszy sierżant Witko. Tym razem nie obawiałem się zapalić świec, uspokojony myślami sprzed chwili. Uznałem, że skoro na drodze nikt nam nie przeszkadzał, to opatrność pomoże również teraz i rozświetlone okna nie wzbudzą niepotrzebnej ciekawości. Śledczy od razu weszli do pokoju, w którym dokonano zbrodni, natomiast my z Jankiem udaliśmy się do kuchni i zajęliśmy nasze miejsca przy stole.

Pobieżne oględziny zajęły policjantom około pięciu minut. Gdy weszli do kuchni, młodszy był blady jak ściana, ale i Maciejewski wyglądał niewyraźnie.

— Plamy opadowe na dłoniach dziewczynek nie ustępują pod wpływem nacisku, więc od śmierci minęło prawdopodobnie co najmniej dwanaście godzin — powiedział. Jego twarz przypominała beznamiętną maskę, lecz głos wyraźnie drżał. — Ciało kobiety zmieniło pozycję jakiś czas po śmierci, zapewne kilka godzin temu, ale nie została odcięta.

— To było tuż przed moim telefonem do Janka — odezwałem się. — Prawdopodobnie przetaił się sznur.

— Tak, zauważyłem — potwierdził moje słowa Maciejewski. — W obu miejscach na sznurze widać ślady, które mogłyby na to wskazywać. Tylko dlaczego ciało się poruszało kilka godzin po zabójstwie? — Spojrzał na mnie.

— Nie zauważyłem, by tak było — skłamałem. — Może sznur przetaił się zaraz po morderstwie, zanim jeszcze zwłoki zdążyły znieruchomieć, a później tylko urwał się pod wpływem ciężaru?

Policjant nie wyglądał na przekonanego.

— Być może był tu w międzyczasie jeszcze ktoś — zastanawiał na głos. — Przydałoby się wezwać techników i zacząć zabezpieczać materiał dowodowy. Cholera, ale przecież ten chłopak... — Spojrzał na swojego kolegę. — Jak uważasz, Waldek?

— Na wszelki wypadek mogę tu zostać do rana albo i dłużej, jak będzie trzeba. Nie ma co się spieszyć, a ten mały naprawdę może być w niebezpieczeństwie. Ty mógłbyś poszukać jakichś informacji na temat zabójcy, może dzięki temu jutro byłoby nam łatwiej go namierzyć.

— Wiemy coś o nim, Janek? — komisarz zwrócił się do Stanisławskiego.

— Prawie go nie znam. Wiem jedynie mniej więcej jak wygląda i że pracuje w Zamościu, w zakładach mięsnych.

— A jak wygląda? Przydałaby się taka informacja, zwłaszcza Waldkowi, skoro ma tu zostać na noc.



— Poczekajcie chwilę — odezwał się Witko. — Zdaje się, że widziałem na jednym z regałów w tamtym pokoju album na zdjęcia. Pójdę przynieść, może akurat będzie tam coś, co się nam przyda.

Gdy zniknął za drzwiami, Janek odezwał się z uznaniem:

— Niezły jest ten młody.

— Wyrabia się i kiedyś będą z niego ludzie — zgodził się Maciejewski.

Nie pozostawało mi nic innego, niż zgodzić się z tymi opiniami. Ja w tamtej chwili za nic w świecie nie zgodziłbym się samotnie zostać na noc w tym domu razem z ciałami trzech osób, które tak naprawdę jeszcze dobrze nie ostygły.

Wyobrażałem sobie młodego policjanta, który w tej chwili musi przekroczyć leżące na podłodze zwłoki i zręcznie ominąć dwoje kolejnych, by dotrzeć do regału, który zapewne Bożena wraz z mężem kiedyś wspólnie kupowali, planując, co zostanie na nim ustawione w przyszłości. Nie spodziewała się pewnie wtedy, że mebel ten będzie jej służyć aż do śmierci i w najczarniejszych myślach nie przeczuwała, że za jakiś czas w jego przeszkłonych drzwiczkach zobaczyć będzie można ciała jej dwóch zamordowanych przez własnego ojca córek.

\*

W albumie, który został przyniesiony przez Witkę, znajdowało się dużo zdjęć szczęśliwej czteroosobowej rodziny. Fotografie niczym nie różniły się od milionów podobnych. Były skrzętnie opisane, wszystkie zrobione zostały prawdopodobnie tym samym aparatem, o czym świadczyły charakterystyczne daty w prawym dolnym rogu.

Mąż Bożeny był dużym, muskularnym, prawie całkiem łysym facetem o kwadratowej, śniadej twarzy. Spodziewałem się zobaczyć potwora w ludzkiej skórze, a tymczasem ciemne, roześmiane oczy spoglądające w obiektyw były nad wyraz sympatyczne. Przeraziło mnie, jak cienka może być granica pomiędzy normalnością a szaleństwem. Tysiące takich ludzi można minąć jednego dnia na ulicy większego miasta. O niektórych z nich można później przeczytać w kronikach policyjnych. Gdyby ktoś miał możliwość przejrzenia ich zamiarów na wylot, gdyby istniało urządzenie, dzięki któremu dałoby się przewidzieć ich czyny, najlepiej również te nieplanowane jeszcze przez nich samych... Nikt nie potrafiłby oszacować, jak wiele niewinnych ludzkich istnień udałoby się uratować.

— Wezmę to na komendę, a to zostawię tobie — odezwał się Maciejewski, wybierając dwa zdjęcia, na których mężczyzna był widoczny najlepiej, i wyjmując je z albumu. Drugie z nich, zrobione podczas rozpakowywania świątecznych prezentów w minioną Wigilię, podał Witce.

Młodszy z policjantów zgiął kilkakrotnie fotografię wzdłuż, a potem oddał tę jej część, na której była młodsza z córek, i włożył z powrotem do albumu.

— Nie chcę się rozpraszać — wyjaśnił, jakby się usprawiedliwiając. — Moja córka jest mniej więcej w jej wieku.

W tym momencie, być może pod wpływem refleksji sprzed chwili, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Zaniosę album na miejsce — powiedziałem.

Już w pokoju, najszybciej jak to było możliwe, wyjąłem jeszcze jedno zdjęcie mordercy, które także było dość wyraźne, i włożyłem je do kieszeni.

„Nigdy nie wiadomo, kto stanie się oprawcą, ale jeśli ktoś nim już został, to warto o tym poinformować jak największą liczbę osób” — pomyślałem, wiedząc już, co będę musiał zrobić następnego dnia, jeśli wcześniej nie uda się dopaść poszukiwanego.

Wróciłem do kuchni i położyłem klucz od domu przed Witką.

— Panie sierżancie... — Zawahałem się, nie będąc do końca pewnym, czy dobrze pamiętałem stopień sprzed dwóch lat. — Starszy, prawda?

Machnął ręką.

— Teraz już sztabowy, ale to nieistotne.

— Drugi z kluczy najprawdopodobniej jest teraz w rękach mordercy albo kogoś, kto jest z nim w zмовie.

— Dlaczego pan uważa, że nie działał sam? — czujnie zapytał Maciejewski.

— Wcale tak nie uważam, ale nie można tego wykluczyć, prawda? Chodzi mi o to, że jeśli w domu pojawiłby się ktoś inny, otwierając zamknięte drzwi, to...

— Opowiadanie o bezrękim podejrzanym księdzu raczej mijало się z celem, więc uznałem, że taka uwaga jest całkiem na miejscu.

— Racja — zgodził się komisarz. — Waldek, gdy wyjdziemy, zamkniesz drzwi od środka, a jeśli ktoś je otworzy, to gleba, obrączki i dzwonisz do mnie. Jasne?

— Tak jest.

— Wszystko masz? Broń, kajdanki, telefon?

— Tak jest.

— No to nas już nie ma, a ty... uważaj na siebie, to rozkaz. — Maciejewski uśmiechnął się niewesoło, klepiąc Witkę w ramię. — I światła pogaś, jak nas już nie będzie.

Sierżant nie odpowiedział, zamiast tego tylko skinął głową.

Komisarz traktował go trochę jak podwładnego, a trochę jak młodszego brata i z pewnością zdawał sobie sprawę, jak trudne zadanie przed nim stawia.

\*

Przy biegnącej przez Bliżów drodze nic się nie zmieniło, choć w momencie gdy przekraczaliśmy furtkę, miałem nadzieję, że zobaczę przy niej, prócz trzech wcześniej ustawionych samochodów, jeszcze jeden. Jednak srebrny ford mondeo w międzyczasie się nie pojawił.

Teoretycznie mogłem zakładać, że Rafał przybył tu zgodnie z naszą umową, a gdy mnie nie zastał w umówionym miejscu, to po prostu odjechał. Tyle że skoro ostatnim razem widzieliśmy się ponad dwa lata temu przy drodze do Słonecznej Doliny, trudno byłoby taką opcję uznać za prawdopodobną. Byłem skłonny iść

o zakład, że czekałby na mnie do skutku lub przynajmniej do późnej nocy.

— To co, Janek? Jesteśmy w kontakcie? — Maciejewski uścisnął nasze dłonie i otworzył drzwi służbowego lanosa. — Jeśli coś by się zdarzyło, to dzwoń od razu, niezależnie od pory.

Stanisławski potwierdził skinieniem głowy, a potem powiedział:

— Sławek, jest jeszcze jedna rzecz, która może mieć jakieś znaczenie. Podobno poszukiwany, bo chyba tak go teraz powinniśmy nazywać, ma kogoś na boku w Zamościu.

— Kochankę?

— Tak mówią. Nie znam go zbyt dobrze, ale wiesz, jak to jest w małych miejscowościach, tego typu informacje roznoszą się lotem błyskawicy.

Wcześniej, gdy siedzieliśmy we dwóch w kuchni, wspominałem o tym, co powiedział mi Dobrowolski podczas naszej potyczki w stodole, i teraz Janek uznał, że warto powiedzieć o tym także policjantowi. Maciejewski zastanowił się przez chwilę, a potem zadał pytanie, które właściwie samo się nasuwało:

— Myślisz, że jego żona o tym wiedziała? Dla kogoś, kto oszalał, teoretycznie mógł to być jakiś motyw.

— Nie sądzę. Żony o tego typu rzeczach zwykle dowiadują się jako ostatnie.

Komisarz pokiwał głową.

— Fakt. No i po co by porywał chłopaka w takiej sytuacji? — Bardziej głośno myślał, niż zwracał się do Janka, ale zaraz potem zapytał jeszcze: — Nie wiesz nic na temat tego, kim może być tamta kobieta?

Stanisławski przecząco pokręcił głową.

— Dobra. To na razie. Jutro się odezwę.

Gdy odjechał, staliśmy przez moment w milczeniu. Cisza, która nas otaczała, była wręcz dojmująca. Nie było słyhać ani jednego psa, żadnego ludzkiego głosu, nie krzyknął żaden ptak. Przeszły mnie ciarki, bo przez moment poczułem się dokładnie jak w Starzyźnie.

— Ja też znikam — odezwał się Janek, a potem wyjął rękę z kieszeni kurtki. Gdy ją uścisnąłem, poczułem w dłoni dobrze znany kształt. — Zdaje się, że to twoje?

— Tak, ale lepiej, żebyś miał go przy sobie.

Z wewnętrznej kieszeni wyjął bardzo podobny różaniec.

— Nic się nie martw. Domyśliłem się i też się postanowiłem zabezpieczyć, więc twój nie będzie mi już potrzebny.

— Uważaj mimo wszystko. Na siebie i bliskich.

— Spokojna głowa. A co z tobą? Masz się gdzie zatrzymać?

— Zaraz jadę do domu Janki. Muszę zobaczyć, co z nimi. Pewnie tam przenocuję.

— A ten... jak mu tam, Rafał? Widziałeś się z nim później? Słyszałem, jak umawialiście się, że będziesz tu na niego czekał.

— No właśnie się nie pojawił i coraz bardziej zaczynam się o niego martwić... No ale nic, ty już jedź do domu. Na pewno na ciebie czekają, a poza tym lepiej, żebyś był teraz przy nich. Wiesz, jak to mówią — strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Masz rację. — Odwrócił się, przeszedł kilka kroków, a potem przystanął i raz jeszcze na mnie spojrzął. — Witek... Myślisz, że dobrze zrobiliśmy?

Zastanawiałem się przez moment.

— Na sto procent będziemy wiedzieć, jak się okaże, co z małym Bielakiem.

\*

Czekałem na Rafała jeszcze przez kilkadziesiąt minut. Parę razy włączyłem silnik, żeby podgrzać nieco wewnątrz auta, kilka razy wysiadłem też, żeby zobaczyć, czy nic podejrzanego nie dzieje się w okolicach domu, w którym zostawiliśmy Witkę. Złowroga, gęsta jak smoła cisza wciąż niepodzielnie panowała w całej wiosce, a ja wyobrażałem sobie skrytego w ciemnym budynku młodego policjanta, martwiąc się o niego, a jednocześnie podziwiając go za odwagę.

Gdy zegarek wskazał dwudziestą drugą trzydzieści, uznałem, że dalsze czekanie nie ma sensu. Miałem nadzieję, że coś naprawdę pilnego wypadło Gielmudzie, a myśli o tym, że mogło go spotkać coś złego, starałem się odsunąć jak najdalej od siebie.

Zaraz po uruchomieniu silnika pomyślałem jeszcze, że prawdopodobnie popełniłem błąd, nie sprawdzając, kto był z nim w tym samochodzie, bo w całej tej sytuacji każdy szczegół mógł mieć bardzo duże, a może wręcz kluczowe znaczenie.

## 6.

Janka prawdopodobnie obserwowała podwórze przez okno, ponieważ pojawiła się w drzwiach domu, zanim jeszcze zdążyłem zatrzymać auto.

— Witku, gdzie się podziewałeś przez tyle czasu? — spytała, podchodząc szybkim krokiem. — Dowiedziałeś się może czegoś o Mateuszu?

— Przykro mi, ale nie. Co z Teresą?

— Chodź, zaraz ci wszystko opowiem.

Zabrałem z samochodu torbę, wniosłem ją do środka, a zaraz potem wróciłem i wyjąłem z bagażnika również strzelbę Stanisławskiego. Na następny dzień planowałem wyjazd, więc nierozsądne byłoby wożenie jej ze sobą. Zaniósłem rzeczy do pokoju, który zajmowałem wcześniej. Gdy chowałem broń pod łóżkiem, mój wzrok padł na brulion z przepisami świątecznymi, który leżał na krześle tak, jak go rano zostawiłem. Ścisnęło mnie w żołądku. Nawał zdarzeń, które miały miejsce przez cały dzień, sprawił, że o Adamie myślałem tylko od

czasu do czasu. Teraz uświadomiłem sobie, że gdy to wszystko się skończy, myśli o przyjacielu będą mnie nawiedzać zdecydowanie częściej i trudno mi będzie sobie z nimi poradzić.

Chciałem już tylko położyć się do łóżka i spróbować zasnąć, ale była jeszcze Janka i Teresa. Noga za nogą poczłapałem więc do kuchni. Na stole stał krucyfiks, który wcześniej widziałem w domu Bielakowej.

„Dobrze, że o nim pamiętały — stwierdziłem w myślach. — Gdyby nie to, być może sprawy potoczyłyby się jeszcze gorzej”.

— Gdzie ona jest? Jak się czuje? Wiesz coś na temat jej dziwnego zachowania? — wystrzeliłem serią pytań.

Janka stawiała właśnie na stole talerz z dwiema kanapkami i herbatę w ceramicznym kubku.

— Nie wiem, czy dam radę coś przełknąć — dodałem.

— Kiedy ostatnio jadłeś? Pewnie wczoraj... Nie pozwolę ci się położyć, jeśli nie zjesz.

Właściwie to miała rację, że powinienem coś zjeść, więc sięgnąłem po kromkę.

— Teresa zasnęła. Dałam jej solidną dawkę środków nasennych... — Spojrzała na mnie, jakby sobie o czymś przypominała. — A właśnie, Witku, wczoraj i dzisiaj, jak tu byłeś, nie brałeś tabletek z szuflad kredensu?

Pokręciłem głową, ciągle przeżuując pierwszy kęs.

— To znaczy... To źle zabrzmiało, nie podejrzewałam cię o szperanie w naszych rzeczach, ale sądziłam, że może nie mogłeś zasnąć i poszukałeś czegoś na sen. Zniknęły wszystkie, oprócz jednego opakowania, które miałam w sypialni, a było tu ich naprawdę sporo. Czyli to pewnie Bogdan...

— Janka, przepraszam cię, ale jestem trochę zmęczony. — Starąłem się, aby w moim głosie nie było znać lekkiego zniecierpliwienia, ale chyba nie za bardzo mi się udało. — Opowiesz mi o Teresie?

— Tak, tak. Już mówię, przepraszam.

Okazało się, że dla uspokojenia Bielakowej pokręcili się we troje (był z nimi jeszcze wtedy Janek) po okolicy, ale gdy zrobiło się ciemno, one wróciły do domu, a Stanisławski wyruszył najpierw na chwilę do siebie (z pewnością po swój różaniec), a potem do Bliżowa.

— Mam nadzieję, że mieliście go ze sobą? — Wskazałem na krucyfiks.

— Mieliśmy taki sam — ten, który wzięłam z jej stołu. Jest teraz z nią w pokoju, a ten należy do mnie.

— Słusznie. — Skinąłem z uznaniem głową, przypominając sobie, że z Jankiem i tak chyba były bezpieczne. — Dziękuję, że mnie posłuchałaś, bo gdyby jeszcze was dopadł...

— Pamiętam, co mówiłeś wczoraj o tym, że powinniśmy mieć przy sobie coś poświęconego. Poza tym i tak wyrzucam sobie brak należytej czujności rano. Gdyby Mateusz cały czas miał coś takiego przy sobie...

— Już ci mówiłem, że nie ma sensu tego rozpamiętywać. Po prostu Czarny okazał się od nas sprytniejszy. Mam nadzieję, że udało mu się to po raz ostatni. Dziękuję, Janka, ale drugiej kanapki już nie zjem. Pójdę się położyć...

— Poczekaj. Nie powiedziałem ci jeszcze o najważniejszym. Właściwie, to nie wiem, jak do tego podejść, czy nie jest to przypadkiem jakiś majak Teresy, może wspomnienie jakiegoś snu albo coś. Mówiła o tym już po zażyciu środków nasennych, trochę język jej się plątał... — Zauważyła chyba moje zniecierpliwione spojrzenie, ponieważ przerwała ten przydługi wstęp i odchrząknęła. — Wiem, jak to będzie brzmiało, ale przekazuję tylko to, co opowiedziała mi Teresa. Podobno ona też spotkała Bobowicza, a właściwie jego ciało poruszane wolą Czarnego. To było parę dni temu, w Wielki Piątek. Mateusz był wtedy ciężko chory. Zaawansowany nowotwór kości, mięsak Ewinga czy coś takiego... Chorował niedługo, ale rak zżerał go w błyskawicznym tempie. Nie było już nadziei...

— Ty, jak rozumiem, nic takiego nie pamiętasz, mimo że znałyście się dość dobrze?

— Właśnie. Dlatego tak ciężko mi w to wszystko uwierzyć, bo pamiętam, jak Mateusz nie dalej jak dwa tygodnie temu, gdy u nich byłem, w najlepsze bawił się z kolegami w łapanego.

— Dziś Dobrowolski głosem Czarnego wspominał coś o Teresie...

— Dobrowolski? Dziś?!

— Tak, mieliśmy małe, nieplanowane spotkanie w stodole. — Pochyliłem głowę i wskazałem ręką ranę na karku. — Ale o tym opowiem ci może później. Najpierw skończmy z historią Teresy.

Wstała, podeszła do szafki i wyjęła z niej wodę utlenioną i kawałek gazy.

— Dobrze, ale w międzyczasie ci to przemyję, żeby nie wdało się zakażenie. No więc w Wielki Piątek pojawił się przed jej domem Czarny i zaproponował pomoc w sprawie Mateusza. Obiecał pieniądze i szansę na ratunek, pod warunkiem, że Teresa wyświadczy mu pewną przysługę...

\*

W łóżku byłem kilkanaście minut przed północą. Chciałem sobie całą opowieść, którą przekazała mi Janka, poukładać jakoś w głowie, ale dopadło mnie zbyt silne zmęczenie, więc przed zaśnięciem pomyślałem tylko o kilku rzeczach.

Po pierwsze — tam, na krawędzi pomiędzy Starzyzną a współczesnym światem, to wcale nie był sen. Faktycznie spotkałem wtedy Teresę, a później odnalazłem nóż, którym na polecenie Czarnego (a właściwie pozostając pod jego wpływem) miała mnie zabić. Nie zrobiła tego z przyczyn sobie niewiadomych, ale ja domyślałem się, co mogło być powodem. Wielokrotnie w klinice i na korytarzach przed gabinetami onkologów spotykałem rodziców dzieci dotkniętych podobną przypadłością, co Krzyś. Wydawało mi się, że rozumiemy się bez słów. Cierpienie dzieci, strach przed ich utratą, setki godzin spędzonych przy ich

łóżkach sprawiały, że w pewien sposób czuliśmy ze sobą dość silną więź. Traumatyczne przeżycia w pewien sposób nas do siebie zbliżały, często nawzajem we własnych oczach dostrzegaliśmy to, czego nie udałoby się w żaden sposób opisać słowami. Byliśmy trochę jak rodzeństwo...

Wydawało mi się, że we śnie spotkałem siostrę, której nigdy nie miałem. Tyle że to nie był sen, a Teresa nie była moją prawdziwą siostrą, ale to, co zobaczyła w moich oczach, sprawiło, że po prostu nie mogła wykonać zadania, które postawił przed nią Czarny. Kierował jej ciałem, sprawił, że stało się silne i sprawne jak nigdy dotąd, ale w najważniejszej chwili mimo wszystko nie potrafił zapanować nad jej umysłem. Gdyby mnie i Teresy nie łączyła podobna przeszłość, zrobiłby to bez trudu, z taką samą łatwością, jak w przypadku zabójcy własnej żony i dwóch córeczek.

Druga rzecz — Czarny nie potrafił uzdrowić Mateusza. Ofiarował pieniądze na leczenie, które być może i tak nie przyniosłoby pożądanых efektów, ale miał zbyt małą moc, by po prostu sprawić, że chłopiec wydobrzej. Teresa uzdrowienie syna z pewnością zawdzięczała innej, potężniejszej sile. A może zmiana historii Mateusza była swego rodzaju nagrodą za to, że kobieta ostatecznie nie uległa woli Czarnego? Wydawało się to bardzo prawdopodobne.

Przed snem przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl: „Skoro Czarny polecił Teresie zabicie kogoś, to niewykluczone, że się go obawiał. Czyżby więc ów ktoś miał możliwość pokrzyżowania jego szatańskich planów?”

Uśmiechnąłem się, ścisnąłem mocniej różaniec, który zabrałem ze sobą do łóżka i natychmiast zapadłem w głęboki sen.

## 13 kwietnia 2007 (piątek)

Boże Przenajświętszy, cóż to wczoraj był za koszmarny czas.

Bładym świtem w środę rano, kilka godzin po przeczytaniu listu, dostrzegłem zbliżającą się w kierunku domu niewielką sylwetkę. Chwyciłem mocniej mój prowizoryczny różaniec i zacząłem się modlić. Wiedziałem, że upiory nie mają do mnie dostępu, wiedziałem, że budynek mnie chroni, więc patrząc na zbliżającą się postać, modliłem się jedynie o to, bym nie dał się omamić myślami o samobójstwie.

Byłem spokojny, modlitwa dawała mi siłę i wiedziałem, że nic nie jest w stanie zachwiać moim postanowieniem o niepoddaniu się mocom złego. Ale on był coraz bliżej. Zauważyłem, że trzyma w ręku karabin. Podszedł do drzwi i szarpnął za klamkę, a potem zastukał. Najpierw cicho, ale później zaczął łomotać pięścią.

Mój spokój zniknął, gdy usłyszałem w sąsiednim pomieszczeniu brzęk tłuczonej szyby, a potem kroki na podłodze. Nie rozumiałem, jak zdołał tego dokonać, ale bez problemu pokonał niewidzialną barierę, która miała mnie chronić.

A potem stanął w drzwiach kuchni.

— No i co, panie? Zdaje się, że mamy do pogadania, panie dzieju.

Zobaczyłem, jak wyjmuje z kieszeni kilka opakowań jakichś lekarstw.

— Wodę masz?

Kiedy nie odpowiedziałem, skierował w moją stronę broń.

— Nie będę piętnaście razy się pytał, do jasnej cholery.

Wskazałem głową na garnek. Wciąż trzymając mnie na muszce, kubkiem nabrał z niego wodę. Postawił go na stole, a potem położył obok opakowanie z lekami.

— Wcinaj pan, ale już. Trzy tabletki, tylko szybko, bo nie będę się powtarzał.

Tabletki nasenne na pusty żołądek zadziałały niemal natychmiast.

Odpłynąłem, słysząc ciche, denerwujące poświstywanie.

To samo powtarzało się wiele razy. Kiedy powracała mi świadomość, natychmiast zmuszał mnie do łykania kolejnych środków nasennych. Bełkotał przy tym coś o jakimś Piotrusiu, o tym, że spotka go, jeśli dobrze wykona swoje zadanie. Sprawiał wrażenie zupełnie obłąkanego, ale był jednocześnie niezwykle czujny i zdeterminowany.

Największą dawkę kazał mi zaaplikować tuż przed zapadnięciem zmroku.

W czwartek rano już go nie było. Cały dzień spędziłem jak w malignie, ani razu nie mogąc porządnie zebrać myśli. Teraz, tuż po północy, zaczynam wracać do siebie i najważniejsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to świadomość daty,



która właśnie nastąpiła.

Trzynasty kwietnia. Szósta rocznica śmierci Magdy.

Boże, jak bardzo bym chciał być teraz z nią.

I wtedy, w dwa tysiące pierwszym roku też był piątek. Tyle że Wielki.

Nie wiem, może dziś do niej dołączę.

Teraz jestem tak bardzo zmęczony, tak bardzo wyczerpany. I głodny, choć wciąż mi niedobrze po tych tabletkach.

Boże, daj mi siłę.

Teraz znów muszę zasnąć.

Jeszcze jedno, Panie Boże.

Daj siłę Witkowi i kieruj jego krokami najlepiej jak to tylko możliwe.

Pamiętam ten list, wciąż tu leży, ale nie wierzę. Nie wierzę, by Witek mógł zrobić coś takiego. Nie wierzę, że do mnie strzelił, nie wierzę, że mnie zostawił.

Nie on.

To niemożliwe.

Nie on... I nie po tym wszystkim, co przeszedł...

# Rozdział drugi

## 1.

Kiedy po raz pierwszy otworzyłem oczy, za oknem dopiero zaczynało szarzeć. Wyczerpany wydarzeniami ostatnich dni organizm domagał się dłuższego odpoczynku, ja jednak postanowiłem wziąć się w garść i spróbować się jakoś pozbierać. Już pierwsza próba podniesienia głowy z poduszki uświadomiła mi, że to wcale nie będzie takie łatwe; ból na wysokości nerek przeszył mnie żywym i promieniującym we wszystkie strony ogniem. Dobrowolski miał wprawdzie tylko jedną rękę, na dodatek tę mniej sprawną, ale najwidoczniej bardzo się przyłożył do swojego zadania. Stan dolnej części moich pleców po uderzeniu trzonkiem wideł nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. Księżulo na pewno bardzo by się ucieszył z tego powodu, ale ponieważ wciąż ścisnąłem w dłoni mój pozyskany od Pauliny artefakt, to zakładałem, że nie będzie miał zbyt prędko takiej okazji.

Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów nadwerężoną wczorajszą samotaną ręką, ostrożnie dotknąłem okolic lędźwi. Opuchlizna była znaczna, ale chyba nie na tyle, by w jakiś znaczący sposób utrudnić mi poruszanie się. Poprzedniego dnia napędzany adrenaliną i rozruszany całodzienną aktywnością organizm jakoś sobie radził, ale teraz spodziewałem się większych kłopotów — szczególnie w trakcie i zaraz po podniesieniu się z łóżka. Pozostawała nadzieja, że tabletki na sen nie są jedynymi lekarstwami, jakimi dysponuje Janka, i znajdzie się dla mnie także coś przeciwbólowego.

— Jeszcze pięć minut — mruknąłem do siebie. Dokładnie w ten sam sposób, jak zwykłem to robić wieki temu, gdy odkładałem moment wstania w Warszawie. Wtedy w perspektywie było spotkanie w redakcji z Sadoniem, teraz miałem na rozkładzie nie do końca umarłych wisielców. Pozornie pierwsza opcja powinna się wydawać bardziej atrakcyjna, ja jednak długo zastanawiałbym się nad tym, czy aby na pewno.

Z trudem odczytałem godzinę na tarczy zegarka. Było parę minut po piątej, więc uznałem, że świat jeszcze chwilę może na mnie poczekać. Przez jakiś czas leżałem na plecach, wpatrując się w sufit i usiłując z najgłębszych zakamarków pamięci wygrzebać choćby skrawek snu, który przyśnił mi się tej nocy, ale wyglądało na to, że tym razem nie dostałem od Krzysia żadnej dodatkowej wskazówki. Wprawdzie kiedyś ostrzegwał mnie, abym uważał na sny, ale być może chodziło mu wtedy o moją nocną wycieczkę na Czarny Wygon, którą przez

cały czas uważałem za nocny koszmar, a która mogła się dla mnie skończyć o wiele gorzej, niż stało się to w rzeczywistości, i kto wie, co by było, gdyby wtedy Andrzej Książ nie stanął po mojej stronie. Ale to przecież było dawno i w Starzyźnie. W obecnej sytuacji każda wiadomość od zmarłego syna była na wagę złota, tyle że, niestety, na jej ewentualne pozyskanie nie miałem żadnego wpływu.

Wspomnienie Krzysia i ostatniego snu z nim w roli głównej zaprowadziło moje myśli do ponurego miejsca potrójnej zbrodni w Bliżowie i do młodego policjanta, który prawdopodobnie wciąż tam się znajdował. Uświadomiłem sobie, że jeśli ktoś go w nocy odwiedził, to — o ile nie miał na szyi na przykład poświęconego medalika — jedyną nadzieją dla starszego sierżanta sztabowego Witki było zdecydowanie i broń, której w razie potrzeby nie zawahałby się użyć. Teraz mogłem sobie wyrzucać, że nie spróbowałem zaopatrzyć go w coś, co mogłoby mu w razie potrzeby pomóc, ale jednocześnie rozumiałem, że taka próba mogłaby znacząco podważyć moją poczytalność w oczach Maciejewskiego. Poza tym czy mogłem mieć pewność, że poświęcone przedmioty są w rzeczywistości pomocne? Na pewno tak było w przypadku różańca Pauliny Podolak, bo sprawdził się już niejednokrotnie, ale te wszystkie krucyfiksy z tej rzeczywistości i chociażby różaniec Stanisławskiego mogły przecież okazać się zupełnie bezużyteczne w starciu z mocą Czarnego...

Wywołane tą myślą ukłucie niepokoju było bardzo dotkliwe, ponieważ nie mogłem teraz wykluczyć, że Jankowi i jego rodzinie stało się coś złego. Kto wie — może ostatniej nocy obie kobiety, z którymi chwilowo zamieszkiwałem, również nie były tak bezpieczne, jak mi się jeszcze wczoraj późnym wieczorem wydawało? Z drugiej jednak strony pamiętałem opowieść Teresy, którą przekazała mi Janka. Wynikało z niej jednoznacznie, że będąca pod wpływem Czarnego Bielakowa nie zdołała zbliżyć się na mniej niż dziesięć metrów do przydrożnych krzyży, a kościół musiała ominąć jeszcze szerszym łukiem. Nieco mnie to uspokoiło, nie na tyle jednak, bym mógł dalej, jak gdyby nigdy nic, leżeć sobie w łóżku.

Syknąłem z bólu, obracając się na bok, i zacząłem rozglądać się za swoimi ubraniami. Koszula i podkoszulek wisiały na oparciu krzesła, a spodnie były rzucone byle jak na podłodze. Wszystko jeszcze prawie nowe, kupione przedwczoraj w Łęcznej. Tym trudniej było mi się przyzwyczaić do tych ciuchów, że poprzedni, niezmienny zestaw służył mi przez ponad dwa lata. Torba, w której miałem świeżą (i również nową) bieliznę, leżała obok krzesła. Sięgnąłem po nią, podniosłem, a potem upuściłem.

Zeszyt „Przepisy Świąteczne”, na który ubiegłego wieczoru nie zwracałem większej uwagi, niby leżał w tym samym miejscu, ale coś się jednak zmieniło. Po chwili zrozumiałem, że długopis, pełniący wczoraj funkcję zakładki, obecnie spoczywa na okładce, w poprzek czerwonego serca. Gdyby nie fakt, że

poprzedniego ranka w brulionie nie znalazłem żadnych nowych notatek, na pewno po raz kolejny wpisałbym w nim datę, zapewne zostawiłbym go też otwartym. Nie zrobiłem tego, nie zasygnalizowałem, że nastawiam się na „odbiór”, a jednak...

— Kto wie? — wyszeptałem, a potem drżącą ręką zdjąłem długopis z okładki i wzięłem zeszyt. — Boże, proszę cię...

Zanim zerknąłem, poczułem jak bardzo wali mi serce, nieomal wyskakując z piersi. Ból, obawa o Jankę, Stanisławskiego i cały świat w ułamku sekundy przestały się liczyć. Ważne były tylko te leciwe i wysłużone kartki.

— ...spraw, żeby tym razem były zapisane.

\*

Nigdy nie miałem większych problemów ze wzrokiem, pomimo ukończonej już jakiś czas temu pięćdziesiątki wciąż nie potrzebowałem do czytania okularów, a jednak tym razem było zupełnie inaczej.

W pokoju było już prawie całkiem jasno, moje pismo nie różniło się od tego, którym dokonałem poprzednich wpisów, a jednak miałem spore problemy z jego odszyfrowaniem. Mrużyłem oczy, odsuwałem zeszyt tak daleko, że prawie brakowało mi ręki, a mimo tego poszczególne litery składałem w wyrazy jak mało zdolny pierwszoklasista. Z tyłu głowy kołatała się myśl o tym, że pogorszenie widzenia może mieć związek z przyspieszonym procesem starzenia, ale w tej chwili zupełnie mnie to nie obchodziło.

Z drugiej strony — być może dobrze się stało, że nie przeczytałem całości od razu. Niewykluczone, że tak duża dawka emocji podana w jednej pigułce mogłaby mnie po prostu zabić, a tak, zaraz po odłożeniu brulionu na siedzisko krzesła, odczuwałem jedynie nieprzyjemne pieczenie za mostkiem, dokładnie takie samo, jak ponad dwa lata temu, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Marcina Kowalika, zbiegającego ze schodów gospodarstwa Stanisławskiego.

— Z tamtym gnojem sobie poradziłeś, to i teraz dasz radę — powiedziałem półgłosem, by dodać sobie otuchy, a potem zacząłem się ubierać.

„A więc jednak nadal jest szansa dla Adama” — wciąż kołatało się pod czaszką.

Nie miałem pojęcia, co teraz, w jaki sposób to wykorzystać, jak pomóc przyjacielowi, ale działałem jak nakręcony. Być może przybywało mi w zastraszającym tempie lat, ale czułem się o wiele młodziej niż poprzedniego dnia. Wszelkie bóle przestały się liczyć, a umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

Zanim wyszedłem z pokoju, postanowiłem jeszcze na chwilę usiąść, żeby powstrzymać nadmierne emocje i trochę spokojniej przeanalizować kilka kwestii związanych z nową wiadomością. Czarny nie zajął się Adamem sam, co było wytłumaczalne o tyle, że nie mógłby wejść do domu, w którym znajduje się mój przyjaciel, ale dlaczego nakazał Adamowiczowi takie właśnie działanie? Biorąc pod uwagę stan psychiczny męża Janki, można się było spodziewać, że

szprycowanie tabletkami może być mniej efektywne od celnego strzału. Efekt końcowy byłby taki sam — Adam następnego dnia obudziłby się na Czarnym Wygonie i znów, po jednorazowej przerwie, mógłby nawiązać ze mną podświadomy kontakt. Najbardziej prawdopodobne było, że po prostu Adamowicz w swojej dwururce miał jeszcze jeden ślepy nabój. Pierwszy wykorzystał, strzelając mi w plecy na wzgórzu, ale druga komora wciąż była załadowana. Trudno się było spodziewać, że Czarny uzbroi szaleńca w ostrą amunicję. Małpa z brzytwą może przecież popsuć nawet najbardziej misterne plany.

Bardziej zastanawiający dla mnie był cel całego przedsięwzięcia. Sprokurowany przez Czarnego brak sygnału ze Starzyzny od Adama mógł mieć kilka przyczyn. Pierwsza z nich była taka, że Czarny planował coś na tamtą noc i nie chciał, żeby Nawrot mu przeszkadzał, ale tę opcję odrzuciłem już na samym początku — po prostu mój przyjaciel nie był w stanie pokrzyżować jakichkolwiek planów Bobowicza. Jedynym orężem Adama mógł być samodzielnie wykonany różaniec, a nawet jeśli miałby on jakąś moc, to i tak Czarny miał żołnierza, któremu wystarczyłoby dać ostre naboje. Na Adamowicza przecież artefakty nie działały.

Druga opcja wydała mi się bardziej prawdopodobna. Powszechnie wiadomo, że jeśli się komuś coś zabierze, a potem odda, to w ostatecznym rozrachunku wychodzi się na wielkodusznego, a poza tym uświadamia się obrabowanemu, jak bolesna byłaby ewentualnie strata tego, co zostało „wspaniałomyślnie” zwrócone. Wyglądało na to, że Czarny wysłał mi ostrzeżenie o treści: „Przestań się mieszać, bo zrobię to naprawdę”. Poza tym uśmiercając Adama, nie dysponowałby już kartą przetargową w postaci jego życia. Teraz wciąż ją miał i byłem przekonany, że przy najbliższej okazji nie zawaha się z niej skorzystać.

Pozostawała jeszcze kwestia sposobu, w jaki Adamowicz dostał się do Starzyzny. Jeśli Krzyś miał rację, został przeprowadzony o godzinie trzeciej którejś z wcześniejszych nocy (najprawdopodobniej tuż przed odwiedzinami w domu, w którym przebywał Adam). Skoro tak, to gdzie jest teraz i gdzie znajduje się obecnie Czarny?

Dochodziła szósta, więc jakieś trzy godziny temu znów mogło dojść do przekroczenia granicy światów. Czy tak się stało, kto przez nią ewentualnie przeszedł i w którą stronę? Pytań i możliwych odpowiedzi było bardzo wiele, a ja, siedząc w pokoju, nie zdołałbym znaleźć odpowiedzi na żadne z nich. Trzeba więc było zacząć działać.

— Trzeba zacząć działać — mruknąłem bez przekonania, ale zaraz potem przypomniałem sobie, że już poprzedniego dnia chodziły mi po głowie pewne pomysły, więc po prostu postanowiłem wcielić je w życie. — Kto wie, może w międzyczasie wykluje się coś nowego? — dodałem mało entuzjastycznie, lecz zaraz potem przywołałem sam siebie do porządku myślą: „Wciąż jest szansa dla Adama”.

\*

Działanie rozpocząłem od wizyty w toalecie.

Mijając drzwi prowadzące z korytarza do pokoju Janki, zauważyłem, że są lekko uchylone. W drodze powrotnej przystanąłem przy nich, a potem odważyłem się otworzyć je szerzej. Wchodzenie bez zaproszenia do sypialni kobiety nie jest szczytem elegancji i mogłoby zostać źle odebrane, ale tym razem uniknąłem takiego zagrożenia.

Łóżko było puste.

Nie spałem już prawie od godziny. Kiedy byłem w pokoju, nie usłyszałem żadnych dźwięków ani z korytarza, ani z innych pomieszczeń, zatem byłem święcie przekonany, że wstałem jako pierwszy — jak się okazało, przekonanie to było błędne. Nagle tknęła mnie obawa, że Czarny właśnie spełnił pierwszą część swojej groźby i to właśnie Janka była osobą, która trzy godziny wcześniej przekroczyła z nim granicę prowadzącą do Starzyzny. Przecież nie dalej niż kilka dni temu, piętro niżej w tym właśnie domu, zagroził, że jeśli nie spełnię jego żądania i nie przyprowadzę do niego Mateusza Bielaka, to mnie i ją zabierze na spotkanie z Adamem.

„Zobaczysz, jak bardzo ludzie mogą cierpieć przed śmiercią, a później, gdy nie będzie już ani Adama, ani twojej nowej koleżanki, zostaniesz tam sam, bez żadnej możliwości powrotu”. — Na wspomnienie tych słów aż się wzdrygnąłem. Czy to się faktycznie stało? Możliwe. Ja miałem przy sobie różaniec Pauliny, więc na razie byłem bezpieczny, ale jeśli krucyfiks, który miał chronić Jankę, nie spełniał swojej roli, to...

— Witku? — usłyszałem cichy głos z kuchni. — Witku, czy to ty?

Ponieważ na jasnym tle widziałem tylko kontur sylwetki, początkowo zdawało mi się, że Janka stoi tyłem do okna, jednak gdy podszedłem bliżej, okazało się, że patrzy przez nie na zewnątrz.

— Dlaczego wstałaś tak wcześnie? Czy coś się stało?

Powoli zaczęła odwracać głowę w moją stronę. Byłem prawie pewien, że jej oczy nie mają źrenic. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni po różaniec, ale chwilę później zostawiłem go w spokoju. Z oczami Janki było wszystko w porządku prócz tego, że były pełne łez.

— Bogdan — wyszeptała.

— Co z nim? Dostałaś jakieś wiadomości?

Przez jakiś czas milczała, ale wreszcie odparła, ocierając chusteczką mokre policzki:

— Poniekąd... Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale jestem pewna, że już go nie zobaczę żywego.

— Skąd możesz to wiedzieć? — zaprotestowałem, ale raczej bez przekonania. Znałem już Jankę na tyle, by poznać, że o niewielu rzeczach na świecie jest bardziej przekonana.

Odpowiedziała mi pytaniem:

— Wierzysz w sny?

— Wiesz, że moje sny czasem mają związek z moim zmarłym synkiem, więc...

— Nie, nie o to pytam. Chodzi mi o to, czy wierzysz, że można wyśnić czyjąś śmierć.

— Po wszystkim, co mnie spotkało w ciągu ostatnich dwóch lat, jestem w stanie uwierzyć chyba we wszystko.

Uśmiechnęła się smutno.

— Mówią, że sen o wypadających zębach zwiastuje śmierć. Słyszałeś o tym?

— Coś mi się obilo o uszy.

Cień uśmiechu zniknął z jej twarzy.

— Cztery razy w życiu śniło mi się, że komuś z mojej rodziny wypada ząb. Cztery i ani razu więcej. Za każdym razem następnego dnia albo nawet jeszcze tej samej nocy ten ktoś umierał. Najpierw mój brat. Pamiętasz, że wspominałam ci o jego chorobie... Lekarze i tak dziwili się, że z taką skazą genetyczną udało mu się dożyć trzydziestki. Niedługo po nim mama i na końcu, trzy lata później, ojciec. W noc poprzedzającą śmierć każde z nich mi się śniło i każde z nich w ten sam sposób wyjmowało sobie z dziąsła górną prawą dwójkę.

— A czwarta osoba?

— Nie domyślasz się? Przecież to oczywiste.

Zastanowiłem się przez chwilę i bez cienia wątpliwości powiedziałem:

— Piotrek, bratanek Bogdana.

Skinęła głową.

— Ten sen miałam w nocy z jedenastego na dwunastego marca dwa lata temu. Zaraz potem, jeszcze w nocy, jeden z sąsiadów przybiegł i obudził nas, łomocąc w drzwi. Powiedział, że Piotrek i jego dziewczyna zostali zamordowani...

Po raz kolejny w krótkim czasie wróciły do mnie wspomnienia z tamtej soboty. Najpierw, ubiegłego dnia w Bliżowie, spotkałem tych samych policjantów, co wtedy, i teraz po raz kolejny, pod wpływem opowieści Janki.

— A dziś... — ciągnęła — ...dziś właśnie w ten sam sposób przyśnił mi się Bogdan. — Patrzyła na mnie bezradnym, pełnym bólu wzrokiem. — On dzisiaj umarł albo umrze jeszcze przed północą, Witku, i jutro będę już sama na świecie. Mam tylko nadzieję, że nie będzie cierpiał...

Bezgłośny szloch wstrząsnął jej ciałem, a ja nie potrafiłem, i chyba też nie chciałem, opanować pierwszego odruchu, więc po prostu postąpiłem krok naprzód i wzięłem ją w ramiona. Wtuliła się w nie tak mocno, jakby od tego zależało jej życie i rozplakała się zupełnie jak małe dziecko. Trwaliśmy tak dłuższą chwilę, aż wreszcie zaczęła się uspokajać.

— Dziękuję — szepnęła, delikatnie się ode mnie odsuwając. — I przepraszam — dodała, po raz kolejny ocierając łzy.

— Nie będziesz sama, Janka, zobaczysz — odparłem. — Byleby się to wszystko

jakoś dobrze skończyło. Zresztą z Bogdanem to jeszcze też na pewno nie wiadomo...

Spojrzenie, jakie mi w tym momencie posłała, odebrało mi chęć do kontynuowania wątku. Najwyraźniej nie należała do osób, które w beznadziejnej sytuacji lubią wysłuchiwać o tym, że „wszystko będzie dobrze”.

Przez chwilę miałem wątpliwości, czy powinienem jej mówić o wpisie w brulionie, ale ponieważ już wcześniej, trochę na jej własne życzenie, nie zachowałem dla siebie złych wieści, to i tym razem postanowiłem od razu podzielić się nowymi informacjami. Byłem przy niej, gdy czytała, i widziałem, jak bardzo to przeżywa, więc gdy tylko skończyła, zapytałem, czy nie mogłaby mi zrobić coś ciepłego do picia i czy nie ma przypadkiem tabletek przeciwbólowych.

— Zrobię ci też coś do zjedzenia — powiedziała, natychmiast wracając do rzeczywistości i najwyraźniej strąsając z siebie przygnębiające myśli. — Gorąca herbata i tabletki też się znajdują. Znając ciebie, zaraz pewnie gdzieś wybędziesz?

Przytaknąłem i ucieszyłem się, że nie pyta, dokąd się wybieram. Trudno opowiadać o celu podróży, jeśli samemu nie jest się go do końca pewnym.

\*

Dwadzieścia minut później byłem już w samochodzie. Włożyłem kluczyk do stacyjki i już miałem go przekręcić, gdy po krótkim zastanowieniu zmieniłem zdanie.

Wychodząc z domu, sprawdziłem, czy mam ze sobą zdjęcie męża Bożeny, a teraz zrozumiałem, że muszę zapytać Jankę o jeszcze jedną bardzo ważną rzecz. Przy okazji zmieniłem także zdanie co do strzelby, która została pod łóżkiem, musiałem więc wrócić.

Z pokoju, w którym spała Teresa, dobiegały przyciszone głosy. Nie chcąc na razie przeszkadzać, wyjąłem pordzewiałą broń i zawinąłem ją w koc, a potem niezauważony przeniosłem ją do bagażnika. Miałem nadzieję, że jedna z osób, którą zamierzałem tego dnia spotkać, będzie potrafiła doprowadzić ją do stanu używalności.

Kiedy znalazłem się ponownie w korytarzu, spotkałem w nim Jankę. Wyjąłem fotografię z wewnętrznej kieszeni kurtki, by mieć stuprocentową pewność, że zamierzam szukać właściwego człowieka.

— Tak, to właśnie Tadeusz — powiedziała Janka, oddając mi zdjęcie. — Wciąż nie mogę uwierzyć, że mógł zrobić coś takiego.

— Pod wpływem wielkich pokus nawet łagodni ludzie zmieniają się czasem w bestie — odparłem. — Jak on ma na nazwisko?

Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi.

— Zamierzam ostrzec przed nim Zamość i okolice, więc chcę wiedzieć, jak się nazywa — uściśliłem. — Zdaje się, że do tej pory ani razu nie wymieniłaś jego nazwiska.



— Ach tak, być może. Mitnik.

Dla pewności zapisałem nazwisko na odwrocie, przy okazji zgarniając z kuchennego stołu brulion ze „świętecznymi przepisami” i zabierając go ze sobą. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli tu nie zostanie. Zamierzałem wprowadzić wrócić przed nocą, ale w tej całej sytuacji niczego nie można było być pewnym. Poza tym nie wiadomo, co by się stało, gdyby Teresa Bielak przypadkiem przeczytała zapisane w nim notatki.

— Jak ona się czuje?

— Sądzę, że podobnie jak Adam. Podobnie jak on została wczoraj dość mocno nafaszerowana środkami nasennymi. No i wybiera się na poszukiwania. Chyba nie będę jej potrafiła powstrzymać.

— W takim razie zostawię wam różaniec...

— Nie! — zaprotestowała gwałtownie. — Czarny nie może wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz. To chyba teraz nasza jedyna szansa, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiadomo, czy w ogóle jakakolwiek istnieje. W takim razie miej na nią oko.

— Na pewno nie zostawię jej samej nawet na chwilę, możesz być spokojny. — Zanim zdążyłem się odezwać, dodała: — Tak, i będę miała ze sobą krucyfiks. Obiecasz mi, że będziesz na siebie uważał i wrócisz przed nocą?

— Obiecuję, że się postaram — powiedziałem, a potem po raz ostatni tego ranka wyszedłem z domu Adamowiczów.

\*

Nie potrafiłem wyjechać z Guciowa, nie zajechawszy chociaż na moment w okolice domu Stanisławskiego.

Wciąż było dość wcześnie, ale udałem się tam w nadziei, że będę miał szczęście i zdołam przynajmniej zobaczyć kogoś na podwórzu. Wolałbym chyba zastukać wtedy do bram piekieł niż do drzwi wejściowych, narażając się na spotkanie z żoną Janka, ale parę minut obserwacji chyba nie powinno zbytnio opóźnić moich planów.

Po prawej minąłem czerwonego fiata punto należącego do Adama. Przy obecnym stanie wzroku nie udałooby mi się z drogi odczytać jego rejestracji, ale wciąż dobrze ją pamiętałem. WD 69666. Nie dość, że cholerne trzy szóstki na końcu, to jeszcze na początku inicjały Dobrowolskiego.

— Nie ma, kurwa, na tym świecie przypadków — mruknąłem i wrzuciłem na luz, wiedząc, że do domu Janka dotoczę się już bez konieczności dodawania gazu.

Na podwórzu nie było widać żadnego ruchu, co mnie nie zaskoczyło. Być może przyjechałem tu tylko dla uspokojenia sumienia, ale uważałem, że tak właśnie powinienem zrobić. Zresztą bywają sytuacje, w których brak złych wiadomości jest dobrą wiadomością i akurat spokój panujący w tym miejscu mógł świadczyć

o tym, że nic złego się nie wydarzyło ostatniej nocy.

Dałem sobie dziesięć minut.

„Jeśli nic się w tym czasie nie wydarzy, to odjeżdżam” — postanowiłem w myślach, mając jednocześnie nadzieję wykorzystać ten moment na analizę sytuacji i snucie najbliższych planów.

Niewiele brakowało, a postanowiłbym, że pojedę zaraz do Bliżowa, żeby zobaczyć, co dzieje się z młodym policjantem, ale przypomniałem sobie polecenie Maciejewskiego na temat jego sposobu postępowania z ewentualnym przybyszem (niezależnie od tego, kim by on był) i uznałem pomysł za nie do końca trafiony.

Przed oczyma stanęła mi znów Bożena Mitnik i jej córki. Kiedy znałem już nazwisko, ich śmierć wydawała się jeszcze bardziej przerażająca. To już nie była prawie anonimowa kobieta, to już nie były nieznanne dziewczynki. Teresa wspominała, że jej siostra pracowała, córki, jak inne dzieci, wracały ze szkoły. Na liście obecności jakiegoś zakładu przy imieniu i nazwisku „Bożena Mitnik” nie pojawi się już ani jeden podpis, a przy dwóch podobnych, w dziennikach szkolnych, nie zostanie wystawiona już żadna ocena. To nie była sensacyjna sztuka teatralna. To działa się naprawdę i niektórzy aktorzy nie będą mieli szans występu na bis. Po raz kolejny solennie sobie przyrzekłem, że chociażby dla tych dziewczynek mój powrót na roztoczańską scenę nie będzie daremny.

Nagłe stuknięcie tuż koło lewego ucha sprawiło, że podskoczyłem jak oparzony. Pochylony Stanisławski uważnie przyglądał się mojej twarzy. Odkręciłem szybę.

— Co tu robisz? — zapytał.

— A ty?

— Rodziny pilnuję przed podejrzanymi typami.

— Ja przyjechałem sprawdzić, czy skutecznie. Wszystko dobrze?

— Dobrze. A u ciebie?

— Też. W takim razie już mnie nie ma.

— Jak się czuje Bielakowa?

— Wraca do siebie po randce z prochami nasennymi.

— A żona Bogdana?

— Nie najgorzej, choć ma złe przecucia co do losów męża.

Milczeliśmy przez moment, po czym dodałem:

— Mój przyjaciel, wiesz, ten Adam od czerwonego punto... Wczoraj mówiłem ci, że nie żyje. Okazuje się, że jednak się myliłem. Chyba jest jeszcze dla niego jakaś szansa.

Janek patrzył na mnie uważnie, przyswajając ostatnią informację.

— Masz jeszcze tę moją strzelbę?

— Tak, nawet przy sobie, w bagażniku. Jeśli jest ci potrzebna, to już ci ją oddaję, tylko że...

— Nie, nie o to mi chodzi. — Machnął ręką. — Poczekaj moment.

Wrócił, niosąc ze sobą niewielką reklamówkę. Rozejrzał się na boki, a potem wyjął z niej pudełko z nabojami i podał mi je przez ciągle uchyloną szybę.

— Ja nie będę ci mógł już pomóc — rzekł. — Sam rozumiesz, muszę dbać o rodzinę. Ale ty na pewno nie odpuszczisz, więc mogą ci się przydać.

— Janek... — Byłem autentycznie poruszony. — ...nawet nie wiem, jak ci dziękować.

— To nie wszystko. Masz tu komórkę mojego syna. — Podał mi niewielkiego samsunga. — Jest na kartę, ale na koncie jest jeszcze kilkadziesiąt złotych. W kontaktach znajdziesz mój numer pod hasłem „Tato”. Jakby się to wszystko skończyło, to daj znać. W razie czego ja też będę mógł się do ciebie dodzwonić — na przykład jakby Sławek czegoś się dowiedział.

— Jak na razie cisza?

— Na razie tak, ale on łatwo nie odpuszcza. Witek, i najważniejsza rzecz. Zamykam na jakiś czas biznes, zabieram rodzinę i wybywam. Może na tydzień, może na dłużej. Rozumiesz, nie mogę ryzykować. Poza tym już od dawna należy nam się wspólny wyjazd.

— Rozumiem, Janek. Absolutnie cię rozumiem i uważam, że bardzo dobrze robisz.

Włożył dłoń do środka, a ja ją z całej siły uściśnąłem, dodając:

— I bardzo ci dziękuję za wszystko. Za teraz i za wtedy, dwa lata temu. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się jakoś odwdzińczyć, chociaż nie — żeby nie wiem co, to i tak mi się to nie uda. Na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem.

— Daj spokój. Po prostu wyjdź cało z tej kabały, pomóż przyjacielowi i — o ile to możliwe — pogoń tych skurwysynów na samo dno piekieł.

— Nie obiecuję, ale na pewno się postaram. — Uśmiechnąłem się.

Odpowiedział tym samym. I tak go właśnie zapamiętałem. Stojącego obok samochodu, ze szczerym, bezinteresownym uśmiechem na okrągłej, tylko z pozoru surowej twarzy.

## 2.

Najkrótsza droga do ośrodka prowadzonego przez księdza Dobrowolskiego wiodła przez Bliżów, ale ja postanowiłem pojechać inną, nieco dłuższą, żeby uniknąć pokusy zatrzymania się przy domu Mitników i sprawdzenia, czy z Witką wszystko jest w porządku.

Na samą myśl o tym, że za kilkadziesiąt minut okaże się, czy moje przypuszczenia odnośnie do Grelów, Katarzyny, Albina i Józka (co do losów starego Greli wątpliwości raczej nie miałem) były właściwe, serce biło żywiej — trochę z niepokoju, a trochę wskutek trudnej do opanowania ekscytacji. To, że

Adam dzwonił do Henia Kawęckiego i pytał o adres domu pomocy, nie pozostawiało wątpliwości co do jego zamiarów. Teraz pozostało mi tylko dowiedzieć się, czy udało mu się je zrealizować.

Uśmiechnąłem się kpiąco na wspomnienie własnych myśli po zakończeniu rozmowy z Kawęckim, o planach, że być może za kilka miesięcy wybiorę się, aby sprawdzić, co stało się z byłymi mieszkańcami Starzyzny. Było to ledwie dwa dni temu, a przez ten czas wszystko przewróciło się do góry nogami. Jeśli ktoś z góry najpierw patrzy na ludzkie plany, a później weryfikuje ich realizację z rzeczywistością, to musi mieć niezły ubaw.

Dojeżdżając do skrzyżowania w Kaczórkach, zatrzymałem samochód na poboczu. W środę rano planowałem wprawdzie podążyć w miejsce, w które udawałem się obecnie, ale zamierzałem sprawdzić w atlasie trasę dopiero po wyjechaniu z Adamowa w kierunku na Zamość. W ostatniej chwili zmieniłem zdanie, więc użycie mapy odsunęło się w czasie aż do teraz.

Trasa była prosta, nie musiałem nawet przejeżdżać przez miasto zwane przez niektórych „Perłą Renesansu” lub „Padwą Północy”. Wystarczyło w Lipsku odbić na Łabunie, a stamtąd to już rzut beretem, jednak... gdy zamykałem atlas, mój wzrok prześlizgnął się trochę niżej i spoczął na nazwie „Krasnobród”.

„To przecież tak blisko stąd — pomyślałem. — Fakt, wczoraj nie przyjechał, ale może udałoby się dowiedzieć, czy po prostu wystawił mnie do wiatru, czy może miał jakieś ważne powody...”

Rzuciłem atlas na siedzenie pasażera, po czym zrobiłem dokładnie to samo, co w środowe przedpołudnie, czyli zamiast w kierunku Zamościa pojechałem w stronę Krasnobrodu.

Ten ktoś na górze pewnie znowu się ubawił.

\*

Srebrny i bynajmniej nieuszkodzony ford mondeo stał sobie spokojnie na podjeździe przed domem rodziców Rafała, co wywołało we mnie nagłą falę złości. Nie dlatego, że Gielmuda wrócił wczoraj spokojnie do domu, ale z powodu, że nie raczył zahaczyć wcześniej, zgodnie z umową, o Bliźów.

Było jeszcze wcześniej, więc zapewne gwałtownym i natarczywym dzwonieniem do drzwi postawiłem na nogi cały dom. Nie miałem jednak w sobie ani grama współczucia.

— Dwa-lata-w Sta-rzyż-nie — mamrotałem w takt przyciskania dzwonka. — A-tobie-się-otworzyć-nie-chce?

I tak w kółko, kilka razy, aż wreszcie otworzyła mi matka Rafała. Jej wygląd przez ostatnie dwa lata właściwie się nie zmienił — wciąż miałbym problem z określeniem jej wieku i trudno byłoby mi orzec, czy przekroczyła już pięćdziesiątkę. Nie miałem natomiast najmniejszych wątpliwości co do tego, że mój widok ją przeraził. Zasinienie w okolicach oka pozyskane w niedzielę dzięki kolbie strzelby Adamowicza wciąż jeszcze było dobrze widoczne, ale być może

kobieta bardziej obawiała się wyrazu mojej twarzy, na której — zupełnie tego nie wykluczam — mogły być wyraźnie odcisnięte znamiona szaleństwa.

— Jeśli szuka pan Rafała, to...

— Jak mi pani powie, że go nie ma, to i tak sam zechcę to sprawdzić — ostrzegłem. — Wedrę się do domu i przeprowadzę metodyczne przeszukanie.

Chciała mi zamknąć drzwi przed nosem, ale wsunąłem but za próg, sięgając przy tym po raz kolejny do dzwonka i znów robiąc wewnątrz sporo hałasu.

— Nie zamierzam się z panią tu szamotać. Po prostu muszę zamienić parę zdań z Rafałem i na pewno swój cel zrealizuję, więc lepiej będzie, jak go pani po prostu jak najszybciej zawoła.

W jej oczach rysowało się niezdecydowanie i sytuacja wyglądała na patową, ale po kilkunastu sekundach dał się słyszeć tupot na schodach. Za plecami matki pojawił się Gielmuda.

— Spokojnie, mamó — powiedział. — Wszystko w porządku, to Witek, możesz go wpuścić.

— Wielkie, kurwa, dzięki, łaskawco — warknąłem, nie dbając o dobre maniere. — Bardzo przepraszam, że przyszedłem tak wcześnie, lecz nie miałem co robić. W Bliżowie. — Zasunąłem jeszcze parafrazą cytatu z „Misia”. — W Starzyźnie też mi się znudziło przez dwa lata, to się kręcę po okolicy i nachodzę rankiem przypadkowych ludzi.

Rafał pobladł w ułamku sekundy, a oczy jego matki rozszerzyły się w niewiarygodny wręcz sposób.

— Mamó, proszę, możesz zostawić nas samych? — zapytał, ale to było bardziej polecenie niż prośba.

— Ale przecież mówiłeś, że nie wolno nam nikogo wpuszczać...

— Mamó, gdyby to był ktoś, kto zagraża Paulince, to już byłby w środku. Mówiłem, żeby nie otwierać, a to różnica. — Jego głos wyraźnie drżał.

— Aha, czyli gdyby mama wykonała twoje polecenie, to stałbym to sobie do usranej śmierci?

— Tato! — dobiegło z pierwszego piętra. — Tato, chodź!

— Babcia już do ciebie idzie, skarbie! — odkrzyknął. — Prawda, mamó?

Zaraz potem zostaliśmy sami.

— Wejdiesz?

— Dzięki za miłe zaproszenie, ale wolę zostać na dworze — odparłem. — Powiedz mi tylko, dlaczego się wczoraj nie pojawiłeś w Bliżowie, jak się umawialiśmy.

Spuścił wzrok.

— Przepraszam cię, ale on... to znaczy ten przyjaciel moich znajomych, którego wiozłem do Zamościa, mi zabronił.

— Jak to ci zabronił? Co ty w ogóle pieprzysz?!

— Możemy o tym porozmawiać w środku? Ludzie się na nas gapią...

Obejrzałem się. Na chodniku obok domu stały dwie niewielkie grupki ciekawskich, którzy, żywo dyskutując, przyglądali się nam z zaciekawieniem.

— Panie Rafale, mam zadzwonić na policję? — krzyknął jakiś mądrała w bawarskim kapeluszu.

— Nie, panie Kostrubiec, wszystko jest w porządku! Mamy tu małe nieporozumienie ze znajomym...

Miałem pokusę, by panu Kostrubcowi coś jeszcze dorzucić od siebie, ale ostatecznie zmieniłem zdanie i minąłem w drzwiach Gielmudę, jednocześnie celując w niego palcem wskazującym.

— Lepiej, żebyś miał jakieś dobre wytłumaczenie.

\*

Usiedliśmy w kuchni, naprzeciw siebie, jak dwaj szachowi gracze, kładąc łokcie na stole. Twarz Rafała przypominała pysk zbitego psa, któremu doskwiera nerwowy tik. Przez te dwa lata zdążył już prawie całkiem osiwieć i wyglądał na starszego od własnej matki.

— Dobra, podsumujmy fakty — odezwałem się jako pierwszy. — Jakiś obcy facet zabrania ci jechać do Bliżowa, a ty tak po prostu, nie zważając na to, że tam na ciebie czekam, a właściwie mając to głęboko w dupie, najzwyczajniej w świecie wracasz do domu? Mając głęboko w dupie również to, co razem przeszliśmy dwa lata temu...

— To nie tak — przerwał mi słabym, zmęczonym głosem, ale dość gwałtownie. — Ty nic nie rozumiesz...

W uchylonych drzwiach pojawiła się matka Gielmudy.

— Wszystko w porządku, synku?

— Tak, mam. W porządku. Mam prośbę, mogłabyś nam nie przeszkadzać przez jakiś czas? Jak skończymy, to przyjdę do was na górę.

Drzwi zamknęły się równie bezszelestnie, jak przed chwilą zostały otwarte.

— Powiedz, czy ty naprawdę byłeś w Starzyźnie przez cały ten czas? — zapytał nieco drżącym głosem.

— Do tego może jeszcze dojdziemy. Najpierw chciałbym, aby urzekła mnie twoja historia, bo nie lubię, gdy ktoś mnie wystawia do wiatru i, ostrzegam, łatwo nie uda ci się mnie udobruchać.

Przez jakiś czas się nie odzywał, zauważyłem jednak, że na jego obliczu odmalowała się pewna odmiana. Mięśnie żuchwy napięły się pod policzkami, tik zniknął, a oczy otaksowały mnie hardym spojrzeniem.

— Na moim miejscu zrobiłbyś dokładnie tak samo — rzekł dobitnie. — Wiem o tym dobrze, więc nie oceniaj mnie po pozorach. Ten człowiek, którego wczoraj wiozłem do Zamościa, zagroził bezpieczeństwu Paulinki. Wsiadając z samochodu, stwierdził: „Oni niedługo przyjdą po pańską córcię. Może nawet już po nią idą...”. Kiedy spytałem, o co mu dokładnie chodzi, odpowiedział tylko: „Pan dobrze wie, kim są. Oni. Tak to określiłem, prawda? Zatem chyba

wszystko jasne”. Uśmiechnął się, tak okrutnie, bezdusznie... Właściwie to bardziej wyszczerzył zęby. Nawet nie musiałem widzieć jego oczu, by przypomnieli mi się Marcin Kowalik... Wiesz, chociażby wtedy, gdy pierwszy raz go poznałem na Czarnym Wygonie tuż po tym, gdy zdemolował mój samochód... To było straszne, Witek. Musiałem natychmiast tu przyjechać i sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Siedziałem przy niej przez pozostałą część popołudnia i wieczór. Później prawie całą noc nie spałem, nasłuchując nawet najcichszego szmeru za oknem. Byłem przerażony, zrozumi! Zresztą, ciągle jestem... Żebyś ty go wtedy widział... — Zamilkł i spuścił głowę. — Też miałeś chorego syna, więc musisz mnie zrozumieć — dodał.

— Poczekaj chwilę, czy ja ci wspominałem o Krzysiu?

Wzruszył ramionami.

— Nawet nie pamiętam. No ale jest przecież książka. Nie sądzisz chyba, że jej nie przeczytałem?

Najpierw nie wiedziałem, co ma na myśli, ale zaraz zrozumiałem. Książka „Czarny Wygon”, którą opublikował Adam.

— Dobrze, masz chyba rację. — Zeszło ze mnie powietrze i zdecydowanie spuściłem z tonu. — Ale dlaczego wspomniałeś o oczach tego człowieka? Zaznaczyłeś, że nie musiałeś nawet widzieć jego oczu...

— Nie jestem pewien, czy to był na pewno człowiek, przysięgam. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak właśnie jest. Miałem go tylko odwiedzić do szpitala, do okulisty. Rzekomo w trakcie pracy przy cięciu drewna piła natrafiła na kawałek metalu, być może pocisk albo odłamek z drugiej wojny. Ostre opiłki dostały się do jego oczu... Tak przynajmniej tłumaczył mi Maciek... No więc facet miał przez całą drogę oczy przewiązane opaską — podobno po to, żeby nie podrażnić źrenic opiłkami. Co dziwne, jak tylko wysiadł z auta przy szpitalu, to natychmiast ją zdjął z głowy, wyrzucił do śmietnika i nawet nie spojrzał w stronę izby przyjęć. Po prostu ruszył chodnikiem w swoją stronę i nic nie wskazywało na to, by miał jakikolwiek problem z oczyma.

Stado mrówek przemaszerowało po moich plecach najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

— Jak wyglądał? — zapytałem, choć podejrzewałem, że i bez tego doskonale znam odpowiedź.

— Dość wysoki, barczysty, łysy... Nie wiem co jeszcze...

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjąłem zdjęcie.

— To on, prawda?

Rafał spojrzał na fotografię, a potem z wyrazem bezbrzeżnego zaskoczenia przeniósł wzrok na mnie i pokiwał przytakująco głową.

— Ja pieprzę! — sapnął. — To ty go znasz? Co to za jeden?

— Do tego dojdziemy, ale zdaje się, że będziesz mi musiał poopowiadać coś więcej o tych twoich znajomych z Blizowa.

Z górnej kondygnacji dały się słyszeć podniesione głosy. Gielmuda wstał.

— Dobrze, ale za chwilę. Zdaje się, że mała się niecierpliwi. Powiedziałem, że schodzę tylko na moment.

Gdy zostałem w kuchni sam, poszedłem do zlewu, nalałem sobie pełną szklankę kranówki i wychyliłem ją duszkiem, a potem przeszedłem przez korytarz i zamknąłem zewnętrzne drzwi na górny zamek.

\*

— Wtedy, w Wielki Piątek dwa lata temu, po tym jak pożegnaliśmy się na szosie w Guciowie, zatrzymałem samochód na drodze prowadzącej do Słonecznej Doliny — zaczął Rafał, gdy już wrócił z góry. — Poszedłem poszukać Anielki. Trwało to dość długo, chyba ze trzy godziny, ale udało mi się wreszcie ją znaleźć. Gdyby nie ta kołysanka o Wojtusiu, na którego mruga iskiereczka, mogłoby mi się to nie udać, ale na szczęście nuciła ją sobie, siedząc na wielkim, zwałonym pniu, jakieś trzysta metrów, może nawet pół kilometra drogi w głąb lasu od Czarnego Wygonu. Ledwie zdążyliśmy wrócić do samochodu przed północą. Musiałem ją nawet przez pewien odcinek nieść na rękach. Boże Świąty, żebyś ty czuł, jaki odór bił z jej ust... Patrzyła na mnie z odległości dziesięciu centymetrów i błogo się uśmiechała. Niedobrze mi się robi na samo wspomnienie, no ale musiałem jakoś to wytrzymać, chociaż wydaje mi się, że wcale nie była zmęczona. Wiedziała, jak mi na tym zależy, więc po prostu wykorzystwała sytuację. Wpuściłem ją na siedzenie po stronie pasażera, zamknąłem drzwi, a sam zamierzałem usiąść za kierownicą i... i potem nic już nie pamiętam... — Rozłożył bezradnie ręce.

— Obserwowałem was wtedy zza drzew.

Zastygł i przez ułamek sekundy wyglądał jak ksiądz podczas odmawiania „Ojcze nasz” w czasie mszy.

— Co? Jak to możliwe? Przecież miałeś wrócić do swojego pokoju i nazajutrz wyjechać.

— Gdy się rozstaliśmy, pożyczyłem od Stanisławskiego strzelbę i ruszyłem w ślad za tobą. Zakładałem, że Marcin Kowalik będzie chciał ci uniemożliwić powrót do Starzyzny, więc uznałem, że może ci się przydać pomoc. Zaczaiłem się nieopodal twojego opla i czekałem. No i, jak się okazało, miałem rację co do Kowalika. Nieźle od niego wtedy oberwałeś, uderzył cię tak mocno, że miałem wątpliwości, czy zdołasz się z tego wylizać.

Rafał patrzył na mnie, nieświadomie otwierając ze zdziwienia usta.

— I co było dalej? — zapytał wreszcie, głęboko nabierając powietrza.

— Z oddali, od strony Starzyzny rozległo się bicie dzwonów, on zaczął biec w kierunku Słonecznej Doliny, więc wsiadłem do auta i ruszyłem za nim. Właściwie to ruszyliśmy, bo Anielka cały czas siedziała na fotelu pasażera. Dogoniłem go i potrafiłem tak mocno, że właściwie nie miał żadnych szans. Tyle że rozbiłem też opla na drzewie i nie miałem już możliwości powrotu.



No i zostałem. Na ponad dwa lata.

Przez moment milczał.

— Czyli jednak pradziadek miał rację?

— To znaczy?

— Pamiętasz, jak w Wielki Piątek dwa lata temu mówiłem ci, że mi się przyśnił w nocy. Twierdził, że to ty zamiast mnie trafisz do Starzyzny. Później jeszcze znalazłem na strychu zapisaną jego charakterem pisma karteczkę, która to potwierdzała.

— Faktycznie. — Teraz sobie przypomniałem. — Czytałem o tym w twoich zapiskach w brulionie. No i popatrz, wszystko okazało się prawdą. Ale powiedz, tak z ręką na sercu — nie domyśliłeś się tego? Nie zastanowiła cię koperta, którą zastałeś u siebie w domu? Skoro zakładałeś, że w Wielką Sobotę wróciłem do Warszawy, to przecież teoretycznie sam mógłbym ją wziąć ze sobą i przekazać Adamowi w biurze.

Powolnym ruchem podrapał się nad prawą brwią.

— Przez te trzy dni, od soboty do poniedziałku, chodziłem jak — nomen omen — walnięty, cały czas na środkach przeciwbólowych. Kark bolał mnie jak cholera, więc raczej się nad tym wszystkim nie zastanawiałem. Znalazłem tę grubą kopertę oraz twoje wskazówki, kiedy, gdzie i komu mam ją dostarczyć. We wtorek, zaraz po Wielkanocy, po prostu wsiadłem do samochodu rodziców, zawiozłem to do Warszawy i przekazałem Nawrotowi. Nie pamiętam już dokładnie, co wtedy myślałem. Może stwierdziłem, że zmieniłeś plany i zamiast jechać do stolicy postanowiłeś gdzieś trochę odpocząć? Potem zostałem na noc w motelu pod Warszawą, bo nie czułem się na siłach, by jeszcze tego samego dnia pokonać drogę powrotną. Przyjechałem w środę i okazało się, że Nawrot był tu tego samego dnia, jakąś godzinę wcześniej.

— Co?! — Jak na wytrawnych graczy przystało, szachowaliśmy się wzajemnie kolejnymi rewelacjami. — Adam był w twoim domu? Tutaj?

Rafał opuścił na chwilę kuchnię. Zaraz potem trzymałem w dłoni niewielką, złożoną na pół, wydartą z notesika kartkę. Gdy ją rozprostowałem, okazało się, że jest zapisana dobrze mi znanym pismem.

— Zostawił ją wtedy mojej mamie.

Przebiegłem wzrokiem tekst, w którym Nawrot jasno stawiał sprawę, że nigdy nie wybaczy Rafałowi tego, co z jego winy stało się Magdzie. Z kontekstu wynikało też, że nie zamierza zgłaszać na policję informacji, które pozyskał dzięki moim notatkom.

— Widzisz, Witek. Najpierw zrobiłem to, o co ty mnie prosiłeś, a potem to, co sugerował twój przyjaciel, czyli zająłem się Paulinką najlepiej jak potrafiłem.

Oddałem mu kartkę.

— A właśnie, nie zdążyłeś mi wczoraj powiedzieć, jak ona się miewa. Cieszę się, że wciąż jest z tobą, ale jej stan... no wiesz, nie pogarsza się?

— Jak na razie jest w miarę dobrze. Fizycznie wygląda, jakby miała mniej więcej osiem lat, ale jej umysł rozwija się w normalnym tempie i jest na poziomie czteroletniego dziecka. Boję się, że najgorsze przed nami, bo przecież dzieci poczęte w Starzyźnie po nastaniu klątwy umierały w wieku pięciu lat. Gdyby tak miało być też z Paulinką, to został nam jeszcze mniej więcej rok. — Zakrył oczy dłonią. — Tak bardzo się tego boję...

— A nie myślałeś o tym, żeby w ubiegłym roku w Wielki Piątek spróbować ponownie przeniknąć do Starzyzny i postarać się odkryć tajemnicę klątwy?

Zastanowił się, jakby chciał precyzyjnie dobrać słowa, a potem odparł cicho:

— Myślałem o tym, ale co, jeśliby się nie udało? Albo gdybym pozyskał tę wiedzę, a z jakichś powodów nie mógł wrócić? Wiem, że to tchórzliwe, ale ważąc wszystkie za i przeciw, zdecydowałem po prostu być z nią jak najdłużej.

— Być może masz rację — przyznałem po zastanowieniu. — Gdybym miał kogoś bliskiego, pewnie też taką decyzję podejmowałbym o wiele ostrożniej... I słusznie, bo udało mi się wrócić właściwie cudem, ale zagrożenie było bardzo duże. Wiesz, okazało się, że ponieważ znalazłem się w innym wymiarze poniekąd świadomie, to musiałem bardzo uważać, bo miałem wciąż, tak jak tutaj, tylko jedno życie. Zresztą kiedyś może będą lepsze okoliczności, żeby to wszystko opowiedzieć, ale teraz nie mamy czasu, bo te łajzy ze ślepyimi oczyma zaczynają już tutaj zaprowadzać swoje porządki.

— Dobrze. Powiedz mi jeszcze tylko, co stało się z Kowalikiem.

— Z odciętą głową wylądował w przytulnym grobie i już z niego nie wylazł. — Uśmiechnąłem się z satysfakcją. — Notabene, twoja saperka bardzo dobrze się sprawdziła jako prowizoryczna gilotyna. Najwyraźniej podczas ostatniej wizyty w Guciowie zaraził się od nas śmiertelnością.

\*

Zdawałem sobie sprawę, że dalsze losy Rafała sprzed dwóch lat mogą rzucić nieco światła na wydarzenia, które w ciągu kilku ostatnich dni miały miejsce w okolicach Bliżowa, więc go o nie dokładnie wypytałem. Okazało się, że w Wielką Sobotę ocknął się w obcym domu, leżąc w łóżku obok nieznanego mężczyzny („Nie, nie byliśmy nago!"). Kiedy go obudził, nie było wątpliwości, że tamten jest nawet nie tyle na kacu, co wciąż pijany po nadmiernym spożyciu ostatniej nocy i raczej wydobyć z niego jakichkolwiek informacji będzie niemożliwe.

Gielmuda z trudem się pozbierał, choć ból u nasady szyi był tak potężny, że wywoływał trudne do zniesienia nudności, z trudem dowlóknął się do drzwi, a potem trafił do kuchni, gdzie zastał kolejnych dwóch zupełnie obcych młodych mężczyzn. Przedstawili się jako bracia Maciej i Mirosław Bisowie, i oznajmili, na przemian przejmując wątek brawurowej narracji, że właśnie nocą w ostatniej chwili uratowali Rafałowi życie, ściągając go z drogi w Guciowie tuż przed nadjeżdżającą ciężarową scanią po brzegi wylądowaną tartaczynami balami. Nie

mówili tego wprost, niby starali się zachowywać skromnie i powściągliwie, ale wszystko wskazywało na to, że gdyby nie oni, ich dobre serca oraz niewątpliwe bohaterstwo, to Gielmuda zostałby rozsmarowany po szosie jak kawałek ciepłego masła na pajdzie razowca.

Sama relacja Rafała nasycona była lekkim sarkazmem, ponieważ — jak się okazało — po jakimś czasie wypytał w okolicy o tych ludzi i okazało się, że nie cieszą się raczej zbyt dobrą opinią, niemniej jednak wtedy był im niewypowiedzianie wręcz wdzięczny — wszak to właśnie dzięki nim Paulinka nie została sierotą zupełną w wieku zaledwie dwóch lat. I ta wdzięczność, choć może nieco przytępiona wątpliwościami, nieprzerwanie trwała przez następne dwa lata. Skoro nie miał dowodów na to, że było inaczej, to po prostu przyjął ten punkt widzenia i postanowił w miarę możliwości im się za uratowanie życia odwdzięczać.

Zaczął jeszcze w Wielką Sobotę. Gdy we dwóch zawieźli go do Krasnobrodu (udział Michała — trzeciego i najstarszego z braci — w nocnej „akcji ratowniczej” był przez pozostałych raczej marginalizowany), Rafał pożyczył od ojca pięćset złotych, by chociażby w ten sposób nieco im się na gorąco zrewanżować. Był przecież przed chwilą w ich domu w Bliżowie i wyraźnie widział, że Bisom — mówiąc delikatnie — raczej się nie przelewa.

Na tym pomoc się nie skończyła. Odwiedzał ich za każdym razem, gdy był na Roztoczu. Przywoził im jedzenie, jakąś butelczynę czy parę piw, ze dwa tanie wina, czasem zostawiał też pieniądze. Próbował też organizować jakieś rzeczy do ubrania, ale gdy przy okazji następnej wizyty zastał je pełniące funkcje zbłoconych wycieraczek przed progiem, to dał sobie z tym spokój. Kiedyś ojciec Rafała zasugerował, że mogliby pomóc u znajomego na budowie, ale ten pomysł nie spotkał się ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem ze strony Bisów. Dokładniej rzecz ujmując — stwierdzili, że „dziękują, kurwa, uprzejmie, ale w kwestii roboty, to oni sami sobie poradzą, jak tylko będą mieli na nią ochotę”. Gielmuda był więc przekonany, że głównym źródłem ich utrzymania było drewno, kradzione w okolicznych lasach. To wygodna forma zarobkowania. Nie masz na flaszkę albo na chleb? Zasuwasz do lasu i następnego dnia jest po kłopotcie, bo za połowę ceny każdy chętnie się skusi na jakiś klocek albo chociażby na drewno opałowe dobrej jakości, a potem jeszcze przyzwójcie zapłaci za przywóz nocą i ewentualne porąbanie lub pocięcie w przydomowym tartaku.

Po Wielkanocy w dwa tysiące piątym był wspomniany już dwudniowy wyjazd do Warszawy, a niedługo potem wspólnie z rodzicami podjęli decyzję o sprzedaży odziedziczonego przez Rafała po dziadkach, znanego mi domu. Puste mieszkanie po zmarłej ciotce czekało w Gorzowie, a zarówno dla Gielmudy, jak i dla jego córki perspektywa życia w obcym mieście, w którym nikt nie zadaje zbędnych pytań o powody przyspieszonego starzenia obojga z nich, też wydawała się bardziej korzystna. Tym bardziej że środki otrzymane za nieruchomość były

całkiem przyzwoite i przynajmniej na kilka nadchodzących lat zapewniały godną oraz w miarę komfortową egzystencję, a dodatkowo srebrnego forda mondeo dostali w prezencie.

Paulinka nie musiała jeszcze chodzić do szkoły, więc do Krasnobrodu mogli przyjeżdżać, kiedy tylko mieli na to ochotę, lecz bywali tu tylko w święta, starając się ze swoją obecnością zbytnio nie obnosić, by dzięki temu uchronić się przed wścibskimi oczyma i złośliwymi komentarzami. Czasem zostawali na kilka dni dłużej, tak jak tego roku. I zawsze odwiedzali cmentarz. Najchętniej późnym wieczorem, gdy było już ciemno, a wszystkie postaci przemykające pomiędzy grobami wyglądały podobnie w dyskretnej poświacie zapalonych na grobach zniczy. Paulinka trzymała wtedy swojego tatę za rękę. Niewiele jeszcze z tego wszystkiego rozumiała, więc cieszyła się, gdy za każdym razem szli tą samą drogą, a on pozwalał jej zapalać niektóre, jak to określała, ogniki. Kończyli zawsze w tym samym miejscu — przy rodzinnym grobowcu Gielmudów, w miejscu, gdzie splotły i zakończyły się losy Franciszka i jego syna, urodzonego w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku Michała, który dostał od ojca w skórę za bliznę na policzku — pamiątkę po bójce przed szkołą z jakimś tam Malinowskim kilka lat przed wojną. Z zapisanych przez Rafała w Starzyźnie kart brulionu wynika, że Albin Socha wspominał też o powodzie owej potyczki, którym była pewna dziewczyna, a z którą się później Michał ożenił. Ona również dzieliła miejsce pochówku z mężem i teściem. Spoczywała tam też jeszcze jedna osoba. Niewiele młodsza od Michała i jego żony Helena, z domu Trześniowska — do niedawna młoda dziewczyna i mama zbyt poważnie na swój wiek wyglądającej dziewczynki, która zapalała „ognika” i stawiała na płycie grobowca, dziwiąc się jednocześnie, że tato ukradkiem ociera oczy.

\*

Opowiadając o tym, Rafał uśmiechnął się z czułością.

— Wiesz — powiedział — kiedyś jej powiedziałem, że mam łzy w oczach, bo wieje zimny wiatr i ona to bardzo dobrze zapamiętała. Później nigdy już nie wiało, a Paulinka za każdym razem zwracała na to uwagę. Kiedyś pewnie zrozumie... — Westchnął ciężko. — No i tak sobie żyliśmy aż do teraz. Z jednej strony szczęśliwie, a z drugiej — z moją świadomością ciężącego nad nią wyroku. Iskra nadziei pojawiła się w momencie, gdy wyszła książka „Czarny Wygon”. Była szansa, że publikacja coś zmieni, przynajmniej przyhamuje trochę proces dorastania Paulinki, ale nic takiego się nie stało.

— A sąsiedzi? Jak przyjęli tę książkę? — zapytałem. — Ktoś chyba musiał ją czytać i wieść się rozniosła...?

— Książka miała premierę w czerwcu dwa tysiące szóstego roku. Nie było nas w Krasnobrodzie aż do Bożego Narodzenia, sprawa trochę przycichła, a dodatkowo moi rodzice cały czas utrzymywali, że wszystko jest wymysłem jakiegoś niewydarzonego pisarzyni, więc temat przez pół roku ładnie się

zasklepił.

— No, to chyba już mam jako taką jasność i możemy przystąpić do jakiegoś działania — powiedziałem i zacząłem podnosić się z krzesła, ale Rafał powstrzymał mnie ruchem dłoni.

— Poczekaj jeszcze chwilę, chcę ci coś ważnego powiedzieć. Ta sprawa dręczy mnie, od kiedy przeczytałem „Czarny Wygon” i jest wreszcie okazja ją wyjaśnić. Tym bardziej że — jak rozumiem — czytałeś moje zapiski w brulionie, który znajdował się w skrytce opla.

— Tak, oczywiście. Wiem, że bez twojej zgody, ale...

— To nie o to chodzi. To jasne, że powinienesz je przejrzeć. Rzecz w tym, że było w nich coś, czego się wstydzę. Napisałem tam, że po przeczytaniu w Internecie informacji na twój temat, które umieścił ktoś o pseudonimie „Dason”...

— Mój szef... były, na szczęście, który mnie szczerze nienawidził.

— Na tej podstawie, na podstawie jednego wpisu zwątpiłem w ciebie i chciałem zwrócić się do kogoś innego. Nie cierpię „czerwonych”, to zresztą też tam napisałem, ale lektura „Czarnego Wygonu” wszystko mi wyjaśniła. Wiem, jak było, i jest mi z tym źle, więc chciałem cię po prostu przeprosić. Zbyt łatwo wydałem wyrok, to było z mojej strony strasznie głupie. — Popatrzył na mnie niepewnie.

— Przez grzeczność nie zaprzeczę — powiedziałem po chwili milczenia, uśmiechając się pod nosem. — Fakt, to nie było miłe, sprawiło mi trochę przykrości, ale skąd mogłeś wtedy wiedzieć, jak to wszystko naprawdę wyglądało. — Machnąłem ręką i znów zabrałem się do wstawiania. — Zapomnijmy już o tym i bierzmy się do roboty.

— Nie gniewasz się? Przeprosiny przyjęte?

— Przyjęte. Słuchaj, nie możecie tutaj zostać, to zbyt niebezpieczne. Pojedziemy w inne miejsce, do księdza Dobrowolskiego, tego, w którego sprawie spotkałeś się kiedyś w Zamościu z jego bratankiem, pamiętasz?

— Jasne!

— Zdaje się, że tam będzie spokojniej, a poza tym może spotkasz tam... zresztą zobaczysz. W każdym razie kogoś znajomego.

— Intrygujesz.

— Zrobimy tak. Poszukaj w domu krucyfiks, takiego, co się go stawia na stole podczas wizyty księdza, jak chodzi po kołędzie.

— Musiałbym zapytać mamę. A dlaczego akurat taki ma być?

— Bo zwykle służy przez lata i był sto razy święcony.

— Okej.

— Pojedziemy dwoma samochodami. Ty ze mną — będzie trochę czasu, żebym mógł ci w skrócie powiedzieć co i jak, a twoi rodzice i Paulina fordem, za nami.

Zobaczyłem, że zmarkotniał.

— Coś się stało? — spytałem.

— Nie, to znaczy... stało się, ale nie wspomniałem ci jeszcze o tym — odparł, spuszczać wzrok. — Mój tato w lutym do nich dołączył. Kilka dni temu Paulinka po raz pierwszy zapaliła świątecznego „ognika” również i jemu...

### 3.

Początkowo sądziłem, że wobec informacji o śmierci Gielmudy seniora trzeba będzie zmodyfikować plany, ale zaraz potem przypomniałem sobie, jak mama Rafała dwa lata wcześniej przyjechała fordem do domu, który jeszcze wtedy do niego należał. Wówczas z niepokojem czekałem tam na jego powrót po tym, gdy zagubił się w okolicach Czarnego Wygonu i na wszelki wypadek nie otworzyłem, ale widziałem ją wracającą chodnikiem do zaparkowanego na ulicy samochodu.

Informację o wyjeździe w jakieś obce miejsce i prośbę o znalezienie krucyfiksę przyjęła ze spokojną rezygnacją. Wystarczyło jej zapewnienie syna, że to wszystko dla dobra Paulinki, i informacja, że prócz krzyża na wszelki wypadek powinna zabrać rzeczy na kilka dni. Rafał z córką — jak się okazało — zamierzali jeszcze tego dnia przed południem wyruszyć do Gorzowa, więc większość ich bagaży była już spakowana do dwóch niewielkich toreb i... jednej plastikowej klatki podróżnej dla kota.

Gdy Gielmuda zniósł klatkę z góry, spojrzał na mnie z zakłopotaniem i wykonał bezradny gest wolną ręką.

— Bez niego Paulinka nigdzie się nie ruszy, więc mam nadzieję, że nie będzie przeszkadzał?

Z klatki jaskrawozielonymi, prawie fosforyzującymi oczyma spoglądał na mnie niewielki, zupełnie czarny kociak. Najprawdopodobniej jeszcze dość młody, ale już na tyle cwany, by fuknąć na mnie z niechęcią, dając w ten sposób do zrozumienia całemu światu, że on tutaj jest panem i władcą.

— Mam nadzieję, że nie — odparłem. — Ale pewności nie mam, bo to nie ja będę gospodarzem tam, dokąd się wybieramy.

Niedługo po Rafale po schodach zeszła Paulina. Stałem wtedy w korytarzu i zobaczyłem ją, gdy była jeszcze dość wysoko. Nie poznałbym jej na ulicy — faktycznie wyglądała na jakieś osiem, może nawet dziewięć lat, mniej więcej na rówieśnicę Mateusza, mojego Krzysia i Anielki Komisarczuk, ale sposób poruszania bardzo przypominał tę ostatnią. Lekko niezdarne, jakby mechaniczne ruchy widziałem już wcześniej, ale na szczęście z oczyma tej dziewczynki wszystko było w porządku.

— Jej koordynacja ruchowa nie nadąża za tak szybkim wzrostem organizmu — szepnął mi Rafał, zapewne zauważając, że przyglądam się jego córce z uwagą.

— Jest trochę jak nastolatka w okresie bardzo szybkiego dojrzewania...

— Dzień dobry — powiedziała, stając przede mną i z zaciekawieniem mnie obserwując.

— Cześć, Paulinko.

— Babcia powiedziała, że będziemy jechać na wycieczkę z tobą, ale nie wie, czy tam będą psy. Bo mój kotek się boi psów — mówiła, intonując jak czterolatka, lekko przy tym sepleniąc. — Będą tam psy? Widziałeś byłeś już mojego kotka?

Konstrukcja, którą zastosowała w ostatnim pytaniu, sprawiła, że nagle zabrakło mi tchu, bo poczułem się dokładnie tak, jak podczas pierwszego spotkania z Anielką w lesie, niedaleko Guciowa.

— Nie wiem, Anielko... to znaczy Paulinko. — Udało mi się odpowiedzieć, ale wciąż byłem nieco zmieszany. — Nie mam zielonego pojęcia, bo ja jeszcze nigdy tam nie byłem.

— Nie masz zielonego pojęcia — powtórzyła ze śmiechem. — A co to znaczy?

Do rozmowy wtrąciła się jej babcia.

— Powiem ci po drodze, skarbie, co to znaczy. Musimy już jechać, prawda? — Pytanie skierowała do mnie.

— Tak — odparłem z ulgą. — Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

Po prostu bałem się tej małej.

\*

Trochę rozpraszała mnie konieczność sprawdzania we wstecznym lusterku, czy widzę w nim srebrne mondeo, ale prowadząca je kobieta radziła sobie całkiem przyzwoicie jak na pierwszy raz za kółkiem od dwóch lat. O jej tak długim rozbracie z kierownicą poinformował mnie Rafał, w momencie gdy ruszaliśmy spod domu. Poprosił jednocześnie o to, bym w związku z tym zbytnio nie szarżował. Odparłem, że wcale nie miałem takiego zamiaru, i było to absolutnie zgodne z prawdą.

Miałem Rafałowi do przekazania sporo ważnych informacji i wiedziałem, że będzie mi trudno się wyrobić podczas krótkiej podróży, którą mieliśmy przed sobą, więc jechałem najwolniej, jak to tylko było możliwe. Starłem się maksymalnie streszczać, jednocześnie wyłuskując z pamięci najistotniejsze fakty, które mogą mieć znaczenie dla sprawy.

Gdy minęliśmy Łabunie, do przebycia pozostało nam jedynie kilka kilometrów, a ja doszedłem do momentu, w którym spotkaliśmy się z Gielmudą na bliżowskiej ulicy, zapytał:

— Ale po cholere była mu ta debilna opaska na oczy? Przecież i tak bym go w razie czego rozpoznał, gdyby go złapali, a ja miałbym robić za świadka w sprawie...

— To zupełnie nie o to chodzi, Rafał. — Pokręciłem głową, przypominając sobie, że jeszcze nie zahaczyłem o podróż do Łęcznej i nocne spotkanie

z Weroniką na hotelowym korytarzu. — Podobnie jak ja, byłeś w Starzyźnie i masz pewien rzadki, powiedziałbym nawet — unikalny dar. Po prostu potrafilibyś ich rozpoznać tutaj, w naszym świecie, zobaczyć, że ich oczy są inne, pozbawione źrenic.

— Jesteś tego pewien?

— Pewien to jestem tylko tego, że po Roztoczu kręci się teraz paru typów, których miałbym wielką ochotę dopaść, ale gdyby tak nie było, to po co byłby ten cały cyrk z opaską? Po prostu Czarny lub ten bezręki debil w habicie, wszystko jedno zresztą który, wiedział, że jakbyś zobaczył takie ślepie, to od razu mógłbyś nabrać podejrzeń, że coś jest nie tak. A nawet jeśli jeszcze nie w tym momencie, to sprawa mogłaby się rypnąć podczas naszego spotkania.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Myślisz, że oni potrafią przewidywać przyszłość?

— Nie sądzę, ale Czarny wiedział, gdzie się znajduję, bo mój różaniec jeszcze sobie wtedy spokojnie leżał w aucie Adamowicza. Wiedział też, jaką drogą będziesz jechał do Zamościa, więc po prostu założył, że nasze spotkanie jest prawdopodobne i wolał się zabezpieczyć.

— Poczekaj, niech to poukładam trochę na głos — powiedział Rafał. — Czyli jest tak, że ten cały Czarny nakłonił w jakiś sposób starego Cygana, Bobowicza, by ten popełnił samobójstwo i wlaź w jego skórę...

— Niekoniecznie. Cygan mógł się powiesić bez ingerencji Czarnego, a Czarny tylko wykorzystał całą sytuację. Sądzę, że ciało Bobowicza obecnie jest wcieleniem złych mocy, które zauważyły, że ktoś miesza im w sprawie Starzyzny i po prostu zaczęły interweniować. Pamiętaj, że tam, w Starzyźnie, gdy spotkałem go przy kościele, Dobrowolski mówił, że „musi mieć jeszcze jednego”, czyli jakby do oczka brakowało mu jeszcze jednej potępionej na wieki osoby. No a potem sytuacja z jego punktu widzenia się bardzo skomplikowała i cel zaczął się oddalać. Zaczęło się od Komisarczuków, później przyszła kolej na pozostałych, którzy zostali złożeni w kościele i spłonęli jakimś wewnętrznym ogniem. Na koniec jeszcze byli uciekinierzy ze Starzyzny i Anielka, która dzięki mnie dołączyła do swoich rodziców, w prowizorycznym drewnianym sarkofagu, mającym postać starej szafy przywiezionej z domu Albina Sochy.

— Ale po co mogła być potrzebna Dobrowolskiemu ta określona liczba osób?

Zerknąłem w lusterko. Ford mondeo dzielnie dotrzymywał nam towarzystwa, prawie siedząc na zderzaku fiesty Adamowicza i ciągnąc się za nami z zawrotną prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

— Mam na ten temat pewną teorię, ale ona zapewne nigdy nie zostanie zweryfikowana. Uważam, że gdyby ta liczba została osiągnięta, to dla tych kreatur granice pomiędzy Starzyzną a naszym światem przestałyby istnieć. Rozleźliby się po naszym świecie jak zaraza. Nikt nie potrafiliby odróżnić ich od normalnych ludzi i wtedy mogliby bez przeszkód realizować plan Czarnego.



— Mielibyśmy tu Starzyznę w skali makro?

— Niewykluczone. Łatwość, z jaką ludzie dają się zmanipulować złu, jest wręcz porażająca. To wiadomo nie od dziś. Natomiast my dziś dodatkowo wiemy, że proces ten może być przez kogoś świadomie i celowo uruchomiany. Na przykład przy jednoczesnym zaistnieniu jakichś konkretnych okoliczności.

Zbliżaliśmy się właśnie do pierwszych zabudowań niewielkiej wioski, w której spodziewałem się znaleźć ośrodek prowadzony przez księdza Dobrowolskiego.

— No dobrze — odezwał się Rafał. — W takim razie w pięćdziesiątym drugim roku miała miejsce okrutna zbrodnia na ciężarnej kobiecie, w dodatku popełniona przez księdza w kościele, na ołtarzu. A teraz? Teraz też mamy do czynienia z morderstwem, w dodatku potrójnym, popełnionym przez osobę najbliższą zamordowanym, tylko że... — Zawiesił głós.

— Tylko że co?

— Tylko że przecież Czarny pojawił się tu już kilka dni wcześniej.

Włączyłem kierunkowskaz i zjechałem na pobocze, zatrzymując auto kilka metrów przed idącym z naprzeciwka mężczyzną.

— Być może jest coś, o czym jeszcze nie wiemy, a może... Rafał, odkręć szybę i zapytaj tego gościa o dom pomocy społecznej prowadzony przez księdza Dobrowolskiego.

Spełnił moją prośbę, wysłuchał odpowiedzi i po chwili wiedzieliśmy już jak trafić, więc ruszyliśmy dalej.

— A może...? — zapytał. — Zdaje się, że nie skończyłeś myśli.

— A może, i wcale nie wyklucza to pierwszej ewentualności, jest to coś w rodzaju zaprzędania się złym mocom. Wiesz, Twardowski i te sprawy. Pamiętasz, Czarny obiecał Teresie Bielak, że jak pomoże mi przenieść się na tamten świat, to dostanie pieniądze na leczenie syna.

— No dobrze. A ten facet? Ten cały Mitnik... Co niby miałyby dostać? I za co?

Natłok informacji do przekazania sprawił, że zapomniałem powiedzieć Rafałowi o tym, o czym poinformował mnie bezręki Dobrowolski w stodole. Nie wspominałem też jeszcze o porwaniu Mateusza i, ponieważ była to niezwykle ważna informacja, znów trochę zmartwiłem się o swoją pogarszającą się pamięć.

— Mitnik ma kochankę w Zamościu. Dostał pewnie obietnicę, że będą mieć kasy po uszy i święty spokój, ale najpierw musiał udowodnić, że można mu zaufać i dopiero potem porwał małego Bielaka, czyli zrobił dokładnie to, czego Czarny wymagał wcześniej ode mnie.

Zobaczyłem niewielki dworek oraz stojący obok niego kościółek. Byliśmy prawie na miejscu.

— Witek... — odezwał się cicho Rafał. — Kurwa mać, Witek! Czemu mi wcześniej tego nie powiedziałeś?

— Zapomniałem, powiedziałem ci teraz. Coraz gorzej z moją głową.

Zatrzymałem samochód przy wejściu.

— Zobacz, kto kopie grządki w ogródku.

Kilkadziesiąt metrów od nas Jasiek Grela zasuwiał szpadlem z takim zapalem, jakby od tego zależało jego życie, ale, co zauważyłem kątem oka, Rafał w ogóle tam nie popatrzył. Twarz miał pobladłą, a wytrzeszczone i skierowane na mnie oczy wyglądały na oczy szaleńca.

— I co z tym małym? — wychrypiał.

— Nic, ciągle się chyba nie znalazł. Mam nadzieję, że nic mu...

— Tam, u Bisów, tuż przed wyjazdem do Zamościa z Mitnikiem... Boże, Witek, ja tam słyszałem zza zamkniętych drzwi jakiegoś dzieciaka.

— No i? — Starłem się zachować spokój, ale coś mi mówiło, że ten stan zaraz się skończy.

— Oni mieszkali sami, we trzech. Od kiedy pamiętam. I we trzech, plus jeszcze ten cały zasrany Mitnik, byli ze mną wtedy w kuchni. A za drzwiami było jakieś dziecko, które zapłakało przez moment, ale zaraz ktoś je uspokoił. Nawet zapytałem, to powiedzieli, że kuzyn z synem ich odwiedził... Nie drażyłem tematu, bo trzeba było szybko zawieźć do szpitala człowieka po wypadku...

I wtedy sobie przypomniałem, co w stodole odpowiedział Dobrowolski na moje pytanie o Mateusza. Chrypiał i ledwie mógł wydobyć z siebie głos, ja usłyszałem to, co mogłem zrozumieć. Sądziłem, że mówi „u biesów”, ale teraz było dla mnie jasne, że nie bredził wtedy, a mówił najszczerzą prawdę.

Tylko skąd, na Boga, ja to wtedy mogłem wiedzieć?!

\*

Zniecierpliwiona czekaniem mama Rafała podeszła do drzwi od jego strony. Uchylił je i poprosił, żeby jeszcze chwilę poczekały z Paulinką w drugim samochodzie. Ja w tym czasie zapoznawałem się z otrzymaną od Stanisławskiego komórką i szło mi to bardzo opornie. Nie dość, że odzwyczałem się od tego typu urządzeń przez dwa lata (nie licząc skorzystania z telefonu Adama, zanim zdążył się wyładować), to jeszcze ze zdenerwowania ręce trzęsły mi się jak w febrze. Na szczęście Rafał szybciej się opanował, wziął ode mnie aparat, znalazł numer Janka i nacisnął przycisk inicjujący połączenie.

Zdążyłem usłyszeć pięć lub sześć sygnałów i wydawało mi się, że czekam całą wieczność, ale wreszcie w słuchawce odezwał się głos Stanisławskiego.

— Janek! — krzyknąłem. — Bogu dzięki, że odebrałeś! Słuchaj, natychmiast zadzwoń do Maciejewskiego i powiedz mu, że Mateusz jest najprawdopodobniej w domu Bisów w Bliżowie!

— ...

— Nie wiesz, gdzie oni mieszkają? — Spojrzałem w stronę Gielmudy, on wytłumaczył, a ja powtórzyłem do telefonu:

— Ostatnie zabudowania w Bliżowie, w kierunku na Guciów, przysiółek Bisy. Trzech braci, też o nazwisku Bis.

— ...

— Tak, to pewna informacja. Na sto procent. Janek, tylko jak najszybciej. Na razie!

Rozłączyłem się.

— Obyśmy tylko zdążyli. — Westchnąłem. — Słuchaj, Rafał. Ja teraz tam jadę. Może będę szybciej od policji.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

— Jak to jedziesz? A my?

— Idź do Jaśka, porozmawiaj z nim i, jeśli to możliwe, poproś, żeby ten ksiądz, który to wszystko prowadzi, zaopiekował się wami. Skoro dał schronienie Jaśkowi, to może też dać i innym. Uczul wszystkich, żeby mieli cały czas coś przy sobie. No, wiesz, o co mi chodzi.

— Krzyże i tym podobne?

— Tak jest. U księdza powinno być tego pod dostatkiem. Zresztą musisz z nim porozmawiać.

— Ale co mam mu niby powiedzieć?

— Nie wiem, wyczuj go jakoś. Pewnie zorientujesz się, ile można mu przekazać wiedzy o Starzyźnie. O ile w ogóle... Zależy od tego, jaki to człowiek.

— To chyba nie jest dobry pomysł.

— Dlatego mówię — zorientujesz się. Coś chyba jednak będziesz musiał powiedzieć albo zmyślić jakąś zgrabną historyjkę, bo — i teraz uważaj, bo to cholernie ważne — jak twoja mama i Paulinka będą już bezpieczne, weźmiesz auto i pojedziesz z Jaśkiem do Zamościa na spotkanie z Piotrem Dobrowolskim, pamiętasz, to jest...

— Tak, pamiętam. Bratanek tego księdza, dziennikarz „Echa Zamościa”.

— No właśnie. Musisz go jakimś cudem skłonić do tego, aby w jutrzejszym numerze tej gazety... — zresztą, nieważne jakiej, po prostu w jakiejkolwiek — ukazała się informacja o przyczynach klątwy zatajenia. Może pomoże ksiądz, a jak nie, to użyj wszystkich swoich wdzięków w czasie rozmowy z dziennikarzem. Padnij na kolana, błagaj, jak trzeba będzie, to daj mu dupy. Wszystko jedno. Po prostu musisz go przekonać.

— Ale po co? Przecież jeśli książka „Czarny Wygon” nic nie pomogła, to...

— Przecież już o tym rozmawialiśmy — fuknąłem zniecierpliwiony. — W książce nic nie było o przyczynie klątwy, czyli o morderstwie na ołtarzu. Tego dowiedziałem się dopiero ja. Nie wiem, czy to pomoże, ale trzeba próbować.

— No nie wiem... — Zabrzmiało to mniej więcej tak, jakby miał wątpliwości, czy zimą nago można zdobyć Mount Everest. — Jutro jest sobota, poza tym już jest trochę późno.

— Posłuchaj. Nie mam czasu, żeby cię przekonywać. Możesz nie próbować, ale pamiętaj, że gra toczy się też — a może nawet przede wszystkim — o życie twojej córki...

\*

Zanim wysiadł, okazało się, że mam jeszcze dla Rafała jedno zadanie. Wyjąłem z kieszeni zdjęcie Mitnika i podałem mu je, mówiąc, że ono również musi się znaleźć w gazecie następnego dnia. Wziął je z roztargnieniem, jakby całe jego myśli chwilę wcześniej skierowały się ku temu, co powiedziałem o grze o życie Paulinki. Tym razem nie podał już w wątpliwość możliwości jego opublikowania. Nie wiem, czy uznał, że i tak się nie uda, czy też był skoncentrowany na umieszczeniu tekstu o przyczynie kłatwy. W każdym razie zapytał tylko dlaczego.

— By ostrzec mieszkańców Zamościa i okolic. Nieważne, czy z namaszczeniem policji, czy bez niego — odparłem. — Przynajmniej facet nie będzie miał łatwego i usłanego różami życia, na jakie liczył.

Rzucił okiem na fotografię.

— Ty też to widzisz? Wcześniej chyba wszystko było w porządku...?

Przyjrzałem się i zrozumiałem, o co mu chodzi. Poprzednio Tadeusz Mitnik na zdjęciu wyglądał normalnie. Teraz nie miał źrenic.

— No widzisz — powiedziałem. — Będziesz miał okazję przekonać się, czy to, co mówiłem o cechach, jakie się nabywa dzięki pobytowi w Starzyźnie, jest zgodne z rzeczywistością i czy moje przypuszczenia są słuszne.

Gdy zamknął drzwi od zewnątrz, natychmiast ruszył w kierunku Jaśka. Nie miałem czasu, by przyjrzeć się ich powitaniu, a szkoda, bo mogło być ono dość spektakularne. Zdążyłem tylko spostrzec, że Grela wyprostował się i spojrzał w kierunku Rafała, a na jego twarzy nie zaszła żadna widoczna zmiana.

Cóż, trudno się dziwić, że nie poznał od razu Gielmudy, który w ciągu dwóch lat postarzał się co najmniej o dwadzieścia.

## 4.

Kiedy ponownie przejeżdżałem przez Łabunie, dotarło do mnie, że nie mam numeru telefonu ani do Rafała (przypuszczałem, że na pewno ma przy sobie komórkę, choć ani razu jej przy mnie nie użył), ani do domu pomocy Dobrowolskiego.

W pośpiechu zapomina się czasem o kluczowych kwestiach.

Rozważyłem powrót, ale ostatecznie kontynuowałem jazdę w kierunku Bliżowa. To, że tak bardzo chciałem się tam znaleźć, nie było zbyt racjonalne, ponieważ w pojedynkę, przed przyjazdem policji, zapewne i tak niewiele bym zdziałał, ale jeśli dzień wcześniej ktoś przysięga martwej kobiecie i jej zamordowanym córkom pomoc w odnalezieniu zabójcy, to trudno się po takim kimś spodziewać stuprocentowo logicznego postępowania.

Poza tym uznałem, że jeśli Czarny (być może z bezrękim księdzem) wciąż są w domu Bisów, to w razie czego trudniej będzie im się wykpić, jeśli ja również tam się znajdę. Było to myślenie bardziej życzeniowe, niż mające pokrycie w rzeczywistości, bo niby co miałbym powiedzieć Maciejewskiemu? „Panie komisarzu, proszę ich aresztować. Tego starego i tego drugiego, w habicie też, bo oni nie mają źrenic”? Być może na całym Roztoczu znalazłoby się ze dwoje mniej rozgarniętych dzieci, którym mógłbym wcisnąć taki kit, ale z Maciejewskim raczej by ten numer nie przeszedł. Dowodów na to, że Mitnik był inspirowany przez kogoś z zewnątrz, też żadnych nie miałem...

— Każda dodatkowa para oczu się liczy — rzekłem na głos i od razu poczułem się raźniej i mniej idiotycznie.

Ale dopiero po przejechaniu kilku kolejnych kilometrów zrozumiałem, że to, co powiedziałem, wcale nie było takie głupie. Przecież każda dodatkowa para oczu mogła mieć znaczenie także po stronie Czarnego, a tak się akurat składało, że oprócz Rafała i (prawdopodobnie — tej pewności jeszcze nie miałem) grupki uciekinierów ze Starzyzny, nikt nie potrafiłby odróżnić sprzymierzeńców złych chłopców bez źrenic od Bogu ducha winnych mieszkańców Bliżowa.

„Nie tylko wśród mieszkańców Bliżowa — pomyślałem. — Przecież sierżant Witko spędził w domu Mitników całą noc i cholera wie, kto go odwiedził. Może na przykład wpadła w odwiedziny jego mama, podobnie jak kiedyś do Rafała w Starzyźnie...? Byłoby bardzo źle, gdyby przehuśtał się na złą stronę, a Maciejewski niczego by się nie domyślał”.

— Czyli jednak bardzo dobrze, że tam się szybko pojawię — mruknąłem, dodałem gazu i po upływie nie więcej niż dziesięciu sekund złapałem gumę.

\*

Trudno powiedzieć, czy najechałem na coś ostrego, czy też może sfatygowana do granic możliwości opona po prostu się samoistnie rozszczelniła, w każdym razie auto najpierw lekko zaczęło tańczyć na drodze i toczyć się do przodu o wiele mniej chętnie niż do tej pory, a po chwili do moich uszu dobiegł charakterystyczny turkot, jaki zazwyczaj wydaje kapeć na niemal nieochranianej feldze.

— Już, kurwa, się napojawiał szybko.

Wysiadłem i potwierdziły się moje przypuszczenia, że to lewe przednie koło potrzebuje wymiany. Problem w tym, że nawet nie wiedziałem, czy mam zapas, nie mówiąc już o tym, że nawet jeśli był, to czy zdatny do użytku. Sposób, w jaki Adamowicz obchodził się ze swoim samochodem, pozwalał mieć co do tego daleko idące wątpliwości.

Zanim się przekonałem, czy mam co założyć na lewy przód, skłamałem się w myślach za to, że w pośpiechu zapomniałem o strzelbie. Leżała tak, jak ją zapakowałem rano, a przecież zamierzałem ją dać Józkowi Kowalikowi z nadzieją, że przy jego zamiłowaniu do broni (o czym świadczyły chociażby

umiejętności strzeleckie), uda mu się jakoś doprowadzić ją do jako takiego użytku. Oczywiście wszystko zależałoby od księdza Dobrowolskiego i jego podejścia do starzyźnianych tematów, niemniej jednak uważałem, że na wszelki wypadek nie zaszkodzi spróbować. Z drugiej strony — temat był dość delikatny i raczej nie należało go rozwiązywać w pośpiechu, więc nawet jeśli przerzuciłbym przed wyjazdem strzelbę do bagażnika Rafałowego forda, to i tak pewnie niewiele by zmieniło, skoro w tym momencie najważniejsza była publikacja w prasie informacji odnośnie do przyczyny kławy.

— Na każdym kroku dylematy — powiedziałem, przesuając zawiniętą w koc broń, by dostać się do klapy przykrywającej wnękę na koło zapasowe. — Niektórzy teraz oglądają powtórki „Mody na sukces”, „Kalamburów” albo innego „Samego życia”, a ja mam tu „Życie na gorąco”. Redaktor Maj za dychę się znalazł... Teleszyński lepiej by się nadawał. Młodszy wtedy, przystojniejszy, i w dodatku był to serial, w którym raczej wszystko się w miarę dobrze kończyło.

Pierwszy sukces polegał na tym, że koło zapasowe w ogóle było na przeznaczonym dla niego miejscu, drugi — że było jako tako napompowane (choć łyse jak kolano), a trzeci, że znalazłem też lewarek i klucz potrzebny do odkręcenia śrub.

Czwartego sukcesu już nie było.

Dwie śruby były zapieczone tak mocno, że w żaden sposób nie byłem w stanie ich poluzować. Męczyłem się chyba z pół godziny, pocąc się przy tym jak szczur, stękając i omdlewając z wysiłku. Nic z tego. W tym czasie przed oczyma przebiegały mi obrazy dramatycznych wydarzeń rozgrywających się właśnie w Bliżowie, następujące wskutek tego, że nie zdążyłem dotrzeć na czas. Użyłem wszystkich znanych mi wulgarnych słów i klątw w stosunku do śrub, samochodu oraz jego właściciela, ale nawet to nie pomogło, więc ze stoickim spokojem cisnąłem kluczem jak najdalej przed siebie, prawie na środek położonej przy szosie łąki, a zaraz potem usiadłem nad przydrożnym rowem. Plecami do samochodu, jak gdyby dając mu do zrozumienia, że od teraz ma przechlapane.

„Zaczyna ci odwalać — stwierdziłem w myślach. — Zastanów się, jak z tego wybrnąć, a nie pajacuj!”

Posłuchałem więc swojej własnej rady i sięgnąłem po komórkę. Była łatwa w obsłudze, w dodatku wystarczyło tylko ponowić połączenie. Słuchałem buczenia sygnału, zdając sobie sprawę, jak bardzo Janek się ucieszy, gdy po raz kolejny poproszę go o pomoc. Szykowałem w głowie jakąś zgrabną gadkę do momentu, gdy beznamiętny kobiecy głos poprosił mnie o zostawienie wiadomości. Spróbowałem jeszcze raz — dokładnie z tym samym skutkiem.

Okolica zalana była słońcem. Jego ciepłe promienie przyjemnie ogrzewały mi plecy i nagle dotknęło mnie coś w rodzaju *déjà vu*. No tak, przebudzenie na wzgórzu pomiędzy Słoneczną Doliną a Guciwem w Wielką Niedzielę, niecały tydzień temu... Miałem wtedy kaca giganta, łeb mi pękał, ale nie wiem, czy nie

wolałbym cofnąć czasu do wtedy, gdybym tylko potrafił. Nie potrafiłem, więc wstałem i poczłapałem, by sprawdzić w samochodowym atlasie swoje położenie. Znajdowałem się w połowie drogi pomiędzy Łabuniami a Lipskiem, więc do Bliżowa miałem jakieś dwadzieścia kilometrów, może nawet nieco więcej. Na piechotę dokuśtykałbym tam najwcześniej za cztery godziny, co raczej średnio mnie urządzało.

Od strony Lipska dotarł do moich uszu warkot silnika. Spojrzałem w tamtą stronę z nadzieją, że to tajemniczy młody ksiądz z Krasnobrodu, który uratował mi tyłek na stacji paliw w Adamowie, znów nadciąga z odsieczą. Nic z tego. Zbliżała się do mnie czerwona dostawcza furgonetka, zupełnie nieprzypominająca samochodu, którym się wtedy poruszał.

— Przecież wyraźnie mówił, że w przyszłości nie zawsze będzie mógł pomóc — powiedziałem, po czym, straciwszy zainteresowanie pojazdem, zacząłem rozmyślać nad dalszym planem działania.

Mogłem zadzwonić na informację (której numeru nie znałem, ale chyba mogłem ustalić, dzwoniąc na jakikolwiek zamojski kontakt podany w atlasie) albo na przykład do Henia Kawęckiego z prośbą o znalezienie numeru do domu pomocy Dobrowolskiego. Chociaż nie, numeru Kawęckiego też przecież nie miałem, bo skrywał go wyładowany na amen telefon Adama. Zresztą to chyba i tak był numer domowy. To może w takim razie spróbować do redakcji? Na myśl, że mógłby odebrać Sadoń, otrząsnąłem się z obrzydzeniem, no ale w tej sytuacji... Janek pewnie nie odbierze, a szukanie wyrzuconego przed chwilą klucza i dalsza szamotanina z kołami była tylko prowadzącym do utraty sił marnotrawstwem czasu. A więc jednak redakcja... Tylko, zaraz, jaki tam był numer...?

Ktoś lekko klepnął mnie w ramię. Odwróciłem się i zobaczyłem chudego, o głowę ode mnie wyższego dryblasza w przekrzywionej bejsbolówce, który uśmiechał się przyjaźnie, informując mnie w ten sposób, że gabinet dentystyczny nie jest jego ulubionym miejscem spędzania wolnego czasu. Za jego plecami stało czerwone dostawcze auto.

Zaabsorbowany własnymi myślami, zupełnie nie usłyszałem, że się zatrzymał.

— Widzę, że guma, to żem się zatrzymał. Nie masz pan pewno zapasu? — Głos miał głęboki, dźwięczny, wydawało się, jakby mówił do mnie ze studni. — Czy coś koło tego?

— Nie, koło mam, ale śruby są tak zapieczone, że nie sposób ich odkręcić.

— Aha. — Ucieszył się i zatarł z zapalem wielkie, ubrudzone smarem łapy. — To, to jeszcze zobaczmy. Gdzie masz pan klucz?

Głupio mi się było przyznać, że w złości cisnąłem nim na łąkę, więc nie bardzo wiedziałem, jak odpowiedzieć.

— Ten klucz jest do dupy — odparłem wreszcie dyplomatycznie.

— Czekaj pan. Spróbujęm moim.

Poszedł do auta i po chwili wrócił, wymachując solidnym krzyżakowym

kluczem do odkręcania kół.

— Takiego pan na pewno nie masz, bo ten nie jest do dupy, tylko do odkręcania zapieczonych śrub — powiedział i głośno się roześmiał, a potem splunął w dłoń i wziął się do roboty.

Każda z dwóch śrub jęknęła w proteście przed użyciem tak brutalnej siły, ale po dziesięciu sekundach było po sprawie.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować — wykrzyknąłem i zabrałem się za wydobywanie zapasu z bagażnika.

— Jak to jak? — zdziwił się. — Normalnie i po polsku wystarczy.

Pomógł mi też przy założeniu koła.

Drugi raz mu normalnie i po polsku podziękowałem, słysząc, że nie ma sprawy, a potem ruszyłem w dalszą drogę, wznosząc modły, by pierwsza złapana guma okazała się ostatnią.

\*

Już z daleka było widać, że przy domu Mitników panuje jakieś poruszenie. Mniej więcej na wysokości bramy prowadzącej na podwórze, pomiędzy kilkoma zaparkowanymi samochodami kłębił się spory tłumek. Gdy podjechałem bliżej, okazało się, że dwa z aut to oznakowane radiowozy (w tym ford transit służący do przewożenia większej liczby funkcjonariuszy), a dostępu do zabudowań chroni dwóch mundurowych oraz biało-niebieska taśma ostrzegawcza z napisem „POLICJA”. Dostrzegłem też jeden pojazd cywilny na służbowych numerach, być może służący za środek transportu ekipie oględzinowej, której zadaniem jest zabezpieczanie śladów na miejscu przestępstwa. Ze zdziwieniem zarejestrowałem natomiast brak zielonego lanosa, którym poruszał się Maciejewski.

— I cały misterny plan szlag trafił — mruknąłem, zastanawiając się, co spowodowało, że komisarz zdecydował się wdrożyć oficjalną ścieżkę postępowania.

Mijając to całe zamieszanie, musiałem dość znacznie zwolnić i dobrze, że tak się stało, bo zza policyjnego furgonu jak diabeł z pudełka wyskoczył nagle jakiś typek z mikrofonem. W ogóle nie zważał, co dzieje się na drodze, bo najważniejsze dla niego było korzystne ustawienie na tle tego całego zamieszania. Operator kamery stał po przeciwnej stronie drogi, obok białego kombi z napisem „TVP Lublin”.

Załąpałem się więc na mały epizod telewizyjny i bez zatrzymywania się podążyłem dalej, w kierunku miejsca opisywanego przez Rafała. Miałem nadzieję, że do Czarnego nie dotarła jeszcze wieść o wszczęciu policyjnego dochodzenia, choć byłem raczej pewien, że ta nadzieja jest w tym momencie moją ukochaną matulą. Bardziej podtrzymywał mnie na duchu fakt, iż Czarny ustami wywijającego piruety na wisielczej pętli Dobrowolskiego nakazał wezwanie policji nie wcześniej niż wczoraj przed zmrokiem. Plusem była także szansa, iż porywacz, zamiast zajmować się teraz synem swojej siostry, być może



ma obecnie w Zamościu ważniejsze sprawy do roboty w objęciach swojej nowej wybranki.

Dom należący do braci Bisów miałem już okazję przelotnie zapamiętać. To właśnie z prowadzącej do niego bramy, podczas gdy jechaliśmy tędy z Janką w ostatni wtorek, wyskoczył potrącony chwilę później przeze mnie kundel. Janka powiedziała wtedy, że wabi się bodajże Ares, ale nie to było istotne...

— „Pies naszych znajomych, którzy czasem pracowali u Bogdana” — wyszeptalem, przypominając jej słowa.

Piaszczysta droga, którą podróżowałem przez jakiś czas, zamieniła się w wygodną wstążkę asfaltu, a ja, pomimo że wcześniej miałem taki zamiar, nie zatrzymałem auta przy gospodarstwie. Skoro Bisowie pracowali u Adamowicza, to przecież bez trudu rozpoznaliby jego samochód, którym się poruszałem, a to mogłoby przysporzyć mi dodatkowych kłopotów. Tym bardziej że mijając otwartą bramę, na środku zabałaganionego podwórza dostrzegłem zielonego daewoo lanosa.

„Maciejewski nie próżnuje” — pomyślałem z zadowoleniem.

Po przejechaniu jakichś dwustu metrów, tuż za łagodnym zakrętem, upewniłem się w lusterku wstecznym, że fiesta nie będzie widoczna z domu Bisów, po czym zaparkowałem na poboczu i pieszo ruszyłem z powrotem.

Gospodarstwo znajdowało się na łagodnym zboczu położonego teraz po mojej lewej wzgórza. Do najbliższych zabudowań było stąd jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów, wyglądało więc na to, że przysiółek Bisy składał się z jednej tylko zagrody, liczącej kilka walących się budynków. Sprawiał wrażenie, jakby niegdyś należały one do kilku właścicieli, a później ktoś połączył je, okalając jednym, będącym obecnie również w koszmarnym stanie, ogrodzeniem.

Kilka kroków od narożnika czegoś, co lata temu można było nazwać płotem, stał czarny metalowy krzyż z przybitym do niego srebrnym Jezusem i obramowany pomalowanymi srebrzanką zdobieniami. Wydawało się, że latem jest starannie ochraniały przez rozłożystą lipę, ale ta jeszcze nie zdążyła rozwinąć liści, więc krzyż również wydawał się prawie całkiem nagi, choć przyozdobiony sztucznymi kwiatami i różnokolorowymi tasiemkami, ciągnącymi się od jego czubka do zgrabnego płotka z zaostrzonych sztachetek. Całość instalacji sprawiała wrażenie nieco kiczowatej, ale za to wykonanej ze szczerego serca; mógłbym dać głowę, że nie była ona dziełem mieszkańców zasiedlających ponury pseudoprzysiółek o nazwie Bisy.

Kiedy patrzyłem na znajdujące się w opłakanym stanie budynki, przyszła mi na myśl Starzyzna. Tam, podobnie jak w tym miejscu, niektóre drewniane domy, stodoły i obory chyliły się ku upadkowi, z tą jedynie różnicą, że zasady gry w kłótnię zatajenia sprawiały, iż proces przebiegał w błyskawicznym tempie.

Nieśmiało przekroczyłem spróchniałą bramę i znalazłem się w centrum absolutnego chaosu. Otoczyły mnie jakieś stare, zardzewiałe narzędzia

o niewiadomym przeznaczeniu, uwalane w błocie ciuchy, śmieci i porozrzucane byle jak po podwórzu bale drewna. Do tego wszystkiego czyściutkie policyjne auto pasowało jak pięść do nosa. Zwróciłem uwagę na sad, znajdujący się za budynkami, jeszcze wyżej na zboczu wzniesienia. Był tak zaniedbany, że nawet byłemu mieszcuchowi, który w podobnych warunkach nieco przypadkowo spędził dwa lata, krajało się serce. Pozostawione samym sobie owocowe drzewa straszły połamanymi przez wiatr konarami, cztery, może pięć z nich było przewróconych i pozostawionych na pastwę upływającego czasu, jak zapomniane po morderczej bitwie rozkładające się trupy.

Z budy, a właściwie z zadaszanej i obitej papą skrzynki, która stała przy pokrytej jeszcze strzechą stodole, wygramolił się podpalany kundel, którego niechcący potrafiłem we wtorek. Już wtedy wszystko wskazywało na to, że nie stała mu się jakaś większa krzywda, a obecny stan tylko to potwierdził. Postął przez chwilę na zewnątrz, machnął ogonem i otworzył pysk, jakby niezdecydowany, czy przywitać mnie przyjaźnie, czy też może na wszelki wypadek obszczekać. Ostatecznie nie zdecydował się na żaden z tych wariantów i po prostu schował się z powrotem.

Tylko jeden dom wyglądał na zamieszkały i to wcale nie ze względu na jego kondycję, gdyż kalenica pod eternitowym dachem była zarwana na prawym (patrząc od drogi) rogu, bale przeżarte przez korniki, a okna częściowo powybijane. Na użytkowanie chałupy wskazywała wydobywająca się z komina rachityczna strużka śmierzącego plastikiem dymu, a do wiszących na jednym zawiasie drzwi prowadziła wydeptana, choć wyścielona błotem po kostki ścieżka.

Podszedłem bliżej i właśnie zastanawiałem się nad swoim — nomen omen — kolejnym krokiem, gdy drzwi uchyliły się z rozpaczliwym skrzypieniem, a z czarnej czeluści sieni wychynęła znajoma sylwetka Maciejewskiego.

— Nie wiem, dlaczego nie dziwię się, że pana tu widzę — rzekł na powitanie, jednocześnie starając się bocianimi krokami wybierać najbardziej suche miejsca na swej drodze. — Ale nie jest to widok zbyt miły, ponieważ wprowadził pan Janka, a przez to pośrednio również i mnie, w błąd.

Za nimi kroczył Witko, a korowód zamykał jakiś nieopierzony, umundurowany krawężnik z teczką pod pachą. Zaraz potem na dworze pojawił się, również nieznamy mi, ponury blondyn średniego wzrostu, pewnie trochę po czterdziestce, którego zaniedbane, brudne oraz poprzecierane w niektórych miejscach łachy sugerowały, że raczej z policji nie jest. Przyglądał mi się z niechęcią, a gdy cofnąłem się nieco, by zrobić miejsce policjantom, wyraz jego twarzy stał się wyraźnie wrogi.

— To ten kulawy fajtlapa dał wam cynk, że chowamy u siebie jakiegoś dzieciaka? — zapytał.

Maciejewski odwrócił się i odparł ostro:

— Nie interesuj się, Bis, bo to nie twój interes. Lepiej przygotuj sobie jakąś

śpiwkę odnośnie do tego pierścionka, co na szafce u ciebie leżał. To jeden z fantów po włamie sprzed dwóch lat do Adamowiczów i chociażby dlatego warto było się do was pofatygować z nakazem.

— Znalazłem go — odparł hardo Bis. — Na drodze w piasku leżał.

Sierżant Witko przestał już spoglądać pod nogi, bo dotarł wreszcie do końca błotnistej ścieżki i wreszcie przez ułamek sekundy mogłem popatrzeć w jego oczy. Prócz tego, że były przekrwione, zapewne z niewyspania, to wszystko było z nimi w porządku.

Odwrócił się w stronę gospodarza.

— Przystań pieprzyć — rzekł zmęczonym tonem. — Się, kurwa, archeolog znalazł. Takie kawałki, to sobie możesz młodszym braciom zasuwać. Widzimy się w poniedziałek na komendzie.

Obuty w gumiaki najstarszy z braci Bisów ruszył w naszą stronę, rozchlapując błoto na wszystkie strony.

— Inspektor, przysięgam na Boga, ja go nie ukradłem!

— Najlepiej przyjedźcie we trzech, Michał. Będzie taniej, przyjemniej i zaoszczędzicie w dodatku na flaszkę — odparł Witko. — Ty wezwanie masz, ale to, że nie chciałeś przyjąć dla Maćka i Mirka, to weźmiemy pod uwagę w śledztwie. Chyba że ich zabierzesz ze sobą.

Bis zatrzymał się na wyciągnięcie ręki ode mnie. Zionął cebulą i na wpeł przetrawionym alkoholem. Policjanci byli już przy samochodzie, na tyle daleko, że nie mogli usłyszeć jego szeptu:

— No i co, kulawy gnoju? — Wyszczrzył zęby, a jego jasnoniebieskie oczy spojrzały na mnie z satysfakcją. — To przed tobą ostrzegał nas pan Czarny, co nie? Teraz to możesz nam wszystkim skoczyć, ale jak jeszcze raz cię zobaczę w pobliżu, to... — Dyskretnie przeciągnął palcem wskazującym po grdyce, jednocześnie wysuwając lekko język i przewracając oczami.

— To się jeszcze okaże, kto kogo, chuju — odpowiedziałem również szeptem.

Kątem oka zauważyłem, że zacisnął dłonie w pięści, ale spojrzał w stronę policjantów i natychmiast się opanował.

— Pan pojedzie z nami, panie Uchmann. — Usłyszałem głos Maciejewskiego i natychmiast się odwróciłem ze zdziwieniem.

Wszyscy trzej wycierali buty o kępki zeszłorocznej suchej trawy.

\*

Po raz drugi zdziwiłem się, gdy samochód zamiast w stronę Bliżowa ruszył w przeciwnym kierunku.

— Pomyślałem, że lepiej będzie, jak pojedzie pan z nami — odezwał się komisarz. — Zauważyłem, że między wami nie zaiskrzyło za bardzo...

— Przerwał na chwilę. — Właściwie to nie wyraziłem się zbyt precyzyjnie. Zauważyłem, że zaiskrzyło między wami aż za bardzo.

— Czy możemy się tu zatrzymać? — zapytałem, bo akurat zbliżaliśmy się do

fiesty Adamowiczów.

— Zjedź na pobocze, młody — polecił Maciejewski umundurowanemu policjantowi, który siedział za kółkiem. — To pański samochód?

Stwierdziłem, że kluczenie nie ma sensu. Tablice rejestracyjne były miejscowe, a — o ile dobrze sobie przypominałem — Rafał przed dwoma laty, gdy spotkałem tego glinę po raz pierwszy, zdradził mu, że jestem z Warszawy.

— Nie, pożyczony — odparłem.

— Od kogo?

— Od misia Gogo. Po co pan pyta, skoro pan doskonale wie?

Teraz już nie miałem wątpliwości, że sonduje moją prawdomówność. Stary lis we własnym kurniku i nie poznałby auta należącego do stryja chłopaka zamordowanego przed dwoma laty? Mała wioska, niewielu mieszkańców, kilka, może kilkanaście samochodów. Przecież na pewno węszyli tu z ekipą śledczą całymi miesiącami, a stan psychiczny Adamowicza już zaraz po śmierci Piotrka był na tyle oplakany, że bez wątplenia nie pozwalał na poszukiwanie w komisach cacek pokroju rozklekotanego forda fiesty.

Siedzący na siedzeniu obok kierowcy Maciejewski odwrócił się powoli, otaksował moją twarz, jakby szukając na niej oznak szaleństwa.

— Czy pan może przyjechał w te miłe okolice po to, żeby napytać sobie problemów? — Zapytał o to takim tonem, że wyraźnie wyczułem, iż moja dobra komitywa ze Stanisławskim nie będzie chroniła mnie już zbyt długo. Zresztą i tak obszedł się ze mną w miarę łagodnie, biorąc pod uwagę, że w obecności podkomendnych jakiś nieznajomy typ skacze mu właśnie po pagonach. — Tak z ciekawości pytam, bo różni są ludzie na świecie — dodał.

— Nie, przyjechałem tu po to, by... — Musiałem przez moment zebrać myśli, bo mój przyjazd wydał mi się tak odległy w czasie, że właściwie nie powinienem pamiętać jego przyczyny. — Przyjechałem tu po to, żeby zrobić materiał. Jestem... byłem dziennikarzem i zamierzałem napisać pewien artykuł. Ponadto chciałem też nabrać trochę dystansu do rzeczywistości. — Próbowałem nieco załagodzić sytuację.

Materiał go zupełnie nie zainteresował, natomiast postanowił udzielić mi dobrej rady:

— W takim razie proszę uważać, żeby się pan od niej całkowicie nie oderwał.

— Będę uważał. Dlaczego pod domem Mitników jest taki kocioł? — Tym razem ja postanowiłem przejść do ofensywy. — Przecież inaczej się umawialiśmy.

Siedzącemu obok mnie Witce nie udało się opanować parsknięcia śmiechem i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z nedorzeczności ostatniego wypowiedzianego z wyrzutem zdania. Maciejewski też wyglądał na nieco rozbawionego, ale, o dziwo, moja szarża go nie rozzłościła.

— Mamy go, panie Uchmann. O szóstej rano Mitnik był już w naszych rękach.

W dodatku przyznał się do winy i to głównie dlatego mogę sobie teraz z panem tak miło pogawędzić,

— Ale... ale jak to, już go namierzyliście? Tak szybko?!

— Tak szybko. Wiemy na temat tego kto, z kim i dlaczego więcej, niż się ludziom wydaje, tylko że nie wykorzystujemy tych informacji, gdy nie ma takiej potrzeby. — Spoważniał w mgnieniu oka. — Nie zmienia to jednak faktu, że będziemy musieli przesłuchać Teresę Bielak. Nie można jej chronić w nieskończoność przed złymi informacjami. Mówił pan, że jest ona w domu Adamowiczów, jedzie pan w tamtą stronę ich autem, więc zakładam, że zaraz będzie się widział z Bielakową. Wybór jest prosty — albo pojedziemy razem i my przekazemy jej tragiczne wieści, albo porozmawia pan z Janiną Adamowicz i robi to ona, a my przyjedziemy, powiedzmy, za jakąś godzinę, jak już się trochę uspokoi. Myślę, że druga opcja jest lepsza. A pan?

Nie musiałem się długo zastanawiać, bo plan na najbliższe minuty właśnie zaczynał mi świtać w głowie.

— Ja uważam dokładnie tak samo — odparłem. — Mam jeszcze jedno pytanie, o ile w ogóle mogę...

— Proszę walić śmiało — przerwał mi dobrodusznie Maciejewski.

— Mitnik. Jak się zachowywał? Stawiał opór?

— Zdaje się, że to regularny wariat. W ogóle się nie przejął aresztowaniem. Powiedział, że jest winny, owszem, ale zaraz potem dodał, że musi nas zmartwić, bo nie zabawi w areszcie zbyt długo.

Spojrzałem najpierw na Maciejewskiego, potem na Witkę, a następnie odezwałem się, artykułując głoski wyraźnie i najdobitniej jak to możliwe:

— Zapewne uważacie mnie za dziwaka i pewnie nie weźmiecie moich słów zbyt poważnie, ale ze szczerego serca radzę, żebyście na niego bardzo uważali. Cały czas pod bronią przy nim, ani chwili spuszczenia go z oczu, musi być w kajdankach, najmocniejszych, jakie macie...

Zamilkłem.

Nie było sensu kontynuować. Gdybym zaczął się rozwodzić nad tym, że Mitnik jest prawdopodobnie o wiele silniejszy, niż wygląda (choć i tak nie przypomina ułomka), albo — broń Boże — zagadnąłbym coś o powstawaniu z martwych, to chyba tylko pogorszyłbym odbiór mojej zakręconej osoby w ich oczach. Miałem ochotę dodać coś jeszcze, coś, co bardziej podkreśliłoby powagę sytuacji, ale stwierdziłem, że to wystarczy. W końcu tamten facet zamordował swoją żonę i dwie córeczki...

Tym razem obeszło się bez znaczących uśmiechów i miałem wrażenie, że wzięli moje ostrzeżenie na serio.

## 5.

Kiedy powiedziałem Jance o pierścionku, zrobiło się jej tak bardzo przykro, że aż miała łzy w oczach.

Jeszcze zanim wysiadłem ze służbowego auta, Maciejewski poprosił mnie o to, żebym przekazał informację o znalezisku w domu Bisów. Poinformował mnie też, że tuż przed Wielkanocą dwa lata temu ktoś włamał się do domu Adamowiczów. Po zawale Janka przebywała wtedy w zamojskim szpitalu, w dość ciężkim stanie, a trzech bracia Bisowie pomagali Bogdanowi w pracach przy drewnie.

Do włamania doszło w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę, a więc dokładnie w tym czasie, gdy ja przekroczyłem niewidzialną granicę w drodze do Starzyzny. Adamowicz czatował wówczas na swoim posterunku, zostawiając całe obejście pod pieczę robotników. Rankiem okazało się, że ktoś w nocy dostał się (prawdopodobnie przez znaną mi piwnicę) do domu i zrabował dość znaczną kwotę pieniędzy, którą poprzedniego dnia Bogdan wypłacił z banku w Adamowie, ukradł też nieco cennych drobiazgów, w tym złoty pierścionek z brylantem, cztery lata wcześniej podarowany Jance przez męża z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Na pierścionku wygrawerowany był napis „Kochanej Janeczce”.

Poszukiwania włamywacza (lub włamywaczy) nie przyniosły rezultatu. Wobec niezbyt dobrej reputacji Bisów podejrzenie natychmiast zostało skierowane na nich, ale po pierwsze — taki scenariusz był zbyt oczywisty, a po drugie — Bogdan stanowczo stanął w ich obronie. Twierdził, że zapłacił im za wykonaną robotę bardzo dobrze, do tego dołożył sowity poczęstunek, więc za żadne skarby nie chciał dopuścić do siebie myśli, że bracia mogli być zdolni do takiej niegodziwości wobec swojego dobrodzieja, który już wcześniej okazał im sporo serca. Jakby tego było mało, w kilka dni po włamaniu, kiedy Janka wróciła już ze szpitala, wszyscy trzech pojawili się w domu Adamowiczów i po kolei przysięgali na przywiezioną ze sobą Biblię, że z włamaniem nie mają nic wspólnego. Bogdan wierzył im tak bardzo, że udało mu się przekonać do swojego punktu widzenia również żonę. Ostatecznie pieniędzy i skradzionych przedmiotów nie odnaleziono, aż do momentu przeszukania w domu Bisów, podczas którego Maciejewski natrafił na pierścionek.

— Był bardzo charakterystyczny, więc wystarczył tylko jeden rzut oka, bym go rozpoznał — mówił mi komisarz, zanim wysiadłem z zielonego policyjnego lanosa. — Adamowiczowa opisała świecidełko z najdrobniejszymi szczegółami, wykonała nawet całkiem zgrabny rysunek, ponieważ na odzyskaniu tego drobiazgu zależało jej chyba najbardziej. Pieniądze się na szczęście nie przydały, ponieważ ostatecznie operacja wszczęcia jej by-passów nie była konieczna.

Przypomniałem sobie, że Janka wspominała mi o tym zaraz po naszym poznaniu.

— Mam więc do pana prośbę, panie Uchmann, żeby pan wspomniał jej, że pierścionek się znalazł, został zabezpieczony i wkrótce będzie do odebrania. Sam bym to zrobił, gdy przyjedziemy przeprowadzić przesłuchania, ale procedura przede wszystkim, sam pan rozumie.

— Jankę, oprócz Teresy, też będziecie przesłuchiwać?

— I ją, i pana. To przecież oczywiste.

Po jego odpowiedzi byłem już przekonany co do planu swoich dalszych działań.

Chwilę wcześniej uznałem, że chyba będzie lepiej, jak zabiorę Jankę i Teresę do domu prowadzonego przez księdza Dobrowolskiego, ponieważ gdyby ta druga dowiedziała się o śmierci swoich bliskich, to wtedy tym bardziej nie mogłaby przecież zostać sama. Musiałaby się nią zająć Janka, a ona też swoje już przeszła, a poza tym nie wiadomo, czy nie wystąpią okoliczności, w których będzie potrzebna podczas ostatecznego starcia z Dobrowolskim, skoro dzień jej urodzenia prawdopodobnie wcale nie był przypadkowy.

Kiedy natomiast dowiedziałem się o planach dochodzeniowych Maciejewskiego, to nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że musimy wyjechać z Guciowa. Nie czas na takie pierdoły. Na przesłuchania przyjdzie jeszcze czas.

— Dobrze, panie komisarzu — rzekłem, otwierając drzwi. — Za godzinę będziemy gotowi.

I dotrzymałem słowa. Byliśmy gotowi nawet wcześniej, bo w dziesięć minut po moim przyjeździe do domu Adamowiczów. Tyle że do wyjazdu. Wzięliśmy z domu krucyfiksy, moją torbę i parę rzeczy na zmianę dla kobiet.

O pierścionku powiedziałem Jance, gdy Teresa siedziała już w samochodzie (dała się do niego zaprowadzić jak małe, zupełnie otepiałe dziecko). Zastygła w trakcie zamykania drzwi na klucz i spojrzała na mnie lśnącymi, pełnymi bólu oczyma.

— Jak mogli to zrobić, Witku? Jak mogli okazać się tak niegodziwi i podli...? Przecież Bogdan był dla nich lepszy niż ich własny ojciec, gdy jeszcze żył...

Nie miałem na jej słowa żadnej odpowiedzi. Żeby zmienić temat, poprosiłem ją, aby wsiadła do samochodu i oznajmiłem, że jeszcze pójde sprawdzić, czy drzwi od piwnicy są zamknięte, a potem dodałem:

— Zdaje się, że ci jeszcze nie mówiłem, że wtedy, gdy stąd wyjeżdżaliśmy, zamknąłem je i wziąłem ze sobą klucz.

Przez moment wracała z odległej rzeczywistości, przyglądając mi się i jakby nie rozumiejąc, co do niej mówię.

— Ach, to tak, rozumiem już — powiedziała wreszcie. — Teraz już wiem także, jak dostałeś się do środka w środek. — Na jej ustach pojawił się lekki cień uśmiechu. — Miałam cię o to nawet zapytać.

— No widzisz? Sam się wygadałem. Ale ze mnie papla.

Papla jak cholera. Ale czego się nie robi, żeby na twarzy osoby, którą się bardzo lubi, uśmiech zagościł mocniej i na dłużej. Udało się.

Janka ruszyła do samochodu, a ja w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy. Okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Widocznie zaabsorbowany nocnym koszmarem po czwartkowym przebudzeniu z roztargnienia zapomniałem je zamknąć przed drogą do samochodu przez Słoneczną Dolinę.

„A więc kobiety były tu przez ten cały czas wystawione na strzał. I to przez ciebie, ty stary durniu. Kto wie, co się mogło zdarzyć...? — myślałem. — Ale się nie zdarzyło i Bogu dzięki”.

Zanim przekręciłem od zewnątrz zamek, nie potrafiłem oprzeć się pokusie i zajrzałem do mrocznego wnętrza piwnicy. W środku nie było nikogo.

\*

Słoneczne, ciepłe popołudnie sprawiło, że wielu z podopiecznych domu pomocy wyległo na zewnątrz. Ławeczki przed budynkiem zapełnione były szczelnie spragnionymi światła starszymi osobami, które wystawiały twarze ku niebu i, lekko się uśmiechając, zdawały się zapominać o swoim niewdzięcznym losie. Pomiędzy nimi kursowały żwawo dwie zakonnice w szarych habitach, troskliwie poprawiając koce na kolanach i przygarbionych plecach oraz zamieniając z każdym z tych będących w potrzebie ludzi po kilka słów. Nawet z pewnego oddalenia widać było wdzięczność malującą się na pooranych zmarszczkami twarzach.

Tym razem nie zdecydowałem się na wjazd za ogrodzenie, uznając, że na razie lepiej nie czynić niepotrzebnego zamieszania. Zamiast tego zza szyby fiesty bacznie przyglądałem się każdej z twarzy, próbując rozpoznać kogoś znajomego. Samochodu Rafała nie było, więc uznałem, że jeszcze z Jaśkiem nie wrócili z Zamościa, ale przecież Katarzyna, Albin lub Józek mogli znajdować się wśród tego kolorowego i mimo wszystko optymistycznie wyglądającego rozgardiaszu.

Jedna z zakonnice — szczupła, licząca najwyżej trzydzieści lat — zniknęła w budynku, by po chwili pojawić się przed nim, pchając przed sobą wózek inwalidzki zajmowany przez jakiegoś leciwego jegomościa, który opowiadał swojej opiekunce jakąś historię, energicznie gestykulując chudymi rękami. Kobieta była całkiem atrakcyjna, wyglądało więc na to, że staruszek chce ją oczarować swoją elokwencją i chyba nawet mu się to udawało, ponieważ słuchająca go uważnie siostra wyglądała na dość mocno rozbawioną.

Druga z opiekunek była korpulentna i pewnie ponad dwa razy starsza od koleżanki, ale jakimś cudem w ułamku sekundy udało się jej zniknąć mi z pola widzenia. Nie na długo jednak, ponieważ gdy obróciłem twarz w lewo, ujrzałem ją stojącą obok samochodu i podpierającą się rękami pod boki. Jej mina nie wróżyła niczego dobrego. Czując, że zapowiadają się kłopoty, wysiadłem z auta.

— Szczęść Boże, siostro.



— Nasz ksiądz to złoty człowiek — odparła, ignorując moje pozdrowienie.  
— A w dodatku chyba prorok, bo mówił, że pewno przyjedzie tu taki samochód.

— Czy mógłbym z nim porozmawiać?

— A o czym? On ma już swoje lata, w dodatku niedomaga ostatnio i nie są mu potrzebne nowe problemy.

— Proszę wybaczyć, ale wolałbym porozmawiać z nim osobiście, a nie za pomocą pośredników, nawet tak sympatycznych jak siostra.

Przymrużyła lekko oczy, a jej usta zmieniły się w cienką kreseczkę.

— Jestem sympatyczna, bo mi tak kazał. Chociaż wcale nie mam na to ochoty.

— Popatrzyła do wnętrza samochodu. — Te dwie panie też będą teraz u nas mieszkać?

— Nie wiem, proszę siostry. Chciałbym najpierw porozmawiać z księdzem Dobrowolskim.

— Księdza nie ma, a jak księdza nie ma, to ja go tu zastępuję.

— A kiedy można się go spodziewać?

— Pojechał do Zamościa z panem Grelą i z tym drugim, zdaje się pańskim kolegą, który zostawił nam pod opieką swoją mamę i córkę. I kota.

Zastanawiałem się, na ile Dobrowolski jest wtajemniczony w całą sprawę, ale fakt, że zaangażował się w działania (nie potrafiłem inaczej zinterpretować jego wyjazdu), wróżył całkiem nieźle.

— To my w takim razie tutaj sobie na niego poczekamy — powiedziałem.

Kobieta pokręciła głową.

— Ksiądz powiedział, że jak przyjedzie pan Uchmann, to ma iść do kościoła. Pan się nazywa Uchmann?

— Tak, Witold Uchmann, do usług.

Przewróciła oczami i westchnęła ciężko.

— Te dwie panie pójdą ze mną. Mamy tu w ośrodku kaplicę i tam zostaną, razem z kotem, dziewczynką i mamą pańskiego kolegi. A pan niech pojedzie tam, tak kazał ksiądz. — Wskazała ręką na pobliski murowany, pomalowany na biało kościół. — Wejdzie pan do środka i tam będzie czekał. U nas niedawno był obiad, te panie będą musiały coś zjeść. A pan niech czeka w kościele, aż wróci ksiądz.

— A te panie nie mogą być ze mną?

— Nie mogą. Ksiądz nie mówił nic, że ktoś jeszcze ma pójść do kościoła.

Nie warto było oponować. Zakładałem, że nieobecność Dobrowolskiego nie potrwa długo, więc po cóż było kruszyć kopie o drobiazgi?

— Dobrze, proszę siostry. Podporządkuję się zaleceniom.

Prychnęła i wzruszyła ramionami.

— Mówi pan tak, jak gdyby miał jakieś inne wyjście.

\*

We wnętrzu świątyni panował półmrok i w połączeniu z nieprzyjemnym

chłodem stanowił jakby pamiątkę po minionej niedawno zimie. Wrażenie, że wiosna została za progiem, potęgowane było dodatkowo przez ciszę, która zakłócana była tylko moimi niosącymi się po przestronnym wnętrzu krokami. O gwarным, pełnym ludzi podwórku i świergocących na potęgę ptakach zapomniałem w jednym momencie.

Usiadłem w ostatniej ławce, zastanawiając się, dlaczego Dobrowolski uznał, że powinienem być właśnie w tym miejscu. Postanowiłem spróbować się pomodlić, zakładając, że być może o to mu chodziło, ale ledwie zacząłem się żegnać, a natychmiast moja prawa dłoń zamarła w okolicach lewego barku, gdy szeptałem „i Ducha”. Do „Świętego” już nie doszedłem, ponieważ od strony zakrystii usłyszałem odgłosy przyciszonej rozmowy. Nie miałem pojęcia, czy powinienem tam pójść, ale nie musiałem się nad tym zastanawiać. Drzwi otworzyły się i zobaczyłem zagładającą do środka głowę.

Nie upłynął nawet tydzień, od kiedy ostatni raz widziałem się z Albinem Sochą. Pożegnaliśmy się — z nim i z pozostałymi — tuż przed północą w Wielki Piątek, a ja mógłbym dać sobie wtedy głowę uciąć, że nie spotkamy się już nigdy więcej.

— To on — powiedział. — Kasiu, Józek... To Witek!

Wyszedł z zakrystii i ruszył w moją stronę, zaraz za nim w drzwiach pojawiła się Katarzyna Cieplak i od razu zobaczyłem, że płacze z radości. Wstałem i zacząłem kuśtykać w ich kierunku, czując, jak wzruszenie i mnie chwyta za gardło.

— Przysięgłbym, że już was nie zobaczę — wydusiłem z siebie, a później mocno uściskałem najpierw rozpromienionego Albina (odpowiedział mocnym uściskiem swojej jedynej ręki), a później Katarzynę Cieplak, której łzy ciurkiem płynęły po policzkach.

Po powrocie ze Starzyzny parę razy zastanawiałem się, jak zareagowałbym, gdybym ich znów spotkał. Domyślałem się, że czułbym radość, ale nie sądziłem, że aż taką. Nie spodziewałem się także ich aż do tego stopnia poruszającej reakcji na mój widok. Najwyraźniej to, co razem przeżyliśmy, wspólne zmagania z ucieleśnionym w postaciach czarnowygonowych upiorów złem i dzielona na co dzień troska o pozostałych wryły się głęboko w świadomość nas wszystkich, choć tam, w Starzyźnie, raczej żadne z nas tego nie okazywało.

Do naszej trójki nieśmiało dołączyła jeszcze jedna osoba — Józek Kowalik, który przez długi czas był po drugiej stronie barykady, ale ostatecznie stanął po naszej stronie. Delikatnie wyswobodziłem się z objęć Katarzyny i podszedłem do Kowalika, wyciągając dłoń.

— Dzień dobry, Józek — powiedziałem. — Dobrze cię znów widzieć.

Uciekał wzrokiem po kątach, ale zauważyłem, że lekko uśmiechnął się pod nosem.

— Dzie... e... eeeń do... do... dobry — odpowiedział i z całych sił uściskał moją rękę. — Pa... pa... pan Greee... e... la u... u... umarł — dodał ciszej.

Popatrzyłem na Katarzynę, a później na Albina, który potwierdził słowa Kowalika skinieniem głowy.

— Zaraz, jak tylko żeśmy stamtąd uciekli — powiedział ze smutkiem.

— A wy? Jak się czujecie? — zapytałem, choć wyraźnie widziałem, że czas przez ostatnie dni raczej ich nie oszczędzał.

— Dobrze, ale chyba też długo nie pociągniem.

— A to, to się jeszcze okaże — odparłem. — Jeśli do publicznej wiadomości zostanie podana przyczyna klątwy, to może uda nam się z tego bagna wywinąć. Właśnie w tej sprawie Rafał z Jaśkiem i księdzem Dobrowolskim pojechali do Zamościa.

— Tak, wiemy, ale Bóg raczy wiedzieć, czy to co da... — Na twarzy Cieplakowej rysowało się wyraźne z wątpienie.

— Zobaczymy, spróbować na pewno nie zaszkodzi. Musicie mi wszystko dokładnie opowiedzieć, ale najpierw bardzo ważna sprawa — jesteście tu prawie tydzień, tak?

We trójkę zgodnie przytaknęli.

— W takim razie — ciągnąłem — może wiecie, czy ksiądz ma tu jakiś warsztat, komórkę z narzędziami czy coś takiego?

— Tak, na tyłach jest takie pomieszczenie. — Albin wyglądał na lekko zaintrygowanego moim pytaniem, ale nie dociekał przyczyny mojej ciekawości. — W starej murowanej stajni.

— Józek, o ile pamiętam, dobrze znasz się na broni, prawda?

— Najlepiej z całej Starzyzny — odparł za niego Socha.

— Świetnie, w takim razie chodź ze mną, Józek, a wy chwilę poczekajcie. Mam ze sobą strzelbę, która długo leżała na dworze, zdana na kaprysy niepogody. Jest porządnie zardzewiała, ale może udałoby się ją jeszcze jakoś uratować. Może nam się wkrótce przydać.

Wyszliśmy we dwóch przed kościół, otworzyłem bagażnik i odwinąłem broń Stanisławskiego.

— Jak myślisz, byłoby coś z niej jeszcze?

Józek pochylił się i wziął do ręki strzelbę.

— Mooo... o... że i by by... by ...było.

— W takim razie weź ją i spróbuj ją w tym warsztacie doprowadzić do porządku. Tylko tak ją przenieś, żeby nikt nie widział. No i uważaj, żeby przy robocie cię nikt nie nakrył. Najbardziej uważaj na siostrę..., no wiesz, tę taką, która tu wszystkimi komenderuje.

Przez twarz Józka przemknął uśmiech.

— Sio... o... ostra Łu... u... cja.

— Może i Łucja. Będziesz uważał?

Skinął głową i pokazał, którędy niepostrzeżenie dojdzie do stajni pełniącej obecnie rolę budynku gospodarczego.

— Jaaa... ak na sa... sa... samego Belze... e... bu... bu... buba.  
— Wyszczrzył zęby.

Odpowiedziałem uśmiechem, klepnałem go przyjacielsko w plecy, a potem, gdy wyjął zawiniątko i ruszył w drogę, zatrzasnąłem klapę bagażnika, by zaraz wrócić do Katarzyny i Albina.

\*

Wnętrze zakrystii przypominało nieco to, w którym spędzaliśmy ostatni czas w Starzyźnie, z tą różnicą, że nie było w nim ani łóżek, ani pieca. Pośrodku pomieszczenia stał natomiast duży stół, otoczony sześcioma krzesłami. Na półkach leżały ubrania i przybory toaletowe, w które Dobrowolski zapewne zaopatrzył nowych pensjonariuszy swojego ośrodka. Zauważyłem też kilka szklanek i pięciolitrową, prawie pełną butelkę wody pitnej.

— Spędzamy tutaj większość czasu — wyjaśnił Albin, widząc, że się rozglądam z zainteresowaniem. — Ksiądz uważa, i jest w tym chyba dużo racji, że najpierw powinniśmy żeśmy się przyzwyczaić do tego wszystkiego, przywyknąć powoli do ludzi i świata. Dużo się w nim zmieniło, oj dużo...

— A gdzie śpicie? — zapytałem.

— Po zapadnięciu zmroku idziem do dworku. Mamy łóżka polowe. Katarzyna śpi w osobnym pokoju, a my we trzech w świetlicy.

— Inni się temu nie dziwią? Co na to siostra Łucja?

— Siostra Łucja kręci głową na to wszystko i narzeka, ale we wszystkim słucha Dobrowolskiego. Pozostałe trzy siostry nie wtykają nosów w nieswoje sprawy, a podopieczni... no wiesz, oni uznają to za coś zupełnie normalnego, że ksiądz pomaga potrzebującym jak może.

Usiedliśmy przy stole, ja — dokładnie naprzeciw Katarzyny. Jej twarz oświetlona była przez różnokolorowe, przefiltrowane przez barwny witraż światło. Albin mówił dalej, ale ja słuchałem go tylko jednym uchem.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Jankę w kuchni jej domu, wydawało mi się, że jest do kogoś podobna. Najpierw sądziłem, że do kobiety, która przyśniła mi się (teraz już wiedziałem, że spotkałem ją naprawdę) w minioną niedzielę na wzgórzu pomiędzy Słoneczną Doliną a Guciwem. Później okazało się, że ten trop nie był właściwy. Natomiast teraz, gdy patrzyłem na poorane dość gęstą siatką zmarszczek oblicze siedzącej naprzeciwko mnie Cieplakowej, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że następne skojarzenie, które nasunęło mi się, gdy jeszcze siedzieliśmy z Janką w ogrodzie obok jej domu, było trafne. Ten sam owal twarzy, podobnie ciemne oczy i śniada cera. Gdyby nie kilka dni spędzonych w uścisku biegnącego szybciej czasu, mógłbym je uznać za siostry.

Socha cały czas mówił, ale ja byłem tak zaabsorbowany swoimi obserwacjami, że musiałem go poprosić, aby jeszcze raz zaczął od początku. Spełnił moją prośbę i okazało się, że bardzo słusznie zrobiłem, bo dzięki temu nie ominęła mnie jeszcze jedna historia niezwykłego fizycznego podobieństwa.

Dowiedziałem się, jak wielkie przerażenie wśród byłych mieszkańców Starzyzny wywołało pierwsze spotkanie z opiekunem domu pomocy społecznej. Albin zaklinał się (a Katarzyna energicznie i z przekonaniem potwierdzała jego słowa), że gdyby nie fakt, iż mieli do czynienia z leciwym staruszkiem, to nie mieliby wątpliwości co do tego, kim jest w istocie odziany w sutannę mężczyzna; byłiby święcie przekonani, że stoją oko w oko z księdzem Dobrowolskim, który na ich miejscowość sprowadził tak wiele nieszczęść. Ich strach spotęgował się w momencie, gdy poznali nazwisko swojego opiekuna.

— Przysięgam na wszystkie świętości, gdyby okazało się, że ma na imię Wincenty, to byśmy się natychmiast stąd wynieśli, nie zważając na nic i na nikogo.

— A jak ma na imię ten Dobrowolski? — zapytałem, zdając sobie sprawę, że w telefonicznej rozmowie z Heniem Kawęckim padło tylko nazwisko księdza.

— Podobnie, bo Walenty — odparł Albin, przypatrując się niespokojnie mojej reakcji, a potem dopytał z nadzieją w głosie: — To chyba nie ten sam, co nie?

— Nie wiem, Albin, bo ja go jeszcze przecież nie widziałem. Ale wy znacie go już od kilku dni, więc chyba możecie powiedzieć coś więcej...?

— Podobieństwo jest, i to duże — wtrąciła Cieplakowa. — Ale do tego naszego dobrodzieja jeszcze sprzed tragedii w pięćdziesiątym drugim. Coś w oczach, w ruchach, nawet w mówieniu...

— Tamten też był dla nas wszystkich bardzo dobry na początku — dodał Socha. — Ale potem wszystko się zmieniło. Teraz też się tego boim, że i temu coś nagle się odmieni.

— Nie ma się co martwić na zapas — powiedziałem. — Na razie wygląda na to, że chce wam pomóc najbardziej, jak to tylko możliwe. Zaangażował się nawet w ten artykuł do gazety... — Zamilkłem na moment, wiedząc, że być może właśnie za chwilę bardzo wiele się wyjaśni. — Mam teraz do was bardzo ważne pytanie: czy może któreś z was wspominało mu o Starzyźnie i o tym, co się w niej stało?

Popatrzyli po sobie niepewnie. Pierwszy odezwał się Albin.

— Jak żeśmy się trochę z tym nowym miejscem, i przede wszystkim z księdzem, oswoili, i jak każde z nas widziało (ksiądz zresztą też), że się starzejem tak bardzo szybko, wszystkie po kolei żeśmy uznali, że trza by się wypowiadać, bo nie wiadomo, ile nam jeszcze zostało, a grzech noszony na plecach przez te kilkadziesiąt lat i tak nam już ciążył aż nadto... No i przedwczoraj, we środę, Dobrowolski wysłuchał w konfesjonale litanii naszych przewin. Pierwsza do sakramentu przystąpiła Katarzyna, bo żeśmy pomyśleli, że jej, kobiety, nie wygoni za to, że plecie głupoty jakies.

— No i co? Jak zareagował? — zwróciłem się do Cieplakowej.

— Na początku bardzo dopytywał i nie wiem, czy aby na pewno mi we wszystko uwierzył. Potem, gdy podchodzili kolejni i każdy mówił to samo...

nawet Józek, którego ksiądz chyba raczej nie posądzałby o jakieś zmowy... No i przecież, niby dlaczego mielibyśmy kłamać? Co nam by to niby miało dać...?

— Po wszystkim wyszedł z konfesjonału bardzo odmieniony. — Albin wstał i zaczął się przechadzać po zakrystii tam i z powrotem. — Blady był jak płótno, ślaniał się na nogach i ta ręka chyba mu zaczęła jeszcze bardziej dokuczać, bo wciąż się ino za nią trzymał...

— Ma chorą rękę? — zdziwiłem się.

— Coś mu się w nią stało niedawno, a po tej naszej spowiedzi, to nawet na takim temblaku z materiału zaczął ją nosić...

— I w końcu coś powiedział? — dopytywałem. — Jakoś to wszystko skomentował?

— Wtedy, we środę, to nie — odparła Katarzyna. — Tylko powiedział, że będzie się całą noc za nas modlił. Ale wczoraj, zaraz rano, to przyszedł do nas i zapytał, czy wiemy, co można by zrobić. Jakoś tobie pomóc, żebyś też mógł wrócić, żebyś tam nie został aż do śmierci sam, a może i z tym przeklętym księdzem bez ręki. Mówił, że chciałby zmyć hańbę ze swojego nazwiska, ze stanu duchownego też, i że jeśli tylko by mógł, to by to od razu zrobił...

— No i jak dzisiaj tylko przyszedł Gielmuda — kontynuował Socha — to od razu ksiądz werwy nabrał, zadzwonił do tego swojego bratanka, dziennikarza, i zaraz z Jaśkiem pojechali do Zamościa. Aha, i jeszcze zdjęcie swoje wziął z młodości.

— A po co mu było własne zdjęcie? — zdumiałem się.

— Żeby je w gazecie umieścić razem z tym, które ty dałeś Rafałowi.

Teraz zrozumiałem. Skoro byli w młodości prawie identyczni, to wizerunek starego Dobrowolskiego mógł bez problemu posłużyć za fotografię niebezpiecznego klechy bez ręki.

— Sprytne — powiedziałem, uśmiechając się lekko. — Nawet bardzo. Zdaje się, że będziemy mieli w nim nie lada sprzymierzeńca. Tyle że — dodałem, natychmiast pochmurniejąc — chyba już dawno powinni być z powrotem. Przecież do Zamościa jest niedaleko, a jeśli mieli coś załatwić w sprawie jutrzejszej publikacji, to przecież nie mogą z tym zwlekać zbyt długo, żeby krótki opis przyczyn klątwy i zdjęcia się ukazały. Cholera jasna, mam nadzieję, że nic złego im się nie przytrafiło.

Katarzyna aż się skuliła, słysząc przekleństwo rzucone w kościele, ale nic nie powiedziała. Patrzyła tylko przed siebie, wyraźnie strapiona. Ani mnie, ani Albinowi również nie było do śmiechu.

\*

Jakiś kwadrans później usłyszeliśmy, że drzwi zewnętrzne się otwierają. Wyszedłem z zakrystii w nadziei, że to Rafał albo Jasiek, ale czekało mnie srogie rozczarowanie. Przez kościół sunęła siostra Łucja, z miną jak burza gradowa.

Niosła przed sobą jakieś białe zawiniątko. Minęła mnie bez słowa i wtoczyła się do zakrystii. Ja na wszelki wypadek wołałem nie podążać jej śladem, ale zaraz do porządku przywoła mnie stanowczy głos:

— No i co pan tam tak stoi? Niech tu przyjdzie, przecież nie ugryzę!

Wcale nie byłem tego taki pewien, ale bez szemrania wykonałem rozkaz.

Na stole stał głęboki talerz pełen parujących ziemniaków, w które bezceremonialnie wetknięto kurze udko. Wszystko było polane białym sosem, wyglądającym na potrawkowy. Zapach sprawił, że mimo dręczących mnie zmartwień żołądek skręcił mi się z głodu i ledwie nadązałem przełykać obficie wydzielającą się ślinę.

— Wszyscy już jedli. Rosołu już nie ma, bo JEST NAS ZA DUŻO. — Ostatnie słowa wyraźnie zaakcentowała. — Tyle zostało. Smacznego.

— Bardzo dzie...

— A Józek to gdzie znowu poleciał? — W ogóle nie zwróciła uwagi na to, że chcę coś powiedzieć. — Przecież powinien z wami tu być...

— Nie wiemy, wyszedł przed chwilą — skłamał gładko Albin. — Może za potrzebą, albo gdzie?

Siostra Łucja zmierzyła nas po kolei przenikliwym spojrzeniem, a gdy pod jego wpływem żadne z nas nie puściło farby, wskazała palcem na talerz i zwróciła się do mnie:

— Tylko wszystko ma być zjedzone do czysta!

— Tak jest — odpowiedziałem zupełnie odruchowo.

Albin prawie się roześmiał, ale udało mu się w ostatniej chwili odwrócić w stronę okna, chroniąc się w ten sposób przed karcącym spojrzeniem siostry, która zaraz potem dostojnie, choć stanowczo nas opuściła.

— Złota kobieta, ale faktycznie bardziej nadawałaby się na kaprala w wojsku niż na zakonnicę. — Teraz, gdy usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi zewnętrznych, Socha mógł bez obaw skomentować całą sytuację.

Jedzenie było przepyszne. Akurat kończyłem wylizywać talerz, gdy w zakrystii zameldował się Kowalik. Katarzyna nalała mi wodę do szklanki, ale jeszcze zanim podniosłem ją do ust, zapytałem:

— No i jak tam strzelba?

Józek odpowiedział uśmiechem, pokazał przedramieniem gest oznaczający chyba coś w rodzaju „morowo” i oznajmił entuzjastycznie:

— Bę... bę... będzie strze... e... e! A... są na... bo... bo... boje?

— Są, Józek. O amunicję się nie martw.

Skinął głową i zaraz potem znów go nie było.

Opowiedziałem pozostałym o tym, co działo się ze mną od chwili, gdy rozstaliśmy się przed północą w Wielki Piątek. Słuchali uważnie, ale wszystko, co im przekazałem, nie zrobiło na nich większego wrażenia. Zbyt wiele przeszli w Starzyźnie. Katarzyna popłakała się tylko w momencie (nie po raz pierwszy

i nie ostatni tego dnia), w którym opowiedziałem o zamordowanych dziewczynkach i jej matce.

— Ona też straciła dwójkę dzieci wtedy, w pięćdziesiątym drugim — wyjaśnił Albin i położył rękę na jej ramieniu.

Zamilkłem, starając sobie przypomnieć słowa, które usłyszałem od niej podczas naszej pierwszej rozmowy w cztery oczy, a potem powoli i dość niepewnie zapytałem:

— Katarzyno, czy mi się coś pomieszało, czy jednak mówiłaś mi, że twój mąż zginął podczas drugiej wojny i miałaś jeszcze córkę, która przeprowadziła się do Zamościa jeszcze przed trzydziestym dziewiątym...?

— To wszystko prawda — odparła. — Dobrze zapamiętałeś.

— Wydaje mi się, że mówiłaś też, że zostałaś sama... I było ci na początku samej ciężko.

— No bo zostałam sama. — Popatrzyła na Albina, jakby szukając u niego wsparcia. — Najpierw sama z dwójką dzieci i było ciężko, bo wszystko wokół nich trza było zrobić... Te dwie cięższe przytrafiły się nam niespodzianie. Miałam wtedy już koło czterdziestu lat, nie pora już na macierzyństwo w takim wieku, a tu raz za razem — najpierw w czterdziestym, a zaraz potem w czterdziestym pierwszym. Syn i córka. Mąż zginął w bitwie pod Wojdą, trzydziestego grudnia czterdziestego drugiego, i sama z nimi zostałam. A potem, jak wszystkie dzieci oprócz Anielki wyjechały w pięćdziesiątym drugim do szkoły i nie wróciły, to już całkiem jak palec. Aż do dnia, kiedy Grelowie mnie przygarnęli, jak sierotę...

\*

Jakąś godzinę później Józek wrócił ze znajomym zawiniątkiem w rękach i podał mi je tak czule, jakby w koc opatulone było dopiero co narodzone niemowlę. Potem wziął krzesło i usiadł z dala od stołu, pod ścianą obok okna, bacznie obserwując moją reakcję. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie żałował ani papieru ściernego, ani smaru. Strzelba błyszczała prawie jak nowa. Przełamałem ją i w środku również nie znalazłem nawet śladu rdzy.

— Dobra robota, Józek. Pięknie wygląda. Czyli mówisz, że powinna działać?

— Po... po... powinna — rzekł, potwierdzając werdykt skinieniem głowy, po czym swoim starym zwyczajem przymknął powieki, odgradzając się nimi od świata.

Jeszcze przez długi czas na jego ustach błędził uśmiech satysfakcji.

\*

Z każdą upływającą minutą atmosfera w zakrystii stawała się coraz bardziej nerwowa. Nie dotyczyło to Józka, który w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku pochrapywał z cicha na swoim krześle, natomiast ja, Albin i Katarzyna, właściwie prawie ze sobą nie rozmawiając, mieliliśmy w głowie najczarniejsze scenariusze.

Kiedy zrobiło się prawie ciemno, raz jeszcze odwiedziła nas siostra Łucja,



informując, że kolacja jest już gotowa. Zasugerowałem wtedy, że może warto zadzwonić do księdza i zapytać o przyczynę tak długiej nieobecności. Usłyszałem w odpowiedzi (w głosie siostry też wyraźnie wyczuwalna była nuta zmartwienia), że ksiądz nie miał ze sobą komórki, ponieważ, zbierając się rano w pośpiechu, po prostu zapomniał zabrać ją ze sobą. Okazało się też, że z biura plebanii matka Rafała próbowała się dodzwonić kilkakrotnie do syna, ale najpierw „abonent był poza zasięgiem”, a później od razu włączała się automatyczna sekretarka.

— Wygląda na to, że pozostaje nam tylko czekać i się modlić o szczęśliwy powrót — zakończyła zakonnica. — Ale to, że będziecie tu głodni siedzieć, to raczej im niewiele pomoże.

Argument był sensowny, ale na posiłek skusił się tylko Józek, my we trójkę woleliśmy zostać w kościele.

Albin przyniósł z nawy głównej gromnicę. Pomieszczenie w jej świetle jeszcze bardziej przypominało zakrystię z kościoła w Starzyźnie. Zdaje się, że odczucie to było wspólne dla nas wszystkich, ponieważ co chwilę któreś z nas rozglądało się z niepokojem wokół siebie, jakby szukając potwierdzenia, że tamte ciężkie chwile są już za nami.

Nie wiem, o czym konkretnie myśleli pozostali; być może przede wszystkim zastanawiali się nad losem Dobrowolskiego, Greli i Gielmudy. Mnie te troski także nie były obce, ale właśnie wtedy, gdy otaczała nas ponura, niemal nieprzenikniona, rozświetlana tylko przez świecę ciemność, ja myślałem przede wszystkim o Adamie. I nie potrafiłem odpędzić od siebie natarczywej myśli, że świeca, przy której siedzimy, stosowana jest również jako emblemat religijny w sytuacji niechybnie zbliżającej się śmierci.

## 6.

Tuż po dwudziestej drugiej od strony drzwi wejściowych kościoła dał się słyszeć jakiś gwar. Wszystko wskazywało na to, że dochodzą do naszych uszu odgłosy ożywionej rozmowy, a może nawet sprzeczki, rozgrywającej się pomiędzy dwiema kobietami.

— Gdzieś tu powinien być chyba włącznik światła? — zapytałem, pamiętając, że często z zakrystii właśnie zawiaduje się żarówkami w świątyniach.

Albin wskazał włączniki za moimi plecami, ale jednocześnie zaznaczył, że ksiądz woli, aby raczej nie afiszować się z obecnością w kościele po zmroku.

Ponieważ głosy narastały, wziąłem gromnicę i wyszedłem z zakrystii, aby wskazać przybywającym drogę. Okazało się, że to Janka i siostra Łucja mają ze sobą lekko na pieńku.

— Nie będę tam siedzieć jak w więzieniu — dobitnie oznajmiła

Adamowiczowa, zręcznie omijając stojącą jej na drodze korpulentną sylwetkę.

— Ale ksiądz wyraźnie powiedział, że macie zostać w dworku do jego powrotu.

— Nie, proszę siostry, do powrotu księdza, to miały tam zostać pani Gielmudowa i Paulinka. A ja mam do pana Uchmanna pilną sprawę i muszę z nim koniecznie porozmawiać. I nie interesują mnie siostry zarządzenia. Może je sobie siostra zachować dla podopiecznych ośrodka.

— Pani jest teraz podopieczną ośrodka, proszę pani.

— Witku, powiedz coś, przecież ta kobieta mi nie da spokoju! — Janka zauważyła, że to właśnie ja trzymam świecę w rękach.

— Nie wydaje mi się, żeby moje zdanie mogło przekonać siostrę Łucję — odparłem, będąc tego absolutnie pewnym.

Obok mnie stanął Albin, który wziął sprzed ołtarza świecę i odpalił ją od gromnicy, czym zwrócił na siebie uwagę siostry.

— A tak w ogóle to wydaje mi się, że na was już pora spania nadchodzi. Zaproszenie specjalne mam dla was wysłać? — zrzędziła niestrudzenie.

Nie wiadomo, czym by się zakończyła ta wymiana zdań, gdyby nie snop samochodowych świateł, który przez uchylone drzwi wdarł się na moment do wnętrza świątyni i prześlizgnął po naszych sylwetkach. Prawie wszyscy spojrzeliśmy w stronę wejścia, nie zrobiła tego tylko Janka. Zamiast tego zwróciła się do mnie:

— Witku, wiesz która jest godzina?

— Jakoś po dziesiątej, a czemu pytasz?

— Nie zapomniałeś chyba o Adamie? Wiesz, że o północy może... możesz mu być potrzebny?

Zachowała czujność, nie mówiąc zbyt dużo przy siostrze Łucji, i dobrze się stało, ponieważ ta, niby zaabsorbowana patrzeniem w stronę kościelnego przedsionka, zapytała od razu z niepokojem:

— Jeszcze będziemy mieli jednego gościa? Panienko Przenajświętsza, toż przecież nasz mały dworek nie jest z gumy!

I ja byłem niespokojny, choć z innego powodu. Po raz kolejny bałem się o kondycję mojej pamięci. Jeszcze przed chwilą siedziałem przy stole, myśląc z obawą o losie Adama, a nawet przez myśl mi nie przeszło, że powinienem już powoli przygotowywać się do poszukiwania jakiegoś zacisznego miejsca, w którym mógłbym kontynuować nocne notatki. O ile w ogóle będzie to możliwe...

— Dziękuję, Janka. Na śmierć o tym zapomniałem — powiedziałem, a potem dodałem, kierując wzrok w stronę zakonnicy. — A siostra może być spokojna. Nie przybędzie dziś już kolejna osoba w postaci mojego przyjaciela. — A po chwili dodałem: — Chociaż bardzo bym tego chciał.

Okazało się, że nie myliłem się jedynie co do tego, że osobą tą nie będzie Adam Nawrot. Ciężkie drzwi zaskrzypiały, a zaraz potem w kręgu słabego światła

pojawiła się krępa sylwetka, zmierzająca wprost w moim kierunku.

— Z księdzem wszystko dobrze? — zapytała siostra Łucja.

— Tak, proszę siostry najdroższej — odparł Jasiek, mijając ją i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. — A niech mnie kule biją! — wykrzyknął. — Jak żem rano powiedział, że nie uwierzę, jak nie zobaczę, to słowa dotrzymuję! Toż to Witek we własnej osobie!

Zaraz potem przyjąłem szczerzy, niedźwiedzi uścisk, którym Grela nieomal połamał mi żebra.

Siostra Łucja, załamując ręce i mamrocząc coś o domu wariatów, wybiegła z kościoła ciężkawym truchtem, ja natomiast przedstawiłem Jance Albina i Jaśka, a potem wymieniłem również jej imię i nazwisko.

— To ciekawe doświadczenie poznać osoby, o których czytało się w książce — powiedziała z uśmiechem, ściskając dłoń każdemu z nich.

— A ja żem myślał, że to Katarzyna, tylko że młodsza jakaś, niż była rano — wypalił Grela. — Strasznie pani do niej podobna.

— Tak, też to zauważyłem od razu — potwierdził Albin.

— A właśnie, Katarzyna to gdzie jest? — zapytał Grela, nagle poważniejąc. — Tak naprawdę to miał żem chciał tylko sprawdzić, czy jeszcze jest w kościele...

— Tak, jest w zakrystii, jeszcze nie poszła do dworku na nocleg — odparłem, bezwiednie przyswajając sobie nazwę, którą najwyraźniej dom pomocy społecznej był określany przez jego mieszkańców. — Czy ksiądz i Rafał są z wami?

— Tak, są. To skoro Katarzyna jest, ja po nich pójde. Albin, przygotuj dla nas cztery krzesła.

— Jak to cztery? Siostra Łucja też do nas dołączy?

— Uchowaj, Panie! — odparł Jasiek, popatrzył na mnie, uśmiechnął się i puścił oko. — Sami zobaczycie, kogo żeśmy przywieźli. Zaraz przyjdziem. Zostawcie tylko jedną zapaloną świecę, żeby łatwiej nam było przez kościół przejść.

\*

Zamiast tego Socha zapalił dwie świece, które stały koło ołtarza, a później rozejrzał się wokół siebie. Jego wzrok padł na małe krzesła, ustawione pod ścianą po obu stronach tabernakulum.

— Potrzebujemy dwóch siedzeń, prawda? — zapytał.

— Tak, nas jest czwórka, a w zakrystii jest przy stole sześć krzeseł. Poczekaj, ja wezmę — mówiąc to, podałem gromnicę Jance. Nawet gdyby Albin odstawił świecę, to i tak przecież nie dałby rady wziąć dwóch siedzeń jedną ręką.

Zaraz potem weszliśmy do zakrystii. Najpierw Albin ze świecą, ja za nim z dwoma krzesłami, a na końcu Janka.

Powszechnie wiadomo, że najtrudniej jest dostrzec własne podobieństwo do innej osoby. Syn, uważany przez znajomych za podobnego do ojca, rzadko potrafi

jednoznacznie je potwierdzić, podobnie bywa często w przypadku rodzeństwa, ale kiedy Janka stanęła naprzeciw Katarzyny, bez trudu można było zauważyć, że obie natychmiast zrozumiały, co przed chwilą miał na myśli Grela.

— Słyszałam stąd, co mówił Jasiek i nie było to miłe, ale zdaje się, że miał rację — odezwała się Cieplakowa. — Ktoś nieznajomy mógłby nas wziąć za matkę i córkę.

— Gdyby nie ten zwariowany upływ czasu w ciągu ostatnich dni, to co najwyżej za siostry. — Albin szybko odnalazł się w całej sytuacji, a Katarzyna posłała mu ciepły uśmiech.

Postawiłem dwa dodatkowe krzesła przy stole i zaproponowałem, żebyśmy usiedli. Spodziewaliśmy się za chwilę kolejnych osób, więc Janka nie zamykała za sobą drzwi, dzięki czemu łatwiej docierały do naszych uszu odgłosy zbliżających się kroków, przeplatanych od czasu do czasu jakimiś trudnymi do zidentyfikowania stuknięciami.

Czekaliśmy w napięciu, zastanawiając się, kto prócz księdza Dobrowolskiego, Jaśka i Rafała do nas jeszcze dołączy, a zbliżanie się tej grupki ciągnęło się w nieskończoność. Gdy wreszcie wydawało się, że są gdzieś na wysokości pierwszych rzędów ławek, kroki ucichły, zastąpione przez wypowiedane półgłosem słowa. Zaraz potem ławka cicho skrzypnęła i ktoś wznowił marsz, z tą różnicą, że ustało dziwne, niosące się echem po pustym wnętrzu stukanie. Jako pierwszy w drzwiach pojawił się ksiądz, a za nim do zakrystii nieśmiało wślizgnął się Rafał.

Wciąż miałem na świeżo spotkanie w stodole Mitników i chociaż wtedy nie miałem zbyt wiele czasu na przyglądanie się jednorękiemu klesze, to widziałem go wystarczająco długo, by w myślach potwierdzić uderzające podobieństwo, o którym słyszałem wcześniej. Było jednak kilka różnic. Zdawałoby się, że najbardziej widoczną cechą powinna być unieruchomiona na płóciennym temblaku ręka, ale tak nie było. Uwagę najbardziej przykuwały jego szare, przesywające obserwowanego na wskroś, ale jednocześnie pogodne oczy. Otoczone gęstą siatką zmarszczek, ale mimo tego... po prostu jakby należące do kogoś o wiele młodszego. Na twarzy Dobrowolskiego malowało się jednak zmęczenie — cóż, cały dzień w ruchu dawał o sobie znać, ale jak na swój wiek (oceniałem, że ksiądz na pewno przekroczył już osiemdziesiątkę) trzymał się i tak nad wyraz dobrze.

— Dobry wieczór, moim drodzy — odezwał się cichym, chyba nieco znużonym głosem. — Dobrze, że jesteście tu w takim właśnie składzie. Ty jesteś pewnie Janina Adamowicz? — Wskazał głową w kierunku siedzącej przy mnie Janki, ale coś najprawdopodobniej go zabolowało, bo skrzywił się, jakby przez ułamek sekundy przeszył go prąd.

— Tak — odparła. — A skąd ksiądz wie?

— Ten dżentelmen za moimi plecami przekazał mi opowieść Witka. A Witek, to

zapewne ten zuch, który siedzi obok ciebie? Witaj, chłopcze, wiele już o tobie słyszałem.

Zamierzałem wstać i się przywitać, ale powstrzymał mnie ruchem lewej ręki, a potem zwrócił się do Katarzyny z prośbą o szklankę wody.

— Jasiek mówił, że jest was czterech — odezwałem się. — Powie nam ksiądz, kto jest czwartym? Zdaje się, że wszyscy tu się nad tym od kilku chwil mocno głowimy.

— Tak, powiem, choć nie można potwierdzić, że jest nas czterech... ale za chwilę do tego dojdziemy. Uznaliśmy, że najpierw opowiemy wam o tym, co zwojowaliśmy przez cały dzień. Usiądźmy, Rafale, będę mówił, a ty pomożesz mi, gdyby o czymś zapomniała stara głowa.

Katarzyna postawiła pełne szklanki przed księdzem i Rafałem zaraz po tym, gdy zajęli miejsca, przy okazji wykonując taki ruch ciałem, jakby chciała wychylić się i zajrzeć przez drzwi do nawy głównej. Nie umknęło to uwagi Dobrowolskiego.

— Usiądź na swoim miejscu, moja droga, bardzo proszę. — W jego głosie zabrzmiała nuta stanowczości. — I dla siebie też przygotuj szklankę wody.

Cieplakowa posłała księdzu zdziwione spojrzenie, ale bez słowa zrobiła to, o co poprosił, i ponownie usadowiła się za stołem.

Dobrowolski upił łyk, podnosząc lewą, lekko drżącą ręką szklankę do ust, a potem zaczął mówić:

— Żeby nie było nieporozumień i niedomówień, od razu chciałem zaznaczyć, że wierzę absolutnie we wszystko, co usłyszałem wcześniej od ciebie, Katarzyno, od ciebie, Albinie, a także od Janka Greli, który czeka w kościele, oraz od Józka, który teraz już zapewne smacznie śpi. Wierzę też we wszystko, co przekazał mi Rafał, a które to fakty w większości są historią opowiedzianą mu wcześniej przez Witka. Uważam, że to istotne, bo pozwoli nam uniknąć niepotrzebnych wątpliwości, jeśli mielibyśmy się zastanawiać, jakie kroki podjąć w dalszej kolejności. Bo coś z tym wszystkim będziemy przecież musieli dalej zrobić? — zapytał retorycznie, a kiedy nie usłyszał od nikogo zaprzeczenia, ciągnął dalej: — Do Zamościa dotarliśmy gdzieś tak przed południem i mój bratanek czekał już na nas w gotowości. Nie było możliwości, żeby mógł mi odmówić i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, więc jedynym problemem było znalezienie gazety, która ukazuje się w sobotę, a potem spróbować zdążyć umieścić w niej krótki opis kłątwy, która was dotknęła, i zdjęcia. Szczęśliwie okazało się, że koleżanka Piotra ze studiów pracuje w sprzedawanym w całym województwie „Dzienniku Lubelskim”, którego weekendowe wydanie wychodzi właśnie w sobotę. Gazetę więc mieliśmy, ale gorzej było z czasem, bo numer miał być zamykany prawie że już. I tu uśmiechnęło się do nas szczęście. Okazało się, że podczas pierwszego spotkania z Rafałem Piotr wszystko notował w swoim firmowym kalendarzu, a później wstępny zarys krótkiego artykułu zapisał na podstawie tych notatek w komputerze. Spotkaliśmy się w redakcji „Echa Zamościa”, komputer był pod

ręką, wystarczyło więc dodać kilka najważniejszych kwestii odnośnie do przyczyn kłątwy, co dzięki treściwej relacji Rafała nie zajęło mojemu bratankowi dłużej niż pół godziny. Ustaliliśmy, że relacja zostanie opublikowana jako list od anonimowego czytelnika, jako swego rodzaju ciekawostka, legenda rodzinna przekazywana z ojca na syna. — Zawiesił głos i spojrzał na mnie pytająco. — Witek, jak sądzisz, może być?

Po chwili zastanowienia odparłem:

— Sądzę, że tak. Zaprzeczeniem kłątwy zatajenia i — przynajmniej mam taką nadzieję — aktem, który ją znosi, jest podanie informacji o niegodziwych czynach do publicznej wiadomości. Nie sądzę, by formuła samego artykułu mogła mieć tu jakiegokolwiek znaczenie.

— To dobrze, że mamy w tej kwestii podobne zdanie. Tak więc jeśli nasz tok rozumowania jest prawidłowy, sprawa kłątwy powinna się jutro zamknąć. — Trudno mi było pojąć, że może o tym mówić tak spokojnie, on jednak natychmiast przeszedł do dalszego ciągu. — Pozostaje teraz próba poradzenia sobie ze sprawą nie mniej istotną, a więc z siłami, które próbują zawładnąć wydarzeniami dziejącymi się na Roztoczu teraz i tu. W tej sprawie, niestety, nie mam zbyt dobrych wieści. Otóż nie było absolutnie takiej możliwości, by opublikować w gazecie wizerunek Mitnika i... hmm... mój, będący zarazem obliczem Dobrowolskiego, który przeniknął do Bliżowa ze Starzyzny. Nikt nie wydałby zgody na druk zdjęć, będących *de facto* listami gończymi, bez zgody odpowiednich organów ścigania. Sprawa była bezdyskusyjna i znajoma Piotra, co w sumie zrozumiałe, nie pozostawiła co do tego nawet cienia wątpliwości. Cóż, prawo przede wszystkim, ochrona danych osób, co do których istnieje jedynie wydumane przez kogoś domniemanie winy, będzie miała zawsze pierwszeństwo przed ochroną obywateli przed zagrożeniem. Na próbę zmiany przez policję statusu podejrzanych na poszukiwanych nie było czasu, nie mieliśmy też tak naprawdę żadnych twardych dowodów, które mogłyby przekonać kogokolwiek.

— To zrozumiałe — wtrąciłem. — Wiem, że pomysł z publikacją wizerunku Mitnika był mój, ale zdziwiłbym się, gdyby ktoś na to poszedł. Po prostu uznałem, że warto spróbować.

— Jasna sprawa — potwierdził ksiądz. — Sam, zabierając swoje zdjęcie ze sobą, miałem dokładnie taki sam pogląd. Ale nie myślcie, że całkowicie złożyliśmy broń. Po tym, gdy Piotr wysłał mejla z tekstem do publikacji, przygotował na szybko coś w rodzaju chałupniczego listu gończego i na firmowej kserokopiarce w tajemnicy przed współpracownikami powielił go w kilkudziesięciu egzemplarzach. Pojeździliśmy po Zamościu, a Rafał i Jasiek rozwieszali go na słupach ogłoszeniowych i przystankach, starając się nie rzucać zbyttnio w oczy, co zresztą w piątkowe popołudnie nie było zbyt łatwe, ale nikt na szczęście nie zareagował. Najwięcej poszło chyba w okolicy, gdzie wysadziłeś Mitnika, czyli koło izby przyjęć, prawda? — zwrócił się do Gielmudy.

— Zgadza się. Pojechaliśmy też do Bliżowa i tam rozwiesiliśmy resztę.

— Tak. No i mniej więcej około szesnastej nie mieliśmy już ani jednego ogłoszenia i w zasadzie mogliśmy wracać, ale... — Posłał ukradkowe spojrzenie w stronę Cieplakowej. — ...postanowiłem spróbować załatwić jeszcze jedną rzecz...

— Być może wasz trud przynajmniej w części poszedł na marne — wszedłem Dobrowolskiemu w słowo — ponieważ dziś, po przyjeździe do Bliżowa, dowiedziałem się, że policja zatrzymała już Mitnika. Niestety, nie miałem możliwości, by przekazać wam tę wiadomość.

Ksiądz pokiwał głową.

— Ale księdza nie zatrzymali?

— Z tego, co wiem, nie. Zdaje się, że nawet go nie szukają, bo nie wiedzą o jego istnieniu.

— No więc może praca jednak, co daj Boże, nie poszła na marne. Przechodzę teraz do ostatniej sprawy. — Mówił, wciąż patrząc na mnie. — Streszczając rano Rafałowi wydarzenia, które przeżyłeś w Starzyźnie, wspomniałeś coś więcej o Katarzynie, o pierwszej rozmowie z nią w cztery oczy. Tak było?

— Zgadza się. Bardzo utkwіło mi w pamięci to, że Katarzyna urodziła się na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, a w Starzyźnie wyglądała na moją rówieśnicę. To było niezwykle i wspominałem o tym, chociaż właściwie mogłem sobie darować, bo w całej tej sytuacji nie ma to większego znaczenia.

— Otóż mylisz się, mój chłopcze. Ma, i to bardzo duże, tym bardziej że przy okazji powiedziałaś coś jeszcze.

— Faktycznie, powiedziałem, że Katarzyna była sama, bo straciła męża w czasie wojny, co — jak dziś sprostowała — nie było prawdą, bo okazało się, że do pięćdziesiątego drugiego mieszkała z dwójką swoich dzieci. Później wszystkie dzieciaki ze Starzyzny, poza Anielką Komisarczuk, opuściły wioskę i już do niej nie wróciły. A właśnie, skoro już przy tym jesteśmy, to czy ksiądz pozwoliłby, abym coś powiedział w tej sprawie?

— Tak, ale szybko, bo północ zbliża się wielkimi krokami, a jeszcze będziemy musieli ci zapewnić jakieś ustronne miejsce do spania.

Popatrzyłem najpierw na Jankę, później na Katarzynę i znów na Jankę, aż wreszcie nabrałem powietrza i wyrzuciłem z siebie to, co nie dawało mi spokoju już od jakiegoś czasu, a dokładnie od chwili, gdy w ogrodzie obok domu Adamowiczów usłyszałem historię rodziców siedzącej obok mnie i niespokojnie spoglądającej na mnie kobiety.

— Wydaje mi się, że twoi rodzice, Janeczko, wychowywali się w Starzyźnie. — Zamilkłem na chwilę, żeby dać i pozostałym możliwość dokładnego przyswojenia tej wieści, a później ciągnąłem: — Pamiętasz, jak mówiłaś, że wraz z innymi dziećmi zostali znaleźni w pięćdziesiątym drugim w Bliżowie? Wspominałaś, że nigdy nie opowiadali o swojej przeszłości. Założono, że ta

grupka prawdopodobnie ocalała z wojennej pożogi, pozostali albo zamieszkali w Adamowie, albo zostali przygarnięci przez jakiś sierociniec w Lublinie. Wszystko się zgadza?

Janka przytaknęła, ale zwróciłem uwagę, że wyraźnie pobladła.

— Tak więc całkiem możliwe, i tu przechodzę do sedna, że twoi rodzice znali się z dziećmi Katarzyny.

Spojrzałem na Cieplakową, a ta patrzyła to na mnie, to na Jankę, jak zahipnotyzowana, z trudem łapiąc powietrze. Inni wpatrywali się we mnie i również wyglądali na poruszonych.

— Może więc jakoś udałoby się do nich dotrzeć? — mówiłem dalej, zauważając jednocześnie, że oczy Albina zaczynają się szklić. — Przecież mogą jeszcze żyć, skoro w pięćdziesiątym drugim mieli dwanaście i jedenaście lat. No co na mnie tak wszyscy patrzycie? To jest jak najbardziej prawdopodobne...

— A oni? — zapytał cicho Socha. — Janka, co się stało z twoimi rodzicami?

— Oboje zmarli jakiś czas temu, więc, niestety, nie będą mogli pomóc w ewentualnych poszukiwaniach.

Katarzyna patrzyła teraz już tylko na Jankę. Spróbowała coś powiedzieć, ale ze ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk, sięgnęła więc po szklankę i z trudem upiła kilka łyków.

— Zdaje się, że woda przydała się wcześniej, niż przewidywałem — powiedział Dobrowolski, próbując nieco rozładować napięcie, ale z nad wyraz marnym skutkiem.

Cieplakowa odchrząknęła i pokręciła głową, wciąż patrząc na Jankę.

— Powiedz mi, dziecko, czy oboje mieli ciemne włosy, tak jak ja i ty?

— Tak, oboje.

Wyraz twarzy Katarzyny nie zmienił się, ale po jej policzkach jedna za drugą płynęły wielkie łzy.

— Te dzieci z naszej wioski... Tylko dwójka miała ciemne włosy, jeden chłopiec był rudy, a pozostali mieli włosy jasne jak len. I ta dwójka, ta dwójka była moja... — Głos jej się na chwilę załamał. — Jeżeli oni byli twoimi rodzicami, to już ich nie znajdziemy, kochanie, bo to znaczy, że moje dzieci nie żyją.

Katarzyna wstała i podeszła do Janki, do której dopiero powoli zaczął docierać sens tego, co przed chwilą usłyszała.

— Boże Święty — szepnęła, a potem wybuchła płaczem i rzuciła się Katarzynie w ramiona, nie zważając na to — a właściwie zupełnie tego nie zauważając — że część wody ze szklanki, którą Cieplakowa wciąż trzymała w dłoni, polało się na jej sukienkę.

\*

Przez dobrych kilka minut przyglądaliśmy się dwóm jeszcze chwilę temu obcym sobie kobietom, które nagle odnalazły się po długiej wędrówce przez dwa



równoległe światy. Jedna — urodzona ponad wiek temu, druga — licząca niecałe pięćdziesiąt lat, a obie tak bardzo do siebie podobne. Gdyby nie przyspieszony upływ czasu, to — co wcześniej stwierdził Albin — mogłyby uchodzić za siostry, a teraz wyglądały po prostu jak matka i córka.

Już od chwili, gdy Janka wspomniała o tych znalezionych w pięćdziesiątym drugim roku dzieciach, myślałem, że to nie jest zbieg okoliczności. Przypuszczałem, że wszystkie straciły wspomnienia związane ze Starzyzną i nie pamiętają, jak znalazły się w Bliżowie, natomiast do głowy by mi nie przyszło, że właśnie wobec braku wspomnień rodzice Janki najzwyczajniej w świecie nie wiedzieli, że są rodzeństwem. To też mogło tłumaczyć ciężką genetyczną chorobę brata Janki i jego przedwczesną śmierć. A że Janka urodziła się tak wcześnie? Przecież w Wielki Piątek pięćdziesiątego drugiego roku jej ojciec miał siedemnaście lat, a mama — szesnaście... Cóż, zapewne nikt nie dbał o edukację seksualną dwójki pomagających przy gospodarstwie dzieciaków, a hormony zrobiły swoje.

Na te wyjaśnienia, które pewnie chcieliby znać wszyscy obecni (zwłaszcza Janka i Katarzyna), na pewno przyjdzie jeszcze odpowiednia pora, więc postanowiłem sobie ich oszczędzić, tym bardziej że czas faktycznie naglił. Było już po dwudziestej trzeciej, więc Dobrowolski miał rację, że powinienem zaraz się położyć. Spojrzałem w jego stronę, a on siedział, lekko się uśmiechając, i wymieniał porozumiewawcze spojrzenia z Rafałem. Nie chciałem przerywać tej wzruszającej sceny, ale nie miałem innego wyjścia. Kiedy w końcu udało mi się ściągnąć wzrokiem spojrzenie księdza, delikatnie popukałem w szkiełko zegarka. On skinął głową i powiedział z uśmiechem:

— Drogie panie, chyba nie ma potrzeby już płakać. Jakkolwiek ta sytuacja by się nie zakończyła, żadna z was nie będzie już sama na tym świecie. I to wszystko dzięki Witkowi.

Obie spojrzały na mnie zapłakanymi oczyma, a ja tylko rozłożyłem ręce, sygnalizując, że tak widocznie musiało być.

— Ale dajcie mi jeszcze minutkę, bo też nie chciałbym być gorszy. Chwilę temu Witek wszedł mi w paradę w momencie, gdy nie skończyłem jeszcze opowiadać, dlaczego tak długo nas nie było. Wspomniałem też, że to, co powiedział Rafałowi, było bardzo istotne, ale dotąd jeszcze nie przypomniał nam wszystkiego, co Katarzyna opowiedziała mu w rozmowie w cztery oczy. Jasiek! — krzyknął w stronę uchylonych drzwi. — Zapraszam was, wydaje mi się, że to jest dobra pora.

— No, nareszcie — odkrzyknął tubalnie Grela, a jego głos poniósł się echem po całym kościele. — Bo mnie już tu skręca z ciekawości, co tam się u was takiego dzieje.

Usłyszeliśmy kroki i ponownie charakterystyczny stukot.

— Zajęło to tyle czasu, bo musiałem postawić na nogi pół diecezji —

kontynuował Dobrowolski. — Księgi parafialne w Zamościu, znajomi księża, a wszystko to bez przekonania, że szukam właściwej osoby, bo przecież nie mogłem mieć stuprocentowej pewności co do personaliów. No, ale się udało.

Do zakrystii wszedł Jasiak, podtrzymując pod ramię drobną, przygarbioną może dziewięćdziesięcioletnią staruszkę, która podpierała się drewnianą laską, wydającą słyszany przez nas stukot. Katarzyna początkowo nie zwróciła na nią uwagi, zajęta przyciszoną, pełną ekscytacji rozmową z Janką. Gdy jednak kobieta przywitała się, mówiąc ciche „Dobry wieczór”, Cieplakowa obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem, a potem wróciła do rozmowy. Chwilę później stało się jednak coś zupełnie niezwykłego. Katarzyna przerwała myśl w pół zdania i powoli, jakby w zwolnionym tempie ponownie skierowała wzrok na starowinkę, a chwilę później szklanka, która wciąż tkwiła w dłoni Cieplakowej, roztrzaskała się z hukiem o posadzkę.

— Chcieliśmy przełożyć to spotkanie na jutro, ale pani stwierdziła, że w jej wieku niczego, a zwłaszcza tak istotnych rzeczy, nie wolno odkładać na następny dzień. I uwierzyła we wszystko, tak samo jak i ja wam uwierzyłem. Oboje już przeżyliśmy tyle, że nie boimy się przyjmować do wiadomości nawet historii, w które młodszym od nas uwierzyć byłoby o wiele trudniej.

Katarzyna kurczowo przytrzymała się ramienia Janki, sprawiając wrażenie, że gdyby nie ramię wnuczki, to niechybnie straciłaby równowagę. I wciąż bez słowa patrzyła na przybyłą kobietę szeroko rozwartymi oczyma.

— Chciałem cię, Katarzyno, jakoś przygotować, ale emocje chyba i tak sięgnęły już zenitu, a czas nas trochę goni, bo Witek ma przed sobą ważne zadanie w postaci zaśnięcia przed północą — ciągnął dalej Dobrowolski z uśmiechem, przenosząc wzrok na mnie. Najwidoczniej zobaczył na mojej twarzy wyraz kompletnego niezrozumienia całej sytuacji, bo zaraz potem dodał: — Raz jeszcze wrócę do twojej pierwszej rozmowy w cztery oczy z Katarzyną. Naprawdę nie pamiętasz tego, co jeszcze powiedziałeś dziś rano Rafałowi?

Pokręciłem głową, zupełnie nie mając pojęcia, o co mu może chodzić.

— Katarzyna powiedziała ci, że jest sama, bo straciła męża na wojnie, a wcześniej jej córka, Krystyna, po mężu Burda, jeszcze przed trzydziestym dziewiątym przeprowadziła się do Zamościa. Padło wówczas nawet pytanie, czy może ją znasz, ale odparłeś, że nie, bo Zamość to nie jest takie małe miasto. No to teraz będziesz mógł powiedzieć, że ten stan się zmienił, prawda, pani Krysiu?

Staruszka, którą Jasiak wciąż podtrzymywał pod ramię, tylko się delikatnie do mnie uśmiechnęła, a potem popatrzyła na swoją matkę, jednocześnie mówiąc słabym, drżącym głosem:

— Nie pamiętałam i nie pamiętam niczego z lat młodości. Nic, ani jednej migawki. W Wielki Piątek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku obudziłam się rano u boku nieznanego mężczyzny, a cała przeszłość stanowiła dla mnie zagadkę. Podobno wychowano mnie w sierocińcu i ani mój mąż, ani

nikt ze znajomych nie potrafił powiedzieć czegokolwiek o moich rodzicach poza tym, że nie żyją. Ale ja wiedziałam, że gdzieś jesteś, przysięgam na Boga Przenajświętszego. I jeszcze jakieś trzydzieści lat temu miałam nadzieję, że kiedyś pozwoli on nam się spotkać...

## 14 kwietnia 2007 (sobota)

Im więcej o tym wszystkim myślę, tym bardziej jestem przekonany, że również trafiłem w to przeklęte miejsce za karę.

Rafał Gielmuda znalazł się w Starzyźnie dlatego, że nie uszanował postu w Wielki Piątek, a później spowodował wypadek, w którym zginęła Magda. Ja poszedłem w jego ślady, ponieważ nie chciałem i nie potrafiłem mu wybaczyć.

Cóż ze mnie za katolik, skoro nie potrafię w sobie znaleźć tyle siły, by wykazać miłosierdzie dla bliźniego? Nawet jeśli zrobił coś najbardziej godnego potępienia...

W tej sytuacji samobójstwo byłoby zbyt proste, więc i ja muszę odpokutować za swoje winy. Cały czas pamiętam też o tym, że skończenie ze sobą nie poprawiłoby mojej sytuacji.

Stałbym się taki jak Oni, a to byłoby chyba najgorsze.

Głód był nie do zniesienia, ale nie mogłem przecież umrzeć z wycieńczenia, skoro istniała choćby iluzoryczna szansa na zdobycie pokarmu.

Zaniechanie próby byłoby równoznaczne z samobójstwem. Wiem o tym tak samo dobrze, jak wszyscy mieszkańcy Starzyzny przez dziesięciolecia walczący o przetrwanie. Nie miałem więc wyjścia i musiałem przenieść się do kościoła. Skoro mam zapobiegać swojej śmierci, to na całego. Kościół był schronieniem przed złymi mocami dla innych, więc może i mnie będzie przed nimi strzegł.

Kiedy o świcie przemykałem w jego kierunku, wiedziałem, że nie ustrzeże mnie przed dziwnym człowieczkiem, który zmusił mnie do jedzenia tabletek nasennych. Przecież on bez problemu wszedł do domu, do którego złe moce nie miały dostępu. Po tym, co wydarzyło się w ciągu dnia, wiem, że dla świszczącego facecika z karabinem i zaleconą zajęczą wargą kościół teraz już też stanowi barierę nie do przebycia.

Niebezpieczeństwo związane jest z tymi dwoma młodymi wysokimi blondynami, którzy z przedsionka wynieśli szafę ze szczątkami rodziny Komisarczuków. Zabrali też rękę, którą Witek odstrzelił Dobrowolskiemu na Czarnym Wygonie.

Stało się to koło południa, ale rano byłem w kościele sam.

Drzwi były otwarte, więc bez problemu dostałem się do środka, choć smród spalenizny wciąż się tu unosi i jest trudny do zniesienia. Natomiast gdy zamknę się w zakrystii i otworzę okno, to wydaje się mniej uciążliwy.

Znalazłem jedzenie i miętową herbatę w garnku. Na szczęście smakuje mi ona o wiele bardziej niż Rafałowi Gielmudzie. Rozpaliłem pod kuchnią i w zakrystii

jest przynajmniej ciepło. Po posiłku przejrzałem szafki i w jednej ze szczelnie zamkniętych karafek znalazłem jakieś dwieście mililitrów wody, najprawdopodobniej święconej. Być może to na mnie właśnie czekała od połowy ubiegłego stulecia.

Dzięki Ci za nią, Boże.

Nie wiem, czy wykonany przeze mnie różaniec miał do tej pory jakąkolwiek moc, ale teraz, gdy został cały opłukany w przezroczystym płynie, być może ma przynajmniej część właściwości ochronnych tego, który zostawiłem w krasnobrodzkim kościele, wśród innych dziękczynnych wotów.

To zabawne, że woda święcona, którą niegdyś ksiądz Dobrowolski własnoręcznie przygotowywał, teraz ma służyć jako pomoc w ochronie przed nim samym.

Zabawne było też tamto spotkanie w przyklasztornym kościele w Krasnobrodzie, z innym duchownym. Ciekawe, o czym myślał ten młody ksiądz, który pewnie widział, co robię. Szkoda, że nie zamieniłem z nim wtedy więcej niż te kilka zdawkowych zdań. Może to wszystko skończyłoby się inaczej? Może powinienem się wyświadczyć? A ja tylko: „Szczęść Boże”, „Długo ksiądz czeka?” i „Dziękuję. Wesołego Alleluja”. „I panu również”. Pamiętam jak dziś, że tak mi odpowiedział. Nie wiem jak dla niego, ale dla mnie było bardzo wesołe.

Wesołe jak diabli.

Dopóki nie zrobiło się ciemno, siedziałem naprzeciw okna z prawie całkiem zdezelowanym karabinem należącym niegdyś do Jakuba Trześniowskiego, tym samym, za pomocą którego Witek chciał się zabić, gdy nie udało mu się ucieczka. Wciąż widać na nim zaschnięte błoto, ale to chyba nie przez nie broń jest już całkiem bezużyteczna. Od kiedy zmarł jej właściciel, dla niej również czas przyspieszył i jest ona już teraz niczym więcej, jak połączonymi ze sobą częściami zmurszałego drewna i zardzewiałego żelastwa.

Ale i tak z nią czuję się bezpieczniej. Tym bardziej że na tych dwóch podziiała odstraszać. Woleli nie ryzykować, a siwy starzec, który obserwował scenę z oddali, nie potrafił ich przekonać, że karabin nie stanowi żadnego zagrożenia. A może sam nie był tego pewien lub może faktycznie chce jeszcze spróbować przeciągnąć mnie na swoją stronę? Tak by wynikało z późniejszych zdarzeń. Niewykluczone też, że dzięki różańcowi i dzięki temu, że znajdowałem się w kościele, nie miał dostępu do moich myśli. Do innych ponoć ma bez najmniejszego problemu.

Z tego, co mówili ci dwaj podczas pracy, wiedział bardzo wiele. Potrafił im za wyświadczoną usługę zapewnić środki finansowe, o których do tej pory nie mogli nawet marzyć. Kto zna ludzkie myśli, zna także loginy i hasła, więc może mieć dostęp do każdego internetowego konta bankowego. „A kto wie? — mówili. — Może i potrafi dać nam nieśmiertelność...?”. Ale o tym mają się przekonać dopiero jutro. A w zasadzie dzisiaj. Niedawno minęła północ i jest już sobota.

Przypominam sobie scenę, którą siwy, brodaty starzec o oczach bez źrenic pozwolił mi obserwować ze schodów prowadzących do kościoła. Mogła się ona najpewniej rozegrać gdziekolwiek indziej, ale jemu najwyraźniej zależy, abym patrzył, bo wciąż zerka w moją stronę, zapewne ciekaw, jak zareaguję. Na jego śniadej, kontrastującej z bielą gałek ocznych twarzy błądzi tajemniczy lekki uśmieszek, który ma sugerować, że za chwilę stanie się coś, co z pewnością przypadnie mi do gustu. Mam zupełnie odmienne przeczucie.

Z jednej z ocalałych chat wychodzi jasnowłosy mężczyzna, ten szczuplejszy, młodszy spośród dwóch, którzy wcześniej wynosili szafę ze szczątkami Komisarczuków; ten, który zabrał też z sieni zwęgloną, odstrzeloną przez Witka i oderwaną przez Andrzeja Kniazia rękę. Prowadzi ubraną w habit, zakapturzoną postać, której brakuje prawego ramienia.

Zaciskam mocniej dłoń na różańcu.

Wysoki blondyn idzie po prawej stronie księdza, lewą ręką podtrzymując swojego towarzysza za niewidoczny dla mnie łokieć.

— Już niedaleko, Piotrek — mówi. — Zaraz spotkasz się ze stryjem. On bardzo na to czeka.

Mam ochotę krzyknąć, że to nie jest żaden Piotrek, że to morderca, który nazywa się Wincenty Dobrowolski.

Robię to.

Krzyczę, ile tylko sił w płucach, ale ci dwaj mnie nie słyszą, mimo że dzieli nas w tej chwili najwyżej dwadzieścia metrów.

Głowa Dobrowolskiego odwraca się w stronę towarzysza. Mam wrażenie, że ksiądz coś mówi, ale nie dociera do mnie ani jedno słowo, natomiast wysoki, na oko trzydziestoletni blondyn przytakuje i odpowiada:

— No, oczywiście, że stryj Bogdan. Coś ty, Piotruś? Nie strugaj wariata, masz jeszcze jakiegoś innego stryja?

— Podprowadź go do dzwonnicy, Mirek, i tam go zostaw, a potem chodź tu i stań obok mnie — mówi starzec.

Mężczyzna, nazwany przez brodacza Mirkiem, spełnia polecenie, zostawiając bezrękiego Dobrowolskiego przy dzwonnicy, obok której zauważam szafę z truchłami rodziny Komisarczuków. Spoczywa na niej zwęglone ramię.

Zaraz potem z innego domu wychodzi druga para mężczyzn. Drugi z blondynów, którzy wcześniej wynosili szafę, trochę starszy od tego, który przyszedł z Dobrowolskim, prowadzi znanego mi już człowieczka od środków nasennych. Ten taszczy ze sobą nieodłączny karabin. Dokładnie taki sam, jak ten, jaki zostawiłem w kościele, tyle że jego broń jest w o wiele lepszym stanie. Zakładam, iż jest to broń, która należała do Józka Kowalika.

Wspinają się powoli pod górę, nagle człowieczek patrzy przed siebie, dostrzega stojącego przy dzwonnicy Dobrowolskiego, przystaje na moment, a później puszcza się biegiem. Zbliży się niewiarygodnie szybko, jakby miał piętnaście lat.

— Piotruś! — woła. — Mój kochany... Nareszcie! — Jego głos zamienia się w szloch.

Tuż przed dzwonnica odrzuca karabin i chwytą Dobrowolskiego w ramiona.

— Boże mój, chłopcze! Jakże ja się za tobą stęskniłem!

Płacze i jednocześnie śmieje się, jak małe dziecko. Dotyka ukrytej pod habitem twarzy, jakby chciał się przekonać, że to nie iluzja, że wzrok go nie myli. Później chwytą za niewidoczną prawą rękę i zdaje się potrząsać nią energicznie, z całych sił.

— Widzisz, Bogdan? — mówi starzec. — Obiecałem ci, że spotkasz swojego bratanka, i dotrzymałem słowa. Pamiętaj, że ja zawsze dotrzymuję słowa.

— Dziękuję, panie Czarny — szlocha wzruszony ze szczęścia człowieczek. — Nigdy w to nie wątpiłem!

Do starca z siwą brodą i stojącego tuż obok młodego mężczyzny dołącza drugi blondyn, ten nieco starszy. Czarny zwraca się do nich:

— Wy też pamiętajcie, że Czarny zawsze dotrzymuje słowa. Nigdy nie będziecie żałowali, że staliście się moimi sojusznikami. — Następnie kieruje głowę w moją stronę. — Ty też o tym pamiętaj — mówi, a później odwraca się w stronę Bogdana: — Panie Adamowicz, ja dotrzymałem słowa, teraz niech pan zrobi to, o co poprosi pana Piotrek.

Dobrowolski pochyla się i szepcze coś do ucha Bogdanowi, a ten natychmiast, bez chwili zastanowienia chwytą za sznur służący do poruszania największym z dzwonów, jeśli dobrze pamiętam, zwanego Świętym Józefem. Formuje zgrabną pętlę, a następnie wkłada w nią głowę, wciąż uśmiechając się do Dobrowolskiego, w którym widzi swojego bratanka.

Ten mówi:

— Musisz ją zawiązać wyżej, stryju, bo inaczej nic z tego nie będzie.

Adamowicz kiwa głową, szczerząc radośnie zęby, a Dobrowolski klęka obok niego, a następnie kładzie rękę na ziemi, układając ciało w prowizoryczny taboret. Bogdan wdrapuje się na jego plecy, przez chwilę balansując w celu utrzymania równowagi. Ściąga sznur w dół na tyle, na ile pozwalają mu jego siły, a wielki dzwon odzywa się niechętnie dwa razy i ponownie zastyga w milczeniu.

Zanim pętla jest gotowa, ruszam na pomoc. Mam ze sobą różaniec, więc Dobrowolski powinien odstąpić od swojego zamiaru, gdy się zbliżę. Kiedy Czarny widzi, co się dzieję, mówi coś do towarzyszących mu mężczyzn, a oni kilkoma susami zastępują mi drogę, chwytają mnie za ręce i odciągają z powrotem w stronę kościoła. Kątem oka rejestruję, że Dobrowolski strąca z pleców Adamowicza, zaraz potem przez dolinę przetacza się kilka, może kilkanaście uderzeń Świętego Józefa. Adamowicz jest lekki, dzwon swoim ciężarem to podnosi go, to opuszcza. Ciało, wstrząsane drgawkami, miota się na pętli.

Stoimy wszyscy w bezruchu, przyglądając się temu w ciszy, którą przerywają

milknące, coraz słabsze uderzenia dzwonu. Wreszcie zamierają, umiera też poruszające się lekko na wszystkie strony ciało. Ale ja domyślam się, że to tylko pozory. I mam rację. Bogdan otwiera oczy, w których nie widać już źrenic. Podciąga się bez trudu prawą ręką na sznurze, jednocześnie drugą zdejmując pętlę ze swojej szyi. Zeskakuje na ziemię i rozgląda się wokół, jakby oszołomiony. Zatrzymuje wzrok na Dobrowolskim, a potem odwraca głowę w stronę Czarnego.

— A gdzie Piotruś? — pyta. — I skąd się tu wziął ten ksiądz?

Trzymający mnie wciąż za ręce mężczyźni patrzą po sobie zaskoczeni. Najwyraźniej w bezrękiej sylwetce wciąż rozpoznają chłopaka.

Czarny wskazuje ręką na księdza.

— To przez niego straciłeś swojego ukochanego Piotrka, Bogdan. Możesz mu się za to odwdziaczyć, a jeśli dobrze się spiszesz, to może twój bratanek znów do nas wróci.

Dobrowolski jest tak zaskoczony, że nawet nie zdąża wykonać najmniejszego ruchu, podczas gdy Adamowicz błyskawicznie chwyta za karabin i robi kilka kroków. Najpierw ma zamiar strzelić, ale zmienia zdanie. Chwyta za lufę i jednym ciosem w bok głowy powala zakapturzoną postać na ziemię. Staje nad leżącym na plecach księdzem, unosi karabin nad głowę i uderza prosto w twarz. Za chwilę znów. I jeszcze raz, i jeszcze...

Bije równomiernie i silnie, jakby młócił cepem zboże. Po kilku ciosach w powietrzu zaczynają fruwać krople krwi, fragmenty kości i skóry, ale Bogdan przestaje dopiero wtedy, gdy w miejscu, gdzie jeszcze niedawno leżała głowa Dobrowolskiego, widać już tylko szaroczerwoną, galaretowatą breję, upchniętą w wilgotny kaptur.

Jest mi niedobrze i duszno. Nie tylko ze względu na obrzydliwość całej sceny, nie tylko ze względu na to, że powietrze w Starzyźnie zdaje się zawierać o wiele mniej tlenu, niż to, którym oddychałem od urodzenia. Również ze względu na reakcję przytrzymujących mnie mężczyzn, którzy nawet nie pomyśleli, aby zrobić chociażby gest, mający na celu pomoc chłopakowi, jakiego wciąż przecież widzą w zmasakrowanych obecnie zwłokach.

Patrzę na Czarnego i widzę, że się lekko uśmiecha.

— Świetna robota, panie Adamowicz. Będzie nagroda, ale to nie dzisiaj. Panowie... — Zwraca się do stojących obok mnie mężczyzn. — ...zostawcie już pana Nawrota i zaprowadźcie Bogdana na zasłużony odpoczynek.

Odchodzą we trzech, Adamowicz ze spuszczoną głową, ciągnąc za sobą karabin, który znaczy krwawy ślad na zeschniętych, jasnobrązowych kępkach trawy.

Czarny idzie w moją stronę, ale zatrzymuje się w bezpiecznej odległości, pamiętając o różańcu, na którym wciąż kurczowo zaciskam zbieleiałe palce.

— Wiem, że masz innego Boga, ale się zastanów, czy warto... Możesz tak umierać codziennie. Zostawię tu któregoś z braci Bisów i postawię przed nim takie zadanie. Przed żywym nie uchroni cię to cacko. — Wskazuje na różaniec.



— Ale możesz wybrać inaczej. Możesz opuścić z nami to miejsce i żyć pełnią życia. Twojej Magdy i tak ci już nikt nie zwróci, ale pięknych kobiet na świecie jest pod dostatkiem, nieprawdaż, drogi Adamie? A za kilkanaście lat... będzie jeszcze piękniej, zobaczysz. Tyle daję sobie czasu na przygotowanie pewnego małego chłopca do swojej roli. Nie zabrałem go tutaj, bo nie chcę mu za bardzo mieszać w głowie; nie chcę, żeby wiedział o Starzyźnie; nie chcę, żeby potrafił rozpoznawać nasze oczy, które, jak sam widzisz, są inne od twoich... waszych. Jest po tamtej stronie pod troskliwą opieką trzeciego, najstarszego z braci Bisów. Gdy będziemy gotowi, ruszymy w drogę powrotną. Ale do tego potrzebuję tych, którzy zostali w kościele. Wynieś ich na zewnątrz lub pozwól to zrobić braciom.

— Wiesz, że nie musisz mnie pytać o zdanie. Oni mogą mi łatwo dać radę, a przed nimi ani kościół, ani różaniec mnie nie ochronią.

Śmieje się głośno, nieprzyjemnie, szczecliwie.

— Ależ oczywiście, że wiem, mój drogi. Ale ja mam czas, to po pierwsze. A po drugie — uwielbiam stawiać przez sobą wyzwania. Gdybyś przeszedł na moją stronę z własnej woli, byłbym z siebie naprawdę dumny. Jesteś dla mnie wart o wiele więcej niż dziesiątki innych. Chcę, żebyś został moim synem marnotrawnym, z którego nawrócenia będę się cieszył.

## Rozdział trzeci

### 1.

*Na początku trudno mi się zorientować, gdzie jestem. Dopiero po upływie kilku chwil rozpoznaję plac zabaw niedaleko bloku, w którym mieszkaliśmy z Anką i Krzysiem. Za niewielkim żywopłotem toczy się życie. Do moich uszu dociera gwar ulicy — odgłosy samochodowych silników, klaksonów, przejeżdżającego tramwaju. Czuję nawet zapach spalin.*

*Jest wiosna. Dzień dokładnie taki sam, jak we śnie, w którym spotkałem Andrzeja Kniazia, a potem Krzysia doradzającego mi, abym uważał na sny. W tamtym śnie też kwitły bzy, dokładnie jak tutaj. Rozłożysty, obsypany liliowymi kwiatostanami krzew mam po lewej, ale nie czuję ich zapachu, ponieważ lekki wiatr chłodzi mój prawy policzek, ten od strony ulicy. Słońce przyjemnie grzeje, więc rozsiadam się wygodnie na ławce, rozkładam ramiona, kładąc dłonie na oparciu, przymykam oczy i wystawiam twarz ku niebu, żeby złapać trochę, pierwszej w tym roku, opalenizny.*

*Pomimo wszechogarniającego gwaru jest mi błogo. Nie muszę się o nic martwić, nikogo ratować. Wiem, że Krzyś nie żyje, więc troszczyć muszę się jedynie o siebie.*

*Nagle zza moich pleców dobiega narastający harmider, który nie pozostawia wątpliwości, że za chwilę będę miał towarzystwo. Rozbawione dziecięce głosy zbliżają się coraz bardziej, a później mijają mnie z obu stron. Głos Krzysia słyszę z lewej.*

*Otwieram oczy.*

*Jest roześmiany. Stoją we czwórkę w niewielkim kółku. On, Mateusz, Anielka i mała Paulinka, która — chociaż najwyższa ze wszystkich — wygląda na zagubioną wśród starszych od siebie dzieci.*

*Coś chwyta mnie za gardło. To strach, że za chwilę się obudzę.*

*Wiem, że to sen, wiem, że Krzyś nie może stać przede mną i bawić się z innymi dziećmi, ale właśnie to dzieje się na moich oczach.*

Wzruszenie jest trudne do zniesienia, chce mi się płakać, a jednak nie robię tego, bo co będzie, jeśli na mnie popatrzy? Chcę by był wesoły, roześmiany tak jak teraz. Nie zamierzam psuć mu zabawy.

Odwraca główkę w moją stronę i macha mi wesoło. Odpowiadam mu tym samym, po części zmuszając się do uśmiechu, a po części autentycznie czując się szczęśliwym.

Przychodzi mi do głowy myśl, że zbyt mało czasu spędzałem z nim, gdy żył. Mogliśmy przecież w takie dni jak ten prawie codziennie wychodzić razem na spacer, na place zabaw, do kina, pojeździć na rowerze, gdziekolwiek. A ja żyłem tak, jakbym był pewien, że jeszcze przyjdzie na to czas, że może jak Krzyś podrośnie, to będzie nam ze sobą lepiej, będziemy się łatwiej dogadywać. Jak dorastający syn z nie całkiem jeszcze starym ojcem.

Nie będziemy.

Wciąż trzymam rękę w górze i ta myśl dociera do mnie z siłą tsunami. Niektóre błędy dostrzegamy dopiero wtedy, gdy nie można już ich naprawić.

Będą się w coś bawić. Chyba w chowanego.

Krzyś zawsze był pierwszy do wyliczanek, więc i tym razem zaczyna recytować w rytm poszczególnych akcentów wierszyka, wskazując na wszystkich po kolei, na mnie i wreszcie na siebie. Doskonale słyszę każdy wypowiedany przez niego wyraz, ale nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi. Szum ulicy cichnie, dociera do mnie tylko głos mojego synka, wiem, że recytuje po polsku, lecz mam wrażenie, że stykam się z tym językiem po raz pierwszy.

Ostatnia zgłoska pada na Krzysia. Smutnieje na chwilę, ale za chwilę, jakby chcąc jeszcze raz sprawdzić, czy się nie pomylił, znów rozpoczyna wyliczankę. To kolejna zwrotka, ale — co zrozumiałe — wynik jest ten sam. Za trzecim razem mój syn zaczyna od innego dziecka, więc trochę oszukuje, nie myli się, widzę to wyraźnie, ale zwrotka i tak kończy się na nim.

Pochyla głowę, widzę, że łzy kręcą się w jego oczach i dziwi mnie to, ponieważ zawsze lubił być szukającym w tej zabawie. Próbuję coś powiedzieć, przypomnieć mu o tym, ale on mnie nie może usłyszeć.

Wkłada palce wskazujące w kąciaki ust, a potem rozciąga je na boki, aż do uszu. Skóra na policzkach rozdziera się jak cienka, sparciała

*guma, odsłaniając dziąsła i zęby. Proszę, żeby się nie ranił, ale on chwyta obiema dłońmi za dolną wargę i zdiera skórę z zuchwy i połowy szyi. Próbuję się poderwać, błagam, by przestał, ale nie jestem w stanie nic zrobić.*

*Jestem bezradny, dokładnie tak jak wtedy, gdy widmo jego śmierci przestało być przerażającą ewentualnością, a stało się po prostu realne i namacalne jak ławka, na której teraz siedzę.*

*Kiedy wszystkimi palcami obu dłoni zaczyna wydłubywać sobie oczy...*

...obudziłem się i przez długi czas nie mogłem złapać oddechu. Gdy wreszcie mi się to udało, zacząłem płakać, nie próbując się już pohamowywać.

Przecież Krzyś już na mnie nie patrzył.

Pomimo że w ciągu kilku minut udało mi się nieco opanować, to i tak nie potrafiłem strząsnąć z siebie koszmarne uczucie, które wciąż trawiło mnie od środka. Usiadłem więc na łóżku, rozglądając się wokół i starając się skierować myśli na inne, bardziej przyziemne tory.

Znajdowałem się w sypialni księdza Dobrowolskiego, która została mi udostępniona pomimo moich protestów. Nie było rady, musiałem przystać na propozycję gospodarza, ponieważ — jak twierdził — mój spokojny i niezakłócany przez nikogo sen dawał szansę, że może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej. Ksiądz zdecydował się przenocować na wspólnej sali razem z Rafałem, Jaśkiem, Albinem i Józkiem.

Po tym, gdy do zakrystii weszła córka Katarzyny, odczekałem chwilę i uznałem, że najlepiej będzie zostawić je teraz same. Inni mężczyźni zgodzili się z moją sugestią i przeszliśmy pięcioosobową procesją do dworku. Kobiety miały tam zawitać dopiero później, gdy zdążą się już do woli sobą nacieszyć.

Siostra Łucja tym razem bez protestów przygotowała nowe posłania, wyrażając głośno swój sprzeciw jedynie odnośnie do miejsca, w którym będzie spał Dobrowolski. Nie dowiedziałem się już niczego na temat dalszego ciągu wydarzeń, ponieważ zostałem zaprowadzony do przytulnej, skromnie urządzonej sypialni, gdzie miałem spędzić noc. Z samochodu zabrałem jedynie zeszyt ze „świętecznymi przepisami” i długopis. Poprosiłem też o szklankę wody i jakieś lekarstwa na sen. Ze spełnieniem tego życzenia nie było problemu — placówka zajmująca się osobami starszymi środków nasennych ma zawsze pod dostatkiem.

Kiedy po raz ostatni, leżąc już w łóżku, spojrzałem na zegarek, była za kwadrans północ. Istniała obawa, że proszki mogą nie zdążyć zadziałać, ale tego dnia obudziłem się wcześniej rano i zmęczenie być może pozwoliłoby mi zasnąć nawet bez sztucznych wspomagaczy.

Odplynałem natychmiast, a teraz siedziałem, patrząc tępo przed siebie, na starą dębową szafę, która wyłaniała się z ciemnych zakamarków nocy. Znów

obudziłem się przed świtem. Zegarek na moim nadgarstku wskazywał kilka minut po piątej.

Wziąłem do ręki leżący na nakastliku zeszyt i otworzyłem go w miejscu zaznaczonym długopisem. Tym razem wpis wydawał się wyjątkowo długi i w związku z tym (a dodatkowo pomny doświadczeń z poprzedniego poranka) nawet nie próbowałem go w tych warunkach rozszyfrować. Zresztą i tak chyba nie potrafiłbym skupić myśli.

Wyliczanka, którą usłyszałem z ust Krzysia wciąż nie dawała mi spokoju. Miałem wrażenie, że znam ją doskonale, a jednocześnie nie potrafiłem z czymkolwiek skojarzyć.

Potrzebowałem świeżego powietrza, więc ubrałem się, wziąłem pod pachę zeszyt, do kieszeni różaniec, i wyszedłem na korytarz, by niedługo potem stanąć na dziedzińcu przed dworkiem.

Nad wschodnim horyzontem czerwieniła luna zwiastująca na nadchodzący dzień ładną pogodę, draśnięta ostrym sierpem znikającego księżyca, natomiast nad zachodnim — wciąż było widać co jaśniejsze gwiazdy. Mój wzrok padł na widniejącą po mojej lewej jasną bryłę kościoła i zrozumiałem, czego mi teraz trzeba — modlitwy przed zapoznaniem się z kolejną częścią zapisków.

Podążając w stronę świątyni, drżałem po trosze jeszcze z emocji związanych ze snem, a po trosze z zimna, bo ranek był naprawdę chłodny. Obawiałem się też tego, co mogę za chwilę przeczytać w brulionie. Miałem nadzieję, że nie będzie to nic strasznego.

## 2.

Wnętrze kościoła tonęło w mroku. Minąłem kilka ławek i usiadłem mniej więcej pośrodku. Chciałem uklęknąć, ale z moim kolanem nie było to zbyt łatwe, poprzestałem więc na pozycji siedzącej.

— Mam nadzieję, Boże, że wybaczysz niedołęznemu kalece tę zniewagę — szepnąłem i wykonałem znak krzyża.

„To nie jest wierszyk ani żadna dziecięca wyliczanka! To przecież Kaczmarek...” — ta myśl spłynęła na mnie jak blask błyskawicy.

Jacek Kaczmarek od dawna był mi bardzo bliski (Sadoń pewnie by się zdziwił). Tyle niezwykłych piosenek, utworów, pieśni, tyle głębokich tekstów, tak wiele związanych z latami osiemdziesiątymi i początkiem dziewięćdziesiątych wspomnień. Odszedł niedawno, prawie dokładnie przed trzema laty, jeśli pamięć mnie nie myliła — dziesiątego kwietnia dwa tysiące czwartego roku. Tak, po dłuższym zastanowieniu byłem już tego pewien, że cztery dni temu minęła rocznica jego śmierci. Przypominałem sobie też, że zmarł w Wielką Sobotę.

„Może właśnie dlatego Krzyś tę właśnie piosenkę recytował dziś nad ranem, dokładnie tydzień po tegorocznym święcie? — pomyślałem. — Czy to mogło być aż tak bardzo istotne, że aż musiało wszystko tak się posplatać w jeden okołowiłkanocny węzeł, w węzeł, którego nie potrafię rozsupłać?”

Wielka Sobota, trzy lata temu.

Dziesiąty kwietnia.

Wtedy sądziłem, że już zawsze ten dzień będzie dla mnie niezwykle ważny. Tak drogi mi artysta odszedł na zawsze, a wystarczyło ledwie niewiele ponad tysiąc dni, bym zapomniał o trzeciej rocznicy jego śmierci. Truizmem jest, że nie ma ludzi niezastąpionych, zwłaszcza jeśli chodzi o kogoś, kogo się nigdy nie spotkało, o ludzi z pierwszych stron gazet — artystów, polityków, naukowców... Gorzej bywa z najbliższymi. Rany po ich zniknięciu mogą się goić do śmierci.

„Ale jaka to piosenka, panie Jacku? Boże, jak to leciało...?”

Linia melodyczna zaczynała mi już właśnie cicho dźwięczeć z tyłu głowy. Słyszałem ją bardzo słabo, wyęzając z całych sił podświadomość i marną ostatnio pamięć, gdy jeden z cieni na środku posadzki zaczął się zmieniać, powoli przybierając ludzkie kształty. Przez ułamek sekundy prawie ogarnęła mnie panika, ale przypomniałem sobie, gdzie jestem, co pozwoliło mi odetchnąć nieco spokojniej.

Szare sączące się przez okno światło wyłowiło z ciemności charakterystyczną sylwetkę starego, siwego mężczyzny. Wyglądało na to, że ksiądz Dobrowolski wolał spędzić noc na zimnej posadzce niż na niewygodnym połowym łóżku.

Popatrzył w moją stronę i rzekł:

— Tak się właśnie zastanawiałem, kogo tu diabli niosą o tej porze...  
— Przerwał i uśmiechnął się, uświadamiając sobie niestosowność sformułowania.

— Ksiądz tutaj tak przez całą noc?

— Nie, przespałem ze dwie godziny w świetlicy, ale później Jasiek zaczął taki koncert chrapania, że postanowiłem zmienić lokum. Poza tym od jakiegoś czasu nie czuję się najlepiej, sam rozumiesz, ta ręka, bóle w karku, a dodatkowo jeszcze wczoraj miałem tak silny napad migreny, że wieczorem z powodu środków przeciwbólowych ledwie mogłem zebrać myśli. — Popatrzył na mnie uważnie, a jego oczy załśniły w ciemności. — To naprawdę się stało? One rzeczywiście się spotkały?

— Owszem, proszę księdza. O ile ja również nie miałem jakichś omamów, to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Dobrowolski założył prawą rękę na temblak, co sprawiło mu wyraźny ból, wypisany przez moment na usianej zmarszczkami twarzy.

— Mogę usiąść obok ciebie, młody człowieku?

— Jeśli ksiądz mówi do mnie, to jak najbardziej.

*Od młyna do kościoła...*

Zamarłem, słysząc te słowa tak wyraźnie, jakby dopiero teraz, wprost do mojego

prawego ucha Krzyś postanowił odsłonić przede mną sekret swojej wyliczanki. Nie potrafiłem jeszcze zidentyfikować konkretnego utworu, ale byłem już dosłownie o krok.

— Cholerna starość — mruknął Dobrowolski, siadając obok mnie. — Nie wiedziałem, że może dopaść człowieka tak nagle. Do tej pory jakoś się trzymałem, chyba nawet czułem się lepiej, niż powinienem, biorąc pod uwagę metrykę, a tu nagle tyle dolegliwości w krótkim czasie. Chciałbym pomóc jakoś przy zamknięciu tej całej sprawy, ale nie wiem, czy w obecnym stanie dam radę.

— Myśli ksiądz, że w ogóle można coś zrobić? Mnie się wydaje, że stoimy na straconej pozycji.

— Nie wolno tak myśleć, synu. Zło tylko czeka na nasze chwile zwątpienia i triumfuje, gdy zaczynamy kapitulować.

Popatrzył na brulion, leżący przede mną na wąskiej, lekko pochyłej półeczce, służącej zwykle jako miejsce dla książeczek do nabożeństwa.

— Jakieś nowe wieści od Adama? — spytał.

— Tak, ale jeszcze nie zdążyłem ich przeczytać. Miałem koszmarny sen, z którego wciąż nie mogę się otrząsnąć. Postanowiłem najpierw zaczerpnąć świeżego powietrza, a później się pomodlić.

— W takim razie może przeczytasz na głos?

— Mnie też starość dopada dość szybko, proszę księdza. Wzrok mi się ostatnio pogorszył na tyle, że przy tym świetle nie będę mógł niczego odszyfrować.

— A ja nie mam ze sobą okularów. Może przejdziemy do zakrystii i tam przy zapalonym świetle...

Jaśniejsza smuga legła na środku podłogi. Odwróciłem się i zobaczyłem znajomą kobiecą postać wchodzącą do kościoła.

— Może nie będzie to konieczne — powiedziałem. — Zdaje się, że Janka ma wzrok o wiele lepszy od nas obu razem wziętych.

\*

Wkrótce potem pożałowałem, że ją o to poprosiłem.

Moje nadzieje co do tego, że może tym razem w notatkach nie będzie niczego strasznego, okazały się zupełnie nietrafione. Grozę relacji Adama, zapisanej moją ręką, potęgowały jeszcze monotonicznie odczytywane przez Jankę i niosące się echem po kościele frazy. Dla niej było to chyba jeszcze trudniejsze. Musiała na głos odczytywać treść zapisków informujących o śmierci własnego męża, o tym, że stał się jednym z Nich. Jej głos drżał coraz mocniej, ale dzielnie doczytała do końca, nie zatrzymując się ani razu. Cisza, która nastąpiła po ostatnim zdaniu, była chyba jeszcze bardziej przerażająca.

— Widzisz, Witku — odezwała się wreszcie Janka, uśmiechając się gorzko. — Miałam rację co do tego, że Bogdan... Chociaż chyba to, w jaki sposób się to odbyło, jest jeszcze gorsze od normalnej śmierci.

— Nie bardzo wiem, o czym mówisz, moja droga — odezwał się niepewnie

Dobrowolski.

Wyjaśniłem mu, że chodzi o proroczy sen, który miała mniej więcej dobę wcześniej. Skinął głową i nie pytał o nic więcej. Ja natomiast, chcąc za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by nieznośna cisza znów chwyciła nas w swoje szpony, a jednocześnie starając się rozwiać pewną nasuwającą mi się nagle wątpliwość, zapytałem:

— Czy ksiądz ma albo może miał brata, który również jest lub był duchownym?

Janka wstała ze swojego miejsca i powiedziała:

— Przepraszam, ale teraz chyba muszę trochę pobyć sama. Pójdę się przejść, rześkie powietrze dobrze mi robi.

Zapytałem, czy ma ze sobą krucyfiks. W odpowiedzi tylko skinęła głową i zaraz potem znów byliśmy w kościele tylko we dwóch.

— To zabawne, że o to zapytałeś, chłopcze — odpowiedział mi Dobrowolski.

— Dlaczego?

— Twój przyjaciel Adam zadał mi dokładnie takie samo pytanie, gdy rozstawaliśmy się w sobotni wieczór, niemal dokładnie tydzień temu.

— I co mu ksiądz odpowiedział?

Przez moment najwyraźniej przywoływał w myślach tamtą rozmowę.

— Że nie mam i nie miałem. Powiedziałem, że często miewam natomiast sen, w którym odprawiam mszę prymicyjną wspólnie ze swoim bardzo podobnym do mnie bratem. Jestem wtedy ogromnie szczęśliwy, mam ochotę przenosić góry, ale po przebudzeniu za każdym razem coś dławi mnie w gardle i zawsze ciąży mi wrażenie, że to wcale nie był dobry sen.

— A Piotr Dobrowolski? Zdaje się, że to księdza bratanek...?

— Tak, to syn Wacka, który jest ode mnie sporo młodszy. Wacek, owszem, jest moim bratem, ale nigdy nie zamierzał wstąpić do seminarium.

Zamilkłem, starając się jeszcze raz przetrwać przeczytane przed chwilą przez Jankę zapiski, ale właśnie teraz dotarło do mnie coś zupełnie banalnego, coś, na co powinienem był wpaść o wiele wcześniej. Wystarczyło, że melodia w mojej głowie idealnie dopasowała się do słów wyliczanki. Uświadomiłem sobie, o jaką piosenkę Kaczmarek chodziło, i aż otworzyłem usta, zaskoczony, że potrzebne było właśnie tyle. Tylko tyle. A może aż?

Przypomniałem sobie cały tekst, od początku do końca, przełknąłem nerwowo ślinę i spojrzałem na Dobrowolskiego, który wpatrywał się w wiszący nad tabernakulum obraz.

— Proszę księdza...

— Tak?

— Czy wie ksiądz może, o której dziś powinien nastąpić wschód słońca?

Przeniósł na mnie zdumione spojrzenie.

— Wschód słońca?

— Zaraz wytłumaczę, dlaczego o to pytam, ale najpierw proszę o odpowiedź.



Nie musi być co do minuty.

Zastanowił się i odparł:

— Dziś to nie wiem, ale wczoraj, jak zdzierałem kartkę z kalendarza, no wiesz, takiego na każdy dzień roku, zdaje się, że... Tak, na pewno... było na niej napisane, że wschód ma być o piątej czterdzieści... dziewięć. Albo osiem.

Spojrzałem na zegarek i, mrużąc oczy, odczytałem godzinę.

— Teraz jest za dwadzieścia szósta, więc pewnie za chwilę słońce wzejdzie, prawda?

Przytaknął bez słowa, ale jego oczy, z których można było czytać jak z otwartej książki, nie pozostawiały wątpliwości. Ksiądz najwyraźniej zaczynał się o mnie martwić.

— Mogę się mylić, bo coś mi się tu trochę nie zgadza... — odezwałem się ponownie. — ...ale jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to za kilka minut wszelkie księdza dolegliwości powinny ustąpić.

Uśmiechnął się przyjaźnie w taki sposób, w jaki zwykle ludzie uśmiechają się do małego chłopca, który oświadcza, że w przyszłości zostanie kosmonautą i — jak bywa w takich sytuacjach — uprzejmie nie skomentował tego, co usłyszał.

— To w takim razie o to się pomodłę — powiedział tylko i zaraz potem zagłębił się w cichym odmawianiu pacierza.

Niewykluczone, że bardziej modlił się o zdrowie dla mnie niż dla siebie, ale było mi wszystko jedno. Ważne, że miałem chwilę na ponowne przemyślenie tego, co przed chwilą przyszło mi do głowy.

\*

*Swój żywot niewesoły pędzili w jednej wsi  
Od młyna do kościoła brat dobry i brat zły  
Lecz żaden z nich nie wiedział, wszak jednej byli krwi  
W kim Bóg, w kim diabeł siedział, kto dobry, a kto zły  
Więc wyruszyli w drogę, wszak drogą życie jest  
Bark w bark i noga w nogę, ten święty i ten bies*

Tak właśnie brzmią trzy pierwsze strofy krótkiej piosenki Kaczmarzkiego, które recytował Krzyś. Czy miało znaczenie, że tylko te trzy? Niewykluczone, ponieważ kolejne zwrotki sugerują swego rodzaju zamianę ról, a jak na razie nic na taką zmianę nie wskazywało. Brat zły wciąż był zły, a dobry również nie wyglądał na takiego, który zamierza wykonać jakąś światopoglądową wolnę.

Nie wiedziałem dokładnie, kiedy u Walentego Dobrowolskiego wystąpił po raz pierwszy ból ramienia, ale dałbym sobie rękę uciąć, że dokładnie w tej chwili, gdy pierwsza wystrzelona przeze mnie kula przeszła ramię Wincentego na Czarnym Wygonie. Siedzący obok mnie ksiądz wspomniął przed chwilą o bólach karku i głowy. Zapewne pierwszy z nich pojawił się, gdy ciągnąłem co sił sznur w stodole Mitników, podciągając w ten sposób ku górze bezrękiego klechę na pętli wisielczej. Występujące od wczoraj napady migreny również nie miały

prawa dziwić, skoro w Starzyźnie Adamowicz za pomocą kolby karabinu zamienił głowę Wincentego w krwawą papkę. Gdyby się to stało tutaj, w naszym świecie, to zły Dobrowolski niechybnie by ostatecznie i nieodwracalnie przestał istnieć. No, ale działo się to w Starzyźnie, a w Starzyźnie ciała upiórów-samobójców odżywały przecież na Czarnym Wygonie następnego dnia rano.

Tak więc wszystko wskazywało na to, że sen księdza Walentego był retrospekcją prawdziwych wydarzeń z przeszłości i Krzyś miał rację, uczulając mnie, aby uważać na sny. Skoro Starzyzna pod wpływem klątwy zatajenia zniknęła z map, urzędowych zapisów i ludzkiej pamięci, to i siedzący obok mnie ksiądz nie mógł pamiętać, że dziesiątki lat temu odprawiał mszę prymicyjną wraz ze swoim bratem bliźniakiem. Tamte wspomnienia zostały wymazane i zastąpione innymi, w których Dobrowolski sam prowadzi swoje pierwsze w życiu nabożeństwo. Z podświadomości jednak wszystko wymazane nie zostało.

Teraz dodatkowo dała o sobie znać jakże często opisywana więź, występująca pomiędzy bliźniętami. Ileż to razy, jako redaktor czasopisma traktującego o niezwykłych zjawiskach, czytałem o tym, że gdy jeden brat na drugiej półkuli ma zawał serca, to drugi odczuwa nieprzyjemne mrowienie za mostkiem, a jego samopoczucie ulega nagłemu pogorszeniu. Albo inna historia — jeden z braci łamie nogę. Niewiedzący nic o tym drugi z bliźniaków w tym samym momencie odczuwa ból, a jego zdrowa noga puchnie w miejscu, w którym u brata nastąpiło pęknięcie kości.

Dobrowolski skończył modlitwę, podniósł wzrok, a potem skierował twarz w moją stronę. Malowało się na niej szczere zaskoczenie.

— Synu, nie wiem, co się dzieje, ale... — Pokręcił głową. Trudno mi było określić, czy z niedowierzaniem, czy po prostu chciał się przekonać, że ból karku minął jak za sprawą jakiegoś czarodziejskiego triku. — Matko Święta! Chyba miałeś rację.

Poruszył lekko, jakby z obawą, prawą ręką, bez najmniejszego trudu wysunął ją z płóciennego temblaka i energicznym ruchem pogroził mi palcem, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha.

— Masz mi natychmiast powiedzieć, co to za sztuczki, chłopcze — dodał. — I to najlepiej natychmiast, bo moja stara głowa nie potrafi pojąć tego, co się przed chwilą stało. W ułamku sekundy wszystkie moje bóle minęły, a ja czuję się jak nowo narodzony.

Odwzajemniłem uśmiech, mimo że w tej samej chwili odczułem ukłucie niepokoju.

— Jest w tym trochę prawdy, proszę księdza, ponieważ właśnie w tym samym momencie gdzieś tam w innym wymiarze księdza brat bliźniak o imieniu Wincenty niejako narodził się na nowo. Cieszę się, że dolegliwości minęły, ale jest to też dowód na to, iż siły, z którymi przyjdzie się zmierzyć Adamowi, właśnie uzyskały nowych-starych sprzymierzeńców.

Najpierw wyjaśniłem sprawę bratniego pokrewieństwa i idącego z nim w parze współodczuwania dolegliwości, które dręczyły ostatnio mojego rozmówcę. Widać było, że moja teoria zrobiła na nim duże wrażenie, ale w obliczu wszystkich faktów, z jakimi musiał się ostatnio zmierzyć, dość szybko przyjął ją do wiadomości. Zaniepokoił się natomiast tym, co powiedziałem o nowych siłach zła, więc czym prędzej wyjaśniłem:

— Do tej pory wszystko wskazywało na to, że Marcin Kowalik, ten olbrzym, który przedostał się niegdyś ze Starzyzny do naszej rzeczywistości, niejako... — Przez moment szukałem lepszego określenia niż to, jakiego użyłem podczas wczorajszej rozmowy z Rafałem w jego domu, ale nie znalazłem. — ...niejako zaraził się od nas śmiertelnością. Gdyby było inaczej, nie pomogłoby to, że odciąłem jego głowę saperką — po prostu następnego dnia rano obudziliby się na Czarnym Wygonie, dokładnie tak samo, jak już wiele razy miało to wcześniej miejsce. Tak się jednak nie stało. Od kiedy spoczął w mogile, nie pojawił się już więcej w Starzyźnie. Sądziłem, że podobnie będzie z Dobrowolskim...

Przerwałem na chwilę i spojrzałem na księdza. Od kilku chwil tamten przekłety klecha nie był już dla niego jakimś tam innym duchownym, który lata temu pobłądził na swojej kapłańskiej drodze. Teraz był to jego brat bliźniak, a to samo nazwisko przestało być wynikiem przypadkowej zbieżności.

— Śmiało, chłopcze, mów dalej — rzekł uspokajająco. — Ubolewam nad tym, że płynie w nas ta sama krew, ale jakoś się z tym uporam.

— No więc z nim nie jest podobnie. Gdyby było, dolegliwości księdza powinny ustąpić wczoraj, po nasilonych bólach głowy. Jeśli on... — Celowo starałem się już teraz pomijać w swej wypowiedzi nazwisko. — ...ostatecznie i nieodwołalnie zginąłby z ręki Adamowicza, to już wczoraj braterskie współodczuwanie zostałyby przerwane. Tak się jednak nie stało, a teraz jest już właściwie pewne, że on właśnie zmierza z Czarnego Wygonu do Starzyzny, ciesząc się z odzyskanego ramienia i sprawdzając, czy aby na pewno jego głowa w nienaruszonym stanie jest na swoim miejscu.

— Skoro Czarny potrzebuje jak największej liczby swoich wyznawców, to marnotrawstwem byłoby pozbywanie się jednej, nawet bezrękiej osoby, prawda?

— Zgadza się. Wszystko wskazuje na to, że Czarny nie ceni zbyt... — Znów się zaciąłem przed wypowiedzeniem nazwiska.

— Wincentego Dobrowolskiego — przyszedł mi w sukurs ksiądz.

— Tak, sądzę, że ma do niego pretensję o niewykorzystaną szansę w Starzyźnie, więc poniekąd chciał go też ukarać, gotując mu tak okrutną śmierć. — Przy ostatnim słowie palcami pokazałem w powietrzu znak cudzysłowu.

Dobrowolski przytaknął, a ja mówiłem dalej:

— Ale to nie koniec, proszę księdza. Wszystko wskazuje na to, że księdza brat nie jest jedynym odzyskanym przed chwilą sojusznikiem Czarnego. Okazuje się, że złożenie zwłok na wpół umarłych mieszkańców Starzyzny w kościele nie

zamknęło jeszcze definitywnie ich historii. Świadczy o tym wyniesienie na zewnątrz przez braci Bisów szafy, w której spoczywały szczątki rodziny Komisarczuków, oraz to, że Czarny domaga się od Adama udostępnienia pozostałych. Gdy mu się to uda, sytuacja wróci do stanu sprzed kilkunastu dni, a zastęp potępionych, gotowych przejść do naszego świata, będzie naprawdę bardzo liczny i obawiam się, że nic ich już nie powstrzyma. Zatem w tej chwili księdza brat wraz z rodzicami Anielki i nią samą docierają pewnie do wioski...

— Ta dziewczynka też była w naszym świecie, ale sądzisz, że podobnie jak mój brat również nie stała się przez to śmiertelna?

— Dokładnie tak. Uważam też, że jutro o tej samej porze, niezależnie od decyzji Adama odnośnie do propozycji złożonej przez Czarnego, ciągnąca z Wygonu do Starzyzny procesja będzie o wiele liczniejsza. No a potem, lada dzień, być może nawet już w nocy z niedzieli na poniedziałek, możemy spodziewać się w Guciowie i okolicach wizyty, która na zawsze odmieni oblicze tej ziemi.

— Celowo sparafrazowałeś słowa Jana Pawła II, które wypowiedział w siedemdziesiątym dziewiątym w Warszawie?

— Chyba zupełnie przypadkiem — odparłem zgodnie z prawdą. — Ale czy nie sądzi ksiądz, że zły duch również może zmieniać lub na swoją modłę odnawiać oblicze ziemi? Ja osobiście mam wrażenie, że dzieje się to właściwie codziennie...

Nic nie odpowiedział i przez kilka minut trwaliśmy obok siebie w zupełnym milczeniu.

\*

Znów stanęły mi przed oczyma obrazy, które widziałem we śnie.

Czwórka dzieci i za każdym razem przegrywający Krzyś. Teraz, gdy znałem już treść poczynionych przeze mnie notatek, łatwiej było zrozumieć to, że mój syn martwił się wynikiem wyliczanki. Wcześniej można było mieć wątpliwości, dlaczego nie padło też na Anielkę lub Mateusza. Obecnie wiedziałem już, że Mateusz wciąż żyje i jest pilnowany przez jednego z braci Bisów, więc na niego nie mogło paść. Anielka również po części wróciła właśnie do „życia”. Czwarte z dzieci — Paulinka — zapewne jeszcze smacznie śpi, chroniona przez swoją babcie w położonym nieopodal dworku. Tylko dla mojego synka nie było już żadnej szansy na ratunek.

— Masz jakiś pomysł odnośnie do tego, co powinniśmy teraz zrobić? — zapytał Dobrowolski, wyrrywając mnie z zamyślenia. — Nie możemy chyba siedzieć z założonymi rękoma?

— Jedyne, czego możemy spróbować, to próba odzyskania małego Bielaka — odparłem. — Wiemy, że jest albo gdzieś w Bliżowie, albo w pobliskiej okolicy.

Pokrótkę streściłem księdzu historię nieprzyjemnego spotkania z Michałem Bisem na jego podwórku (dopiero w trakcie snucia opowieści przypomniałem sobie imię, jakiego wobec najstarszego z braci użył Witko). Zaznaczyłem też, że

w miarę możliwości powinienem działać ostrożnie i unikać wpadnięcia w ręce Maciejewskiego, dla którego po złamaniu wcześniejszych ustaleń oraz ucieczce wraz z Teresą i Janką z domu Adamowiczów z pewnością stałem się zupełnie niewiarygodny, a może i nawet w pewien sposób podejrzany w całej tej sprawie.

Drzwi do kościoła znów się otworzyły. Obejrzałem się, przypuszczając, że ponownie ujrzę w nich Jankę, ale do wnętrza wchodziły właśnie dwie leciwe niewiasty i jeden poruszający się o kulach starszy mężczyzna.

— Codziennie o siódmej mamy tutaj mszę, więc podopieczni mojego ośrodka zaczynają już się schodzić — rzekł ksiądz. — Słuchaj, chłopcze, chciałbym z tobą pojechać do Bliżowa. Może widok starego duchownego może przekonać nawet kogoś tak niegodziwego, jak ten mężczyzna, z którym się wczoraj starłeś? Chyba nie zaszkodzi spróbować? Zadzwońbym do zaprzyjaźnionego księdza z sąsiedniej parafii, który czasem mnie zastępuje. Na pewno i dziś nie miałby nic przeciwko temu...

— Proszę księdza, wydaje mi się, że msza w intencji powodzenia naszych działań może nam bardziej pomóc, więc wstrzymajmy się z wyjazdem do Bliżowa. Tymczasem wziąłbym ze sobą Jaśka Grełę i podjechalibyśmy razem do Krasnobrodu. Sądzę, że w ciągu godziny powinniśmy obrócić tam i z powrotem. Przy okazji kupilibyśmy w Łabuniach „Dziennik Lubelski”, żeby sprawdzić, czy zdążyli z publikacją.

— A możesz mi powiedzieć, w jakim celu chcesz się wybrać do Krasnobrodu?

— Intryguje mnie postać tego młodego duchownego, którego tam spotkałem. Kiedy w środę znalazłem pośród darów wotywnych różaniec należący niegdyś do Pauliny Podolak, rozmawialiśmy przez chwilę. Mówił, że spotkał się z Adamem...

— Tak, rzeczywiście. Twój przyjaciel wspomniał o tej rozmowie w zapisanych przez ciebie notatkach.

— Właśnie. Po pierwsze, chciałbym z nim porozmawiać dlatego, bo sam zasugerował, że jeśli potrzebowalibyśmy rozmowy lub pomocy, to abym się nie krępował i zgłosił się do niego.

— Skoro uważasz, że to coś może dać...

— Nie jestem pewien, ale myślę, że nie zaszkodzi spróbować. Tym bardziej że... — Przerwałem na moment, starając się upewnić, czy pamięć nie płata mi jakiegoś figla.

— Że...?

— Podczas naszego pierwszego spotkania w kościele, a później, gdy pomógł mi odnaleźć portfel na stacji paliw w Adamowie... za każdym razem zwracał się do mnie po imieniu. Notatki nie pozostawiają wątpliwości — zamienił z Nawrotem ledwie kilka zdań, a Adam w notatkach szczegółowo opisuje to, co wtedy powiedział. I wszystko wskazuje na to, że ani razu nie padło wtedy moje imię. Ba, oni w ogóle o mnie nie rozmawiali, więc skąd ten ksiądz tyle o mnie

wiedział?

Dobrowolski zadumał się na parę sekund, a potem wstał i powiedział:

— Jedź więc, chłopcze, do niego czym prędzej. Weź Jaśka, i niech was Bóg ma w swojej opiece. O to również będę się modlił podczas mszy. A potem wracajcie i razem wybierzemy się na spotkanie z Bisem.

\*

Wyszliśmy razem na zewnątrz i skierowaliśmy się w stronę dworku, ponieważ ksiądz chciał jeszcze przed mszą przebrać się w liturgiczne szaty.

Na jednej ze stojących na dziedzińcu ławek siedziała Janka. Była blada i miała oczy mokre od łez. Zastanawiałem się, ile jeszcze ciosów jest w stanie znieść ta kobieta, mając nadzieję, że nie będą one nękać jej w nieskończoność. Drżała od porannego chłodu, więc zdjąłem kurtkę i zarzuciłem na jej ramiona. Odpowiedziała słabym uśmiechem.

— Moja droga, chodź do środka — powiedział do niej Dobrowolski. — Wiem, że to, co cię spotkało, jest okropne, ale chyba nikt z nas nie chciałby, żebyś się dodatkowo przeziębila. Wszyscy musimy być teraz zdrowi i przygotowani na wiele.

Dopiero teraz Janka zwróciła uwagę na wiszący na szyi księdza, niepotrzebny już płócienny temblak. Ksiądz zauważył zdziwione spojrzenie i czym prędzej go zdjął, składając go w małe zawiniątko.

— Jak widzisz, ja już jestem całkiem zdrow. Witek ci zaraz powie dlaczego, ale na razie schowajmy się w dworku i wypijmy chociaż po parę łyków gorącej herbaty.

### 3.

Było kilka minut po siódmej, gdy ruszyliśmy z Jaśkiem w stronę kościoła, przy którym wciąż zaparkowany był ford Adamowiczów.

Słońce już zdążyło wzejść i świat w jego promieniach wyglądał o wiele lepiej, bardziej optymistycznie. Być może pozytywne postrzeganie przeze mnie naszych ewentualnych szans wynikało z kontrastu pomiędzy pogodnym, wypełnionym ptasimi trelami otoczeniem a beznadzieją Starzyzny, w której tkwiłem jeszcze tydzień temu. Pełne nadziei oczekiwanie na to, co przyniosą najbliższe godziny, umocnił jeszcze fakt, że przy drodze zauważyłem bordowego passata, identycznego jak ten należący do Stanisławskiego. Nie pamiętałem numerów rejestracyjnych tamtego auta, ale kiedy podeszliśmy bliżej, w środku zauważyłem znajomą kamizelkę w kolorze khaki i kilka folderów reklamujących gospodarstwo agroturystyczne w Guciowie. Nie miałem pojęcia, w jakim celu Janek się tu pojawił ani w jaki sposób dowiedział się, gdzie można mnie znaleźć.

Niestety, w środku nie było nikogo.

Natychmiast po dotarciu do fiesty wyjąłem z torby komórkę, którą dostałem od Stanisławskiego, i wybrałem połączenie z jego numerem. Tak jak w przypadku kilku ostatnich wczorajszych prób, za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka. Nic mi nie było wiadomo, aby Janek szukał mnie w dworku, więc pomyślałem, że może jest w kościele. Zajrzałem tam, ale nie rozpoznałem go pośród kilkunastu uczestniczących we mszy osób.

Przypomniałem sobie, że poprzedniego wieczoru — w związku z emocjami, jakie towarzyszyły spotkaniu spokrewnionych ze sobą kobiet — zupełnie wyleciało mi z głowy, że powinienem zabrać strzelbę z zakrystii. Zostawiłem ją w kącie, opartą o ścianę i zawiniętą w koc. Teraz pozostawało jedynie mieć nadzieję, że nikt przed naszym powrotem się na nią nie natknie.

Rafał został razem z mamą i Paulinką w dworku. Przez moment nawet wahałem się, czy nie powinien pojechać z nami, ale ostatecznie stwierdziłem, że skoro wybieramy się do jego rodzinnej miejscowości, lepiej będzie, jeśli nie będziemy ryzykować niepotrzebnego i być może niosącego za sobą ryzyko trudnych do przewidzenia komplikacji spotkania z kimś z jego znajomych. Na wszelki wypadek Gielmuda zapisał mi na karteczce numer swojej komórki, żebym w razie potrzeby mógł się z nim skontaktować.

Wsiedliśmy zatem z Jaśkiem do auta, a ja położyłem komórkę w bocznej kieszeni drzwi, razem z różańcem, który lekko mnie uwierał w przedniej kieszeni spodni. Już wcześniej, kiedy próbowałem połączyć się ze Stanisławskim, zauważyłem, że Grela przypatruje się z uwagą małemu telefonowi. Teraz też robił to aż do momentu, gdy zniknął z zasięgu jego wzroku, a potem rzekł:

— Za cholereę pojąć tego nie mogę. Samachody, gadające pudło w świetlicy, światło nawet w nocy na ulicach — to wszystko we łbie jakoś tam mi się mieści, ale to? — Pokręcił brodatą, siwiejącą głową. — Tego pojąć nie idzie. Musi to być jakaś diabelska sztuczka.

— Oj, Jasiek. Diabelskich sztuczek to ostatnio mieliśmy okazję doświadczyć wielu, a ty o telefonie. Dałbyś spokój.

Wzruszył tylko ramionami, jakby dając do zrozumienia, że nie będzie dyskutował o rzeczy, która jest dla niego zupełnie oczywista.

— Znalazł się filozof — skwitował całą wymianę zdań. — Jedziem, bo noc nas tu zastanie.

Uruchomiłem silnik, zapiąłem pas i powiedziałem mu, żeby zrobił to samo.

— Toż przecież zapięty — odfuknął, odruchowo sięgając dłonią do spodni.

Kiedy wytoczyliśmy się na drogę, jeszcze raz spojrzałem w stronę bordowego passata. Wciąż nikogo przy nim nie było.

\*

Zatrzymałem samochód przy ruchliwej drodze, prowadzącej z Warszawy do przejścia granicznego w Hrebennem, a później zabrałem z auta portfel

i poprosiłem Jaśka, żeby chwilę na mnie poczekał.

— A gdzie niby miałbym pójść? — zapytał. — Jeżdżą jak zwariowane, że aż strach wyłączyć.

Sklep opisany był jako spożywczo-przemysłowy, ale wyglądał na dość spory, więc miałem nadzieję, że znajdę w nim również prasę. I faktycznie — zaraz za drzwiami powitał mnie spory stojak z co bardziej popularnymi pismami, a świeża dostawa „Dziennika Lubelskiego” piętrzyła się na honorowym miejscu.

Zapłaciłem za gazetę i wyszedłem na zewnątrz. Zanim ją otworzyłem, poczułem nieprzyjemne ukłucie niepokoju. Doskonale wiedziałem, jak wygląda sytuacja w redakcjach, zawsze może wydarzyć się coś, co uniemożliwi publikację w terminie — od problemów technicznych poczynając, a na upierdliwym redaktorze kończąc. Przekartkowałem pobieżnie pierwsze strony sobotniego wydania „Dziennika” i w dziale „Ciekawostki z regionu” odnalazłem to, czego szukałem. Artykuł zajmował połowę ósmej strony, a zatytułowany był: „Starzyzna w cieniu klątwy zatajenia?”. Przebiegłem wzrokiem tekst i uznałem, że znajduje się w nim wszystko, co najważniejsze, a bratanek księdza Dobrowolskiego wykonał kawał naprawdę dobrej roboty.

Gdy podniosłem wzrok znad gazety i rozejrzałem się po zalanej słońcem ruchliwej miejscowości, pomyślałem, że nikt z mijających mnie przechodniów ani spieszących do swoich celów kierowców w życiu by nie pomyślał, jaka burza emocji wrze w głowie zaczytanego w artykule mężczyzny. Nie wiedziałem jeszcze, czy publikacja cokolwiek da — to mogło okazać się dopiero za jakiś czas, ale serce waliło mi z nerwów tak mocno, że czułem pulsowanie krwi w skroniach i opuszkach lekko drżących palców. Dla nich wszystkich (wyłączając siedzącego w aucie i z niecierpliwością spoglądającego w moją stronę Jaśka Greli) to był zwykły sobotni poranek, a sobotnie wydanie „Dziennika” nie różniło się niczym od dziesiątków wcześniejszych. Dla mnie, Jaśka, Paulinki, Rafała i innych mogła to być przepustka do normalnego życia.

— O ile Czarny i jego armia nie zamienią tego świata w piekło — mruknąłem. — A wtedy życie was wszystkich również zmieni się nie do poznania...

Jakaś kobieta w średnim wieku zatrzymała się obok mnie. Na jej twarzy, w połowie zasłoniętej dużymi przeciwsłonecznymi okularami, malował się sympatyczny uśmiech.

— Do Poznania to najlepiej przez Warszawę. — Wskazała ręką wzdłuż drogi, mniej więcej na północ. — O, w tamtą stronę.

— Bardzo pani dziękuję — odparłem, odwzajemniając uśmiech. — Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś uda mi się tam dotrzeć i spróbować wreszcie tych rogalików świętomarcińskich.

Zdaje się, że moja odpowiedź ją zaskoczyła do tego stopnia, że aż postanowiła mi się lepiej przyjrzeć, więc zsunęła na nos okulary i lekko pochyliła głowę. Patrzyła na mnie przyjaźnie, jakby z lekkim rozbawieniem.



Jej oczy nie miały źrenic.

\*

Nie wiem, ile czasu patrzyłem, jak odchodzi w kierunku, który przed chwilą wskazywała ramieniem. Chyba dość długo, bo zdążyła oddalić się o spory kawałek, a do moich uszu, jakby z bardzo daleka, docierało kilkakrotnie powtarzane imię „Witek”. Drgnąłem i odwróciłem głowę w stronę fiesty, przy której stał żywo machający do mnie Grela.

— Witek! Jedziem czy nie jedziem? Długo będziesz tak tam sterczał?

Czułem się tak, jakby ktoś na moje barki nagle zrzucił ciężar, którego nie będę potrafił unieść, ale krok po kroku, powoli jakoś udało mi się doczłapać do auta.

Jasiek zrzędził, ale kiedy stanąłem przy samochodzie, urwał tak nagle, jakby w ułamku sekundy odjęło mu język. Zaraz potem odezwał się o wiele ciszej:

— Coś taki blady? Nie wydrukowali?

— Wydrukowali.

— To czemu wyglądasz tak, jakbyś właśnie samego Lucyfera zobaczył?

— Ja już tego wszystkiego nie ogarniam, Jasiek — powiedziałem, wsiadając do auta.

Grela zrobił to samo, ale w środku wciąż uważnie mi się przyglądał.

— Kurwa mać, nie ogarniam tego, rozumiesz? — powtórzyłem.

— Ale co się stało?! Powiedźże wreszcie, człowieku!

Westchnąłem ciężko.

— Albo ja zwariowałem, albo ta miła pani, która przed chwilą ze mną rozmawiała, jest też jedną z Nich.

— Ślepia miała białe? To dawaj, jedziem za nią! Na co czekamy?

— Nie jedziem za nią, Jasiek.

Patrzył zdezorientowany to na mnie, to w kierunku, w którym oddaliła się nieznajoma.

— Jak nie jedziem? Dlaczego?!

— Najprawdopodobniej natknąłem się na nią zupełnie przypadkiem. A skoro tak, to co z tego, że ją dopadniemy. Wszystko wskazuje na to, że być może nie tylko Starzyzna była objęta taką samą, a może podobną klątwą. Jak atakuje cię rój dzikich pszczoł, to zabicie jednej niczego nie zmieni, rozumiesz? Ich mogą być setki, może tysiące.

— Kurwa mać — sapnął. — W takim razie to i ja tego nie ogarniam. To co trza nam teraz robić?

— A co robisz, jak zaatakuje cię rój dzikich pszczoł?

Zastanowił się przez moment.

— Dawno mnie pszczoły nie atakowali... No ale co... Chyba brać nogi za pas trza by było, no nie? No bo co innego?

— Raczej tak. Warto też mieć coś odstrasającego. — Sięgnąłem do bocznej kieszeni drzwi po różaniec. — Ty masz?

W odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

— W takim razie trzymaj.

— A ty?

— Jedziemy do Krasnobrodu, do kościoła, w którym takich rzeczy jest więcej. Pożyczymy kilka. Dla mnie i dla tych, którzy nic takiego nie mają. Józek, Albin, Krystyna. Na wszelki wypadek weźmiemy więcej. Przy krasnobrodzkim ołtarzu wisi wiele poświęconych darów wotywnych.

— Ale to będzie świętokradztwo — zaprotestował, ale bez wielkiego przekonania.

— Jak przez drogę wymyślisz coś lepszego, to natychmiast daj znać — odparłem, przekręcając kluczyk w stacyjce.

#### 4.

Wszystko wskazywało na to, że msza w krasnobrodzkim sanktuarium również zaczęła się o siódmej, ponieważ akurat jak zajechaliśmy na położony przy klasztorze parking, ludzie zaczęli wysypywać się z kościoła. Nie były to tłumy, raczej liczące po kilka osób grupki, ale nawet taka obecność innych ludzi kontrastowała nieco z zapamiętanym obrazem tego miejsca, postrzeganego przeze mnie dotąd jako zaciszne. Dotarło też do mnie, że zupełnie nie mam planu na znalezienie znajomego księdza. Najwidoczniej podświadomie ubzdurałem sobie, że przyjadę, wejdę do kościoła, a on już będzie tam na mnie czekał.

Jakby tego było mało, wyglądało na to, że za chwilę, czyli o ósmej, ma się rozpocząć kolejna msza, ponieważ do kościoła zmierzali kolejni wierni.

— No to z podprowadzenia darów wotywnych nici — powiedziałem bardziej do siebie niż do Jaśka.

Znów kazałem mu poczekać w samochodzie, zostawiając mu różaniec, żeby był bezpieczny, i gazetę do poprzeglądania, żeby się nie nudził.

Sam, zanim wysiadłem z auta, pobieżnie oszacowałem odległość, jaka dzieliła mnie od wejścia do kościoła, a potem rozejrzałem się i widząc, że musiałbym się zbliżyć do kilkunastu osób, postanowiłem poczekać do ósmej, kiedy przed sanktuarium zrobi się całkiem pusto. To nic, że zmierzali na mszę, wolałem po prostu mieć stuprocentową pewność. Najwyraźniej po spotkaniu z nieznaną kobietą w Łabuniach zaczęły występować u mnie objawy swego rodzaju paranoi. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale i tak czekałem, aż większa wskazówka na moim timexie minęła godzinę dwunastą, a dopiero potem udałem się na przyklasztorny dziedziniec.

W połowie drogi pomiędzy murowaną bramą a wejściem do kościoła przystanąłem i pomyślałem, że skoro ten młody ksiądz sam w środę powiedział

mi, że wiem, gdzie go szukać, w razie gdybym potrzebował pomocy albo chciał porozmawiać, to stwierdziłem, że najlepiej będzie, jak na niego najzwyczajniej w świecie poczekam. Uznałem, że jeśli dysponuje wiedzą, której nie posiadają zwykli śmiertelnicy (a odgadnięcie mojego imienia mogło być tego dowodem), to będzie wiedział o mojej obecności. A jeżeli nie? To przynajmniej obaj nie stracimy zbyt wiele naszego cennego czasu.

Po prawej zauważyłem coś interesującego. Chociaż murowany słupek zwieńczony był kamienną kulą i stojącym na niej niewielkim metalowym krzyżem, to trudno byłoby całą tę przedziwną instalację nazwać kapliczką. Bardziej przypominała coś w rodzaju kolumny lub obelisku. Zaintrygowany podszedłem bliżej i na pierwszej, położonej wyżej płaszczyźnie odczytałem brzmiący mniej więcej w ten sposób napis: „D.O.M. Tu Jakub Ruszczik opentani lat 24 usłiszał głos panieski postaw tu figure dla chwały sina mego a na znak tego jesteś uzdrowioni ten cud stał się około roku 1646”. Na położonym niżej, szerszym cokole widniało: „Tu jasności niebieskie, tu procesje angelskie, widziane tu śpiewania, o nich zesłizsane byli. Wieczna pamiątka tego i jaśnie wielmożna pani Rozalia Dzieduszycka te wistawiła kolumnę, za którą kto czitasz zmów Zdrowaś Maria”.

— I co, nie zdecyduje się Pan na zmówienie „Zdrowaś Mario” za jaśnie wielmożną panią Dzieduszycką?

Odwróciłem się.

— Może później — odparłem. — A więc jednak miałem rację, żeby tu po prostu na księdza poczekać. Zawsze się ksiądz zjawia tak cicho jak duch?

Znów miałem okazję zobaczyć ten jego charakterystyczny uśmiech i rozbawienie w ciemnobrązowych oczach.

— Różnie to bywa, panie Witku.

— Czy dobrze zrozumiałem, że ten słupek został tu postawiony w związku z uzdrowieniem od opętania niejakiego... — Odwróciłem się w stronę napisu. — ...niejakiego Jakuba Ruszczika tuż przed połową siedemnastego wieku?

— Sądzę, że jest to bardzo prawdopodobne — odpowiedział, nieco poważniejąc.

— Czyli ludzie od zawsze byli, są i zawsze będą opętywani przez złe moce, proszę księdza?

— Podejrzewam, że ma pan zupełną rację. Przejdźmy się może kawałek.

— Ręką wskazał na zadrzewiony teren leżący w obrębie otoczonego murem przyklasztornego placu. — Tutaj możemy komuś przeszkadzać w modlitwie.

Przyjrzałem mu się uważnie.

— Nie umie ksiądz zbyt dobrze oszukiwać. Chodzi o to, żeby nikt nas nie usłyszał, prawda?

— Chodzi o to, że nie ma potrzeby niepokoić ludzi, którzy po prostu w przeddzień święta Miłosierdzia Bożego przyszli w sobotni poranek do kościoła, żeby się pomodlić.

— Aczkolwiek określenie „niepokoić” można rozumieć przynajmniej na dwa

różne sposoby — po pierwsze, jako zwyczajne przeszkadzanie, a po drugie, jako wzbudzanie lęku.

— Podczas mszy świętej ani jedno, ani drugie nie jest wskazane — odparł wymijająco.

Ruszyliśmy powoli, idąc ramię w ramię. Drzewa, pomiędzy którymi się znaleźliśmy, zaczęły już przywdziewać jasnozielone wiosenne barwy.

— Cóż więc pana do mnie sprowadza? — zapytał ksiądz. — Jak rozumiem, nie przyjechał pan tylko po to, aby pooglądać zabytkową kolumnę?

— Nie. I nie przyjechałem też po to, aby dowiedzieć się, skąd ksiądz zna moje imię. Powiem wprost — mam wrażenie, że jest ksiądz osobą, która zdaje sobie sprawę z tego, co się tu w okolicy właśnie dzieje. Chodzi mi głównie o takie miejscowości jak Guciów, Bliżów i Starzyzna. Czy mam rację?

Przystanął. Ja również się zatrzymałem i uważnie przypatrywałem się jego twarzy. Widać było, że bardzo intensywnie zastanawia się nad odpowiedzią, aż wreszcie się odezwał:

— To bardzo proste pytanie, ale nie bardzo wiem, co mogę panu odpowiedzieć.

— Na tego typu pytania odpowiada się zazwyczaj „tak” lub „nie”. Nie bardzo rozumiem, w czym tkwi problem...

Pokręcił głową.

— Chciałbym, żeby mnie pan, panie Witku, dobrze zrozumiał. Nie chodzi o to, że chcę przed panem coś zataić. Chodzi o to, że po prostu nie mogę udzielać pewnych informacji.

— Dlaczego?

— Powiedzmy, że obowiązuje mnie swego rodzaju nakaz dyskrecji. Coś w rodzaju tajemnicy spowiedzi.

— Mój przyjaciel, którego miał ksiądz okazję poznać tydzień temu, jest w bardzo trudnym położeniu i zupełnie nie interesują mnie jakieś nakazy dyskrecji, więc jeśli tylko jest ksiądz w posiadaniu jakichś informacji, które mogłyby mi umożliwić pomoc Adamowi, to bardzo bym prosił o ich przekazanie.

Starłem się mówić spokojnie, ale nie było to łatwe. Widziałem w jego oczach, że gdyby tylko zechciał, mógłby powiedzieć mi coś naprawdę istotnego, ale z jakichś irracjonalnych przyczyn wolał (lub był zobowiązany) zachować milczenie.

— Widzę, że jest pan wzburzony i jak najbardziej to rozumiem, ale proszę zrozumieć też mnie. — Uśmiechnął się, jakby przepraszająco. — Tak już jest ten świat skonstruowany, że nie można na zawołanie zlikwidować całego zła, które na nim występuje. Chociaż nie, wyraziłem się nie do końca precyzyjnie. Można by było, tylko wtedy to wszystko nie miało by sensu.

— A więc zło jest sensem istnienia świata?

— Nie samo zło jako takie, a ludzka umiejętność radzenia sobie z nim. Tak potoczyły się losy, że miał pan możliwość (choć niewykluczone, iż nie jest pan

tym zachwycony) przekonać się o istnieniu innego świata. Zetknął się pan ze złem ucieleśnionym, miał pan okazję widzieć ludzi nie do końca umarłych. Gdyby nie mejl, który przyszedł na pańską skrzynkę ponad dwa lata temu, to o istnieniu życia po życiu wiedziałby pan dokładnie tyle samo, co przeważająca większość ludzi na tej planecie. Mam rację?

Skinąłem głową.

— Czy nie będzie się panu teraz trochę łatwiej żyło ze świadomością, że kiedyś jeszcze spotka się pan ze swoim synem?

— Ma ksiądz rację, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, jaki ma to związek z Adamem.

— Adam jest poddawany bardzo trudnej próbie. Jego dalsze losy zależą od decyzji, jakie podejmie. Przecież to oczywiste.

— Ale on się tam znalazł przeze mnie! — podniosłem głos. — Czy ksiądz naprawdę nie rozumie tego, że chciałbym naprawić swój błąd?!

— A skąd pan może wiedzieć, czy ten błąd nie okaże się zbawienny w swoich skutkach? Kto wie, czy jeśli Adam nie znalazłby się w Starzyźnie, to w ostatecznym rozrachunku nie byłoby to bardziej niekorzystne dla niego, dla pana, a może i dla wielu innych ludzi... Tego nie wiemy ani ja, ani pan. To się już stało i nie da się zawrócić czasu. Owszem, można go zatrzymać, tak stało się w Starzyźnie, ale nie da się go cofnąć.

— To znaczy chyba by się dało, tylko wtedy to wszystko nie miałoby sensu? — Prawie dokładnie powtórzyłem jedno z powtórzonych przez niego wcześniej zdań.

Uśmiechnął się.

— Ma pan rację. Widzę, że doskonale uchwycił pan sedno tego, co powiedziałem przed chwilą.

— Nie wiem, może i tak, ale chciałbym wiedzieć jedno — wiele złych rzeczy się tutaj wydarzyło, a Czarny ze swoimi poplecznikami mają nad nami ogromną przewagę. Potrafi czytać w myślach, może przeobrażać się, w kogo tylko chce, pozornie wskrzeszać umarłych, szerokim gestem rozdawać dobra materialne. A teraz weźmy dla porównania mnie. Kaleki facet, po pięćdziesiątce, ale wyglądający o wiele starzej, który tylko ściąga zagrożenie na innych. Takie są moje atuty w starciu ze złem wcielonym. Mógłbym więc chyba liczyć na jakąś pomoc?

— Mógłby pan, ale tak naprawdę nie jest ona potrzebna ani panu, ani nikomu innemu. Wszystko, cała największa siła leży tutaj. — Mówiąc to, wskazał palcem na moje czoło. — Dzięki rozumowi doszedł pan już naprawdę bardzo daleko. Zna pan mocne strony przeciwnika, ale też i ma własne atuty.

— Na przykład?

— Na przykład świadomość, że są przedmioty, które mogą chronić pańskie myśli, że są ludzie, którym może pan zaufać. Przyjechał pan tutaj, żeby ze mną

porozmawiać, i nie potrzebował nikogo, kto popchnąłby pana do takiej decyzji. Sam pan do tego doszedł i tok rozumowania był słuszny. Wydaje mi się też, że Czarny (choć tego nie mogę być pewien na sto procent) nie potrafiłby przedstawić panu wizji, która pozwoliłaby mu przeciągnąć pana na swoją stronę...

Zastanowiłem się przez moment, a ksiądz w tej samej chwili się uśmiechnął i powiedział:

— Krzysia nic już nie może wskrzesić, a inne argumenty są dla pana za słabe, prawda?

Przytaknąłem.

— Chce pan żyć w ten sposób, aby Krzyś był z pana dumny, więc wystarczy po prostu nie poddawać się mocy Czarnego. Przecież to takie proste.

— Łatwiej mi, kiedy zdaję sobie sprawę z rzeczy, o których nie wiedziałbym, gdybym nie przyjechał na Roztocze. Ale co z innymi? Czy nie można byłoby ich również jakoś uświadomić? Przecież skoro ja posiadam tę wiedzę i będzie mi teraz łatwiej, to może z innymi byłoby podobnie.

Zamyślił się na moment, a potem przecząco pokręcił głową.

— Być może tak musiało być, niewykluczone, że bez pańskiej obecności tutaj zło ostatecznie odniosłoby triumf. Tego nie wiem. Naprawdę. Wiem natomiast, że dar pewności co do istnienia innego świata jest dany tylko nielicznym i jedynie w wyjątkowych przypadkach.

— A czy nie byłoby prościej, gdyby tę wiedzę poznali wszyscy?

— Gdyby można przeprowadzić dowód na istnienie Boga, to wiara w niego przestałaby być jakąkolwiek wartością — odparł z uśmiechem. — Dlatego nikt nigdy jednoznacznie nie dostarczy takiego dowodu. Dziwię się trochę ateistom, że tego nie rozumieją.

— Czyli jesteśmy skazani sami na siebie i to, co mamy w głowach?

— Przeważnie tak, chociaż czasem zdarza się, że udzielamy pewnej pomocy.

— „My”?

Zignorował moje pytanie.

— Ale nigdy w ten sposób, by zaprzeczyć istnieniu wolnego wyboru.

— A jak jest z... nie wiem, jak to określić... z ucieleśnieniem zła? Z diabłem, szatanem czy jakkolwiek inaczej by go nie nazwać...

— Można go też nazwać Czarnym. Wie pan chyba, że niegdyś właśnie w ten sposób potocznie określano diabła?

— Nie, tego nie wiedziałem. A więc dlatego tak sam siebie nazwał po wcieleniu w doczesne szczątki Bobowicza?

— Zapewne. Z nim jest zupełnie inaczej, ponieważ Bóg chciałby, żeby ludzie w niego wierzyli, natomiast dla Czarnego nie ma większej satysfakcji od świadomości, że ludzie nie dopuszczają możliwości jego istnienia. Wtedy właśnie triumfuje. Gdyby ktoś przeprowadził dowód potwierdzający funkcjonowanie

ucieleśnionego zła, to szatan byłby skończony, ponieważ wszyscy zaczęliby się bać. A tak? Kiedy powszechnie uważa się — zwłaszcza w dwudziestym pierwszym wieku — że istnienie diabła to jakieś bajki dla niegrzecznych dorosłych, to... hulaj dusza, piekła nie ma! No i dusze hulają, a Czarny tylko zaciera łapy.

— Po cóż więc ryzykował pojawienie się na Roztoczu?

— Może zwietrzył swoją szansę? Wiele czynników mu sprzyjało. Czasem jest tak, że pozornie zupełnie nieistotne szczegóły mogą mu bardzo pomagać. Tak też było w tym przypadku. Dom Bisów stoi w miejscu, w którym nigdy nic nie powinno zostać wybudowane. Miejscowi wiedzą o tym, że nie należy niczego stawiać na dawnym miejscu pochówku, a Mikołaj Bis — dziadek trzech braci z Bliżowa — miał te ostrzeżenia za nic. Pochodził z drobnej szlachty, przeprowadził się tu z Kresów Wschodnich w okresie międzywojennym i stwierdził, że nikt i nic nie będzie ponad prawem, które on sam ustanowi, więc założył przysiółek na dwóch wczesnośredniowiecznych kurhanach, rozkopując je i szukając jakichś skarbów. Znalazł tylko nieszczęście, bo niedługo później sam spoczął w mogile na cmentarzu w Kosobudach, strawiony przez jakiś tajemniczy wirus, na który nie było lekarstwa.

— Czy mi się wydaje, czy na wschodzie słowo „bis” oznacza to samo, co u nas „bies”?

— Nie, nie wydaje się panu. Ojciec braci Bisów, Marian — jak widać, imiona wszystkich mężczyzn w tym rodzie zaczynały się tą samą literą (ot, taki drobnoszlachecki przerost formy nad treścią) — też szczęścia nie zaznał. Samotnie musiał wychowywać trzech synów rzezimieszków. A jak pan chyba doskonale wie, oni nie uznawali i nie uznają żadnej świętości.

Potwierdziłem, przypominając sobie historię włamania do domu Adamowiczów.

— A jeśli chodzi o samego Bogdana, to kto wie, czy nie ominęłyby go te wszystkie nieszczęścia, gdyby nie pewien szczegół... — Ksiądz zawiesił głos.

— Wie pan jaki?

— Nie mam pojęcia.

— On poniekąd na własne życzenie wystawił się na strzał. Kiedy nazywasz swoje zwierzę Szatanem, to zło od razu ma na ciebie oko, a później tylko czeka na odpowiedni moment. Bogdan miał takiego czarnego jak smoła byczka, któremu (na propozycję swojego bratanka Piotrka) takie właśnie dał imię.

Roześmiałem się.

— Niechże ksiądz nie żartuje. Taka drobnostka może mieć aż takie konsekwencje?

— Wszystko może mieć daleko idące konsekwencje. Jak się rusza do poloneza, to zawsze trzeba mieć świadomość, z kim się idzie w parze, panie Witku. I trzeba też uważać na to, czy się przypadkiem nie za bardzo hula, zapominając o tym, czego ponoć — jak twierdzi wielu oświeconych — nie ma.

\*

Zauważyłem, że przez murowaną bramę przeszedł Jasiek Grela. W ręce trzymał gazetę. Najwidoczniej miał zamiar od razu wejść do kościoła, ale machnąłem do niego. Zauważył nas i szybkim krokiem ruszył w naszą stronę.

— Proszę księdza, mam jeszcze jedno pytanie.

— Proszę pytać, ale mam wrażenie, że już i tak usłyszał pan ode mnie więcej, niż powinienem powiedzieć.

— Chodzi o kobietę, którą spotkałem w Łabuniach. Nie miała źrenic. Czy można ją w jakikolwiek sposób powiązać ze sprawą Starzyzny?

Jasiek przebył już połowę drogi.

— Nie, panie Witku. Musi się pan z tym pogodzić, że mając zdolności, które nabył pan w Starzyźnie, tego typu osoby będzie pan od czasu do czasu widywał. Starzyzna nie była jedyną miejscowością, w której wydarzyło się coś bardzo złego.

— Czyli cała nadzieja w różańcach, medalikach i krucyfikach, które powinniśmy nosić cały czas przy sobie?

— Cała nadzieja przede wszystkim jest tutaj. — Dotknął swojej skroni. — Ale przedmioty ochronne na pewno nie zaszkodzą.

— No właśnie. Zamierzałem podwędzić ich trochę z kościoła, ale teraz, w czasie mszy...

Zasapany Grela stanął obok nas. W jego oczach widziałem niepokój.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowił duchownego i, nie czekając na jego zwyczajową odpowiedź, zwrócił się do mnie: — Witek, zobacz tu. Chyba żeś wcześniej tego nie zauważył?

— Na chwilę was zostawię — powiedział ksiądz. — Coś przygotowałem, spodziewając się tej wizyty. Będzie jak znalazł, zamiast skradzionych darów wotywnych.

Gdy zostaliśmy sami z Jaśkiem, zajrzałem do gazety. Na jedenastej stronie zobaczyłem zdjęcie znajomej kobiety. Przez moment starałem się ją skojarzyć, bo była ubrana na czarno, nie tak, jak ją zapamiętałem. Z ciemną tonacją ubioru kontrastowały jasne, prawie fosforyzujące ślepe oczy.

— Weronika z hotelu w Łęcznej — wyszeptałem, a potem wziąłem od Jaśka gazetę i szybko przeczytałem wydrukowany obok zdjęcia artykuł.

Okazało się, że jakiś redaktorzyzna uznał za świetny temat do gazety fakt, że narzeczony kobiety ze zdjęcia, niejaki Maciej W., nie bacząc na to, iż jest ona w ciąży i mając za nic wyznaczoną datę ich ślubu, zaplanowanego na sobotę drugiego czerwca, postanowił z własnej woli opuścić ziemski padół i będącą w potrzebie narzeczoną. Samobójstwo było drobiazgowo opisane. Doszło do niego w remontowanym właśnie mieszkaniu, a desperat powiesił się na pasku, odkopując spod nóg kołyskę, którą niedługo przedtem okazyjnie nabył dla „szykującego się do przyjścia na świat maluszka”.



— No i co teraz? — spytał Grela. — To chyba ta dziewczyna, co ci ten list od Czarnego dała w Łęcznej, co nie?

Poczta pantoflowa działała idealnie. Wczoraj opowiedziałem Rafałowi ze szczegółami o mojej i Janki wizycie w Łęcznej, a on pewnie w trakcie wyprawy do Zamościa i Bliżowa z Dobrowolskim i Jaśkiem wszystko im dokładnie przekazał.

— Tak, Jasiek, to Weronika. Pewnie Czarny nakłonił ją do zwerbowania kolejnej duszy do swojego zastępu. To się rozprzestrzenia jak jakaś zaraza.

— Może trza byłoby do tej Łęcznej...?

— Nie sądzę. Zbyt wielu ich jest, wszystkich i tak nie znajdziemy. Dowiedzieliśmy się o narzeczoną Weroniki przez przypadek. Zastanów się, ile może być podobnych zdarzeń, o których nie napisali w gazecie...

Pokiwał głową.

— Czarnego by trza było dopaść, może to by co pomogło...

— Właśnie o tym muszę porozmawiać z tym księdzem. Gdzie on się, u licha, podział?

Podążyliśmy jego śladem, w kierunku drzwi do kościoła.

— Ale jej zdjęcie to mogli jakieś ładniejsze dać — odezwał się Grela. — Z tymi ślepiami to ona wcale ładnie nie wygląda.

— Oj, Jasiek. Przecież to tylko ci, którzy byli w Starzyźnie, widzą, że z jej oczyma jest coś nie w porządku.

— Ano racja. Zapomniał żem o tym na śmierć.

Mijaliśmy właśnie kolumnę, kiedy z kościoła wyłoniła się znajoma sylwetka duchownego.

— Proszę księdza, okazuje się, że jest coraz gorzej — powiedziałem, przejmując od Grela gazetę i wskazując zdjęcie Weroniki. — Czarny zyskuje kolejnych sprzymierzeńców i bez pomocy nie damy sobie z nim rady.

— Oprócz tego, co powiedziałem wcześniej, jedyną pomocą, jaką mogę wam zaoferować, jest ta oto butelka.

Wyjął z kieszeni sutanny małą piersiówkę o najwyżej ćwierćlitrowej pojemności, która była wypełniona przeźroczystym płynem.

— To ma być na odwagę? — zapytałem. — Mnie się więc nie przyda, bo postanowiłem, że nie będę już pił alkoholu. Zresztą ksiądz i tak na pewno o tym wie, więc niepotrzebnie strzępię sobie język.

— Ja mogę wypić twoją działkę — zgłosił się na ochotnika Jasiek.

Ksiądz uśmiechnął się po raz kolejny.

— To nie jest tym, na co wygląda.

— Cóż więc to jest? — Nieufnie wziąłem buteleczkę w dłoń.

— Po drugiej stronie drogi, całkiem niedaleko stąd, jest mała drewniana kapliczka na wodzie. Nazywamy ją Kaplicą Objawień. Raz w roku, w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek gromadzą się przy niej wierni, którzy są

przekonani o tym, że właśnie wtedy, o północy woda, która pod kapliczką bije ze źródeł, nabiera cudownych właściwości.

— A nabiera? — zapytałem bez ogródek.

— Krążą słuchy o niewytłumaczalnych z punktu widzenia medycyny uzdrowieniach. Wszyscy przynoszą wtedy ze sobą naczynia, a ostatnio, nieco ponad tydzień temu, i ja również zabrałem ze sobą buteleczkę, którą właśnie trzyma pan w ręku.

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem... — Zacząłem myśleć na głos. — Skoro geneza powstania sanktuarium wiąże się z uwolnieniem spod władzy złych mocy, to znaczy, że ta woda ma właśnie w tym względzie jakieś specjalne właściwości?

— Generalnie rzecz ujmując, nie większe niż zwykła woda święcona.

— Dlaczego zatem ksiądz uznał, że warto nam sprezentować właśnie tę wodę, a nie zwykłą poświęconą w kościele, jak Bóg przykazał?

— Chodzi o to, że tej wody nie poświęcił człowiek, więc nie istnieją dla niej granice — na przykład pomiędzy światem Starzyzny a naszym. W tamtym świecie też są te same źródła i zaczerpnięta z nich woda również ma niezwykle właściwości. Tak więc, gdyby w jakiś sposób udało się wam dotrzeć do Starzyzny, to tam jedynym wciąż użytecznym z punktu widzenia ochrony przed złem będzie różaniec Pauliny... — Ksiądz spojrział wymownie na Jaśka. — ... który zresztą pan Greła przez nieuwagę zostawił w samochodzie.

— Dlaczego więc działa to w drugą stronę? Czemu różaniec Pauliny tutaj jest skuteczną ochroną przed złem?

— A kto panu tak powiedział? Przecież to tylko pańskie przekonanie, prawda? Jak dotąd nie miał pan na to nawet najmniejszego dowodu, ale przyjął pan to za pewnik.

Stałem, wpatrując się w niego osłupiałym wzrokiem, aż w końcu złość zaczęła brać górę.

— To nie mógł mi ksiądz tego powiedzieć podczas naszego spotkania? — wyrzuciłem z siebie. — W takim razie Czarny zna większość moich myśli?!

— Szczerze mówiąc, jak na razie pańskie działania zbytnio go nie przerażają...

— Przynajmniej robię, co mogę, w przeciwieństwie do co poniektórych. — Spojrzałem na niego znacząco. — A wie ksiądz, że mogło mnie to narazić na...

Powstrzymał moją wypowiedź jednym stanowczym gestem dłoni.

— Panie Witku, nie od tego jesteśmy. Widzimy zło dziejące się codziennie, nawet teraz wiem, że właśnie w tej chwili w nieodległej okolicy odbywa się coś przerażająco okrutnego, ale nie wolno nam w to zbytnio ingerować. Już to zresztą przerabialiśmy wcześniej.

Jasiek stał i z otwartymi ustami obserwował nic nierozumiejącym wzrokiem to mnie, to młodego duchownego. Jego głowa poruszała się jak głowa kibica na meczu tenisowym.

— Mam dwa pytania — odezwałem się po chwili milczenia. — Po pierwsze — kim są ci „my”, do których ksiądz sam siebie zalicza, a po drugie — jak możemy się dostać do Starzyzny?

— Powiedziałem już wszystko, co mogłem, i udzieliłem tak daleko idącej pomocy, jak tylko mi było wolno. A teraz wybaczcie, ale muszę wracać do swoich obowiązków.

— Proszę zatem uważać, żeby przez pomyłkę nie zbawił ksiądz świata — rzuciłem w jego kierunku z przekąsem, ale nawet nie wiem, czy mnie usłyszał, bo chwilę wcześniej skrył się we wnętrzu świątyni. Byłem jednak pewien, że nawet jak nie usłyszał, to i tak wiedział, co powiedziałem. Trudno było to wszystko ogarnąć.

— Jak Boga kocham, nic z tego nie rozumiem — sapnął Grela.

— Ja też niewiele — pocieszyłem go. — Przydałoby się teraz to wszystko jakoś poukładać w głowie. Ale najpierw skropimy tą wodą różaniec. Może akurat mu to nie zaszkodzi.

Nie zaszkodziło, ale też nie było żadnych dowodów na to, że pomogło.

## 5.

Zagadaliśmy się trochę z księdzem, więc gotowi do drogi byliśmy dopiero za dwadzieścia dziewięć.

Umawiałem się z Dobrowolskim, że postaramy się wrócić jak najszybciej i właśnie zamierzałem te ustalenia zrealizować, gdy przypomniałem sobie słowa wypowiedziane przez młodego księdza kilka minut wcześniej. Jego informacja o rozgrywających się w niedalekiej okolicy okrutnych scenach zapadła mi w pamięć na tyle głęboko, iż postanowiłem zadzwonić do Rafała, aby zapytać, czy w dworku wszystko jest w porządku, a jednocześnie ostrzec, aby uważali na siebie jeszcze bardziej. Odebrał od razu.

— Pilnujemy się, nic się nie martwcie. Tylko wracajcie już, bo ksiądz się niecierpliwi. Poczekaj chwilę... — Usłyszałem, że z kimś rozmawia, prawdopodobnie z jakąś kobietą. — Witek, wy jesteście teraz w Krasnobrodzie?

— Tak, właśnie zamierzamy do was jechać.

Znów niewyraźna rozmowa z kimś obok.

— Witku? — Tym razem w słuchawce usłyszałem głos Janki.

— Tak?

— Czy masz może przy sobie klucz od piwnicy mojego domu?

Sprawdziłem zewnętrzną kieszeń kurtki.

— Tak, mam, a dlaczego pytasz?

— Miałabym do ciebie wielką prośbę. W tym wczorajszym pośpiechu

zapomniałem zabrać swoje lekarstwo na serce. Nie byłoby to dla was problemem, gdybyście po nie podjechali? Leży na wiszącej szafce w kuchni, tej samej, na której są książki i zeszyty z przepisami, więc na pewno od razu znajdziesz. To jest lek na receptę i trudno by mi było teraz...

— Janka, oczywiście, to żaden kłopot. Tylko powiedz księdzu Dobrowolskiemu, że będziemy najwcześniej za jakieś pół godziny, może za czterdzieści minut.

— Bardzo ci dziękuję. Takie białe pudełeczko z niebieskim napisem. Zresztą jest tam tylko jedno lekarstwo.

\*

Po znalezieniu opakowania z tabletkami postanowiłem, że do dworku wrócimy przez Bliżów. Droga była tylko nieco dłuższa, ale naiwnie wierzyłem, że najstarszy z Bisów popełni może jakiś błąd, który uda się nam z Jaśkiem zauważyć i wykorzystać. Zastanawiałem się nawet, czy nie powinniśmy go odwiedzić w tej jego ruderze i po prostu brutalnie przycisnąć. Ksiądz księdzem, kazania kazaniem, ale na takiego rzezimieszka być może najskuteczniej mogły oddziaływać zwykłe argumenty siły fizycznej.

Dojeżdżaliśmy właśnie do znanego mi dobrze skrzyżowania, mijając po prawej czerwone punto Adama, gdy w oddali, mniej więcej na wysokości domu Stanisławskiego zauważyłem grupkę kilku mężczyzn. Z tej odległości nie udało mi się nikogo rozpoznać, ale ponieważ wiedziałem, gdzie jeszcze niedawno stał zaparkowany samochód Janka, postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. Zdążyłem już się przyzwyczaić do tego, że takie zbiorowiska w małych wioskach mogą świadczyć o nieprzyjemnych sytuacjach, a wciąż brzmiały mi w uszach słowa młodego księdza. Nie podjechałem jednak do grupki, a zamiast tego skręciłem w drogę na Bliżów i zatrzymałem samochód dopiero po przejechaniu kilkudziesięciu metrów.

— Co jest? — zapytał Grela. — Pewnie znów będę musiał czekać w samochodzie?

— Widziałeś tamtą grupkę? Stali przy domu Janka Stanisławskiego. Pójdę się zorientować, co się stało.

— A czemu żeśmy tam do nich nie podjechali?

— Któryś na pewno zorientowałby się, że to auto Adamowiczów, i mogłyby się pojawić kłopotliwe pytania.

Zostawiłem Jaśkowi flaszkę z krasnobrodzką wodą, a sam zabrałem ze sobą różaniec. Dotarcie w pobliże domu Stanisławskiego zajęło mi nie dłużej niż trzy minuty. Gdy byłem już na tyle blisko, by rozpoznać twarze, zatrzymałem się z nadzieją, że uda mi się ściągnąć wzrokiem mężczyznę, którego rozpoznałem. Był nim Krzysztof, znajomy Janka z Zamościa, którego poznałem zaraz po powrocie ze Starzyzny w Wielką Niedzielę. Nie chciałem podchodzić i witać się ze wszystkimi. Poza tym podejrzewałem, że w obecności obcych i tak nie będziemy mogli otwarcie porozmawiać.

Wreszcie mnie zauważył i oddalił się od grupki. Uścisnęliśmy sobie ręce, a później wyjaśnił, że przyjechał do Guciowa, bo pomimo wielu prób nie może się od wczoraj dodzwonić do Janka.

— To zupełnie niepodobne do niego, że ma wyłączony telefon — mówił. — Zawsze odbiera dość szybko, a nawet jeśli jest poza zasięgiem albo mu się aparat wyładuje, to niedługo potem oddzwania.

— Ja też nie mogę się do niego dodzwonić.

— Sąsiedzi byli wiele razy na podwórzu, pukali w drzwi i okna, ale cisza. Jakby nagle wszyscy zapadli się pod ziemię. Gdyby nie to, że nie ma też samochodu, to pewnie już zadzwonilibyśmy po policję.

— Wczoraj rano wspominał mi, że zamierza wyjechać z rodziną co najmniej na tydzień. Szkopuł w tym, że właśnie nieco ponad godzinę temu widziałem jego samochód niedaleko Łabuń.

— No właśnie, do mnie zadzwonił wczoraj z rana, tak gdzieś koło dziewiątej i też wspomniał coś o wyjeździe. Prosił, żebym zdobył dla niego pewną informację na temat pensjonatu na Mazurach i abym oddzwonił, gdy mi się to uda. Godzinę później już nie odbierał.

— Może pojechali bez namiaru? Tylko skąd ten samochód koło Łabuń...?

— Raczej nie pojechali. Syn Stanisławskiego aż do wieczora bawił się wczoraj przy domu.

— A sąsiedzi? Też nie widzieli Janka?

— Tylko rano. Najpierw jeden z nich zauważył, jak wychodzi na drogę, żeby porozmawiać z Bogdanem Adamowiczem.

— Co?!

— To znaczy z kimś w jego samochodzie.

— Aha, to byłem ja. A później?

— Później fiatem seicento przyjechała do Stanisławskich jakaś młoda kobieta. Janek długo z nią rozmawiał, wyglądało nawet, jakby się trochę kłócili, w końcu jednak chyba doszli do zgody, bo ona uściskała go na do widzenia i nawet cmoknęła w policzek. Zdaje się, że dała mu też jakąś kartkę.

Przed oczyma zaczęły mi krążyć ciemne plamy.

— Jak wyglądała?

— Zdaje się, że szatynka z długimi włosami. Sąsiad podglądacz zapamiętał nawet rejestrację tego samochodu. Mówi, że na pewno na początku były dwie „elki”, a później albo „U”, albo „E”...

Bez pożegnania, najszybciej jak tylko mogłem pędem ruszyłem do samochodu, krzycząc jeszcze do Krzysztofa:

— Zadzwonieć lepiej na policję. Niech wchodzi do domu, bo mogło się tu stać coś podobnego jak w czwartek w Bliżowie!

\*

Biegłem niezdarnie, ale udało mi się przebyć całą drogę bez zatrzymywania.

W trakcie pokonywania dystansu do forda Adamowicza pomyślałem, że mógłbym dla pewności ciekawskiemu sąsiadowi pokazać dzisiejsze wydanie „Dziennika Lubelskiego” i zapytać, czy to ta sama młoda kobieta, co na zdjęciu, ale szkoda było czasu. Byłem też pewien, że trzecią literą w rejestracji była litera „E”. LLE. Głównie takie oznaczenia widziałem podczas wizyty w Łęcznej.

Dopałem do drzwi fiesty i gwałtownie je otworzyłem. Do moich uszu dobiegł świrdujący dźwięk telefonicznego dzwonka.

— Zaczęło to cholerstwo dzwonić zaraz potem, jak żeś poszedł, ale ja się na tym nie znam i dotykać zębem go nie chciałem... — tłumaczył się Grela, a ja w tym czasie wydobyłem komórkę z bocznej kieszeni drzwi i odebrałem połączenie.

Najpierw Janka w ogóle mnie nie słyszała, ale wreszcie udało mi się przekrzyknąć jej płacz.

— Co się stało, Janka?! Czemu płaczesz?!

Przez moment dochodziła do siebie, aż wreszcie, ciągle jeszcze łkając, powiedziała:

— Teresa, Witku... Boże Święty, ona... ona...

— Co z nią?!

— Teresa nie żyje, została zamordowana — wyrzuciła z siebie Janka i znów się rozpłakała.

Nawet nie wiem, czy usłyszała, jak powiedziałem, że zaraz przyjedziemy. A ja, pomimo że pojechaliśmy przez Bliżów, nawet nie pomyślałem, aby rzucić okiem w stronę podupadłego gospodarstwa Bisów.

## 6.

Przed dworkiem stały dwa oznakowane radiowozy. Na ławkach siedziało kilkoro pensjonariuszy, przy dwójce z nich dwóch mundurowych zapisywało coś w swoich kajetach. Po bordowym passacie ślad natomiast zaginął. Zdziwiłbym się bardzo, gdyby było inaczej.

Zaparkowałem fiestę przy ulicy i wysiedliśmy. Po drugiej stronie drogi, dokładnie naprzeciw dworku, znajdowało się coś, co przy odrobinie dobrej woli można było nazwać niewielkim zagajnikiem. Krzewiaste zarośla przetykane gdzieniegdzie niewielkimi liściastymi drzewami, głównie olchami, zajmowały obszar może trzydziestu arów. Być może niegdyś znajdowały się tutaj jakieś zabudowania dworskie, przynależne do posiadłości, której głównym elementem był budynek przekształcony obecnie na dom pomocy społecznej. W głąb zagajnika prowadziła wąska alejka, przy której straż pełnił kolejny umundurowany policjant. Liście na krzewach wciąż jeszcze się rozwijały, przez co zarośla nie stanowiły zbyt skutecznej zasłony. Tak więc z drogi widocznych

było dość wyraźnie kilka osób, prowadzących oględziny czegoś, co spoczywało na ziemi. Jedna z nich wykonywała zdjęcia, ponieważ tamte okolice co chwilę rozjaśniane były światłem fotograficznego flesza.

Domyślałem się wokół czego (kogo?) prowadzone są te prace, ale nie zamierzałem nawet próbować zbliżyć się do miejsca zabójstwa. Zamiast tego wraz z Jaśkiem podążyliśmy w przeciwną stronę, do dworku, z którego właśnie w tym momencie wyszedł ksiądz Dobrowolski. Gdy zobaczył, że idziemy w jego kierunku, kiwnął nam ręką i ponownie schował się w budynku.

Mijaliśmy akurat starą kobietę, z którą policjant prowadził rozpytanie, kiedy w uszach zabrzmiało mi przenikliwie:

— To on, inspektorze! To on z nią poszedł w tamte krzaki! — Staruszka poderwała się z miejsca i sękatą dłonią celowała w mój tors.

Młody policjant wstał i zaczął się rozglądać wokół siebie, jakby czekając na to, aż ktoś mu powie, co ma w tej sytuacji robić, natomiast ja spojrzałem w twarz kobiety zmęczonym, zrezygnowanym wzrokiem. Naprawdę zaczynałem mieć tego wszystkiego dosyć. Zupełnie mnie nie zdziwiło, że patrzy ona w moją stronę oczyma pozbawionymi źrenic.

— Łapcie mordercę! — krzyczała.

Jasiek Grela odruchowo zasłonił mnie swoim ciałem przed oskarżycielskim wskazaniem staruszki.

— To jakaś pomyłka, cały czas ześmy byli razem. Najsampierw w Łabuniach, potem w Krasnobrodzie, a na końcu w Guciowie. Witek nikogo nie zabił, naprawdę! — tłumaczył policjantowi. — Tej pani musiało się coś po...

Przerwał i zauważyłem, że nagle zeszywniał. Nie mogłem tego widzieć, ponieważ stałem za jego plecami, ale jestem pewien, że właśnie w tym momencie popatrzył kobiecie prosto w oczy.

Dobrowolski ponownie wyszedł z dworku i szybkim krokiem do nas dołączył.

— Bandyta! — wrzasnęła stara wiedźma.

Wszystkie głowy osób znajdujących się w promieniu kilkunastu metrów obok nas skierowały się w naszą stronę. Drugi z policjantów, siedzący jeszcze przed momentem nieco dalej, również podniósł się z ławki.

— Pani Nowakowa, niechże pani da spokój. — Dobrowolski przepaszająco uśmiechnął się do funkcjonariusza. — Przecież pani wtedy była w swojej sali i nie mogła niczego widzieć.

— A skąd ksiądz może to wiedzieć?! Tutaj byłam cały czas! Od samego rana! Reszta poszła te swoje gusła do... — Tfu! — ...kościółka odczyniać, a ja tu byłam cały czas.

— Niech panowie nie zwracają na tę panią uwagi. Z jej pamięcią naprawdę jest już bardzo krucho — powiedział ksiądz, po czym wziął mnie za łokieć i lekko popchnął w stronę dworku.

Policjanci wyglądali na uspokojonych, ale kobieta wciąż wykrzykiwała za nami

swoje oskarżenia.

Kiedy już znaleźliśmy się w budynku, zapytałem szeptem:

— Mówiła prawdę o tym, że cały czas była na zewnątrz?

Dobrowolski przytaknął, ale wyraz jego twarzy był tak poważny, że aż mnie zmroziło.

— Nie jest dobrze, chłopcze. Przy bestialsko zmasakrowanych zwłokach Teresy znaleziono list podpisany twoim imieniem i nazwiskiem.

\*

Prowadzeni przez księdza weszliśmy do niewielkiej kancelarii. Spodziewałem się spotkania w niej ze wszystkimi osobami, które poprzedniego wieczoru były obecne w zakrystii, i faktycznie tak się stało. Nasze grono powiększyło się jeszcze o Józka Kowalika, który wczoraj poszedł wcześniej spać. Gdy tylko weszliśmy, on, Rafał, Krystyna, Katarzyna i Albin natychmiast skierowali wzrok na nas. Janka zachowała się inaczej. Siedziała prosto, dumnie wyprostowana, a z jej oczu wręcz sypały się iskry. Przypomniałem sobie, gdy nie dalej jak kilka godzin temu widziałem ją siedzącą na ławce przed dworkiem. Była wtedy zdruzgotana, drżąca z zimna i emocji, zapłakana... Liczyłem na to, że złych dla niej wiadomości już więcej nie będzie.

— To moja wina — oświadczyła, patrząc na wprost, zanim jeszcze Jasiek zdążył zamknąć za nami drzwi.

— Janka, przecież już ci tłumaczyłem, że nie ma na nich rady. — To prawda, próbowałem ją uspokoić, ale tego, co powiedziałem, byłem absolutnie pewien.

— Ani wtedy, jak Mitnik zabrał Mateusza, ani teraz niczego nie mogłaś zrobić...

— Ale dlaczego?! I jak on to zrobił...? Przecież Teresa miała ze sobą krucyfiks...

— To był Stanisławski, prawda? — zapytałem.

— Tak. Usiadł przy nas na ławce i poprosił, abym zostawiła ich na chwilę samych, bo ma jakieś ważne informacje na temat Mateusza, przeznaczone tylko dla Teresy. Zdziwiłam się, ale odeszłam. Ona cały czas miała krzyż w ręku, więc nie sądziłam, że cokolwiek może się stać.

Wszyscy przypatrywali mi się w milczeniu, więc to był bardzo dobry moment do przyznania się do porażki.

— Jeżeli już koniecznie musielibyśmy znaleźć jakiegoś winnego, to byłbym nim ja — powiedziałem cicho i usiadłem przy dużym, prostokątnym stole. Dwa z pozostałych trzech wolnych krzeseł zajęli Dobrowolski i Grela.

— Ale przecież ciebie nie było w okolicy! — zaprotestowała Cieplakowa.

— Nie chodzi o to. Po prostu popełniłem koszmarny błąd, zakładając, że zagrożenie związane jest tylko z przeklętymi postaciami, u których ci, którzy byli w Starzyźnie, nie dostrzegają źrenic. Zaręczam ci, Janka, i każdemu z was z osobna, że gdybym to ja siedział na ławce obok Teresy i przyszedłby Janek Stanisławski, chcąc z nią porozmawiać na osobności, to nie miałbym nic przeciw



temu. Mało tego — prawdopodobnie bym się nawet ucieszył, sądząc, że przy nim będzie bezpieczniejsza niż przy mnie. Nie pomyślałaś tak? Po tym, jak wam pomagał szukać Mateusza w środę, po tym wszystkim, co zrobił dla mnie, a o czym doskonale przecież wiedziałaś...

Dopiero teraz Janka spojrzała na mnie. Nie odezwała się choćby słowem, nie wykonała żadnego gestu, ale byłem pewien, że moje przypuszczenia były słuszne.

— On był najprawdopodobniej w czymś w rodzaju okresu próby — tak samo jak Teresa w Wielką Niedzielę, gdy po niepisanym układzie z Czarnym szła zapolować na mnie. Obdarzona siłami, których by się po sobie nie spodziewała, zdecydowana zrobić coś niewyobrażalnie złego w zamian za spełnioną obietnicę Bobowicza. Miała źrenice takie same jak każde z nas, Janek również, tyle że ona potrafiła się wycofać w ostatnim momencie pod wpływem trudnego do zdefiniowania odczucia, że mnie i ją łączy trudna do wychwycenia więź. Później okazała się nią niewidzialna nić łącząca rodziców śmiertelnie chorych dzieci. Stanisławski nie zatrzymał się w połowie drogi. Jedyne, w co wierzę, to, że nie skrzywdził też swojej rodziny. Wiem, jak bardzo była dla niego ważna. Wspominał mi o tym, deklarował, że za wszelką cenę chce ich chronić, ale... ale teraz niczego już nie jestem pewien, bo Mitnik przed spotkaniem Czarnego prawdopodobnie deklarowałby to samo.

Opowiedziałem o wizycie w Guciowie oraz o tym, że Stanisławski zniknął i że nie ma z nim żadnego kontaktu. Przekazałem pozostałym także to, że drzwi od jego domu są zamknięte, a ślad zaginął także po jego żonie i dzieciach. Wspominałem też o wizycie młodej kobiety i wtedy Janka zapytała:

— Myślisz, że to znów była Weronika?

— Jestem tego pewien — odparłem. — I zdaje się, że znów robiła za listonosza Czarnego. Ksiądz wspominał, że przy ciele Teresy znaleziono list podpisany moim nazwiskiem. Sądzę, że to właśnie tę kartkę przekazała Weronika Stanisławskiemu przy jego domu, zapewne razem z dyspozycją, aby zostawił ją przy zwłokach Bielakowej. Bardzo mnie ciekawi teraz, czy Czarny zapisał ją swoimi staroświeckimi kulfonami, czy też może udało się mu podrobić mój charakter pisma.

\*

Na Maciejewskiego nie trzeba było długo czekać. Pojawił się w kancelarii kilkanaście minut po nas. Zanim się to jednak stało, opowiedziałem pozostałym o spotkaniu z kobietą w Łabuniach, później zrelacjonowałem rozmowę z młodym księdzem, a następnie Jasiek wyjął z kieszeni piersiówkę i ustaliliśmy wszyscy, że na wszelki wypadek wody z Krasnobrodu trzeba użyć do ponownego poświęcenia wszystkich dewocjonaliów, które mogą nas ochronić.

Wtedy odezwał się Dobrowolski:

— Poczekajcie chwilę. Mam tu w szafce takie małe blaszane krzyżyki, które czasem rozdaję dzieciom przygotowującym się do pierwszej komunii. Później

przeważnie zamieniają je na te złote i srebrne, otrzymane od rodziców chrzestnych, ale w okresie przygotowań te skromne, na stalowych łańcuszkach sprawdzają się naprawdę doskonale. Czasem nawet dzieciaki noszą je także już po komunii. Kupiłem kiedyś większą ilość, więc dla wszystkich powinno wystarczyć.

Nie dość, że wystarczyło dla wszystkich, to jeszcze Rafał dostał dwa — dla swojej mamy i Paulinki. Ja również zdecydowałem się wziąć jeden, pomimo że nie zamierzałem zrezygnować z noszenia ze sobą różańca należącego niegdyś do Pauliny Podolak.

Dobrowolski przelał wodę z piersiówki do szklanki, przez moment zamyślił się i powiedział:

— Mamy wprawdzie okres wielkanocny, ale lepsza będzie chyba ta modlitwa...  
— Pochylił się nad wodą i odmówił nad nią następującą modlitwę: — „Panie, Boże wszechmogący, Ty jesteś źródłem i początkiem życia ciała i duszy. Prosimy Cię, pobłogosław tę wodę, którą z ufnością się posługujemy, aby uprosić przebaczenie naszych grzechów i uzyskać obronę przeciwko wszelkim chorobom i zasadzkom szatana. Spraw, Boże, w miłosierdziu swoim, niech źródła żywej wody zawsze tryskają dla naszego zbawienia, abyśmy mogli zbliżyć się do Ciebie wewnętrznie oczyszczeni i uniknęli wszelkich niebezpieczeństw duszy i ciała. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”.

— Amen — odpowiedzieliśmy równocześnie.

Następnie ksiądz brał jeden po drugim wszystkie krzyżyki i zanurzał je wraz z łańcuszkami w ten sposób, aby nie pominąć nawet najmniejszego ich skrawka. Od razu nam je rozdawał, więc wieszaliśmy je sobie na szyjach jeszcze zupełnie mokre. Gdy skończył z dwoma ostatnimi i przekazał je Rafałowi, przez zamknięte drzwi dały się słyszeć głosy, z których jeden, należący do siostry Łucji, można było rozpoznać bez trudu. Rozległo się krótkie pukanie do drzwi, które otworzyły się, zanim Dobrowolski zdążyłby wziąć oddech, aby powiedzieć „proszę”.

Maciejewski wyglądał na porządnie skacowanego. Miał dość mocno potargane włosy, przekrwione oczy, a w ustach mełł gumę do żucia, zapewne po to, aby nie było czuć „wczorajszego” oddechu. Mogłem się założyć, że owocową, taką dla dzieci. Jeszcze niedawno wyglądałem tak prawie codziennie, więc bez trudu poznałem „swego”. A guma o smaku pomarańczowym najlepiej maskuje woń przetrawionego alkoholu.

Komisarz potoczył wzrokiem po twarzach osób znajdujących się w pomieszczeniu. Na mojej zatrzymał się dłużej i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć „wiedziałem” lub coś w tym stylu. Przyproceedził ze sobą tego samego młodego krawężnika, który ostatnio robił za szofera, z tym że tym razem nie miał na sobie munduru. Zdziwiła mnie nieobecność sierżanta Witki.

— Dzień dobry państwu — zachrypiał i odchrząknął. Później poszło już lepiej.  
— Komisarz Maciejewski, Komenda Miejska Policji w Zamościu. Jak państwo

wiecie, w pobliżu doszło do zabójstwa, prowadzę dochodzenie w tej sprawie. Może zrobimy tak: wszystkie osoby, które mają mi coś do powiedzenia na tę chwilę, prosilibym o pozostanie w pomieszczeniu. Z tymi, którzy wyjdą, skontaktuję się, jeśli będzie taka potrzeba.

Jako pierwszy podniosłem się z krzesła i ruszyłem do wyjścia.

— Bardzo zabawne, panie Uchmann — powiedział zmęczonym głosem, ale w jego oczach błysnął ognik rozbawienia.

\*

Zostaliśmy w kancelarii w szóstkę. Ja, Maciejewski, młody policjant, Janka, Jasiek Grela i Dobrowolski.

— Gwoli wyjaśnienia, panie komisarzu... — odezwał się ksiądz. — Jeśli chodzi o mnie, to niespecjalnie mogę pomóc w wyjaśnieniach, ponieważ akurat przez cały czas, od zakończenia mszy, mniej więcej o ósmej, aż do momentu, gdy pani Adamowicz odkryła zwłoki, byłem tutaj, w tym pomieszczeniu, ale zostałem, ponieważ jestem gospodarzem i...

— Dziękuję. W takim razie księdza obecność nie będzie konieczna. W razie czego jeszcze będziemy się z księdzem kontaktować.

Dobrowolski wyszedł, a młody policjant wyciągnął kajet i długopis, po czym przyjął pozycję mistrza sporządzania notatek oczekującego na wystrzał startera.

— Nie znam się za bardzo na prowadzeniu śledztw policyjnych, ale to chyba niezbyt profesjonalne, jeśli główny podejrzany jest obecny podczas przesłuchania świadków? — zapytałem.

Maciejewski podparł brodę na otwartej dłoni i popatrzył na mnie z niechęcią.

— Generalnie, to wolę, jeśli laicy nie pouczają mnie co do stosowanych przeze mnie metod śledczych — wycedził leniwie. Jego szczeka poruszała przy tym głową i całym przedramieniem, na którym była oparta. — A szczególnie nie lubię, gdy takie światłe pouczenia odbywają się w dzień, który miałem zaplanowany jako wolny, a dziś właśnie jest taki dzień. Sobota. Wie pan, że od jakiegoś czasu mamy już w Polsce wolne soboty?

— To zależy kto. Policjanci czasem nie mają. I lekarze. Sprzedawcy, kierowcy autobusów...

— Dobrze — przerwał mi dość ostro. — Dziękuję za ten pouczający wykład. Naprawdę nigdy bym się nie domyślił. — Mówiąc to, skrzyżował dłonie przed sobą. — Młody, pokaż panu kartkę.

Policjant wyjął z teczki kartkę formatu A4, która zabezpieczona była przezroczystą folią, i położył ją przed Maciejewskim.

— Chodzi o to, panie Uchmann, że w takich sytuacjach właściwie tylko z grzeczności chcę zapytać jeszcze kogoś o dodatkowe informacje. Mamy zeznania świadka, który wskazuje pana jako zabójcę...

— Pewnie pani Nowakowa?

— Nieważne, niech się pan tym na razie nie interesuje. W dodatku mamy list,

w którym ktoś przyznaje się do dokonania zbrodni, podpisując się pańskim imieniem i nazwiskiem. To pańskie pismo? — Przesunął kartkę w moją stronę.

Rzuciłem na nią okiem.

*Ta głupia zdzira już dawno powinna smażyć się w piekle, nieprawdaż?*

*Powinniście mi za to stukrotnie podziękować.*

*Witold Uchmann*

*PS*

*Jej bękart też.*

— Moje — odparłem.

— Ma pan coś jeszcze do dodania?

— Tak. Nie ja to napisałem.

Maciejewski popatrzył na mnie, a potem głośno westchnął.

— W takim razie kto? Duch Święty?

— Wydaje mi się, że wprost przeciwnie, ale i tak by mi pan nie uwierzył.

— Panie komisarzu Maciejewski — niepewnie wtrącił się Grela.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale... — Głos drżał mu z emocji. Jasne było, że przez te kilkadziesiąt lat w Starzyźnie nie stracił poważania dla władzy. — Ale my żeśmy wtedy byli razem. Najsampierw w Łabuniach, potem w Krasnobrodzie, a na koniec w Guciowie.

— Tak, pan Uchmann był widziany w Guciowie, ale o godzinie, która nie wyklucza dokonania morderstwa. Zgadza się, pani Adamowicz?

Janka przez chwilę się zastanawiała, aż wreszcie odparła:

— To było tak... Siedziałam z Teresą na dziecińcu, na ławce. Skończyła się msza, było przed ósmą, może za pięć, jakoś tak. Wtedy przyszedł pan Stanisławski.

Maciejewski wyprostował się nagle, jakby młody, który siedział obok, dźgnął go palcem w bok.

— Kto?!

— Pan Janek Stanisławski. Z Guciowa. Zdaje się, że panowie się dość dobrze znacie.

— Janek tu był?! — Popatrzył na mnie zdziwiony.

— Skąd mam wiedzieć? — Odezwałem się, nie wiedząc nawet do końca, czy to do mnie było skierowane pytanie. — Przecież słyszał pan przed chwilą, gdzie przebywałem w tamtym czasie.

— I co według pani było dalej? — zapytał wciąż zaskoczony komisarz.

— Nie co było według mnie, tylko co naprawdę było! — poprawiła go dobitnie Janka. — Posiedzieli może dziesięć minut na ławce, uznałam, że nie muszę się o nią martwić, bo przecież znam pana Janka, a potem poszłam do dworku, bo zawołała mnie siostra Łucja. Gdy znów wyszłam na zewnątrz, już ich na ławce nie było.

Maciejewski od pewnego czasu zezował na wypełnioną wodą szklanekę, w której

niecو wcześniej Dobrowolski zamoczył krzyżyki. Teraz nie wytrzymał, sięgnął po nią i wychylił zawartość jednym haustem. Widać było, że niespecjalnie mu posmakowała (niewykluczone, że przez metaliczny posmak), ale było już przynajmniej jasne, że komisarz nie ma nic wspólnego z mocami piekielnymi.

— Która to mogła być godzina? — zapytał, hamując beknięcie.

— Byłam w środku jakiś kwadrans.

— I co było potem?

— Długo nie wracali, ale to mnie nie dziwiło. Sądziłam, że ustalają plan poszukiwań Mateusza. Za dwadzieścia dziewięta zadzwonił Witek. Twierdził, że jest w Krasnobrodzie, więc poprosiłam go, żeby podjechał jeszcze do mojego domu w Guciwie po moje lekarstwo.

— Tak, widziany był tam około dziewiętej i to by się zgadzało — rzekł Maciejewski. — Ale jeśli morderstwa dokonałby zaraz po tym, gdy straciła pani z oczu Teresę i, khem, Janka Stanisławskiego, to zdążyłby na dziewiętą dojechać do Guciowa. — Dyskretne chrząknięcie wplecione w wypowiedź nie pozostawiało wątpliwości, że nie bardzo wierzy w przedstawianą mu wersję. — To jakieś pół godziny jazdy. Od ósmej pięć do wpół do dziewiętej, panie Uchmann. Potrzebuje pan alibi dokładnie na ten czas.

— To się świetnie składa, bo akurat wtedy rozmawiałem z pewnym młodym księdzem w Krasnobrodzie, przy sanktuarium maryjnym.

— Jak się nazywa ten ksiądz?

Poszukałem w myślach czegoś, czegokolwiek, chociażby imienia...

— Niestety, nie wiem. Krótko się znamy i nie wiem, jak się nazywa — odparłem.

— Imię, nazwisko, cokolwiek?

— Przykro mi.

— Faktycznie, chyba musicie się znać bardzo krótko. Jak mniej więcej wygląda? Czy może znacie się tak krótko, że nie zdążył mu się pan przyjrzeć?

Puściłem jego uszczypliwą uwagę mimo uszu.

— Średniego wzrostu, ciemny szatyn, ciemnobrązowe oczy, wiek, tak na oko, jakieś trzydzieści do trzydzieści pięć lat.

W tym momencie zadzwonił telefon Maciejewskiego.

— Tak? — Słuchał przez dłuższą chwilę. — Dobrze, czyli żona i dzieci Stanisławskiego są cali i zdrowi, i przebywają u znajomych w Zwierzyńcu? Tak właśnie myślałem, że to jakiś fałszywy alarm. Słuchaj, Zenon, niech dwóch ludzi zostanie na miejscu, rozglądajcie się za Jankiem, a ty pojedź do Krasnobrodu i poszukaj w sanktuarium maryjnym pewnego księdza.

Komisarz powtórzył przekazany przeze mnie przed chwilą rysopis.

— Nie wiem, kurwa, jak się nazywa! Przecież od tego bym zaczął. Jak go już znajdziesz, to pytaj, co robił pomiędzy ósmą a wpół do dziewiętej. Jeśli rozmawiał z kimś, to z kim i gdzie.

— ...

— Co?! Czy dzisiaj?! Weź mnie, Zenek, nie wkurwiał! W Wigilię dwa lata temu, zaraz przed pasterką.

Rozłączył się i rzucił aparat na stół, a potem zaczął nerwowo bębnić palcami o blat.

— Miał pan jakieś doświadczenia z rzeźnią? — Nie było wątpliwości, pytanie skierowane było do mnie.

— Tak, z „Rzeźnią numer pięć”. Czytałem, owszem. Podobało mi się. Zmieniamy temat na literaturę?

— Na chwilę. A wie pan, że autor tej książki zmarł trzy dni temu?

— Nie, nie dotarła do mnie ta wiadomość, ale bardzo żałuję — powiedziałem zupełnie szczerze. — Lubiłem Vonneguta.

— Aha... Ale chodziło mi o bardziej przyziemną rzeźnię od tej literackiej. No, wie pan, tę, w której zabija się zwierzęta. Świnie, krowy...

— Po co pan mnie o to pyta?

Zwrócił się do Janki.

— Pani pierwsza znalazła zwłoki, prawda?

— Tak — odparła cicho.

— Bardzo mi przykro, że musiała to pani oglądać. Zwłaszcza że to była pani znajoma.

Znów zwrócił się do mnie:

— A ten nóż to pański?!

Wyjął z kieszeni myśliwską finkę, która kiedyś należała do męża Teresy, a na którą natknąłem się w Wielką Niedzielę na wzgórzu pomiędzy Słoneczną Doliną a Guciwem.

— Znaleźliśmy go w aucie, którym ostatnio się pan poruszał — dodał.

— Nie, nie mój. Należał kiedyś do Teresy, a właściwie do jej męża — powiedziała Janka, która na temat tego narzędzia najwyraźniej wiedziała więcej niż ja, zapewne od Teresy.

— Tak się właśnie domyślałem, że może mieć coś z tą sprawą wspólnego, ponieważ na spodzie rękojeści bardzo drobnym pismem wryto właśnie nazwisko „Bielak”. I co pan na to, panie Uchmann? Czy przy drobiazgowych badaniach znajdziemy na nim ślady krwi zamordowanej?

— Jeśli się nim kiedyś skaleczyła, to niewykluczone.

— Bardzo pan dowcipny, tylko szkoda, że sprawa dotyczy brutalnego morderstwa.

\*

Spędziliśmy w kancelarii jakieś pół godziny, prawie ze sobą nie rozmawiając. Czekaliśmy na telefon w sprawie mojego alibi. Zastanawiałem się nad pytaniem Maciejewskiego o rzeźnię.

Wszystko wskazywało na to, że mordercą była osoba, która doskonale

posługiwała się nożem. Ktoś, kto pracował w swoim fachu i był w nim naprawdę dobry, skoro na pierwszy rzut oka było to widoczne. Być może zwłoki były wypatroszone, tego nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć, ale przypomniałem sobie, że Mitnik, szwagier Teresy, pracował przecież w Zamościu w zakładach mięsnych. Tak powiedział Stanisławski policjantowi podczas naszej rozmowy w czwartek. Uchwyciłem się tej myśli, bo jeszcze dodatkowo po zatrzymaniu mówił policjantom, że musi ich zmartwić, bo nie zabawi u nich zbyt długo...

— A pan ma może jakąś teorię? — zapytał mnie Maciejewski. — Skoro to nie pan, to kto?

— Mam teorię, że Stanisławski wywabił Teresę z dziedzińca przy dworku, a resztę załatwił Mitnik, który jest z zawodu rzeźnikiem. Wczoraj rano, podczas zatrzymania, był pewien, że wam ucieknie, przynajmniej tak wynikało z jego słów, które mi pan przekazał.

— No proszę! Janek Stanisławski oskarżony o współudział w zaszlachtowaniu niewinnej kobiety! No, brawo, kurwa, geniuszem żeś pan jest jak nic. Ja pierdolę! — Po raz pierwszy zaobserwowałem u Maciejewskiego coś, co można byłoby nazwać brakiem profesjonalizmu.

— Wolałbym, żeby to był współudział niż zabójstwo. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Janek mógł zrobić coś takiego... — kontynuowałem, niezrażony żywiołową reakcją komisarza.

— Co?! Człowieku, czyś ty oszalał?! Janek?! W życiu!

— Ale Mitnik...

— Co Mitnik?

— No, nie prysnął wam?

— Pan żeś całkiem oszalał. Prysnał. Nogami do przodu. Wczoraj po południu Witko go zastrzelił podczas przesłuchania.

Zadzwoił telefon. Maciejewski odebrał, słuchał przez jakiś czas, a potem jego twarz poszarzała ze złości, a wypełniające się wściekłością oczy lustrowały chłodno moją twarz.

— Dobra, dzięki, Zenek. — Podniósł się. — Skuj tego sk... tego obywatela, młody — syknął, a potem wycelował palcem w Grełę. — A pan niech nie opuszcza tego ośrodka. To nie było oficjalne przesłuchanie, ale zanim ono nastąpi, proszę sobie wszystko jeszcze raz dobrze przemyśleć. Przy krasnobrodzkim sanktuarium nie pracuje żaden ksiądz, który chociaż odrobinę mógłby przypominać tego, którego opisał pan Uchmann.

— Co z nim będzie?! — Janka podniosła się z krzesła. — Gdzie go zabieracie?

— Na razie na dołek, na czterdzieści osiem. Ale nie sądzę, by oglądała go pani na wolności wcześniej niż za ćwierć wieku.

\*

W radiowozie dopadło mnie poczucie beznadziei i totalnego zniechęcenia. Dotarło do mnie wreszcie, że ani ja, ani nawet wszystkie dziewięć osób, które

przed przybyciem policjantów zebrały się w kancelarii Dobrowolskiego, razem wziętych nie jest w stanie przeciwstawić się Czarnemu i jego działaniom. Byłem zmęczony, w ogóle nie obchodziło mnie, co teraz ze mną zrobią. Miałem jedynie nadzieję, że tam, gdzie mnie wiozą, wreszcie zaznam względnego spokoju, o którym w ostatnim czasie mogłem jedynie pomarzyć.

Po drodze Maciejewski próbował mnie o coś tam pytać, ale zupełnie go nie słuchałem. Ostatecznie dał sobie spokój i resztę drogi spędziliśmy w ciszy. Kiedy znaleźliśmy się przed budynkiem komendy, policjanci zaprowadzili mnie do dyżurki, w której znajdowało się dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, i przekazali mnie w celu zapuszkowania na czterdzieści osiem godzin w czymś, co nazywali „pomieszczeniem dla osób tymczasowo zatrzymanych”.

Na odchodne Maciejewski rzucił w moją stronę:

— W poniedziałek możesz się spodziewać sądowego nakazu aresztowania na trzy miesiące.

— Czyli do tego czasu nikt mnie nie będzie niepokoił?

— Zostaniesz przesłuchany. Nie wiem jeszcze kiedy. Dam ci trochę czasu, żebyś sobie mógł przemyśleć to, co zrobiłeś, i wszystko wyśpiewać. Bo jak na razie widzę, że nie jesteś zbyt rozmowny, więc zapewne prowadzenie jakichkolwiek czynności z twoim udziałem miałyby się z celem.

Zostałem sam z nieznanymi policjantami. Po podaniu danych osobowych, miejsca zamieszkania i informacji o stanie zdrowia nakazano mi oddanie wszystkich przedmiotów, którymi mógłbym sobie zrobić jakąś krzywdę. Pożegnałem się więc z paskiem do spodni, sznurowadłami, kluczami, zegarkiem oraz łańcuszkiem z krzyżykiem, który niedawno dostałem od Dobrowolskiego. Oznajmiłem, że to już wszystko i wtedy zostałem przeszukany. Jediną znalezioną przy mnie rzeczą kwalifikującą się do przechowania okazał się różaniec Pauliny Podolak.

— Oskarżę was o pogwałcenie moich wolności religijnych. Będą o was pisać w gazetach.

— Może pan oskarżać. Jeśli to byłby obrazek albo książeczka do modlitwy, to nie byłoby problemu. Różańcem, podobnie jak łańcuszkiem, mógłby pan sobie zrobić krzywdę.

— Wszystkim można sobie zrobić krzywdę, ale dobrze, niech będzie. Nie mam sił na spory — odparłem, ale równocześnie baczniej przyjrzałem się źrenicom funkcjonariuszy.

Wciąż zakutego w kajdanki zaprowadzono mnie do celi, w której znajdowała się jedna prycza. Stół i taboret przymocowane były do podłogi. Kiedy zamknęły się za mną drzwi, policjant polecił, abym otworzył okienko. Zrobiłem to, wystawiłem dłoń na zewnątrz i zaraz potem moje ręce były wolne.

— W środku jest przycisk, którym można wezwać strażnika, jeśli na przykład zechciałby pan skorzystać z toalety lub miał jakieś inne potrzeby. Dostanie pan



dziś dwa posiłki, w tym jeden ciepły. Informuję również, że cela jest monitorowana.

„Warunki jak w sanatorium” — pomyślałem, a potem podziękowałem i zamknąłem okienko.

\*

Resztę dnia, wieczór i pierwsze godziny nocy miałem na to, aby sobie wiele rzeczy dobrze przemyśleć. Przede wszystkim rozważałem swoje położenie i wbrew pozorom nie wydawało mi się ono jakoś szczególnie beznadziejne. Jak na razie jedyną osobą, która jednoznacznie wskazywała mnie jako zabójcę, była stara Nowakowa z domu pomocy Dobrowolskiego. Mogłem przypuszczać, że na dziedzińcu przed dworkiem w momencie, gdy Stanisławski spotkał się z Teresą, było więcej osób i niekoniecznie wszystkie musiały mnie chcieć fałszywie oskarżyć. Istniała więc szansa, że jutro, kiedy Maciejewski przesłucha w tej sprawie więcej świadków, pojawi się u niego przynajmniej cień wątpliwości co do mojej winy.

Oczywiście był też list, który napisano moim charakterem pisma, ale jak na razie stanowił on jedynie poszlakę — zwłaszcza że nie potwierdzałem ani autentyczności podpisu, ani tego, co zostało zawarte w treści krótkiej notki znalezionej przy zwłokach. Trochę się dziwiłem Maciejewskiemu, że tak łatwo uznał, że zamordowałem Bielakową z zimną krwią i udokumentowałem ów fakt na zostawionej przy zwłokach kartce, by niedługo później potwierdzić, że charakter pisma jest mój i równocześnie wypierać się dokonania zbrodni, zapewniając, że mam alibi na czas jej popełnienia. Być może rozsierdziło go, że rzucałem nietrzymające się kupy oskarżenia na jego dobrego znajomego, być może nie mógł zachować się inaczej, ponieważ taka poszlaka, jak napisany moim charakterem pisma list, kwalifikował mnie do zatrzymania... Poza tym było to kolejne tragiczne zdarzenie, przy którym w pewien sposób byłem obecny. Kto wie, może komisarz uznał, że jak mnie zamknie, to powstrzyma falę występowania zdarzeń tego typu? Owszem, takie rozumowanie mogło być całkiem trafne, ale zapewne tylko do poniedziałkowego świtu, kiedy to w okolicy pojawi się Czarny ze swoją ślepawą ferajną. Wtedy to dopiero Maciejewski będzie miał ręce pełne roboty...

Im dłużej rozmyślałem o tym wszystkim, tym bardziej żałowałem, że nie spytałem komisarza o więcej szczegółów odnośnie do zastrzelenia Mitnika przez sierżanta Witkę. Niewykluczone, że niczego bym się nie dowiedział, ale — kto wie? — może akurat udałoby mi się jakieś informacje wyłudzić. Witko, pomimo młodego wieku, nie wyglądał przecież na faceta, który może strzelać do zatrzymanego pod byle jakim pretekstem, a to czyniło tę sprawę jeszcze bardziej zagadkową. Niezależnie jednak od motywów i okoliczności zdarzenia było jasne, że osobą, która wprawnie posługiwała się nożem podczas zabójstwa Teresy Bielak nie był Tadeusz Mitnik.

Więc kto?

Czy to możliwe, że Czarny potrafił bez przeszkód przekazywać umiejętności osób przez siebie omamionych innym nieszczęśnikom, którzy również pozytywnie odpowiedzieli na jego wezwanie? Jeśli tak, to równie dobrze oprawcą mógł być Stanisławski, który nagle, sam nie znając tego przyczyny, stał się mistrzem w posługiwaniu się nożem w taki sposób, jakby od wielu lat nie robił nic innego prócz rozbierania sztuk mięsa w rzeźniach. Relacja Teresy, którą przekazała Jance, dokładnie coś takiego zawierała — Bielakowa była pewna, że jeśli rzuci nożem w Azora, psa Bisów, to trafi idealnie w jego szyję. Miała też świetną kondycję, jakiej mógłby pozazdrościć jej niejeden sportowiec. Może nieco wcześniej na współpracę z Czarnym poszedł jakiś świetnie wyszkolony żołnierz? Teraz już chyba na zawsze miało to pozostać tajemnicą...

Na zawsze sierotą miał też zostać syn Teresy. Wciąż przed oczyma stała mi jego wymizierowana sylwetka i twarz, nieco podobna do twarzy Krzysia. Nie zdążył jeszcze wrócić do siebie po wyniszczającej chorobie (o której najprawdopodobniej nawet Mateusz nie wiedział w dniu, w którym się poznaliśmy), a już spotkały go kolejne traumatyczne przeżycia. Porwanie przez własnego wuja, przekazanie w ręce obcych ludzi i przetrzymywanie, nie wiadomo nawet w jakich warunkach. Ten chłopak przecież nie był niczemu winien...

„Może tkwi teraz zamknięty w jakiejś komórce lub piwnicy i marzy, aby wreszcie ktoś go stamtąd uwolnił, by wreszcie zaprowadził go do mamy, do której będzie się mógł przytulić, której będzie się mógł wyzalić i usłyszeć, żeby już nie płakał, bo teraz już wszystko będzie dobrze” — myślałem.

I były to myśli, z którymi naprawdę było mi ciężko radzić sobie w pojedynkę, zwłaszcza że pamiętałem o planach Czarnego wobec chłopca. Teresa mogła być przeszkodą w ich realizacji, a teraz przeszkoda ta została ostatecznie usunięta i zamiary mogą zostać wdrożone w życie o wiele łatwiej.

Od czasu do czasu przychodzili mi też na myśl ci, którzy pozostali w dworcu, u księdza Dobrowolskiego. Zakładałem, że dopadła ich rezygnacja podobna do mojej, ale zazdrościłem, że przynajmniej mogą być ze sobą razem w tej chwili.

Momentami łapałem się na tym, że lekko odpływam w sen. Emocje i brak wypoczynku dawały mi się porządnie we znaki. Dwa albo trzy razy kładłem się nawet na pryczy z zamiarem zaśnięcia. A potem znów siadałem i starałem się odpędzić od siebie zmęczenie. Nie miałem swojego brulionu, nie miałem niczego do pisania, ale pamiętałem, że do północy zostało jeszcze trochę czasu. Chodziłem po celi i szeptałem do siebie, drepcząc niezdarnie w pozbawionych sznurówek butach i podciągając spodnie, w których nie było paska:

— Nie wolno ci jeszcze zasnąć. Dopóki nie wybije trzecia rano w poniedziałek, nie wolno ci się poddać. Jeśli teraz zaśniesz, być może nie będziesz mógł zasnąć przed północą, a wtedy nici z zapisków w brulionie. A one mogą być dla Adama najważniejsze...

Nie wiedziałem, która jest godzina, ale w końcu na zewnątrz zaczął zapadać zmrok, a później zrobiło się całkiem ciemno. Czas mijał nieubłaganie, północ była coraz bliżej, wciąż nie miałem ze sobą zeszytu z przepisami świątecznymi Janki, ale i tak z determinacją spacerowałem w kółko, szepcząc jak w transie:

— Nie możesz teraz spać, nie możesz teraz spać...

Wiedziałem, że to kompletnie bez sensu, ale to było wszystko, co w tej sytuacji mogłem zrobić dla Adama, Mateusza, Paulinki, Janki i innych. I dla Krzysia. To było trudne do wytłumaczenia, ale bardzo wyraźne przeświadczenie — naprawdę miałem wrażenie, że wtedy, w pomieszczeniu dla osób tymczasowo zatrzymanych w Zamościu, mój zmarły syn bardzo uważnie mnie obserwuje. Tym bardziej zmuszałem się do ciągłego ruchu i z tym większą determinacją szeptałem w kółko swoją złożoną z czterech wyrazów mantrę.

## 15 kwietnia 2007 (niedziela)

Wiedziałem, że w nocy nic nie będzie mi zagrażało, że skoro Czarny dał mi czas na zastanowienie, to nie ma powodów, aby któryś z braci Bisów miał mnie niepokoić w kościele, niemniej jednak prawie nie zmrużyłem oka.

Jestem wdzięczny Bogu za to, iż nie miałem nawet chwili zawahania. Wizja, która wczoraj została przede mną roztoczona, zupełnie mnie nie kusi, więc to nie rozterki były powodem mojej bezsenności. Po prostu przez cały czas zastanawiałem się, co mógłbym zrobić, żeby pokrzyżować plany Czarnego.

Gdy zaczęło świtać, miałem już pewien pomysł, tylko że miał on jeden słaby punkt. Wydarzenia dnia sprawiły, że pojawiła się dla mnie jednak pewna szansa.

Kiedy Czarny pojawił się w pobliżu kościoła, zbliżało się południe. Nie mógł wejść do środka, ale domyślał się, że bacznie obserwuję to, co się dzieje w okolicy, stanął więc tylko w pewnym oddaleniu, niedaleko dzwonnicy, i czekał, aż wyjdę, aby z nim porozmawiać.

Nie był sam. Przyprowadził Dobrowolskiego, który odzyskał prawą rękę, oraz troje innych osób — dwoje dorosłych i dziewczynkę w sukience w białe grochy, bardzo podobną do tej z okładki książki „Czarny Wygon”. Anielka Komisarczuk i jej rodzice — nie było co do tego żadnych wątpliwości.

— I jak, drogi Adamie? — zapytał, kiedy pojawiłem się na zewnątrz.  
— Zastanowiłeś się nad moją propozycją?

— Ciągłe się nad nią zastanawiam i z każdą chwilą wydaje mi się ona coraz bardziej atrakcyjna — oparłem. — Jednak ostatecznej decyzji jeszcze nie podjąłem. To chyba zrozumiałe, że potrzebuję trochę więcej czasu? Przez całe dotychczasowe życie bardzo się przywiązałem do mojego światopoglądu. Wymaga pan ode mnie niewyobrażalnie dużo i jeśli zdecyduję się przyjąć ofertę, to będzie ona stanowiła początek drogi, z której nie będzie już można zawrócić, prawda?

Pokręcił głową z niezadowoleniem.

— Nie mam zbyt wiele czasu, więc nie mogę pozwolić ci się zastanawiać w nieskończoność. Pałę się już do działania. Moi towarzysze również.  
— Wskazał ręką na rodzinę Komisarczuków i Dobrowolskiego. — Potrzebujemy tych, którzy są z tobą w środku. Poza tym, bez urazy, ale zastanawiam się, czy przypadkiem czegoś nie knujesz. Ja zawsze dotrzymuję słowa, ale z wami, wierzącymi w innego boga niż ja, różnie to bywa.

— Niczego nie knuję. — Ponownie skłamałem. — Po prostu chcę się pożegnać z dawnym Adamem Nawrotem. Jedna doba to zbyt mało.

— Wiele oferuję swoim współpracownikom, ale też wiele od nich wymagam, a jednym z takich bezwzględnych wymagań jest umiejętność podejmowania szybkich i dobrych — z mojego punktu widzenia, oczywiście — decyzji. Ale ponieważ, jak wspomniałem wczoraj, mam do ciebie słabość, to dam ci jeszcze kilka godzin. Tuż po zapadnięciu zmroku przyjdę raz jeszcze. Jeśli do tej pory będziesz nadal pogrążony w rozterkach, to będę zmuszony je zakończyć.

— Skoro jestem dla pana tak ważny, to chyba możemy poczekać jeszcze do jutra?

Roześmiał się.

— Nie przeciągaj struny, mój drogi. Sytuacja po tamtej stronie, w twoim świecie, jest bardzo sprzyjająca. Twój przyjaciel próbował mi mieszać szyki, ale z pomocą nowych sprzymierzeńców udało mi się go w łatwy sposób unieszkodliwić. Jak więc widzisz, wielu chce do mnie dołączyć i choć wolałbym mieć cię po swojej stronie, jest to bardziej moja fanaberia niż konieczność.

— Coś się stało Witkowi?

— Na razie jeszcze nic, czego nie można by naprawić. Ale twoja decyzja będzie miała w tej sprawie kluczowe znaczenie, bo właśnie podsunąłeś mi pewną myśl. Nie zmienia to jednak faktu, że masz czas tylko do wieczora. Mam nadzieję, że będziesz rozsądny.

Zostawił tę czwórkę potępieńców w pobliżu kościoła, rozstawiając ich tak, abym nie mógł wyjść niezauważony.

— Mam nadzieję, że powiedziałeś prawdę i niczego nie knujesz. Ale sam chyba rozumiesz, kontrola najwyższą formą zaufania, jak mawiał kiedyś jeden z moich przyjaciół...

Kiedy odszedł, stałem przez jakiś czas na zewnątrz, wpatrując się w nienawistne spojrzenie Anielki, którym mnie mierzyła.

„Mam nadzieję, że będziesz rozsądny” — brzmiało mi w uszach i dzięki tym słowom w jednej chwili zrozumiałem tak bardzo wiele. Ileż to razy ludzie godzą się na pakt ze złem tylko dlatego, że jest to „rozsądne”... Właśnie wręcz namacalnie odczułem możliwość takiego wyboru, ale przecież na co dzień nikt nawet nie zdaje sobie sprawy, że podejmuje takie decyzje w zasadzie na każdym kroku. Oczywiście, nie wszystko, co racjonalne, musi być od razu złe, ale jakże często łatwiej jest wybrać błędną drogę tylko dlatego, że logika wskazuje ją jako właściwą.

Tym razem nie zamierzałem tego zrobić. Wybrałem drogę trudną, ryzykowną i być może prowadzącą donikąd, niemniej jednak było to lepsze, niż stanie się sprzymierzeńcem chociażby tych potwornych postaci, które miały za zadanie mnie pilnować.

Musiałem tylko działać tak, żeby Czarny niczego się nie domyślił do momentu, gdy będzie już dla niego (a właściwie dla Bisów) za późno na działanie. Wróciłem więc do kościoła, zamknąłem za sobą drzwi i rozpocząłem

poszukiwanie przedmiotów, które pomogą mi jak najlepiej zrealizować plan. Znalazłem kilka starych ksiąg, z których najbardziej okazałą był leciwy i porządnie zakurzony mszał. Powyrywanie z niego wszystkich kartek było dla mnie czymś w rodzaju świętokradztwa, jednak uznałem, że trudno o lepsze zastosowanie dla powiedzenia „cel uświęca środki”. Pozostałe woluminy również podarłem.

Rozglądałem się właśnie za co drobniejszymi drewnianymi elementami wyposażenia wnętrza, kiedy z dworu dobiegł do mnie podniesiony głos, więc ponownie stanąłem w progu świątyni. Anielka stała jak posąg, dokładnie tak samo, jak jakiś czas temu, natomiast w polu widzenia pojawili się dwaj bracia Bisowie. Starszy z nich, żywo gestykułując, próbował namówić do czegoś drugiego. Po chwili już wiedziałem, o co mu chodziło, bo słyszałem już teraz każde słowo, a oni zupełnie nie zwracali uwagi na moją obecność.

— Mirek, no co ci, kurwa, szkodzi? Podsadź mnie tylko i po sprawie będzie. Widziałeś wczoraj ten numer? Masz ochotę umierać kiedyś? Bo ja nie za bardzo, więc wystarczy tylko zadyndać, jak wczoraj ten stary debil, i pozamiatane. Nikt nam wtedy nie da rady, bo następnego dnia będziemy jak nowi. Zobacz na tego mnicha, co zanim był znów sobą, to się w Piotrka Adamowicza zamienił. — Wskazał ręką na Dobrowolskiego, który pilnował kościoła, stojąc na starym cmentarzu niedaleko studni. — Ręki wczoraj nie miał. I głowy też. Bardzo był uszkodzony, co nie? A dzisiaj znów działa!

— A skąd wiesz, że z nami będzie tak samo? — Mirek, mimo młodszego wieku, wyglądał na o wiele bardziej rozsądnego. Cedził słowa, trzymając ręce w kieszeniach, i ani myślał spełniać prośbę brata. — Przecież nie masz żadnej pewności. Chyba lepiej zapytać Czarnego na wszelki wypadek.

— Tak, akurat! Nawciska ci tylko jakiegoś kitu, żebyś był od niego zależny. A jeśliby się udało, to będzie nam mógł skoczyć!

— Uspokój się, Maciek. Przecież na razie wszystko jest tak, jak mówi, to dlaczego nagle miałby nas chcieć kantować?

— Widzisz przecież, że to Bobowicz. Cygan i tyle!

— Głupiś. Przecież Bobowicz inaczej się zachowywał, mówił...

— Będziesz jeszcze żałował!

Starszy z Bisów machnął ręką i zabrał się za przesuwanie szafy, która służyła wczoraj Komisarczukom za prowizoryczny sarkofag. Mocował się z nią intensywnie przez dłuższą chwilę, ale wreszcie udało mu się umiejscowić ją tam, gdzie wczoraj klęczał Dobrowolski. Postawił ją na węższym boku i wdrapał się na górę. Pętla pozostała jeszcze po Adamowiczu, więc Bis włożył w nią głowę.

Poruszony przez linę dzwon odezwał się jednym cichym uderzeniem.

Trochę mnie dziwiło, że Czarny nie kontroluje sprawy, więc popatrzyłem odruchowo w stronę zabudowań. Nie miałem racji. Stali z Bogdanem na drodze, jakieś sto metrów od kościoła, i w milczeniu przypatrywali się rozwojowi

wypadków.

— Weź się uspokój, baranie — powiedział Mirek lekko zaniepokojonym głosem, wyjmując dłonie z kieszeni i postępując kilka kroków do przodu.

— Możesz mi pomóc? — usłyszał w odpowiedzi. — Nie mogę przewrócić tego cholerstwa. — Widać było, że stojący na szafie Bis próbuje nogami przewrócić ją na stronę drzwi. — Silniejszy jesteś ode mnie, to chociaż tyle niech będzie z ciebie pożytku!

Wyglądał dość groteskowo. Jak marionetka na sznurku, wywijająca nogami przedziwne hołubce. Młodszy z braci roześmiał się na głos i znów włożył ręce do kieszeni.

— Ale z ciebie żałosny debil — powiedział rozbawiony. — Nawet powiesić się nie umiesz.

Ledwie skończył, szafa lekko się przechyliła. Najwidoczniej Maciek nastąpił na jakieś miejsce, które nie miało stabilnego oparcia na gruncie. Zachęcony zrobił krok do tyłu, a potem obunóż naskoczył tam raz jeszcze i szafa z głuchym łoskotem upadła na drzwi. Równocześnie słychać było trzask przerywanych kręgów szyjnych.

Święty Józef rozdzwonił się znowu.

Bis ważył więcej i był o wiele wyższy od Adamowicza, więc dotykał stopami podłoga, a dzwon nie miał na tyle masy, by bez trudu podrywać do góry ciało, tak więc wykonywało ono przedziwny taniec góra-dół, to uginając, to prostując bezwładne kolana.

Młodszy stał przez chwilę jak sparaliżowany. Krew odpłynęła z jego twarzy, a usta otwały się w bezgłośnym krzyku. Wreszcie rzucił się przed siebie, chwycił ciało brata, by zaraz potem unieść je lekko ku górze. Przez jakieś dwie minuty trzymał Maćka w uścisku, szepcząc do niego jakieś niezrozumiałe słowa. Wreszcie podciągnął go wyżej, by oswobodzić szyję brata z zabójczego uścisku pętli, a później łagodnie ułożył na ziemi i ukląkł obok.

— No już, Maciek, wystarczy tych wygłupów — powiedział.

— On już nie wstanie, Mirku.

Ani ja, ani młodszy Bis nie zauważyliśmy, że Czarny przeszedł drogę, która dzieliła go od dzwonnicy.

— Jak to nie wstanie? — Mirek spojrzał na niego wzrokiem, w którym czał się obłąd. — Przecież Adamowicz wczoraj...

— Adamowicz stracił kontakt z rzeczywistością — przerwał mu tamten. — Nie ma pojęcia, że znalazł się w innym wymiarze. Wy doskonale o tym wiedzieliście i dlatego was obowiązują inne reguły. Jak widzisz zresztą. Gdyby tak nie było, to Maciek już znów byłby z nami.

Bis wstał.

— Czy to znaczy, że...? Czy to znaczy, że Maciek...?

— Nie żyje, Mirku. I nic nie jest w stanie przywrócić go do życia. Ani do

takiego, do jakiego wrócił Bogdan, ani do żadnego innego. Teraz możesz go już tylko pochować.

— Ale pan to wszystko widział! — Bis podszedł do Czarnego i stanął tuż przed nim. Obłęd zniknął z jego oczu, a jego miejsce zajęła wściekłość. — Mógł pan temu zapobiec! Dlaczego nic pan nie...?

— Wymagam od moich współpracowników bezwzględnej lojalności i dotrzymywania zobowiązań. Nie potrzeba mi takich, którzy wątpią w moje słowa — odparł, a potem odwrócił się i ruszył w kierunku zabudowań Starzyny.

Po chwili zatrzymał się i popatrzył w moją stronę.

— Czy podjąłeś już decyzję, Adamie?

— Zdaje się, że dał mi pan czas do wieczora...?

— Zgadza się. Wobec tego czekam. Ale jeśli decyzja będzie dla mnie niekorzystna, to Mirek przyjdzie do kościoła i zrobi z tobą porządek. Pierwszy, ale z pewnością nieostatni raz.

— Zaraz, zaraz, panie Czarny! — krzyknął Bis. Głos mu drżał, ale już i tak zdążył się trochę opanować. — Nie taki zawarliśmy układ. Skoro mogę zginąć, to nie będę ryzykował potyczki sam na sam.

Teraz starzec spojrział na Bisa.

— Co ty bredzisz, Mirku? Przecież obiecałeś. Nie chcesz chyba pójść w ślady brata i złamać naszych ustaleń?

— Umawialiśmy się, że w razie czego do kościoła wejdę z bratem.

— Będziesz miał przecież karabin. Boisz się?

— Karabin jest nienaładowany. Przecież wie pan, że to sprawdziłem.

Czarny pokręcił głową ze złością.

— Ale Adam o tym nie wiedział, durny kmiecie!

Widać było, że w Bisie walczą rozmaite emocje — od wściekłości, poprzez rozpacz, aż po strach i nienawiść, ale opanował się i powiedział:

— Obiecał mi pan, że jeśli on się nie zgodzi... — Wskazał na mnie. — ...to wejdę do kościoła z bratem. Skoro zawsze pan dotrzymuje słowa, co słyszałem już wielokrotnie, to niech pan teraz to udowodni. — Spojrzał na leżącego na ziemi Maćka, a potem raz jeszcze na Czarnego. Tym razem z nadzieją.

— Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby was angażować w to przedsięwzięcie, no ale dobrze. Niech ci będzie. Dotrzymam danego słowa.

— Dziękuję, panie Czarny. Nie zniósłbym myśli, że nie uchroniłem brata przed śmiercią. Dziękuję z całego serca! Za to zrobię dla pana wszystko, czego tylko będzie pan chciał.

Czarny przyglądał mu się przez chwilę z pogardą, a potem rozkazał mu, aby dołączył do Adamowicza, który wciąż stał tam, gdzie przedtem. Gdy zostaliśmy sami, podszedł nieco bliżej i powiedział:

— Widzisz, drogi Adamie, z kim ja muszę pracować. Przydałby mi się ktoś taki jak ty. Mam nadzieję, że jednak się zdecydujesz. Zdaje się, że przez tego durnia,



który tam leży przy dzwonnicy, zyskałeś trochę dodatkowego czasu.

Zastanowiłem się przez moment, a później odparłem:

— Nie może pan wskrzesić Maćka teraz, prawda? Będzie mógł wrócić tu dopiero o świcie, tak jak Dobrowolski i Komisarczukowie?

— Nie, mój drogi. Ja już nie mogę go wskrzesić. Aż takiej mocy nie posiadam.

— Ale jak to? Przecież obiecał pan Mirkowi...

— Zgadza się — przerwał mi w pół zdania. — Obiecałem, że jeśli będzie trzeba, to przyjdą po ciebie z bratem. Nie zapominaj jednak, że braci Bisów było trzech...

Teraz jest już po północy.

Podczas moich starannych przygotowań miałem czas na to, aby dokładnie przemyśleć wydarzenia minionego dnia, i doszedłem do zabawnej konstatacji, że oto na moich oczach ludzka przebiegłość i chciwość pokrzyżowała plany wcielonego zła. W pewien sposób ten rzezimieszek, którego ciało wciąż leży obok przykościelnej dzwonnicy, próbował przechytryć Czarnego, co w rezultacie wpłynęło pozytywnie na realizację mojego planu. Mniejsze zło stanęło na drodze większemu, dzięki czemu zwiększyło szansę na pokonanie tego drugiego.

Szansę.

Wciąż nie jestem pewien, czy mój plan okaże się skuteczny, ale gdybym miał czas tylko do zapadnięcia zmierzchu, to z pewnością nie udałoby mi się ze wszystkim wyrobić. Teraz wszystko jest przygotowane w stu procentach. Pozostaje tylko modlitwa i wybór najbardziej odpowiedniej chwili.

Oprócz kartek ze starych ksiąg przy piecu było jeszcze sporo chrustu i dość grubo porąbanego, ale bardzo suchego drewna, przygotowanego do palenia pod kuchnią. Są też ławki, niewielkie drewniane rzeźby sakralne i — co chyba najważniejsze — znalazłem sporo oleju, który, jak pisał Witek, pozyskiwany był z siemienia lnianego. Jeśli papier i drobne gałęzie zajmą się szybko, to olej powinien skutecznie podsycić ogień.

Wszystkie zwęglone ciała poprzesuwałem na środek nawy głównej, a pod ścianami uformowałem ciągnącą się dookoła łatwopalną stertkę, podobną do przygotowanej do zapalenia jedną zapałką harcerskiej watry. Zapałki są, więc szybko podpale papier w wielu miejscach, a umieszczone nad nim najdrobniejsze gałązki powinny zająć się natychmiast. Gdy to się stanie, poleję grubsze polana olejem. Znalazłem też trochę karabinowych pocisków, które pozostały po poprzednich mieszkańcach. Powtykałem je przypadkowo w ułożony stos. Nie powinny wystrzelić od razu, ale gdy się to już stanie, z pewnością pomogą ogniowi bardzo szybko się rozprzestrzenić.

Sądzę, że nawet jeśli Bisów byłoby dwóch, to w momencie zauważenia pożaru ogień byłby już na tyle duży, że trudno byłoby im go ugasić, nawet pomimo tego, że trupa studnia jest na cmentarzu, tuż przy kościele. Skoro została tylko jedna

osoba, która może wejść do kościoła, to szanse na to, że drewniana budowla spłonie całkowicie, graniczą z pewnością.

Ta upiorna czwórka wciąż tam stoi w ciemnościach. Ponura straż Czarnego. Staralem się zachowywać cicho, więc raczej nie mieli możliwości się czegokolwiek domyślić. Mnie upilnowali, ale czy zwęglone szczątki, spalone w poświęconym niegdyś wnętrzu, zdołają ożyć na Czarnym Wygonie? Wydaje mi się, że nie ma na to szans, więc mimo że nie ruszałem się ze świątyni, wszelkie zabiegi tego porąbanego starca muszą okazać się daremne. Chciałbym zobaczyć jego minę.

Wodę święconą, którą znalazłem, także wykorzystałem. Skropiłem nią leżące na środku truchła i moje ubranie. Może to coś da?

Tak, planuję samobójstwo, ale mam nadzieję, że w taki sposób, który nie pozwoli mi wciąż trwać w Starzyźnie. Nie wiem, czy wszystko się ułoży po mojej myśli, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie spróbować. Możliwe, że się mylę i jutro obudzę się jako sprzymierzeniec Czarnego, i spojrzę na świat oczyma bez źrenic. Boję się tego o wiele bardziej niż bólu spowodowanego przez ogień. Zresztą być może z powodu braku tlenu stracę przytomność, zanim zacznę płonąć żywcem?

Wszystko się okaże wkrótce, w ciągu najbliższych kilku godzin.

Teraz najważniejsza jest modlitwa z różańcem, który trzymam w ręku.

I wybór możliwie najbardziej odpowiedniej godziny.

Godziny, w której zapłonie pierwsza zapałka.

## Rozdział czwarty

### 1.

Witku...?

Wydawało się, że ktoś, kto wypowiedział moje imię, jest gdzieś bardzo daleko ode mnie, zaprzeczył temu jednak delikatny dotyk, który poczułem na ramieniu.

— Witku, wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli wstaniesz.

— Janka, to ty? Która jest godzina? — zapytałem, nie otwierając jeszcze oczu.  
— I skąd się tu wzięłaś w mojej celi?

— Jest dwadzieścia pięć po pierwszej. Obudziłam się kilka minut temu i pomyślałam, że nie zaszkodzi sprawdzić, czy w brulionie nie pojawił się nowy wpis.

— Przecież ja tu nie mam brulionu...

— Obudź się już, proszę. Otwórz oczy i oprzytomnij, bo zdaje się, że ciągle jeszcze nie wiesz, gdzie jesteś.

Z trudem podniosłem powieki i skrzywiłem się, uderzony nieprzyjemną falą jasności. Gdy mój wzrok się trochę oswoił ze światłem, ujrzałem nad sobą Jankę, która trzymała w ręku otwarty brulion. Jeden rzut oka na wyposażenie pokoju wystarczył, bym zorientował się, że obudziłem się w sypialni księdza Dobrowolskiego, a nie w pomieszczeniu dla osób tymczasowo zatrzymanych, w Zamościu.

— Zdaje się, że nie pospałem zbyt długo? — powiedziałem, z trudem usiłując przyjąć pozycję siedzącą.

Zanim mi się to udało, pamiętałem już wszystko.

\*

„Nie możesz teraz spać” — to zdanie wypowiedziałem poprzedniego wieczoru nieskończoną ilość razy, aby nie dać się przemóc senności, przeszedłem też po celi spory kawał drogi, wreszcie jednak zmęczenie zatriumfowało. Usiadłem na pryczy w ten sposób, aby móc oprzeć się plecami o ścianę. Zastanawiałem się nad kolejną wizytą w toalecie, aby przy okazji znów dowiedzieć się od strażnika, która jest godzina. W sytuacji, w jakiej tkwiłem, czas mijał wolniej — to oczywiste, ale nawet biorąc na ten fakt poprawkę, uznałem, że jest już około północy (ostatnio za potrzebą byłem dwadzieścia po dziewiątej, a to było już chyba dość dawno), tak więc o zapisaniu kolejnych kart w brulionie mogłem spokojnie zapomnieć.

I właśnie wtedy do moich uszu dobiegł szczeł otwieranych zamków.

Zaniepokoiłem się, że może to ktoś ze świty Czarnego oszukał albo unieszkodliwił strażników i teraz idzie, aby się ze mną policzyć w imieniu swojego pryncypała. Każdy kolejny z niosących się echem po korytarzu kroków sprawiał, że czułem się bardziej bezbronny. Chwilę później na korytarzu pojawił się ktoś jeszcze.

— Już idę z kluczami, panie komisarzu. Czy kajdanki będą potrzebne?

— Po co kajdanki, jak go przecież wypuścić przyszedłem? Myśl trochę, młody.

Nie widziałem jeszcze Maciejewskiego, ale bez trudu rozpoznałem jego głos. Teraz pozostawała tylko wątpliwość, czy z jego oczyma będzie wszystko w porządku, jednak kiedy przypomniałem sobie, z jaką łatwością poradził sobie ze szklanką wody święconej, to trochę się uspokoilem.

Ponownie rozległ się odgłos otwieranego zamka, tym razem tego w moich drzwiach, i wkrótce potem w progu stanął jakże dobrze mi już znany gliniarz.

— Nie śpi pan jeszcze? — zapytał, a gdy odpowiedziało mu jedynie moje znaczące spojrzenie, dodał: — To dobrze, że jeszcze pan nie śpi. Bo właśnie okazało się, że będzie pan mógł już zasnąć na wolności.

— Która jest godzina?

Maciejewski spojrział na zegarek.

— Trzy po jedenastej. A dlaczego pan pyta?

— Główniej przyczyny nie mam ochoty panu zdradzać, ale kolejna jest taka, że nie bardzo wiem, co teraz mogę ze sobą zrobić w obcym mieście. Tutaj mam przynajmniej wyżywienie i darmowy nocleg, a pan chce mnie wygonić na zewnątrz w środku nocy?

— Jest pan niewinny, a my nie możemy ograniczać wolności niewinnych ludzi.

— A skąd pan wie, że jestem niewinny? — To wszystko wyglądało co najmniej podejrzanie.

Uśmiechnął się i odparł:

— Znaleźliśmy tego księdza w Krasnobrodzie, z którym rozmawiał pan między ósmą a wpół do dziewiątej rano. Potwierdził pańskie słowa podczas przesłuchania, więc ma pan alibi i dlatego jest pan wolny. — Widząc, że nie zamierzam wstać z pryczy odezwał się ponownie: — To nie koniec dobrych wiadomości. Przed komendą czeka ktoś, komu zawdzięcza pan uwolnienie i kto deklaruje, że bezpiecznie i komfortowo zawiezie pana do domu pomocy prowadzonego przez księdza Dobrowolskiego. Teraz to już chyba powinien być pan w pełni usatysfakcjonowany. — Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Mnie natomiast wcale nie było do śmiechu, ponieważ obawiałem się, że przed komendą będzie stał bordowy passat. Ton, jakim Maciejewski mówił o moim tajemniczym wybawicielu, sugerował, że oczekuje mnie osoba, którą dobrze zna, może nawet z nim zaprzyjaźniona, a skoro ten ktoś deklarował także zawiezenie mnie do ośrodka Dobrowolskiego, to musiał też niezłe orientować się w całej sprawie.

— Dobrze, panie komisarzu, to ja może wyłożę karty na stół... Jeśli tym kimś jest Stanisławski, to nie ma mowy, żebym się gdziekolwiek stąd ruszył. — Aby uwiarygodnić swoją deklarację chwyciłem się kurczowo krawędzi pryczy. — Jeżeli to on na mnie czeka, to zrobię wszystko, aby nie opuścić tego pomieszczenia. Mogę nawet zeznać, że to ja zabiłem Teresę Bielak. — Nakręcałem się coraz bardziej.

Maciejewski podniósł brwi ze zdziwienia i rzekł:

— Nie wiem, o co wyście się tak pokłócili, że pan jest taki zawzięty na Janka. Najpierw tamte fałszywe oskarżenia...

— A skąd pan, do cholery, może wiedzieć, że fałszywe!? — Wszedłem mu w słowo, prawie krzycząc. — Jak to jest on, to...

— Niechże się pan opanuje! Odbiło panu, czy co? — Tym razem on mi przerwał, ale zrobił to o wiele łagodniej niż ja przed chwilą. — To nie jest Janek. Ciągle nie udało mi się do niego dodzwonić i nadal nie wiem, co się z nim dzieje.

Żeby nie wyjść na kompletnego czubka, przestałem robić sceny i bez problemów dałem się wyprowadzić z celi.

Szybko załatwiliśmy formalności w dyżurce, gdzie odzyskałem swoje rzeczy, a potem znaleźliśmy się przed komendą.

— W poniedziałek o jedenastej proszę się stawić na przesłuchanie. Zapyta pan na portierni o mój pokój, to pana skierują — powiedział Maciejewski. — Dziś już nie będę pana męczył, zresztą sam mam wszystkiego dość.

— Gdzie jest ten ktoś, kto na mnie czeka? — zapytałem, ignorując informację o planowanym przesłuchaniu.

Maciejewski wskazał srebrną škodę octavię kombi stojącą po przeciwnej stronie ulicy, a potem, widząc moje zawahanie, rzekł:

— Aleś pan strachliwy. Proszę mi zaufać. To nie jest ktoś nieznajomy.

— Podejdzie pan ze mną, tak dla bezpieczeństwa?

— Wolałbym tego nie robić. Głównie ze względu na sprawy proceduralne. Nie powinienem się kontaktować teraz z...

— Proszę, tylko kilka kroków. Zobaczę, kto to jest, i już nie będę zawracał głowy.

Mój plan był taki, że jeśli kierowcą okazałby się jednak Stanisławski lub też ktoś inny mający problemy z brakiem źrenic, to natychmiast rzuciłbym się na policjanta, czym z pewnością zapewniłbym sobie ochronę w dobrze już znanym mi pomieszczeniu.

— Dobrze, mam nadzieję, że o tej porze nikt nas nie obserwuje — powiedział, wzdychając z rezygnacją.

Za kierownicą škody siedział starszy sierżant sztabowy Waldemar Witko, z którego oczyma wszystko było w jak najlepszym porządku. Doskonale widziałem to w świetle ulicznej latarni, gdyż uchylił szybę.

— No i jak? Chyba nie obawia się pan przejażdżki z policjantem? — zapytał

komisarz.

— Chyba nie mam innego wyjścia — odparłem bez przekonania i zaraz potem usiadłem z tyłu, za plecami sierżanta.

Maciejewski uniósł rękę w geście pożegnania, a Witko odpowiedział mu tym samym, uruchomił silnik i ruszyliśmy.

— Nie woli pan siedzieć z przodu? — Popatrzył na mnie we wstecznym lusterku.

— Słyszałem, że miejsce za plecami kierowcy jest najbezpieczniejsze, więc raczej zostanę tu, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Pokręcił głową.

— Oczywiście, że nie.

To wszystko było jakieś dziwne i trochę podejrzanе. Dlaczego Witko nagle zapragnął przyjść mi z pomocą? Odruch serca? Niewykluczone, ale równie — a może nawet bardziej — prawdopodobne było to, że ktoś postawił przed nim zadanie do wykonania. Mniej więcej takie, jak przed Teresą Bielak w ostatnią niedzielę. Z drugiej jednak strony, skoro pojawiła się niespodziewanie szansa, że będę w dworku u Dobrowolskiego na tyle wcześnie, by zdążyć zapisać kolejne karty „Przepisów Świątecznych”, to przecież nie mogłem nie spróbować jej wykorzystać. Byłem to winien Adamowi i podświadomie o tego typu biegu wydarzeń myślałem przez ostatnie godziny, rozpaczliwie próbując się powstrzymać przed snem.

Jechaliśmy w milczeniu prawie pustymi już o tej porze ulicami Zamościa. Z mijanych tablic informacyjnych wynikało, że kierujemy się w stronę przejścia granicznego z Ukrainą w Hrebennem. Kiedy wreszcie minęliśmy granice miasta, nie wytrzymałem:

— Mam nadzieję, że nie ma pan zamiaru zrobić tego samego, co z Mitnikiem, i dowiezie mnie pan cało na miejsce?

— Nie wiem, skąd panu przyszło coś takiego do głowy, panie Uchmann.

— W jego głosie wyraźnie zabrzmiało zdumienie. — Zresztą do czasu zakończenia postępowania i tak nie mam broni — zażartował, ale mnie wciąż nie było do śmiechu.

— Jak pan to zrobił? W jaki sposób dotarł pan do tego księdza w Krasnobrodzie?

— Proszę mi mówić po imieniu.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że powiesz mi, dlaczego postanowiłeś zaangażować się w tę całą sprawę i przyjść mi z pomocą.

Przez moment nie odpowiadał, jakby zbierając myśli. Wreszcie odparł:

— Będę z panem szczerzy i mam nadzieję, że to, co powiem, zostanie między nami. Sławek Maciejewski to dobry gliniarz i porządny człowiek, ale czasami, zwłaszcza w sytuacjach stresowych, biorą w nim górę emocje. Nie powinniśmy się raczej teraz kontaktować ze sobą...

— Dlaczego? — wszedłem mu w słowo.

— Trwa postępowanie wyjaśniające, grozi mi zwolnienie ze służby. W końcu zastrzeliłem przesłuchiwanego w trakcie prowadzonych czynności, a to bardzo poważny czyn, więc spodziewam się daleko idących konsekwencji. Fakt, że zrobiłem to w obronie własnej, sprawił, że nie zostałem aresztowany, ale do chwili wyjaśnienia sprawy inni funkcjonariusze raczej nie powinni się ze mną wymieniać informacjami. Wie pan jak to jest, obawa przed mataczeniem. No, ale ze Sławkiem jesteśmy dobrymi kolegami, może nawet przyjaciółmi, więc wiem, co się wydarzyło. No i po zastanowieniu uznałem, że takie pańskie zachowanie jest po prostu niezwykle dziwne. Ten list przy zwłokach, późniejsze pana zaprzeczenia... Jakoś się to wszystko nie trzymało kupy.

— Też miałem takie wrażenie i dziwiłem się, że nie dostrzega tego Maciejewski.

— Pewnie nie zauważył tego wszystkiego na gorąco. Ale nawet jeśli byłoby inaczej, to nie mógł zachować się inaczej.

— Czyli musiał posadzić mnie na czterdzieści osiem?

— Dokładnie.

— No dobrze, ale jak dotarłeś do tego księdza? Przecież jakiś policjant, tam na miejscu, stwierdził, że taki duchowny nie pracuje w tamtej parafii.

— Zenek pytał kilku miejscowych i faktycznie, udzielili mu odpowiedzi zgodnej z prawdą. Tyle że akurat mamy okolice Wielkanocy i często do parafii przyjeżdżają księża z zewnątrz, aby poprowadzić rekolekcje. Tak właśnie było w tym przypadku. Po prostu osoby, które rozpytał Zenek, na rekolekcjach nie były, a ja przyjrzałem się tej sprawie nieco mniej pobieżnie.

— Cóż, wygląda więc na to, że jestem twoim dłużnikiem.

— Miałem trochę szczęścia, bo ten ksiądz przyjechał w Niedzielę Palmową...

— Witko nie zareagował na to, co powiedziałem. — ...i w Krasnobrodzie planował być przez dwa tygodnie, a więc już jutro wyjeżdża. Jednak koledzy zdążyli dziś z przesłuchaniem i dzięki temu jest pan wolny. Muszą znaleźć innego podejrzanego. Ma pan mocne alibi, bo w małych miejscowościach i niewielkich miastach słowo księdza liczy się o wiele bardziej niż zeznania zwykłego śmiertelnika. — Lekko rozbawionym wzrokiem spojrział w lusterko. — Wie pan, co mam na myśli, prawda?

— Domyślam się — odparłem, również uśmiechając się pod nosem, ale zaraz potem znów spochmurniałem.

Przyszło mi na myśl ostatnie spotkanie z księdzem w Krasnobrodzie. Jeśli od mniej więcej wpół do dziewiątej rano nie utracił swoich zadziwiających zdolności, to wiedział przecież, że niedługo potem zostałem aresztowany. Z pewnością miał świadomość, iż policja o niego pyta, wystarczyło, aby się ujawnił i cała sprawa wyjaśniłaby się od razu. Wystarczyłoby również, aby zainterweniował i zło miałyby o wiele mniejsze szanse, lecz tego nie zrobił. Miałem do niego o to pretensje. Pretensje do sił dobra o to, że nie zadziałały

wtedy, gdy było to potrzebne. Ile razy w historii to przerabiano? Jak wielu ludzi patrzyło w niebo z nadzieją na boską reakcję, gdy w czasie drugiej wojny światowej ginęły miliony niewinnych ludzi?

A później przyszło mi na myśl to, co powiedział o sile ludzkiego umysłu, który skutecznie może walczyć ze złem. Witko nie potrzebował interwencji niebios, po prostu kojarzył fakty i dzięki temu doszedł do pewnych logicznych wniosków. Później jeszcze, zamiast wymądrzać się na kanapie salonu przed własną żoną, po prostu wszedł do samochodu i pojechał do Krasnobrodu, aby upewnić się, czy rzeczywiście nie mam alibi, czy po prostu ktoś wcześniej coś przeoczył. Rozum i działanie. Tyle wystarczyło.

Skręciliśmy w Łabuniach, a więc do celu pozostało ledwie kilka kilometrów.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytałem cicho. — Co sprawiło, że chciało ci się zaangażować w sprawę. Biorąc pod uwagę fakt, że toczy się wobec ciebie postępowanie, chyba sporo ryzykowałeś...?

— Czasem warto, panie Uchmann. W mojej sytuacji na pewno powinienem był tak zrobić.

— W twojej sytuacji? Chodzi ci o to postępowanie wewnętrzne?

— W ogóle wtedy nie myślałem o dyscyplinarce. Liczyło się co innego. Nie wiem, ile Sławek zdradził panu odnośnie do szczegółów śmierci Mitnika...

— Nic, prócz tego, że zastrzeliłeś go podczas przesłuchania.

Przez moment się nie odzywał. W oddali widać już było pierwsze zabudowania wioski, w której położony był dworek.

— Wczoraj po południu przyprowadzili Mitnika do pokoju przesłuchań. Facet był dość potężny, pamiętaliśmy o pańskim ostrzeżeniu, więc miał na sobie takie połączone kajdanki na nadgarstki i kostki u nóg. Wie pan jak to wygląda?

— Mniej więcej.

— To naprawdę mocny sprzęt, ale gdy tylko zostaliśmy w pokoju sami, Mitnik najpierw zerwał łączenie na wysokości pasa. Zrobił to z taką łatwością, jakby miał do czynienia z papierowym łańcuchem, który wiesza się na choince. Później schylił się, przerwał kajdanki przy stopach, a zaraz potem wystarczyło jedno szarpnięcie, by jego ręce nie były już ze sobą połączone. Patrzyłem na to jak osłupiały, zachowałem się jak totalny żółtodziób... To tutaj, prawda?

Zasłuchany w jego opowieść nie spoglądałem przez szyby, ale jeden rzut oka wystarczył, bym przekonał się, że jesteśmy przy dworku Dobrowolskiego. Potwierdziłem więc, a Witko zgasił silnik.

— Był już o krok, wyciągał łapy w moim kierunku, ale właśnie wtedy paraliż minął. Wyszarpnąłem glocka zza pasa i strzeliłem Mitnikowi prosto między oczy. Nie mogłem celować w nogi, bo z pewnością zdołałby by mnie dopaść.

— I ma pan w związku z tym postępowanie dyscyplinarne? — Zdziwiłem się. — Przecież to była klasyczna samoobrona.

Sierzant włączył górne światło i odwrócił się, by spojrzeć mi w twarz.



— Sęk w tym, że nie wolno mi wnosić broni do pokoju przesłuchań. To wbrew regulaminowi. Jednak ja ukradkiem wsunąłem pistolet za pas, na plecach, a że miałem na sobie kurtkę, nikt na stróżówce niczego nie zauważył. — Witko ani na moment nie spuścił mnie z oczu. — Zrobiłem to, ponieważ pamiętałem pańskie słowa, którymi ostrzegał nas pan wczoraj niedaleko domu Bisów. Gdyby nie pan, już bym nie żył. Moja żona zostałaby wdową, a córeczka straciłaby ojca. Bardzo panu dziękuję, panie Uchmann, i jestem pańskim dozgonnym dłużnikiem.

Przez jakiś czas stałem i patrzyłem na oddalające się światła škody. Próbowałem sobie to wszystko jakoś poukładać, lecz zamiast mądrych myśli przychodziły mi do głowy słowa, które często powtarzała moja matka: „Uczynione dobro zawsze do ciebie wróci, synku”. Nie byłem do końca świadom, dlaczego te słowa przypominałem sobie właśnie teraz. Być może chodziło o to, że przecież wcale nie musiałem ostrzegać policjantów przed Mitnikiem — mało tego, robiąc to, narażałem się na śmieszność. Być może. Bardziej jednak uderzał mnie fakt, jak wiele czasem może zmienić jedno wypowiedziane (bądź nie) zdanie. Gdybym wtedy w zielonym lanosie nie powiedział tego, co powiedziałem, Witko pewnie by teraz nie żył. Jego rodzina by go opłakiwała, a ja nadal tkwiłbym w policyjnym areszcie.

To jednak jeszcze nie koniec...

Gdyby Witko po prostu ucieszył się, że mu się udało, i w mojej sprawie nie kiwnąłby palcem, to nadal tkwiłbym w celi. On jednak chciał mi się odwdzińczyć i zaczął działać. Chciał zrobić to, co tylko możliwe, aby mi pomóc. I zrobił. A więc dobro ani nie czyni się samo z siebie, ani nie wraca ot tak sobie, zupełnie przypadkiem. Ktoś musi mu pomóc. Ta myśl przypominała mi o Adamie i o tym, że do północy najprawdopodobniej nie zostało już wiele czasu.

Zacząłem się właśnie zastanawiać, jak o tej porze dostać się do środka, gdy poczułem, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Drgnąłem, ale zaraz potem usłyszałem słowa wypowiedziane przez Jankę:

— Dobrze, że cię wypuścili. Cały czas miałam nadzieję, że zdążysz przed północą. Kto cię przywiózł?

— Sierżant Witko. Ten, który przez całą noc był w domu Mitników, ze środy na czwartek — odparłem, odwracając się. — Która jest teraz godzina?

— Za dwadzieścia. Pewnie trzeba będzie poprosić siostrę Łucję o jakieś tabletki nasenne?

— Nie, Janka. Wydaje mi się, że usnę zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki. Tylko... nie wiesz, gdzie mógłbym się położyć? Ksiądz Dobrowolski pewnie już śpi?

— Nie, jego sypialnia jest pusta. On, Jasiiek, Rafał, Albin i Józek pojechali do Bliżowa.

— Pewnie żeby porozmawiać z Bisem w sprawie Mateusza?

— Tak, ksiądz mówił, że taki mieliście zamiar, więc kiedy wróciliśmy

z Zamościa wczesnym popołudniem...

— Byliście dziś w Zamościu? — zdziwiłem się.

— Chcieliśmy spróbować jakoś wpłynąć na komendanta. Ksiądz Dobrowolski go zna, chciał poręczyć, ja byłem gotowa zeznawać, jak było naprawdę, ale nic to nie dało. Powiedzieli, że do momentu, gdy zostaniesz przesłuchany, nie możesz się z nikim widzieć. Tak więc wróciliśmy i jakoś tak przed trzecią wsiedli do samochodu Rafała i pojechali.

— Niedobrze. Bardzo długo ich nie ma — powiedziałem. — Bis może nie być sam. Niewykluczone, że teraz jest z nim Stanisławski.

— To samo im mówiłam, ale stwierdzili, że jest ich pięciu i jakoś dadzą sobie radę. Wzięli strzelbę z zakrystii, każdy z nich ma też nóż. Dobrowolski chciał je również poświęcić, tak samo jak krzyżyki, no ale powiedziałam, że ten policjant na kacu wypił wodę ze świętego źródła.

Zabrzmiało to jak kiepski żart.

— Cała aż drzę z niepokoju, ale niczego nie mogę zrobić. Dobrze, że cię wypuścili.

— No tak, tylko teraz najlepsze, co mogę zrobić, to położyć się spać. Nie wydaje ci się to zabawne?

— Od jakiegoś czasu nic nie wydaje mi się zabawne — odparła głosem tak przepełnionym bólem, że aż pożałowałem swojego pytania. — Posłuchaj, Witku, zanim jeszcze wejdziemy do środka... Wiem, że nie ma czasu, ale to bardzo ważne. Jesteś pewien, że ten Bis, który został w Bliżowie, ma na imię Michał?

— A czy to ma jakieś znaczenie?

— Tak. Pewnie nawet większe, niż ci się może wydawać.

Zamyśliłem się na moment i stwierdziłem, że teraz to niczego nie mogę być pewien.

— Wiesz, Janka, rano, jak rozmawiałem w kościele z Dobrowolskim, to użyłem imienia „Michał”, bo zdawało mi się, że wczoraj jeden z policjantów tak się do niego zwrócił... Kiedy Rafał mi opowiadał o tym, jak poznał Bisów, to też wspominał o Michale, który jest najstarszy z braci.

— W zapiskach, które sporządziłeś ostatniej nocy, pada imię jednego z braci, czyli najmłodszego, Mirka. Średni wiekiem ma na imię Maciej, ale ani jego imię, ani najstarszego, czyli Michała, nie jest wymienione. Ten, który został, jest wysoki. Na ile lat mniej więcej wygląda?

— Janeczko, wydaje mi się, że nie mamy teraz czasu na...

— Błagam, odpowiedz mi na to pytanie!

Od momentu, gdy zaczęliśmy rozmawiać, cały czas wolnym krokiem zbliżaliśmy się do dworku. Teraz przystanąłem, bo znaleźliśmy się tuż przed wejściem.

— Dobrze, poczekaj, muszę sobie przypomnieć... Wydawało mi się, że może być już po czterdziestce.

— Czyli to chyba on — szepnęła z nadzieją Janka. — A wzrost?

— Średni, mniej więcej taki jak mój.

Odetchnęła z ulgą.

— W takim razie Bogu dzięki, to Michał. Pozostali dwaj mierzą chyba powyżej metra dziewięćdziesięciu. No i on chyba z nich wszystkich jest jeszcze najporządniejszy.

— Skoro pozostali są jeszcze gorsi, to w takim razie ja nie chcę ich spotkać — oświadczyłem.

— Witku, jest jeszcze coś, co może mieć znaczenie, ale powiem ci o tym rano. Teraz musisz już jak najszybciej się położyć.

Pięć minut później leżałem w niezbyt wygodnym łóżku księdza Dobrowolskiego, a brulion i długopis tradycyjnie umieściłem na siedzisku krzesła stojącego obok. Brak komfortu nie był problemem, ale obawiałem się, że przeszkodzić w zaśnięciu mogą mi natrętne, pełne niepokoju myśli. Na szczęście zmęczenie okazało się silniejsze i zasnąłem prawie natychmiast.

\*

— Półtorej godziny na odpoczynek, to chyba jednak zbyt mało? — powiedziałem z lekkim wyrzutem do Janki, przyjmując od niej wciskany mi gorączkowo do rąk otwarty brulion.

— Wiem, Witku, ale gdy przeczytasz nowe zapiski, to zrozumiesz, że nie mogłam inaczej. Zdaje się, że Adam jest w wielkim niebezpieczeństwie. — Jej głos drżał, co otrzeźwiło mnie na tyle, bym mógł błyskawicznie zebrać myśli. — I chyba jest to niebezpieczeństwo, które sam na siebie ściąga.

— Co ty mówisz, Janka? Wszystko wskazuje na to, że mamy czas do trzeciej nad ranem w poniedziałek.

— A dlaczego akurat do trzeciej w poniedziałek? — zapytała, ale zaraz potem dodała: — Odpowiesz mi po lekturze notatek, dobrze? Mam wrażenie, że to jest teraz absolutnie najważniejsze, bo może się okazać, że nie możemy czekać.

Potarłem oczy, żeby wyostrzyć wzrok, i powoli zacząłem składać litery.

## 2.

Kwadrans później siedzieliśmy w fieście i zmierzaliśmy w stronę Bliżowa.

— Bogu dzięki, że się obudziłaś, Janka — powiedziałem. — Gdybym przeczytał te notatki dopiero jutro, to z pewnością byłoby już za późno. Zresztą i tak być może już jest, ale jeszcze przynajmniej jest cień nadziei, bo do trzeciej została godzina.

— Znów wspominasz o tej godzinie, a ja wciąż nie bardzo rozumiem dlaczego. Możesz mi to wyjaśnić?

— Spróbuję, choć sam nie jestem niczego pewien — odparłem. — Posłuchaj, wspominałem już chyba, że Czarny może przenikać pomiędzy światami około trzeciej, o czym poinformował mnie Krzyś, gdy przyśnił się mi się na podwórku Mitników. Chodziło o przeciwny biegun do piętnastej, a więc do godziny ukrzyżowania Chrystusa.

— Nie wiem, może wspominałeś. No, ale nieważne. Przeciwieństwo godziny, czyli coś na tej zasadzie, że północ to odwrotność dwunastej w południe?

— Właśnie tak. Czyli Czarny, który jest wtedy najsilniejszy, ma możliwość przeprowadzania osób lub — nazwijmy to w skrócie — otwierania drzwi do Starzyzny. Zapewne o tej godzinie przeszedł tam z Bogdanem i Bisami lub ewentualnie poinstruował ich, kiedy i gdzie będą mogli przeniknąć tę niewidzialną granicę. I teraz tak... — ciągnąłem. — ...Czarny postawił Adamowi ultimatum, że ma udostępnić ciała z kościoła w sobotę wieczorem. Zakłada, że potępieni, którzy spoczywają obecnie w świątyni w Starzyźnie obudzą się w niedzielę, czyli dzisiaj, na Czarnym Wygonie, ale to już będzie po trzeciej, bo jasno robi się jakoś tak przed szóstą.

— Tak, teraz już rozumiem — powiedziała Janka. — Czyli jeśli chciałby ich z kolei przeprowadzić do naszego świata, to będzie mógł to zrobić dopiero w poniedziałek o trzeciej?

— Zgadza się, ale wystąpiła nowa okoliczność, o której dowiedzieliśmy się przed chwilą z brulionu. Wobec samobójstwa Macieja Bisa...

— No właśnie... — wtrąciła. — Teraz przynajmniej mamy pewność, że tutaj został Michał.

— Wobec samobójstwa średniego z braci... — Kontynuowałem. — ...plany Czarnego zostały pokrzyżowane. Musi więc ściągnąć do siebie Michała, żeby dotrzymać słowa najmłodszemu, czyli Mirkowi. Może to zrobić o trzeciej, ale trupy z kościoła byłoby można wynieść dopiero w niedzielę, czyli dziś, ich pobudka może nastąpić w poniedziałek, a zbiorowa wycieczka „all inclusive” wyruszy do nas najprawdopodobniej dopiero we wtorek.

— Ale jeśli Adam faktycznie spali kościół, to z wycieczki nici? — rzekła cicho Janka.

— Przynajmniej nie w pełnym gronie. Ale zdajesz sobie sprawę, że nie to jest teraz dla mnie najważniejsze?

— Oczywiście. Chodzi o to, żeby nie dopuścić do samobójczej śmierci Adama?

Groźba tego, co się może stać, po raz pierwszy została wypowiedziana na głos i było to tak przerażające, że aż straciłem na chwilę oddech. Po chwili jednak nieco się uspokoiłem i odpowiedziałem:

— Miejmy nadzieję, że jeszcze się to nie stało. Na to, niestety, nie mamy jednak wpływu — dodałem po chwili. — Teraz ważne jest, że Czarny niczego się nie spodziewa i prawdopodobnie pozwoli Bisowi na przekroczenie granicy. Wiedział, że mnie zamknęli, wie też prawdopodobnie, że zostałem wypuszczony, ale

ponieważ mam znów różaniec i krzyżyk, to nie ma pojęcia, co się w tej chwili ze mną dzieje. Nie wie też, gdzie są ci, którzy wcześniej wybrali się do Bliżowa, bo oni też mają krzyżyki, ani nie wie, gdzie jesteś ty.

Janka odruchowo sięgnęła do szyi, a ja oderwałem wzrok od rozświetlanej przez reflektory drogi i spojrzałem na bladą twarz siedzącej obok kobiety.

— To się może udać. Ważne jest tylko to, aby Adam nie rozpalił ognia zbyt szybko i aby znaleźć Bisa jeszcze przed trzecią i jakimś cudem nakłonić go do współpracy. Szanse mamy małe, ale trzeba spróbować, bo po trzeciej na pewno bezpowrotnie stracimy Adama. Znam go trochę i nie sądzę, żeby cofnął się przed zrealizowaniem swojego planu.

Później milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

Akurat mijaliśmy miejsce, gdzie w piątek złapałem gumę, i zastanawiałem się, co by było, gdyby teraz historia się powtórzyła, kiedy Janka odezwała się ponownie:

— Witku, przepraszam, ale to mnie bardzo męczy i muszę o to spytać... Czy sądzisz, że jeśli Adam podpali kościół i w nim zginie, to czy... No wiesz, czy stanie się jednym z Nich? Myślisz, że obudzi się o świcie na Czarnym Wygonie i we wtorek wróci do naszego świata razem z Czarnym? Rozumiem, że pozostałych nie uda się odzyskać, ale on... Adam tak naprawdę popełni przecież samobójstwo.

Nie odpowiedziałem jej od razu. Do tej pory, zasugerowany niejako punktem widzenia Adama, zupełnie nie wziąłem pod uwagę faktu, że sprawy mogą potoczyć się dokładnie tak, jak powiedziała Janka. Teraz jednak zacząłem mieć ogromne wątpliwości, odpowiedziałem więc w następujący sposób:

— Nie wiem, Janeczko. Zdaje się, że to są sprawy, których nie można przewidzieć. Przede wszystkim mam nadzieję, że uda się nam ocalić Adama, ale jeśli nie, to że przynajmniej jego plan okaże się skuteczny, a sposób myślenia — prawidłowy.

Miałem jeszcze dodać, że tak naprawdę, to do końca nie możemy być pewni tego, czy faktycznie ci, których ciała są teraz w kościele, nie ożyją o świcie i nie dołączą do Czarnego, ale w porę ugryzłem się w język. Lepiej było skoncentrować się na prowadzeniu samochodu, niż dywagować odnośnie do kwestii, na które i tak nie mogliśmy nic poradzić.

\*

Wjechaliśmy właśnie do Bliżowa, gdy powiedziałem:

— Zanim położyłem się do łóżka przed północą, wspomniałaś coś o jakiejś rzeczy, która może mieć znaczenie. Mamy jeszcze chwilę, może więc powiesz mi o niej teraz?

— Ach tak, rzeczywiście. Chodzi o Michała Bisa. Jest coś, o czym Teresa powiedziała mi tuż przed tym, gdy na dziedzińcu przed dworkiem pojawił się Stanisławski. W kościele trwała msza, a my siedziałyśmy na ławce.

Opowiedziałam Teresie o treści zapisków, które wcześniej odczytałam. To było dla mnie bolesne, ale musiałam się wygadać, rozumiesz, prawda?

— Tak, oczywiście.

— No więc kiedy wspomniałam o tym, jak na koniec Czarny podszedł do Adama i namawiał go do przejścia na stronę zła, a później napomknęłam o Mateuszu, który jest pod opieką jednego z braci, wtedy właśnie Teresa zaczęła dopytywać, czy nie chodzi przypadkiem o Michała.

— Ona też miała nadzieję, że jako najłagodniejszy z trzech Bisów nie zrobi małemu krzywdy? — zapytałam.

— Nie chodziło jej tylko o to...

W tym momencie usłyszeliśmy huk, a przodem samochodu gwałtownie zarzuciło. Z najwyższym trudem zdołałem wyhamować i zatrzymać się na poboczu. Kiedy wysiadłem, okazało się, że moje wcześniejsze obawy były zupełni uzasadnione. Prawie całkiem przetarte już zapasowe koło eksplodowało i zostaliśmy ostatecznie pozbawieni środka transportu. Szczęście w nieszczęściu, że stało się to dokładnie obok domu Teresy, a więc do celu podróży, czyli do przysiółka Bisy, pozostało nam ledwie kilka minut marszu. Ruszyliśmy niezwłocznie, ale po przebyciu kilkudziesięciu metrów przystanąłem i zapytałem Jankę:

— Fiesta była otwarta, prawda? Zdaje się, że Maciejewski znalazł w niej nóż Teresy, więc wtedy, po powrocie z Krasnobrodu i Guciowa, zapomniałem ją zamknąć, a później, jak mnie aresztowali, też tego nie zrobiłem, bo i niby kiedy?

— Chyba jej nie otwierałeś, zanim wyruszyliśmy.

— Wygląda na to, że trzeba do niej wrócić, chyba że wiesz coś o nabojach?

— Nie rozumiem...

— Mówiłaś, że Dobrowolski i pozostali zabrali ze sobą strzelbę z zakrystii. Nie wiesz, czy mieli do niej amunicję?

— Nie mam pojęcia. Na pewno nic mi o tym nie wspominali.

— No to na wszelki wypadek trzeba sprawdzić, czy w dalszym ciągu nie leżą w aucie. Zostaniesz tu na chwilę?

— Nie chcę być teraz sama nawet przez kilka sekund — powiedziała Janka zdecydowanym głosem. — Zwłaszcza tutaj.

Kiedy Stanisławski w piątek rano podał mi pudełko z nabojami, natychmiast włożyłem je pod siedzenie kierowcy. Przed zakuciem mnie w kajdanki w dworcu Dobrowolskiego dowiedziałem się od Maciejewskiego, że policja znalazła w fieście nóż. Po powrocie do samochodu miałem dowiedzieć się, czy po dokonaniu tego odkrycia przetrząsnęli dokładnie auto, czy też zadowolili się pierwszym, rzekomo obarczającym mnie znaleziskiem.

Niestety, pudełka pod siedzeniem nie było. Wydawało mi się mało prawdopodobne, aby policjanci nie wspomnieli mi nic o jego znalezieniu, ale w zasadzie po Maciejewskim i jego metodach śledczych można było się

spodziewać wszystkiego. Na wszelki wypadek jednak postanowiłem metodycznie przeszukać okolice fotelu kierowcy, wychodząc z założenia, że amunicja mogła przemieścić się podczas jazdy. Badałem więc podłogę w słabym blasku górnej lampki i nagle moja dłoń natknęła się na płaski, prostokątny przedmiot.

Po rozmowie telefonicznej, podczas której Janka poinformowała mnie o śmierci Teresy, musiałem po prostu rzucić komórkę byle jak obok fotela, a później zupełnie o niej zapomniałem. Skoro jednak tu była, to mogło oznaczać, że policja jednak nie dokonała szczegółowej rewizji i być może jednak naboje zabrał Józek, którego poinformowałem w zakrystii, że jestem w ich posiadaniu. Szanse na taki scenariusz zwiększał fakt, że podczas tej rozmowy w zakrystii obecni byli również Albin i Katarzyna.

— Zobacz, co znalazłem. — Pokazałem Jance wygrzebaną spomiędzy fotela i progu komórkę.

— No to na co jeszcze czekasz? — spytała.

— Nie bardzo rozumiem...?

— Może byś w takim razie skorzystał z tego telefonu? Zdaje się, że masz w nim zapisany numer do Rafała.

Dwa lata w Starzyźnie zrobiły jednak swoje. Gdyby nie one, to przecież pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałbym po wyjściu z samochodu Witki i uzyskaniu od Janki informacji, że nie wiadomo, co się od wielu godzin dzieje z Rafałem i pozostałymi, byłby telefon otrzymany od Stanisławskiego. Zmęczenie, jakie odczuwałem tuż przed północą, a także opowieść sierżanta także mogły mieć wpływ na przytępienie moich procesów myślowych. Tak, to było bardzo wygodne tłumaczenie.

— A ty nie próbowałaś się do nich dodzwonić przez te wszystkie godziny? — Moje pytanie, nie do końca wbrew intencjom, zabrzmiało jak próba obrony poprzez atak.

— Oczywiście, że próbowałam, ale ksiądz, podobnie jak w piątek, zapomniał telefonu, a Rafał w tym całym zamieszaniu nie podał mi numeru przed wyjazdem. Zresztą nie ma pewności, czy też nie zostawił aparatu w dworku. Moglibyśmy spróbować się dowiedzieć, gdybyś użył tego, który trzymasz w ręku, ale być może mamy mnóstwo czasu, żeby o tym sobie teraz dyskutować — dodała z przekąsem.

Jak się chwilę później okazało, była to całkiem sensowna rada. Rafał poinformował mnie przez telefon (cały czas mówiąc jak najciszej), że od kiedy dotarli na miejsce i sprawdzili dom, rozstawili się w ukryciu niedaleko zabudowań należących do Bisów, ale od tamtej pory ani na podwórzu, ani w okolicy nie zaobserwowali niczego, co miałoby związek z poszukiwanym, najstarszym z braci.

Tuż po przyjeździe stukali do drzwi i okien, ale nikt im nie otworzył. Ponieważ zawiasy jednego ze zdezelowanych okien były osadzone w spróchniałej

ościeżnicy, Jaśkowi Greli z łatwością udało się je wyrwać i wejść do środka. W chałupie nie zastał jednak nikogo, pomimo że przeszukał budynek bardzo dokładnie.

Na koniec zapytałem, czy Bisowie mają samochód. W słuchawce usłyszałem:

— Tak, starego i mocno zdezelowanego golfa. Stoi w szopie, więc jeśli Michał z Mateuszem pojechali gdzieś dalej, to albo z kimś, albo Autonaprawą.

Na początku nie wiedziałem, o co chodzi, ale później przypomniałem sobie, że w czwartek, czyli mniej więcej — jak mi się zdawało — kilka wieków temu, tę właśnie nazwę przewoźnika odczytałem na miejscowym przystanku.

— Witek, słuchaj, a gdzie ty w ogóle teraz jesteś? — zapytał Rafał, wciąż niemal szepcząc, gdy nie doczekał się mojej reakcji. — Wypuścili cię, czy jakimś cudem dzwonisz z aresztu?

Od początku rozmowy szliśmy z Janką w kierunku końca wsi, więc do celu zostało nam najwyżej kilka minut.

— Zaraz tam z Janką u was będziemy. Zbierz przez ten czas wszystkich, bo musimy się naradzić, co robić dalej. Idziemy na piechotę od strony Adamowa. Wzięliście przed wyjazdem naboje z fiesty?

— Tak, Józek znalazł pod siedzeniem.

— To powiedz mu, żeby przypadkiem nie wziął nas za kogoś, kogo na wszelki wypadek warto odstrzelić.

### 3.

Bliźów milczał.

Dopiero kiedy skończyłem rozmowę z Rafałem, uświadomiłem sobie, jak bardzo wokół jest cicho. Było to dość dziwne, wszak swoim przyjazdem, rozmową, czy chodzeniem w tę i z powrotem narobiliśmy przecież trochę hałasu. Można się było spodziewać przynajmniej psiego ujadania...

— Witku... — szepnęła Janka. — Zwróciłeś uwagę na to, że psy milczą?

Ciarki przebiegły mi po plecach. Dlaczego musiała powiedzieć to dokładnie w chwili, gdy o tym pomyślałem?

— Nie wiem, czy ci o tym wspominałam, ale Teresa, świeć Panie nad jej duszą, wspominała o tym, że taka cisza towarzyszyła wizytom Czarnego. Myślisz, że mógł przeniknąć przez granicę wcześniej i samemu przyjść po Michała? Jeśli tak, to...

— Janka, spokojnie. Nasi są bezpieczni. Czarny nie ma do nich dostępu, pamiętasz, mają krzyżyki od Dobrowolskiego.

— A Stanisławski? Znają się przecież z Rafałem, a sam, tuż po tym, gdy przed północą wysiadłeś z samochodu tego policjanta, wspomniałeś, że Stanisławski



może być teraz z Bisem.

Miała rację, faktycznie tak powiedziałem. Teraz powinienem wymyślić coś, co mogłoby mojej wcześniejszej tezie zaprzeczyć. Pamiętając jednak, że czasem mogą decydować sekundy, raz jeszcze zadzwoniłem do Rafała, żeby go ostrzec, a później, lekko zasapany, ponieważ, zupełnie nad tym nie panując, przyspieszaliśmy kroku, odparłem:

— Wydaje mi się, że jeśliby coś się miało stać Rafałowi, Józkowi, Albinowi...

— Przecież wiadomo komu — przerwała mi. — Do rzeczy, Witku, bo bardzo się o nich boję.

— Myślisz, że ja nie?

— Nie, nie myślę tak. Po prostu mów dalej i jakoś mnie uspokój.

— ...to już by im się stało — skończyłem poprzednią myśl. — To po pierwsze. A po drugie, do tej pory wszystko wskazuje na to, że Czarny chce tylko jednego dowodu na lojalność. W przypadku Teresy i Mitnika tak właśnie było. Stanisławski już zrobił swoje, więc... — Nie musiałem kończyć.

— Obyś miał rację — powiedziała Janka i po chwili dodała z innej beczki: — A teraz, żebyśmy nie szli w tej okropnej ciszy, opowiedz mi o tym, jak to się stało, że cię zwolnili.

Przyjąłem jej propozycję z radością, ale jeszcze zanim zacząłem, usłyszałem od strony mijanego właśnie gospodarstwa przeciągłe wycie psa. Po chwili odpowiedziało mu drugie. Żałosne, złowrogie, takie, które — jak niektórzy wierzą — zwiastuje śmierć.

Janka wzięła mnie pod rękę. Drżała. Powietrze wokół nas było tak gęste od niepokoju, że można je było kroić nożem, a ja uświadomiłem sobie, że nocą zawsze najciszej jest koło trzeciej, gdy nocne ptaki skończą już swój koncert, a ranne jeszcze go nie zaczynają.

„Godzina Czarnej” — pomyślałem, a potem opowieścią wróciłem mniej więcej do dwudziestej trzeciej.

\*

Zbliżaliśmy się właśnie do metalowego krzyża, stojącego pod rozłożystą lipą, gdy po prawej zamajaczył jasny kształt. Mieliśmy pecha, ponieważ cienki już i wciąż znikający księżyc dopiero za jakieś dwie, może trzy godziny miał wzejść nad horyzontem, ale oczy już jako tako przyzwyczyły się do ciemności, więc udało mi się w jaśniejszej bryle rozpoznać samochód Rafała. Minęliśmy najpierw auto, a zaraz potem dotarliśmy do zabudowań należących do Bisów.

Na środku drogi siedział znany mi pies o imieniu Ares, ale w ogóle nie zwracał na nas uwagi. Patrzył w leśną gęstwinę, rozciągającą się po naszej lewej. Zanim zdążyliśmy się zaniepokoić nieobecnością Rafała i reszty, spośród drzew zaczęły jedna po drugiej wyłaniać się kolejne postaci. Chwilę później pięciu mężczyzn stanęło naprzeciw nas. Przeszli obok psa, ale ten nie poruszył się ani odrobine, tylko wciąż patrzył gdzieś w las.

— Jak to się stało, że cię wypuścili, chłopcze? — zapytał Dobrowolski.  
— Wszystko w porządku?

— Ze mną tak, proszę księdza, ale Adam jest w niebezpieczeństwie i zamierzam mu pomóc. Bis się nie pojawił?

— Nie, nie pojawił się. Co z nim? Co z Adamem? — odezwał się Gielmuda. W jego głosie słyhać było niepokój, co mnie nie dziwiło, skoro cała historia zaczęła się właśnie od niego.

— Z notatek, które sporządziłem przed niecałymi dwiema godzinami, wynika, że zamierza się spalić w kościele. Wydaje mi się, że jeśli o trzeciej nie dostanę się do Starzyny, to nie będzie już dla niego ratunku.

— Jesteś pewien tej godziny? — Usłyszałem ponownie głos Dobrowolskiego.

— Niczego nie jestem pewien — odparłem. — Ale ją właśnie wskazał mi we śnie mój nieżyjący syn, więc nie mam innego wyjścia, jak wierzyć, że to nie był zwyczajny sen, tylko coś więcej.

Ksiądz podniósł rękę i podświetlił tarczę elektronicznego zegarka.

— Mamy więc tylko dwadzieścia pięć minut. Co powinniśmy zrobić?

— Co ja powinienem zrobić — poprawiłem go. — Z moich zapisków wynika, później Janka opowie wam szczegóły, że tej nocy Czarny będzie próbował ściągnąć najstarszego z Bisów do Starzyny. Nie wiem, jak zamierza tego dokonać, nie wiem nawet którędy, ale najbardziej prawdopodobnym miejscem wydaje mi się droga, którą najpierw Rafał, a później ja trafiliśmy do przekłetej wioski. Jeśli nie masz nic przeciw temu... — Zwróciłem się do Gielmudy. — ... wziąłbym teraz twoje auto, dostał się tam i spróbował o trzeciej przejść niewidzialną granicę. Pojechałbym fiestą Janki (o ile by się zgodziła), ale złapaliśmy gumę, więc sam rozumiesz... Samochód zostawię kilkanaście metrów od szosy, żeby nie przepadł jak dwa lata temu opel. Kluczyki ukryję w schowku. Mógłbyś w sumie pojechać tam ze mną, ale boję się, że granica może być wcześniej, niż mi się zdaje, a wiesz, co by to oznaczało.

— Chyba oszalałeś — powiedział Rafał.

Przez moment zrobiło mi się przykro. Spodziewałem się po nim czegoś więcej, zwłaszcza że gdyby nie on, to ani ja, ani Adam nie znaleźlibyśmy się w tym całym piekielnym kotle. Za chwilę jednak dodał:

— To wszystko przeze mnie. Muszę spróbować przyjść mu z pomocą. Wystarczająco dużo przeze mnie wycierpiał. Jadę z tobą, Witek, i nawet nie próbuj mnie od tego odwieść. Mało tego, wjedziemy razem o trzeciej w tą drogę. Na piechotę mógłbyś nie zdążyć. Wiesz, że to nie takie łatwe, zwłaszcza z twoją nogą.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, odezwał się Dobrowolski:

— Gdyby nie mój brat, do tego wszystkiego by nie doszło. Jadę z wami. Stary jestem, ale może się na coś przydam. Nie zniósłbym myśli, że nawet nie próbowałem zmyć hańby, jaką okryło się moje nazwisko.

— Nawet mnie nie wkurwiał, Witek. — Tym razem usłyszałem tubalny głos Jaśka. — We czterech będziemy mieć większe szanse. Oj, Boże! Przepraszam księdza dobrodzieja za „wkurwiał”... Żem się zapomniał.

— Bez ręki pewno nie na wiele się przydam, ale chcę jechać z wami — wtrącił się Socha.

— Ja te... eee... eż po... po... pojedę. Strze... e... łać umiem na... na ... najlepiej z wa... a... as.

Coś ścisnęło mnie w gardle tak mocno, że nie potrafiłem wydobyć z siebie nawet słowa. Poczułem na ramieniu delikatną dłoń.

— Witku, wiesz, że i ja nie mogę zostać. Przecież oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że moja data urodzenia nie jest przypadkowa.

— Posłuchajcie — wydusiłem wreszcie. — Bardzo wam dziękuję, ale to zbyt wiele. Wszyscy zdajecie sobie sprawę, że możemy stamtąd nie wrócić, prawda? Tak więc...

Przerwał mi Dobrowolski.

— Chłopcze, wszyscy jesteśmy dorośli i wszyscy wiemy, czym ryzykujemy. Im dłużej będziemy tu stać, tym mniejsze będziemy mieli szanse. Jeśli ktoś chce zmienić zdanie, to teraz. Jeśli nie, to musimy się jakoś zmieścić w siódmkę do samochodu Rafała i w drogę, bo czas płynie.

Zrozumiałem, że mój opór nie ma sensu. W tym momencie do wyjących w oddali psów dołączyło zawodzenie Aresa. Poczułem, że strach mnie paraliżuje i byłem pewien, że wszyscy pozostali odczuwają to samo.

— Musimy pokładać ufność w Bogu. — Głos księdza przebijał się przez hałas. — Jest tylko jedna rzecz, nad którą się zastanawiam.

— Co takiego?

— Gdyby w ostatniej chwili pojawił się tutaj najstarszy z Bisów, czy to by mogło coś zmienić?

Popatrzyłem w stronę Janki.

— No i w końcu nie zdążyłaś mi powiedzieć, o co chodziło...

— Później się dowiesz. Teraz jedźmy, ale sądzę, że faktycznie dobrze byłoby, gdyby ktoś tutaj został z telefonem i w razie czego dał nam znać.

— W takim razie Jasiek, Józek i Albin odpadają — powiedziałem. — Nie mieli dotąd do czynienia z komórkami.

— Przecież to żadna filozofia. Jeśli zostawilibyśmy twoją, to wystarczą dwa przyciśnięcia do uzyskania połączenia z moim telefonem — odezwał się Gielmuda. — Albin, jak sądzisz, poradziłbyś sobie jedną ręką?

\*

Spod domu Bisów wyjechaliśmy dokładnie za dwadzieścia trzecia.

Wcześniej Albin dwukrotnie wykonał próbne połączenie i nie sprawiło mu to żadnego problemu. Zaraz potem przekazał mi nóż, który wziął ze sobą z dworku. Został też poinstruowany, że jeśli Bis, którego Rafał już wcześniej dokładnie mu

opisał, pojawiłby się w okolicach gospodarstwa, to zanim zadzwoni, ma sprawdzić, co Michał zamierza. Chodziło o to, aby niepotrzebnie go nie spłoszyć, gdyby miał zamiar wziąć z szopy samochód. Na piechotę przecież i tak by już nie zdążył, nawet jeśli ruszyłby równocześnie z nami. Bardziej prawdopodobne było jednak, że jest w jakimś innym miejscu, z którego Czarny będzie go próbował ściągnąć, ale skoro inna ewentualność wciąż jeszcze wchodziła w grę, to należało ją uwzględnić.

Prowadził Rafał, obok niego siedział Józek, który w razie potrzeby miał użyć broni, a to byłoby najłatwiejsze właśnie dla pasażera siedzącego z przodu. Już w trakcie jazdy, instruowany przez Gielmudę, w lot opanował opuszczanie i podnoszenie szyby. Ja usiadłem za Rafałem (z moją sztywną prawą nogą najszybciej bym wysiadł właśnie z tego miejsca), Dobrowolski pośrodku, a Jasiek wziął na kolana Jankę. Obawiałem się, czy przypadkiem nie przyjdą mu do głowy jakieś niestosowne komentarze, ale na szczęście najwidoczniej pamiętał o całej sytuacji związanej z Adamowiczem i przez drogę nie odezwał się nawet słowem.

Pomimo że droga zajęła nam ledwie kilka minut, w tym czasie Dobrowolski zdążył chyba z dziesięć razy sprawdzić godzinę. Po raz ostatni zrobił to, gdy Rafał tuż za Guciwem skręcił w lewo, w drogę prowadzącą do Słonecznej Doliny, zatrzymał focusa i wyłączył reflektory, pozostawiając pracujący silnik.

— Za dwanaście — oznajmił ksiądz, a potem dodał: — Mam nadzieję, że dobrze chodzi. Przedwczoraj nastawiałem.

— Zna ksiądz może jakąś pasującą do sytuacji modlitwę? — zapytałem. — Taką trwającą mniej więcej dziesięć minut i sprawiającą, że spełnią się wszystkie intencje, jakie tylko można sobie wymarzyć...?

— Oj, chłopcze. Dobrze, że nawet w tej sytuacji nie opuszcza cię dobry humor. Takich modlitw to nikt nie zna, ale poczekaj no, może coś odpowiedniego uda mi się wygrzebać w tej mojej starej głowie.

Zapewne by się udało, gdyby nie to, że właśnie w tej chwili zadzwoniła komórka Rafała. Odebrał, przez chwilę słuchał w skupieniu, a zaraz potem rozłączył się i powiedział:

— Bis właśnie wyjechał ze swojego podwórza. Podążył naszym śladem.

## 4.

Mieliśmy najwyżej osiem minut na ustalenie planu działania.

Zasugerowałem, że Rafał powinien ukryć gdzieś samochód. Jego focus był znany Bisom, więc niewykluczone, iż Michał już wcześniej wróciłby do domu. Możliwe, że, widząc auto, na wszelki wypadek pozostawał w kryjówce, obawiając się powodów, dla których Gielmuda przez cały dzień czeka przy

zabudowaniach na obrzeżach Bliżowa. Prawdę mówiąc, było to dość mało prawdopodobne. Bardziej skłaniałem się ku tezie, że Michał nagle poczuł, że o trzeciej ma się pojawić w jakimś miejscu (miałem nadzieję, że w tym samym, w którym właśnie na niego czekaliśmy), podobnie jak Teresa w Wielką Niedzielę nagle wiedziała, że natychmiast ma się udać na wzgórze oddzielające Guciów od Słonecznej Doliny i wykonać swoje zadanie. Nie zmieniało to jednak faktu, że auto Rafała powinno zniknąć z drogi, aby po pierwsze — nie zaniepokoić Bisa, a po drugie — najdłużej jak to możliwe pozostawić go w przekonaniu o braku zagrożenia, ponieważ każde zakłócenie pewności Czarnego, że wszystko jest pod jego kontrolą, mogło uniemożliwić nasze przedostanie się do Starzyzny.

— Może po prostu pojedę na wprost i zostawię samochód w miejscu, w którym pierwszy raz, w dwa tysiące pierwszym, spotkałem Jakuba Trześniowskiego? — zaproponował Rafał. — To na pewno jest już poza tą niewidzialną granicą i zdążyłbym jeszcze wrócić przed ewentualnym przyjazdem Bisa.

— Jeśli jakimś cudem udałoby się nam go przekonać, to twój samochód mógłby mu się przydać — odparłem. — Mógłby nim od razu wrócić do chłopca, bo przecież najprawdopodobniej zostawił go gdzieś samego. Albin nie wspominał, że jadą we dwóch, prawda?

Gielmuda przytaknął.

— Co więc proponujesz? — zapytał.

— Mam pewien plan. My teraz wysiadzimy, a ty wjedź na asfalt i przejedź kilkadziesiąt metrów w lewo, na tyle daleko, by Bis, jeśli się tu pojawi, nie zauważył samochodu, zanim skręci w drogę do Słonecznej. I zaraz do nas wracaj.

Kiedy Rafał odjechał, poprosiłem Jaśka i Józka, aby postarali się znaleźć jakąś kilkumetrową kłodę. Na tyle dużą, by uniemożliwiła przejazd, ale niezbyt ciężką — taką, którą jeden człowiek może bez większego trudu usunąć. W panujących ciemnościach było to zadanie niełatwe, ale trzeba było spróbować, ponieważ nie miałem wątpliwości, że gdybyśmy po prostu stanęli na drodze, to, zobaczywszy nas, Michał Bis, sterowany poleceniem Czarnego, po prostu bez żadnych skrupułów dodałby tylko gazu.

Gielmuda jeszcze nie wrócił, a Jasiek z Kowalikiem wciąż szukali czegoś odpowiedniego do zablokowania przejazdu, gdy szosę rozświetliły reflektory auta podążającego od strony Guciowa. Wkrótce potem do naszych uszu dobiegł odgłos silnika. Zbliżający się samochód miał do zjazdu w piaszczystą drogę, przy której się znajdowaliśmy, najwyżej sto metrów. Silnik zmniejszył obroty.

— Wszystko na nic — szepnąłem. — Nie zdążyliśmy.

Dobrowolski zrobił kilka kroków i stanął na środku traktu.

— Jak nie zahamuje, to trudno. Przynajmniej trzeba spróbować. — Podobnie jak ja domyślał się, że stojący na drodze człowiek nie sprawi, że Bis się zatrzyma.

Okazało się jednak, że pojazd po prostu zwalniał przed zakrętem i wcale nie zamierzał zjechać z asfaltu. Po chwili znów zapanowała cisza, którą przerwał głos

księdza.

— Albo to nie on, albo umówione miejsce jest gdzie indziej.

— To na sto procent nie był volkswagen Bisów — odezwał się lekko zdyszany Rafał, który właśnie do nas dołączył. — Z tego, co wiem, tamten rzęch ledwo jeździ.

Chwilę później Jasiek z Józkiem przyciągnęli z lasu mniej więcej dwumetrowy kawałek drewna.

— Trochę krótki, ale niczego innego żeśmy nie znaleźli — powiedział Grela. — Ciemno w lesie jak w dupie, mozem jeszcze poszukać, ale i tego nie powinien ominąć.

Na dalsze poszukiwanie nie było już jednak czasu, ponieważ kolejny snop światła na drodze i nieregularna, przerywana praca silnika wskazywały na to, że tym razem raczej na pewno zbliża się do nas ten, na którego czekamy. W kilku zdaniach przedstawiłem mój pomysł na to, jak można spróbować go zatrzymać. Plan był prosty, ale i tak wszystko zależało od tego, czy Bis da się przekonać.

\*

Stary volkswagen golf skręcił w drogę, przy której się zaczailiśmy. Poruszał się skokami, co chwilę prychając i kaszląc. Nic dziwnego, że Bisowi przejazd zajął więcej czasu, niż można się było spodziewać.

— Która jest godzina, proszę księdza? — zapytałem.

— Za dwie — odpowiedział mi głos z tyłu.

— Cholera, mało czasu.

Auto miało sprawny tylko jeden, prawy reflektor. Oświetlało drogę na tyle słabo, że w pewnym momencie zacząłem się nawet obawiać, czy położona w poprzek kłoda zostanie przez kierowcę zauważona, jednak golf stanął jakieś dwa metry przed przeszkodą. Dzięki odbijanemu przez drzewa światłu wokół zrobiło się o wiele jaśniej.

Michał Bis wysiadł na zewnątrz. Zostawił włączony silnik i otwarte drzwi. Sprawdziłem, czy mam w kieszeni różaniec Pauliny, a gdy wyczułem go pod palcami, zdjęłem z szyi krzyżyk otrzymany od Dobrowolskiego. Następnie, trzymając łańcuszek oburącz, skinąłem głową na Grelę i Rafała, których miałem po prawej, żeby byli w pogotowiu, a później spojrzałem w przeciwną stronę. Józek klęczał na jednym kolanie, trzymając strzelbę w prawej dłoni, i bacznie obserwował Bisa, gotów, aby w każdej chwili poderwać się do skoku. Tylko szybkie i skoordynowane działanie mogło dać nam jakąś szansę.

Michał podszedł do kłody, pochylił się i odrzucił ją z taką łatwością, jakby była wydrążona w środku. Teresa wspominała Jance, że w czasie wyprawy w Wielką Niedzielę towarzyszyło jej poczucie niezwyklej sprawności i siły; najwyraźniej Bis czuł się tak samo mocny. Na szczęście otrzymane od Czarnego przymioty nie obejmowały odczuwania w pobliżu obecności innych osób — a już na pewno osób wyposażonych w poświęcone dewocjonała.

Cała nasza akcja trwała może pięć sekund. W momencie, gdy Bis znów był przy drzwiach auta i szykował się do zajęcia miejsca za kierownicą, Greła i Gielmuda ruszyli do przodu. Pracujący silnik zagłuszył ich kroki, więc równoczesne wykręcenie obu rąk do tyłu całkowicie Michała zaskoczyło. Zanim zdążył wyswobodzić się z podwójnego uchwytu (co przy sile, jaką dysponował, z pewnością nie byłoby dla niego żadnym problemem), miał założony przeze mnie na szyję łańcuszek i wycelowaną w środek czoła strzelbę, którą pewnym chwytem trzymał w dłoniach Kowalik. Poświęcony krzyżyk pozbawił Bisa nadludzkiej mocy, co wyszło na jaw po kilku niezdarnych próbach uwolnienia ramion.

— Czego chcecie? — zapytał, a dopiero potem mnie rozpoznał. — To ty, przeklęty kuternogo? — Patrzył na mnie z nienawiścią.

— Mam wątpliwości co do tego, kto z nas dwóch jest przeklęty, ale nie będę się sprzeczał — odparłem uprzejmie.

— Musisz nas wysłuchać, Michał — odezwał się zza jego pleców Gielmuda. — Nie zamierzamy zrobić ci krzywdy. Chcemy po prostu, abyś przez chwilę posłuchał tego, co mamy ci do powiedzenia.

Z twarzy Bisa zniknęła nienawiść, a jej miejsce zajęło bezbrzeżne zdumienie.

— Rafał? Rafał, to ty? Weź, przestań się wygłupiać i mnie puśćcie. — Michał lekko się uspokoił, ale wciąż czujnie wpatrywał się w wycelowaną w niego broń. — Pamiętasz przecież, że z braćmi uratowaliśmy ci życie, tutaj, prawie dokładnie w tym miejscu. Gdyby nie my...

— Posłuchaj mnie, młody człowieku! — Mocny głos przebił się przez słowa Bisa i pracujący silnik samochodu. Dobrowolski stanął w świetle rzucanym przez samochodowy reflektor. Ksiądz miał na sobie sutannę, której czerń kontrastowała z białą koloratki. — Wiemy o wszystkim. Razem z braćmi zostaliście wmanipulowani w bardzo niebezpieczny, szatański wręcz plan. Przyjęliście propozycję Bobowicza, który — jestem głęboko przekonany, że zdajesz sobie z tego sprawę — nie jest już teraz tylko starym człowiekiem zbierającym złom po okolicy i wożącym go swoją dwukółką. Był z nim ksiądz podobny do mnie, tyle że pozbawiony prawej ręki i o wiele młodszy. W porozumieniu z Mitnikiem, który wcześniej zamordował swoją rodzinę, uprowadzili małego chłopca, Mateusza Bielaka. Teraz go ukrywasz. Wszystko się zgadza, prawda? Znałeś Bożenę Mitnik, znałeś jej córeczki, nie wstyd ci, że teraz współpracujesz z tymi, którzy przyczynili się do ich śmierci?

— Nie zrobiłem nic złego. — Bis próbował się bronić. — Nie wiem, kto i dlaczego zabił Bożenę oraz jej córki...

— To teraz już wiesz. — Dobrowolski ciągnął dalej. — Nie potrafisz wyjaśnić, po co i dlaczego się tutaj znalazłeś, prawda? Działasz jak opętany, bo jesteś opętany. Zrozum to wreszcie! Jesteś elementem układanki, która, złożona w całość, sprawi, że świat już nie będzie taki sam. Właśnie podążasz w stronę

Słonecznej Doliny, za chwilę przekroczysz niewidoczną granicę, ale wiedz, że jest ona taką, którą można przekroczyć tylko w jedną stronę. Pewnie wkrótce znów wróciłbyś do Guciowa, do Bliżowa, ale już nie byłbyś taki sam. Podobnie jak bryła wosku wrzucona do ogniska nigdy już nie wróci do swoich pierwotnych kształtów, mimo że z czasem okrzepnie pod wpływem chłodu. Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Jeszcze nie jest za późno. To jest właśnie ostatni moment, gdy możesz się jeszcze wycofać, sprawić, że zło przestanie rosnąć w siłę. Ze wszystkich trzech braci jesteś najrozsądniejszy i to właśnie w tobie spośród was jest najwięcej dobra. Możesz nam pomóc, możesz przerwać tę szaleńczą spiralę zła.

Na kilka sekund wyraz twarzy Bisa się zmienił. Widziałem, że uważnie słucha Dobrowolskiego i że zaczynają go ogarniać wątpliwości. Zacząłem już nawet mieć nadzieję, że słowa księdza mogą odnieść pozytywny skutek, gdy Michał skrzywił się pogardliwie.

— To nie jest kościół, klecho! Tam możesz opowiadać naiwnym te swoje dyrdymały! Skoro tak bardzo się boicie Bobowicza, to ja wolę stanąć po jego stronie! Jeszcze popamiętacie, że weszliście mi w drogę! — Uniósł głowę i patrzył hardo przed siebie.

— Grze... e... czniej do księ... ę... ędza, bo... bo... bo za... a... aaraz tę ma... ma... kówkę o... odstrze... e... lę — z trudem, ale spokojnie odezwał się Kowalik.

— Co wy tu macie, cyrk jakiś? — Roześmiał się Bis, ale jego buta wydała się nieco mniejsza. — Kuternoga, jąkała, pierdoła Rafałek i kto jeszcze? Baba z brodą mnie trzyma z tyłu za rękę?

— Z brodą, ale nie baba — tubalnie mruknął Jasiek. — Zaraz ci tę łapę tak połamię, że już ci jej nie poskładają.

— Spróbuj, to popamiętasz...

— Michał...? — Janka stanęła obok księdza. — Dawno się nie widzieliśmy, ale pracowałeś wiele razy u nas z braćmi, więc chyba powinieneś mnie pamiętać...?

Bis był tak zaskoczony, że aż nieświadomie otworzył usta ze zdziwienia.

— Pani Adamowicz? A co... pani tutaj robi? — wydukał, a Józek uśmiechnął się pod nosem z satysfakcją.

— Podobnie jak ksiądz i podobnie jak moi przyjaciele staram się zapobiec złu, ale znam i ciebie, i twoich braci na tyle, by sądzić, że nasze mowy nie na wiele się zdadzą. Wszyscy trzej jesteście bezwzględni i nie obchodzi was los innych ludzi. Najlepszym dowodem jest to, że obrabowaliście nas dwa lata temu, w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę. Wiedzieliście, że bierzecie pieniądze i kosztowności, które mają pomóc uratować moje życie, ale to was nie powstrzymało. — Bis nabrał powietrza, zapewne próbując zaprzeczyć, ale ona nie zważała na to, tylko ciągnęła: — Oboje wiemy, jak było, więc nie ma sensu, żebyś mówił cokolwiek. Zresztą i tak nie ma to już teraz najmniejszego



znaczenia. Teraz ma znaczenie co innego. Wczoraj została zamordowana Teresa Bielak.

— Co, jak to zamordowana? — Bis po raz kolejny był wyraźnie zaskoczony.

— Nie chciałbyś znać szczegółów, wierz mi. Ale może da ci do myślenia, jeśli powiem, że maczał w tym też palce ten, na którego wezwanie tak ochoczo podążasz do Słonecznej Doliny. A ty lubiłeś Teresę, prawda?

Nie odpowiedział, tylko wyczekująco wpatrywał się w Jankę.

— Jakieś dziesięć lat temu żadnej nie przepuściłeś. Potem skapcaniałeś, ale wtedy, to ho, ho! Niezły był z ciebie lowelas. Sobotnie potańcówki w Adamowie, wygibasy po nich na sianie, prawie za każdym razem z inną...

— Janka... — odezwał się nieśmiało. — Nie wiem, czy to jest moment na...

— Poczekaj, Witku. — Powstrzymała mnie ruchem ręki. — To wszystko prawda, zgadza się, Michał? Ale była jedna, którą darzyłeś szczególną sympatią, tyle że, kiedy ta sympatia się zrodziła, to ta kobieta była już wtedy mężatką. Teresa Bielak. Nigdy nie darowałeś sobie, że wcześniej nie zacząłeś starać się o jej względy i ubiegł cię inny. Wiem, że tak było, bo ona sama powiedziała mi o tym wczoraj, tuż przed śmiercią, gdy poinformowałam ją, że najprawdopodobniej to ty sprawujesz pieczę nad Mateuszem.

— A jakie to ma teraz znaczenie? — zapytał Bis.

— Ma, i to bardzo duże. Powiedziała, że ty na pewno go nie pozwolisz skrzywdzić, że podświadomie będziesz czuł... — Przerwała na moment, żeby zebrać myśli. — Niecałe dziesięć lat temu spotkaliście się z Teresą na sobotniej zabawie w Adamowie. Jej mąż był wtedy na polowaniu, a ona została namówiona przez Bożenę do pójścia na potańcówkę. Całą noc bawiliście się we dwójkę, nawet po tym, gdy Bożena wróciła już do Guciowa. Szliście razem z powrotem, trzymając się za ręce... Czy to się zgadza? Czy tak właśnie było? — Bis skinął głową, a Janka ciągnęła: — Ale na trzymaniu za ręce się wtedy nie skończyło. Ten jeden jedyny raz ci uległa, w stodole należącej do Mitników. Tuż przed tym, jak się rozstaliście... Jej mąż nigdy się o tym nie dowiedział. Ale ona pamiętała. Jakiś czas potem urodziła syna, któremu dała na imię Mateusz. Twój dziadek miał na imię Mikołaj, ojciec Marian, wy trzej też macie imiona zaczynające się na tę samą literę. Taka wasza drobnoszlachecka tradycja, prawda? Powiedz, Michał, czy naprawdę nigdy nie zauważyłeś, jak bardzo syn Teresy jest do ciebie podobny, czy po prostu nie chciałeś tego widzieć?

Bis zmieniał się w oczach. Każde z wyrzucanych przez Jankę zdań jakby twardniało w locie i przybierało fizyczną moc nokautujących ciosów. Wreszcie, gdy skończyła, spuścił głowę i wyglądał tak, jakby zeszło z niego całe powietrze.

— O Boże... — wyszeptał. — Nigdy mi to nawet przez myśl nie przeszło... O Boże... — powtórzył.

Janka nie odpuszczała.

— Może teraz, zamiast wzywać Boga, zrobiłbyś coś, żeby ratować własnego

syna? Ten, z którym się zbratałeś, przygotował dla niego jakąś rolę w swojej grze. Nie wiem jaką, ale możesz być pewien, że nie będzie to taka rola, w której chciałbyś zobaczyć własnego syna. Gdzie go zostawiłeś? Gdzie zostawiłeś Mateusza?

Wydawało się, że Michał zaraz się rozpłacze.

— Jest w Iwni, w piwnicy starego domu — odpowiedział cicho. — Jest mu ciepło, ma koce, jedzenie... Naprawdę o wszystko zadbałem...

— Jedź do niego, głupcze! — Janka podniosła głos. — Weź klucze od samochodu Rafała, on powie ci, gdzie go zostawił, a my pojedziemy dalej twoim samochodem i zobaczymy, czy da się coś jeszcze zrobić. Być może nie jest jeszcze za późno.

Po chwili milczenia dodała:

— Teraz Mateusz ma tylko ciebie. Chociaż raz stań na wysokości zadania i nie pozwól go skrzywdzić...

\*

Usiedliśmy w golfie na tych samych miejscach, co w focusie Rafała.

— Która jest godzina, proszę księdza? — zapytałem.

Wyświetlacz zegarka Dobrowolskiego błysnął zielonkawym światłem.

— Trzyście po.

— Może być już za późno, ale próbujemy. Ruszaj, Rafał!

Silnik zakaszłał, gdy Gielmuda dodał gazu, ale samochód potoczył się do przodu. Kilkadziesiąt sekund później dostrzegliśmy w świetle sprawnego reflektora dwie stojące pośrodku drogi sylwetki. Raz były dość wyraźne, a zaraz potem zdawały się jakby rozmywać w gęstej, zawiesistej mgłę, która je otaczała, wyglądało więc na to, że zdążyliśmy w ostatniej chwili. Za nimi majaczył biały kształt opla kadetta.

Czarny trzymał oparty o podłogę, odwrócony do góry nogami drewniany krzyż, który został przeze mnie ścięty ponad dwa lata temu, gdy wjeżdżałem tu z Anielką, goniąc uciekającego Marcina Kowalika.

— To Mirek stoi obok niego? — Pytanie skierowałem do Janki i Rafała.

Potwierdzili równocześnie, a w tym czasie Czarny zwrócił się do Bisa, jakby o coś pytając. Tamten odpowiedział skinieniem głowy, więc krzyż został odsunięty na bok, dając nam możliwość przejazdu. Gdy ich mijaliśmy, po raz pierwszy na śniadej, brodatej twarzy, która niegdyś należała do Bobowicza, zobaczyłem niepewność. Kilkanaście minut wcześniej Czarny przestał czytać w myślach Michała, więc zapewne zastanawiał się, co było tego przyczyną. Dodatkowo zauważyłem też, że co chwilę nerwowo zerkał w stronę Słonecznej Doliny i domyślałem się, że zapewne nie wróży to nam niczego dobrego.

— Jedź, jak najdalej się da! — krzyknąłem do Gielmudy. — Teraz najważniejsze jest to, żeby uratować Adama.

Rafał wcisnął pedał gazu, ale spowodowało to tylko serię krótkich szarpnięć,

w wyniku których silnik przestał pracować, a my zatrzymaliśmy się obok białego w drzewo kadetta.

— Wyłącz reflektor i wrzucić wsteczny — zakomenderowałem.

— Ale przecież to nic nie da. — Gielmuda nie zrozumiał mojego zamysłu, ale wykonał polecenie.

— Józek, wysiadaj!

Zrobił to. Ja też otworzyłem drzwi i znalazłem się na zewnątrz. Białe światło ułatwiające cofanie oświetlało ich, gdy się zbliżali.

— Długo musiałem na ciebie czekać, Michale — odezwał się Czarny, który nie mógł nas jeszcze widzieć.

— Józek, dasz radę odstrzelić mu czerep? — zapytałem szeptem, a potem odezwałem się głośniej: — Niespodzianka, skurwielu.

Obaj stanęli jak wryci, a zaraz potem Czarny zwrócił się do Mirka:

— Wygląda na to, że twój starszy brat nas zdradził.

— A to sukinsyn! — krzyknął Bis i natychmiast ruszył biegiem w kierunku Guciowa.

— Stój, zaczekaj! Teraz tutaj jesteś mi potrze...

Nie dokończył. Wystrzelony przez Józka pocisk trafił dokładnie w potylicę, sprawiając, że głowa Czarnego rozbryznęła się na milion kawałków.

— Dobra robota, Józek. — Pochwaliłem Kowalika, a później odwróciłem się w kierunku Słonecznej Doliny.

Pomiędzy drzewami wyraźnie widać było ognistą lunę.

## 5.

Wszystko wskazywało na to, że za jednym zamachem pozbyliśmy się dwóch groźnych przeciwników, nie była to jednak myśl, która mogła całkiem mnie uspokoić. Czarny leżał na skraju drogi — prawie dokładnie w miejscu, w którym zakopałem ciało Kowalika — i wyglądało na to, że zupełnie stracił głowę (tak na marginesie — ciekaw byłem, jakich nabożów używał do polowania Stanisławski, skoro zwłoki na wysokości szyi zwieńczone były jedynie krwawymi strzępami), ale należało mieć przecież na uwadze, że zapewne za niecałe trzy godziny ocknie się na Czarnym Wygonie. Natomiast najmłodszy z Bisów najprawdopodobniej zdążył wrócić do naszego świata i zrobił to w bardzo szybkim tempie, co mogło stwarzać zagrożenie dla Michała, jeśli zbyt długo zwlekał z wyjazdem. Cóż, tego nie można było w żaden sposób sprawdzić. Ani teraz, ani być może już nigdy.

Nie rozważałem jednak tego wszystkiego, stojąc w miejscu, z którego widziałem, że głowa Czarnego eksploduje tak, jakby ktoś wcześniej wypełnił ją dynamitem. Myśli przebiegały mi przez głowę w trakcie koślawego truchtu

w stronę zabudowań Starzyzny. Dobrze poznane przez dwa lata duszne powietrze od razu zaczęło dawać mi się we znaki.

Przodem ruszyli Jasiek, Rafał i Józek. Ten ostatni miał za zadanie osłaniać Gielmudę i Grełę w razie ataku ze strony którejs z pozostających w wiosce maszkar (i ewentualnie pomóc przy ratowaniu Adama z płomieni). Skoro karabin będący w posiadaniu Bogdana był nienabity, jak twierdził Mirek Bis podczas rozmowy z Czarnym, opisaney w ostatnich brulionowych notatkach, to nikt nie powinien trzem mężczyznom przeszkodzić w jak najszybszym dotarciu do kościoła. Wszyscy mieli na szyjach poświęcone krzyżyki, więc żaden przedstawiciel ślepej ferajny nie dałby rady zbliżyć się do nich bardziej niż na odległość kilku kroków.

Janka z księdzem zostali nieco z tyłu i mieli dotrzeć w okolice kościoła na tyle szybko, na ile wiek księdza na to pozwoli. Janka oczywiście chciała biec w pierwszej grupce, ale poprosiłem, żeby została z Dobrowolskim i otoczyła go opieką podczas marszu. Tak naprawdę bardziej niż o księdza obawiałem się o jej chore serce, ale o tym nie wspomniałem nawet słowem.

Tak więc nasza forpocztą zostawiła mnie daleko z tyłu, Janka z księdzem zamykali grupę, a ja ile sił w nogach kuśtykałem w stronę pożaru, kurczowo ściskając w dłoni różaniec Pauliny i modląc się w duchu, aby okazało się, że to nie kościół, a jakiś inny budynek został podpalony w Starzyźnie.

Gdy przystanąłem na obrzeżach Słonecznej Doliny, te moje kruche nadzieje rozprysły się jak kilka minut wcześniej zakuta pała Czarnego. Znienawidzone, przekłete miejsce nie zamierzało nawet na ten jeden raz zmienić swojego okrutnego oblicza. Otwarty teren cały jaśniał w pomarańczowożółtej poświacie. Budynki i zrujnowane zabudowania rzucały w moją stronę długie, czarne cienie, a na położonym za nimi wzniesieniu płonął kościół. Ogień zdawał się przenikać ze środka do zewnątrz. Widoczne z miejsca, w którym stałem, ściany z bali zaczęły już się zajmować, ale płomienie nie dotarły jeszcze do krytego gontem dachu. Nie miałem pojęcia, jak to wszystko wygląda po drugiej stronie drewnianej budowli, ale stąd, skąd patrzyłem, miało się wrażenie, że jeszcze nie wszystko stracone.

— Trzymaj się, Adam! — krzyknąłem, choć było jasne, że mnie nie usłyszeli.

A potem desperacko, ile tylko miałem sił w nogach i wytrzymałości w płucach, rzuciłem się naprzód.

\*

Mniej więcej w połowie drogi od skraju doliny do kościoła, kiedy znajdowałem się już pośród zabudowań i ruin Starzyzny, do moich uszu dobiegł huk wystrzału i chwilę później zauważyłem, że płomienie buchnęły o wiele bardziej intensywnie. Można się było domyślić, że nasi właśnie dotarli na miejsce, a Józek strzałem w zamek umożliwił otwarcie drzwi. Tlenu w Słonecznej Dolinie nie było zbyt dużo, ale wystarczająco, by jego dopływ do zamkniętego dotąd szczelnie

budynku spowodował podsycenie ognia. Momentalnie szyby w oknach eksplodowały, a pożar z werwą zaczął trawić również i dach.

Dwie, najwyżej trzy minuty zajęło mi dotarcie do celu. Początkowo przy kościele nie dostrzegłem nikogo, więc w głowie natychmiast załęgły mi się czarne myśli, przewidujące jeszcze większą tragedię niż ta, której zamierzaliśmy zapobiec. Kiedy jednak zajrzałem za załom kościelnej bryły, zauważyłem dwie pochylone postaci oraz leżące pomiędzy nimi na ziemi ciało. Z trudem opanowując emocje, podszedłem bliżej.

Jaśkowi spłonęły włosy i praktycznie cała broda, Rafał był solidnie poparzony, ale kiedy spojrzałem na ułożonego na plecach Adama, zrozumiałem, że przybyliśmy za późno. Jego lewa ręka do wysokości łokcia została doszczętnie strawiona przez ogień, ubrania stopiły się i wniknęły w skórę. Twarz pokryta była rozległymi pęcherzami, właściwie uniemożliwiającymi mi rozpoznanie przyjaciela. Gdyby nie charakterystyczna sportowa kurtka mógłbym się jeszcze ludzić, że to nie Adama wyciągnięto przed chwilą z ognia.

Ukląknęłam obok i ująłem delikatnie jego praktycznie nienaruszoną przez ogień prawą dłoń.

— Adam...? Adam, to ja, Witek — odezwałem się. — Powiedz, że uda ci się jakoś z tego wyjść. Zobacz, przyszliśmy po ciebie... Nie możesz umrzeć, proszę...

Żadnej reakcji.

Podniosłem głowę i spojrzałem na Jaśka, który natychmiast spuścił oczy. Kiedy przeniósłem wzrok na Rafała, zobaczyłem, że jego twarz jest mokra od łez. Kiwał się lekko w przód i w tył, jednocześnie kręcąc przecząco głową.

— To niemożliwe, Witek. Powiedz, że to się nie dzieje... Dlaczego ten człowiek tyle musiał przeze mnie wycierpieć...? — szeptał. — Dlaczego...?! Najpierw jego żona spłonęła przeze mnie żywcem w samochodzie, pod Krasnymstawem, teraz on... Boże, dlaczego to nie mogłem być ja...?!

Obok nas pojawił się Józek z wiadrem pełnym wody, którą najpewniej zaczerpnął z położonej przy kościele cmentarnej studni, a następnie zaczerpnął z wiadra i delikatnie skropił twarz Adama. Gdy zrobił to ponownie, poczułem, że dłoń przyjaciela lekko zacisnęła się na mojej.

— Adam! — krzyknąłem.

— Co się dzieje? — spytał Gielmuda.

— Zacisnął rękę na mojej. On żyje! — Serce waliło mi jak młotem. — Józek, daj jeszcze wody!

Kowalik raz jeszcze skropił twarz mojego przyjaciela i wtedy ten zaczerpnął łytko powietrza. Najpierw raz, później drugi, a później, pomimo że w znaczący sposób utrudniały to pęcherze na jego twarzy, z trudem otworzył oczy. Od razu mnie rozpoznał i na jego zniekształconym obliczu pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

— Witek, wiedziałem, że mnie nie zostawisz... — mówił niewyraźnie, ale zrozumiałem jego słowa. — Miło cię jeszcze raz zobaczyć, stary druhu.

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Jakoś cię stąd wyciągniemy. — Próbowałem go podnieść na duchu, chociaż miałem wrażenie, że trudno byłoby mu pomóc, nawet jeśli znajdowałibyśmy się na izbie przyjęć świetnie wyposażonego szpitala. — Zanim to się jednak stanie...

— Nie ściemniaj, Witek. Obaj wiemy, że już po mnie... Szkoda, że nie poczekałem jeszcze trochę z tym podpaleniem...

— Słuchaj, Adam... Chciałbym cię bardzo przeprosić za to, że wtedy do ciebie strzeliłem — powiedziałem to, zupełnie wcześniej nie myśląc o zdarzeniu sprzed tygodnia. — Ten, który cię odwiedzał w Starzyźnie, pod tym względem miał rację. Nie chciałem tego, byłem pijany, przepraszam... Czy możesz mi wybaczyć? — Uśmiechnął się słabo.

— Pewnie, że tak. Skoro nie chciałeś... Zresztą dzięki tobie zaraz będę z Magdą... — Ucisnął moją dłoń.

— Panie Adamie, ja też przepraszam — odezwał się Gielmuda. — Za wszystko.

— Nie wiedziałem, że też tu jesteś. Ale to dobrze, bo coś ci chciałem powiedzieć. Ty mnie już przeproszałeś w biurze w Warszawie. Powinienem już wtedy ci wybaczyć. Może gdybym tak zrobił, nie musielibyście tu po mnie wracać. Skoro jednak nie zrobiłem tego wtedy, to robię to teraz... Trzeba sobie wzajemnie odpuszczać winy... — Podniósł wzrok. — O, i ksiądz Dobrowolski tutaj? Zebrała się niezła kompania znajomych... — Potoczył wzrokiem po twarzach pozostałych. — ...i nieznajomych też, żeby mnie pożegnać...

— Posłuchaj, chłopcze... — Usłyszałem za plecami głos księdza. — To wcale nie musi być tak, że znalazłeś się tu za karę. Niezbadane są wyroki Boskie, ale — kto wie? — gdyby nie ty i gdyby nie pozornie nieszczęśliwy strzał Witka, to może złu udałoby się zatriumfować. Istnieje coś takiego jak szczęśliwa wina, *felix culpa*, o czym pamiętać należy zwłaszcza w okresie Wielkiej Nocy. Przewinienie, bez którego dobro nie mogłoby zatriumfować.

— To chyba dotyczy czegoś innego, proszę księdza. I kogoś innego, ale dziękuję za taką próbę pocieszenia — powiedział Adam. — Ale odnośnie do win... Wygląda na to, że może się spełnić moje ostatnie marzenie, które miałem przed podłożeniem ognia. Czy pomoże mi ksiądz je spełnić?

— Jeśli tylko będę mógł.

— Chciałbym się wyspowiadać. Wyspowiadać się po raz ostatni...

\*

Zostawiliśmy Adama i Dobrowolskiego samych, oddalając się w pobliże przykościelnej dzwonnicy. U jej stóp wciąż leżało ciało Macieja Bisa, który, skuszony wizją własnej nieśmiertelności, przez przypadek zakończył swoją ziemską wędrówkę.

Pożar kościoła rozszalał się na dobre. Zajął się już prawie cały dach i boczne

ściany nawy głównej. Z miejsca, w którym staliśmy, nie było widać zakrystii, ale zapewne i do niej ogień zaczął już docierać, ponieważ pierwsze płomienie brały się za nią już wtedy, gdy patrzyłem na całą budowlę z oddali. Pożodze towarzyszył niski szum połykających kolejne belki płomieni, pojedyncze wystrzały nienaruszonych dotąd naboii i łomot pierwszych upadających elementów poszycia dachowego. Jedyłą praktycznie nietkniętą częścią świątyni wciąż jeszcze był przedsionek, ale i do niego zaczęły się już dobierać pierwsze jęzory niszczącego żywiołu.

Spowiedź nie trwała dłużej niż pięć minut. Po jej zakończeniu Dobrowolski podszedł do nas i powiedział do mnie:

— Idź do niego, chłopcze. Twój przyjaciel chce zamienić z tobą jeszcze kilka słów.

Twarz Adama była dość spokojna, ale cierpienie, które go dotykało, także widać było na niej nad wyraz dokładnie. Mimo tego raz jeszcze się uśmiechnął, gdy ponownie przy nim ukląłem.

— No, to już chyba koniec, przyjacielu. Zróbcie teraz ze mną to, co trzeba.

Spojrzałem na niego, oczekując wytłumaczenia. Kiedy ono nie padło, dodałem:

— Adam, postaramy się zabrać cię stąd. Jeszcze nie wszystko stracone... — odparłem.

— Nie możecie mnie stąd zabrać w tym stanie. — Mówiąc to, próbował usiąść, a w jego głosie zabrzmiał strach. — Pamiętasz Marcina Kowalika? On także w agonii przekroczył granicę, a później, już w naszym świecie, nie mógł umrzeć...

— Nie wstawaj, proszę... — Próbowałem go uspokoić, ale to, co powiedział, wstrząsnęło mną do głębi.

— Żeby umrzeć, musiał tu wrócić. — Adam znów leżał spokojnie, jednak wysiłek sporo go kosztował i teraz jego pierś gwałtownie podnosiła się i opadała. — Nie chcę być upiorem za życia, rozumiesz? Tak więc zrób ze mną to, co należy.

— Adam, na Boga, co masz na myśli?!

— Spokojnie, nie chcę, żebyś mnie zastrzelił. — Wtedy po raz ostatni zobaczyłem, jak się uśmiecha. — Po prostu nie pozwól mi umrzeć tutaj, na ziemi. Niech ogień dokończy to, co zaczął. Widzę, że przedsionek się jeszcze nie zajął, więc możecie to z Rafałem zrobić, nie ryzykując własnym zdrowiem. Zróbcie to dla mnie, proszę. To potrwa tylko chwilę, a ja będę miał pewność, że moja śmierć nie zostanie potraktowana jako samobójcza. Rozumiesz, co mam na myśli...?

Rozumiałem aż nadto dobrze.

\*

Dach runął jakieś dwadzieścia minut później, wtedy już także cały przedsionek stał w ogniu. Staliśmy wszyscy jak zahipnotyzowani, patrząc, jak ogromny snop iskier, przypominający miniaturę grzyba atomowego, wzbija się w niebo.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie...

Dobrowolski rozpoczął modlitwę, ale ja, w przeciwieństwie do innych, jej nie podjąłem. Powiedziałem zamiast tego:

— Dawaj strzelbę, Józek. Idę na polowanie.

— Co zamierzasz zrobić, chłopcze? — W pytaniu księdza wyraźnie zabrzmiał niepokój.

— Muszę znaleźć tego skurwysyna, proszę księdza.

Wycelował we mnie palec.

— Nie zapominaj, że to mój brat, młody człowieku. — Trudno było wyczuć, czy na serio ma do mnie pretensje, czy nie, ale po chwili dodał: — Dlatego wybiorę się razem z tobą.

\*

Ostatecznie poszliśmy we trójkę, bo Janka koniecznie chciała odszukać Bogdana. Starąłem się jej to wyperswadować, ale równie dobrze mogłem przemawiać do głuchego jak pień. Skończyło się na tym, że wymogłem na niej tylko obietnicę, że nie oddali się od nas nawet na pół kroku. Rafał, Jasiek i Józek mieli do naszego powrotu pozostać przy kościele. Gdy jednak skończyliśmy przeszukanie domu Grelów i dwóch zrujnowanych zabudowań, zobaczyłem Grelę i Gielmudę zmierzających w kierunku domu tego pierwszego, gdzie byliśmy na początku.

— A wy dokąd się wybieracie? — zapytałem. — Mielicie być przecież na wzgórzu, koło kościoła.

— Idziem po wózek — odparł Jasiek.

— Po jaki znowu wózek? Czy wyście poszaleli?

— Po ten, co u nas w stodole stoi. No, ten, co nam w przeprowadzce do kościoła pomagał, pamiętasz?

— Pamiętam, ale po cholere wam on teraz potrzebny? Józka samego zostawiliście... Nie powinniśmy się rozdzielać.

— Chciał zostać i pomodlić się za swoją matkę, która jest w kościele. Nie chciał z nami iść — powiedział Rafał. Zabrzmiało to trochę niepokojąco. — Wózkiem przywieziemy truchło Czarnego — dodał. — Nie możemy przecież dopuścić do tego, żeby rano obudził się na Czarnym Wygonie.

Nie wiedzieć czemu, wcześniej założyłem jako pewnik, że tak się stanie, i nie wpadłem na to, że ciało można po prostu położyć w jeszcze płonących albo nawet w zrujnowanych szczątkach kościoła. Przecież to miejsce pozostanie niszczycielskie dla złych mocy, nawet gdyby z budynku nie pozostała nawet jedna belka.

— Dobry pomysł — przyznałem. — Tylko wracajcie szybko, bo trochę obawiam się o Józka, żeby jakiegoś numeru nie wywinął.

Rozstaliśmy się, a ja wraz z Janką i księdzem ruszyliśmy w stronę kolejnego, niezrujnowanego jeszcze domu; domu, w którym niegdyś mieszkał Józek



Kowalik. Do ruin wchodziliśmy bez większych ceregieli. Wciąż płonący kościół rozświetlał okolicę, natomiast w zamkniętych budynkach trzeba było uważać, aby nie zostać zaskoczonym, dlatego wcześniej zaglądaliśmy do środka przez okna. Z zewnątrz nie widzieliśmy dokładnie całego wnętrza, ale dzięki żółtawej poświacie można było chociaż spróbować zorientować się w sytuacji.

Jako pierwszy do chałupy dotarł Dobrowolski. Kiedy stanął przy okiennej futrynie, początkowo miałem wrażenie, że w szybie widzę jego odbicie, ale zaraz potem zorientowałem się, co faktycznie zauważyłem. Rzekomo odbity wizerunek nie miał źrenic i był o wiele młodszy.

— Uwaga — szepnąłem. — Dobrowolski jest w środku.

Podniosłem strzelbę do ramienia, ale twarz zniknęła.

— Na zewnątrz też — mruknął ksiądz. — Nie strzelaj, chłopcze. Ja sam to muszę załatwić.

Ponieważ drzwi były zamknięte od środka, nie posłuchałem prośby i rozwalilem zamek, a zaraz potem jak najszybciej wdarłem się do pokoju, w którym niedawno widziałem Wincentego Dobrowolskiego. Teraz stał na środku pomieszczenia i przyglądał mi się nienawistnymi fosforyzującymi w ciemności oczyma. Miałem w komorze jeszcze jeden nabój i wielką ochotę, aby go użyć, ale duchowny, który wszedł do pokoju zaraz za mną, położył dłoń na broni i łagodnym, acz stanowczym ruchem ściągnął strzelbę w dół.

— Widzę, że nie rozstajesz się ze swoim sznurem, bracie — powiedział, a ja dopiero teraz zauważyłem, iż faktycznie przekłety klecha w odzyskanej na Czarnym Wygonie ręce trzymał zrolowany kawał powrozu. — To dobrze, bo zaraz ci się przyda.

— Będiesz dyndał — wycharczał w odpowiedzi młodszy o ponad pół wieku brat bliźniak.

— Wiele zła wyrządziłeś i nie ominie cię za to kara. Jedyna śmierć, która może przynajmniej w jakimś stopniu złagodzić twoje przewinienia, to samobójstwo przez powieszenie. Judasz tak ze sobą skończył, a ty jesteś do niego bardzo podobny. Jeśli zechcesz, mogę przedtem wysłuchać twojej spowiedzi. Nie wiem, czy będę mógł ci odpuścić winy, ale przynajmniej wyznasz grzechy. A potem to ty będziesz dyndał, bracie. Wstyd mi, że nosimy to samo nazwisko, ale chociaż umrzyj z honorem.

Miałem wrażenie, że Wincenty szykuje się do skoku, chciałem więc ponownie podnieść strzelbę, ale stojący obok mnie ksiądz wciąż trzymał na niej dłoń i nie pozwolił mi zrealizować tego zamiaru. Chwilę później okazało się, że moje przeczucie było słuszne, bo stojący naprzeciw nas Dobrowolski rzucił się do przodu, ale nagle zatrzymał się w połowie drogi i zaczął wpatrywać się w brata, wykrzywiając twarz w bezgranicznym zdumieniu. Z jego gardła wydobyło się przeciągłe rżenie. Sięgnął do szyi obiema rękami i dopiero wtedy zauważyłem, że w grdyce Wincentego Dobrowolskiego tkwi wbity po rękojeść nóż. Zaraz

potem ciało zważyło się z łoskotem u naszych stóp.

Spojrzałem w bok. Nie miałem pojęcia, co się stało. Widziałem natomiast, że na twarzy Walentego Dobrowolskiego maluje się smutek.

— Gdzie się ksiądz tego nauczył? — zapytała cicho Janka.

— Możecie mi powiedzieć, co tu się stało przed chwilą? — zapytałem.

— Ksiądz wyjął z kieszeni sutanny nóż i z biodra, jakby od niechcienia, trafił nim dokładnie w krtań swojego brata — odpowiedziała. — I zajęło mu to nie więcej niż pół sekundy.

Dobrowolski spuścił głowę.

— Nie nauczyłem się tego. Przed chwilą nawet nie pamiętałem, że zabrałem ze sobą nóż. Nigdy czymś takim nie rzucałem. No, ale widocznie tak musiało się wydarzyć teraz, ten jeden raz.

Spojrzeliliśmy na siebie z Janką. Jestem pewien, że oboje pomyśleliśmy o tej samej rzeczy. Nie sposób było nie skojarzyć tego, co zaszło, z relacją Teresy i z tym, co czuła na widok warczącego i szczyrzącego na nią kły Aresa, gdy spotkała go w ubiegłą niedzielę, idąc na spotkanie ze mną.

\*

Pozostałych znaleźliśmy w innej izbie. Gdy weszliśmy, wszyscy stali na środku, z niepokojem oczekując tego, co przyniosą kolejne chwile. Bogdan Adamowicz oraz Anielka Komisarczuk i jej rodzice. Cztery pary wpatrujących się w nas ślepych oczu. Janka podeszła, żeby uściskać męża, ale w tej samej chwili wszyscy czworo odsunęli się od niej jak oparzeni. Przystanęła więc, zdjęła z szyi łańcuszek z krzyżykiem i podała go Dobrowolskiemu. Teraz nie było już żadnych przeszkód, by mogła przytulić Bogdana. Stał nieco zdezorientowany, jakby nieobecny, gdy Janka, płacząc, przyciskała go do piersi.

Wincenty Dobrowolski nie żył, więc teraz oni też przestali być na jakiś czas źli. Dokładnie jak wtedy, gdy unieszkodliwiłem go na Czarnym Wygonie dwa lata temu, a byli mieszkańcy Starzyzny pojawili się w okolicy kościoła z bezgłośną prośbą, aby zakończyć ich niekończącą się udrękę.

\*

Wyszliśmy wszyscy na drogę i skierowaliśmy w stronę płonącej świątyni. Na początku Dobrowolski, którego za rękę trzymała Anielka. Po jej prawej stronie pod rękę szli Komisarczukowie. Za nimi Janka z Bogdanem, a kuśtykający Uchmann zamykał ten przedziwny korowód.

— Witek! — dobiegło z tyłu.

Odwróciłem się i przystanąłem. Jasiek i Rafał szli obok siebie, a ten pierwszy energicznie wymachiwał w moim kierunku.

— Chodź, pomóż!

Trochę mnie to zdziwiło, ponieważ Czarny — mimo że do ułomków nie należał — nie był chyba na tyle ciężki, by musiało go ciągnąć na wózku aż trzech mężczyzn.

— Co wy tacy słabi? — zapytałem, gdy już przeszedłem te kilkadziesiąt kroków.

— Skurwiel jest coraz cięższy, przysięgam! — powiedział zasapany Grela. — Jak żeśmy go załadowali na wózek, to normalnie ważył, co nie, Rafał?

Gielmuda przytaknął skinieniem głowy, ale nie odezwał się ani słowem, wciąż rozpaczliwie próbując uregulować oddech.

— Teraz to chyba z tonę waży — dodał Jasiek.

— E tam, nie przesadzaj — mruknąłem z niedowierzaniem. — Zmęczyliście się pewnie i tyle. — Położyłem strzelbę na wózku i powiedziałem do Grela: — Idź do tyłu, będziesz pchał, a my z Rafałem pociągniemy z przodu. Z moją sztywną nogą tylko tutaj mogę pomóc.

Uciągnęliśmy może ze trzydzieści metrów, gdy siły wszystkim trzem odmówiły posłuszeństwa.

— Nie damy, kurwa, rady, jak Boga kocham! — dobiegło z tyłu. — A już szarzyć na wschodzie zaczyna...

Było jasne, że musimy iść po posiłki, tyle że skoro Czarny był z każdym naszym krokiem cięższy, to nie bardzo można było liczyć, że nawet i w szóstkę podołamy zadaniu.

I wtedy do głowy przyszła mi myśl, której się kurczowo uchwyciłem.

\*

Zostawiliśmy Czarnego na drodze i we trzech ruszyliśmy w stronę wzgórza. Gdy mijaliśmy dom Grelów, zapytałem Jaśka:

— Mógłbyś wziąć szpadel, żeby potem drugi raz nie chodzić?

— A po co ci szpadel?

— Chcesz średniego Bisa tak na trawie zostawić, żeby się rozkładał pod dzwonnica?

— Racja — odparł i skręcił z drogi, by niedługo potem do nas dołączyć z potrzebnym nam narzędziem.

Gdy dotarliśmy w pobliże kościoła, zastaliśmy pozostałych siedzących nieopodal zaczynającej już powoli dogasać bryły świątyni. Wyglądali jak duża rodzina na pikniku. Bogdan leżał na plecach, trzymając głowę na udach Janki, zachwycona starym księdzem Anielka wciąż się w niego wpatrywała, a Komisarczukowie siedzieli oparci o siebie plecami i jak zahipnotyzowani przyglądali się płomieniom. Nieopodal siedział po turecku Józek. Tylko Bis psuł nieco ten sielankowy obrazek, bo, leżąc pod dzwonnica, wyglądał jak pijany szwagier, który na rodzinnej imprezie nieopatrznie zbyt szybko uwalnął się w trupa.

\*

Podszedłem do Janki i powiedziałem:

— Nie damy rady przyciągnąć tu ciała Czarnego. Im bliżej do kościoła, tym staje się cięższy.

— Czyli obudzi się rano na Czarnym Wygonie?

— Niekoniecznie. Dwa lata temu pomógł mi Andrzej Książ. Gdybyś mogła poprosić o pomoc Bogdana... On wciąż dysponuje nadludzką siłą. Mógłby ją spożytkować w dobrym celu. Jeśli nie dałby rady sam, to może pomógłby też Komisarczuk...

Janka pochyliła się i szepnęła coś do ucha mężowi, który zaraz potem wstał i spojrzał na nią wyczekująco.

Wróciliśmy do wózka we troje. Dla Adamowicza ciężar Czarnego nie stanowił żadnego wyzwania. Chwycił za rączkę i pociągnął wózek z taką łatwością, jakby spoczywał na nim worek z pierzem. Gdy stanęliśmy przy kościele, Janka popatrzyła na mnie.

— I co dalej? — spytała.

— Powinien teraz znaleźć się w środku, ale zależałoby mi na tym, aby nie przez wejście główne.

— Tak, chyba rozumiem dlaczego — powiedziała, a później znów szepnęła coś do ucha Bogdanowi.

Ten skinął głową, a potem zaszło coś, czego trudno się było spodziewać. Adamowicz poderwał bezgłowe, dwa razy większe od niego ciało z wózka, jakby ważyło najwyżej kilogram, a później podszedł z nim bliżej świątyni i bez trudu wrzucił je do środka przez okienny otwór. Wewnątrz buchnął niebieskawy ogień, który na moment rozświetlił całą dolinę.

Nie minął kwadrans, gdy w ten sam sposób zakończyło istnienie truchło przeklętego Wincentego Dobrowolskiego.

W samą porę.

Nad Słoneczną Doliną za chwilę miał zbudzić się do życia nowy dzień.

## 6.

Mniej więcej o wpół do szóstej Bogdan, Anielka i Komisarczukowie zastygli w swoich pozach, wciąż z otwartymi ślepymi oczyma. Adamowicz z głową złożoną na udach Janki, Anielka objęta ramieniem przez Dobrowolskiego, a jej rodzice — tak, jak siedzieli przez cały czas — oparli o siebie plecami i patrzący w stronę kościoła. Ja zamknąłem powieki Komisarczukom, ksiądz Anielce, a Janka swojemu mężowi. Płakała, gdy tuż potem z czułością całowała jego blade czoło.

— Czas dopełnić dzieła — powiedziałem.

Zanim wnieśliśmy ciała do świątyni, razem z Jaśkiem zabraliśmy z przedśionka szczątki Adama i ułożyliśmy je w miejscu, w którym leżał tuż przed śmiercią. Obok zwęglonego ciała, na zeschłej trawie zobaczyłem klucze. Pochyliłem się

i wziąłem je do ręki. Lekko nadtopione, z emblematem fiata, zapewne wysunęły się z kieszeni Adama, gdy został wyniesiony na zewnątrz po raz pierwszy.

Następnie powtórzył się znany nam już scenariusz. Każde wniesione do środka zwłoki płonęły wewnętrznym ogniem, wydzielając przy tym kłęby dymu i trudny do zniesienia swąd. Najgorzej to wszystko zniosła Janka, ale rozumiała, że nie ma innego wyjścia, że nie istnieje inny sposób na ostateczne wyswobodzenie jej męża i rodziny Komisarczuków z ciężącej na nich klątwy.

\*

Ciało Macieja Bisa zostało pochowane na cmentarzu, czemu towarzyszyła prowizoryczna ceremonia odprawiona przez księdza. Nad mogiłą stanął pospiesznie wykonany krzyż. Kiedy Jasiek zapytał, czy ma wykopać grób także dla Adama, poprosiłem, żeby jeszcze chwilę się z tym wstrzymał. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miałem nadzieję, że jakimś cudem uda się nam wydostać z tego przekłętą miejsca. Zdawałem sobie sprawę, jak bardzo mój przyjaciel chciałby spocząć u boku Magdy.

Dolinę spowiła gęsta, duszna mgła. Kiedy rozglądałem się po okolicy, nie chciałem uwierzyć w to, że taki krajobraz będzie towarzyszył nam wszystkim aż do śmierci. Na szczęście w naszym przypadku samobójstwo nie skutkowało przebudzeniem na Czarnym Wygonie, wszak wszyscy pojawiliśmy się tutaj świadomie i z własnej woli.

\*

Nasza szóstka nie trzymała się razem.

Józek najpierw poszedł odszukać strzelbę, która zsunęła się z wózka podczas transportowania Czarnego lub Wincentego Dobrowolskiego. Później zaczął kręcić się koło kościoła.

Ksiądz Walenty spacerował w okolicy wzgórza, przez które tydzień temu przeszedłem do Guciowa. Wyglądał tak, jakby wypatrywał tam niewidzialnej dla innych ścieżki. Wreszcie wrócił i zaczął mnie dokładnie wypytywać o sposób, w jaki wydostałem się ze Starzyzny. Kiedy powiedziałem wszystko, co byłem sobie w stanie przypomnieć, powiedział stanowczo:

— Skoro tydzień temu dzwony zabiły, to dlaczego nie miałyby zrobić tego ponownie?

— Może dlatego, że tydzień temu była Niedziela Wielkanocna? — odpowiedziałem pytaniem.

Spojrzał na mnie z ukosa. Wtedy odezwała się Janka:

— Czyli wygląda na to, że będziemy musieli tu spędzić cały rok?

— Dziś też nie jest zwyczajna niedziela — powiedział Dobrowolski. — Dlatego uważam, że zanim się poddamy, na wszelki wypadek powinniśmy znaleźć się w pobliżu czereśni, obok której przeszedł rok temu Witek.

Niczym nie ryzykowaliśmy, spróbować nie zaszkodziło, z tym że zanim udaliśmy się na wzgórze, musieliśmy odprawić jeszcze jeden pogrzeb. Zajęci

rozmową nie zauważyliśmy, że Józek wszedł w środek dogasających kościelnych zgliszczy. Mówiłem właśnie, że powinniśmy ze sobą zabrać Adama, gdy do naszych uszu dobiegł huk wystrzału. Prawdopodobnie Kowalik nie wyobrażał sobie dalszego życia w naszym świecie. Być może tęsknota za matką była dla niego nie do zniesienia, dlatego postanowił strzelić sobie w głowę, uprzednio kładąc się pośród zwęglonych ciał osób, wśród których przebywał przez prawie całe swoje życie.

\*

Było tuż przed południem, gdy w piątkę stanęliśmy koło czereśni, pod którą niegdyś pochowana była Paulina Podolak. Był też z nami Adam, którego szczątki nieśliśmy z Jaśkiem w zdobionej kolorowymi malowanymi kwiatami przedwojennej skrzyni posagowej. Zabraliśmy ją z domu należącego do Katarzyny Cieplak. Ten, w którym mieszkali Kowalikowie, zawalił się w momencie, gdy zaczęliśmy się wspinać na wzgórze.

Poniżej nas rozciągał się przygnębiający widok. Dymiące pogorzelsko kościoła, wieś, w której pozostały tylko dwa niezrujnowane zabudowania, i to wszystko skąpane w śmierdzącej rozkładającymi się ciałami, wilgotnej mgle.

— Mówił ksiądz coś o tej niedzieli... — odezwał się Jasiek. — Dlaczego ona jest inna niż pozostałe?

Ksiądz uśmiechnął się i odparł:

— Nie możesz o tym wiedzieć, chłopcze, ponieważ to święto zostało ustanowione całkiem niedawno, przez naszego papieża. Wypada zawsze w pierwszą niedzielę po Wielkanocy.

— Ale jakie to święto? — Grela się niecierpliwił.

— Jeśli jest poza Wielką Niedzielą dzień, w którym Bóg mógłby zechcieć nam pomóc, to ten dzień powinien przypadać właśnie w Niedzielę Miłosierdzia Bożego. Nie sądzisz, młody człowieku?

Słuchałem tej rozmowy bez większych złudzeń i nadziei, wciąż wpatrując się w roztaczający się przed nami nędzny krajobraz. Właśnie dlatego jako pierwszy zauważyłem na drodze jakiś ruch. Najpierw wydawało mi się, że to halucynacje — wszak mój wzrok nie należał już do najlepszych — ale zaraz potem byłem pewien, że ktoś idzie drogą w stronę kościoła.

— No to pięknie — mruknąłem. — Ciekawe tylko, czy to Czarny, czy Dobrowolski obudził się na Wygonie. Nigdy się od nich nie uwolnimy — dodałem z rezygnacją.

Wszyscy wzrokiem podążyli tam, gdzie patrzyłem.

— Wydaje mi się, że to ani jeden, ani drugi — powiedziała Janka. — Owszem ma chyba na sobie sutannę, ale to nie jest taki habit, jaki nosił Dobrowolski...

— A niech mnie! — sapnął Grela. — Toż to jest ten ksiądz, co żeśmy się z nim w Krasnobrodzie spotkali.

Postać zatrzymała się na chwilę, spojrzała w naszą stronę, a później ruszyła

dalej, w kierunku dzwonnicy.

Dokładnie w południe nad Słoneczną Doliną rozległ się donośny basowy i czysty zaśpiew największego z dzwonów — tego nazywanego Świętym Józefem. Odwróciłem się i spojrzałem na szczyt wzgórza, które w normalnym świetle dzieliłoby nas od Guciowa, i zobaczyłem, jak zbliża się do nas plama powstała wskutek rzucanego przez słońce światła. Kiedy przenieśliem wzrok nieco w lewo, zorientowałem się, że krzewy, o które poraniłem sobie dłonie w ubiegłą niedzielę, zdążyły już przez ten czas zakwitnąć.

# Epilog

## I

Wydawałoby się, że po wkroczeniu na zalaną słońcem przestrzeń powinno nam wszystkim towarzyszyć uczucie radości, jednak gdy, stojąc w miejscu, w którym znalazłem się tydzień wcześniej, patrzyłem na twarze swoich towarzyszy, widziałem na nich tylko znużenie i smutek. Cóż, zwycięstwo okupione zbyt dużymi stratami nigdy nie smakuje dobrze.

Trzeba się było jednak zmierzyć z rzeczywistością, pogodzić ze śmiercią Adama, Bogdana, Józka, Teresy i po raz kolejny wejść na arenę dobrze znanego nam świata, starając się jak najlepiej odegrać role, które były nam przeznaczone. Można się było spodziewać, że bez Czarnego i Wincentego Dobrowolskiego będzie to łatwiejsze, jednak już wkrótce los miał pokazać swoje kolejne, zaskakujące oblicze. Gdy szliśmy w stronę Guciowa, każde z nas inaczej widziało przyszłość, planowało najbliższe godziny, dni i miesiące, ale przeznaczenie już wtedy drwiło z tych planów, o czym mieliśmy się dowiedzieć najdalej za kilkadziesiąt minut.

Podążaliśmy tą samą drogą, jaką przebyłem po nocnej eskapadzie z Adamowiczem, po tym, gdy strzelił do mnie, będąc przekonany, że ostatecznie ze mną skończył. Nie chcieliśmy w naszym stanie pokazać się mieszkańcom Guciowa. Ja szedłem z przodu, za mną Jasiek z Rafałem, niosący skrzynię z ciałem Adama. Na końcu, w pewnym oddaleniu, Janka z księdzem Dobrowolskim. Rozmawiali. Być może Janka chciała rozwiać swoje obawy odnośnie do dalszych losów duszy Bogdana. Chciałem bardzo, aby ksiądz potrafił jej tą rozmową pomóc. Tylko czy mógł to zrobić, nie uciekając się do przekonywania do czegoś, do czego sam nie był przekonany? Raczej w to wątpiłem.

Na podwórze dostaliśmy się tak samo, jak ja kilka dni wcześniej — przez uszkodzone przesło płotu. Wydawało się, że dojdziemy do drzwi niezauważeni, lecz z sąsiedniej zagrody ktoś krzyknął:

— Dzień dobry, Witek, cześć, Janka! Widzę, że macie gości.

Zaskoczony spojrzałem przez płot. Nieznajomy mężczyzna machał do nas przyjaźnie. Janka odpowiedziała na pozdrowienie, zmuszając się do uśmiechu.

— Kto to jest? — zapytałem ją cicho.

— Sąsiad.

— No, tak, to raczej oczywiste, ale skąd zna moje imię? Rozmawiałaś z nim



o mnie?

— Ani razu. Jestem tego pewna.

\*

Usiedliśmy przy stole w kuchni. Prowizoryczna trumna została umieszczona w piwnicy. Trzeba było pomyśleć o tym, jak przetransportować ją do Warszawy, ale to nie było zadanie na tę chwilę.

— Jakież propozycje odnośnie do naszych dalszych działań? — Pierwszy odezwał się Rafał.

— Musimy dostać się do Bliżowa i dowiedzieć się, co z Michałem i Mateuszem — odparłem. — Ten cały Mirek wyglądał na naprawdę narwanego i Bóg jeden wie, co mu strzeliło do głowy.

— Czyli co, pójdziemy tam wszyscy razem?

Kiedy pomyślałem, że teraz pieszo miałbym pokonać kilka kilometrów, wiedziałem, że nie dam rady. Po prostu organizm odmawiał mi posłuszeństwa po takiej aktywności w ciągu ostatnich dni, połączonej ze znacznymi niedoborami snu, ale nie mogłem przecież odmówić. W sukurs przyszła mi Janka:

— Witek ledwie żyje. Lepiej byłoby, żeby się trochę przespał. Ja mogę pójść. Rafał, Jasiek — pójdziemy we trójkę?

Obaj skinęli głowami. Byli osmaleni i umorusani po ratowaniu Adama z płonącego kościoła.

— Trochę tylko byśmy się opłukali, jeśli można, żeby nie wystraszyć Bogu ducha winnych okolicznych mieszkańców.

Janka wstała, wskazała im łazienkę, a potem wróciła do kuchni, popatrzyła na Dobrowolskiego i powiedziała:

— Ksiądz też chyba powinien odpocząć.

— Nie będę protestował — odparł, przywołując uśmiech na zmęczone oblicze. — Dziękuję.

— Pójdę zatem przygotować ręczniki.

Chwilę później z korytarza dał się słyszeć jej głos:

— Witek, ty nie zamykałeś przypadkiem środkowego pokoju?

Poszedłem do niej. Stała przy drzwiach małego pokoiku, do którego kiedyś zajrzałem, ale w którym ani razu nie byłem.

— Nie przypominam sobie, bym to robił. A skąd takie przypuszczenie?

— Dziwna sprawa. Nigdy nie był zamykany. No nic, wezmę w takim razie ręczniki z innej szafy.

Nie sądziłem, że drzwi ustąpią po mojej próbie ich otworzenia, ale to było silniejsze ode mnie. Szarpnąłem za klamkę. Faktycznie, zamknięte. W zamku nie było klucza.

— Janka, ja się kładę. Rafał ma telefon i numer do mnie, więc w razie czego dzwońcie. Chyba że wszystko będzie w porządku, to niekoniecznie — powiedziałem, by za chwilę dodać: — I za Albinem się rozglądajcie. Pewnie się

o nas mocno niepokoi.

Spodziewałem się, że będę mógł odpocząć przynajmniej z godzinę, więc położyłem się do łóżka, w którym już wcześniej spałem. Byłem tak zmęczony, że nie miałem nawet siły się rozebrać. Zanim zasnąłem, spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza.

\*

*Telefon zadzwonił dwadzieścia minut później.*

— *Już jesteście w Bliżowie? Tak szybko? — wymruczałem do słuchawki zaspanym głosem.*

*Odpowiedziała mi Janka, a jej pełen emocji głos natychmiast mnie otrzeźwił:*

— *Witku, przyjdź tu jak najszybciej.*

— *Gdzie, do Bliżowa?*

— *Nie, na ten parking naprzeciw... — Na moment zamilkła.*  
— *Tu, gdzie stoi samochód Adama.*

— *To naprawdę takie pilne?*

— *Sam zobaczysz. Ksiądz chyba śpi, więc na razie nie ma potrzeby, abyś go budził. Zapasowe klucze wiszą w przedpokoju, na wieszaku koło lustra. Zamknij dom i postaraj się być jak najszybciej.*

*W sumie dobrze, że nie dałem rady rozebrać się przed snem.*

*Przez drogę pomstowałem trochę w myślach, że nie dali mi nawet godziny spokoju. Nie robiłbym tego jednak, gdybym od razu się dowiedział, z jakiej przyczyny zostałem wezwany.*

*Do Adamowego punktu miałem jeszcze około stu metrów, a już zorientowałem się, że coś jest nie tak. Moi znajomi stali we trójkę przy samochodzie, ale ja bardziej zainteresowałem się zabudowaniami położonymi po przeciwnej stronie drogi, w miejscu, w którym dotąd stało gospodarstwo agroturystyczne Stanisławskiego.*

*Budynki wciąż tam były.*

*Tyle że całkowicie inne.*

*Całkowicie zapomniałem o Jance, Jaśku i Rafale. Szedłem, gapiąc się na zupełnie obce mi domy. Ze stuporu wyrwał mnie klakson hamującego za mną auta. Okazało się, że paradowałem środkiem drogi, zupełnie zapominając o swoim bezpieczeństwie. Zszedłem na lewą stronę, nie dbając nawet o to, żeby przeprosić kierowcę za swoje roztargnienie.*

*Wreszcie stanąłem przy wejściu na podwórko. „Miniskansen*

Guciów” — głosił wymalowany na desce napis. Przeszedłem przez kładkę, identyczną jak ta, która prowadziła na podwórze Stanisławskiego. Ale to nie była ta sama kładka, byłem tego pewien. Tak samo, jak tego, że po raz pierwszy widziałem stojące naprzeciw mnie, liczące pewnie ze sto lat albo i więcej, kryte strzechą chaty.

Zapomniałem, że Janka, Rafał i Jasiak Grela czekają na mnie przy samochodzie. Jak zahipnotyzowany ruszyłem przez podwórze na wprost. Nie było już budynku z pokojami gościnnymi, w którym spędziłem moją pierwszą noc w Guciowie. Zamiast niego stał parterowy, przysadzisty i pobielony wapnem dom z bali. Zbliżyłem się do niewielkiej werandy, przez którą wchodziło się do najbardziej okazałej chaty, oznaczonej nad wejściem napisem „Karczma”. Drzwi były otwarte, z wnętrza dobiegał gwar. Nie mogłem nie zajrzeć do środka.

Pomieszczenie było bardzo podobne do tego, które widziałem wcześniej. Podobny piec, podobne zdjęcia na ścianach. Nawet stojące w kącie polakierowane pianino przypominało to widziane przeze mnie niegdyś w gospodarstwie Stanisławskiego. Za barem stał nieznajomy mężczyzna koło sześćdziesiątki i przyglądał mi się z życzliwym zainteresowaniem. Przyglądali mi się również goście, którzy przerwali rozmowy na mój widok.

— I co ty na to? — Usłyszałem za plecami głos Rafała.

Odwróciłem się i zapytałem:

— Rozumiem, że wy wszyscy widzicie dokładnie to samo?

W odpowiedzi skinął głową, a potem rzekł:

— Przygotuj się na więcej.

Koła we fiacie Adama były jak nowe. Ani śladu po cięciach wykonanych przez Teresę w ubiegłą niedzielę. Od razu sięgnąłem do kieszeni i wyszperałem z niej klucze znalezione przy kościele w Starzyźnie. Auto odpaliło za pierwszym razem.

— Nic z tego nie rozumiem, ale przynajmniej nie musimy iść na piechotę.

— Niby tak, ale też nie ma za bardzo którądy jechać... — odezwała się Janka, która akurat sadowiła się na tylnym siedzeniu. — Zanim przyszedłeś, trochę się tu rozejrzeliśmy. Zresztą zaraz sam zobaczysz.

Rafał zajął miejsce obok niej, a Jasiak usiadł z przodu. Wyjechałem

z parkingu i skręciłem w prawo. Nie minęła minuta, jak zrozumiałem, co Janka miała na myśli. W miejscu, w którym powinna być asfaltowa droga prowadząca do Bliżowa, zobaczyłem piaszczystą ścieżkę. Kilkadziesiąt metrów dalej, tam, gdzie dotąd stał dom Stanisławskiego, roztaczała się pusta trawiasta przestrzeń, ciągnąca się aż do meandrującej wstęgi Wieprza.

Zatrzymałem samochód na poboczu i powiedziałem:

— Dobrze, jak rozumiem nikt z nas nie potrafi wytłumaczyć tego, co widzimy, ale może któreś z was ma przynajmniej jakieś teorie? Moja jest taka, że to wszystko mi się śni i zaraz się obudzę.

— Miałem taką samą — odezwał się Rafał.

— Ja to nie bardzo wiem, o co chodzi — dodał Jasiek. — Mało już znam tę okolicę. Dużo się zmieniło...

Najbardziej rozsądne zdanie wypowiedziała Janka:

— Nasze teorie teraz na nic się zdadzą, więc może warto by pojechać do Bliżowa i zobaczyć, co z Mateuszem i z Bisami?

— Ale którądy mam jechać, Janka? — Odwróciłem się i popatrzyłem na nią. — Przecież widzisz, że tu tylko ścieżka jest...

— Spróbuj przez Jacnię i Adamów. Może akurat tam asfalt przez noc nie zniknął?

Jak się okazało, miała rację.

Wyglądało na to, że zmiany zaszły jedynie w Guciowie. Im dalej byliśmy od tej wioski, tym to wszystko, co widzieliśmy przed chwilą, wydawało się mniej realne. Tak naprawdę zaczynałem coraz bardziej przekonywać samego siebie, że kiedy znów pojawimy się w okolicach parkingu, z którego dopiero co wyjechaliśmy, to wszystko będzie jak dawniej. I byłem już tego prawie pewien, gdy w Bliżowie zauważyłem przy drodze fiestę należącą do Adamowiczów. Stała dokładnie tak, jak ją zostawiliśmy w nocy. Tyle że z jej prawej strony zamiast zabudowań Mitników i Teresy stał piętrowy murowany dom, otoczony wielkim podwórzem i kilkoma budynkami gospodarczymi.

— Co, do jasnej cholery...? — jęknąłem. — Janka, czy ty coś z tego wszystkiego rozumiesz?

— Pewnie tyle samo, co ty.

— Tu były jeszcze wczoraj zupełnie inne zabudowania, prawda? — zapytał Rafał.

— Zgadza się, przyjacielu — odparłem, zatrzymując auto zaraz za fiestą. — Przerzucę swoje rzeczy. Nigdy nie wiadomo, czy jak następnym razem będziemy tędy przejeżdżać, to ford w dalszym ciągu będzie stał na swoim miejscu — wyjaśniłem.

Zajęło mi to pół minuty. Wrzuciłem torbę do bagażnika i zatrzasnąłem klapę Adamowego fiata. Zupełnie bezwiednie mój wzrok prześlizgnął się po tablicy rejestracyjnej z tyłu. Postąłem z minutę, gapiąc się jak sroka w gnat, po czym obszedłem auto i obejrzałem dokładnie przednią tablicę. Zaraz potem przykucnąłem, żeby sprawdzić, czy to nie jest jakiś głupi żart, ale okazało się, że nie. Litery i cyfry wyglądały na wytłoczone i pomalowane fabrycznie.

Nie zważając na napomnienia Janki, że powinniśmy ruszać dalej, poprosiłem Grełę, żeby wysiadł i przeczytał na głos numer rejestracyjny.

— W, U, siedemnaście, osiemdziesiąt osiem, A — usłyszałem.

WU. Moje inicjały (to raczej był przypadek) i oznaczenie dzielnicy Ochota, w której znajdowało się moje warszawskie mieszkanie. I to już z przypadkiem mogło nie mieć zbyt wiele wspólnego. Raz jeszcze podszedłem do bagażnika, otworzyłem klapę i wyszperałem w torbie portfel, który należał do Adama. Drżącymi rękoma wyjąłem z niego dokumenty samochodu. Auto było zarejestrowane na moje nazwisko.

Kiedy wyjaśniłem pozostałym całą sprawę, wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że nic już nas nie jest w stanie zaskoczyć. W takim przekonaniu trwaliśmy do momentu, gdy zatrzymałem samochód przy czarnym metalowym krzyżu, stojącym u stóp rozłożystej lipy. Za nim powinien zaczynać się asfalt, prowadzący do Guciowa, jednak zamiast niego wśród leśnych ostępów wiała się wąska piaszczysta droga, zatarasowana przez forda focusa należącego do Rafała. Jedyнным śladem, który pozostał po zaniedbanym gospodarstwie Bisów, było kilka kwitnących drzewek owocowych.

Wyszliśmy z samochodu i zaczęliśmy się rozglądać wokół z nadzieją, że dostrzeżemy coś, co pomogłoby w rozwiązaniu zagadki, z którą przyszło nam się zmierzyć.

— Może gdzieś tu w pobliżu jest Albin? Przecież on nie mógł zniknąć razem z tym wszystkim — powiedziałem, ale sam nie byłem przekonany co do słuszności tego twierdzenia.

Gielmuda zajrzał do środka swojego auta. Okazało się, że w stacyjce tkwią kluczyki, więc uruchomił silnik, żeby focus nie tarasował drogi. Właśnie wysiadł i zamknął drzwi za pomocą centralnego zamka, kiedy wśród drzew dał się słyszeć cichy szelest. Zaraz potem na drogę wyszedł Ares, który zdezorientowany węszył z nosem przy ziemi. Najwyraźniej nie byliśmy jedynymi, którzy zauważyli, że stało się coś trudnego do wyjaśnienia. Podszedł do Janki, a ta przykucnęła i czule pogłaskała psa go po łbie.

— Gdzie są twoi właściciele, Ares?

Kundel popatrzył na nią wyczekująco i niepewnie machnął kilka razy ogonem.

Gdyby nie Janka, pewnie zabralibyśmy się stamtąd po niedługim czasie, ale ona oparła się o mój już teraz samochód, postąpiła tak chwilę, po czym powiedziała:

— Michał mówił coś o tym, że ukrył Mateusza w Iwni. Może tam powinniśmy poszukać?

— To jest jakaś miejscowość? — zapytałem.

— Była. Teraz już nie została z niej nawet jedna chałupa, ale skoro Bis wspominał, że chłopiec jest w piwnicy jakiegoś starego domu, to może warto tam sprawdzić?

— Wiesz, gdzie to jest?

— Byłam w tym miejscu najwyżej ze trzy razy w życiu, zawsze idąc od strony Guciowa, więc nie wiem, czy trafię. Ale warto spróbować. Jak sobie pomyślę, że to biedne dziecko wciąż tam może czekać na mamę, to aż serce mi się kraje...

— A samochodem nie dojedziemy? — zapytałem.

— Nie sądzę — odparła. — Może terenowym, ale chyba ani jeden, ani drugi ford by tam nie dojechał.

Ruszyliśmy zatem za Janką.

Ares przez chwilę się wahał, ale ostatecznie także do nas dołączył.

Droga zajęła nam jakieś pół godziny.

Ares początkowo trzymał się na końcu stawki, ale im głębiej wchodziliśmy w las, tym czuł się pewniej i w pewnej chwili zaczął nas prowadzić. Kiedy Janka stwierdziła, że to już chyba niedaleko, pies znacznie wysforował się naprzód, a później głośnym szczekaniem naprowadził nas na miejsce ukrycia Mateusza.

W starej piwnicy znajdowało się kilka koców, parę butelek oranżady i metalowe pudełko, w którym znaleźliśmy jakieś czerstwe kanapki. Nie było wątpliwości, że to tutaj Bis przetrzymywał własnego syna.

Tyle że teraz to miejsce było puste.

Niewykluczone, że chłopiec obudził się w nocy i zniecierpliwiony tym, że przez dłuższy czas jest sam, postanowił poszukać drogi do domu.

— Ares, szukaj Mateusza — powiedziałem. — Szukaj chłopca!

Od razu było widać, że taka komenda jest psu zupełnie obca.

— To co? Może się jakoś rozdzielimy i poszukamy pojedynczo? — niepewnie zaproponował Rafał.

— Chyba nie mamy innego wyjścia — odparła Janka. — To jak się umówimy? Może każdy pójdzie w inną stronę i spotkamy się tutaj na przykład za dwie godziny?

Było to rozwiązanie równie rozsądne jak każde inne. Jeśli mieliśmy mieć trochę szczęścia, to mogło ono przynieść powodzenie. Bez tego i tak nie mieliśmy szans.

Ustalaliśmy właśnie, kto pójdzie w którą stronę, gdy do naszych uszu dobiegło głuche warczenie. Ares stał, wpatrywał się gdzieś przed siebie i szczyrzył kły. Sierść na jego grzbiecie zjeżyła się, a on przyjął taką pozycję, jakby przygotowywał się do skoku.

Do moich nozdrzy dobiegł delikatny, ledwie wyczuwalny zapach. Starłem się przypomnieć sobie, skąd go znam, i wreszcie już wiedziałem. Zapach tytoniu zmieszanego z delikatną nutą miodu. Popatrzyłem na Rafała i okazało się, że on także przygląda mi się z uwagą.

— Też to czujesz? — zapytałem. — Myślisz, że to dziadek Franek pojawił się, aby nam pomóc?

— On zawsze był niezawodny. — Gielmuda uśmiechnął się i byłem już pewien, że wąż mnie nie mylił.

Nie mogło nam się nie udać.

Nieufny, wciąż groźnie warczący pies najpierw zrobił kilka kroków, a później już pewnie podjął trop.

Mateusz siedział na moście, przy starym młynie wodnym. Kiedy nas zobaczył, uśmiechnął się słabo i wyciągnął ręce w kierunku Janki, która natychmiast go przytuliła.

— Bogu dzięki, że się znalazłeś — powiedziała.

*Na pierwszy rzut oka było widać, że chłopiec jest skrajnie wycieńczony.*

*— Trzeba go zabrać do samochodu. Może zawieźlibyśmy Mateusza do ciebie? Co ty na to, Janeczko? — zapytałem. — Wprawdzie musimy wrócić spory kawałek, ale jeśli będziemy go nieść na zmianę, to bez problemu damy radę.*

*Uśmiechnęła się.*

*— Przecież jesteśmy w Guciwie. Stąd do mojego domu jest najwyżej trzysta metrów.*

*— Przepraszam, że się zgubiłem, mamó — słabym głosem odezwał się mały Bielak. — Nie chciałem...*

*Zaczynał majaczyć.*

*— Może powinniśmy wezwać lekarza? — zasugerowałem.*

*— Już dobrze, Mateuszu. Zaraz będziemy w domu — powiedziała Janka, a dopiero później zwróciła się do mnie: — Może dojdzie do siebie, jak się trochę prześpi...*

\*

Było dwadzieścia po pierwszej, gdy ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu.

— Jesteście już w Bliżowie? Tak szybko?

— Witku, przyjdź tu jak najszybciej.

— Gdzie, do Bliżowa?

— Nie, na ten parking naprzeciw... Tu, gdzie stoi samochód Adama.

Usiadłem, wpatrując się w ścianę. Serce waliło mi jak młotem.

— Witku...?

— Posłuchaj, Janka. Przed chwilą miałem sen...

— Ale my tutaj...

— Janka, czy chodzi o to, że w miejscu, gdzie stało gospodarstwo Stanisławskiego, teraz znajdują się zupełnie inne zabudowania?

Przez moment milczała.

— Skąd ty o tym wiesz? — szepnęła wreszcie.

— Powiedziałem ci, że miałem sen. Czy mogłabyś odczytać numer rejestracyjny samochodu Adama?

Nie pytała, po co jest mi to potrzebne, tylko po kilku sekundach usłyszałem:

— W, U, siedemnaście, osiemdziesiąt osiem, A.

— Janka, posłuchaj... Spotkajmy się jak najszybciej przy moście koło starego młyna.

— Tu, w Guciwie?

— Tak, ja będę tam za pięć minut.



## II

W poniedziałek dokładnie o jedenastej stawiłem się na komendzie policji w Zamościu. Zgodnie z instrukcjami Maciejewskiego zapytałem na portierni, jak do niego trafić. Dyżurny wytłumaczył mi, ale zanim otworzył drzwi, wybrał numer wewnętrzny, odczekał chwilę, a później powiedział do słuchawki:

— Sławek, jest do ciebie pan... — Sprawdził w zeszycie to, co przed chwilą zanotował. — ...pan Witold Uchmann.

— ...

— Uchmann. Przez dwa „en” na końcu.

— ...

— Mówi, że wezwał cię go na przesłuchanie.

— ...

Policjant dyżurny popatrzył na mnie zdumionym wzrokiem.

— To niech on może sam ci wyjaśni.

Niedługo potem zastukałem do drzwi pokoju komisarza. Jeden rzut oka wystarczył, bym zorientował się, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu, więc przesłuchanie nie doszło do skutku. Kiedy szedłem korytarzem w kierunku wyjścia, minąłem sierżanta Witkę. On również mnie nie kojarzył, ale przystanął na moment i przyjrzał mi się baczniej, jak człowiekowi, którego się skądś zna, ale nie wiadomo skąd.

— Dzień dobry, panie sierżancie. Proszę pozdrowić żonę i córeczkę.

— Dzień dobry, dziękuję. Czy my się znamy?

— Kiedyś się znaliśmy. Bardzo dawno temu.

\*

Z Zamościa pojechałem do domu prowadzonego przez księdza Dobrowolskiego. Na dziedzińcu spotkałem Albina i Katarzynę Cieplak, którzy siedzieli na ławeczce przed budynkiem.

— Dzień dobry.

— Witajcie, moim drodzy.

Albin skinął tylko głową, a Katarzyna powiedziała:

— Dzień dobry, Witku. Wciąż mam do ciebie żal, że nie obudziliście mnie wczoraj, jak wyruszaliście z Janką w drogę do Bliżowa. Już ja jej nagadam przy najbliższej okazji.

— Zapewniam cię, że niewiele straciłaś. Nie wiecie, czy ksiądz jest u siebie?

— Dopiero co się tu kręcił, więc powinien być — odparł Albin.

Poprzedniego dnia natknęliśmy się na Albina przy drodze, tuż przed Łabuniami. Jechaliśmy dwoma samochodami — ja z Jaśkiem, a Rafał z Dobrowolskim, który obudził się, gdy w domu Janki zapanowało zamieszanie związane z Mateuszem

i potem już chciał wracać do swojego dworku. Janka została z chłopcem, a my ruszyliśmy w drogę.

W Bliżowie wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w moim śnie, więc zabrałem z fiesty torbę, a później pojechaliśmy kawałek dalej, w okolice metalowego krzyża, żeby Rafał mógł zabrać swoje auto.

Albin usiadł z nami. Opowiedział, że nad ranem najpierw przyjechał sam Michał Bis, zostawił focusa na środku drogi i od razu pobiegł w głąb lasu. Jakies dwadzieścia minut później w okolicy gospodarstwa pojawił się drugi mężczyzna — z pewnością był nim Mirek Bis — który pooglądał auto, a potem poszedł do domu i nie wychodził stamtąd aż do powrotu Michała, czyli przez jakieś trzy godziny.

Później z budynku zaczęły dobiegać odgłosy karczemnej awantury, która następnie przerodziła się w ostrą bójkę. Albin wszystko dokładnie słyszał, ponieważ jedno z okien poprzedniego dnia Jasiek wyrwał ze spróchniałej ościeżnicy razem z zawiasami. Socha miał wrażenie, że to jest walka na śmierć i życie, ale nie dane było mu poznać wyniku. Nad zabudowania nagle spłynęła gęsta mgła, która całkowicie stłumiła dochodzące z wnętrza domu odgłosy. Kiedy się rozviała kilkanaście minut później, po zabudowaniach Bisów nie pozostał nawet ślad.

— A co z twoją córką, Katarzyno?

— Dziś rano był tu Rafał, przywiózł księdzu tego kota.

— No, nie powiem, żeby Dobrowolski był jakoś szczególnie zachwycony — dodał Albin z uśmiechem.

— Domyślałem się — powiedziałem. — No, ale co z Krystyną?

— Rafał zawiózł ją do Zamościa. Będą zajmować się formalnościami związanymi z przepisaniem na mnie mieszkania, no, ale wiesz, to nie jest takie proste. Przecież ja nie mam nawet dowodu.

— Zamierzasz się do niej przeprowadzić?

— Pewnie tak, a kiedy jej już zabraknie, oby to nastąpiło jak najpóźniej, może zamieszkamy tam z Albinem i Jaśkiem. Nie chcielibyśmy księdzu na głowie siedzieć.

— Nie ma co gdybać. Może lepiej będzie sprzedać mieszkanie i pieniądze przekazać na funkcjonowanie ośrodka... — Wskazałem na dworek. — ... w zamian za opiekę nad wami?

— Może i tak. Ale do tego jeszcze daleka droga.

Pożegnałem się z nimi i ruszyłem w stronę drzwi wejściowych.

— Witek! — krzyknął za mną Albin. — Jest jeszcze informacja, która może cię zainteresować.

— Tak? A co się stało? — zapytałem.

— Stara Nowakowa zmarła wczoraj w nocy. Tak mniej więcej koło trzeciej.

Pokiwałem głową.

— Straszna szkoda. — Westchnąłem. — Zdaje się, że bardzo mnie lubiła. Klatka z Diablikiem w środku stała w kącie kancelarii Dobrowolskiego.

— Toś mnie, chłopcze, ożenił z tym paskudnym kocurem — odezwał się ksiądz, jak tylko mnie zobaczył.

— Niech się ksiądz nie gniewa. Zresztą chyba obaj wiemy, że to było najlepsze rozwiązanie. Nie sędzę, żeby Paulinka przekonała się do zmiany jego imienia, a takie, jak nosił dotychczas, sam ksiądz rozumie... Lepiej nie kusić losu, jak Adamowicz z tym swoim byczkiem.

— No wiem, wiem. Mam nadzieję, że Rafał jej jakoś wytłumaczy jego zniknięcie?

— Obiecał, że jeszcze w tym tygodniu jego córka dostanie nowego kotka. Tym razem nazwą go Mruczek albo jakoś tak... A ksiądz już wie, jak od teraz ten tu czarny ancymon będzie się nazywał? — Mówiąc, to wskazałem na klatkę.

Kot fuknął na mnie, a Dobrowolski odparł:

— Myślałem o imieniu „Biały”.

— To chyba całkiem dobry pomysł. — Uśmiechnąłem się.

— Biały, pogromca myszy. — Dobrowolski także się uśmiechnął.

— Słyszałeś, bracie? — Zwróciłem się do kota. — Zdaje się, że od teraz będziesz musiał zapracować sobie na wikt i opierunek.

Zaraz potem powiedziałem, co mnie sprowadza i wyjawilem swoją prośbę. Ksiądz zgodził się bez wahania.

— Wybrałeś już miejsce? To będzie na cmentarzu?

— Nie. Pomyślałem, że pochowamy Adama tam, gdzie wcześniej zostały złożone szczątki Jakuba Trześniowskiego.

— A dlaczego nie w Warszawie? Wczoraj mówiłeś, że z pewnością chciałby spocząć obok swojej żony.

— Nie wydaje mi się, żeby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie — odparłem i podałem mu brulion, otwierając na zaznaczonej wcześniej stronie.

Na czystej kartce prócz daty — 16 kwietnia 2007 (poniedziałek) — nie było zbyt wielu liter. Słabym pismem Adama skreślono tylko cztery słowa:

*Już jesteśmy razem. Dziękuję.*

### III

We wtorek wybrałem się do Warszawy.

Paliwo w punto już się prawie skończyło, więc musiałem zapożyczyć się u Janki. Miałem nadzieję, że to, co zastanę w stolicy, nie zaskoczy mnie na tyle, bym nie miał z czego oddać.

— Kiedy wrócisz? — zapytała.

— Pewnie jutro. Mam kilka spraw do ogarnięcia, a w drodze powrotnej chciałbym wstąpić jeszcze w jedno miejsce.

— To dobrze. Chociaż to i tak trochę długo. Jestem pewna, że Mateusz ciągle będzie o ciebie pytał.

W moim warszawskim mieszkaniu nic się nie zmieniło. Wszystko było na swoim miejscu. Adam zadbał, aby czynsz i wszystkie rachunki były opłacane na bieżąco. Na wszelki wypadek posprawdzałem akty notarialne — na szczęście nie zaszły przez ten cały czas żadne zmiany. Ciekaw byłem, ile może kosztować teraz moja dwuhektarowa działka pod Warszawą, ale zapewne przez dwa lata nie straciła na wartości.

Najpierw poszedłem do banku, żeby wybrać pieniądze, później kupiłem sobie telefon na kartę. Nie chciałem więcej używać aparatu otrzymanego od Stanisławskiego. Zaraz po tym, gdy wyszedłem z salonu, stary telefon wylądował w śmietniku.

Zleciłem w lokalnej prasie kilka ogłoszeń informujących o zamiarze sprzedania działki, a potem pojechałem na cmentarz, do Krzysia.

Następnego dnia rano wybrałem się do redakcji. Wcześniej wstąpiłem do delikatesów i kupiłem dobrą wódkę dla Henia Kawęckiego. Byłem mu ją przecież winien za informacje, które przekazał mi telefonicznie, gdy byliśmy razem z Janką w hotelu w Łęcznej. Po chwili zastanowienia wróciłem do sklepu i poprosiłem o jeszcze jedną butelkę. Przypomniałem sobie, że Adam też zasięgał u Heńka informacji i — jeśli mnie pamięć nie myliła — również obiecał mu za to flaszkę.

Kawęcki ucieszył się na mój widok, ale nie pamiętał, byśmy ostatnio rozmawiali przez telefon. Przy moim biurku pracował jakiś młody człowiek, wyglądający bardziej na licealistę, niż na absolwenta studiów; niewykluczone, że Sadoń przyjął jakiegoś studenciaka na staż. Zdziwiło mnie, że w pokoju nie ma biurka Adama. Nie było go ledwie ponad tydzień i tak szybko by go wyeksmitowali?

Pudełko z moimi rzeczami stało w pokoju, w którym pracował Kawęcki. Gdy zapytałem go o to, gdzie teraz miałyby siedzieć Adam, popatrzył na mnie i zapytał:

— Jaki Adam?

— Nawrot. Przecież... Zresztą nieważne. — Wydawało mi się, że wszystko zaczynam już rozumieć.

— To kiedy się umawiamy na małe chlanko? — zapytał Heniek, odprowadzając mnie do drzwi i zacierając ręce.

— Kiedyś się umówimy, ale teraz mnie trochę nie będzie, więc śmiało wypij moje zdrowie. Jak wrócę, to się odezwę — skłamałem.

Z pokoju wyszedł Sadoń. Jego parszywa gęba nie zmieniła się przez te dwa lata ani na jotę. Popatrzył na mnie z pogardą i minął bez słowa. Niósł pod pachą jakieś papiery, które właśnie w tej chwili rozsypały mu się po całym korytarzu. Schylił się i zaczął je zbierać. Przypomniałem sobie, jak ponad dwa lata temu, tuż

przed otrzymaniem mejla od niejakiego Krzysztofa Piaseckiego, miałem wielką ochotę, żeby zasadzić Sadoniowi porządnego kopniaka. Teraz nadarzała się świetna okazja, ale stwierdziłem, że szkoda buta.

Kawęcki odprowadził mnie do windy. Postawiłem pudełko na ziemi i uściśnąłem jego dłoń.

— No, to do zobaczenia, Witek. Odezwij się. Aha, jak tam się miewa twój syn?

Puściłem jego rękę i przypatrywałem się jego twarzy, nie wierząc, że to powiedział. Ja wiem, że minęło już przecież parę lat, ale jak mógł zapomnieć...?!

— Cześć, Heniek — odparłem sucho.

Gdy drzwi od windy się zamykały, w oczach Kawęckiego wciąż malowało się zaskoczenie.

Zostawiłem pudełko w aucie i poszedłem do pobliskiej księgarni. Skoro Heniek nie pamiętał Adama, to zaczęła mnie zastanawiać jedna rzecz. Nie zamierzałem przeglądać półek z książkami, tylko od razu skierowałem się do ekspedientki i zapytałem o książkę zatytułowaną „Czarny Wygon”. Najpierw przez jakiś czas sprawdzała w sieci, później upewniła się, czy dobrze usłyszała nazwę. Napisałem ją na kartce. Dziewczyna jeszcze raz przejrzała katalog.

— Niestety, takiej książki nie mamy.

— A była kiedykolwiek dostępna?

— Nie, takiej pozycji nigdy nie mieliśmy. A może chodziło panu o „wagon”? „Czarny wagon”, taka książka jest. To zdaje się o kopalniach węgla kamiennego na Śląsku. Ponoć dobre.

— Na razie dziękuję. Może innym razem się skuszę — odparłem uprzejmie.

## IV

Przypomniałem sobie, że nie zabrałem z mieszkania jednej bardzo ważnej rzeczy. Wróciłem więc i schowałem ją w kieszonce na sercu, gdzie spoczywał różaniec Pauliny Podolak, a później ruszyłem w drogę.

W Lublinie nie pojechałem w kierunku Zamościa, tylko odbiłem na Łęczną. Kiedy rozstawałem się w ubiegłą środę z Jerzym Szewczykiem, zapewniał mnie, że o ile nie kopnie w kalendarz, to w razie potrzeby powinienem go zastać wieczorem w barze Przystań. Kiedy pojawiłem się tam przed osiemnastą, jeszcze go nie było. Czekałem dwie godziny i już zacząłem tracić nadzieję, gdy wreszcie przyszedł. Zamówił piwo i usiadł przy stoliku obok.

— Czy mogę się do pana przysiąść, panie Jurku?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— A my się znamy?

— Pan mnie chyba nie zna, ale ja pana tak.

— Proszę, przyjacielu, siadaj.

Po kilku minutach rozmowy zapytałem go o Weronikę. Wspomniałem, że czytałem o jej historii w gazecie i byłem pewien, że kto jak kto, ale on wiedziałby, gdyby w ostatnim czasie jej się coś przydarzyło. I faktycznie, trafiłem w dziesiątkę.

— To smutna sprawa, bracie. Dużo przeżyła. Narzeczoną zostawił ją, popełniając samobójstwo, i chyba sobie z tym wszystkim nie mogła poradzić. W niedzielę przed świtem wsiadła do swojego seicento i wyruszyła w ostatnią podróż. Jechała w stronę Zamościa. Rozpędziła auto jak tylko można było najbardziej i uderzyła w drzewo. Nie było co zbierać. Tragedia straszna. Wszyscy ją tutaj lubiliśmy, nikt nie spodziewał się, że aż tak załamie się po śmierci tego jej Maćka. No i w ciąży była... Ech, życie. — Westchnął i pociągnął z kufła.

Przez moment zastanawiałem się, czy jej dziecko miałyby ślepe oczy po mamusi, czy też dopiero musiałaby ona nad tym popracować, ale na to pytanie nie mogłem już poznać odpowiedzi.

Pożegnałem się z Szewczykiem i poszedłem do auta.

W drodze do Zamościa rozważałem, czy nie warto by też popytać w Łabuniach o tę kobietę, którą spotkałem, jadąc do Krasnobrodu, ale ostatecznie uznałem, że nie warto. Być może również zmarła w niedzielę, około trzeciej nad ranem, ale skoro młody ksiądz wspominał o tym, że jest Ich więcej, to taka wiedza i tak by mi nic nie dała.

Na razie chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu.

Sam nie mogłem uwierzyć, że w myślach tak właśnie nazwałem budynek, w którym czekali na mnie Janka i Mateusz.

## V

Następnego dnia rano pojechałem do sanktuarium w Krasnobrodzie. Stałem przed cudownym obrazem i po raz kolejny przypatrywałem się wiszącym przy nim darom wotywnym. Przypomniałem sobie słowa księdza, które wypowiedział do mnie podczas pierwszej rozmowy, a które dotyczyły chwilę wcześniej zabranego stąd przeze mnie różańca Pauliny: „Może nadejdzie jeszcze dobry czas, by go tu zawiesić z powrotem”. Brzmiały one w mojej głowie tak głośno, jakby duchowny znów je wypowiadał, stojąc obok mnie. Nie wiedziałem, czy to jest właśnie ten dobry czas, nie wiedziałem, co mnie jeszcze czeka, ale sięgnąłem do kieszonki na piersi. Chwilę później różaniec zawisł na wcześniej zajmowanym miejscu.

Zaraz potem sięgnąłem do tej samej kieszeni ponownie. Kiedy pierwszy raz się tu modliłem, obiecałem, że jeśli Rafał po raz drugi wróci szczęśliwie ze

Starzyzny, to wśród darów zawisnie także srebrny ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który otrzymałem w czasie pierwszej komunii od mojego ojca, a który wcześniej podarowała mu jego mama. Wtedy Rafał w Starzyźnie się nie pojawił. Zamiast niego trafiłem tam ja, jednak przecież w ostatnią niedzielę znów odwiedziliśmy to przekłete miejsce. Tym razem obaj. I obaj szczęśliwie stamtąd wróciliśmy.

— Szkoda, że tego szczęścia nie starczyło również dla Adama — szepnąłem.

Przez dłuższą chwilę obracałem w palcach płaski, chłodny przedmiot, a później umieściłem go tuż obok różańca.

— Mam nadzieję, że już nigdy nie będziecie mi potrzebne — powiedziałem jeszcze, a potem przeżegnałem się i wyszedłem z kościoła.

## VI

W ciągu kilku miesięcy udało mi się sfinalizować transakcję sprzedaży ziemi. Formalności wymagały, bym kilka razy pojawił się w Warszawie. Za każdym razem odwiedzałem grób Krzysia i zastanawiałem się, czy jest ze mnie dumny.

To, co się wydarzyło w okolicach Guciowa, wciąż mnie przerastało, ale każda taka wizyta na cmentarzu, każde spojrzenie na zdjęcie syna pozwalały mi na nabranie do całej tej sprawy dystansu, przypominały, że są na świecie rzeczy ważniejsze nawet od kwestii związanych z życiem i śmiercią.

Tylko raz wracałem z Warszawy roztrzęsiony.

Na jednych ze świateł na Marszałkowskiej zobaczyłem znajomą sylwetkę. Mój wzrok trudno nazwać sokolim, ale była ona naprawdę bardzo charakterystyczna. Stało się to w upalny letni dzień. Większość osób miała oczy osłonięte okularami przeciwsłonecznymi, podobnie jak mężczyzna, który przechodził tuż przed maską mojego auta. Nagle zwolnił, jakby poczuł, że mu się przyglądam, i odwrócił twarz w moim kierunku, zatrzymując się na moment.

Czy mam stuprocentową pewność, że to był on?

Nie.

Ale prawie.

Wydaje mi się, że zbyt dobrze znam Stanisławskiego, bym mógł go z kimkolwiek pomylić.

Ale może jestem w błędzie?

Mam nadzieję, że tak.

## VII

Decyzję o spisaniu tego wszystkiego podjąłem w momencie, gdy dowiedziałem się, że o książce „Czarny Wygon” wszelki słuch zaginął. Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli na wszelki wypadek to zrobię. Wprawdzie zachował się artykuł w „Dzienniku Lubelskim”, ale to mogło być za mało.

Zajęło mi to ponad rok. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że klątwa przestała istnieć. Nie starzejemy się już zbyt szybko, Paulinka ma się dobrze, więc chyba tym razem się udało. Przyznaję jednak, że ciężko mi było wracać do tych wszystkich wydarzeń.

Podczas pierwszej rozmowy z Jerzym Szewczykiem zakładałem, że nigdy nie stanę przy grobie Adama, a jednak los zdecydował inaczej. Bardzo często bywam przy jego mogile. To chyba głównie dzięki tym wizytom nie poddałem się i doprowadziłem całą sprawę do końca.

I chyba już nie dopisywałbym tej siódmej części drugiego epilogu, gdyby nie to, że zauważyłem, iż rozdziały „Bisów” — zarówno tych pierwszych, jak i drugich — liczą po sześć podrozdziałów. Sześć części liczy też pierwszy epilog. Za dużo tych szóstek. Boję się, że spodoba się to Czarnemu — kimkolwiek i gdziekolwiek teraz jest.

Ze sporządzonych przez Rafała notatek wynikało, że Jasio Grela marzył o ponownym odwiedzeniu Zwierzyńca. „Panienko Przenajświętsza, wszystko bym dał, żeby zwierzyniecki kościółek na wodzie jeszcze choć raz w życiu zobaczyć” — tak mówił do swojego ojca i do Jakuba Trzeźniowskiego.

Długo to trwało, ale wreszcie udało się nam tam wybrać.

Jest przedostatni weekend czerwca dwa tysiące ósmego roku. Przez miasteczko przewalają się tłumy niedzielnych turystów, wszędzie gwar, sporo straganów z pamiątkami. Nie wiem, czy Jaśkowi przypadło to do gustu, ale spełnił swoje marzenie.

Siedzę teraz pod parasolką i piszę w brulionie „krew to życie”. Trudno jest taki dostać, ale mnie się udało na aukcji internetowej.

Przyjechaliśmy dwoma samochodami. Ja z Janką i Mateuszem, a Jasio z Rafałem i Paulinką. Pospacerowaliśmy trochę wokół stawu, zobaczyliśmy, jak wygląda teraz zwierzyniecki browar, przeszliśmy przez park. Zaczynaliśmy już być głodni, gdy Paulinka zaproponowała, żebyśmy zjedli pizzę. Jasio jeszcze nigdy nie próbował, więc stwierdziliśmy, że to dobry pomysł. Zapytaliśmy trzech lekko podchmielonych jegomości w identycznych koszulkach o jakiś dobry lokal. Jednogłośnie wskazali pub o nazwie „Mango”. Akurat byliśmy niedaleko, więc skorzystaliśmy z tej rekomendacji.

Skończyliśmy jeść pół godziny temu, a że dzieciaki już wcześniej domagały się lodów, to nie było innego wyjścia — trzeba było ulec tym żądaniom. Tym bardziej że zwierzynieckie lody, sprzedawane niedaleko kościółka na wodzie, ponoć od lat cieszą się świetną opinią.



Ja zrezygnowałem, ponieważ już i tak miałem dość spacerowania. Rwie mnie w uszkodzonym kolanie. Pewnie na zmianę pogody. Siedzę więc pod parasolką i czekam, aż wróca.

Mieszkam razem z Janką i Mateuszem już od ponad roku. To dziwne doświadczenie — znaleźć się w niemal obcej wiosce, w której znają cię wszyscy i odnoszą się do ciebie, jakbyś żył wśród nich od dawna, jeśli nie od zawsze. Czasem wychodzą z tego krępujące sytuacje, czasem zabawne — różnie bywa. Na szczęście są sny, które od czasu do czasu pomagają mi i Jance poznać swoją nową przeszłość.

Gdy znalazłem Mateusza przy młynie, miał w spodniach klucz. Później okazało się, że to klucz od pokoju, do którego wcześniej nie mogła się dostać Janka. Pomieszczenie było umeblowane dokładnie tak samo, jak pokój chłopca w jego domu w Bliżowie, były tam takie same ubrania, zabawki, książki.

To zabawne — Janka twierdzi, że Mateusz z każdym dniem staje się coraz bardziej podobny do Piotrka, czyli bratanka Bogdana. Ja z kolei widzę coraz większe podobieństwo do Krzysia. Krzyś miał dwa charakterystyczne pieprzyki nad górną wargą. Jakies dwa miesiące temu identyczne pojawiły się też u Mateusza...

Od strony parku słyszę jego wesoły śmiech. Wracają. Już ich widzę. Mateusz co sił biegnie w moją stronę, cały rozentuzjasmowany.

— Ale widzieliśmy fajny plac zabaw! — krzyczy. — Pójdziemy tam, tato? Proszę, chodź się ze mną pobawić...

— Już, synku — odpowiadam z uśmiechem. — Napiszę jeszcze tylko dwa zdania.

Zaraz odłożę długopis i schowam go razem z brulionem do plecaka.

Teraz już wiem, że takiej prośbie nigdy nie wolno odmawiać.

*Przemyśl, 8 maja 2014 r.*

# Posłowie

## Pomysł i lokalizacja fabuły

Dokładnie pamiętam moment, w którym przyszedł mi do głowy pomysł na literackie zmierzenie się z tematem zagubionej gdzieś w czasie i przestrzeni wioski.

Jechałem akurat drogą nr 865 z mojego rodzinnego domu w Lubyczy Królewskiej do Przemyśla, w którym mieszkam od kilkunastu lat. Był Wielki Poniedziałek 2009 roku, za oknami mrok i dość duszna, zamglona atmosfera prawie jeszcze zimowego wieczoru. Pomiędzy Narolem a Płazowem, gdzie las jest gęsty, ciemny i ponury, drzewa zdawały się zamykać nad samochodem i wyciągać w moją stronę swoje sękate ręce.

Nie było to zbyt przyjemne, ale wyłączyłem radio, ponieważ uznałem, że te lekkie ciarki na plecach mogą być zapowiedzią czegoś interesującego. Wsłuchałem się w swoje myśli i zacząłem zastanawiać się, co by było, gdybym zjechał gdzieś w bok i po przejechaniu kilkudziesięciu lub kilkuset metrów natrafił na grupę staroświecko ubranych ludzi, którzy po raz ostatni kogoś spoza wioski, w której żyją, widzieli kilkadziesiąt lat temu.

Przede mną była jeszcze mniej więcej godzina drogi, mogłem więc bez przeszkód uchwycić tę mglistą, niewyraźną wizję w okowy bardziej konkretnego pomysłu na opowiadanie (przynajmniej wtedy mi się wydawało, że na opowiadanie), którego akcja rozgrywać się będzie w Beskidzie Niskim. Lokalizacja wydawała mi się dość trafiona ze względu na wielość i urokliwość dolin leżących w tym paśmie górskim, do klimatu narracji pasował mi też wtedy fakt, że wiele z nich kiedyś było zaludnionych, ale w następstwie II wojny światowej i wydarzeń rozgrywających się tuż po niej po dawnym gwarze i zabudowaniach zostały jedynie fundamenty domostw, zapadnięte studnie, ruiny świątyń czy pojawiające się jakby znikąd przydrożne kapliczki i krzyże.

Kilka miesięcy później, w upalny czerwcowy dzień, trafiłem do Słonecznej Doliny na Roztoczu. Urzekł mnie klimat tego miejsca — podobny trochę do wspomnianych górskich dolin. Rozległe (choć nieprzesadnie) otwarte obniżenie terenu, otoczone zalesionymi wzgórzami, idealnie wpasowywało się w moją wstępną koncepcję fabularną, ale był jeden problem — brak historii, do której mógłbym nawiązać, żeby moja opowieść była bardziej wiarygodna. Jak się jednak okazało, byłem w błędzie.

Natychmiast po powrocie do Przemyśla zacząłem przeglądać mapy, przewodniki oraz witryny internetowe w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia i kiedy coraz bardziej wgryzałem się w temat, ciarki na plecach wróciły. Okazało się, że w sąsiadującym ze Słoneczną Doliną Guciowie krążą opowieści o kościele, który w dawnych czasach stał na wzgórzu rozdzielającym te dwa miejsca; mało tego — podobno kościół ten zapadł się pod ziemię, jak to określano, „za karę” (szczegółów na temat charakteru skutkujących karą ludzkich przewin nie udało mi się odszukać), a w dodatku od czasu do czasu z okolic miejsca, gdzie niegdyś stała ta świątynia, dobiegają dźwięki bijących dzwonów. Jeśli wspomnę tu, że już wcześniej wymyśliłem sposób, za pomocą którego można przeniknąć do innego wymiaru (moment w trakcie rozchodzącego po okolicy miarowego i trochę złowrogiego bicia dzwonów), to chyba łatwo zrozumieć moją ówczesną ekscytację.

Wszystko składało się idealnie i czasem sobie myślę, że tak po prostu miało się składać. Guciów jest miejscem, do którego, jeszcze w czasach szkoły podstawowej, odbyłem pierwszą poważną wycieczkę turystyczną (wspólnie ze Staszkiem, któremu zadedykowałem pierwszy tom cyklu; szukaliśmy wtedy kurhanów wspomnianych przeze mnie później w „Bisach II” i niewykluczone, że przemierzaliśmy wówczas Słoneczną Dolinę). Dorastałem na Roztoczu, wielokrotnie przemierzając szlaki tej wyjątkowej krainy, i przy różnych okazjach tam też zdobywałem pierwsze szlify turystyczne. Nigdy, nawet już od dłuższego czasu mieszkając poza Roztoczem, o nim nie zapomniałem i miałem takie ciche marzenie, żeby w jakiś sposób się kiedyś odwdzińczyć za pierwszych kilkanaście lat młodości, pełnego przygód życia. Jeśli przynajmniej w części udało mi się oddać niepowtarzalny klimat moich rodzinnych stron, to wspomniane marzenie uznaję za spełnione.

Sądzę, że warto tutaj wspomnieć o jeszcze jednej niezwykle dla mnie istotnej kwestii. Otóż po ciepłym przyjęciu mojej debiutanckiej powieści („Dom na wyrębach”) zacząłem po cichu marzyć o tym, że może dzięki pisarstwu uda mi się zmienić własne życie. Debiutowałem wprawdzie dość późno, bo w wieku 36 lat, ale jeszcze nie na tyle późno, by marzyć. W 2008 roku pracowałem w urzędzie i pracy tej bardzo nie lubiłem (choć pewna, stabilna i wymarzona przez wielu). W połowie roku 2009 stanąłem przed wyborem: pokusić się w kolejnej książce o nawiązanie do udanego debiutu czy też może spróbować napisać coś zupełnie nowego, w innej stylistyce, innym tempem i językiem (wtedy już zakładałem, że na kanwie wielkanocnego pomysłu mógłbym ośmielić się stworzyć powieść, a nie utwór w krótszej formie). Pierwsze rozwiązanie kusilo łatwością, ale też groziło zaszufładkowaniem mnie jako „tego autora od Wyrębów”. Z kolei druga opcja nieco odstraszała ogromem wyzwania, ale za to dawała szansę na sprawdzenie się w roli pisarza i w przypadku ewentualnych zadowalających mnie efektów literackich oraz pozytywnego odzewu Czytelników

obiecowała szanse na rozstanie się z nielubianym przeze mnie urzędniczym etatem.

Uprzedzając nieco fakty — w 2010 roku ukazały się „Słoneczna Dolina” i „Starzyzna”, a Dzień Dziecka 2011 roku był dla mnie pierwszym dniem poza urzędem, pierwszym dniem człowieka, który postawił wszystko na jedną kartę i swoją zawodową przyszłość postanowił związać z twórczością literacką.

Ale wróćmy do połowy roku 2009.

Zapadła jedyna słuszna decyzja o lokalizacji fabuły na Roztoczu i trzeba było powoli brać się do roboty...

## Przed drukiem

Początkowo sądziłem, że historię związaną z Czarnym Wygonem opowiadać będzie jedna książka, ale zaraz po rozpoczęciu pracy zrozumiałem, że zapowiada się coś większego. Wreszcie postanowiłem: dwa tomy. Pierwszy będzie opowiadał o wizycie w Starzyźnie Rafała Gielmudy, a drugi — Witolda Uchmanna. Wszystko miało się zamknąć otwartym zakończeniem Starzyzny, a ciąg dalszy Czytelnicy mieli sobie dopowiedzieć sami.

Nazwisko głównego bohatera, Witolda Uchmanna, wybierałem dość starannie. Być może pamiętacie Państwo, że na początku cyklu pojawia się informacja, iż główny bohater znalazł się na liście Wildsteina, więc pierwsze założenie było takie, aby przez przypadek nie powtórzyć żadnego z nazwisk, które faktycznie na liście się znalazły. Uchmanna przez dwa „n” nie było. Imię wydawało mi się adekwatne do wieku i dobrze brzmiące z nazwiskiem. Ktoś naprawdę mógł się tak nazywać.

Zanim wspomnę o Gielmudzie, kilka słów na temat wyboru imion i nazwisk mieszkańców Roztocza, którzy pojawiają się na kartach „Czarnego Wygonu”. Przed rozpoczęciem pracy nad dwoma pierwszymi tomami zrobiłem szczegółowe „rozpoznanie w terenie”...

Pierwszą jego częścią były bardzo drobiazgowo oględziny okolic planowanej akcji (chciałem na przykład, aby jedynie na podstawie zawartych w powieści informacji Czytelnik nieposiadający ze sobą mapy mógł bez problemu trafić do Słonecznej Doliny). Moja intensywna obecność w okolicach Słonecznej Doliny i w Krasnobrodzie miała jednak na celu nie tylko zapoznanie się ze szczegółami topograficznymi. Uważałem, że powinienem to zrobić także ze względu na chęć prawdziwego odczucia klimatu tych miejsc, zakładałem, iż bez tego nie będę potrafił we właściwy sposób uchwycić go na kartach książek.

Druga część rozpoznania dotyczyła cmentarzy. Ponieważ akcja miała rozgrywać się głównie na Roztoczu, zależało mi, aby nazwiska były autentyczne, zrosnięte z tą ziemią od wieków. Przemierzałem więc lokalne nekropolie, zapisując najbardziej popularne dane. Sprawdzałem także imiona — w szczególności zależało mi na wyszukaniu takich, które noszono na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, a także na określeniu wieku osób nimi nazwanych (tu pomocne były umieszczone na nagrobkach daty urodzin). Przez szacunek dla zmarłych ani razu nie nazwałem bohatera „Czarnego Wygonu” imieniem i nazwiskiem znalezionym przy miejscu pochówku jakiejś osoby. Dane bohaterów wybierałem

„krzyżując” imiona znalezione na różnych mogiłach, niemniej jednak z pewnością parę razy niechcący „trafiłem” w połączenie imienia i nazwiska osób żyjących naprawdę (jest na to potwierdzenie faktograficzne: na moim spotkaniu autorskim w Zamościu pojawił się młody chłopak, twierdząc, że nazywa się Rafał Gielmuda i jest z Krasnobrodu — z własnej inicjatywy pokazał dowód osobisty, i faktycznie, wszystko się zgadzało).

Jednym z najczęściej spotykanych nazwisk na nagrobkach było nazwisko „Gielmuda”, a na początku lat siedemdziesiątych (gdy urodził się powieściowy bohater, o którym mowa) imię „Rafał” było dość chętnie nadawane, tak więc decyzja zapadła i Rafał Gielmuda został wezwany na miejsce akcji.

Proces pisania przysparzał mi wiele frajdy, choć czasem zdarzały się niespodziewane komplikacje. Było tak na przykład w momencie, w którym miałem zamiar pisać o domu pomocy społecznej w Krasnobrodzie, a zupełnie nie wiedziałem, gdzie dokładnie jest on zlokalizowany, jak wygląda i którędy można do niego dotrzeć. Nie było wyjścia — trzeba było wsiąść do samochodu i pokonać dystans około 140 kilometrów, które dzielą Przemyśl od tej miejscowości. Przy okazji sprawdziłem też drzewostan okalający Słoneczną Dolinę (nie chciałem przez przypadek napisać o gatunkach drzew, które tam w rzeczywistości nie występują). Zajrzałem też wtedy po raz kolejny w okolice tak często wspominatej na kartach cyklu czereśni (tak, ona w rzeczywistości istnieje i możecie ją Państwo obejrzeć na wzniesieniu oddzielającym Słoneczną Dolinę od Guciowa).

Gdy postawiłem ostatnią kropkę powieści „Czarny Wygon. Starzyzna”, sądziłem, że to już koniec całej historii, ale po jakimś czasie wystąpiły trzy okoliczności, które zmotywowały mnie do dalszej pracy. Po pierwsze, Czytelnicy dopominali się o ciąg dalszy, chcieli koniecznie poznać późniejsze losy Uchmanna, dowiedzieć się, czy klątwa zatajenia przestała działać. Po drugie, sam trochę zacząłem tęsknić do tej fabuły, mając przeświadczenie, że może mieć ona interesującą kontynuację. Trzecia okoliczność to pomysł, który pewnego dnia przyszedł mi do głowy i okazał się czynnikiem przeważającym szalę. Idea niespodziewanej „zmiany miejsc”, która ma miejsce o poranku w Wielką Niedzielę niedaleko czereśni, o której przed chwilą wspominałem. Uchmann znajduje się ponownie w „naszej” rzeczywistości, ale jednocześnie zamyka do niej drogę swojemu przyjacielowi, Adamowi Nawrotowi.

Rozpoczęły się więc prace nad ciągiem dalszym.

W „Bisach” i „Bisach II” znaczącą rolę odgrywa miejscowość Bliżów, do której trafiłem... przez przypadek. Po raz kolejny byłem w okolicy Guciowa i (tym razem rowerem) przemierzałem trasy, o których chciałem pisać. W pewnym momencie, jadąc od strony Bondyrza, wzdłuż doliny Wieprza, wjechałem w las, spodziewając się, że dotrę do mostu przy drewnianym młynie w Guciowie (pojawia się on w jednej z ostatnich scen „Bisów II”). Tak się jednak nie stało,

ponieważ zgubiłem drogę i nagle znalazłem się w urokliwej wiosce, do złudzenia przypominającej znaną mi tylko z własnych wyobrażeń Starzyznę.

Jak już wcześniej napisałem, najwidoczniej po prostu tak właśnie wszystko miało się złożyć.

Chcę tu wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy, o którą często jestem pytany. Czarny Wygon naprawdę istnieje na Roztoczu, ale jest zlokalizowany w miejscu innym niż wskazane w moich książkach. Nie mogłem oprzeć się pokusie wykorzystania tej nazwy, a okolice Szczepieszyna są zbyt daleko od Guciowa. O ile się nie mylę, jest to jedyny detal, który może nie zgadzać się z mapą.

\*

Podczas pracy nad poszczególnymi tomami „Czarnego Wygonu” pomagało mi wiele osób. O niektórych z nich wspominam w podziękowaniach zamieszczonych przed pierwszymi trzema tomami. Przed „Bisami II” podziękowań nie zamieściłem, chcąc, aby Czytelnik od razu wszedł w wir akcji, ale nie mogę chociażby w tym miejscu nie wspomnieć o osobie, która pomogła mi poznać kwestie związane z pomieszczeniem dla osób tymczasowo zatrzymanych i zasadami, które w nim obowiązują. Dziękuję, Agnieszko, naprawdę bardzo mi pomogłaś.

Nie sposób na kilku stronach wspomnieć o wszystkich szczegółach związanym z powstawaniem kilkutomowego cyklu, ale też chyba i nie o to chodzi. Mam nadzieję, że powyżej przynajmniej po części przybliżyłem niuanse mojej pracy.

Stawiając ostatnią kropkę w każdej z czterech książek, zdawałem sobie sprawę, że od tej pory nie mam już na nią wpływu, że rozpoczyna ona swoje własne życie i dalsze jej losy są mi nieznane. Było to niepokojące, ale też jednocześnie ekscytujące...

## Po druku

Po premierze pierwszej części cyklu (a później kolejnych) docierały do mnie wieści, które wywoływały wielką radość i satysfakcję, bo czyż autora może coś cieszyć bardziej od faktu, że historia, którą stworzył, działa na wyobraźnię Czytelników, wywołuje emocje, wzruszenia i jest w jakiś sposób dla nich ważna?

Wiem, że niektórzy zmieniali plany wakacyjne, wybierając Roztocze, próbując przejść tymi samymi ścieżkami, którymi podążali Uchmann, Gielmuda i Nawrot. Słyszałem o tym, że w Guciowie odbywają się czasem inscenizacje niektórych scen zawartych w „Czarnym Wygonie” (na przykład ktoś przebiera się w mnisi habit, trzyma w ręku wisielczy sznur, a z głośników odtwarzane jest bicie dzwonów), organizowane są nocne wycieczki do Słonecznej Doliny.

Książki cieszyły się popularnością w plebiscytach czytelniczych, były pozytywnie odbierane przez recenzentów (choć, co oczywiste, zdarzały się też głosy krytyczne), wiele osób pisało, że chętnie zagłębiają się po raz kolejny w lekturze, odnajdując wciąż nowe treści, że dla nich to nie tylko powieść grozy, ale też historia o miłości ojca do syna, o przyjaźni, poświęceniu i walce ze złem, które ciągle czai się gdzieś wokół nas i przybiera najróżniejsze kształty, próbując nas dopaść.

Chciałem, żeby tak właśnie było...

\*

Na Roztoczu już jest spokojnie. Nie ma Czarnego, nie ma przekłętego Dobrowolskiego i potępionych wisielców wracających z Czarnego Wygonu, ale zostały zaciszne wsie i niezapomniane krajobrazy. Bywam tam dość często, więc wiem, o czym mówię.

Pojawiam się na Roztoczu tym chętniej, że teraz, po zamknięciu pracy nad „Czarnym Wygonem”, to kraina jest mi jeszcze bardziej bliska.

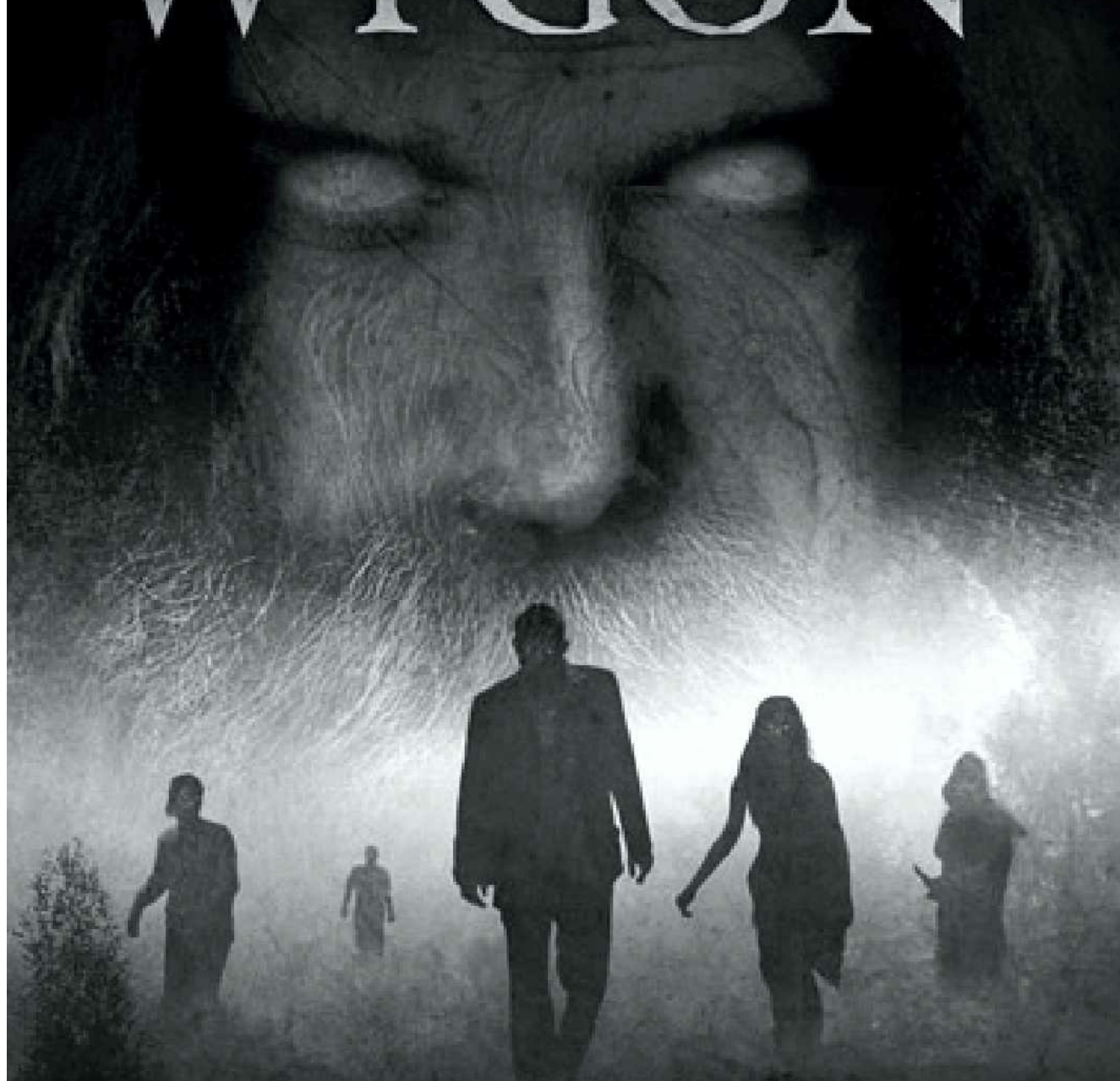
Mam nadzieję, że Państwu, po lekturze całego cyklu, również...

*Przemyśl, październik 2014 roku*





STEFAN DARDA  
CZARNY  
WYGON



Powieść o przeklętej wiosce na Roztoczu, autora wielokrotnie nominowanego  
do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, zdobywcy Nagrody Nautilus

STEFAN

# DARDA

Czarny Wygon

POWIEŚĆ GROZY



# TOM II

VIDEOGRAF

# Spis treści

|                                 |    |
|---------------------------------|----|
| Strona tytułowa                 | 2  |
| Strona redakcyjna               | 3  |
| Opowiadanie "Słowo Czarnego"    | 6  |
| 1.                              | 7  |
| 2.                              | 8  |
| 3.                              | 11 |
| 4.                              | 12 |
| 5.                              | 13 |
| 6.                              | 15 |
| 7.                              | 16 |
| Część III. Bisys                | 19 |
| Przedmowa                       | 20 |
| Podziękowania                   | 23 |
| Prolog                          | 25 |
| 24 marca 2005 (Wielki Czwartek) | 25 |
| 25 marca 2005 (Wielki Piątek)   | 30 |
| 26 marca 2005 (Wielka Sobota)   | 37 |
| Rozdział pierwszy               | 44 |
| 1.                              | 44 |
| 2.                              | 51 |
| 3.                              | 53 |
| 4.                              | 57 |
| 5.                              | 62 |
| 6.                              | 66 |
| 9 kwietnia 2007 (poniedziałek)  | 72 |
| Rozdział drugi                  | 73 |
| 1.                              | 73 |
| 2.                              | 75 |
| 3.                              | 78 |
| 4.                              | 84 |
| 5.                              | 87 |
| 6.                              | 92 |
| 10 kwietnia 2007 (wtorek)       | 96 |

|                             |     |
|-----------------------------|-----|
| Rozdział trzeci             | 99  |
| 1.                          | 99  |
| 2.                          | 101 |
| 3.                          | 110 |
| 4.                          | 111 |
| 5.                          | 114 |
| 6.                          | 121 |
| 11 kwietnia 2007 (środa)    | 133 |
| Rozdział czwarty            | 136 |
| 1.                          | 136 |
| 2.                          | 138 |
| 3.                          | 163 |
| 4.                          | 171 |
| 5.                          | 176 |
| 6.                          | 177 |
| 12 kwietnia 2007 (czwartek) | 181 |
| Epilog                      | 182 |
| I                           | 182 |
| II                          | 183 |
| III                         | 184 |
| IV                          | 184 |
| V                           | 185 |
| VI                          | 185 |
| Część IV. Bisy I            | 188 |
| Rozdział pierwszy           | 190 |
| 1.                          | 191 |
| 2.                          | 196 |
| 3.                          | 207 |
| 4.                          | 212 |
| 5.                          | 220 |
| 6.                          | 228 |
| 13 kwietnia 2007 (piątek)   | 231 |
| Rozdział drugi              | 234 |
| 1.                          | 234 |
| 2.                          | 243 |
| 3.                          | 254 |

|                              |     |
|------------------------------|-----|
| 4.                           | 260 |
| 5.                           | 269 |
| 6.                           | 281 |
| 14 kwietnia 2007 (sobota)    | 292 |
| Rozdział trzeci              | 298 |
| 1.                           | 298 |
| 2.                           | 301 |
| 3.                           | 310 |
| 4.                           | 314 |
| 5.                           | 323 |
| 6.                           | 326 |
| 15 kwietnia 2007 (niedziela) | 340 |
| Rozdział czwarty             | 347 |
| 1.                           | 347 |
| 2.                           | 355 |
| 3.                           | 360 |
| 4.                           | 364 |
| 5.                           | 371 |
| 6.                           | 380 |
| Epilog                       | 384 |
| I                            | 384 |
| II                           | 393 |
| III                          | 395 |
| IV                           | 397 |
| V                            | 398 |
| VI                           | 399 |
| VII                          | 399 |
| Posłowie                     | 402 |
| Pomysł i lokalizacja fabuły  | 402 |
| Przed drukiem                | 405 |
| Po druku                     | 408 |